

Sławomir Górzyński

Babol

Mojej ukochanej Grażynce.

Część pierwsza:

Stradivarius:

Rozdział liszki.

Federico!

Dlaczego siedzisz, zamiast grać?

Nawet nie myśl o drzemce.

Ani teraz, ani poobiedzie.

Tak, tak.

Czasna obiad.

Jak nieprzyjdiesz od razu, to będziesz jadł wszystko zimne.

Francesca nie będzie specjalnie dla ciebie odgrzewać.

Co się tak krzywisz?

Że parmezanobeschnięty?

Został od wczoraj, a przecież nie będę wyrzucał dobrego sera.

Musimy oszczędzać.

Złatwiłam ci koncerty.

Zdziwisz się gdzie!

Nie, nie u nas.

O tonie tak łatwo.

Jak to kiedy?

W kwietniu.

Wiem, że chciałeś jechać do Giovanniego, do Nicei.

Ale to można złatwić później, podczas tournée po Francji.

Masz koncert w Marsylii i potem dzień przerwy.

Wtedy go odwiedzisz.

Twój syn to dorosły facet, nie musisz razem spędzać dwóch tygodni.

Jeden wieczór starczy.

I nie oszukaj, nie dokumentuj.

A koncerty będą w Polsce.

Cztery.

Jeden w stolicy, w Warszawie.

Zobaczysz, jakie to piękne miasto.

Będziesz musiał powtórzyć oba koncerty Wieniawskiego.

To będzie przebój.

Polska muzyka w Polsce.

Jak jeszcze nauczysz się mówić po polsku "dzień dobry", to rzucisz ich na kolana.

Nie martw się, ja cię nauczę.

No, powtórz: dzień dobry.

Nie.

Jeszcze raz.

Znowu źle.

Co prawda moja wymowa też jest daleka od ideału, bo byłam tam tylko kilka lat, i to jako dziecko, w sumie niewiele pamiętam, kilka słów za ledwie, jednak ty przechodzisz wszelkie granice.

A przecież znasz sześć języków.

Alenię martw się, mam sporo czasu.

Masz rację, sześć obcych, tyle że ani jednego słowiańskiego.

Tak, oni strasznie szemrzą i szeleszczą.

A wiesz, że Debra niedawno była w Polsce?

Przez dwa tygodnie.

No

bo Gasparo pracuje dla Fiata, a Polakom marzy się, że będą robić samochody.
Był tam jako doradca.
Żebyś widział, jakie bursztynystamtąd przywiozła.
Za pół darmo.
Cotak patrzysz?
Chodzi ci o wino?
Teraz już zawsze będziesz pił rozcieńczone, bo inaczej zamiast ćwiczyć po obiedzie, to śpisz.
Nie ma na to czasu.
A wprzyszłym roku takie tournée zorganizuję ci na Węgrzech.
Deborah kupiła tam przepiękną szynszylę, widziałeś przecież.
Nie pamiętasz?
Ty nigdy nic ważnego nie potrafisz zapamiętać.
Jak ta Claudia wytrzymała z tobą tyle lat!
No, nie krzyw się, żabciu.
Tylko żartowałam.
Przecież cię kocham.
Jak dzisiaj ładnie poćwiczysz, możesz przyjść do mnie, tylko przed kolacją, bo
inaczej będziesz za bardzo ociężały.
Parvenza już za pół roku ma sprzedawać tę willę.
Nie udawaj, przecież też chcesz tam mieszkać.
No bo co to za życie w pięciu pokojach!
Bez ogrodu, basenu, kortu.
Nauczę cię grać w tenisa.
Bekhend, forhend - zobaczysz.
Może kiedyś Panattę zaprosimy do siebie.
Albo Fibaka.
Niewiesz kto to?
Toż to najlepszy polski tenisista!
Światowa czołówka.
Ciebie widać w ogóle nie interesują moje polskie korzenie.
Moja babka mieszkała w Polsce.
Jej mąż był konsulem, czy też.
nie pamiętam kim dokładnie.
Ale to u nich spędziłam te kilka polskich lat.
Wcale nie mówię, że dla mnie to aż takie ważne.
Absolutnie!
Zostając twoją żoną, odcięłam się od całej swojej przeszłości.
Ja żyję tylko dla ciebie, dla twojej kariery.
I dlatego teraz musimy oszczędzać, na czym się tylko da.
Tak, nawet na parmezanie.
Na jutro umówiłam pianistę.
Nie, Sofia była zajęta.
Przyjdzie Dino Reggiano.
Też dobrze gra.
Ale musisz do jutra powtórzyć oba koncerty Wieniawskiego.
Nuty już znalazłam.
Widzisz, wszystko ci organizuję.
Ty masz tylko ćwiczyć.
Miałeś tak przy Claudii?

Ona nic anic nie dbała o twoją karierę.
Tylko dzieci, pieluchy -kretyńskie obowiązki!
Zupełnie jakbyś nie był wirtuozem, jakbyś nie potrzebował chwili wypoczynku i uwielbienia.
Masz szczęście, że Bóg ci zesłał mnie.
Zginałbyś.
Przestał grać.
A ludzkość czeka na twoje koncerty.
Ludzie chcą skandować: Camparo, Camparo, Camparo.
I chcą stojących owacji.
Chcą bić brawo.
Tobie,
10
jedynemu, najlepszemu, genialnemu!
Sprzedałam wreszcie te dwa fotele.
Jakiś naiwniak zapłacił za nie jak za antyki.
Wszystko pójdzie nanaszą wille.
Jeśli będzie trzeba, sprzedam nawet moją koleję.
Mam też kilkapierścionków i jest jeszcze twoja kolekcja spinek do krawatów. No, nie krzyw się tak, musimy kupić tę wille.
Dosyć już mam hałasu (;;
od szóstejrano.
Chcę, aby w mojej sypialni śpiewał każdego ranka;
słowik.
Co się tak rozglądasz?
Nie ma deseru.
Jakładnie poćwiczysz, jabędę na deser.
Czuję, że jestem dzisiaj w nastroju.
Ale teraz zabierzę, zaraz wejdzie Francesca.
Federico!
Co ty sobie myślisz!
Ostatni raz dzwonię z domu.
Musimy wzmóc środkiostrożności, bowski wszystko zaczyna się dobrze układać!
Z moim staruszką poszło łatwiej, niż myślałam.
Powiedz im, że mogą zacząć organizować sprawę.
To będzie kwiecień.
Szesnastego dwie próby, siedemnastego próba i koncert.
Niech się rozejrzą, zaplanują, ruszą głowami.
Ty też.
Tobie nawet łatwiej, przecież jesteś tam codziennie.
Tylko, do cholery, dyskretnie.
Janie mogę być w to w żaden sposób zamieszana.
Nie może powstać nawet najmniejsze podejrzenie.
Dobrze, wiem.
Przypuszczam, że tobie też zależy.
Pamiętaj: szesnasty, siedemnasty.
No, muszę skończyć.
Niedługo znowu zadzwonię.
Przedemną był przepaść.
Na samą myśl o następnym dniu czułem w żołądku mdły skurcz.
Zabrałem tam, skąd powrót przekracza moje siły.

I granicę wyobraźni.

Wpatrywałem się w szarą ścianę, śledziłem mapę pęknięć, powstałą z podpryskiwanej farby przez wiele lat zaniedbania, obojętności ludzi wobec wyglądu miejsca, w którym poddałem się wreszcie czarnej rozpacz.

i w wspomnieniach, bo gdzieś w pokrzywionych liniach zacząłem dostrzegać ład, zaczęły mi przypominać twarz.

To nie twarz matki, ojca lub kogoś z rodzeństwa, tylko jego twarz.

Dziecięcą, a już naznaczoną sarkazmem, butą, pogar-

dą. Taką, jaką pamiętałem z tego dnia w fabryce, gdy bawiliśmy się w chowanego.

11.

Zapach ziemi, zawsze mokrej w tym miejscu, które było najlepszą kryjówką Cerkwina i moją. Gerard jej nie znał.

Nikt nie znał całej fabryki, a właściwie ruin, bo większość zabudowań znajdowała się w pożarowym stanie.

Znaleźliśmy tomiejscerazem z Cerkwinem ponad miesiąc wcześniej.

Byliśmy wtedy Indianami z plemienia Czejenów, którzy wkroczyli na wojenną ścieżkę przeciw Apaczom.

Miejsce wydawało się wprost wymarzone na nasze wojenne działania.

Przysięgliśmy nagłowy naszym młodym nie wydać go nigdy przed nikim.

Zapewniało nam, poza kryjówką przed Apaczami, szansę na wygraną z Gerardem.

Mnie, zwanemu Babolem - nienawidziłem tego przezwiskaz całych sił i z całych sił starałem się nie pokazać tego nikomu, a już szczególnie Gerardowi - i małemu Wiesiowi Kaniszkiowi, którego rodzice wyznawali prawosławie, i stąd wzięło się jego przezwisko.

Pewnie też go nienawidził.

Kto lubi przezwiska?

Może tylko Gerard, który kazał zawsze do siebie mówić "Dżery".

Nikt z maluchów, alei prawie żadne z starszych dzieci nie odważyło się kiedykolwiek inaczej do niego zwrócić.

Opowieści o tym, co Gerard robi z nieposłusznymi młodzieńcami, szeptano ostrożnie, lękliwie, nieustannie rozglądając się wokół, czy przypadkiem Dżery nie nadchodzi, czy nie przydybie niedyskretnego plotkarza.

Pewnie sam te rewelacje na swój temat wymyślał.

Już wtedy chorobliwie lubił wzbudzać strach.

A my baliśmy się go i podziwialiśmy zarazem, jak oświecał jasny płomień.

Także wtedy, wtuleniz Cerkwinem w oślizgły mur, z bijącym sercem nasłuchiwałem lekkich kroków Gerarda, jak zatrzymał się o metr od nas, pokręcił w miejscu i ruszył szukać dalej.

Co chwila odwracał się, aby kontrolować wzrokiem miejsce "zamawiania".

Później puścił się biegiem wzdłuż tego samego muru, w który staraliśmy się niemal wtopić, stojąc po drugiej stronie.

Słyszałem oddalające się kroki Gerarda i w jednej chwili podjąłem decyzję.

Teraz, gdy on biegnie w przeciwnym kierunku, mam szansę "zaklepać się" i wygrać.

Pierwszy raz z nim wygrać.

- Lecę - wydyszałem w kierunku Cerkwina, który jednak nie zareagował, nawet nie drgnął.

12

Po stercie desek wyostałem się z kryjówki, dobiegłem do najbliższego okna, jednym susem przesadziłem parapet i bez chwili wahania ruszyłem w kierunku odwrotnym niż Gerard. Starałem się być cichy jak kot, jak Winnetou; biegłem skulony, wydawało mi się, że dzięki temu jestem mniej widoczny.

Zerknąłem w jedną z przecznic - on tam był.

Stał koło kupy zardzewiałego żelastwa, patrzył w moją stronę.

Krzyknął triumfalnie i ruszył równoległą ścieżką.

Wyteżyłem wszystkie siły, aby biec jak najszybciej.

Nie byłem już cichym nocnym łowcą, sprytnym, niewidzialnym Apaczem.

Stałem się wielkim bizonem, spod którego kopyt pryskają grudy ziemi, a tętent rozchodzi się na milę dokoła.

Z nozdrzy bucha para, w piersiach pracuje szalony tłok serca.

Gdy wybiegliśmy na wyszarzałą łachę trawy przed główną bramą, Gerard był wciąż kilka kroków za mną.

Bawił się, jak zwykle, w kotkai myszkę.

Biegał najszybciej z nas wszystkich i lubił tęprzewagę wykorzystywać dopiero w ostatniejchwili.

Ale jatego dnia byłem kimświecej niż zwykłym chłopcem.

Z mojej głowy wyrastały rogi, ciałopokrywałęsta sierść, w nogach zgromadziłem siłę setek pokoleńżyjących na prerii przodków.

Irwałemdo przodu w niepohamowanypędzie.

Gerard przyspieszył, słyszałem jego oddech za plecami, doganiał mnie.

Ale brama była tuż, tuż.

 Nie zdąży, będę pierwszy!

 Ja, król wszystkich zwierząt, rączy byk; cichy jak cień, szybki jak myśl.

 Już wyciągałem rękę, żeby się zaklepaćjuż otwierałem usta i moženawet wypowiedziałem pierwsze słowo formułki, gdy moja prawa nogazaczepiła o coś i runąłem jakdługi na ziemię.

Upadłem jako mały, zbolały nagle chłopiec, i tylko dlatego skończyło się jedynie na rozdartych spodniach i pokrwawionym kolanie.

Gdybym upadłjako bizon, zabiłby mnie ciężar bezwładności wielkiego, rozpędzonegocielekska.

Rogami zaryłbym wziemię i leżałże złamanym karkiem.

A taktylkochlipałem i patrzyłem na triumfalnie uśmiechniętego Gerarda, któryw korę starego dębu rosnącegotuż obok bramy mówił:

13.

- Zamawiam Babola, co zarył nosem w gównu.

Babol, zjedz

je równo!

- Babol zje gównu, Babol zjegównu - podjął stojący przy drzewie Stasio Przypiórek, którego Gerard znalazł w jego ulubionej kryjówce kołoszopy.

Stasioprawie zawsze się tam chował i prawie zawsze znajdowanego pierwszego.

Ale to w niczym niezmieniło jego postępowania.

Stasiochował się koło szopy - i tam go zawsze wszyscy najpierw szukali.

Otrzeptywałem spodnie, martwiłamnie dziura w nogawce, najbardziej jednak żałowałem straconej szansy zwycięstwa nad Gerardem.

Ile mi zabrakło?

Pięciu sekund zimnej krwi!

Nigdy nie zostanę prawdziwym Indianinem, jeżeli będę ulegał emocjom.

Gdybym dokońcapanował nad sobą, jak Winnetou, zamiast wyobrazać sobie

radość zwycięstwa, zauważyłbym tę zdradziecką przeszkodę i teraz miałbym swoją chwilę triumfu.

A zamiast tego:

- Babol, prędzej majtki zjesz, zanimże mną wygrasz.

- Minę mazwycięską, stoi nademną podpartypod boki, napawa się moją klęską

- Babolmajtki zje, Babol majtki zje, Babol.

A ja widzę skradającą się plamę niebieskiej sukienki w pobliskich krzakach.

- Prawie wygrałem, Dżery.

Jakbym się nie potknął.

- mówię

cokolwiek, byle tylko odciągnąć jego uwagę od Marusi, która właśnie rusza pędem do dębu.

- Już nie jesteś taki szybki!

- Ty chyba swój język chcesz zeżreć, Babol.

Odszczekasz to!

- Babol będzie szczekał, Babol będzie czekał!

Może przecucie, a może coś w moim wzroku ostrzegłogo i odwrócił się w kierunku Marusi, gdy ta prawie już go mijała.

Ruszył natychmiast, ale nie dokończył jeszcze obrotu i stracił równowagę.

Marusia zdążyła dobiec i już krzyczała:

- Raz, dwa, trzy.

Sama za siebie!

Sam za siebie!

I śmiała się radośnie, a ja też czułem zadowolenie, bo moje starania, by jej pomóc, nieposzły na marne.

Ktoś nareszcie wygrał z Gerardem.

14

- To przez ciebie, Babol.

- Gerard był czerwony ze złości.

- Zagadałeś mnie, zapłacisz mi za to!

Zabawa trwała nadal.

Oprócz mnie, Stasia i Marusi pozostawało wciąż w ukryciu kilkoro dzieci.

Gerard ruszył między pobliskie baraki, a ja zacząłem krzyczeć:

- Nie wychodź sieczka z woreczka.

Nie wychodź sieczka.

.i./

Po chwili przyłączyła się do mnie Marusia, później Stasio i krzyčeliśmy razem.

Niewiele to pomogło.

Gerard łatwo znalazł małego Kacperka i Czapę, swojego rówieśnika, chłopaka równie złego, co głupiego.

Zaklepał ich bez trudu i rozpoczął poszukiwania pozostałej trójki dzieciaków.

Tuż za rogiem wielkiej, zniszczonej hali prawie wpadł na Kamilkę i również z nią podrepczył się na finiszu, by wyprzedzić ofiarę dosłownie o wyciągnięcie ręki.

Został jeszcze Cerkwini i Kura.

Obaj byli bardzo szybcy.

Wiesiek potrafił dotrzymać Gerardowi kroku na pięćdziesiąt metrów, ale na dłuższych dystansach przegrywał.

A Kura był z nas wszystkich najstarszy, najsprytniejszy i najbardziej niezależny.

Dlatego też Gerard bardzo go nie lubił.

Bardziej niż mnie, nad którymś łatwo zdobywał przewagę.

Marusia opowiadała Kamilce o swoim zwycięstwie.

- Zaczaiłam się koło jeżyn, poczekałam, aż Dżery zacznie znęcać się nad Babolem, i dalej, szybko.

Nikt nic nie zobaczył.

- Ja cię zauważyłem, specjalnie.

- Cicho, Babol.

Ty przegrałeś.

Widziałam, jak grzmotnąłeś o ziemię.

A ja już wczoraj ani razu nie kryłam.

Marusia nie była wcale ładna.

Swoje przezwisko, którym bardzo się szczyciła, zawdzięczała rudawym włosom.

Kiedy serial szedł w telewizji, wszyscy na podwórku utożsamiali się z jego bohaterami.

Nawet Dżery chciał być wtedy Jankiem i wściekał się, gdy wyśmiewano ten pomysł, a starsi chłopcy przezywali go Brunerem.

Ja prawie zawsze byłem Tomkiem Czereśniakiem.

A to dlatego, że miałem przerwę między jedykami.

Do nikogo jednakże przezwiska nie przyłgnęły tak jak do Krzysi, której od ponad roku nikt inaczej nie nazywał niż

15.

Marusią.

Raz słyszałem nawet, jak jej mama wołała ją tym imieniem.

Krzysia była rok starsza ode mnie, miała wtedy ponad dziewięć lat i traktowała mnie jak szczeniaka, kmiotka.

Mnie fascynowała jej żywiołowość, zawsze rumiane policzki ibłyszczące, roześmiane oczy.

I dołek w brodzie, który znikał tylko wtedy, gdy płakała.

Gerard wytropił Cerkwina; nie pozwolił sobie z nim na ekstrawagancje, to był prawdziwy wyścig.

Zwycięzcą okazał się jednak Gerard.

Został jeszcze Kura.

Wszyscy dopingowaliśmy go głośno, chociaż nikt z animizmem przepadał, bo był samochwałą i egoistą.

Trochę trwało, zanim obaj wypadli z gęstych krzaków rosnących koło budynku, który nazywaliśmy biurem.

Nasz doping na nic się Kurze nie przydał.

Przegrał, nie wytrzymał tempa; pokazał się Gerardowi za wcześnie.

Nikt nie miał już później ochoty na dalszą zabawę w chowanego.

Grzebaliśmy trochę w ziemi, ktoś przygotowywał grę "państwa, miasta".

Zapadał zmierzch.

Nagle powstaje zamieszanie.

Dziewczyny uciekają z piskiem, Gerard goni je ze złowieszczym śmiechem.

Trzyma coś na otwartej dłoni.

Czapa podkłada biegącej Marusinogę.

Gdy ta przewraca się, natychmiast pojawia się nad nią Gerard.

Na rękę sznurek, którym związuje dezorientowaną Marusię rękę z tyłu.

Przewracają na plecy.

- Dawaj to, Cerkwin.

Uważaj, nie podepcz.

Tam gdzieś leży.

Wiesiek udaje tylko, że szuka, ale Czapa wykrzykuje z zachwytem:

- Mam, tutaj jest.

Mam ją.

Teraz widzę.

Podaje Gerardowi dużą, kilkucentymetrową zieloną lizkę, która zwija się i prostuje na chłpięcej dłoni.

Marusia na ten widok zaczyna krzyczeć.

Kamilka po prostu ucieka.

A Gerard, wciąż przytrzymując kolanem wijącą się ofiarę, zaczyna mówić:

- Patrz, to tylko lizka.

No zobacz, jakamięciutka.

O - i rozrywastworzenie na dwie części tuż nad jej twarzą.

Marusia wciąż krzyczy:

- Zostaw, Dżery, weź to, zabierz.

Powiem tacie.

Zabierz to, tyświnio.

Zostaw mnie, Dżery!

16

- Coś ty, Marusia.

Boisz się?

To nic nie boli.

Takie mięciutkiestworzonko,

Rzuca obydwą podrygujące jeszcze kawałki na policzki swojej ofiary.

Marusia już nie krzyczy.

Wyje.

- Przecież to nie boli - zarykuje się ześmiechu Gerard, a wraz z nim Kurai Czapa.

Patrzę nato jak zahipnotyzowany.

Na brodzie Marusi nie ma dołeczka.

Na policzkach, zamiast rumieńców, jest rozmazana breja, ni to czerwona, ni zielona.

KolanoGerarda przyduszającej pierś do ziemi.

A dołeczka nie ma!

Tonie była odwaga.

Raczej niepohamowana eksplozja, jakieś pęknięciebarierystrachu przed zemstą Gerarda, pod wpływembezmiarubólu widocznego w oczach Marusi, mimo że spozjrzała na mnie tylkoprzelotnie.

Rzuciłem się na oprawcę, straciłem go zniej, przewróciłem nawypłowiłą trawę.

I natychmiast, bez zastanowienia, zacząłem uciekać.

Kątem oka dostrzegłem, że Marusia błyskawicznie stanęła nanogi i ruszyła w przeciwną niż ja stronę.

Gerard poderwał się, popatrzył zanią, potem za mną.

Nie mógł złapaćnas obojga.

Marusia jużdostała za swoje, tak pewnie pomyślał, i ruszył za mną.

- Babo!, ty skurwysynu, zabiję cię!

Ale mnie jakby urosły skrzydła.

Jestem zającem, który ucieka przedjastrzębiem w walce o życie.

Moje wielkie i silne skoki niosą mniedwa razyszybciej niż zwykle.

Ale wiem, żei tak nie mam szans uciec, Muszę się schować.

Zając zamienia się w myszkę, która wpada dociemnej już o tej porze hali i szuka norki.

Skręcam raz, drugi.

Znajduję schronienie.

Przyczajam się.

Jestem kameleonem, który potrafistać bezruchu, wtopić się w tło.

Zastygnąć.

Nie oddychać.

Gerard przebiega obok mnie.

Oddala się.

Nawet nie ruszyłem powieką.

Stoję pod schodami, w miejscu zupełnie nieprzydatnym na kryjówkę za dnia.

Ale zdążył już zapaśćzmrok, atu, w środku, jest jeszczeciemniej.

17.

Mój prześladowca wraca, jest zadyszany.
Prawie czuję jego wściekłość.
Zagląda w znane nam z zabaw kryjówek.
Nie przychodzi mu dogłowy, żeby zajrzeć pod schody.
Nikt o zdrowych zmysłach nie schowałby się w tak odkrytym miejscu.
Wychodzi z hali.
Słyszę odgłos oddalających się kroków.
Kameleon zamienia się w kota.
Skradamsię, stawiając miękki łapy bezszelestnie, ostrożnie.
Docieram do drugiego wyjścia z hali, Długo to trwa.
Ale koty to cierpliwe stworzenia.
Od ściany do ściany, z cienia w cień, docieram do dziury w murze.
Nie mogę wrócić do domu.
Wiem, czuję, że czeka tam na mnie Gerard.
Jeżeli złapie mnie dzisiaj.
Ruszam na przystanek tramwajowy.
Jestem teraz sowa, świetnie widzę w ciemnościach i w swej mądrości nie potrafię zrozumieć
ośmiolletniego chłopca, który porzywa się na o ponad rok starszego zabijakę w obronie kogoś,
kto nigdy nie obdarzył go dobrym słowem.
Czekałem na tramwaj długo, przytulony do witryny jubilera.
Byłem już tylko przestraszonym szczeniakiem, chłopaczkiem drżącym na myśl o zemście
podwórkowego tyra.
Brat, który miał zaraz wrócić z lekcji pływania, mógł mnie ochronić dziś wieczór.
Jutro, pojutrze mogłem niewychodzić na dwór.
Ale co dalej?
Drżałem z emocji i strachu.
Pierwszy raz stanąłem przed problemem, który przerastał moją wyobraźnię.
Przyjechała "piątka".
Mateusz wysiadł jako pierwszy.
Nie było między nimi zbyt dużej miłości, a już szczególnie Mateusz nie lubił okazywać uczuć
przyobcych.
Miał czternaście lat i wstydział się "słabości".
Tymczasem ja rzuciłem się na szyję niemal z płaczem.
- Tomek, co ty!
Uspokój się.
Wszyscy widzą!
Odepchnął mnie, odsunął od siebie.
A ja byłem tak szczęśliwy, że niemal nie pocałowałem go w rękę:
- Matuszek, już nie będę.
Ale pójdziemy razem do domu.
Bowieś, Dżery.
- Znowu bawiłeś się tym powsinogą?
Przecież mama ci zabroniła.
Tomek, doigrasz się!
18
- Matuszek, już nie będę.
Ale dzisiaj.
- No, chodź już.
Co tak marudzisz?

Z trudem dotrzymywałem mu kroku.
Wyrósł przez ostatni rok.
Wydawałmi się prawie mężczyzną.
Chłonałem poczucie bezpieczeństwa, jakie roztaczał wokół siebie.
Byłem teraz małym psiakiem.
Szedłem obok wielkiego bernardyna, który machnięciem łapy mógłby złamać każdemu kark.
O potężną pierś mego obrońcy rozbiły się wszelkie przeszkody.
Gdybym mógł, merdałbym ogonem.
Miałem nosa.
Gdy dochodziliśmy do furtki, zobaczyłem Gerardaz Czapa, jak robią w tyłzwrot i znikają w krzakach.
Mateusz był pozaich zasięgiem.
W domu mama od razu zauważyła dziurę w spodniach.
Zacząłkrzyczeć i pomstować, jak to ona.
Gdyby którekolwiek z nas brało jejpogróżki na poważnie, potrzebowałibyśmy psychoterapeuty już w wieku pięciu lat.
Mama uwielbiała robić dużo hałasu o nic.
Grozić.
Wymyślać straszne kary.
Bywało też, że wprowadzała je w życie.
Zazwyczaj jednak tylko obrywaliśmy kuksańca lub dostawaliśmy mocnego klapsa w tyłek.
Wystarczyło wtedy się rozpłakać, aby już w następnej chwili utonąć w matczynych objęciach, zostać obcałowanym i wyściskany.
Tego wieczoru słuchałem jej utyskiwań niemalz przyjemnością.
Zamieniłem się w grzeczną dziewczynkę, która stłukła kolano, wracając z niedzielnej szkółki, bo zachciało jej się poskakać ze skarpy nad rzeką.
Teraz zbierałem burę i gotów byłem już nigdy nad rzekę nie chodzić.
Na stole czekała kolacja.
Paulina, moja dwunastoletnia siostra, zaganiała do niej najmłodszego brata, czteroletniego Michała.
Samabałasę jedzenia jak ognia, a zajmując się Michałem, często unikała nadzoru mamy nad własnym posiłkiem.
Ale karmienie malucha nienależało do przyjemności:
- Zjedz kanapeczkę.
Patrz, żółty serek, taki jak lubisz.
- Nie zje.
- Michałek, ugryź raz, porządnie.
19.

- Nie uglyzie.

-No, usiądź wreszcie.

- Nie siądzie.

My z Mateuszem dorwaliśmy się do zastawionego stołu jak wariaci.

Onpopływaniu zgłodniał jak wilk, a ja nic nie miałem w ustach obiadu, na który była znienawidzona czernina i "leniwe".

Michał w końcu pozwolił sobie naładować do buzi chleba.

- Michał, no, gryź!

- denerwowała się Paulina.

- Pseciez glyzie -odpowiadał malec z poważną miną, wpatrzony w kredens.

Mama skakała wokół nas, dokrawała chleba, sera, kiełbasy.

Zawsze opowiadała nam wtedy jakąś historię czasach, gdy była młoda i nie miała żadnych obowiązków.

- A teraz widzicie, co mi zostało?

Tylko sprzątanie, zmywanie, pranie i żadnej od was pomocy.

Żadnej wdzięczności.

Spodnie do załatania- i nawet przepraszam się nie mówi.

W skarpetach same dziury.

Rajtuzy poprzecierane.

Paulina, ty nic nie zjadłaś!

Chodź tutaj.

- Mamo, zjadłam dwie kanapki z kiełbasą.

-Podejź do mnie.

Chuchnij!

Paulina, ociągając się, podeszła do mamy.

Była drobna i szczupła, co nie znaczy, że się nie odchudzała.

Jadała, owszem, na przykład słodycze.

Ale żeby napychać się chlebem?

Otworzyła usta.

- Kłamiesz, pannico - mówiła mama, wachając.

- Kiełbas jest z czosnkiem.

Nic nie jadłaś.

- Jadłam z pomidorem.

Sama jadłaś z czosnkiem, mamo, tonieczujesz.

- Tylko bez wymądrzania!

Siadaj tu i jedz.

- Położyła przed nią grubą pajdę chleba z żółtym serem.

- Mogę ci też ugotować jajko.

- To ja już zjem z serem.

- Aniodrobiny wdzięczności, pokory.

Jesteście tacy krnąbrni.

Nawet jedzenie chcecie.

Myślicie, że to tak łatwo przygotować wszystko dla takiej czeredy?

20

- Ja mogę zjeść za Paulinę- wyrwałem się głupio i niepotrzebnie.

-Ty się dzisiaj lepiej nie odzywaj.

Następnym razem zostawieć taką dziurę i poprawie pasem.

To rola ojca, wiem, ale w tym domu wszystko jest na mojej głowie.

Co ja z wami mam!

I znikąd pomocy.

Michał, zostaw to!

Próbowała złapać malca zeskakującego właśnie ze stołka, po którym dostał się do schowanych w kredensie cukierków.

- Nie zostawi, nie zostawi.

Był już w korytarzu i skręcał na schody, gdy poślizgnął się naszymi przewrócił. Odrazu wybuchnął płaczem, ale mama już była przy nim i go pocieszała.

- Nie płacz, kochanie.

Nic się nie stało.

Chcesz cukierka?

Patrz, potoczył się aż pod schody.

No, grzybek mamusi nie będzie już rozpaczał, tak?

- Będzie grzybek!

Paulina w tym czasie schowała swoją kanapkę do jednej z szafek.

Nakarmiła później psa.

Była na tyle porządna, że nigdy swojego jedzenia niewyrzucała, zawsze próbowała je jakoś wykorzystać.

Michał, z cukierkiem w buzi, przestawał już pochlipywać.

Po chwili wszyscy ruszyliśmy na górę szykować się do spania.

Dzieliłem pokój z Michałem.

Nasze zasypianie często się przeciągało, boprowadziliśmy dyskusje nadprawami własności do różnych zabawek.

Kiedyś należały do mnie, toteż ciężko mi było patrzeć, jak malec je niszczy, łamie, rozbija.

Ale on miał silną broń w gardle i dlatego nierzadko ustępowałem pod groźbą tych decybeli, szczególnie już na niewielkie ich natężenie od razu przybiegała mama.

Wprawdzie niechętnie, oddawałem mu jednak, a to bębenek, a to drewnianego pajaca, pozbawioną prawie strun raketkę do badmintonu czy plastikowy samochód bez jednego koła.

Tylko swoich żołnierzyków pilnowałem jak oka w głowie: stały ukryte na najwyższej półce.

Ale jeszcze kilka miesięcy wcześniej bywało i tak, że Michał przychodził do mnie do łóżka i prosił:

21.

- Pooglądaj mi książeczkę.

Wtedy mogłem wymóc na nim różne obietnice, których on nigdy nie dotrzymywał, a i ja o nich następnego dnia zapomniałem.

Zdarzało mi się też zasnąć w moim łóżku przy "pooglądaniu książeczki".

Za pierwszym razem zwołałem pomoc mamę, ale ona tylko mniezbeształa:

- Nie wyciągaj go z łóżka.

Każdy ma spać siebie, bo inaczej to jest.

niehigieniczne.

Co wy myślicie, że ja będę was popięć razypakować do łóżek?

Tak więc następnym razem, postępując i sapiąc, bo Michał był słusznej postury, sam zaniósłem go z powrotem na miejsce.

Po pewnym czasie, aby się tak nie męczyć, rozkręciłem boczną ściankę łóżeczka brata i tamtędy pakowałem go pod kołdrę.

Wszystko szło dobrze aż do czasu, gdy mama, ścierając kurz w naszym pokoju, oparła się nogą o brzeg łóżeczka.

Ścianka usunęła się, a mama wyładowała na podłogę, ze stłuczonym łokciem i wzrokiem mordercy.

Na szczęście jej złość skrupiła się natacie, który akurat nie był na wyjeździe musiał wysłuchać długiej tyrady na temat skali zaniedbania domowych mebli.

Ścianka łóżeczka została mocno dokręcona, a nasze seanse wspólnego oglądania książeczek skończyły się bezpowrotnie.

Coraz mniej się ze sobą bawiliśmy.

Michał wkraczał w wiek przekory, ja zaś byłem jeszcze zbyt mały, aby malca umiejętnie "obejść", więc nasze kontakty coraz częściej sprowadzały się do kłótni o stare zabawki tak rosła między nami raczej niechęć niż braterska miłość.

Następnego dnia po zabawie w chowanym dowiedziałem się od Cerkwina ciekawych rzeczy.

Kiedy wrócił do domu - a mieszkał piętroniczej od Marusi - przez sufit słyszał krzyki i odgłosy trwającej tam awantury.

Późnym wieczorem tata Marusi, pan Krzepacki, urzędnik administracji spółdzielni mieszkaniowej, ruszył do rodziców Gerarda, mieszkających w starej kamienicy, która, podobnie jak nasz dom, nie została jeszcze wyburzona pod teren na nowe bloki.

Wiesiek wymknął się z domu i razem z Kurą poszli za nim.

22

Edmund Przybora dużo pił.

Jedynie na to nie żałował pieniędzy.

Dodziś niewiem, czego oni żyli, za co wyprawiali te wszystkie biesiady.

Żadne rodziców Gerarda nie pracowało nigdy dłużej niż kilka tygodni.

Jego matka, pani Gertruda, piła razem z mężem i niczym na stałe się nie zajmowała.

Teraz sobie myślę, że kiedy wychodziła czasem wystrojona!

"do miasta", to może właśnie wtedy "zarabiała" na życie?

Była postawna i dorodna, pewnym typom mogła się podobać.

Ale nie wiem, jaka była prawda.

Przypuszczam raczej, że pan Edmund po prostu kradł, ale w sprytny sposób, bo nigdy nie kręciła się koło nich milicja.

Tego wieczoru w mieszkaniu Przyborów również trwała popijawa.

Pan Krzepacki źle trafił.

W odpowiedzi na swoje pretensje o zachowanie Gerarda usłyszał tylko wiązkę najgorszych wyzwisk, a gdy dalej nie ustępował, został wreszcie zrzucony ze schodów.

Złamał sobie zebro i Cerkwin z Kurą pomagalimu dojsć do mieszkania.
Przyjechało pogotowie i zabrało pana Krzepackiego do szpitala, bo lekarz podejrzewał też wstrząśnienie mózgu.

To nie koniec.

Gerard, niczego nieświadomy, wrócił do domu i trafił na straszny humor ojca, bo za wcześnie skończyła się wódka.

Dostał potężne łanie.

Przez kilka najbliższych dni przemykał się chyłkiem, nikomu nie chciał pokazać rozmiarów swych obrażeń.

W ten sposób zapomniał o moim zuchwałstwie i rzeczą całorozmyła się pod wpływem łitościwego upływu czasu.

Gorzej było z Marusią.

Straciła pewność siebie i nie zachowywała się już agresywnie i wyzywająco.

Rzadziej wychodziła na dwór, bawiła się ostrożnie, spokojnie.

Unikała wszystkich, którzy byli świadkami tamtych zdarzeń.

Nigdy więc nie doczekałem się od niej podziękowania.

Zresztą czy ono mi się należało?

Coraz rzadziej nazywano ją Marusią.

Ta mała zielona liszka zabiła jej indywidualność, stłamsiła charakter.

Taka mała liszka.

23.

Odwracam się na drugi bok.
Rama łóżka jest pomalowana białąfarbą.
Nie jestem pierwszym, który spędza tutaj noc, nie mogąc zasnąć.
Jednego z moich poprzedników poniosły artystyczne ambicje i wyskrobał w lakierze całkiem zgrabnego fallusa.
Nie jest to jedyne dzieło.
Są też jakieś inicjały, numer telefonu i nawet niedokończony wierszyk:
 Leżysz wale a ja staletwoją.
 Wpatruję się w fallusa.
Przypomniał mi dawną, odległą scenę.
Stoję obok Gerarda i Cerkwina.
Sikamy namur.
Za murem jest fabryka.
A Gerard każe nam sikać tak mocno i daleko, jak tylko potrafimy.
Ja mam prawie sześć lat, tak samo Cerkwin.
Gerard chodź już do szkoły.
Jest dla nas wielkim autorytetem.
Podziwiamy go prawie za wszystko.
Trochę się go też boimy, bo potrafi być dziki i nieobliczalny.
Teraz też sika znas wszystkich najdalej.
Ma najmocniejszy strumień.
Może stać krok dalej od muru niż my, a i tak moczy stare cegły.
Później robi coś dziwnego ze swoim siusiakiem.
Naciągając go pozwala wyskoczyć na wierzch śmiesznej, różowej pesteczki.
Widząc nasze zdumienie, mówi:
 - Co, maluchy?
Nie umiecie tak?
Spróbujcie, to nie boli.
No, Babol, dawaj.
 Nieśmiało, ostrożnie naciągam skórę i spomiędzy palców wyskakuje taki goły błądy orzeszek.
Na czubku ma szczelinę.
Czerwoną.
Wąską.
Troszkę mnie zabolalo.
 - Widzisz, Babol?
Nic nie boli.
 On zawsze tam był?
Taki nagi, bezbronny.
Ale śmieszny.
Zastanawiam się, czy można go dotknąć palcem, czy nie pięknie przy tym jak mydlana bańka.
 - O, ja też.
- ucieszył się Wiesiek, wyluskawszy również swojego żółdzącego skórzanej torebki.
24
 Ten Gerard jest największy.
Taki czerwony.
Jakby mocniejszy.
Ale mój nie jest najmniejszy.
Wiesiek ma naprawdę mikroskopijny.

Taką miniaturkę.

Chwilę patrzymy, porównujemy.

- No już, chłopaki.

- Gerardzgrabnie naciąga napletek na miejscei chowa przyrodzenie w spodnie.

Nie nosił majtek.

Cerkwin też uporał się szybko, mnie zaś w palcach coś napęczniałoi nie chciało wrócićna miejsce.

Dopieropalcem drugiejreki muszę sobie pomóc, wepchnąć prawie na siłę.

Ta scena jest we mnie wciąż jak żywa.

Kolejne zdarzenia nibyteż, tylko.

Ganialiśmy dalej po podwórku.

Kiedy sikałem przed obiadem, poczułem, że coś mi przeszkadza, ale nie zwróciłem na to szczególnejuwagi.

Kiedyjednak spróbowałem wysiusiać się przed kolacją, bólbył już taki, że wstrzymałem mocz.

Siedziałem przy stole istarałem się o wszystkim zapomnieć.

Lecz parcie na pęcherz zwiększało sięz każdą minutą.

"To nic nieboli" - kołatały mi pogłowie słowaGerarda.

Gdy wreszcie ruszyłem do toalety, było za późno.

W połowie drogi,jeszczew kuchni,zsikałem się w majtki.

Mama natychmiast to zauważyła i strasznie mnie zbesztła.

A jasię rozbeczałem, bo nadalpiekło i bolało mnie tak samo, jak wcześniej w kibelku.

Mama zaprowadziła mnie za ucho do łazienki.

Zdjęła mi spodnie, majtkii zabrała się natychmiastza pranie.

Ja, dopołowy goły, stałemprzerażony.

Chlipałem.

- Taki duży chłopiec, za rok do szkoły!

To nawet Michałek jużw majtki nie robi.

Wstydz się, Tomek.

Co ja ojcu powiem?

Doszkołycię pewnie nieprzyjmą, jeżeli to się będzieczęsto powtarzać.

Co takstoisz?

Ruszaj po nowe majtki!

Zaraz,która to godzina?

Już po dziewiątej!

Chodź tu, do mycia.

Co tak pokraccnie chodzisz?

Dopierowtedy mamę coś tknęło.

Obejrzała mojegoptaszka, całegoczerwonego i spuchniętego.

I zaczęłosię.

Zaparzyła rumianek.

Musiałem wytrzymać przemywanie.

Krzyczałem z bólu-.

Przyszedł tata i też

25.

asystował przy zabiegu, ale nic nie mówił.

Za to mamie nie zamykały się usta:

- To nikt ci nie powiedział, że brudnymi paluchami tam nie wolno majstrować?

To grzech!

Oddzisiaj maszmyć ręce co godzinę.

Sama będę sprawdzać.

A jak brudne, dam po łapach.

Żebyś mi się tam więcej nie dotykał - mówiła, smarując mi ptaszka jakąś maścią przy wtórce moich wrzasków.

Krzyczałem już nie tylko bólu, ale i zestrachu.

Nie pozwolono mi przed spaniem nic pić, aby sikaniem w nocnyne osłabić działaniamaści.

Mateusz z Pauliną szeptali cały czas między sobą i chichotali.

Wiedziałem, że zemnie.

Poszedłem spać bardzo nieszczęśliwy, ukradkiem łykając łzy.

Nie mogłem zasnąć.

Wtedy dzieliłem już pokój z Michałkiem i serdecznie go w tym okresie nie cierpiałem.

Mama jak co dzień kładła gosać, cała w uśmiechach, nieszczędząc mu całusów i pieszczot.

Mnieprawie nie powiedziała dobranoc.

Nie dostałem nawet całusa w czoło.

A Gerard mówił, że to nic nie boli!

Ciężki strach przygniatał mi pierś.

Czy to już będzie zawsze tak piekło przysiusianiu?

Czy będę odtąd ław majtki?

Czy Paulina opowie wszystkim dzieciom z podwórka?

Nasz dom zbudowano w latach dwudziestych.

Stał na zakręcie drogi, która dalej prowadziła do ruin starej fabryki.

Blżej miasta, natej samej ulicy po drugiej stronie, stały dwie dziewiętnastowieczne kamienice.

Tam mieszkał Gerard.

A do tych kamienic już przybliżało się nowe osiedle.

Najbliższy blok stał dwieście metrów od naszej bramy dzieci stamtąd, my oraz dzieciaki z kamienic bawiliśmy się częstorażem na terenie między blokiem a ulicą.

To było nasze podwórko.

Jego koniec wyznaczał mur fabryki.

W jej ruinach nie pozwalano nam się bawić.

Jednak magia wyszabrowanych hal, budynków straszących mrocznymi wnętrzami wietrza dnia, sterty gruzów, pognitych desek, rdzewiejące maszyny, spomiędzy których wyrastały chwasty i przedziwne zielska o mięsistych liściach - ten czar działał na

26

nas nieodparcie i mimo zakazów oraz srogich kar tam właśnie bawili'smy się najczęściej najlepiej.

A teraz wszyscy mieli śmiać się ze mnie aż do dnia sądu ostatecznego.

Och, jak ja wtedy chciałem, żeby Chrystus zstąpił na ziemię następnego ranka!

Uchyliły się drzwi.

Wszedł ojciec.

Najpierw skierował się do łóżeczka Michała.

Malec już spał.

Cały drżałem.

Ze strachu, że do mnie nie podejdziesz; również ze strachu, że podejdziesz.

- Śpisz już, Tomeczku?

-Nie śpię.

Przysunął sobie krzesło i usiadł ostrożnie kołomojej amerykanki.

Ojciec odwielu lat częstowyjeżdżał.

Był muzykiem.

Rozrywkowym.

Grywał na promach, statkach.

W Finlandii, Szwecji grywał w restauracjach.

Trzy miesiące go niebyło, potem miesiąc siedział w domu, czasami dłużej, i znowu ruszał w trasę.

Teraz wiem, że próbował kilka razy namówić mamę na wyjazd z dziećmi, może na stałe, może na rok, dwa.

Pewien zaprzyjaźniony właściciel knajpy w Imtrze proponował mu przyjazd na rok.

Granietaty mu się podobało i opłacało, bo ojciec sam robił za cały zespół.

Również śpiewał.

Ale mama nie chciała nawet słyszeć o wyjeździe z Polski.

Nie znała żadnego obcego języka i nie zamierzała się go uczyć.

Powtarzała zawsze to samo:

jakby Bóg chciał, żebym była Szwedką albo Finką, to bym się tam urodziła.

Mnie w Polsce jest dobrze.

Zawsze kiedy widziałem w telewizji piosenkarza albo piosenkarkę, zastanawiałem się, czy tata śpiewa tak samo.

Bo w domu nie śpiewał, nie ćwiczył i ja nigdy, aż do jego śmierci, nie usłyszałam ani jednej piosenki w wykonaniu ojca.

Gdy był znamiw domu, niewiele się zmieniał.

Rzadko zauważaliśmy jego obecność.

Pozwalał rządzić mamie, prawie do niczego się nie wtrącał.

Grzecznie wykonywał jej polecenia, zgadzał się na wszystkie plany, wykonywał drobne prace domowe.

Później również pilnował moich ćwiczeń na skrzypcach.

Teraz mi się wydaje, że zawsze czekał na kolejny wyjazd.

- Boli cię jeszcze?

-Już prawie nie - skłamałem.

- Nie przejmuj się.

Możejeszcze jutro będzie trochę piekło, a później nawet ślad nie zostanie.

Tylko musisz uważać, żeby nie dotykać się tam brudnymi rękami.

Wiesz, mnie też się coś takiego zdarzyło, jakbyłem chłopcem.

Pamiętam ten ból.

Ale mojamama, a twoja babcia, poradziła sobie z tym szybko.

Takjak mama.

I nie ma się czego wstydić.

Trzeba tylko pamiętać, żeby myć ręce.

Bawisz się jeszcze tą kolejką, tą drewnianą?

- Bawię się - znów skłamałem.

Kolejkę dostałem od ojca ponad pół roku temu, kiedy wrócił z wyjątkowo długiego wyjazdu.

Nie była zła.

Tylko strasznie długo trwało jej rozkładanie, a później trzeba było pilnować, żeby Michał nie zepsuł całej roboty jednym machnięciem ręki.

- Jutro ją sobierozłożymy i razem pojeździmy.

A teraz już śpij i nie przejmuj się swoim siusiakiem.

Wszystko będzie dobrze.

Trzeba tylko myć ręce.

Wstał.

Pocałował mnie w czoło, a ja objąłem go za szyję i mocno uścisnąłem.

Patrzyłem jeszcze, jak poprawia koldrę Michała, gasi nocną lampkę i wychodzi.

Do dziś pamiętam, że wdrzwiach westchnął ciężko, pokręcił głową.

Był dość otyły, wręcz gruby.

Pewnie wzdychał, bo pochylanie się nisko nad dziecięcym łóżeczkiem sprawiało mukłopot.

Następnego ranka nie było tak źle.

Przy sikaniu lekko szczypało, ale wiedziałem teraz, że to nic groźnego, że mojemu tacie też się kiedyś coś takiego przytrafiło, i żyje.

Unikałem tylko siusiania na dworze przez jakiś miesiąc.

I myłem ręce dwa razy częściej niż zwykle.

Rozdział szkoły.

Federico, nie przejmuj się.

To się zdarza nawet o wiele młodszym mężczyznom.

Zrelaksuj się, odpręż.

Ćwiczyłeś kiedyś jogę?

Ja też nie.

Słyszałam o jednym bardzo dobrym nauczycielu.

W takiej sytuacji moglibyśmy zawsze pomedytować, zrobić jakieś ćwiczenie.

Co się tak krzywisz?

Tona pewno lepsze niż palenie papierosa.

Deborah i Gasparo ćwiczą jogę już trzy lata.

Ona mówi, że niedługo będzie umiała kwiat lotosu.

A ich mistrz potrafi pięć minut wytrzymać bez oddychania.

Deborah jest nim zachwycona.

Podobno obiecał jej pokazać takie ćwiczenie, po którym kobieta za każdym razem osiąga orgazm.

Czemutak patrzysz?

Oczywiście, mnie to niepotrzebne.

Jak jesteś w formie, to nie mam z tym najmniejszych problemów.

A Gasparo mówi, że w pracy potrafi się teraz zrelaksować w trzy minuty.

Staje pod ścianą na głowie, zamyka oczy i pogrąża się w medytacji.

Tylko kiedyś bardzo przestraszył swoją sekretarkę, jak pierwszy raz weszła w czasie jego odprężającego seansu.

To trochę śmieszne: zastać szefa stojącego na głowie pod ścianą.

Widzisz?

Już się śmiejesz.

Ale efekty Gasparo są znakomite.

A teraz wszystkie sekretarki przedza swoich ćwiczeniach i problem przestał istnieć.

Dlaczego tak często zmienia sekretarki?

Rzadko która podoba się Deborah.

Albo raczej: ta, która podoba się Deborah, nie podoba się Gasparo.

Co się tak dziwisz?

Jateż wolę, jak akompaniuje ci Dino, a nie Sofia.

Każda kobieta jest zazdrosna.

Tylko idiotka pozwalałaby mężowi zadawać się z inną!

Tak, tak.

Jutro też przychodzi Dino, bo ja od rana wychodzę porozmawiać

w sprawie ubezpieczenia skrzypiec.
Przecieżci mówiłam!
Chcą nato tournée po Polsce dodatkowych zabezpieczeń, czyli, oczywiście, większej składki.
W ich opinii Polska to krajłodziei.
Aprzecież jedną, z polskich królowych była Włoszka!
Ty też nie wiedziałeś?
Nie przejmuj się, to było jakiś czas temu.
Dino przychodzi odwunastej.
Sofiina razie damy odpocząć.
Nie podoba mi się, jak ona na ciebie zachłannie patrzy.
Powinnam się z tym pogodzić, że nie tylko dla mnie jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie, ale nie umiem.
No, uśmiechnij się.
Skoro ja nie robię z tego problemu, to czym ty się przejmujesz?
Przecieżsam też jesteś o mnie zazdrosny.
A jutro pojedziemy obejrzyć jeszcze raz naszą willę.
Umówiłam się z architektem.
Ma zaprojektować fontannę w ogrodzie.
Co się tak zżymasz?
Jesteśnajwiększym żyjącym wirtuozem.
Nie możesz mieszkać byle gdzie.
Nikt nie widzi, co jesz, ale wszyscy widzą, gdzie mieszkasz.
Gdybym wyszła za Mahmada, mieszkałabym teraz w pałacu!
Aleja ciebiekocham, mój ty słodki geniuszu, tylko ciebie.
Musisz się jednak liczyć tym, żeja to nie Claudia.
Mnie nie wystarczą dzieci, pieluchy i kuchnia.
Przymniemusisz byćnajlepszy.
Jedyny.
Wspaniały.
I osiągniemyto, zobaczysz!
Co myślisz o tej jodze?
Mnie też niechcesz się tylećwiczyć.
No iżebystać na głowie, musiałabym chodzić w spodniach, a tego nie znoszę.
Niech Deborah sobie uprawia te ćwiczenia.
Maszrację.
Niewiele jej to pomoże.
Jak się kiedyś strąbiła na przyjęciu, to samami powiedziała, że Gasparo często ma takie problemy jak tydzisiaj.
A jest przecież od ciebie dwa lata młodszy.
Odwróć się nabrzuch, pomasuję ci kark.
To czasami pomaga.
Deborah chodzi też na kurs masażu.
Prowadzi go niewidomy Hindus.
Podobno genialny.
Próbowała mnie zaciągnąć do niego, no wiesz, temoje bóle głowy.
Podobno mogą być spowodowane problemami z kręgosłupem.
Ale jakmi powiedziała, ile u niego kosztuje seria zabiegów, to zrezygnowałam.
A onnie zgadza się na jednorazowy zabieg, boto podobno nic niedaje.
Nie krzyw się.

Niemam dociebie pretensji, że jesteście teraz bez pieniędzy.
Przecież wiem, jak cię ta wiedźma oskubała, i wiem,
30
że pozwoliła na tylko zmiłoci do mnie.
Lepiej być biednym;'
i szczęśliwym, prawda?
Jeszcze będziemy bogaci, zobaczysz.
Na pew-;;'no.
A z tobą zawsze będę szczęśliwa!
No jak?
Lepiej po masażu?
Mhm, to może jednak zapiszę się na ten sam kursco Deborah?
To ja.
Tym razem dzwonię miasta, więc nie będę się rozgadywać.
Towarzystwo ubezpieczeniowienie robi problemu, chcą tylko podwyższonej stawki, bo
podobno tam u was strasznie kradną!
Nieźle, co?
Ale i z tym ,sobie poradzę.
Jeśli Pagart chce stradivariususa, toniech sam dopłaci do,;;
ubezpieczenia.
Już do nich dzwoniłam.
Zgodzili się!
Wszystkoidzie jakz płatka.
No właśnie, żebyście tylko wy, tam na miejscu, nie pokpilisprawy.
Żadnej amatorszczyzny, a wszyscy świetnie zarobimy.
Tak.
Towszystko.
Jak będą nowe szczegóły, to znowu zadzwonię.
Szkołę napoczątku bardzo lubiłem.
Chodziły do niej wcześniej "przebrane", przetestowane i chociaż było w mojej klasie
kilkuniezłych rozrabiaków, gdzie im tam do Gerarda lub Czapy z mojego podwórka.
Siedziałem najpierw w ławce z Piotrkim Kłaszem, chłopcem spokojnym, ale niezwykle
upartym i pedantycznym.
Potrafił kłócić się zemną o tak błahą sprawę jak to, ile zeszytów, ołówków i gumek mogło
pomieścić się na naszym blacie.
Wciąż poprawiał moją rzecz.
Czasami na złość robiłem mu bałagan i potem z uśmiechem wysłuchiwałem jego tytyskiwań.
Był to taki "stary malutki".
Kiedy w drugiej klasie zmieniliśmy salę, udało mi się zmienić też kolegę w ławce.
Usiadłem z Darkiem Rejwasem.
Obaj byliśmy bałaganiarzami i zadanie musiał poprawiać rzecz drugiego, bo na rozłożenie
własnych nie starczało nam czasu.
Darek był wesołym kompanem, o bogatej fantazji.
Często nie umiałem w jego opowieściach odróżnić prawdy od blagi, tak dobrze potrafił
jewymieszać.
Ja też próbowałem swych sił w zmyślaniu różnych historyjek, ale moje fantazje
Darek łatwo rozszyfrowywał, wyłapując szybko nieścis- "łości i przekłamania.

Idylla trwała ponad rok, aż wreszcie wychowawczyni zdenerwowała się naszym nieustannym gadaniem, bo nawet na lekcjach mieliśmy ciekawsze sprawy do omówienia niż dodawanie i odejmowanie, i rozsadziła nas.

Żeby wstyd był większy, każdy dzielił teraz ławkę z dziewczyną.

Darkowi się poszczęściło: siedział z Elą Paczkowską, która, chociaż była za wysoka, chuda i miała strasznie grube kolana, też lubiła rozmawiać i nawet jego potrafiła przegadać. Uwielbiała też szyć laleczki z kolorowych gałganków - nadawała im imiona i potem odgrywały teatryk.

No i Darek bywał na przerwach w centrum uwagi klasy, bo razem z Elą zarządzali kukielkowe przedstawienia.

Nauczycielka od prac ręcznych tak się nimi zainteresowała, że zorganizowała całą inscenizację z wymyśloną przez Darka i Elę fabułą.

Był w tej bajce złysmok, dobry chłopiec, który potrafił graniem na skrzypcach uspić bestię, i niewidoma dziewczynka, która smoka się nie bała, bogo niemogła zobaczyć.

Alenie miała dosyć siły, by śpiącej bestii odciąć głowę, więc smok się obudził i wziął ją do niewoli.

Wtedy mały skrzypek zwrócił się o pomoc do kowala.

Ten wykuł zaczarowany miecz, poszedł z chłopcem do jaskini smoka i gdy gadzina zasnęła pod wpływem piskliwego rzępolenia, jednym ciosem odciął mu obie głowy, bo trzecia, źle przyszyta, oderwała się tuż przed premierowym przedstawieniem.

Miałem i ja w tej przygodzie swój udział.

Już wtedy byłem najlepszym skrzypkiem w klasie, więc "robiłem za podkład" przysypiającym bestię przy muzykowaniu dobrego chłopca.

Ale cała brawa zbierali Darek z Elą, bo on historijkę wymyślił, a ona uszyła większość lalek (tylko przy smoku pomagała pani od prac ręcznych - chociaż niewiem, kto przyszywał głowy).

) i to oni we dwójkę całe przedstawienie odgrywali.

Jabyłem przez cały czas w tle, grałem za kotarą i kiedy wychodziłem się kłaniać razem z "aktorami", to nikt nie wiedział dlaczego.

Daliśmy chyba z siedem przedstawień, raz nawet winnejszkole, aż wreszcie skończył się rok szkolny i lalki poszły w zapomnienie.

32

Mnie trafiła się bardzo nieciekawa towarzyszkaw ławce - Joanna, o długim nazwisku, którego już nie pamiętam, bo jej właścicielka zaraz po trzeciej klasie opuściła szkołę muzyczną.

Przez prawie rok siedzenia razem nie powiedziała do mnie więcej niż pięć słów, a i tak większość z nich stanowił epitet "głupek", któremu towarzyszyło lekceważące wzruszenie ramion i wydęcie wąskich usteczek.

Dlatego nie żałowałem, gdy na początku następnego roku znowu siedziałem z chłopcem, Tadeuszem Rzychwą, który nie przypominał fantazją Darka, alenie był ani tak pedantyczny jak Piotrek Klasz, ani tak małomówny wyniosły jak Joasia.

Na początku czwartej klasy nasza dotychczasowa wychowawczyni poszła na urlop, najpierw macierzyński, później wychowawczy.

Pamiętam długie dyskusje w klasie, jakim cudem wychowawczyni potrzebuje urlopu wychowawczego.

Wietrzyliśmy tujakiś spiszek i mieliśmy rację.

Chodziło bowiem o oddanie naszej klasy wprost w pazury postrachuszkoły, pani Prezydentowej.

Była to osoba bliska emerytury, z siwymi włosami, cienkimi jak anielskie włosie, w okularach tak mocnych, że jej czarne oczy przypominały dwi dziury po karabinowych kulach. Nosła zawsze sukienki z grubego materiału, jedną ciemnoczerwoną, drugą granatową, w których miała mnóstwo kieszonek i schowków kryjących bardzo dziwne przedmioty. Najmniej dziwnym z nich była linijka, którą pani Prezydentowa "nauczała" nas tak matematyki, jaki polskiego.

Drobny błąd równał się jednemu uderzeniu linijką w spód dłoni, za gadanie na lekcji dostawało się podwójnie, a za prawdziwe wykroczenie szło się na środek sali, ale nigdy nie mogłem się doliczyć, ile wtedy tych pacnięć spadało na delikwenta.

Miał ten system dość pozytywny wpływ na liczbę drobnych przestępstw i wykroczeń; tacy jak ja czy Darek ze strachu ogółem przestali rozrabiać i po jakimś czasie pani Prezydentowa znęcała się wciąż nad tymi samymi trzema rozrabiakami, którzy byli nieuleczalni, a poza tym mieli widocznie słabą nerwioną dłoń.

Dwóch z nich nie zdało do następnej klasy, a trzeci ogółem wyleciał ze szkoły, bo z głównego instrumentu też dostał

dwóję.

Toteż w następnym roku większych kar prawie już nie wymierzano, a do pojedynczych kłopotów z czasem przywykliśmy.

Mnie też pani Prezydentowa dała się weznaki.

Chodziło o kaligrafię.

Miała do mnie pretensje oniewyraźne pismo, onadmierne zlewianie zesobą niektórych liter przy zupełnie nieuzasadnionym rozstrzeleniu innych.

Próbowałem się poprawić, wprowadzałem do swojego charakteru pisma różne modyfikacje, tyle że nie mogłem ich zapamiętać i ten brak regularności, w połączeniu z nadmiernym pedantyzmem pani Prezydentowej, sprowadzał na mnie co jakiś czas bardzo bolesne kłopoty.

Bo ja miałem bardzo dobrze unerwiony spód dłoni.

Aż któregoś dnia stało się.

Pani Prezydentowa zabrała mnie polekcjach do siebie, do domu, czyli do jaskini wszelkiego zła.

Twardy, kościsty uścisk jej ręki, gdy prowadziła mnie do tramwaju i przechodziliśmy przez jezdnię, był dla mnie zapowiedzią okrucieństw, jakich spodziewałem się po dotarciu na miejsce.

Drżałem ze strachu jakliś, prawie z miłością wspominałem wszystkie złośliwości Gerarda, Czapy i innych z podwórka, stojąc przed straganem z warzywami, przy którym moja prześladowczyni dokonywała zakupu porów, ziemniaków, marchwi i innych, całkiem niepotrzebnych do jedzenia świństw.

Wyobrażałem sobie, jak stoi w swejsukience, która nagle zrobiła się krwistoczerwona, nad wielkim garem, aż nie go bucha para.

Wrzuca tam co chwila marchewkę, ziemniaka czy seler, zaśmiewając się przy tym i patrząc przez swoje okulary na mnie, skulonego w kącie, rozebranego do nagi nacieranego surową kapustą przez dwa ciemne stwory o niejasnej etymologii, ale o długich pazurach i zakrzywionych rogach.

"Kapusta - mówiła znad garnka pani Prezydentowa, której włosy i ceraczerniały z minuty na minutę - uczyni cię miękkiem i chrupiącym".

Znaleźliśmy się nagle przed wielkimi drzwiami domieszkania w starej kamienicy, na których wisiała ozdoba tabliczka z napisem:

"Mec.

Tymoteusz Albin Perizenthoffz rodziną".

Pani Prezydentowa wyjęła pęk kluczy i zaczęła otwierać drzwi.

Liczba zamków i kluczy oraz stopień ich skomplikowania pozwoliły mi

34

zapomnieć na moment o wizji męczeńskiej śmierci.

Po chwili weszliśmy do przedpokoju, całego obudowanego drewnem.

Naścianach wisiały poroża niewielkich jeleni i łby niezbyt efektownych dzików.

Mówię to z wyprzedzeniem, w owej chwili bowiem nie wydawały mi się one wcale poślednie, lecz po zwiedzeniu jadalni i pozostałych pokoi w tym niezwykłym mieszkaniu zrozumiałem, że nie należą do najbardziej okazałych.

Największy z łbów dzika, tuż nad obrazem rozebranej grubej pani, siedzącej na drzewie strzelającej z łuku do sarenki, był chyba zedwa razy większy od głowy pana Przybory, ojca Gerarda.

Próbowałem sobie przez chwilę wyobrazić własną głowę, wysuszoną i wypchaną, jak wisi na ścianie, w kasetonie z ciemnego drewna.

Po krótkim namyśle stwierdziłem, że jestem bezpieczny, bo nawet w Idbelku nie prezentowałbym się wystarczająco efektownie.

Gdybym miał chociaż wampirzekły, to może jeszcze.

Na razie jednak zostałem zaprowadzony do pokoju pani Prezydentowej, którego jedyną myśliwską ozdobę stanowiłaskóra łosia, rozłożona przed ogromnym biurkiem. Posadzono mnieza mało efektownym stolikiem z zadaniem przepisania jakiegośkretyńskiego tekstu zaczynającego się od słów: "Pierwszego dnia po zapoznaniu damy.

". Nie rozumiałemz tego ani słowa, ale do pisania przyłożyłem się sumiennie, czując, że inaczej będę miał jutro spuchnięte dłonie.

W tym czasie pani Prezydentowa wyszła z pokoju, pewnie zanieść do kuchni kupione warzywa.

Wróciła po krótkiej chwili, przebrana w sukienkę identycznego kroju, tylko różową. Wyglądała dzięki temu prawie jak kobieta, chociaż stara i siwa.

Usiadła koło mnie i wtedy zaczęło się.

Aż dygotałemz przejęcia, kiedy przeglądała efekty moich wysiłków, podtykając sobie kartkę pod sam nos.

Zupełnie jakby chciała wywąchać z papieru charakter nie tylko mojego pisma.

- No tak, Tomku - powiedziała głosem zdecydowanie niewróżącym nic dobrego.

- Nie umiesz pisać.

To karygodne, że nikt o to dotychczas nie zadbał.

Coto za litera?

35.

Złośliwie pokazała fragment, gdzie akurat zadrżała mi ręka i teraz, żeby sam siebie odczytać, próbowałem zerknąć do oryginału.

- No widzisz!

Samnie wiesz, co piszesz.

- Jak to?

To na pewno "eł" albo może "te", chociaż.

To jest "i"?

- To doprawdy karygodne!

- Odruchowo schowałem ręce za siebie.

- Proszę, siadasz tutaj i nie wstaniesz, dopóki nie nauczysz się pisać prawdziwego "eł" i "te".

Z niejaka obawą wyciągnąłem rękę po długopis, ale widocznie linijka musiała zostać w granatowej sukience, bo pani Prezydentowa tylko złapała moją dłoń i starała się prowadzić mi palce po papierze.

Trwało to bardzo długo.

Po jakimś czasie mogłem już pisać sam.

Najpierw pojedyncze litery, a po godzinie dostałem za zadanie powtórne przepisanie tego samego tekstu.

Nagle stało się kilka rzeczy w jednym momencie.

Otworzyły się drzwi i wtargnął przez nie żółto-czerwony wichrz bojowym krzykiem w bardzo wysokim rejestrze.

Okrażył krzesło pani Prezydentowej cztery lub pięć razy, rozdzielił się na dwa mniejsze wietrzyki, z których jeden zajął kolana starszej pani, a drugi niknął mi na chwilę z polawidzenia, nurkując pod biurko i stamtąd śpiewając albo jodłując.

Nie umiałem rozpoznać.

- Och, wy moje kruszyny - zaszczebiotała nieswoim głosem pani Prezydentowa.

- Jak zawsze radosne i pogodne.

Wyjdź, Marcysiu, spod biurka.

Mamy gościa, nie zauważyłaś?

- Phi, chłopak!

- dobiegło z nad podłogi lekceważące prychnięcie, po czym Marcysia szybko podskoczyła do starszej pani i zaczęła ją obmacywać.

- A gdzie masz?

Zaraz znajdę!

Pani Prezydentowa wcale nie oburzyła się na taką poufałość, tylko zaczęła chichotać, a po chwili również dziewczynka z kolan przyłączyła się do poszukiwań.

- I tak nie znajdziecie.

Bez całusanic z tego.

- Izdjęła okulary, układając swoje wargi w śmieszny ryjek; całkiem niepotrzebnie, bo obie małe furie pocałowały ją w policzki.

36

Ale zdążyłem zauważyć, że pani Prezydentowa ma oczy prawie takie same jak wszyscy ludzie, i gdy zdejmie okulary, to wcale nie jest taka.

pani Prezydentowa.

- Jeszcze, jeszcze - dopominała się dalszych pieszczot.

- Najpierw cukierki - twardo postawiła sprawę Marcysia, starsza dziewczynka, wyglądająca na moją rówieśniczkę.

- A, tutaj były!

- zaśmiała się pani Prezydentowa, wyciągając szeleszczące papierki znikąd, jak prestidigitator.

- Niech babcia da - pierwszy raz odezwała się ludzkim głosem młodsza panienka, śliczna jak obrazek, z blond loczkami i niebieskimi dużymi oczami.

-A co to?

-zainteresowała się Marcysia moimi dokonaniem, wpychając sobie do buzi dwacukierki naraz.

- Phi, jakie bazgroły!

- No już, moje panny.

Teraz zostawcie mnie z tym młodym człowiekiem sam na sam.

Jak słusznie zauważyłaś, Marcysiu, on musi jeszcze popracować.

- Jeszcze jednego, babciu- zakwiliła wdzięcznie "obrazkowa" z czarującym uśmiechem.

-Ale to już po ostatnim.

- Włożyła dwacukierki do łapczywych rączek i wygoniła obie dziewczynki za drzwi.

-A to iskiereki boże.

Tak, tak.

No już, Tomku, do roboty.

Przełknąłem ślinę bardzo głośno, nie przedarłem się jednak przez rozmarzenie pani Prezydentowej, a nie miałem tyle śmiałości, aby zapomnieć się wprost o cukierka.

Bo i nie byłem iskiereką!

Następną godziną okazała się dlamnieistną katorgą.

Co chwila zerkałem na zegar, ale ten, jak na złość, wcale nie chodził, chociaż miał kukułkę, która wychylała się i chrząkała na potęgę co piętnaście minut.

Odcieżkiego bólu głowy wybawił mnie kolejny dziwny odgłos, nito dzwonek, ni to gong.

Pani Prezydentowa wstała znad moich włosów i powiedziała:

37.

- Teraz, Tomku, idź do łazienki umyć ręce i przyjdź do jadalni naobiad.
Bądź grzeczny, bo poznasz mojego syna, który jest mecenasem i nie lubi złego zachowania przy stole.

No, idź.

W korytarzu trafiłem od razu na Marcysię, która na moje rzeczowe pytanie, gdzie jest łazienka, odpowiedziała:

-Phi, dyletant.

Snob!

- Po czym przeszła w sposób bardzo dystyngowany trzy kroki, a potem puściła się biegiem ze zwycięskim chichotem, znikając za jakimiś drzwiami.

Naszczyście z innych drzwi wyszła w tej samej chwili jej siostra, wciąż śliczna i słodka, a za nią rozległ się charakterystyczny odgłos, który nawet w tym mieszkaniu brzmiał tak samo jak wszędzie.

Wysusiałem się więc, umyłem ręce dwukrotnie, w obawie przed jakąś niezapowiedzianą kontrolą, i znów znalazłem się na korytarzu.

Niepewny i zdeorientowany, przysiadłem na krześle koło telefonu i przyglądałem się dzikom i jeleniom, wciąż jeszcze nie zdając sobie sprawy, że są to sztuki małe i wybrakowane.

Ale nie o nich wtedy myślałem.

Rozważałem dwa, usłyszane właśnie, słowa: snopkojarzyłmi się nieodparcie z porą zniw, tylko nie mogłem nijak dopasować znaczenia do sytuacji.

No a dyletant?

W tym przypadku moje możliwości kojarzenia zostały wystawione na jeszcze trudniejszą próbę.

Podczas rozwiązywania tych lingwistycznych zagadek odnalazłam nie "cudnapani". Tak ją nazywałem, i chociaż już po chwili wiedziałem, że ma na imię Leokadia i jest mamą nieznośnej Marcysi i tej młodszej ślicznotki, Natalki, oraz żoną pana Tymoteusza, to bardzo długo w myślach nazywałem ją "cudną panią".

Była szczupłą i wiotką, ale energiczna.

Miała ciemne, krótko ostrzyżone włosy, isiwe oczy, pełnię ciepłej radości.

Cerę zdrową, z wyraźnymi rumieńcami na dość mocno wystających kościach policzkowych.

Ubrana w niebieską sukienkę, z wieloma pierścionkami na palcach obu rąk, z perłami naszytymi, była jak gość z innego świata.

I świetnie pasowała do tego dziwnego, dystyngowanego otoczenia.

38

- To ty musisz być Tomek, prawda?

Dzień dobry, Tomku.

Pewnie wiesz, gdzie jest jadalnia?

Chodź ze mną.

Słyszałam, że przepięknie potrafisz grać na skrzypcach.

Może zechciałbyś przynieść je z sobą, gdy nas powtórnie odwiedzisz?

Zaniemówiłem, bo co prawda myśl o kolejnej katordze z panią Prezydentową była mi co najmniej niemiła, jednak perspektywa zagrania czegoś dla "cudnej pani" wydała się kusząca.

- Z przyjemnością, proszę jaśnie pani.

-Coty, Tomku!

Nie jestem, jaśnie pani".

Mamna imię Leokadia wystarczy, jeśli będziesz do mnie mówił: proszę pani.

Dobrze?

- Byliśmy w jadalni.

To wtedy dopiero zrozumiałem, jak marne są poróżaw przedpokoju!

- O, usiądź tutaj.

Marcysia i Natałka zaraz przyjdą.

Marcysia jest prawie w twoim wieku, za ledwie rok starsza, na pewno się zaprzyjaźnicie.

Natałka, cóż, młodsza, to jeszcze trzpiot.

- Tak, proszę jaśnie.

proszę pani.

- Nie denerwuj się.

Poczekaj tutaj.

Muszę doglądnąć Safianowej, ona nigdy nie wie wszystkiego do końca.

Wyszła przez jedne z drzwi.

W tej samej chwili, drugimi drzwiami, wszedł mężczyzna.

I podczas gdy Leokadię nazwałem "cudną panią", jego przezwaniem "gbur", chociaż nie do końca słusznie.

Nie zauważył mojej przyczajonej obecności, usiadł hałaśliwie uszczytu stołu i zagłębił się w przyniesionej gazecie.

Nie oderwał się od niej nawet wtedy, gdy dojadali wtargnęły dwa meteory przebrane za dziewczynki.

Meteory kilka razy okrążyły stół, Marcysia raz przeczołgała się nawet pod nim, ale pośrodku, z dala od nóg "gbur".

Dopiero niesienie przez podstarzałą służącą wazy z zupą spowolniło ruch astronomicznych obiektów i uspokoiło ich orbity.

Nakierowały się na mnie i zajęły miejsca tuż obok, lecz już po chwili musiałem ustąpić swojego krzesła Marcysi, bo "od wieków na nim siadywała do konsumowania posiłków".

- Tobie, pchlarzu - epitet wypowiedziała szeptem, zerkając na pogrążonego w lekturze ojca - wystarczy zwykłe krzesło.

Patrz, moje jestrzeźbione!

39.

Rzeczywiście, coś mnie uwierało w plecy w czasie tych paru minut.
Dopiero teraz zauważyłem odtworzoną na oparciu krzesła scenę, a jakże, łowiecką.
To chyba rogi żubra tak mnie kłuły w łopatkę.

- Chętnie siądę na czymś wygodniejszym, panienko!

- Staraliśmy nadać swemu głosowi sarkastyczny ton, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to sarkazm.

- Phi, ważniak!

Patrzcie go!

- Spokój, dzieci!

- odezwał się "gbur", odłożywszy gazetę.

- Nie jest ważne, gdzie ktoś siedzi, tylko z kim!

I dlatego, Marcysiu, niemusz Tomka besztać za niezawinione przez niego błędy.

Jest u nas pierwszy raz i nie mógł wiedzieć, że to jest twoje krzesło.

Rozumiesz?

Twoje zarzuty są nielogiczne.

Gdyby ta sytuacja się powtórzyła, to.

Słuchałem go z otwartymi ustami.

Wątek zgubiłem już na początku, a przemowa trwała i trwała, dopiero wejście pani Prezydentowej razem z "cudną panią" i rozpoczęcie nalewania zupy przez Safianowę przerwało orację mecenasa Tymoteusza, vel "gbura".

W tej chwili zdałem sobie sprawę, że na talerzach jest gęstakasa manna pokrojona w kostkę, a Safianowa nalewa wszystkim pokolei rosół.

Moja reakcja na tę potrawę zawsze była taka sama.

Żołądek podjeżdżał mi do gardła.

Poderałem się więc rozpaczliwie od stołu:

- Ja.

Moja mama czeka na mnie z obiadem.

przecież!

Iść muszę.

do domu.

- Uspokój się, Tomku - pani Prezydentowa operowała swoim szkolnym głosem -
Twoja mama doskonale wie, gdzie jesteś i co tu robisz.

- Moja mama zgodziła się.

na to!

- mój wzrok odruchowo spoczął na talerzu, chociaż pomyślałem również o katogach stawiania kreseczki od "et" zawsze w tym samym miejscu.

- Tomku - "cudna pani" stanęła nagle przy mnie - ty pewnie nie lubisz rosółu z manna, tak?

Dziewczynki też za tym nie przepadają.

Tymciu - zwróciła się do "gbura", który już napychał sobie usta tym

40

pospolitym świństwem.

Możemy dzisiaj zwolnić dzieci z pierwszego dania, prawda?

I zanim zaskoczony mecenas zdołał coś odpowiedzieć, cała nasztrójka zerwała się na równe nogi od stołu.

Wybiegłem za dziewczynkami.

Nie miałem co prawda ochoty na towarzystwo Marcysi, ale nawet to było już lepsze od znieawidzonej manny.

Zresztą Marcysiazamknęła midrzwi do swojego pokoju tuż przednosem, toteż chcącniechcąc znów powędrowałem na krzeselkow przedpokoju.

Przez cały czas myślałem, że jestem przez panią Prezydentową porwany i chociaż w domu będę się mógł poskarżyć na takie traktowanie.

A tymczasem mama brała udział w spisku!

Ach, jakież to było smutne!

Na drugie daniewezwano nas bardzo szybko.

Marcysianie pobawiła się długo wsamotności.

A po obiedzie dalej wałkowałem z panią Prezydentową pisowniękresekw "te" i "eł", brzusków w "be", "pe", "de"i.

niepamiętamjuż w czym jeszcze.

Dopiero koło szóstej zostałem zwolniony.

Do tegoczasuzdażyłem się zakochać po uszy w "cudnejpani", która o piątejprzyniosła do jaskini lwa"ciastoze śliwkami, herbatę dla pani Prezydentowej i oranżadę dla mnie.

- Jak tam postępy naszego skrzypka, mammo?

- spytała, głaszcząc mnie po włosach.

- Czy wiesz, mammo, że Tomekobiecał mi koncertprzy następnych odwiedzinach?

- Jej ręce odruchowopoprawiałykołnierzyk mojej koszuli, wywołując u mnie rozkoszne dreszcze.

- Oj, będzie jeszcze musiał przyjść, będzie.

Postępów, droga moja, nie ma.

Nie każdymi te zdolności, co Tymoteusz.

- Och, mammo - poklepała mnie po policzku.

- On przecież będzie tylko

muzykiem.

Będzie ładniegrał na skrzypeczkach.

Ale postarasz się poprawić, Tomku, prawda?

Byłem tak przepelniony miłością, że z trudem potrafiłem potaknąć.

- A teraz wypij oranżadę i dalej do roboty.

Jaw ciebie wierzeiAha, mammo, zawozimy z Tymciem dziewczynki na balet, a Safianowajuz wyszła.

Niezamęcz chłopca.

41.

- Idź już, idź.

Ale ta ostatnia godzina, pod wpływem przyspieszonego bicia mego serca, upłynęła zadziwiająco szybko, a w tramwaju miałem przed oczami tylko JA, czułem wciąż na szyi dotyk JEJ rąk, do tego stopnia, że przegapiłem swój przystanek i musiałem kawał drogi przemierzyć z powrotem na piechotę.

Nic jednak niezdolało mnie wybić z transu.

Do końca czwartej klasy jeszcze kilka razy byłem "z wizytą" u pani Prezydentowej, bo moja kaligrafia poprawiała się stanowczo zbyt wolno.

Wymogłem na mamie, aby informowała mnie o terminie tych wizyt z wyprzedzeniem, i z każdym razem miałem ze sobą skrzypce.

Lecz zagrać dla mej lubej udało mi się tylko raz, przy trzeciej wizycie.

Przygotowałem godzinny program, bo z miłości zacząłem w domu ćwiczyć jak opętany, tymczasem po zagranii przez mnie pierwszego krótkiego utworku "cudna pani" wstała, zwichrzyła mi włosy i powiedziała:

- To wy teraz wracacie do pisania, a ja pojedę po Tymcia i dziewczynki.

Moje uwielbienie zostało zachwiane, ale jeszcze nie runęło.

W piątej klasie przeżyliśmy szalony kolarski.

Każdy wybrał sobie (niestety, drogą losowania, inaczej byłoby ponad dwudziestu Szurkowskich, siedmiu Szozdów i

pustka) zawodnika z polskiej drużyny 51 zbierał wszystkie dostępne o nim informacje.

Był to pomysł pani Prezydentowej.

Do dziś nie rozumiem, skąd u niej wzięło się tyle życiowego podejścia".

Zabawa była znakomita, przez czas trwania Wyścigu Pokoju chodziłem do szkoły jak na bal, chociaż mnie przypadł udział jeden z zawodników od czarnej roboty, nawet nie pamiętam już jego nazwiska.

Wiem tylko, że zakończył wyścig na dwunastej pozycji, jako ostatni z Polaków, i tylko raz otarł się podium, zajmując na którymś z etapów czwarte miejsce.

Moja wielka miłość trochę przygasła, bo i skończyły się wizyty w mieszkaniu

Tymoteusza Albina Perizenthoffa z rodziną.

Mogę jednak przysiąc, że to nie poprawa mojej pisowni była tego powodem.

42

A gdy skończyliśmy piątą klasę, pani Prezydentowa odeszła na emeryturę.

Na pewien czas urwały się kontakty z tym dziwnym, zwariowanym w moich oczach, domem.

Podczas trzech następnych lat w szkole nie działo się nic wielkiego.

Prawie co roku zmieniał się nam wychowawca, po szóstej klasie dość gruntownie przemieszano naszą klasę z tymi z "a", z którymi często przecież prowadziliśmy długie i zażarte boje na korytarzach.

Przez siódma klasę docieraliśmy się jako grupa.

Przyszła wtedy doszkoły piękna dziewczyna, Ewa Olecka, w której regularnie podkochiwalis się prawie wszyscy chłopcy.

Życie toczyło się sennie i leniwie.

Graliśmy na każdej przerwie w "nogę", także na lekcjach wuefu namawialiśmy pana, aby się nie męczył i po prostu dał nam piłkę, a my już sobie poradzimy.

Dopiero po pierwszym półroczu ósmej klasy doszło do znaczącego dla losu wielu uczniów zdarzenia.

A trochę wcześniej, na początku grudnia, pojawił się Teodor Kasprzycki.

Przez kilka tygodni wpadał na zajęcia szkolnej orkiestry symfonicznej, był na półrocznych egzaminach ze wszystkich instrumentów smyczkowych, często zaglądał do gabinetu dyrektora Jagody Kazimiery Jakowskiej. Po uzyskaniu sobie względów pani dyrektor traktował chyba jak priorytet, bo powiadano, że jest jej przybranym synem. A nie był to komplement!

Później gruchnęła plotka o wieloletnim pobycie Kasprzyckiego na Zachodzie. Mówiono nawet, że grał jako koncertmistrz w Concertgebouw. Ktoś inny ulokował go na pięć lat w Algierii i przypisał mu znajomość pięciu języków obcych, w tym jidysz, arabskiego i, to już zupełnie nie wiadomo dlaczego, gruzińskiego. Niektórzy chcieli w nim widzieć wysłannika Królewskiej Szkoły w Londynie, do której miał zabrać pięcioro najlepszych uczniów naszej szkoły. To po trochu wyjaśniało jego kontakty z Jakowską, które, według nas, nikomu nie mogły sprawiać przyjemności. Zostałem zwolennikiem tej ostatniej teorii, bo najbardziej działała na moją wyobraźnię i otwierała

przede mną (nie byłem zbyt skromny w samoocenie) niezwykłą zansę.

Sprawawyklarowała się lutym, gdy wróciliśmy z zimowych ferii.

W programie lekcji na następne półrocze część uczniów z naszej klasy miała nowy przedmiot - orkiestrę kameralną, zamiast zwykłej, symfonicznej, na którą obowiązkowo chodzili wszyscy.

Prowadzić ją miał Teodor Kasprzycki.

Zajęcia odbywały się popołudniami, co nie wywołało naszego entuzjazmu.

Niby dwa razy w tygodniu chodziliśmy na dziesiątą (tobył plus, jeszcze nikomunie zaszkodziło się wyspać), za to również dwa razy musieliśmy zostawać po lekcjach, od trzeciej do piątej.

Kręciliśmy nosami, wcale nam się tonie podobało.

Każdy miał wrazenie, że z dużej chmury zrobił się mały deszcz, i to skierowany na nasze biedne niewinne głowy.

Też byłem zawiedziony, bo przez ferie zacząłem już nawet uczyć się angielskiego, umiałem powiedzieć Good morning i How do you do, znałem też jedną odpowiedź: Thanks, I am terribly well (tu miałem pewne wątpliwości, bo tę wersję podpowiedział mi Darek, sam niezbyt biegły w angielskim), a wszystkie te zabiegi czyniłem po to, żeby na stypendium nie pojechać jak głupi baran.

A tymczasem - jakaś orkiestra.

Z naszej klasy grali w niej oprócz mnie: Ela Paczkowska, która nie była już wtedy za duża, a i jej kolana zyskały całkiem normalne proporcje; Darek Rejwas - okazał się całkiem niezłym skrzypkiem, może tylko trochę mało błyskotliwym, ale nadrabiał to sporym poczuciem humoru; Piotrek Kłasz - wyrósł na wielkiego chłopca, jeszcze wyższego ode mnie, był bardzo pedantyczny i dokładny, i pewnie dlatego grał na kontrabasie; Ewa Olecka - długowłosa i piękna wiolonczelistka, o dużej wrażliwości muzycznej; Danusia Majer - skrzypaczka grająca dość przeciętnie, za to zawsze z dużą dozą egzaltacji, i Tadzio Rzychwa, który rok wcześniej przeniósł się na altówkę i teraz, zamiast być ostatnim ze skrzypków, został wschodzącą gwiazdą nowego instrumentu.

W sumie siedem osób z mojej klasy.

Cała orkiestra liczy-

44

ła dziewiętnastu członków.

Dziesięcioro Teodor Kasprzycki dobrał młodszego od nas rocznika, dwie osoby zaś były o rok starsze.

Na pierwszej próbie atmosfera nie była najlepsza i nie wróżyła niczego dobrego.

Nieufnie patrzyliśmy na silniejszych liczebnie maluchów.

Z kolei starsza dwójka wyraźnie stroniła również od nas.

Czuliśmy się razem nieswojo i głupio.

Tak było do momentu, gdy nasalę wszedł Kasprzycki.

Natychmiast zarządził ustawianie pulpitów, krzesel, sam rozkładał nuty, poprosił w szymnie - po imieniu - o pomoc.

Kiedy scena była gotowa, wywoływał - także po imieniu!

- wszystkich nas, nie korzystając wcale z kartki.

- Ewa, proszę, siadasz tutaj - wskazał Oleckiej miejsce koncertmistrza wiolonczel.

- Masz tak ujmujący uśmiech, że prawie nie będziesz musiała grać!

- Zawstydził ją, a nas rozbawił, bo Ewa, jak to Ewa, od początku Kasprzyckiego próbowała oczarować.

- Teraz inna ważna pozycja.

Tomek, siadasz w pierwszym pulpicie, jako koncertmistrz, ale pamiętaj, stąd się u mnie łatwo wylatuje, a trudno na to miejsce wrócić!

Musisz się starać.

Ela, siadasz razem z nim chociaż może grasz nie gorzej od niego, to w naszej kulturze mężczyźni są zawsze górą.

Tylko płci z tego powodunnie zmieniaj!

I tak dla każdego miał dobre słowo, żart, uszczypliwą uwagę.

Zupełnie jakby nas znał od lat.

Pewny siebie, elegancko ubrany, starannie uczesany, pachnący dobrą wodą toaletową.

- Zebrałem was tutaj, aby zrobić rzecz wyjątkową, mianowicie:
młodzieżową profesjonalną orkiestrę kameralną.

Nie interesuje mnie szkolny poziom.

Nie.

Mnie interesuje tylko poziom najwyższy.

Wybrałem was dokładnie i uważnie, każdego z osobna rozpatrując jako członka całości, ale i jako wielką indywidualność.

Od początku stawiam sprawę jasno - zajęcia ze mną nie są obowiązkiem.

Kto chce, może w tej chwili wrócić do dużej orkiestry.

Niema problemu.

Ale w wrześniu mam zaplanowane dwa koncerty w Łańcucie, z trudnym, wymagającym programem.

W listopadzie będzie nagranie dla radia

45.

polskiej muzyki barokowej.

Uwaga: płatne!

Bo jeżeli chcę z was uczynić profesjonalistów, to muszę wam umożliwić zarabianie pieniędzygraniem.

Inna sprawa - nie będą to wielkie pieniądze, na to niepozwalają przepisy.

W grudniu koncertu, wszkole, później w filharmonii i przed Świętami jeszcze wyjazd do Szczecina.

Takie są plany na ten rok dla tych, którzy podejmą się pracy ze mną.

Byłemna próbiewaszej dużej orkiestry.

Od razu wam mówię - umnie będzie inaczej.

Niebędzie miejscadla leni, obiboków.

Tacy będą wylatywać.

No dobrze, nie chcę was straszyć.

Noto jak?

Kto chce grać ze mną?

Zostali wszyscy.

Rzeczywiście, bardzo szybko poczuliśmy się elitą, wybrańcami.

Nie znaczy to, że nie zdarzały się nieporozumienia, próby buntu, sprawdzanie granicy cierpliwości nowego profesora.

Gdzieś na początku marca pogoda była już prawie wiosenna, więc w przerwie ćwiczeń orkiestry wzięliśmy piłkę i w sześciu poszliśmytrochę pokopać.

Zziębni, spoceni, wpadliśmy spóźnieni na próbę, gdy reszta orkiestry dawno już grała.

Kasprzycki, widząc nas, przerwał, poczekał, aż czerwoni jak buraki zajmimy swoje miejsca, i powiedział:

- Bambliński, trzecia strona, od C.

Proszę!

Spocone palceślizgały się po gryfie, krew uderzała do głowy.

Niepotrafiłem nic zagrać.

- Starczy.

Stój, nie siadaj.

Rejwas, to samo miejsce.

Darkowi poszło podobnie.

- Starczy.

Też postój.

I tak, po kolei, odpytał wszystkichspóźnionych.

Tylkoostatni z nas, Marek Kożuszek, wiołonczelista, w ogóle coś zagrał, bo zdążył trochęochłonać.

Ale też nie zadowolili Kasprzyckiego.

Zostaliśmy zdegradowani.

Nagle znalazłem się w ostatnim pulpicie, razem z Darkiem.

Tak samo inni "futboliści".

A Kasprzycki zapowiedział:

- Stamtąd to już tylko korytarz!

Ana to nie mieliśmy ochoty.

46

Od pierwszych prób bowiem praca z Teodorem nas zafascynowała, wciągnęła.

Miał inne niż wszyscy nauczyciele podejście do swoich uczniów - wymagał jak od dorosłych, ale i poważnie nas traktował.

Odpytywał soloorkiestrowe partie, nieprzygotowanych mieszał z błotem albo nawet przesadzał do tyłu, jak wtedy nas, spóźnialskich.

Spaść stołka było łatwo, wrócić na swoje miejsce- ciężko.

Szybko zaczęliśmy orkiestrę traktować poważnie, prestiżowo.

Rywalizowaliśmy pochwały Kasprzyckiego, w których był bardzo oszczędny.

A nawet jak czasami wyraził się z uznaniem, zaraz dodawał "ale

".

Pilnowaliśmy się w grupach, potrafił, po odsłuchaniu na przykład pierwszych skrzypiec, powiedzieć:

- Pięknie!

Bardzo ładnie.

Zupełnie jak nałące.

Barany!

Salwa śmiechu reszty orkiestry była przykrą karą.

Innym razem przesłuchał drugie skrzypce:

- Jak ładnie.

Byłem ostatnio na wsi i chodziłem co rano posłuchać, jak muczą krowy.

Budzicie we mnie takie przyjemne wspomnienia!

Na pozycję koncertmistrza wracałem ponad dwa miesiące.

Ikiedy wreszcie usiadłem tam ponownie, bardzo się pilnowałem, aby nienarazić się na powtórny degradację.

A kiedy zaczęły się wyjazdowe koncerty, noclegi w hotelach, nagrania radiowe, kiedy koledzy i koleżanki spoza orkiestry zaczęli nanaś patrzeć z autentyczną zazdrością - wtedy naprawdę poczuliśmy się wybrańcami i nasz szacunek, nasze uwielbienie dla Kasprzyckiego stały się niezachwiane.

W szkole muzycznej obowiązują specyficzne relacje między przedmiotami ogólnokształcącymi a muzycznymi.

Otóż uczniowi dobrem na swoim głównym instrumencie wiele uchodzi bezkarnie.

Pewnie, nie można sobie pozwolić na jawne lekceważenie, po prostu uczyć się niczego.

Aż tak to nie!

Ale dobrego flecisty nikt nie wyrzuci tylko z powodu awersji do

niemieckiego, fizyki, historii i

temu podobnych.

Raczej nauczyciele tych przedmiotów będą okazywali trochę

47.

serca i zrozumienia dla trudnej doli muzyka i będą go przepuszczająca słabej trójce do następnej klasy.

Pewnie, bywają recydywiści.

Takichnikt nie lubi.

Zdarza się więc, że trzeba powtarzać klasę.

To zaś, zawsze jest szansa, bo a nuż zmieni się nauczyciel!

Inaczej mówiąc, była nasza szkoła, jak ją zresztą sami nazywaliśmy, "szkołą specjalną". A przed nami, członkami orkiestry Kasprzyckiego, otwierały się jeszcze lepsze perspektywy, bo Teodor był ulubieńcem dyrektora Jakowskiej, a jej sympatia dla niego w jakiś sposób służyła nam.

Dlatego członkowi kameralnej orkiestry czasami uchodziło nasucho to, zaco zwykły uczeń by "beknął".

Na przykład Darek Rejwas, wraz ze swoim oryginalnym poczuciem humoru, które kazało mi założyć zeszyt z powiedzonkami pani dyrektora Jagody Kazimiery Jakowskiej, zatytułowany "Złote myśli DżejKu Dżej".

Napierwszej stronie tego dzieła widniało takie oto zdanie, ogłoszone przez dyrektorkę wobec całej szkoły na apel, podczas plagi drobnych kradzieży w szatni:

- Nie wolno nikomu, pod karą złapania, z chwilą momentu dzwonka, chodzić po kieszeniach uczniów!

Nawet niektórzy nauczyciele nie wytrzymali wtedy i parsknęli śmiechem, co nie było zbyt rozsądne, bo Dżej Ku Dżej miała znakomite układy w Urzędzie Miasta i Kuratorium.

Sama dyrektorka była starszą już panią o niejasnym wykształceniu i kwalifikacjach. Jak to zwykle w takiej sytuacji bywa, potrafiła poprowadzić zajęcia z każdego przedmiotu. Prawdziwy człowiek renesansu!

Kiedyś zjawiała się nam na historii.

Barwnie i ze swadą opowiedziała nam o "Powstaniu Kościuszkiego", jak to poprowadził do boju "dziesięć tysięcy wojsk ciężarnych, a chłopom stało na sztorę wszystko, co popadło".

Innym razem poprowadziła z nami Przysposobienie Obronne.

Wzbogaciła zapiski Darko tak praktyczne porady, jak: "Po poligonie chodzimy się lewą stroną do spodu", albo: "Biegając po polu z noszami, staramy się jak najmniej uronić z naszych ofiar".

48

Pewnie dyrektorka słyszała o zeszycie, na pewno Darek nie był jej ulubieńcem, ale kto wie, może ratowała go właśnie przynależność do orkiestry Kasprzyckiego?

Miała nasza orkiestra piętę achillesową.

Kontrabas.

Poziom gryna tym instrumencie był niski i nawet najlepszy uczeń w szkole, Piotrek Kłasz, nie grał w sposób dla Kasprzyckiego zadowalający.

Naważne koncerty Teodor brał swojego kolegę, Stefana Gromnego.

Przyjaźnili się, kilkakrotnie byli razem na kontrakcie we Włoszech.

Gromny skończył Moskwę.

Z wyróżnieniem.

Jak na kontrabasistę, był drobnym mężczyzną, niewysokim.

Śmiesznie wyglądał, bo wyłysiał już (jak sam mówił) przed trzydziestką i miał ogromne wrażliwe oczy, które łysina w dziwny sposób jeszcze powiększała, isumiaste wąsy.

Chodził zawsze zgarbiony, a jego długie, mocno owłosione ręce kończyły się dłońmi wielkimi jak bochny chleba.

Lubił śmiać się, zarówno z siebie, jak i z innych.

Uwielbiał szokować zdecydowaniem i oryginalnością poglądów.

Często wykpiwał powagę Teodora, opowiadał wiele anegdotz życia orkiestrowego, z czasów koncertmistrzowania Kasprzyckiego w Włoszech.

Staraliśmy być na luzie, jakby był naszym kumplem.

Prosto: próbował dać się lubić.

Teodora natomiast szanowaliśmy.

To był początek jedenastej klasy.

Siedzieliśmy na lekcji chemii.

Popięciu minutach, gdy na tablicy pojawiły się absurdalne literki z cyferkami, gdy wpatrywaliśmy się w nie tępo, poszukując sensu w tych bażgrolach, rozległo się pukanie do drzwi.

Weszła dyrektorka Jakowska.

Za nią, uśmiechnięty, wpakował się

Gerard.

- Mam dla wszystkich niezwykle miłą nowinę.

Będziecie mieć w swojej klasie nowego kolegę.

Chłopca.

- Jakowska pogłaskała po ramieniu wciąż cukierkowato uśmiechniętego dryblasza.

- Gra na puzonie.

Uczy się pilnie na swym instrumencie dopiero drugi rok, ale osiągnął poziom gwarantujący.

Przyjmijcie go oklaskami.

49.

Już na sam widok Gerarda wystąpił mi na plecach zimny pot.

A gdy dotarły do mnie słowa dyrektorki, pociemniało mi przed oczami.

-Nazywa się Gerard Przybora.

Jest bardzo miły, chociaż taki duży

- mówiąc to, pani dyrektor zwichrzyła mulekko czuprynę, unosząc się przy tym na palcach, bo nie była kobietą szczególnie wysoką.

-Będzie na pewno grzeczny i dumna będę, że wzięłam go pod swoje skrzydła.

Tak samo mogłaby mówić oprzygarniętym psie albo kocie.

Tymczasem Gerard zachowywał się, jak na pupilkę przystało.

Podszedł do chemiczki, cmoknął ją w rękę, a później uściskał dłonie wszystkim obecnym w klasie.

Po kolei.

Dziewczyny też całował w rękę.

Kiedy doszedł do mnie, odzyskałem już natyle siły, aby wyciągnąć swoją prawicę.

Uściskał mi rękę z tym samym bezosobowym i ujmującym uśmiechem, nie zdradzając drgnieniem ani jednego mięśnia twarzy, że mnie poznał.

Usiadł koło Darka Rejwasa i lekcja potoczyła się dalej.

Rozdział przesłuchań.

Miesiąc po rozpoczęciu ostatniego, maturalnego roku w szkole, Kasprzycki przyszedł na jedną próbę wyjątkowo poważny:

- Muszę z wami porozmawiać jak z mężczyznami.

Nie szkodzi, że połowa z was to dziewczyny.

Męska rozmowa nie ma wpływu na wyznawaną płęć.

- Mówiąc, patrzył jak zwykle na Ewę Olecką, naszą pierwszą wiołonceлистkę, która Kasprzyckiemu nigdy nie szczędziła uśmiechu.

-Szykuje się wielka szansa.

We wrześniu przyszłego roku odbędzie się w Berlinie Zachodnim wielki konkurs młodzieżowych orkiestr kameralnych.

Program jest bardzo trudny.

Wymagający.

Część z was ma w tym roku maturę.

Za rok już będziecie studentami.

Ale to nie przeszkoda formalna.

Granica wieku wynosi dwadzieścia jeden lat.

Warunki jakby wymarzone dla nas, bo dwie osoby ze składu mogą być dorosłe.

Mogą być zawodowymi muzykami.

Czy lito będę ja i pan Gromny.

Wysłałbym nasz zgłoszenie, ale muszę od was usłyszeć, czy jesteście gotowi podjąć wyzwanie.

- Na nasz pełne entuzjazmu zapewnienia, na radosny gwar, jaki powstał po ostatnich słowach, podniósł rękę w uciszającym geście.

-Niewystarczająco zapewnienia.

Nie wystarczy entuzjazm.

I nie wystarczy taka praca, jaką wykonywaliście dotychczas.

Ja nie będę firmował swoim nazwiskiem niczego, co nie jest na najwyższym poziomie.

Powiem wam wprost.

Jeżeli uznam, że nie mam szansy zwyciężyć, nie pojedziemy.

A wy mi podpiszecie cyrografy, że na to wszystko się zgadzacie.

Okazało się, że najpierw trzeba wygrać przesłuchania ogólnopolskie, które miały być już w styczniu w Katowicach.

Tak krótki termin nam odpowiadał, bo dużą część programu mieliśmy gotową.

Koncertowaliśmy przecież już od ponad trzech lat.

Nikt nawet przez chwilę nie wątpił, że ten pierwszy etap przejdziemy bez problemów.

Skończyły się eksperymenty, degradacje za drobne grzechy (bo i grzechy przestały nam się zdarzać, samoczynnie niejako).

Zostałem oficjalnym koncertmistrzem, razem ze mną siedziała Ela Paczkowska, moją dziewczyną od ponad roku i rywalką od zawsze.

Koncertmistrz - to była teraz odpowiedzialna funkcja, bo związana nie tylko z samym graniem, ale i z tym, że Teodor powierzał mi często prowadzenie prób sekcyjnych i pracę nad intonacją wszystkich skrzypiec.

Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że mi tak ufa i wierzy w moje umiejętności, nie tylko jako skrzypka, ale też jako lidera.

Czułem się szczególnie wyróżniony.

Starałem się jak mogłem najlepiej, aby nie zawieść swego mistrza.

Nie było to trudne, bo wszyscy pracowaliśmy jak wariaci.

Próby odbywały się nawet cztery razy w tygodniu.

Ale mieliśmy poparcie dyrektorki, której bardzo imponowało to, że orkiestra z jej szkoły będzie reprezentowała Polskę na międzynarodowym konkursie.

Na tydzień przed przesłuchaniami pani dyrektor Jakowska zjawiła się we własnej osobie na popołudniowej próbie orkiestry.

Ćwiczyliśmy obowiązkowy utwór napisany specjalnie na konkurs przez współczesnego niemieckiego kompozytora o nazwisku Mollner.

Był trudny jak cholera, każdy miał oddzielną partię, niewdzięczną do grania, zarówno rytmicznie, jak i intonacyjnie.

A w całości wszystkie te szczegóły ginęły.

Każdy z nas miał wrażenie, że jakkolwiek by zagrał, to efekty tak będzie ten sam.

Żaden!

Ale Kasprzycki czuwał nad nami.

Wszyscy musieliśmy swój głos znać niemalże na pamięć.

Odpytywał nas bez litości po kilka razy w czasie próby.

Po pewnym czasie łatwiej już było każdemu grać to, co w nutach, niż improwizować.

52

Dyrektorka wysłuchiwała całego utworu, potem weszła napodest, uściskała Teodora jak syna i zwróciła się do nas:

- Kochani!

Tak pięknie gracie.

Moje wzruszenie jest do prawdy trudno opisać.

Gdybym je miało czegoś porównać, to do łez weterana, który widzi jasne czupryny małych dzieci, co je własną pierś, własną krew ochronił od najgorszego.

Od wroga, od Niemca, od niewoli.

- Aten Mollner to kto?

- teatralnym szeptem zapytał Darek Rejwas, nasz nadworny zgrywas.

Kilka osób parsnęło tłumionym śmiechem, pani Jakowska ciągnęła jednak niezrażona:

- Takich dzieci jak wy, pracowitych, wspaniałych i utalentowanych, nie jest nawet warto.

Znaczy, warto dla was ponosić trudy nauczycielskiego żywota.

Wzruszyliście mnie.

Panu, panie Teodorze, to zawdzięczamy.

Pańskiej pracy.

Szyzyfowej i niewdzięcznej, ale jakże to teraz brzmi!

- Jak cholera - skomentował nowu Darek.

- Niech pan pozwoli, niech pana ucałuję - i obcmokała zażenowanego Kasprzyckiego zdubeltówki.

- Ależ, pani dyrektor!

To niemoja zasługa.

To..

- I do tegojaki skromny.

Jak zajączek!

Panie Teodorze, aż mniewdołku, o tu, ściska ze wzruszenia.

- Chyba że to wyrostek!

- jeszczególniej zaszeptał Darek i tymrazem prawie wszyscy zaczęli krztusić się ze śmiechu.

- Co mówiłeś, Dareczku?

- Pani Jakowska znała Rejwasajak złyszelağ.

- Powiedz głośno, wszyscy będziemy się cieszyć.

- Pani dyrektor, ja po prostu podziwiam pani wrażliwość.

Bo mnieten knot, co go właśnie zagrałiśmy, tylko o mdłości przyprawia.

- Jak możesz tak mówić!

Kompozytor specjalnie dla was napisało.

dzieło.

To czarna niewdzięczność.

- Niech pani innych spyta, nikomu się to.

- Dosyć, Darek- uciał Kasprzycki.

- Dziękujemy pani dyrektor zapoparcie, za to, co szkoła dla nas robi.

Postaramy się godnie zaprezentować na eliminacjach.

Nie wiem, jak będzie wynik.

53.

- Aleja wiem!

Takiej drugiej orkiestry jak nasza nie ma!

- Dziękuję pani dyrektora zaufanie i wiarę w nasze możliwości.

Konkurs jednak rządzi się własnymi prawami.

- Jestem pewna, że wygracie.

Jeszcze raz uściskała Kasprzyckiego i ruszyła w kierunku wyjścia.

Kasprzycki nie spuszczał wzroku z Darka, więc obyło się bez dalszych komentarzy.

Gdy dyrektorka wyszła, zwrócił się do nas, patrząc wciąż tylko na Darka:

- Takie "dogaduszki" są bardzo efektowne, śmieszne i łatwe.

Tyleżekpiną niczego nie osiągniemy.

Zrozumieć panią dyrektor jest łatwo, i chociaż daleko jej do ideału, to jednak bardzo nam pomaga.

Dlatego ten, kto następnym razem tak się zachowa, nie będzie więcej u mnie grał.

Zrozumiano?

Nikt nie miał ochoty na dalsze komentarze.

Na szczęście nie zepsuło to atmosfery na próbach, jedynie Darek zaprzestał na jakiś czas swych złośliwości.

Do Katowic jechaliśmy pociągiem.

Pani dyrektor zafundowała nam podróż pierwszą klasą, sama też się z nami wybrała.

Kasprzycki musiał siedzieć razem z nią w przedziale, Ełę także spotkał ten zaszczyt.

Mnie się poszczęściło.

Przyszedłem na pociąg w ostatniej chwili i "dyrektorski" przedział był już obsadzony.

Znalazłem sobie wolnego miejsca razem ze Stefanem Gromnym, Darkiem Rejwasem i Ewą Oleką.

Ewa stała się jakby maskotką naszej orkiestry.

Miała długie, gęste blond włosy, które lubiła układać na wiele wymyślnych sposobów.

Jej łoki często spływały na krągłe, alabastrowe ramiona i obfite piersi, bo miała Ewa kształty prawdziwie dorodnej kobiety.

Nie przypominała w niczym wychudzonych charyzmat - modelek, do których starały się podobnić, zgodnie z trendami światowej mody, prawie wszystkie dziewczyny.

Kiedyś włożyła na koncert suknię z tak odważnym dekoltem ("Pożyczyłam ją od mamy" - usprawiedliwiała się później), że skonfundowała zupełnie Kasprzyckiego, gdy wszedł na dyrygencki

54

podest i rzucił okiem na wionczele.

Cała grupa wydawała się przysłonięta ponętym ciałem Ewy, świecącym z pierwszego pulpitu niby gwiazda.

Jej wielkie niebieskie oczy patrzyły na świat z domieszką dumienia, niedowierzania.

A gdy spoglądała na Teodora, zawsze miała na twarzy lekko rozmarzony uśmiech.

Kasprzyckiego jej uroda musiała wyraźnie fascynować, bo często i z przyjemnością na Ewę zerkał.

Teraz próbowała oczarować Gromnego, ale on, z nieodłączną metalową piersiówką przy ustach, nie wydawał się szczególnie wrażliwy na jej lekkie spojrzenia.

- Panie Stefanie - zaczął Darek - dlaczego nasz Teodor jest takim sztywniakiem?

- Mylisz się.

Wcale nie jest.

To typowy przykład, co z człowiekiem robi odpowiedzialność za innych.

Teoś to wspinały kumpel.

Ale jakby popuścił takim łachudrom jak wy, miałby sądny dzień, a nie orkiestrę.

Ty, Rejwas, jesteś najlepszym przykładem.

Ciebie trzeba trzymać krótkoza pysk, a i wtedy jeszcze podskakujesz.

- Ja Kasprzyckiego lubię.

Wszyscy go lubimy.

Ale po co on udaje, że dla Jakama szacunek?

Wszyscy przecież.

- Jak pożyjesz trochę dłużej, to przekonasz się, że niema słowa "wszyscy".

-Ale co pan mówi?

- Dla ciebie dyrektorka to idiotka.

I starasz się, aby wszyscy, łącznie z nią, zauważyli, jakie jest twoje zdanie na ten temat.

Ico to da?

- No, jak to?

-No, co to da?

Po co namjej mądrość?

Mypotrzebujemy jejpoparcia, życzliwości.

Teoś świata nie zmieni.

Dyrektorki też.

A jej pomoc może się przydać.

Ijemu, i wam.

- Ale co pan.

-Tak to już jest na tym świecie.

Nietylko mądrzygarnki lepią.

Sami widzicie, jak jest z tym utworem, z tym współczesnym.

Napisałgo jakiś kretynbez talentu.

Ale dyrektorowikonkursu właśnie on oddwóch lat uczy za darmo córkę grać na fortepianie.

Bo chociaż facet

55.

nie umie komponować, to jest dobrym nauczycielem.

A córeczka jest leniwa, choć dosyć zdolna.

Ojciec niema czasu sam jej pilnować ani nie ma ochoty za jej dodatkowe lekcje płacić z własnej kieszeni.

Więc" gdy nadarzyła się sposobność, zapłacił temu Siegfriedowi Mollnerowi z państwowej kasy.

I to zapłacił tyle, że tamten musiałby uczyć dziesięć lat z okładem, aby takie pieniądze zarobić.

Obydwaj są zadowoleni.

Córeczka też.

Szafa gra.

I my gramy.

Takiego knota.

- Ale przecież wszyscy.

- wtrąciłem.

- Co mówiłem osłowie "wszyscy"?

- Pantylko żartuje!

Zresztą, skąd pan zna tego dyrektora i tego Mollnera?

- spytała Ewa, wypróbując jeden ze swych uśmiechów zrodzaju "ach, jakie to ciekawe, co pan mówi".

- Nie żartuję.

- Gromny nawet na nią nie spojrział, jakby rozmawiał tylko z Darkiem.

- Nie wierzycie w historię córce dyrektora?

Więc czemu ten utwór jest taką chałwą?

- Cała muzyka współczesna to chałwa - powiedział Darek.

- Też masz rację.

Ale posłuchaj dalej.

Córeczka dyrektora nie jest niewinną panienką, za jaką chce ją uważać tatuś.

Ma dwadzieścia parę lat, długie blond włosy, duże ciemne oczy, piękną buzię, jest szczupła i niegłupia.

Pogadała z tatusiem i na konkursie będzie sekretarką jury.

Napracuje się, pewnie, ale zarobi na dobry samochód, boma starego garbusa, rozklekotanego i śmierdzącego wewnątrz benzyną.

A ambitny kompozytor zasiądzie w samym jury, bo w ten sposób ojciec naszej pianistki zapewni sobie jego współpracę na najbliższe dwa lata.

Znowu za darmo.

W Monachium istnieje orkiestra, taka jak wasza, której koncertmistrzem jest chłopak rzeczonej pianistki.

Oni też szykują się na konkurs.

Interesuje ich tylko pierwsze miejsce.

Sami wiecie - to się wiąże z późniejszym tournée po Francji, Niemczech i Hiszpanii.

Ojciec tego chłopaka, tego koncertmistrza, jest okulista.

Chirurgiem.

Mistrzem w swojej dziedzinie.

Na operację u niego czeka się po parę miesięcy.

A dyrektor konkursu to też człowiek.

Ma kochankę, młodszą od siebie kobietę, która cierpi na chorobę oczu.

Uciążliwą, wymagającą

operacji.

Ten okulista jest wielkim melomanem, co zresztą częstewśród lekarzy, zależy mu na karierze syna.

Stefan Gromny zawiesił głosi popatrył na nas.

Wszyscy mieliśmy miny jak nawizycie u dentysty.

Tylko Ewka kręciła głową i to ona odezwała się pierwsza:

- Czyli nie mamy po co jechać na ten konkurs?

To nampan chce powiedzieć?

Kontrabasista wzruszył ramionami i ciągnął niewzruszenie dalej:

- Jeden urzędnik z departamentu kultury w Berlinie Zachodnim, który decyduje o rozdziale funduszy na takie imprezy jak ten konkurs, ma niezwykle hobby, albo raczej bziaka na punkcie historii starożytnego Egiptu.

Kolekcjonuje wszystko, co jest związane z Egiptem.

Nawiązał niedawno kontakt z szyczą w egipskim Muzeum Narodowym.

Był już kilka razy w Egipcie, lecz dopiero ostatnio udało mu się dostać zakulisy oficjalnych wystaw, obejrzyć to, co dla zwykłych zjadaczy chleba jest niedostępne.

Egipscy urzędnicy są tak samo skorumpowani jak na całym świecie.

Ale ta szycza, ten jego znajomy, jest bardzo bogaty.

Nie zależy mu tak bardzo na forsie.

Maza to brata, który skończył studia muzyczne w Krakowie.

Z pomocą Bożą, ale skończył.

Ten brat, Shalim Abd El Aziz, trochę dyryguje, trochę komponuje.

Inaczej mówiąc: nic specjalnego nie umie.

Tyle że ma wielkie ambicje.

Jego celem jest europejska kariera.

Zdaje sobie jednak sprawę, że w bezpośredniej rywalizacji wyjdą na jaw wszystkie jego braki.

To człek świadomy i nie głupi.

Ten, który jest szyczą w muzeum, porozmawiał z urzędnikiem departamentu kultury, urzędnik porozmawiał z dyrektorem konkursu, a dyrektor konkursu zaprosił Shalimę jako przewodniczącego jury.

- Ja wiem - powiedział Darek.

- To się nazywa spiskowa teoria dziejów.

- Ty lubisz zawsze mieć rację, prawda?

- Gromny popatrył na Darkę całkiem życzliwie.

- No, to posłuchaj dokońca.

Shalim Abd El Aziz, będąc na studiach w Krakowie, poznał dziewczynę,

57.

muzułmankę, ale mieszkającą na stałe we Francji.
Rihem El Dinurodziła się w Algierii, takimi się zdaje.
Teraz to już praktycznie Europejka.
Ambitna.
Też studiowała dyrygenturę.
Lecz, w przeciwieństwie do Shalima, jest zdolna.
Nie chciała zostać na resztę życia żoną Egipcjanina, nawet bogatego, zamknąć przed sobą
szans, porzucić ambicji, chować dzieci i mieć mniej praw niż najgorszy kretyn, ale
mężczyzna.
Odmówiła Shalimowi.
Wybrała samodzielność.
Po studiach nie mogła znaleźć nigdzie pracy.
Kto chce mieć za szefa ambitną babę?
Rihem zaczęła więc pracować w szkole.
Uczyła harmonii.
Wciąż rozglądała się za możliwością dyrygowania.
Szukała jej również wśród młodzieży.
Powoli zaczęła budować zespół spośród najzdolniejszych Francuzów, spośród tych, którym się
cokolwiek chciało.
Bo tam ambitnych młodych ludzi rzadko interesuje muzyka.
I ciężka praca.
Ale to energiczna i cierpliwa kobieta.
Ma więc orkiestrę.
Znalazła sponsora - ojca jednego ze skrzypków, właściciela sieci sklepów z wyrobami z drobiu.
Jadą na konkurs.
Jej celem jest pierwszeństwo.
Od jakiegoś czasu dzwoni do Shalima, znowu robi mu nadzieję.
- To co?
To kto dostanie to pierwszeństwo?
- Nie wiem.
Nie znam całego składu jury.
W tym nasza nadzieja, że.
No wiecie, gdzie dwóch się bije.
Zresztą - uśmiechnął się, ciepło popatrzył na Darka i na mnie, ignorując trochę
już niechęconą Ewę - my najpierw musimy wygrać przesłuchania w Katowicach.
A tam w komisji również nie ma nikogo od nas.
Dyrektor Jakowski nie zaprosił.
- Przecież ona nie jest muzykiem!
- wyrwał mi się.
- Nie jest.
Ale kogo?
- Nie rozumiem?
- Ale kogo?
- O kim pan mówi?
- Czuję w tym żart, nie miałem jednak pewności.
- Ale kogo to obchodzi?
58
Wszyscy zaczęliśmy się śmiać.
Gromny śmiał się znami, zaraz jednak podjął wątek:

- A ta polska komisja też jest ciekawa.
Najczęściej stoi rektor uczelni w Katowicach.
Pan Karol.
Sam jest chórmistrzem.
Nieźłym.
Ambitnym.
W Katowicach jest dobrze ustawiony, znany.
Tyle że jemuto już nie wystarcza.
Chcedo Warszawy.
Marzy mu się posada w ministerstwie.
Orkiestra z miejscowej szkoły nie ma szans.
Ale orkiestrą Warszawy dyryguje facet, który, według Karola, dobrze zna aktualnego ministra kultury.
Warszawiacy też grają słabo, bo nikt z nim specjalnie nie pracuje.
Nie ma tam takiego zapalenia jak Teoś.
Tendrygent zajął się całą sprawą tylko ze względu na konkurs, grając raptem dwa miesiące.
Ale kogo?
- Tonie może być tak, jak pan mówi!
- Ewa nie kryła oburzenia.
- Na pewno tak nie jest.
Szansę są.
Jeżeli zagracie tak, jak potraficie
- przejdziecie.
Ale niech wam się choć troszkę nóżka powinie.
- A mnie coś innego ciekawi.
Skąd pan Kasprzycki ma nuty tego współczesnego knota?
Przecież nas jeszcze nie zgłoszono do konkursu
- wtrącił Rejwas wyjątkowo jak na siebie poważnie.
- Oni nie mogli jeszcze zacząć rozsyłania nut, do konkursu zostało ponad pół roku.
- Dobrze myślisz.
Nie jesteś taki głupi.
- Gromny chciał potargać mu czuprynę, ale Darek się odsunął.
- Teodor też nie jest kretynem.
I nawet na takiego nie wygląda, nie?
- Popatrzył na nas z uśmiechem.
Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich żartów z Kasprzyckiego, nie bardzo wiedzieliśmy, jak zareagować.
Też się uśmiechnęliśmy.
- Żona Teodora jest aktorką, była niedawno z teatrem na występach w Niemczech.
Mówi od dzieciństwa po niemiecku świetnie śpiewa.
Znacorkę dyrektora konkursu, która jej czasami akompaniuje na recitalach.
- No to cała ta historia się kupy nie trzyma - stwierdził Darek.
- Bo jeżeli wygrać ma jej chłopak, to dlaczego.
- Jej na tym nie zależy.
Ona woli, żeby grał razem z nią sonaty.
Chce, aby wystartowali w przyszłorocznym konkursie w Monachium.

Jako duet.

A jeżeli jego orkiestra wygra, to w tym samym czasie odbywać się będzie tournée dla zwycięzcy waszego konkursu.

Kapujecie?

- Czyli mamy po co jechać?

-No pewnie.

Inaczej - dlaczego ja bym zaszczycał takich amatorówswym kunsztem?

- Pan to jest!

- Ewa śmiała się głośno.

-A już myślałam, że ta historia z Shalimem Abu Dubu Lubu jest prawdziwa!

- Nie wierzysz mi, panno Ewo?

- spojrzaj nanią chyba pierwszyraz w czasie tej rozmowy.

- No, nie wiem.

-I rektora Karolateż wymyśliłem?

- Skąd mamwiedzieć.

- Ewawyraźnie się spłoszyła, nie stać jejbyło ani na powłóczyste spojrzenie, ani nauśmiech.

- Jeszcze zobaczycie!

Rektora Karola na pewno, a Shalima.

mamnadzieję.

- Ja tam wierzę- wtrąciłem się - że jak Teodornas wystawia, towie, co robi.

Na Karola też pewnie ma sposób.

- Tylko jeden - odparł Gromny.

- Wasze dobre granie.

Itu kłaniasięmoja interpretacja słowa "wszyscy".

Niektórzy strasznie Karolanie lubią.

No - przeciągnął się, ziewnął.

- Nakrakałem wam.

Nieprzejmujcie się.

Nawet jak przewodniczący jury w Katowicach będziemiał na imię Karol, to jeszcze nic nie znaczy.

A ja idę na papierosa.

Kiedy wyszedł, zaczęliśmy rozmawiać o zupełnie innych sprawach:

o noclegu w hotelu, o możliwym wypadzie do chorzowskiego wesołogomiasteczka, o planowanej przez katowiczankę dyskotece.

Po jakimś czasie musiałem wyjść do toalety.

Przechodziłem koło przedziału, w którym Ela dotrzymywała towarzystwa dyrektora Jakowskiej i Teodorowi.

Zobaczyła mnie, ale odwróciła się plecami.

To musiałyby być koniec maja.

Wyjątkowo dużo mleczy obrodziło tego roku.

Trawniki przypominały żółte dywany.

Zawsze wtedy ożywa

ła wśród nas plotka o tym, jak bardzo mleczesą niezdrowe dla oczu.

Tego roku te opowieści przybrały jeszcze siłę.

Prześcigaliśmy się w wymyślaniu chorób, jakie mogą grozić człowiekowi nawet przez przeżycie dłuższy czas w trawie usianej mleczami.

Opowiadaliśmy sobie niestworzone historie o robotnikach na budowie, którzy po popołudniowej drzemce na łonie natury wstawali niewidomi.

O rybakach, nieświadomych zagrożenia, jak wachali sobie na brzegu żółte kwiatki, czekając na rybę.

Apotem nie mogli dojrzeć: najpierw sławika, potem wędki, wreszcie rzeki.

Szczególnie podobał sobie te opowieści Stasio Przypiórek, trochę młodszy ode mnie, zawsze z lekką głupawą.

Ale niegroźny i przez wszystkich tolerowany.

Kończył osiem lat i miał we wrześniu pójść do pierwszej klasy.

Przez ostatni rok chodził do specjalnej szkoły, dla dzieci lekko opóźnionych.

Wtedy o tym nie wiedzieliśmy.

Przypiórek był głupawą od zawsze i nikt się tym nie przejmował.

Stasio pilnie słuchał, co kto dziwniejszego na temat mleczy wymyślił, zapamiętywał słowo w słowo i wiernie wszystko powtarzał.

Chodził z tymi opowieściami nawet na inne podwórka, gdzie również go przeganiano, nie mogąc znieść słuchania w kółko tego samego.

Niczym niezrażony, Stasio wciąż szukał słuchaczy.

Nowych lub starych.

Często siadywał na ławce koło trawnika i godzinami wpatrywał się w żółtą orgię małych kwiatów.

Mamrotał wtedy coś pod nosem.

Śmiałem się, że uczysię na pamięć najnowszych "mlecznych" opowieści.

Naśmiewałem się z niego razem z innymi.

Nie lubiłem go.

Zawsze uparczywie powtarzał wszystkie wymyślone przez Gerarda żółtyści na mój temat.

Nie zauważałem, gdy z takim samym uporem powtarzał głupoty o innych.

Śmiał się najgłośniej z najgłupszych kawałów.

Pozwalał się popychać, szturchać i zawsze był zadowolony.

Gerard traktował go jak swoją małpkę.

Tresował, pokazywał mu różne sztuczki.

Stasio uważał się za wyjątkowego przyjaciela Gerarda i w momencie zagrożenia zawsze u niego szukał pomocy.

A wtedy Gerard wyśmiewał go, wyszydzał, kazał klęczeć i błagać o ratunek.

Czasami, kiedy Stasio spełnił wszystkie jego zachcianki, bił go po twarzy i wymagał cmoknięcia w rękę po każdym wymierzonym policzku.

Jeśli znęcał się nad Stasiem, dawał spokój pozostałym.

Każdemutaki układ pasował.

Nikt o Stasia kruszyć kopii nie zamierzał.

Jegorodzice byli członkami jakiejś religijnej sekty i prowadzili bardzo intensywną agitację, chodząc po mieście nagabując ludzi na ulicach.

Czasami zabierali ze sobą Stasia, ale najczęściej ichsyn całymi dniami włóczył się popodwórku bez opieki.

Do Wiesia Cerkwina przyjechał natydzień, z leśniczówki pod Suwałkami, trzy lata starszy kuzyn.

Od pierwszego spotkania między nim a Gerardem narastał konflikt.

Nie pamiętam imienia tego chłopca, był on jednak od Gerarda wyraźniej silniejszy, ćwiczył judo, jeździł konno, przechwalał się, że strzelał już z dubeltówki.

Bawiliśmy się tego dnia na łące, tuż za płotem naszego domu.

W Indian.

W połowie najlepszej zabawy dołączyli do nas Gerard i Czapa.

Chcieli pozmienić wszystkie reguły poustalane przez leśnego chłopaka.

Nam jednak dobrze było tak jak dotychczas, niepotrzebowaliśmy żadnych innowacji.

Gerard niewytrzymał takiej bezczelności i rzucił się na tamtegoz pięściami.

I dostał w skórę.

"Leśniczy" rozłożył go na obie łopatki i poszedł sobie razem z Wiesiem do domu.

Mnie zawołano na obiad.

Jeszcze na odchodnym kuzyn Cerkwin wyszydzał pokonanego przeciwnika:

- Dżery słabery, Dżery wiotkie plery, Dżery słabery.

Nikt z nas nie podjął za nim tych inwektyw.

Każdy wiedział, że

gdy tamten odjedzie w swoje lasy, Gerard takich zniewag nie zapomni.

Każdy, oprócz Stasia.

Zawsze powtarzał wszystkie wyzwiska Gerarda i nic się nie działo.

Naturalną koleją rzeczy został wtedy z Gerardem i Czapa na łące przy domu.

Biegał dookoła gramolącego się z ziemi pokonanego idola

i wołał:

- Dżery słabery, Dżery plery, Dżery słabery.

Patrzyłem na to już z własnego podwórka, przez dziurę w płocie.

62

Gerard wstał, splunął raz w kierunku roześmianego Stasia.

Tamten radośnie uskoczył, płwocina trafiła w nogawkę spodni, i dalej ciągnął:

- Dżery plery słabery, Dżery.

Jak zaczajona w głębinach murena, Gerard nagle schwycił Stasia za kark i przydusił do ziemi.

Jedną ręką docisnął twarz chłopca, a drugą zrywał gęsto rosnące mleczce.

Skinął też na Czapa, który zaczął mu w zbieraniu kwiatów pomagać.

- Patrz, Stasio - mówił z przemiłym uśmiechem, na widok którego cierpła mi skóra, chociaż sam byłem bezpieczny po drugiej stronie płotu.

- To tylko kwiatuszki.

Wiesz jakie, no nie?

- To mleczce, Dżery.

- Stasio, jak na razie, nie był zbyt przestraszony, raczej zdziwiony.

- Tak, mądry Stasio.

A co mleczerością z oczami?

O, jak się tak zrobi?

- i garść żółtych kwiatów przyłożył do oczu chłopca.

Stasio zawył, próbował się wyrwać.

Czapadoniósł Gerardowi wino w porcję.

- Rozetrzyj je między palcami - poleciłmu oprawca.

- Patrz, Stasio, soczek wyciśniemy ci do oczków.

Też będziesz miał żółciutki.

Cicho bądź, nie gryź.

Wiesz, ile widzi kret?

Ty nawet tyle nie zobaczysz.

Czapa ścierał mleczę w rękach, a Gerard pakował to wszystko do oczu wrzeszczącego Stasia.

Patrzyłem, przerażony, oniemiały, i nawet przez myśl mi nie przeszło, by ruszyć na pomoc ofierze.

Próbowałem nie oddychać, aby nie zdradzić, że jestem obok, za płotem.

Po krótkim czasie Stasio przestał wycić i wyrwać się.

Już tylko zawodziła jęczał!

Katom też znudziła się zabawa.

Odeszli, pozostawiając Stasia Przy" ipiórka w trawie.

Nie ruszał się, z jego gardła dochodziło rżenie.

Bałem się pewnie tak samo jak on.

Za nic nie podszedłbym do niego sam.

Ale mama akurat wysłała Mateusza, aby przyprowadził młodszego brata na obiad.

Mateusz znalazł mnie przy dziurze w płocie i usłyszał dziwne odgłosy dochodzące z łąki.

- Co ty robisz, Tomek?

Co tam się dzieje?

Niepotrafiłem wymówić ani słowa.

Mateusz przeskoczył przez płot.

Poszedłem za nim.

Nad strachem.

górwzięła ciekawość.

Stasio trzymał pięści kurczowo zaciśnięte przy oczach.

Z jegogardła dochodził ohydny odgłos.

Gdy Mateusz próbował oderwać mu ręce od twarzy, on zaczął wyć.

- Skocz no po mamę - polecił mi starszy brat.

- Kto mu to zrobił?

- Całatwarz Stasia była w żółtych płatkach, dokoła leżało mnóstwo nazrywanych mleczy.

- Gerard?

- sam sobie odpowiedział Mateusz.

- To dopiero szuja.

Leć po mamę - powtórzył, widząc, że nie ruszyłem się z miejsca.

Mama poleciła zanieść Stasia do stołowego pokoju.

Razem z Mateuszem odciągnęliśmy jego ręce od twarzy, aby mama mogła przemyć mu oczy ciepłą wodą z rumiankiem.

Wciąż nie podnosił powiek.

A mama mówiła do mnie:

- Widzisz, jak to się skończyło!

Prawie z niego kalekę zrobił, a ty się nim bawisz.

Przecież to opóźniony chłopiec.

Ten twój Gerard nakryminal zażył.

Jak cię jeszcze raz z nim zobaczę, uszy poobrywam.

Cicho bądź, chłopcze - pierwszy raz zwróciła się bezpośrednio do Stasia.

- Nic ci nie jest.

- Nic niewidzę - zawył Stasio.

- Nic nie widzę!

- Uspokój się.

Otwórz oczy.

Ale Stasio wciąż tylko zawodził i rozpaczał, zaciskając powieki.

Mama, po przemyciu mu twarzy, straciła dla niego zainteresowanie.

Nigdygo nie lubiła, anormalnych rodziców chłopca musiała nawet kilka razy przeganiać do domu.

Zostawiliśmy go więc jęczącego w stołowym i poszliśmy do kuchni zjeść obiad.

Po obiedzie, odprowadziliśmy, na polecenie mamy, kwilącego już tylko cichutko Stasia do domu.

Zzerała mnie ciekawość, czy Stasio naprawdę oślepl.

Mateusz wyśmiewał wprawdzie nasze podwórkowe bajdy o szkodliwości mleczy dla oczu, ale gdy odprowadzaliśmy potykającego się co krok Stasia, nie miał najpewniejszej miny,

64

- Widzisz - mówiłem do niego, nie przejmuj się, co to dla Stasia znaczy - mlecz jest naprawdę niebezpieczny.

Stasio, widzisz coś?

- Jedyną odpowiedzią było wzmożone zawadzenie.
- On na pewno oślepl.
Sam widziałem, jak Dżery wyciskał mu do oczu.
- Tomek, daj spokój- przerwał mi Mateusz, bo Stasio coraz głośniejszym głosem lamentował.
- On słuchanie stracił.
Dopiero wtedy zaczęło do mnie docierać, że Stasio może w ogóle coś czuć i myśleć.
Ponieważ go nie lubiłem, nie traktowałem całego zdarzenia inaczej, jak tylko jako możliwości uzyskania dowodu na szkodliwość żółtych kwiatów dla oczu.
Nawet słowa brata raczej mnie zdziwiły, niż skłoniły do zastanowienia.
Przed drzwiami mieszkania Przypiórków utknęliśmy.
Nikt nie otwierał, a Stasio nie miał klucza.
Gdybym był sam, zostawiłbym go pewnie.
Mateusz jednak miał piętnaście lat i znacznie więcej poczucia odpowiedzialności.
Zadzwoił do jednych sąsiadów - nikogo.
Ale w drugim mieszkaniu już na pierwszy dzwonek drzwi otworzyła pani Stanisława Kłopot, pielęgniarka, stara panna, której dzieciaki czasami dokuczały, przezywając ją "Chłopakiem".
Ona zносиła dzielnie, uśmiechała się, często nawet miała dla maluchów w kieszeni cukierka.
- Co się stało?
Ojej - zobaczyła skulonego na wycieraczce Stasia
- co wy mu zrobiliście?
- To niemy, proszę pani.
- No tak.
Pewnie, że nie wy.
- Uklękła przy chłopcu.
- Co mu się stało?
Dlaczego tak trze oczy?
- Dżery mu naładował mleczy do oczu.
Stasio nic nie widzi.
Czy on będzie ślepy?
- Nie opowiadaj bzdur, chłopcze!
- Aż się skurczyłem pod jego spojrzeniem.
- Te wasze głupie przesady!
- Co?
To przez Dżerego.
Wszystko przez niego.
- Cicho, Tomek.
Pani się nim zajmie?
- przytomnie spytał Mateusz.

- Wy tak ciągle na tego Gerarda, a on też nie ma lekko.
Znaciejgo rodziców?

- To my już pójdziemy.

- Brat złapał mnie za rękę, ale pani Kłopotkiągnęła:

- Gerard też jest upośledzony, tylko inaczej niż ten - mówiła, głaszcząc i przytulając spokojnego nareszcie Stasia.

- Jakby wasz ojciec dzień w dzień pił, tłukł was, bluźnił, a matka.
no, mniejsza z tym.

On itak jest jeszcze całkiem normalny.

Tylko się odgrywa.

No, Stasio

- zajrzała mu w twarz, od której on pierwszy raz oderwał ręce - lepiej już?

Wszystko będzie dobrze.

- To my sobie.

Do widzenia - Mateusz wyraźnie chciał się pożegnać.

- Widzicie, chłopcy, Stasia trzeba tylko kochać.

A kto ma to robić?

Jego rodzice ślepi, głupi, swoją miłość rozdają obcym.

To tak, jakby jednym bochenkiem chleba tysiąc ludzi chcieli nakarmić, a we własnym domu z głodu dziecko umiera.

Tacy są ludzie.

- No to my.

- Popatrzcie tylko na niego.

Czy jemu dużo potrzeba?

Przytulić, ukołysać.

To dobre dziecko.

Gdyby tego Gerarda miał kto przytulić, to kto wie.

- Zauważyła, że powoli cofamy się w stronę schodów.

- Uciekajcie już, uciekajcie.

Ja się Stasiem zajmę.

Nie pierwszy toraz.

I nie martwcie się.

Nic mu nie będzie.

Puściliśmy się ze schodów biegiem, bo obawialiśmy się, że pani Kłopotki zaraz znowu podejmie swój monolog.

Zatrzymaliśmy się dopiero na dworze.

Mateusz wyprzedził mnie, ale tylko o pół piętra.

Kiedy wracaliśmy, wciąż się zastanawiałem, dlaczego mleczko okazało się tak nieskuteczne.

Postanowiłem więcej już się tych głupich kwiatków nigdy nie bać.

Wojnę spędziłam z ciotką.

Z nikim więcej.

Całą.

Od ciotki wiedziałam wszystko.

A ciotka - od księdza.

Ksiądz?

Nie wiem od kogo.

66

Mój ojciec zmarł, gdy miałam pięć lat, na odmę płuc.

Mama dwa lata później, na suchoty.

Mieszkałam najpierw u jednej ciotki ze strony matki, a potem było ośmioro dzieci, głodno, chłodno, i po roku oddaliliśmy się do siostry ojca.

Do ciotki Małgorzaty Gurdy, z domu Kłopot, wdowy dziewczyny, której mąż zmarł w noc poślubną, wykrwawiwszy się od rany zadanej kosą przez pijanego sąsiada.

Mieszkałam we wsi Gzynty, w jednoizbowym domku ze strychem.

We wsi, w której mimo dwudziestu gospodarstw było nawet kościoła.

W dwa miesiące po mojej przeprowadzce wybuchła wojna.

Ciotka kazała mi się modlić, modlić i jeszcze raz modlić.

Sama też modliłam się ze mną.

Miałam dziewięć lat, normalnie poszłabym do trzeciej klasy, a teraz musiałam się modlić.

Przez pierwszą modliłam się żarliwie za naszych żołnierzy, za Polskę i pana Prezydenta do Panny z Jasnej Góry, do Panny z Ostrej Bramy.

Do samego Boga ciocia nie pozwalała mi się modlić, aby Go nie urazić.

Sama modliła się do Niego tylko raz w tygodniu, w niedzielę, po mszy w kościele.

Ciotka chodziła na mszę do sąsiedniej wsi, Opieczółówek, gdzie było przeszło sto chat i parafia.

Wtedy modliła się do Boga, a w tygodniu nie pozwalała Go przesadnie obciążać, bo był przecież zajęty pomaganiem naszym żołnierzom.

Później musiałam pomagać Francuzom i Anglikom, a jeszcze po kilku latach - Amerykanom.

Ruskom nie pomagał, nawet jak walczyli już z Hitlerem.

Rozumiałam to i modliłam się do Jego Matki.

To też było coś - rozmawiać z Najświętszą Marią Panną.

Bo ja z nią rozmawiałam, prosiłam ją - im byłam starsza, tym więcej miałam osobistych spraw o zdrowie Burek, gdy charczał przez trzy dni po zjedzeniu kości, która utkwiała mu w przełyku. Burek był moim jedynym przyjacielem dlatego prośba o uzdrowienie go nie wydawała mi się nadużyciem.

Była prosta i naturalna, i pewnie dlatego odniosła skutek.

Burek w końcu wypłuł znów merdał ogonem, bawił się ze mną, szczekał i podskakiwał.

Czułam taką wdzięczność dla Matki Boskiej, że przez dwa tygodnie nic jej nie prosiłam, chociaż zginął mi ulubiony grzebień.

Mama miała starszego brata, człowieka wykształconego, który pracował jako pomocnik weterynarza i uwielbiał czytać książki.

Zmarł rok wcześniej od mamy i zapisał jej w spadku wszystkie swoje książki.

, Dziwnym zbiegiem okoliczności księgozbiór trafił do domu ciotki Małgorzaty, mama go nigdy nie ujrzała.

Ten drobny fakt bardzo pomógł mi przeżyć wojnę.

Było tego dwie skrzynie, w każdej ponad dwieście tomów.

Jules Verne i Dzieci kapitana Granta, Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi.

Tajemnicza wyspa.

Później wyprawa na księżyc, balonem do Afryki, piechotą w głąb Ziemi.

Byłam przez dwa lata na bezludnej wyspie z Grantem, Briantem i Doniphanem.

Pochłaniałam książki Bourroghsa, w których Tarzan ratował wielu białych ludzi oraz mnóstwo zwierząt, kochał Jane i był szczęśliwy, gdy wieczorem mógł "zaryczeć" tak, że odpowiadały mu wszystkie słonie.

Z Karolem Mayem przemierzałam prerie Dzikiego Zachodu, kochałam Winnetou i płakałam nad losem biednej Nscho-Tshi.

Razem z Robinsonem Cruzoe hodowałam kozy, siałam zboże i chodziłam na wyprawę w głąb wyspy.

Brakowało mi tylko tych książek kobiet, a już szczególnie dziewcząt.

Wujek nie miał w swojej kolekcji przygód Aniz Zielonego Wzgórza.

Nie wiedziałam nawet, że takie książki też istnieją.

Miałam na czytanie mnóstwo czasu, bo ciocia Małgorzata zlecała mi wyłącznie prace w domu, obojętnie zajmowała się sama.

Lubiła to.

Bawiłam się tylko z Burkiem, czasami rzucałam ziarno dla kury zaraz biegłam do książek.

Wojna trwała gdzieś obok.

W naszej wsi, w Gzymtach, niewidywaliśmy Niemców.

Opowiadano, że bywali w Opieczółówkach, ale też rzadko.

Z tego powodu nie mogłam ich tak naprawdę nienawidzić, bo nie wiedziałam za co.

Żyłam tylko z ciotką.

Najświętszą Panną i książkami.

Głodu nie cierpialiśmy, chociaż bywało biednie i jednostajnie.

Ale ludzie we wsi pomagali sobie nawzajem, nie było wśród nich szubrawców, donosicieli, łajdaków.

Nie było też wzniosłości, przesadnej szlachetności, bohaterstwa.

Byli szarzy - przynajmniej dla mnie, wtedy - szarością niezmienności,

68

przewidywalnych zachowań, leniwego codziennego bytowania.

Każdy miał podobne problemy, każdy podobnie sobie z nimi radził.

Kury wszędzie znosiły jajka, koguty piałły, koty marcowały, świnie - tych było z roku na rok mniej - z chrumkaniem podnosiły ryje znad pustawych czasami koryt.

Krowy domagały się dojenia, konie przebiegały kopytami, opędzając się od warczących psów.

Cóż - Gzynty, maławieś.

Rosłam, dojrzewałam, stawałam się panienką.

Ciocia Małgorzata uświadomiła mi tylko o tyle, o ile wymagały tego sprawy higieny.

Ale moje książki pozwalały mi się domyślać o wiele więcej.

Bo na dnie pierwszej skrzynki znalazłam innych autorów.

Dołęga-Mostowicz, Prus, Sienkiewicz, Reymont, a nawet Żeromski

i Emil Zola.

Czytałam Zole już pod koniec wojny, jako piętnastolatka, i miałam na tyle zdrowego rozsądku, abysię spowiadać z tego cioci.

Chodziłam jak błądną, nawet Burka, starego już i ledwo powłóczącego nogami, zaniedbałam.

Jakim sposobem książki były tak właśnie ułożone?

Na wierzchu, dla mnie - dziewięcio-, dziesięcioletniej, pod spodem - też dlamnie, tylko w innym czasie, bo pochłaniałam te zdrożnienia kiedypowieści z zapartym tchem.

Gdykończyła się wojna, byłam w połowie Pani Bovary i czułam się nią bardziej niż sobą. Rozglądałam się pilnie po znanych mi ludziach, aby dostrzec w nich choć ślad tych problemów, uniesień, które tak pięknie opisywał Flaubert.

Gdzie tam!

Wciąż karmili swoje zwierzęta, sprząтали obejścia, siali, grabili, młócili, pili, gdy było co, kłócili się, wyzywali i godzili, i wtedy znów pili.

Baby gadały, zazwyczaj trzy naraz, dzieci - których w Gzyntach było mało, a już ani jednego moim lub zbliżonym do mojego wieku - chadzały samopas, bez opieki i dozoru.

Jak zapadał zmierzch, to przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku wieś też od razu zasypiała.

Wyjątkami były Wigilia, Boże.

Narodzenie, Wielkanoc, ale i wtedy nikt nie siedział do późna, ot, może dwie, trzy godziny dłużej.

Życie tak jednostajne jak los koniaw kieracie.

Już jako mała dziewczynka, kiedy jeszcze żyła mama, bo

ojca praktycznie nie pamiętam, nie lubiłam w niczym brać udziału.
Wolałam stać z boku i obserwować.
Podczas wojnyta cecha jeszczebardziej się mnie spotęgowała, bo i nie było specjalnie w
czymuczestniczyć.
A po wojnie?
No cóż, poszłamdo szkoły, do Opiechołówek.
Ciocia zapisała mnie do piątej klasy.
Zrobiłam piątą i szóstą,i na tym zakończyła sięmoja edukacja.
W szkolenie byłam wcalenajstarsza, chodziłodo niej jeszcze jedna dziewczyna w moim
wieku,ale nie potrafiłam się z nią zaprzyjaźnić.
Dalej żyłampowolutku z ciocią, marzeniami i książkami, bo ludzi wciąż najchętniej tylko
obserwowałam.
Bywałam już teraz namszach i odpustach.
Na zabawy,chociażmiałam siedemnaście lat,nie było z kim się wybrać, asamaciocia
Małgorzata bała się mnie puścić.
Nadszedł maj, drzewa pokryte białym marzeniem, trawazielonaisoczysta, ludzie
ożywnieni, radośni.
Niedziela, będzie można pić,gadać i leżeć aż do wieczora.
Chłopcy pod cmentarnym płótnem ćmilimachorkę,dziewczęta szczebiotały we własnym
kółku,zerkając razporaz na młodzianów i zanosząc się śmiechem.
Sołtys Żamojna rozprawiał ze swadą o ostatnich posunięciach rządu, chłopidookołańniego
kiwaligłowami, palili fajki, bogatsi - papierosy.
Baby wchustachobgadywały córkę Żamojny, Przybysławę, jak toją ojciec nakrył z Pietrkiem
od młynarza, i czy teraz nagna, czynnie.
Stałam sobie pod jabłonią, jasną i pachnącą, w ręku miałam gałązkę, zktórej bez
żadnej wróżby obrywałamlistki.
Nagływarkotmotorurozdarł zwykłyłudzki gwar.
W tumanie kurzu zajechałprzed kościołmężczyzna w czarnej kurtce, czarnych spodniach
iskórzanych butachz cholewami.
Na twarzymiał gogle, pod szyją apaszkę, śmieszłą, bożółtą, i trochę przybrudzoną.
Kiedy zsiadł z motoru i zdjął okulary,ujrzałam pierwszy raz w życiuprawdziwą męską twarz.
Kruczoczarnewłosy, rysymocne,szczęki wydatne, ciemny zarost.
Oczy niebieskie,ale już nad nimi gęste ciemnebrwi, zrosnięte ze sobą.
Nic w nim niebyło zleniwej szarości okolicznych chłopów, kretyńsko roześmianejnaiwności
podrostków.
Przybysz zdjął rękawice, położył jena siedzeniu

70

motocykla, po czym przeciągnął się i wyprostował z głośnym ziewnięciem.
Ileż mocy kryło się w jego ciele!
Poraziłamnie ta moc,siła zaklęta ;
w czarnej kurtce, sprężystych nogach i mocnej szyi, która ukazała się"spod żółtej
apaszki.
Przybysz podszedłdo cioci Małgorzaty, ukloniłsię i zaczęli rozmawiać.
Zzerałamnie ciekawość, ale moja skłonność do obserwacji,pozostawiania na uboczu, była
silniejsza.
Wciąż patrzyłam na ciotkępograżoną w rozmowie z nieznajomym, aż wreszcie,
jakbywbrewwłasnej woli, opuściłam schronieniepod jabłonią i lekkim krokiemruszyłam
wzdłuż muru kościoła.

W ten sposób znalazłam się w zasięgu wzroku cioci Małgorzaty, licząc chyba na to - chociaż jednocześnie drżałam na samą myśl o takiej możliwości - że mnie zauważy, zawoła i przedstawi nieznanemu.

Nie omyliłam się.

Zawołała!

To był syn przyrodniego brata jej męża.

Nie widziała go kilka lat, a teraz jego ojciec potrzebował jakichś dokumentów, które ona mogła mieć po mężu.

Miał na imię Roman.

Z bliska robił wrażenie jeszcze silniejszego i ciemniejszego niż z daleka, bo nawet w porach twarzy i na potężnych rękach dawało się zauważyć jakiś czarny nalot.

Nie potrafiłam od niego oderwać wzroku.

Chyba to spostrzegł.

Ciocia pewnie też.

Może i cała wieś?

Szarmancko zaproponował ciotce podwiezienie na motorze do Gzyntów, ale ona, z pełnym rozbawieniem i oburzeniem, odmówiła.

Wtedy zwrócił się do mnie: "A może panna Stasia skorzysta?"

Miękkotam i fajowo".

Skorzystałam, rumieniąc się i czując dziwny prąd w brzuchu, gdy spoglądał na mnie spod krzaczastych brwi swymi niebieskimi oczami.

Pół wsi zleciało się patrzeć, jak wsiadamy na motor.

Objęłam Romana w pasie, a on zapalił od pierwszego razu i ruszył impetem, zostawiając we wstędze kurzu chłopów z fajkami, ciekawskie baby i rozkokoszone młódki.

Zajechaliśmy w kilka minut, pędząc po polnej drodze jak po krainie marzeń.

Przymykałam oczy

71.

i widziałam siebie w ramionach czarnego mężczyzny, jak przechylamnie do tyłu, by spijać rozkosz z mych warg.

Za krótka dla mnie była ta droga, tak obłądana, dzika i nieoczekiwana, inna niż całe mojedotychczasowe życie, prędko i zmienna.

Kiedy zsiadłam przed domem ciotki i znów patrzyłam, jak Roman zdejmuje wszystkie motorowe akcesoria i starannie układa je na siedzeniu swoimi mocnymi dłońmi - gotowa byłam na wszystko.

Niewiedziałam na co - po prostu: na wszystko.

Zanim pojawiła się ciotka, ja pełniłam honory domu.

Postawiłam na stole chleb, biały ser, kielbasę i kwas do picia.

Roman, głodny po podróży, jadł z apetytem.

"A co taka śliczna panienka, jak panna Stasia, nazapadłej, za przeproszeniem, dziurze porabia? W Opatowie miejsce dla takich ślicznotek, a nie tu, przy świnich".

"To pan Roman w Opatowie mieszka?"

". "A co!"

Na posadzie jestem, w szpitalu.

Jak panna Stasia by zechciała, to i dla niej najdę miejsce.

Roboty tam - ho, ho.

To jak?"

Panna Stasia przyjedzie?"

". "A gdzie to bym mieszkała?"

Wmieście nikogo nie znam.

A miejsce jakie pan Roman by miał?"

". "W szpitalu.

Z początku na salową, sprzątać by panna Stasia musiała i tego tam, a kursy są, co to doktor mówił, na pielęgniarki.

To już personą się jest.

Nie to, co kury macać.

Niedla panny Stasi takie życie".

"A ja bym się bała.

Tak.

sama".

Jaka sama!

Ja pomogę.

O mnie tylko w szpitalu spytać, o pana Romana, i zaraz pomogę.

Amiejsce i pokój do spania w jeden dzień najdę".

"No, nie wiem".

"Co szkodzi panie Stanisławie popróbować?"

Niech no jedzie panna Stasia i obaczy.

Co miasto, to miasto".

"Abo to ciotka puści?"

". "A niepytać.

Panny Stasi to życie, nie ciotuni.

Teraz wolność u nas, skończyły się okowy.

Każdy sobie panem.

To jak?"

Przyjedzie panna?"

". "A z panem Romanem będę się

widywać?"

" "No.

Jakże by nie.

Codzień!

".

Uśmiechnął się na koniec, popatrzył na moje rumiane policzki, na piersi ukryte pod bluzką, narece skromnie na podołku złożone.

A mnie znowu ciepło się gdzieś w głębi zrobiło.

72

Ciocia wkrótce przysła, sąsiad ją podwiózł.

Roman rozsiadł się wygodnie, już się nie spieszył, gadał, przechwalał się, o życiu w mieście opowiadał, motor swój zachwalał i ubranie do jazdy.

Wódkę ciocia postawiła, ale tylko dwa kieliszki wypił, tego dnia jeszcze wracać zamierzał, pochwały za swą wstrzeźliwość względem alkoholu wysłuchał.

Siedzieliśmy we dwie, zasłuchane w opowieści Romka.

Prawie zapomnieliśmy wszyscy o dokumentach, po które przyjechał.

Gdy ciocia poszła ich szukać na strych, Roman wzięł mnie za rękę i pocałował, patrząc mi prosto w oczy.

Omdlałam prawie z onieśmienia i strachu, że ciocia wejdzie nagle i zobaczy.

A on, widząc moje półprzymknięte powieki, ustami dotknął mych warg.

Lekko i delikatnie, tak że tylko poczułam zapowiedź smaku ust, wspomnienie zapachu tytoniu i przeczuciemocy pocałunków, które dopiero miały nastąpić.

Po chwili weszła ciocia z teczką.

Ponad pół godziny szukali z Romkiem właściwych dokumentów, a ja siedziałam oniemiała, zaskoczona biciem własnego serca, pracą wyobraźni i zdecydowana na wszystko, byle tylko być blisko Niego.

Nie patrzył na mnie więcej, pograżony w dyskusję z ciocią, przeglądał z poważną miną papiery.

Ile miał lat?

Trzydzieści?

Może sporo mniej?

Taki piękny, silny i inny niż wszyscy znani mi mężczyźni.

Mój Roman!

Żegnałyśmy go przed furką.

Znow założyła rękawice, gogle, śmieszoną apaszkę.

Zaryczał silnik.

"To co?

Panna Stasia do opłotków raczy?

". "Mogę?

" - spytałam nito ciocię, ni to jego.

I już za chwilę jechaliśmy wśród ryku silnika, zostawiając za sobą tuman kurzu.

Nawet nie minęła minuta, jak zsiadłam, a on machnął mi ręką tylko powiedział: "O pana Romanapytać.

Wszyscy mnie znają!

".

Odjechał.

Kurz długo opadał, dawno deszczu nie było.

Słońce dalej świeciło, ale jakoś smutno i nisko - tuż nad drzewami.

Zachód.

Wiesz, gdy wracałam noga zanoga, mała była, nędzna i brudna.

Ani

73.

odrobiny blasku.

Życia.

Uduszę się, umrę tutaj - myślałam nagle z nienawiścią o tych starych chatach.

Z ciotką muszę się rozmówić, do Opotowa pojechać, życia zaznać.

IRomana.

widzieć, całować, kochać.

Dwa dni nosiłam w sobie decyzję.

Zastanawiałam się, rozważałam, ale więcej wzdychałam i wspominałam usta Romana, jego twarz, mocarne ręce, szyję.

Aż wreszcie, przed którąś wieczorną modlitwą, powiedziałam cioci, że muszę się stąd wyrwać, do miasta, do ludzi.

Uczyć się i pracować.

Każda pararak jest teraz w Polsce potrzebna, o, nawet pan Roman mówił, że u nich, w szpitalu, od razu na salową by mnie wzięli i na kurs pielęgniarek mogłabym się zapisać.

Pokój u ludzi wynajmę, pracować i uczyć się będę, do cioci na święta zjadę, jak kłopot będę miała, to pan Roman obiecał pomóc.

Jego wszyscy w szpitalu znają.

Coś pożytecznego będę robić, a nie u cioci chleb za darmo zjadać.

Co mogła mi odpowiedzieć?

Jak mogła mi zabronić?

I po co?

Pewnie, zżyłyśmy się ze sobą, może kochała mnie swój, cioci Małgorzaty, sposób.

Bo jej wystarczał mąż, który umarł, zanim mężem został, życie, do którego co rano kogut budził, a czasem zachód słońca wyznaczał.

Dni podobne do siebie jak dwa liście, co razem wzrosły, razem zżółkną, oderwą się od gałęzi w tym samym momencie i poszybują ku ziemi, by po cichutku, skromnie zakończyć żywot, wdeptać w ziemię przez but człowieka lub końskie kopyto.

Tam rozpuszczą się, ale nie bez śladu, jakaś ich cząstka trafi znów do korzeni drzewa, mała kadrobina odrodzi się w kolejnych liściach.

I tak co roku, w nieskończoność.

Jak ciocia, jej matka, babka, prababka.

We mnie wszystko buntowało się na taką perspektywę.

Przeczytawszy setki książek, w wyobraźni odwiedziwszy najodleglejsze miejsca na Ziemi, postanowiłam teraz ruszyć do Opotowa i stawić czoła wyzwaniu.

Życiu.

Młoda, silna i zakochana, nie widziałam żadnych przeszkód.

Ciocia, mądra mądrością dojrzałego wieku, a może przyzwyczajeniem do bierności, do dryfowania razem z prądem zdarzeń - też nie

74

stawiała przeszkód.

Dała mi nawet trochę pieniędzy i złoty łańcuszek:

"Jak cię przyciśnie, Stasińko, to sprzedaj, nie turbuj się, ino sprzedaj.

A jak jeszcze źle będzie - to wróć, Stasińko, wróć.

No, z Bogiem, dziecko.

Co komu pisane!

".

Takiej przemowy, zdrobnienia "Stasińko", nie słyszałam jeszcze ani razu z ust cioci Małgorzaty i już nigdy nie miałam usłyszeć.

Wzruszona, ale i zdecydowana dokonać rzeczy wielkich, zdobyć miłość, zawód, zaznać szczęścia -ruszyłam w tydzień powizycie Romana doOpotowa.

Rozdział gwałtu.

Przez pierwszych kilka dni najbardziej obawiałem się powrotu mojego przezwiska. Zdażyłem niemal nim zapomnieć, w szkole byłbym już tylko Tomkiem, dość lubianym i, z uwagi na skrzypcowe sukcesy, całkiem popularnym.

Nasz dom zburzono przed czterema laty.

Mieszkańcy kamienicy Gerarda też od pewnego czasu siedzieli w teczach, borównież ich budynek przeznaczony był dorozbiórki.

Nie widzieliśmy się więc dość długo.

Mieszkanie dostaliśmy po drugiej stronie miasta;

ani razu nie odwiedziłem starych śmieci.

Pocztarnastych urodzinach bardzo wyrosłem, prześcignąłem nawet Mateusza, który został zawodowym pływakiem i mieszkał we własnym mieszkaniu w Warszawie.

Miałem taką głupią, naiwną nadzieję tchórza, że Gerard mnie niepozna, jeżeli zabardzo nie będę się do niego zbliżał.

On sam prawie nic się nie zmienił.

Wysoki, chudy.

Surowy wyraz twarzy, lekko dziki, maskował w szkole nieustannym uśmiechem.

Przez pierwsze dni był uprzedzająco grzecznym dla wszystkich - kolegów, koleżanek, nauczycieli.

Ze mną zamienił parę słów dopiero gdzieś po tygodniu.

I chociaż do tego momentu uduziłem się, że może zmienił mi się charakter, to już pierwsze nasze spotkanie rozwiało moje wątpliwości.

Dogonił mnie wtedy w drodze do tramwaju.

- Unikasz mnie.

Nie odpowiedziałem, nawet nie popatrzyłem na niego.

76

- Tomasz Bamblński.

Zdolny uczeń.

Dobry skrzypek.

Kurwa, Babol!

Nie poznaję cię!

- Odwal się, co?

- A chciało mi się płakać w tamtej chwili.

- I jaki niegrzeczny!

Babol, ty mi jeszcze będziesz z ręki jadł.

Tak jak kiedyś.

- Gerard, zostaw mnie.

Po co ciszkoła muzyczna?

- Nie twój interes.

Ty miękki byłeś, miękki zostaniesz.

Słuchaj, Babol, ja wiem, czego się boisz.

Nikt nie musi wiedzieć, co między nami było.

Nikt nie musi wiedzieć, jaki z ciebie Babol.

Możesz być sobie Tomek.

Ale ty tylko się wychył!

Albo jesteś mój człowiek, albo cię zgnoję.

Wychył się, spróbuj!

- I na odchodnym uderzył mnie z całej siły pięścią w żołądek.

Zwinąłem się, przykucnąłem.

Cios był tak niespodziewany i silny, że długo nie mogłem się wyprostować.

Dokuśtykałem do bramy i tam doszedłem do siebie.

Płakałem.

Z bólu, ale i z wściekłości.

Na własnego pecha, na własną bezsilność.

Gerard w szkole mi się nie naprzykrzał.

Szybko, bo już po miesiącu, może dwóch, zaczął pokazywać swoje prawdziwe oblicze.

Nauczycielom odszczekiwał niegrzecznie, nie uczył się, z niczego nie próbował nawet odpowiadać.

Tylko na puźonie grał znakomicie.

Jego nauczyciel był równocześnie prorektorem Akademii Muzycznej i roztaczał nad nim parasol ochronny, boszykował go na ogólnopolskie przesłuchania.

Nie wierzyłem, aby Gerard tam rzeczywiście chciał pojechać, niewierzyłem w jego zainteresowanie muzyką.

Zaczęto o nim szeptać niestworzone rzeczy.

Uczniowie i nauczyciele bali się zdrzeć z nim ze względu na jego przypuszczalne powiązania z gitowcami, którzy uprzykrzali życie całej okolicy.

Gerard uważano w szkole za ich przywódcę, nie jeden widział go z nimi w znakomitej komitywie.

Opowiadano sobie o brutalnych ekscesach, pobiciach, pocięciu żyłek i twardzieli jakiejś dziewczyny z pobliskiego liceum, o powybijanych szybach samochodowych i kradzieżach, o napadzie na listonosza.

To wszystko zaczęto wiązać właśnie z nim, ale bez żadnych dowodów, tylko na podstawie plotek.

77.

Kiedys kazał mi iść ze sobą.

- Będziesz robił z mojego goryla - śmiał się.

- Wielki jesteś, niktniewie, jakaz ciebie dupa.

Mordę na kłódkę ipatrz.

Może się czegośnauczysz.

Poszliśmydo warsztatu szewskiego.

Gerard wszedł, przywitał się właścicielem, gawędził z nim miło ze dwie minuty.

Szewc był mężczyzną prawie czterdziestoletnim, a mimo to mówił Gerardowi "perpan", gdy tymczasem on nazywał go poufale Mireczkiem.

- Babol - zwrócił się nagledo mnie - zerkaj przezdrzwi.

Nikt tunie może wejść.

Z Mireczkiem nazapleczu musimy pogadać.

Zaciągnął szewca za zasłonkę oddzielającą maleńki przedsiónekz blatem dla klientów od warsztatu.

Nie wiedziałem, co robić, jak się zachować.

Czułem, co siędzieje;

zżerał mniewstyd, zażenowanie- cóż ten biedny człowiek o mniepomysli?

Ale idręczył strach: bałem się uciec i narazić na późniejszeniezadowolenie Gerarda, a jednocześnie mdliło mnie na myśl,co sięstanie, gdy do warsztatu ktoś wejdzie.

Wszystko jednak trwało zaledwie trzy, cztery minuty i nie zdążyłem się na nic zdecydować.

Zzasłonki dochodził zduszony szept szewca i spokojne, rzeczowe groźbyGerarda:

- Jak chcesz, Mireczku.

Córeczka ma na imię Iwonka?

- Jakaśbłagalna odpowiedź.

-Masz czas do jutra.

Iwonka też.

A dzielnicowymsię nie przejmuj.

Kumple znają twójadres, a mnie i taknic niezrobiją.

Gdy wyszedł zza zasłony,dojrzałemszewca siedzącego z twarząw dłoniach.

Zdawało mi się, że płacze.

Chyba słyszałem szloch.

Gerardpopatrzył na mnie:

- Dobrze się spisałeś, Babol.

Będą jeszcze z ciebieludzie.

Idziemy.

Czemu jestem tchórzem?

Co on mi może zrobić?

Pobije mnie?

No to co?

- Popatrz, Babol.

taki Mireczek, no nie?

Chceżyć.

A dla tchórzy niema miejsca na świecie.

On już nie żyje.

On się boi.

Ty też jesteś mięczak.

Tchórz.

Chciałbyś mi dokopać, no nie, odgryźć się?

Pluć na takich jak ty.

Nie odezwałem się ani słowem.

Pozwolił mi odjechać tramwajem do domu.

y

Innym razem kazał mi czekać na siebie w parku, koło stawu.

'Przyprowadził mężczyznę, który na pierwszy rzut oka sprawiał niemal chłopięce wrażenie: drobna, choć sprężysta sylwetka, wygolona z pietyzmem twarz aniołka, w której świeciły wielkie, niebieskie i jakby rozmarzone oczy.

Ubrany był w czarne spodnie i czarny półgolf, grubym niemal jak sweter, pomimo ciepłego dnia.

Włosy miał ogolone w tonsurkę, a pod szyją bieleła mu się trochę przybrudzona.

koloratka. Dopieroż bliska zobaczyłem, że to ktoś w ściągacz golfa wplótł kilkanaście jasnych nitok.

Z daleka złudzenie było niemal doskonałe!

- To jest właśnie Babol.

Co o nim sądzisz?

Jasne, promienne spojrzenie prześlizgnęło się pomnie.

Wzruszył ramionami.

- Dupek.

Gerard zaniósł się głośnym śmiechem, jakby usłyszał najlepszy dowcip.

- Ty jesteś genialny, Księżyk.

Nikt tak nie potrafi.

Jedno słowo.

Dupek.

W dechę.

- Słuchaj, ty - geniusz nie patrzył na mnie, wciąż z uśmiechem wpatrywał się w powierzchnię wody - dupku.

Znasz się na tym?

- I pokazał mi najnowszy model polaroida.

- Nie znam się.

- Zgłupiałem całkowicie.

Nic nie rozumiałem.

- Weź - szczerknął, nagle gasząc uśmiech.

Wzięłam aparat do ręki.

Pierwszy raz widziałem takie cacko.

- I słuchaj.

Mamy mały problem.

Trzeba załatwić zdjęcia.

Ty to;

zrobisz, dupku.

- Ja? Skąd ja?

'Księżyk wzruszył ramionami.

Popatrzył z tym swoim anielskim uśmiechem na Gerarda.

- Wiemy, gdzie pracuje twoja matka, Babol.

- Gerard był jak usta 'mistrza, któremu nie chciało się nawet mówić domnie.

- Wyciągniesz od niej.

Popatrzyłem na Gerarda zdumiony.

- Skąd w "Foto-optyku" wezmą ci klisze do polaroida?

A i tak moja mama jest chora.

- Czy dupek coś mówi?

- Nie, Księżyk.

Nic.

Babó, ty nic nie mówiłeś, nonie?

Przełknąłem ślinę.

- Mama leży w łóżku od dwóch tygodni.

Jest poważnie chora.

- Zamknij się - Księżyk znów szczekał, - Kto to idzie?

Staliśmy wśród drzew, niedaleko przebiegała ścieżka, po której ktoś nadchodził.

Gerard pobiegł w tamtą stronę i po chwili przyprowadził dziewczynę, wykręcając jej rękę do tyłu.

Była niezbyt ładna, jakaś takasza, może rok ode mnie młodsza, może starsza.

Ubrana w niebieską sukienkę i podniszczone tenisówki.

Niby próbowała uwolnić się z uchwytu napastnika, ale jakoś tak bez przekonania, strachliwie.

Księżyk ożył na jej widok, z jego twarzy zniknął uśmiech.

Podszedł do niej z wyszczerzonymi okrutnie zębami.

- Co to?

Spacerek?

Mamusia paniencenie mówiła, że w lesie są wilki?

Dziewczyna wyrwała się z rąk Gerarda, ale Księżyk błyskawicznie złapał ją w pól i przewrócił na trawę.

W jego rękach pojawiła się brzytwa.

Nie zauważyłem, gdzie ją wcześniej trzymał.

- A to panienska zna?

- Dziewczyna zamknęła oczy, przerażona.

- Leż spokojnie, to jutro będziesz jeszcze jakoś wyglądać.

Ściągał jej majtki, nie natrafiając na żaden opór.

Brzytwa w rękach potwora jakby sparaliżowała ofiarę.

Byłem świadkiem przygotowania dogwałtu.

Zerknąłem na Gerarda.

Wpatrywałem się szefa z uśmiechem, a na moje osłupiałe spojrzenie tylko przyłożył palec do ust.

Miałem ochotę uciec, krzyknąć, zrobić cokolwiek, a tylko stałem i patrzyłem na wystające między czarnych plam golfu i spodni tyłek.

Jasni owłosiony.

Naznaczony śmiesznym znamieniem w kształcie gruszki.

Cały w blade piegi.

Podrygujący teraz rytmicznie.

Księżyk popatrzył na mnie.

Na jego twarzy malował się grymas strasznego wysiłku.

80

- Cykaj, dupek!

- Wlepiłem w niego nic nierozumiejące spojrzenie.

- Cykaj, no już!

- Rób zdjęcie, Babó.

- Gerard podszedł do mnie i szturchnął boleśnie między zębra.

Przyłożyłem aparat do oka.

W okienku cała scena wydawała się nieprawdziwa, przekłamana, za spokojna.

Księżyk wykrzywił się doobiektywu, starał się przywołać na twarz swój anielski uśmiech.

Ponaglony kolejnym kuksańcem, nacisnąłem migawkę.

Polaroid wydał sobie serię charakterystycznych odgłosów, z przodu wysunęło się zdjęcie, a

Księżyk zaczął w tej samej chwili jęczeć, prawie kwilić.

Zszedł zaraz z dziewczyny, która nawet nie drgnęła, dalej leżała zamkniętymi oczami i rozrzuconymi na bok nogami.

Siłą rzeczy zerknąłem na nią.

Biały brzuch, jedna pierś wysunięta z dekoltu sukienki, całkiem spora, jak natak młodą osobę.

Gąszcz czarnych łonowych włosów jednocześnie kusił, przerażał i podniecał.

Mój członek, jakby wbrew woli, boleśnie nabrzmiął.

- Nie gap się, dupek.

- Księżyk stał koło mnie, oglądał zdjęcia.

- Do roboty.

Popatrzyłem na niego, mając nadzieję, że się przesłyszałem.

Chociaż gdzieś, w głębi umysłu, schowana nasamo dno, taka możliwość szemrała po cichutku.

Ale co innego nieświadomie o czymś pomyśleć, a co innego - wprowadzić to w życie.

- Co?

Ja?

- Zabieraj się.

Gerdi lubi być na końcu.

Jak już jest wysmarowane.

- Zarechotali obydwaj.

Gerard zakładał w tym czasie nowe zdjęcie do polaroida.

- Słyszysz?

- Jego oczy były pełne blasku i radości.

- Dupek, ja nie lubię powtarzać.

- I w jego rękę znów błysnęła brzytwa.

Stałem nad wciąż nieruchomą dziewczyną.

Cóż to za uczucie.

Jakie rozdwojenie.

Na poziomie świadomości, wszystko przed tymczasem wzdragało się we mnie.

Ale szczerą ciekawości, niezdrowego podniecenia, dawał o sobie znać coraz mocniej.

81.

Przecież mnie zmuszali!

Ukląłem.

Żadnej reakcji dziewczyny.

Rozpiąłem spodnie.

Któryś z nich popchnął mnie ku niej.

Prawie przydusił nogą do ziemi.

- Pospiesz się, Babol.

Ja czekam!

Kiedy pchnąłem pierwszy raz, sumienie niemal zajęczało; już niepotrafiłem się oszukiwać.

Zmuszony czy nie, gwałciłem inną istotę, czułem jej oddech, w którym rozpoznawałem zapach śmietankowych lodów sprzedawanych w cukierni koło warsztatu szewca; widziałem na jej palcu pierścionek z bursztynowym serduszkiem, brud za paznokciem, żółta trawa we włosach.

Nie czułem tylko jej bólu, niepotrafiłem go sobiewyobrazić.

W gardle narastał gorzki przedsmak wymiocin.

Wzdrygnąłem się, zatrząsałem cały.

Mój członek wiotczał, traciłem erekcję.

- Tutaj patrz - Gerard zadarł mi głowę, usłyszałem pracę aparatu.

- Dobrze.

Poruszałem się w niej na niby.

Powstrzymując mdłości, zastanawiałem się, czy on coś zauważyli.

Ale Gerard jeszcze raz pociągnął mnie za włosy, Księżyk zrobił kolejne zdjęcie, po czym wstałem, wciągnąłem majtki, zapiąłem spodnie.

Czułem obrzydzenie do siebie, do tej dziewczyny, tak biernej, nawet nie próbującej protestować.

Gdzieś bardzo głęboko czułem też żal, że mi się nie udało, że z całej tej historii nie wyniosłem nawet zwierzęcego zadowolenia.

Teraz pochylił się nad nią Gerard, przewrócił na brzuch i podniósł do kłęczek.

Dopiero wtedy wpasowała się między pośladki; jedną ręką tukała po pupie, drugą trzymała włosy, wykręcając jej głowę do góry.

Pierwszy raz dziewczyna zajęczała, ale tak jakoś cicho, bez przekonania.

Na szyi miała łańcuszek ze srebrnym Jezuskiem.

Taki tani, tandetny.

Wizerunek Chrystusa był zaśniedział.

Wyraz męki na jego twarzy wrył mi się w pamięć na długo, miał mnie prześladować przez wieki nocy.

82

Księżyk robił kolejne zdjęcie.

Zmienił kliszę i z promiennym uśmiechem podszedł do dziewczyny z przodu.

Uklęknął i próbował uchwycić jakieś ciekawe ujęcie tej pozycji.

We mnie coś pękło, przebrało się.

Czułem wymioty już w przełyku.

Odwróciłem się zacząłem uciekać.

Ani przez chwilę nie pomyślałem o udzieleniu pomocy.

Po kilkudziesięciu metrach przystanąłem, wyrzygałem co mogłem i pobiegłem dalej.

Nie zatrzymałem się nawet na przystanku tramwajowym.

Biegłem dalej, potracając ludzi, zataczając się, aż serce odmówiło dalszego wysiłku.

W pobliżu była ławka.

Usiadłem.

Z twarzą w dłoniach odzyskiwałem oddech.

Nie myślałem o niczym.

Nicnie pamiętałem.

Ktoś stanął nade mną.

Bąłem się podnieść głowę, obawiając sięwidoku rozradowanych oczu Księżyka lub okrutnego uśmiechu Gerarda.

Chciało mi się wyć!

- Stało sięcoś, chłopcze?

Zpobliskiego skrzyżowania zszedł kierujący ruchem milicjant.

Stałprzede mną, ściągał wielkiemotorowe rękawice.

Jasne włosy miałskręcone w murzyńskie kędziorki.

Uśmiechał się życzliwie, z troską.

Jak człowiek.

- Ja.

- Gdy zamykałem oczy, to był tam czarny golf Księżyka.

Terazwмамiam sobie, że widziałemteż brzytwę.

- Ja.

Tramwaj mi uciekł.

- Tak?

- Patrzył na mnie, kręcił głową z uśmiechem.

-Kiepskowsyglądasz.

- Nagle pochylił się do mojego ucha.

-Zapnijrozporek, bo ci ptaszek odfrunie.

Poczułem falę gorąca, słabości.

Byłem bliskizemdenia.

Widziałemjuż siebie w areszcie.

Ale milicjant tylkozaśmiał się ze swojego dowcipu i wrócił na skrzyżowanie.

Zaciągnąłem suwak.

Wstałem, bo milicjant zerkał na mnie cochwila, wciąż rozbawiony.

W tramwaju, popychany i potrącany, łykałem gorzkie łyzy własnejbezradności.

83.

Federico!
Nawet nie myśl o tym.
Musisz wiedzieć, że twoje skrzypce są dla wielu ważniejsze od ciebie.
Polska to nie jest kraj dzikich ludzi.
Przyjdą, będą wiatować, cieszyć się, bić brawo, żądać bisów, dlatego musisz grać na stradivariusie!
Nic innego nie wchodzi w grę.
Impresario zaznaczył to specjalnie.
Bez stradivariususa nie możesz tam jechać.
Niemarudź.
Przecież rozmawiałam już z ubezpieczycielem.
Żądają wyższej stawki niż zwykle, ale to pokryją Polacy.
Dla nich to jest wydarzenie na cały kraj.
Federico Camparo, największy wirtuoz dwudziestego wieku, gra Wieniawskiego na skrzypcach największego lutnika wszech czasów, Antonio Stradivariiego!
W Polsce!
Czy ty wiesz?
Tam niema ani jednego stradivariususa.
A przecież to wielki kraj.
Ja tam mieszkałam kilka lat jako dziecko.
Mało pamiętam, ale Deborah mówi, że oni strasznie lubią obcych.
A Włochów wprost ubóstwiają.
Ich kobiety podobno nie mają zagrosz honoru, jeżeli rzecz dotyczy obcokrajowca, więc muszę z tobą jechać.
Będę cię pilnować.
Claudia tego nie potrafiła, całe szczęście.
Tylko dlatego poznałeś mnie i pokochałeś.
Za tę jej głupotę powinniśmy codziennie dziękować Bogu.
Parvenza mięknie.
Spuścił już początkowej ceny dwadzieścia pięć milionów.
Pewnie, to dalej nie jest tanio.
Ale co to dla ciebie.
Pach, kilka koncertów, udane nagrania, wielki tournee i odrobimy straty.
A Parvenza, czuję to, będzie skłonny do dalszych ustępstw.
Nie.
Nawet nie chcę słyszeć o innej willi.
Przecież szukaliśmy razem i tobie też się podobała.
To ma być miejsce na całe nasze życie.
Będziemy tam niebiańsko szczęśliwi.
W miejscach tak pięknym i spokojnym znikną wszystkie problemy.
Również te twoje, no, wiesz.
Gdy każdego ranka usłyszysz śpiew słowika, zobaczysz, jak przechadzam się po parku, wśród pielęgnowanych własną ręką róż, odżyjesz, inaczej spojrzysz na świat.
Federico, my tam po prostu musimy zamieszkać.
Będę nieopisanie szczęśliwa, jeżeli to się nie uda.
Chyba nie chcesz oglądać mojej rozpaczy, patrzeć na moje łzy, które będę wylewać po cichu, dyskretnie, na stronie.
No, powiedz?
Nie chcesz tego, prawda?

Wiedzia84

łam. Deborah mówi, że mężczyźni nie potrafią kochać kobiet.
Alejak się ma za męża takiego sztywniaka jak Gasparo.
Co onamożewiedzieć o prawdziwym mężczyźnie, wielkim artyście, wirtuozie.
Co innego sprzedawać samochody, co innego tworzyć sztukę, dostarczać ludziom wzruszeń,
radości, uniesień.
Obcować z mistyką.
Tworzyć iluzję z dźwięku.
Och, Federico!
Kochanie!
Czy ty mniechoćtrochę kochasz?
Federico!
Ty jesteś nie tylko mistykiem!
Federico!
Francesca może wejść w każdej chwili!
Ooo.

Znowu dzwonię zbudki,więc będę się streszczać.
Wyjazd jest dogranyi zapięty na ostatni guzik.
Terminy bezzmian.
Musisz przekazać Księżykowi, że mój staruszek bardzo pedantycznie przestrzega przerw, więc
niebędą mieli na robotę zbyt dużo czasu.
Nad sposobem wywabienia goz garderoby muszę jeszczepomysleć.
To powinno być coś nagłego, niespodziewanego i tak zaskakującego, aby zapomniał o
skrzypcach i je zostawił.
Musisz przekazać Księżykowi dokładny plan filharmonii.
Dobrzeby też było, gdybyś wcześniej wiedział, w jakim pomieszczeniu.
No właśnie.
Jeżeli pokój dla solistów jest duży i wygodny, to Federico na pewno gozajmie.
Zresztą będzie jeden dzień na ewentualne korekty.
Ale to ty musisz zadbać, aby oni bez problemów dostali się do środka.
Z drabiną i robotnikami to świetny pomysł.
Zamknięte okno?
Przecież możesz tam wejść wcześniej i coś pokombinować.
Słuchaj no, mój drogi, śliski pierdoło, nie uda ci się i zarobić, i jednocześnie rączek nie
ubrudzić.
Wszyscy ryzykujemy.
A ty, pamiętaj, przy okazji spłacasz też swoje długi.
Nie tylko względem mnie.
Przecież i tam, na miejscu.
No właśnie, postaraj się więc, mój drogi, bo inaczej.
Miałam ze sobą starą walizkę, całkiem ciężką, więc idąc, pilnie się rozglądałam, czy
nie dałoby się z kimś zabrać.
Dopiero za Opieczółówkami trafił mi się gospodarz z wozem drabiniastym, który podwiózł
mnie do sąsiedniej wsi.
Stamtąd były jeszcze cztery kilometry

do pociągu.

Ruszyłam pieszo, ale jakiś inny gospodarz zabrał mnie aż pod Opotów, do sadyby, z której widać już było miasto.

Siedziałam na wozie, zadowolona z zaoszczędzenia pieniędzy na bilet kolejowy. Słuchałam głośnego uczyńskiego chłopca i odpowiadałam co jakiś czas zdawkowo, ale grzecznie, jak na młodą dziewczynę przystało. Siedziałam tak i marzyłam o Romanie, jak wyjdzie mi na przeciw, weźmie w ramiona i ucałuje, tym razem mocno i prawdziwie.

"Cieszę się, że panna Stasia przyjechała.

To my już razem teraz zostaniemy".

Poczym zaprowadzi mnie do swego domu, małego i schludnego, przeniesie przez próg i posadzi na pięknie zastawionym stole.

"To już teraz nasze.

Moje i twoje - powie.

- Czekałem wszak na ciebie, moja ty perło, całe życie!

".

Wóz trząsnął, byłam rozmarzona i podniecona, w brzuchu czułam coś takiego jak wtedy, gdy Roman na mnie patrzył, wioził na motorze, a potem muskał moje wargi.

"Tak, co za nieszczęście" - odpowiadałam grzecznie gospodarzowi, gdy opowiadał o wzdęciu u najmłodszej krowy, a chciało mi się śmiać z radości, krzyżeć o swojej młodości, szczęściu i urodzie.

"To mu się przytrafiło" - mówiłam z współczuciem o synu sąsiada, co za Niemców narzeczoną w strzelaninie utracił, a przed oczami miałam pokój z firaneczkami w oknie, pelargoniami na parapecie i własną twarz wpatrzoną w uśmiechniętego Romana, który, idąc do pracy, odwraca się do mnie i macha ręką na pożegnanie.

Były też myśli nieco gorętsze, ale wystrzegałam się ich - chyba ze względu na obecność obcego gospodarza.

Ostatnie dwa kilometry przeszłam napiechotę.

Pogoda zmieniała

' ; Sięz każdą minutą, teraz już na pewno zanosilo się nadeszcz.

Nagle zrobiło mi się zimno.

Maszerowałam szybko, aby nie zmarznąć.

Jeszcze daleko było do zmierzchu, gdy stanęłam przed szpitalem.

Nie było żadnego potężnego budynku.

Raptem dwupiętrowy i położony trochę na uboczu, ale za to pełen powagi i dostojności starych budowli, zimny i wyniosły zarazem.

Nie chciałam trafić tu ciężko chora, niewyczuwałam w tych murach obietnicy wyzdrowienia.

86

Przed wejściem stały dwa motory i kilka samochodów, jeden podobny do tego, na którym Roman przyjechał do nas.

Skrzypiące drzwi zaraz za nim idzie z dozorcą, starym i powykrzywianym.

"Do kogo?"

"Wizyt dzisiaj nie ma".

"Ja do pana Romana.

Na pewno pan go zna".

"Do Romka?"

To od tyłu trzeba, takie szare drzwi z białą belką pośrodku i zaraz na dół.

Tam już go będzie słychać".

"Dziękuję panu.

Znajdę".

"A panienska co?

Krewna?

". "Tak, tak.

Nie, nie krewna.

Ale prawie".

Już biegłam, niecierpliwa, spragniona widoku najmilszego.

Niekrewna -powtarzałam w myśli.

Walizka nagle stała się lekka, wyładowana puchem szczęścia.

Nie krewna, ale właśnie ukochana, najmilsza, jedyna.

Z tyłu szpital robił jeszcze bardziej obskurne wrażenie.

Brud, błoto, pomyje wylewane wprost na ziemię, sterta odpadków kuchennych w rogu podwórka, jakieś cegły i deski przełożone przez kałużę.

Były drzwi.

Była na nich biała belka.

Niezamknięte.

Weszłam.

Serce chciało uciec piersi, wyrwać się na wolność.

Schody na dół.

Ponura, ciemna piwnica.

Kurz i pajęczyny.

Z jednego pomieszczenia dobiegały dziwne odgłosy.

Szurania i posapywania.

Stałam w progu.

Zobaczyłam Romana.

Nagi do pasa, wrzucał do wielkiego pieca szuflę węgla.

Cały w pył, wszędzie kurz, a on miarowo nabierał czarne kamienie, wykonywał zamach i ciskał zamazaną smugę w płomień.

Jak Hefajstos, jak władca ognia, zamierzchny bóg, wciąż pełen mocy.

Byłam tak zdumiona, zaskoczona nie tylko tym, że Roman okazał się zwykłym palaczem, ale i wykonywaniem takiej czynności w środku lata, chociaż dzień, upalny poranek, zrobił się teraz całkiem chmurny i zimny.

A on pracował, jakby nigdy nie zaznał odpoczynku i spokoju, jakby zżerał go wewnętrzny ogień, każąc wciąż dorzucać węgliw tę nienasyconą, diabelską otchłań.

Wciąż mnie nie widział, a ja w tej nowej sytuacji zaczęłam dopatrywać się dodatkowego romantyzmu, znajdować w jego fizycznej pracy wartość nieoczekiwaną dodatnią.

Zresztą co ja sobie wyobrażałam, jadąc tutaj?

Że on jest lekarzem?

Dyrektorem?

Sama nie wiedziałam, zbита z tropu szukałam dobrych stron zastanej sytuacji.

Zauważył mnie, dostrzegł kątem oka, gdy wrzucał kolejną porcję do pieca.
Nie przerwał pracy od razu, nabrał jeszcze kilka szuflii dopiero wtedy popatrzył na mnie
"urzędowo", ocierając przy tym pot z czoła.

"Przyjechałaś?"

Posiedź se tam".

Wskazał mi blat niedalekopieca, dość niski, ale było to jedyne w miarę czyste miejsce
w kotłowni mogłam go stamtąd widzieć.

On mnie też.

Postawiłam walizkę w progu.

Usiadłam.

Obserwowałam grę jego mięśni, ciało mocarza, oproszone pyłem, w którym strużki potu
spod pach, z karku, torowały sobie jaśniejsze ścieżki, żłobiły mu tors, spływały po brzuchu i
ginęły w spodniach.

Był wspaniały.

Znowu czułam w brzuchu gorączkę, podchodziła mi do piersi, dławiała.

"Po coś przyjechała?"

"- spytał z nagłym marsmem na czole, wpatrując się w moją walizkę.

"Przyjechałam do ciebie, tak jak mówiłeś".

"Trzeba było dać znać.

Tak jest kłopot".

Stał przede mną, dyszał ciężko.

Wpatrywałam się już teraz tylko wemnie, aż poczułam w krzyżu jakiś irracjonalny strach, taki
dziwnymiały wzrok.

To nie był wzrok Romana z motoru, z majowego dnia, tylko jakiś obcy, drapieżny.

"Sama jesteś?"

No! - ponaglił mnie, gdy zastanawiałam się, o comu chodzi.

- Jestz tobą cioteczka?

".

"Nie, ja do ciebie.

Romek, przyjechałam".

"Do mnie?"

No, to chodź tu!

".

Jednym ruchem ramienia położył mnie na blacie i ściągnął mimajtki.

Zaskoczona i przestraszona, ale w jakiś podświadomy sposób przygotowana na taki obrót
zdarzeń - całym dniem, podróżana wozie, marzeniami pełnymi męskiej siły i domowego, nie
całkiem przeciętelnego ciepła, spodziewanym zwrotem życia na bogatsze,
różnokolorowe, żywsze tory - podniecona tylko doznaniem, nie protestowałam.

Pozwoliłam się bez czułości, bez względów dla megodziewictwa, tak prosto i
siermiężnie, wbrew zasadom wiary i w całkowitej sprzeczności z moimi wyobrażeniami
ofizycznej stronie miłości, jej subtelnościami i niuansami.

88

Czemu na to pozwoliłam?

Czy to była rzeczywiście tylko bierność zaskoczenia?

Wstyd może, bo przecież sama przyszłam, przejechałam szmat świata, wprosiłam się niejako.

A może było w tym coś z widoku męskiego ciała przy pracy?

Zagadki nieznanego?

Jego pierwsze ruchy wemnie nie były przykre.

Dopiero gdy wszedł całą mocą, do końca, gdy poczułam pęknięcie, rozdarcie na strzępyniewinności i nieświadomości dziewczęcej, gdy zaczęło szczypać piec, i boleć w końcu - wtedy dotarło do mnie, co się naprawdę dzieje.

Na szczęście zanim to zrozumiałam miałam czas uzależnić się od swą naiwnością, Hefajstos nade mną wydał zduszony jęk, zamknął oczy: "Ooo, uuu, aaa.

" -rozległo się w kotłowni, i już zapinał spodnie, a po chwili pracował szuflą w poprzednim rytmie.

"Dzisiaj możesz spać u mnie.

Na noc robię.

A jutro sobie coś poszukasz".

I tak to się zaczęło.

Po kolacji w szpitalnej kuchni zasypiałam na żelaznej pryczy pełna obawo nadchodzące godziny, bo następnych "odwiedzin" tej nocy bym już nie zniosła.

Ale on mną się nie interesował, a gdy o szóstej rano nadszedł jego zmiennik, stary Szczepan, i Roman zawitał do swej izdebki, ja już czekałam na krzesło poddrzwiami, podziękowałam za gościnę i wyszłam.

O ósmej zgłosiłam się do dyrektora szpitala jako chętna podjąć pracę salowej.

Nie dziwił się, o nic nie pytał, kazał wypełnić jakieś drukarki, podpisać tu i tam, i już.

Miałam pracę, mogłam zacząć od jutra.

Nie zagłądałam tego dnia do Romana.

Chodziłam po mieście szukałam pokoju.

Pewnie długo by to trwało, bo w kilkunastu miejscach mi odmówiono, gdybym nie natknęła się na starego dozorcę ze szpitala, powykrzywianego pana Franciszka.

Poznałam go, zapytał, czego szukam.

I pomógł.

Zaprowadził mnie trochę za miasto, gdzie w niewielkim domu gospodyni wynajmowała pokój czterem paniąkom.

Akurat jedno miejsce było wolne.

Po wysłuchaniu, co jest dozwolone, a co nie, mogłam się wprowadzić.

Tuznowu zadziwił mnie pan

89.

Franciszek.

Słyszając, że moje rzeczy są u Romana, podjął się przesłaćmi je przez swojego wnuka Jędrka, który miał rower z bagażnikiem.

Mogłam więc zostać u mojej gospodyni, pani Genowefy, i odespać nerwową krótkąnoc, czego bardzo potrzebowałam.

Umyłam się najpierw, w ciepłej wodzie, w miednicy.

Kiedy dotykałam swych intymnych, tak znanych i naturalnych dla mnie miejsc, byłowtym teraz coścałkiem nowego, obcego.

Z mego łona szło przez palceniespokojne drzenie, nie myłam się już obojętnie, mechanicznie. Przedoczamistawał mi Romek, czułam jego ruchy we mniei nie sprawiały mite myśli przykrości.

Raczej rozbudzały na nowo ten wczorajszy żar, przygaszony zbyt nagłym wtargnięciem kochanka we mnie.

Zastanawiałam się, leżąc już w łóżku i nie mogąc powstrzymać się przed trzymaniem ręki między udami, co to znaczy?

Tak zasnęłam, z obrazem torsu spoconego Hefajstosa przy węglowym piecu.

Gdy zaczęłam pracować w szpitalu, zrozumiałam, dlaczego Romek, na zmianę ze Szczepanem, mieli pracę również latem.

Z tych murów wiało mrozem nie tylko od frontu.

Gdy był upał i można było wietrzyć pomieszczenia - wtedy w środku panował przyjemny chłód.

Ale kiedy tylko zaszło słońce, zerwał się wiatr i trzeba było pozamykać okna - zimno stawało się wszechogarniające.

Wówczas pracującą pełną parą kotłownia ledwo utrzymywała w budynku kilkanaście stopni ciepła.

Poza tym tuż nad kotłownią znajdowała się pralnia, która nieustannie korzystała z gorącej wody.

Do pracy w szpitalu "wdrażała" mnie stara kobieta, pani Szuszałło.

Gderliwa i wiecznie niezadowolona, ale raczej niegroźna.

Moje obowiązki były proste, tylko niezbyt przyjemne.

Mycie ubikacji, podłóg w salach i na korytarzach, szorowanie schodów.

Podtykanie basenów, prześcielanie brudnych łóżek, przynoszenie wody i obmywanie starychciał z brudu choroby zwanej życiem.

Mycie kuchni, czasami również garów.

Zabieranie brudów do pralni, rozwieszanie mokrej bielizny, przynoszenie potem suchej na oddziały i segregowanie.

A jednak wykonywałam te proste czynności z zapaleni radością.

Nie zniechęcał

90

mniesmród kału, odór rzygowin, całe szklanki płwocin i pokrzwawionych szpitalnych łachów.

Nic nie było wstanie umniejszyć we mnie poczucia niezwyklej wagi tego, co robię.

I było tak, że moja radość z życia udzielała się pacjentom: ludziom częstoskazanym już na śmierć przynosiłam uśmiech i wywoływałam go na ich twarzach.

Kładąc rękę na ramieniu chęrlającej staruszki, ścierając pot z czoła pięćdziesięcioletniego mężczyzny, podając szklankę wody swojej rówieśniczce, usychającej od zagadkowej gorączki - robiąc to wszystko z promiennym uśmiechem, pomagałam im bardziej, niż mogły pomóc pigułki i zastrzyki przepisywane przez lekarza, a aplikowane przez pielęgniarkę zaciśniętych ustach i gniewnych oczach.

Robiłam to nieświadomasili własnego optymizmu, nie zastanawiając się nawet, skąd on sięumnie bierze.

Już po kilku tygodniach zauważył mnie jeden z lekarzy, człowiek starszy, pełen zasady miłoścido uprawianego zawodu.

Doktor, który cierpiał razem ze swoimpacjentem, który próbowałw tychczasach powszechnego niedostatku, bałaganu i tumiwisizmu zachować godność - własną i pacjenta. Dzięki niemu zaczęto mi zlecaćcoraz więcej zadań związanych z opieką nad chorymi, mniej zaś miałam szorowania i sprzątania.

To on kazał mi zgłosić się do miejscowejzawodówki na kurs dlapiełgniarek, a nawet poszedł tam ze mną, boznałdyrektorkę prowadzącą szkołę.

Do Romka powtórnie wybrałamsiędopiero po tygodniu.

Chybawiedziałam, po co idę.

Nocami czułam żar wdole brzucha, któregonie gasiła własnaręka.

Myślałam o Romku, miałamprzed oczami jegomięśnie, kruczoczarne włosy, silnykark.

Czułam teżcoś innego, namysłó czym rumienie się do dzisiaj - czułam swoją do niegoprzynależność.

Jakby posiadłszy mniejako pierwszy, nabył specjalnych praw.

Przykre swędzeniei obtarcie szybko ustąpiły.

Po tych paru dniachpamiętałam tylko jego żądze, rozpaloną moim ciałem.

W nikiminnymżądzy jeszcze nierozpaliłam, a widaćw jakiś sposób tęskniłam dotego.

Teraz dopiero to analizuję, zastanawiam się nad sobą, niespełna osiemnastoletnią dziewczyną, która robiła dużo, a myślała mało.

Bo Roman mnie nie nagabywał, nie widywałam go poza tymi krótkimi chwilami, gdy, szorując schody, zerkałam na tył szpitala, gdzie on palił papierosa z pomocnikiem kucharza, Edmundem Przyborą, mężczyzną nędznej postury, który jednak budził we mnie lęk swym dzikim, nieokiełznanym spojrzeniem.

Miał czarne, pozlepiane od brudu włosy, haczykowatą nos i nieproporcjonalnie wielką głowę. Przyrosłym, wspaniałym Romanie wyglądał jak karykatura człowieka.

Mimo to nawet z daleka widać było, kto w tym ich duecie wiezie prym.

To Romek wpatrywał się w Edmunda jak w obraz, śmiał się z jego dowcipów, przymilał, częstował papierosami.

Tamten zaś wyniośle pozwalał się adorować.

Po tym tygodniu, już wtopiona w szpitalne otoczenie, poszłam więc do niego.

Znow kazał mi na siebie poczekać parę minut na tym samym blacie.

Powtórnie, bez słowa prawie, ściągnął mi majtki i posiadł jak swoją, naturalnie i zachłannie.

A ja, czując go w sobie, doświadczyłam ogromnej radości, którą musiałam się z kimś podzielić.

Bezinteresowną pomocą, troską i promiennymi uśmiechami oddawałam ją

tym najbardziej potrzebującym, czyli otaczającym mnie pacjentom.

Byłam pełna mocy płynącej nie tyle z serca, co - chociaż bałam się tak nawet pomyśleć - z łona.

Tak, bałam się myśleć i wielu rzeczy nie umiałam wtedy nawet nazwać.

Weszło mi w zwyczaj to zachodzenie do Romka w wolnej chwili.

Przed posiłkiem zbiegałam do mego Hefajstosa, sama już ściągałam w drodze majtki (tak było wygodniej, bo Roman częściej rzucał je byle gdzie) i zasiadałam na blacie.

On odprawiał ceremonię niezauważeniennie od razu, podchodził pochwili niby od niechcienia, a ja czekałam, coraz częściej również na własne spełnienie.

Bywały dni, gdy zaglądałam do niego i trzy razy, ale zdarzały się tygodnie, gdy nie byłam ani razu.

Nigdy nie pytałam go o nic, prawie nie spotykaliśmy się też poza szpitalem.

Po chwilach w kotłowni miałam więcej energii i zapалу do pracy, wieczorami łatwiej było mi się uczyć, rankami wstawać.

Tryskałam zdrowiem i werwą.

Miałam piękną cerę, błyszczące, szczęśliwe

92

oczy, gęste, mocne włosy, zapracowane i zniszczone ręce, i pustą głowę.

Pustą, bo myślałam tylko o najbliższej godzinie, następnym dniu, nigdy dalej.

Gdzie podziła się moja wyobraźnia, karmiona przygodami opisanymi przez Curwooda, Londona?

Jak pogodziłam się z utratą marzeń o wielkiej wzruszającej miłości rodem z Żeromskiego czy Wiktora Hugo?

Nie pamiętałam o ciotce Małgorzacie, zamknęłam za sobą całe dotychczasowe życie, wmawiając sobie jego bezsensu nudę, przeciwstawiając mu chwilę obecną, gdy zajęta byłam przez wszystkie godziny dnia, a na sen poświęcałam tylko sześć godzin.

Wstawałam o piątej, bo od szóstej zaczynałam pracę w szpitalu.

Wolne chwile w ciągu dnia spędzałam u Romka, pełna szczęścia i upajając się nim z coraz większą rozkoszą, albo w kuchni, jedząc i wysłuchując pytań kucharek.

Bo sama wciąż prawie się nie odzywałam.

Napiąta szłam na zajęcia dla pielęgniarek i do szkoły wieczorowej, gdzie powoli szykowałam się do matury.

Do pokoju w domu pani Genowefy przychodziłam po dziesiątej, myłam się, prałam, gdy była taka potrzeba, i tuż po jedenastej szłam spać, by o piątej zacząć nowy dzień, znów pełna życia i radości, myśląc tylko o czekających mnie chwilach z Romkiem, ciepłe kuchennych plotek, szarych uśmiechach zboliałych ludzi w szpitalu i twardym skupieniu godzin nauki.

Niedziela nie była wcale moim ulubionym ani wyczekiwanyym dniem.

Wyrywałam mnie z tego "kieratu szczęśliwości".

Teraz się uśmiecham, ale wtedy tak rozumiałam swoje szczęście.

Naglesama, wolna od obowiązków, w otoczeniu obcych mi współlokatorek, które mizdrzyły się przed lustrem, przymierzały śmieszne sukienki, farbowały włosy, malowały paznokcie i robiły ćwiczenia na powiększenie swych mizernych piersi.

Z chichotem powiadały jedna drugiej, co której powiedział majster, a jak się uśmiechnął kierownik zmiany i co sobie pomyślał ten nowy dostawca, gdy Janka wyszła przed barak, a wiatr podwiał jej sukienkę, wywołując gwizd podziwu wśród palących papierosy mężczyzn.

Uczyłam się w takie dni, wkuwałam wiedzę pielęgniarstwa i ogólną, i tylko czytać nic nie musiałam, bo wszystkie zadane lektury znałam

z czasów wojny.

Czasami brałam w niedzielę dyżur, wtedy musiałam czymś zapełnić dopiero popołudnie.

Tak było łatwiej.

Ani razu nie poszłam do kościoła, nie napisałam ani nie pojechałam do cioci Małgorzaty.

Po prostu żyłam?

Może bluźnię, ale już nigdy później nie byłam tak szczęśliwa jak przez te trzy lata w opotowskim szpitalu.

Może było to wierzące, podstawowe i nieświadomione szczęście.

Może.

Ale czułam się piękną, prawdziwą kobietą: pożądaną i pożądaną, zaspokajaną i dającą spełnienie.

Chyba nawet myślałam, że to właśnie jest miłość.

Odbierałam całym sercem wdzięczność chorych i niedołączonych ludzi, którym przynosiłam - chwilowe pewnie - ukojenie i zapomnienie o cierpieniu.

Pracowałam ciężko, ale użyteczność tej pracy nie mogłaby być podana przez nikogo w wątpliwość.

Wzbudzałam zachwyt i łezkę oku starego doktora, który zawsze pytał mnie o postępy w mojej edukacji.

Uczyłam się, dążąc do zmiany życia, którą pełni mi odpowiadało, a w której każda zmiana musiała zburzyć tę przedziwną homeostazę.

Dlaczego nie zaszłam w ciążę?

Teraz już wiem.

Wtedy nie zastanawiałam się nawet nad taką możliwością.

Dlaczego nie czułam się wykorzystywaną przez Romana?

Bo wynosiłam z naszych spotkań, poza pierwszym razem, więcej chyba radości i zadowolenia niż on.

Dlaczego nie wyrzuciłam sobie życia w grzechu?

Bo nie myślałam tym w takich kategoriach.

Bo, jak pamiętam, w ogóle zastraszające mnie myślałam.

Pierwszym ostrzeżeniem były coraz bardziej zażyłe stosunki, jakie połączyły Romka z Edmundem Przyborą, pomocnikiem kucharza.

A ja, nawet zanim jeszcze zamieniłam z tym mężczyzną parę słów, już czułam do niego niechęć.

Starłam się schodzić z drogi, unikać go.

Po pewnym czasie stało się to trudne, Edmund Przybora bowiem zaczął odwiedzać Romka również w kotłowni.

Nie mogłam już teraz poprostu zbiec i zaspokoić się w ramionach mego Hefajs94 tosa.

Musiałam obserwować tamtego, patrzeć, gdzie jest, corobi.

Najczęściej wykorzystywałam na wizyty u Romka te momenty, kiedy jego kumpel dopiero co od niego wyszedł.

Aż kiedyś stało się.

Zauważyłam, że Przybora stoi przed szpitalem, pewnie chciał zapalić.

Miałam wolne pół godziny.

Szybko zbiegłam do piwnicy.

Poczekaliśmy zaledwie chwilę, zaczęliśmy we dwoje nasz rytuał.

Już blisko spełnienia objęłam głowę Romka rękami i otworzyłam oczy.

W drzwiach kotłowni stał Edmund Przybora i przyglądał mi się drapieżnym, dzikim wzrokiem.

Krzyknęłam.

Odepchnęłam Romka i próbowałam się ogarnąć.

"Nieźle zabawy sobie urządzaście.

Nie powiem, nieźle".

"Coty turobisz?

" - Roman również wyglądał na zaskoczonego.

"Jak jejtakłatwo idzie, to czemu i ja nie miałbym skorzystać?

". Odsunął Romka, od którego było głowę niższy, i przyparł mi niedo blatu, wciąż jeszcze zajęta poprawianiem spódnicy, bluzki i szpitalnego fartucha.

Krzyknęłam powtórnie, usiłowałam go odepchnąć, ale, mimo nędznej postury, był silny.

Był też bezwzględny.

Wykręcił mi lewą rękę do tyłu, aż zasyczałam z bólu.

Podsadził mnie z powrotem na blat.

Chwilę walczył z moimi zaciśniętymi nogami.

"Romek, zrób coś.

Ratunku, Roman!

". Teraz już panicznie wrzeszczałam, wywijając się, może udałoby mi się uwolnić, gdyby nie. Roman.

"Przytrzymaj ją zanogę, baranie" - zacharczał przez zaciśnięte zęby Edmund.

I mój bohater posłusznie złapał mnie za kolano i wspólnie otworzyli mnie, całkowicie bezbronną i przerażoną.

Nie trwało to długo, może minutę, może dwie, i mój oprawca wyjął tuż nade mną swój triumf.

Nawet nie bardzo bolało.

Gdy tylko się ode mnie odsunął, uciekłam.

Napół rozebrana biegłam po schodach.

Dopiero na ich szczycie zapięłam bluzkę, obciągnęłam spódnice i pozapinałam fartuch.

Zerkałam za siebie, w czeluść tak mi znanych schodów, ale nikt mnie nie gonił.

Gorzki, przeraźliwy szloch rozsadał mi piersi.

Tego dnia nie wróciłam już do pracy.

95.

Nazajutrz, po nieprzespanej nocy, wlokłam się do szpitala, mając w głowie ssącą pustkę, bo wiedziałam, że skończyły się raz na zawsze moje spotkania w kotłowni. Pewnie umiałabym Romanowi wybaczyć zdradę, ponieważ niejasno zdawałam już sobie wtedy sprawę, jak słabym jest człowiekiem. Czułam, że on nie zaplanował wczorajszego incydentu, że to tamten wysledził moje wycieczki nadół i domyślił się ich powodu. Chciałam wto wierzyć!

Ryzyko jednakistniało, a możliwość powtórnego znalezienia się zasięgu łap Edmunda Przybory napełniała mnie przerażeniami wstrętem.

Wiedziałałam jedno: nie spotkam się z Romanem, dopóki będziesz z tą kreaturą zadawał.

Bańka moich rozterek pękła sama u wejścia do szpitala. Stały tam dwa czarne samochody, do których ludzie w równie czarnych płaszczach wyprowadzali skutych kajdankami mężczyzn. Romana i Edmunda.

Ten motor, którym Roman przyjechał do Gzyntów, którym zachwyił całą wieś i mnie, nie był jego własnością.

Również skórzana kurtka, rękawice i buty zostały pożyczone ze szpitala.

Tylko spodniemiał wtedy swoje i żółtą apaszkę.

Motor jednak był jego wielkim marzeniem.

Własny, na który mógłby wsiąść w każdej chwili, nie pytając nikogo o pozwolenie.

Dla zdobycia pieniędzy zaczął kraść na spółkę z Edmundem Przyborą.

Węgiel, ziemniaki, jabłka, szpitalne prześcieradła, materiały remontowe.

Dopóki zachowywał umiar, nikt o niczym nie wiedział - bo prawie każdy coś tam kradł, wynosił, ale detalicznie, po trochu, ostrożnie.

Oni natomiast poczuli się hurtownikami.

Więc ich przyłapano.

Po pokazowym procesie, w czasie którego mówiło się nie o pospolitej kradzieży, ale, jak podkreślał prokurator, o DEFRAUDACJI państwowego mienia - używano więc słowa, którego znaczenie rozumiał może co setny mieszkaniec Opotowa - potym procesie skazano Romka na piętnaście lat ciężkich robót.

Uznanego za prowodyra.

Jego współnik dostał dwanaście.

Rozdział pierwszej miłości.

Kiedy Kasprzycki zakładał orkiestrę, mieliśmy po piętnaście lat.

Ja i Ela.

Od początku była moim głównym rywalem.

Niezwykle pracowita i sumienna, uchodziła wręcz za kujona.

Na skrzypcach wyczyła dziennie prawie tyle, co ja przez tydzień.

Lubiła być dla wszystkich wzorem, również przedmiotów ogólnokształcących.

Drugą klasie z matematyki.

Najlepsza z niemieckiego.

Bez problemów radziła sobie z chemią i fizyką.

W przedmiotach muzycznych - kształcenie słuchu, harmonia, nauka o muzyce - bezkonkurencyjna.

Kłopoty miał z polskiego, ale tylko takie, jak brak piątek.

Miała czwórki, bo nauczycielka wyraźnie jej nie lubiła.

To był koniec września, chodziliśmy do przedmaturalnej klasy, kiedy przypadkowo spotkaliśmy się w kolejce po lody.

I zaczęliśmy gadać.

Opowiadała mi o swojej fascynacji językiem włoskim i włoskimi skrzypkami - wirtuozami.

Uczyła się od dwóch lat włoskiego prywatnie i za miesiąc miała zdawać egzamin państwowy.

- Dla nas, muzyków, to wymarzony język.

Znamy z nut tyle pojęć, tyle określeń.

Largo, presto, vivo, con amore, grave.

Od razu czujesz się jak w swoim świecie.

Bardzo bym chciał poznać ten język tak dobrze, żeby móc przeprowadzić wywiad z jednym z włoskich mistrzów.

Najbardziej z Camparo.

- To ten, co się niedawno rozwiódł?

- Wykazałem się znajomością tematu.

- Tak.

Jego nowa żona grała kiedyś na fortepianie, ale jej nie szło.

97.

- Ale to dziwny facet.

Rzucił żonę, zostawił ją z czwórką dzieci, i to wszystko dla młodej
no, dziewczyny.

- Przecież to artysta!

Potrzebuje nowych wrażeń, silnych emocji.

A Constantina ma na pewno radości życia i energii w nadmiarze.

Jej rodzice byli rumuńskimi dyplomatami.

Jako dziecko zjeżdżała pół świata.

Pewnie ma szerokie kontakty w odpowiednich kręgach; i teraz mu pomaga.

Chociaż on jest taki sławny, że chyba żadne wsparcie jest mu potrzebne!

Ona jest jakby jego dobrym duchem.

i Jego muza!

- Todziwne, że ty, kobieta, tak mówisz.

Zawsze.

- Mówię, bo też jestem muzykiem.

Artystką.

Staram się zrozumieć.

Ktoś, kto tak gra, kto wkłada w skrzypce całą duszę, nie może być zły, nie może robić złych
rzeczy.

Tylko.

Może tylko niezrozumiałe dla wielu ludzi, którzy kierują się przyziemnymi pobudkami.

; - W ten sposób to można by wszystkim sprawdzić!

- Tomek, nie udawaj.

Zresztą jego syn jest już dorosły, jedna z córek też.

Wiesz, że on gra na stradivariusie?

- Potaknąłem.

- Po rozwodzie nie zostało mu prawie nic.

Żona go doszczętnie oskubała.

Niekochała go!

Zostały mu tylko skrzypce.

Czytałam artykuł o jego rozwodzie.

Po włosku.

Camparo chciał, żeby uznano jego skrzypce za zabytek narodowy, przedmiot o
ponadczasowej wartości, sąd jednak zakwestionował je po prostu jako pół miliona dolarów i nie
było dyskusji.

Musiał zostawić żonie wszystko, dopłacić sto tysięcy dolarów, a do tego jeszcze dochodzą
alimenty!

- Sto tysięcy?

Ale forsa!

Skąd ludzie mają tyle pieniędzy?

- Camparo zarabiał krocie za koncerty i za nagrania.

To najlepszy włoski skrzypek!

Według mnie nie tylko włoski.

Słyszałeś jego Bacha?

- Nie.

Myślałem, że on chętniej gra Paganiniego albo Sarasatego.

- Wcale nie!

To tylko taka.

Bacha gra cudownie.

Inaczej niż wszyscy.

- A Kasprzycki go nie lubi.

- Todziwne.

Teodor ma raczej dobry gust.

98

- No właśnie!

- zaśmiałem się.

- Jak chcesz, możesz pójść do mnie i posłuchać.

Tego Bacha

- dodała na moje pytające spojrzenie.

- Jeśli masz czas, ja tu niedaleko mieszkam.

Poszliśmy doniej.

Przedstawiła mnie swoim rodzicom.

Ojciec

- szary, zgaszony mężczyzna, i matka - o rozbieganych oczach, nerwowym sposobie mówienia.

Ela była tak do nich niepodobna!

Wtedy pierwszy raz zwróciłem uwagę na jej urodę, niezwykłą i nieklasyczną.

Wysoka, szczupła i czarna włosy.

Podłużna twarz o wydatnych kościach policzkowych, trochę za duży nos, trochę za szerokie usta.

Ogromne rozmarzone oczy.

To rozmarzenie, ulotną mgiełkę w spojrzeniu dostrzegłem w czasie słuchania nagrań Federico Camparo.

Mnie jego Bach nie brał, nie zachwycił, ale ona dostała rumieńców, uśmiechała się anielsko i była po prostu piękna.

Zapatrzyłem się w nią, zasłuchaną, nieobecną.

Mnie też ogarnął zachwyt i uniesienie.

Proporcje jej twarzy były idealne, uroda doskonała.

Nasze spojrzenia spotykały się, wymienialiśmy uśmiechy.

Oboje pogrążeni w kontemplacji piękna - chociaż każde innego.

Ona chyba odczytała mój zachwyt jako zauroczenie sztuką skrzypka, bo oparła się o mnie lekko ramieniem i słuchała dalej.

A ja czułem, dzięki kontaktowi naszemu, przepływ gorącego prądu rozlewającego się w sercu.

Wmyślach łączyłem nasze usta w długim, rozkosznym pocałunku.

Chłonałem zapach jej włosów, gdy tuż przed końcem płyty położyła delikatnie głowę na moim ramieniu.

Wypełniałem się nieoczekiwane dostrzeżonym pięknem.

Zakochiwałem się!

Jak pięknie może być.

Tak prosto, a pięknie.

Wraz ostatnim akordem byłem już zakochany.

Starałem się przekazać to uczucie w długim, pełnym zachwytu spojrzeniu, zastanawiałem się nawet nad przestudiowanym teoretycznie pocałunkiem, gdy Ela powiedziała:

- Prawda, jakie to cudowne?

99.

- Tak - zgodziłem się, bo nie chciałem sprawiać jej przykrości.

-To cudowne!

Ela?

- Uwielbiam go słuchać, Waśnie w ten sposób, w pokoju, przyprzyćmionym świetle.

-! - Tak.

Wiesz.

- To daje mi uczucie, jakbym sama potrafiła tak zagrać.

To marzeniemojego życia.

Chcę tak grać!

- Mhm.

Ja właśnie chciałem.

Pukanie do drzwi.

Weszłamama Eli:

- Moi drodzy, dlaczego tak siedzicie po ciemku?

Eluniu, co takpozastaniałaś?

- Słuchaliśmy muzyki.

-To teraz chodźcie na podwieczorek.

Prosimy,panie Tomku.

- Ależ proszę pani!

Proszę mówićdo mnie tylko Tomek.

- Dobrze, Tomku.

Jesteś rozsądnym i dobrzewychowanymmłodzieńcem.

Przy stole czekałjuż pan Jakub i młodszy brat Eli, który po zjedzeniu kawałka ciasta zniknął w swoim pokoju.

Siedzieliśmy sztywni, skrępowani, nie wiedząc, o czym mówić.

W telewizji nadawano program o jakimśmieście.

Jeden z radnych

opowiadał o problemie "zazielenienia" nowych osiedli.

Ten tematożywił panaJakuba:

- Radny, panie -parsknął.

- Toż to kpina!

Oni są "bez-radni".

Trawniki!

Kpina!

- To ty jesteś ten Tomek Bambliński?

-jakbyretoryczniespytałamnie pani Paczkowska, bo nie czekając na odpowiedź, od razudodała:

- Ela zawsze o tobie opowiada, jakgrasz na egzaminach, w orkiestrze.

Jesteś dla niej wzorem!

- Mamo!

-A co?

Nie jest tak?

- Już niemają co pokazywać.

Psiegówienka!

- Pan Jakub komentował zbliżenie wynędzniałego krzaczka i poszarzałej trawy.

-Bezradność!

100

- I zawsze mówi, że masz granie we krwi.

Taki dar prostood Boga.

- Bo ja lubię grać, a nie lubię ćwiczyć.
- Jakubie, wyłącz ten telewizor.
- A ja toodwrotnie - wtrąciła Ela - lubię ćwiczyć, a potem grać, to się boję.

Zawsze coś skopię.

- Każdysię denerwuje.
- Ale u ciebie tego nie słycać.
- Zostaw, Marzena - zaoponował pan Jakub, widząc rękę żony wyciągniętą w kierunku telewizora.

- Zaraz będzie dziennik.

- Gościamamy!

Może jeszcze ciasta, Tomku?

Podobno jedzicie orkiestrą znów do Szczecina?

- Och, mam!

Przecież wiesz.

- Dziękuję, ciasto było pyszne, ale już więcej.
- Ten pan Teodor to bardzo prężny mądry fachowiec - mówiła, nakładając mi porcję piaskowca.

Protestów nie zauważała.

- Umiewas wziąć w karby.
- Nigdy nie przepadałem za ciastem bezzadnego nadzienia.

Staje mi w gardle, nawet jak dużo popijam.

- A jak to jest w takim obcym mieście, w hotelu?

Ktoś wtedy pilnuje, sprawdza?

Jak to wygląda?

- Mam, przecież tyle razy ci mówiłam!
- Pytam tylko.
- Zależy jak u kogo.

My mamy taką szachową paczkę.

Czasami grywamy też w brydża.

Pan Kasprzycki jest w porządku, tutaj się niewtrąca.

Ufam.

- No, mam nadzieję, że niebezpiecznie!
- Mam!
- Patrz, Marzena, czego to teraz kobity na siebie nie włożą!
- pan Jakub znów pokazywał telewizor.
- Tomek, skończyłeś?
- spytała kategorycznie Ela.
- Tak, tak.
- Dopchnąłem na siłę wielki kawał ciasta.

- To idziemy.

101.

- Mhm.

-To my jeszcze muzyki posłuchamy, a później wyjdę z Pchełką- rzuciła w stronę rodziców wpatrzonych w niewolnice współczesnychekstrawagancji, które z wdziękiem tresowanych pudli przechadzały się tam i z powrotem po wybiegu, ubrane w jakieś dziwaczne chomąta, pokryte ciemnym, zwisającym do ziemi brezentem.

U Eli w pokoju już tylko gadaliśmy, bo włączyła jakieś nastrojowe piosenki, a nie muzykę poważną.

Większość czasu mówiła ona, a ja patrzyłem i patrzyłem.

Sprawałomi to coraz większą przyjemność, wlewało ciepło do serca.

Obserwowałem jej rysy, chwilami jakby łagodniejsze.

Może właśnie dlatego przez długie momenty wydawała się wprost oszałamiająco piękna.

Kiedy długie włosy zasłaniały jej twarz, odgarniała je ruchem tak pełnym wdzięku i prostoty.

Gdy opowiadała, gestykulowała z taką gracją i elegancją.

Miała dość niski głos, który wibrował, rezonował w mej piersi.

111

Długie, szczupłe nogi, nieopisanie zgrabne, o idealnych kształtach.

Po podwieczorku przebrała się w cieniutką podkoszulkę na wąziutkich ramiączkach.

Gdy pochylała się do mnie albo sięgała po coś, widziałem jej biust.

Taki malutki, niewiele więcej niż same sutki.

Ale one były duże, ciemnobrązowe.

Oszalałam.

A zawsze myślałem, że lubię dziewczyny z dużymi piersiami.

Siedziałem zajęty tylko jedną myślą: czy warto już dzisiaj ją pocałować?

Czy nie spłoszę jej taką nachalnością przy pierwszym spotkaniu?

Ale miała też jedną wadę.

Paznokcie.

Obgryzała je namiętnie, praktycznie cały czas.

Wszystkim opowiadała, jak to po obcięciu paznokcinie może grać przez trzy dni.

Dlatego je obgryza, żeby już nigdy nie urosły.

Miała w tym dużą wprawę, nie wyglądało to jednak elegancko.

Ale ostatecznie trzeba nieustannie patrzeć na paznokcie.

Musiałem już się zbierać.

Wyszliśmy na spacer z Pchełką, małą grubą suczką, tak ociężałą, że Ela musiała ją znieść po schodach

102

i dźwigać przez większość spaceru.

Nie mogłem jej w tym pomóc, bo pies warczał na mnie, gdy tylko zbliżałem się za blisko.

Ela opowiedziała mi o jej chorobie, która ciągnęła się już ponad rok:

- Ale bywało gorzej, dzisiaj jest ruchliwsza, weselsza.

I warczy na ciebie, to znaczy, że ma się dobrze.

- A ty?

- Zaśmiałem się.

- Też warczysz?

- Niewidzisz?

- i obdarzyła mnie jednym z najpiękniejszych uśmiechów przesłanych samym spojrzeniem, bo twarz przytulała do Pchełki.

- Widzę.

Słuchaj, jesteś jutro wolna?

- To zależy.
- Dalej się uśmiechała.
- Może poszlibyśmy do kina?
- A na co?
- Niewiem jeszcze.
Może się umówimy na placu, o piątej.
Stamtąd jest blisko do Wolności, Polonii i Bałtyku.
Gdzieś będą grali coś ciekawego.
- A jaknie?
- Była zupełnie inna niż przez cały dzień, jakaś filuterna, rozbawiona.
- To połączmy.
Pogadamy.
Jak nie chcesz.
- Nie, nie.
Jasne.
Fajnie się gada.
Może jutro ty też coś powiesz?
Zagadałam cię dzisiaj na śmierć!
- Ja lubię słuchać.
ciebie.
Popatrzyliśmy sobie w oczy.
Poważniej i głębiej niż przez cały dzisiejszy dzień.
Jej rozbawienie niezniknęło do końca.
A może to było zadowolenie?
- Ja ciebie też.
- zawahała się, zastanowiła - .
lubię.
O, jedź tu tramwaj!
Toco?
Może lepiej oszóstej?
- Może być oszóstej.
- Upajałam się słowem, które padło przed chwilą jej ust.
- Pa - i cmoknęła mnie w policzek.
Stała z Pchełką na ręku i machała mi.
Szczupła, czarnowłosa, pięknooka.
Kiedy tramwaj dudnił już na rozjeździe, wciąż miałem ją przed oczami.
Nos, trochę za duży, ale uroczy.
Wargi.
Pełne, lekko
103.

spękane.

I nogi modelki.

Ityle ciepła w głosie, uśmiechu.

No i lubimnie!

Co się dzisiaj stało?

-pytałem sam siebie, wpatrując się w mrowieświatel dziesięciopiętrowych bloków.

Tyle ludzi, tylu chłopaków, a nikt

' przede mną do tej pory nie wiedział, jaka ona jest piękna?

Skąd to olśnienie?

Przez tyle lat spotykałem ją codzienniew szkole.

Jak to możliwe?

A te bloki?

Ilu tam musi być zakochanychludzi?

Alenikttakjak ja!

Pocałowała mnie.

Lubi mnie.

Jej mama mówiła, że podziwiamoje granie.

I przyjdzie jutro!

Tramwaj zatrzymał się na przystanku, idąc między blokami, powoliotrzasałem się z rozmarzenia, w jakie wprawiła mnie Ela.

Po prostuwracałem doprzykrych realiów własnej codzienności.

Od kilku lat mieszkaliśmy w blokach.

Nasz dom zburzono podnowe osiedle, a do dzisiaj na tym miejscu nic nie stanęło.

Tak to jest

- mieszkając we własnym domu, niedocenialiśmy tego.

W każdymrazie my, dzieci.

Dopiero po przeprowadzce do bloku, gdzie czteropokojowe mieszkaniebyłoniewiele większe od naszego salonu, doceniliśmy uroki własnego kąta, ogródka, maleńkiego sadu.

Wszystkich

tych rzeczy, na które zzymaliśmy się, gdytrzeba było pomagać w ichutrzymaniu.

W jednym pokojuzamieszkali rodzice, drugi dzielił Mateusz z Pauliną, a trzeci ja z

Michałem.

Kłóciłem się z młodszym bratem o wszystko - poczynając od pory chodzenia spać, naczasie do ćwiczenia naskrzypcach, kiedy wyrzucałem go z pokoju, kończąc.

Kuchnia byłazbyt mała, aby pomieścić naszą rodzinę, więc całe "życie

rodzinne"koncentrowało się w "salonie", również ciasnym i nieustawnym.

Tobyła zaledwie namiastka prawdziwego życia.

Tak toodczuwaliśmy.

Mamanie dawała spokoju tacie, zadręczając go ciągłymi wymówkamio bierność w sprawie obrony naszego domu przed wyburzeniem.

Tatagryzł siętym bardzo, a już rok przedprzeprowadzką przestał wyjeżdżaćnazagraniczne wojaże ze względu na zdrowie.

Chorował na serce.

Przestał teżśpiewać, grać- tylko pisał muzykę.

Piosenki.

Z tego żyli104

śmy. I z wieloletnich oszczędności.

Mama poszła do pracy.

Dostałaposadę w "Foto-optyku".

Lubiła wychodzić z domu, kontaktować się z ludźmi.

Szybko zaczęła wypominać tacie, że nic nie robi, nigdzie nie pracuje.

"Żeby ja na stare lata musiała całą rodzinę utrzymywać".

Tata nie podejmował dyskusji.

W każdym razie - niezawsze.

Mateusza widywaliśmy rzadko, miał mnóstwo obozów, zgrupowań, wciąż wyjeżdżał na zawody, a nawet będąc na miejscu, większość czasu spędzał w wodzie.

Dlatego dzielenie przez niego pokoju z Pauliną nie powodowało prawie żadnych konfliktów.

Pół roku po przeprowadzce stan zdrowia taty uległ pogorszeniu.

Którejś nocy zabrało go pogotowie i wtedy, na noszach niesionych przez dwóch sanitariuszy, widziałem go po raz ostatni.

Zmarł w drodze do szpitala.

Pamiętam swój ból, niewiarę w prawdziwość jego odejścia, strach przed tym, jak będzie wyglądać nasze życie bez niego.

Ale najbardziej pamiętam zwierzęcy krzyk matki, gdy dowiedziała się o jego śmierci.

Słyszałem o kobietach, które wyrrywają sobie włosy z głowy, tłuką się o podłogę, wyją, rozpaczają bez opamiętania.

Widowałem to w kinie, w telewizji, tak się działo gdzieś w Indiach, w Afryce.

A wtedy patrzyłem na własną mamę, o której myślałem, że ojca nie kocha, wręcz goni i nienawidzi.

Potrafiła wypomnieć mi każdy, choćby niezawiniony błąd, wytknąć najdrobniejszą błahostkę, ranić go zupełnie bez potrzeby.

A teraz, gdy go zabrakło.

To, co widziałem na filmach, to była tylko nędzna parodia rozpacz i żalu.

Mama złamała się w jednej chwili, osiadała w jedną noc, jakby odeszła razem z tatą.

Jej ból spowodował, że nie mogliśmy sami odczuć dokońca, co się stało.

Paulina czuwała przy niej bez przerwy, Michał poszedł pozakupy, ja siedziałem na poczcie i starałem się zadzwonić do pozostałej części rodziny.

Zawiadomiłem siostrę mamy, ciocię Julię z Szczyrku, która obiecała przyjechać następnego dnia.

Sama była wdową od trzech lat, ze współczuciem słuchała, gdy opisywałem jej zachowanie mamy.

Mateusz był na zawodach w Bułgarii.

Po kilku godzinach czekania

dodzwoniłem się do jego trenera, który wykluczył przyjazd mego brata przed upływem tygodnia.

Obiecał poinformować go o śmierci taty, "ale niedzisiaj, wieczorem jest finał krawla.

Mateusz ma szansę na podium.

Złe wiadomości zawsze zdążą".

Do braci ojca mogłem tylko wysłać telegramy.

Tak jak my nie mieli telefonu.

Kiedy wróciłem do domu i opowiedziałem o tym Paulinie, rozplakała się.

Mama, po początkowym szaleństwie, wpadła w apatię.

Nieodzywała się, nie chciała nic jeść i pić.

Kiedy przyszedł wreszcie wieczór, zwałem się jak kłoda do łóżka i zasnąłem w jednej chwili.

A rano obudziła nas ciocia Julcia.

To ona wzięła na siebie cały ciężar związany z organizowaniem pogrzebu.

Ona też pierwsza porozmawiała z mamą, która powoli zaczęła dochodzić do siebie, chociaż już nigdy nie wróciła do dawnej formy.

Kiedy wieczorem, w dniu przyjazdu cioci, zobaczyłem mamę przy stole w kuchni, to jej nie poznałem - siedziała tam stara, zgaszona kobieta.

Po raz pierwszy od niepamiętnych lat kiwnęła na mnie i przytuliła do siebie.

Wtedy dopiero zacząłem łez płakać, wtedy poczułem rozpacz po stracie ojca, pomieszaną z odzyskaną wiarą w miłość matki.

Straszne to były dni, chociaż, 'i niezapomniane.

Pogrzeb ojca, spotkanie rodziny, opowieści jego braci

z czasów dzieciństwa, nocna materacach, przeraźliwie smutne, szare śniadanie następnego dnia, pociąg, którym wujkowie odjechali do siebie - obydwaj byli starymi kawalerami.

i; Ciocia została z nami.

Zajęła się prowadzeniem domu przez kilkanaście tygodni, podczas których mama - tak myśleliśmy - dochodziła do siebie.

Słabo znaliśmy ciotkę wcześniej.

Była równie pracowita jak jej siostra, zupełnie jednak inna charakterem - pogodna, żartobliwa, jeżeli rugała kogoś, to zawsze z uśmiechem na ustach.

Polubiliśmy ją bardzo.

Kiedy wyjechała, w domu zrobiło się pusto.

Mama wróciła do swoich obowiązków, ale bez pasji, bez zaangażowania.

W każdej wolnej chwili siadała przy oknie, zamyślała się, często płakała.

Kilka miesięcy

po niej zaczęła chorować.

Ona, która przy wszystkich okazjach podkreślała, że nie spędziła nocy w szpitalu ("Poza tymi na porodówce" - dodawała z podniesioną głową), nie miała nawet kataru - teraz zapadała raz po raz na grype, zapalenie oskrzeli, zapalenie płuc.

Więcej dni spędzała w łóżku niż w pracy.

Podczas dłuższych i poważniejszych chorób mamy przyjeżdżała do nas często ciocia Julcia.

Była dla nas jedyną pociechą w tych trudnych czasach.

Teraz też mama leżała w łóżku z gorączką.

Czuwała przy niej Paulina, bo nikogo innego mama nie chciała do siebie dopuścić.

Mnie i Michała wyganiała, wołała samą po wszystkich wstawać, niż prosić nas, chłopaków, o pomoc.

Nie wiedziałem dlaczego i bardzo współczułem Paulinie, której życie ostatnio wypełniały wyłącznie studia farmaceutyczne i doglądaniem mamy.

Ciocia Julcia mogła przyjechać dopiero za dwa tygodnie, do tego czasu zdani byliśmy na własne, a właściwie na Pauliny, siły.

Mateusz przeniósł się kilka miesięcy wcześniej do Warszawy.

Jego klub załatwiłmu mieszkanie; pracował jako trener młodzików i wciąż z powodzeniem startował.

Michał miewał problemy z nauką.

Razem z Pauliną czasami mu pomagaliśmy.

Ale najczęściej zostawiany był sam sobie.

Dlatego w miarę zbliżania się do domu obraz Eli znikał mi sprzed oczu.

Wracała codzienna rzeczywistość, w której jedynym jaśniejszym promykiem był zapowiedziany za pół miesiąca przyjazd ciotki.

Od rozmowy w pociągu Stefan Gromny często szukał mnie i Darka Rejwasa, aby pogadać, chociaż z reguły byliśmy tylko jego biernymi słuchaczami.

Uwielbiał powiadać o skorumpowaniu muzycznego światka, o wyświadczanych sobie nawzajem przysługach, o bezinteresownej zawiści i podkładaniu świń.

Po pierwszym dniu przesłuchań w Katowicach zaprosił nas do swojego pokoju, poczęstował winem i zaczął powieść o filharmonii w naszym mieście.

107.

- Zacząć trzeba od dyrektora.
To z wykształcenia ekonomista, pohandlu morskim.
Ale wiceminister kultury jest jego kumplem i dzięki niemu wykwalifikowany ekonomista
pracuje w trochę innej branży.
Prezentuje wyjątkowy, trzeci stopień umuzykalnienia.
Znacie testopnie?
Pierwszy - słyszysz, kto i jak gra.
Potrzebny tylko zawodowym muzykom.
Drugi - słyszysz, że ktoś ładnie gra.
Potrzebny niektórym melomanom.
Tym, którzy nie są snobami.
Mało jest takich.
I trzeci - słyszysz, kto gra, i wiesz, kto za nim stoi.
Potrzebny szczególnie pohandlu morskim.
Krytykom też się przydaje.
A jest wystarczający do prowadzenia poważnej, byłoby to, muzycznej instytucji.
Dyrektor Tomaszek opanował ten trzeci stopień do perfekcji.
To o wiele lepsze kwalifikacje od dwóch pierwszych stopni, bo praktyczne.
U nas, w filharmonii, wszystko jest podporządkowane tej zasadzie.
Koncertmistrzem jest syn brata wojewody.
Pierwszą fletistką - kochanka prezes klubu piłkarskiego.
Ma normę koncertów zero, i to dobrze do niej pasuje.
Do koncertmistrza zresztą też.
Wszyscy się cieszą, gdy oni tę normę wykorzystują.
U mnie, w kontrabasach, szefem jest znajomy samego Tomaszka.
Ani lepszy, ani gorszy od innych w grupie.
Akurat zadennie umie grać.
Ale ten ma kompleksy i stawia się.
Mnie nie próbują wyrzucić, już nie.
Poznałem kogoś w Urzędzie Miasta i kiedyś przedstawiłem go Tomaszce.
Jestem bezpieczny.
Siedzę teraz razem z koncertmistrzem, ale to prawie kara.
Kasprzycki siedzi w trzecim pulpicie.
I na pewno nigdy nie awansuje.
Nie u nas.
Jego zasady szlachetne cele nie są w cenie.
Ma swoich wyznawców, taką garstkę zapaleńców.
Grywają muzykę kameralną, ale jest ich za mało na orkiestrę, a są za słabi na profesjonalny
kwartet.
Dlatego Teodor zajął się pracą podstaw.
Szkolił was.
Tu akurat ma szczęście.
Trafił na niezły materiał i umie z was wycisnąć wszystko, co najlepsze.
To przynajmniej będzie z korzyścią dla was.
Uczcie się od Teodora.
Wszystkiego, tylko nie zasad moralnych.
Gry, wrażliwości na frazę, profesjonalizmu, postawy na scenie.
Wszystkiego, tylko nie moralności.
Chyba że chcecie zostać frustratami na resztę życia.

- Ale Teodor niewygląda na frustrata - odważyłem się wtrącić swoje zdanie.
- Mamność w zapалу, chęci i w ogóle.
- Bo z wami warto coś robić.

Tak jak dzisiaj.

Pięknie zagraliście.

Szostakowicza - znakomicie, Haendla też.

Jakie ty miałeś solówki, Tomek.

Oj strachby się nie powstydzil!

Teodora torajcuje, to miódna jego duszę.

Pomyślcie - w pracy jest najlepszy, a siedzi przy trzecim pulpicie.

I raczej nie awansuje.

A...

- Dlaczego wróciliście z Włoch?
- Darek postawił pytanie, któremuś w orkiestrze zadawaliśmy sobie wielokrotnie.
- Gromny popatrzył na niego, na mnie.
- Chcecie wiedzieć?

- Dolał sobie wina.

My wypiliśmy po małej szklaneczce, on kończył właśnie butelkę.

Popatrzył nana sprzez szkło, powtórnie.

- Może wam coś opowiem.

- Naprawdę?

- zaśmiał się Darek.

- Przecież pan chyba nie lubi opowiadać?

- Złośliwy jesteś.

Pytacie dlaczego?

Dla życia.

Wyjechaliśmy razem, bo wspólnie załatwialiśmy ten kontrakt.

Teodor był koncertmistrzem, ja zastępowałem prowadzącego grupę kontrabasów.

Praktycznie to ja prowadziłem, bo tamtego nigdy nie było.

Orkiestra operowa.

Oczko w głowie burmistrza miasta.

Na każdym przedstawieniu pełna sala, mimo że miasto nie takie wielkie, ćwierć miliona ludzi.

Ale w operze zakochani po uszy.

No i to pierwszy powód:

Teodor nie lubi opery.

Ja zresztą też.

Ale przecież człowiek często robi coś, czego nie lubi.

Pieniądze były nieźle, szczególnie że wynajęliśmy wspólnie mieszkanie.

Szef - dodupę, na szczęście sporo przedstawień prowadzili gościnni dyrygenci.

Czyli to też nie był problem.

Teodor dwa lata przed naszym wyjazdem się ożenił.

Z aktorką.

Żadna sława, ale piękna dziewczyna.

I bardzo ambitna.

Prawie codziennie wysyłał do niej list.

Przez pierwszy rok często mu odpisywała.

Zresztą była u nas dwa tygodnie, wybrali się na tydzień do kurortu, nad morze.

W wakacje my pojechaliśmy do Polski.

Później coś się zaczęło między nimi psuć.

Gromny podszedł do swojej walizki, wyjął z niej butelkę whisky.

Przemysł szklaneczkę po winie i dolał sobie złotego trunku.

Nas nieczęstował.

- Przestała tak częstować.

Dostała rolę w filmie.

Drugoplanową, ale całkiem dużą.

Teodor strasznie jej karierą emocjonował, przejmował się każdym słowem od niej.

A ona napisała mu, że poznał reżysera, strasznie miłego i fajnego, który chce ją obsadzić w głównej roli w swoim filmie.

I przez miesiąc ani jednego listu.

Trudno sobie wyobrazić Teodora w takiej sytuacji, co?

Rozkleił się, załamał.

Telefonu do domu nie odpowiadała, a na plan filmowy nie mógł się dozwonić, bo oni

przemieszcza się co parę dni w inne miejsce.

Teodor w końcu wziął urlop i pojechał do Polski.

Sam mu to zresztą doradziłem.

Kończył drugą szklaneczkę, ciężko westchnął.

A ja zastanawiałem się nad tym, że nigdy nie myślałem Kasprzyckim jako onormalnym człowieku, z krwi i kości.

Takim, co to może mieć chandrę, zdradzającą żonę, codzienne zmartwienia - w ogóle prywatne życie.

Zawsze taki sam, pewny siebie, zdecydowany, mądry.

Nasz Pan Kasprzycki!

- No i pojechał.

Jego pobyt przedłużył się do czterech tygodni.

A kiedy wrócił, zaczął powoli zbierać majdan, porozmawiał z szefem o zakończeniu kontraktu i w pół roku wrócił do Polski.

I co?

Teraz siedzi w trzecim pulpicie?

- Darek kręcił głową.

- Ma rodzinę!

Dochowali się już dwuletniej córki.

Teodor jest szczęśliwy.

A teraz, kiedy jeszcze ma was.

- No tak - podjąłem.

Coś mi tu nie pasowało.

- To Teodor, a pan?

- Co ja?

- Gromny miał już dość mętny wzrok.

Butelka whisky była w połowie pusta.

- Pan też wrócił do jego żony?

- zapytał Darek z niewinną miną.

- Ja ci dam takie żarty!

Wróciłem rok później.

Z innych powodów.

Wiecie co?

Trzeba iść spać.

Jutro drugi etap.

Jak zagracie tak jak dzisiaj, to nie mamy konkurencji.

- A mówił pan.

110

- Daj spokój, Tomek.

Przypewnych różnicach nawet układy nie działają.

Zresztą widzieliście, pana Karola nie ma w jury.

Wyjechał do Syrii, na serię.

Ha, ha.

Do Syrii- na serię.

A to dobre.

Na odczyty.

Ciężko tam pracuje.

I dlategowynik będzie sprawiedliwy.

Mam nadzieję.

Chłopcy, spać!

Jutro gramy o jedenastej.

Mieszkałem w spokoju z Darkiem.

Nie mogliśmy tak poprostuzasnąć.

Obraz Teodora, jak jedzie na łeb, naszyje do Polski, aby wyrwać łap oślizgłego reżysera swoją piękną żonę, nie dawał mi spokoju.

- Wierzysz mu?

- spytałem Darka.

- To pajac, ale nie kłamca.

Zauważ, o sobie nic nie powiedział.

- Ale Teodor z rogami?

- Ty jesteś człek zbyt konkretny.

Białe albo czarne.

Reżyser mógłbyć impotentem!

- Daj spokój.

To dziwne, że Teodor jest taki jak inni?

Nie?

- Czemu?

Też facet.

I widać, że zjajami, bo wrócił do niego.

Widziałeś ją kiedyś?

- Nie.

- A ja tak.

Przyszła po Kasprzyckiego do szkoły.

Przyjechała samochodem.

Niezła sztuka, ale żeby zaraz.

- Pewnie ją kocha.

Darek, zakochałeś się kiedyś?

- Nie.

To zbyt nudne.

Ja jestem facet rozrywkowy.

- To nie jest nudne, przekonasz się jeszcze.

- Skoro tak mówisz, to od jutra zacznę się przymilać do Eluni.

- Ja ci dam.

Z Darkiem ciężko było poważnie pogadać.

Następnego dnia graliśmy bardzo dobrze.

Takiej ostatniej części Serenady Czajkowskiego podobno dawno w Katowicach nikt nie słyszał, nawet w wykonaniu zawodowych orkiestr.

Wszyscy nas chwalili.

Nie było wątpliwości co do werdyktu.

Wygraliśmy przesłuchania.

Otwierał się przed nami Berlin.

Otwierał się cały świat.

Dyrektor Jakowska zabrała nas na kolację do eleganckiej restauracji.

- Za taki sukces - zagaiła w powitalnej mowie - to nawet szkoła musi zapłacić.

Takmnie wzruszyliście, że jestem cała mokra.

O, chusteczek już mi nie starcza.

Graliście, moje dzieci, jak

mojedzieci.

Byłam z was dumna.

Takich bohaterów potrzebujemy.

Jak wrócimy, to możecie przez cały dzień do szkoły nie chodzić.

Zwalniam was.

Zamówiła szampana.

Nie wszyscy z nas mieli już osiemnaście lat, przymknęto jednak oko na ustawę o wychowaniu w trzeźwości.

Zresztą szampana starczyło tylko po pół lampki na głowę.

Nawet nam niezaszumiało.

Dopiero później, w hotelu, pobalowaliśmy trochę.

Do późna siedzieli z nami Kasprzycki i Gromny.

Dziewczyny piły słodkie martini, my mieliśmy jedną butelkę wódki i wszystkie coca-cole do rozcieńczenia.

Nawet Teodor wypił z nami.

Cieszyliśmy się jak dzieci, śpiewaliśmy, tańczyliśmy.

Darek opowiadał kawały, stare, ale bardzo śmieszne.

Wygraliśmy.

Każdy wiązał z tym jakieś swoje nadzieje, na przygodę, na sukces.

Gadałem z Ela; wyglądaliśmy się na całego.

Ewa podrywała Kasprzyckiego, bo założyła się z Ela, że Teodor ją pocałuje - pracowała więc w pocie czoła.

Stefan zatańczył nam rosyjskiego kazaczoka.

Świetnie mu to poszło, tylko spociał się strasznie i musiał zmienić koszulę.

Wrócił z butelką whisky, czym zgorszył Teodora.

- Przecież to już dorośli ludzie.

Po studniówce.

Żenie wszyscy?

Nawet ci młodszy mają po osiemnaście lat.

Teoś, dzisiaj jest wyjątkowy dzień.

Raz można!

I porozlewał każdemu, kto chciał.

- Jak już jest taka okazja - podjął Teodor - to wzniesmy toast.

Pijęza najlepszą młodzieżową orkiestrę w Polsce.

Co tam, powiem wam, co myślę.

Za najlepszą młodzieżową orkiestrę na świecie!

Wasze zdrowie!

To był szok.

Do tej pory Kasprzycki prawie nigdy nas nie chwalił.

Wzniesliśmy okrzyk radości i triumfu.

Ewka podeszła do Teodora.

112

- Panie profesorze, w taki dzień.

- rzuciła mu się na szyję, a ona ucałowała ją w usta.

- Brawo, wiwat Teodor - krzyknęła Ela, która w tej chwili przegrała zakład.

-Wiwat młoda para - zakrzyknął Darek, wywołując salwę śmiechu i rumieńce na policzkach Ewy i Kasprzyckiego.

Bawiliśmy się wspaniale.

Teodor tego wieczoru zachowywał się jaknasz kolega, żartował, szydził z sarkastycznymi uwagami Stefana, dogadywał nam, z uśmiechem słuchał grubych żartów Darka i nie tylko jego.

Przeżyliśmy wspólnie wyjątkowy wieczór.

Rozdział zaskoczeń.

Zacząło się niewinnie, od spotkania na ulicy mojej miłości sprzed lat, "cudnej pani", czyli Leokadii Perisenthoff.

Miałem wtedy niewiele ponad piętnaście lat i chociaż ona ostatni raz widziała mnie jako dziesięcioletniego szczeniaka, to rozpoznała "swego małego.

skrzypka" natychmiast:

- Jak ty wyrosłeś!

- ucieszyła się i zabrała mnie do domu na ciastka i lody.

Chodziło jej zapewne o odtrzymanie towarzystwa Marcysi.

- Ta biedaczka już tydzień leży w łóżku, nudzi się, nikt jej

nie odwiedza, przecież wy kiedyś byliście takimi dobrymi przyjaciółmi!

Zdziwiłem się, bo od Marcysi zwykle słyszałem takie przejmujące słowa, jak:

głupek, bęcwał, snob idyletant (poznałem już znaczenie tych dwóch ostatnich i potrafiłem się nawet z tego śmiać), ze względu jednak na starą miłość nie umiałem "cudnej pani" odmówić.

Co prawda gdy obserwowałem wtedy panią Leokadię, jak z siatką w ręku, lekkopotargana i spocona, płaci za warzywa w tej samej budce co przed laty pani Prezydentowa, kiedy zauważyłem zaklejone plastrami oczko w pończosze tuż nad kostką - przestałem nazywać ją "cudną panią".

Została po prostu panią Leokadią.

Trochę mi było żal, bo tyś snów i marzeń ubarwiła mi swoim uśmiechem.

Marcysia bardzo urosła.

Miała śniadą zdrową cerę, ładne, długie, ciemne włosy duże piersi, szczególnie wyeksponowane w nocnej kremowej koszuli rozpinanej pod szyją.

Tego pierwszego razu mogłem

114

przypuszczać, że jest w tej koszuli całkiem przypadkowi że równie nieumyślnie jest ona tak odważnie rozpięta, jednak wszystkie moje, następne wizyty przyjmowała w tym samym, identycznie wydekoltowa-

nym stroju.

Pamiętała mnie.

Ucieszyła się z odwiedziny ponad godzinę rozmawialiśmy przy cięście i lodach, które przyniosła nam pani Leokadia.

(Kiedy wychodziłem od Marcysi, umówiony na najbliższą sobotę, byłem pod silnym urokiem jej biustu i tajemniczych oczu.

Byłem też pod wrażeniem wyznawanej przez nią filozofii życia chwilą doczesną.

- Co mi z przyszłości, za lat powiedzmy dziesięć czy piętnaście?

;

- mówiła z rozpalonymi policzkami, rękami nerwowo mącą kołdrę, '!'

- Kto mi zagwarantuje, że jeszcze wtedy będę żyć?

Czemu teraz mam sobie wszystko odmawiać?

To bzdura!

Popatrz na zwierzęta: kiedy jest czas jedzenia - jedzą, jak czas odpoczynku - śpią, jeśli

czas.

no, wiesz.

to się.

rozmnażają.

Są prawdziwymi mieszkańcami Ziemi.

A nie ludzie, zawsze obłudni, fałszywi, niepotrafiący uzewnętrzniać własnych uczuć.

Czy tacy mamy być?

Nie wiedziałem jeszcze, jaki chcę być, ale argumenty Marcysy były tak silne i wyraźne, że w sobotę się znowu zjawilem.

Nawet z kwiatkami.

- Och, jak miło - uśmiechała się, wachając bukietem niezapominajek.

- Natałko, przynieś mi wazonik.

Natałka przysłała, zła i niezadowolona, ze zwykłą szklanką.

- Ty to jesteś - zgromiła ją siostra.

- Miałas przynieść wazonik, ten niebieski.

- Sama seprzynoś.

To zadziwiające, jak bardzo Natałka, taka piękna i "obrazkowa" jako ośmiolatka, zgorzkniała dorósłszy lat trzynastu.

Nie była może brzydka, nie, ale w oczach, kącikach ust miała coś odpychającego, jakby nie lubiła samej siebie.

Przy wprost kwitnąco wyglądającej Marcysi kojarzyła

mi się z obrazem Madonny, któremu złośliwi gapie domalowali wąsy, a obraz je zaakceptował i obnosił jak swoje.

115.

Natalka wyszła, nie pokazując się już więcej tego dnia, a my znowuprowadziliśmy długą rozmowę o życiu, jego wartościach i złudzeniach.

- Bo conam z urody - prawiała Marcysia, zakładająca uchونيسforny kosmyk czarnych włosów kiedymamy jątylkodła siebie?

Czemu chowamy przed bliźnimito, co jest na świecie najpiękniejsze?

Siebie samego.

Dlaczego nie potrafimy powiedziećdrugiemuczłowiekowi wprost: pożądam cię.

Twoich rąk, nóg, piersi i

ust.

Dlaczego?

Nie wiedziałem.

- Czemu jesteście jak zaschnięte algi - ciągnęła z poetycką emfazą- wyrzucone na brzeg morza, które woła uschnąć w promieniachpalącego słońca, zamiast poprosić o wodę, co jest o wyciągnięcie ręki,aby zwilżyła ich ciała?

Nie miałem pojęcia.

- Dlaczegoudajemy przed drugim człowiekiem, pragnącym teżciepła i miłości, dlaczego udajemy.

obojętność?

- W cokolwieksztucznym geściewzniosła ręcodo nieba.

Alemnie nie wydawała sięśmieszna.

- Czemużimni zdajemysię sobie lepszymi?

mocniejszymi?

mądrzejszymi?

Podczas tej drugiej wizyty pocałowałem ją tylko.

Okazała się w pełni przygotowana do urzeczywistniania wyznawanej filozofii.

Kiedy siedziałem obok niej, nibyzastanawiałem się nadjej słowami, odpowiadałem, potakiwałem.

Ale po wyjściu pozostawał we mnie tylko widokjejpełnych piersi i smak ust.

Nie wiedziałem,na co jest chora.

Nie poruszała tego tematu,a głupio mi było pytać.

Za piątym lub szóstym razem zastałem ją w domu samą.

Otworzyłam drzwi i,nie czekając, aż wejde, krzyknęła tylko: "Zamknijza sobą",izaraz pobiegła z powrotem do swojego łóżka-

Wszystkie guziki nocnej koszuli miała rozpięte, włosy rozpuściła,a wargi umalowała szminką mamy.

- Jesteśmy sami - powiedziała, mrużąc oczy.

- Tylko czy ty.

Owszem.

116

Tak!

Miałem przecież piętnaście lat gdy dziewczynasama kusi.

Ten pierwszy raz był zachłanny,gorący i krótki.

Moją pierś przepełniła duma, radość i pewność siebie.

Po krótkiej chwili połączyliśmy się znów, gwałtownie całując swoje wargi,rozmazując pomadkę na policzkach, poduszcze, nie zwracając na nicuwagi.

Znowu byłypełen podziwu dla własnej wspaniałości, dla prężności mego piętnastoletniego ciała, dla faktu, który sprawił, że to właśnie ja kocham się z tą pięknądziewczyną o głowie przepełnionejdzicznymi ideami,które gotowa była spełniać wraz ze mną.

Nawet przez chwilę nie zastanawiałem się, czy ona czerpie z naszych zbliżeń tyle samo radości co ja.

Przecież to oczywiste!

Musiała otrzymywać tyle samo, a możei więcej, bo tak bardzo wyciągała do mnie ręce, bo kładła dłoń na moim udzie ilekko, leciusiętko dotykała palcami, władcy wszechświata, który już po chwili spełniał trzeciiczwartyraz rozkoszne zadanie.

Bo wzdychała i łkała, gdy, wtulony w jej szyję, przeżywałem kolejne olśnienia.

A gdy po nich odpoczywałem, gładziła moje włosy smukłymi, długimi palcami.

Zawijała kosmyki w loczki, lekko pociągała, lub drapała mnię w szyję w miejscach, gdzie pod czupryną miałem delikatny puszek.

Była ZE MNA, więc musiała czuć TO SAMO.

Mój piętnastoletni rozum nie dopuszczał innej alternatywy.

Ja nie umiałem jej pieścić, krepowałem się takimi niepotrzebnymi gestami, uważając, że głaskanie i dotykanie dobre jest dla dziewczyn.

Jak chcą, to niech się same przytulają!

Przychodziłem do Marcysi jeszcze wiele razy.

Zdarzyło nam kochać się nawet wtedy, gdy pani Leokadia była w domu, zajęta przygotowaniem obiadu.

Ale ukradkowość i nerwowość tego doświadczenia odpowiadały mi, dlatego częściej próbowaliśmy być sami.

Udawało się to nadspodziewanie łatwo.

Dowiedziałem się, że pani Prezydentowa wyjechała na dłuższy czas do drugiego syna, mieszkającego na stałe w Kanadzie.

Pana

Tymoteusza prawie nie spotykałem, prowadził bardzo dużo sprawi wracał do domu dość późno.

A ja wizyty składałem zazwyczaj tuż po lekcjach, gdy również pani Leokadia była w pracy, a Natalka jeszcze w szkole.

W kilka tygodni od naszego pierwszego spotkania przyszedłem trochę później.

Ale zamiast zabrać się od razu "do rzeczy", najpierw gadaliśmy i

stało się, Nakrył nas Natalka.

Musiała wejść po cichu do mieszkania albo też my nie wsłuchiwalismy się w odgłosy dochodzące z przedpokoju.

Otworzyła drzwi pokoju zimpetem.

Gdy uderzyła o ścianę, gwałtownie poderwałem się nad Marcysi, spocony, mokry właśnie bliskim spełnieniu.

Patrzyłem nastojącą na progu Natalkę w niemym zdumieniu, dostrzegając w jej oczach zdziwienie.

Zdecydowanie więcej jednak było w nich radości, złości i mściwej.

Marcysia podemną poruszyła się, wykręcając głowę i zerkając na drzwi.

Gdy zobaczyła siostrę, próbowała mnie z siebie zrzucić, jazaś w tym samym momencie zacząłem szczytować.

I tak, w kulawym tańcu, zasłaniając rękami swoje przyrodzenie przed świdrującymi oczami Natalki, usiłowałem nie przepuścić spermy między palcami i pozwolić wy dostać się spod mnie przestraszonej Marcysi.

- Bydlęta!

- w głosie Natalii byłanienawiść.

-Zboczeńcy!

A ty, dziwko, zobaczysz tę swoją Kanadę, jak opowiem tacie!

Nie zamykając za sobą drzwi, pobiegła do swego pokoju.

Namudało się wreszcie rozdzielić.

Stałem goły koło łóżka i rozglądałem się, w coby tu wytrzeć lepkie palce, a Marcysia naciągała pod brodę kołdrę.

Patrzyłem nagłeną i innymi oczami: potargana, umazana szminką - bo uparcie na każde nasze spotkanie malowała się maminymi kosmetykami - w zmiętej pościeli,

poplamionej przezemnie i też usmarowanej od pomadki, w rozchełstanej koszuli, którą teraz pospiesznie zbierała pod szyją.

Dojrzałem w niej coś, co przyprawiło mnie o mdłości, a w myślach nazwałem ją tak, jak przedchwila jej siostra.

Wziąłem w garść spodnie, koszulę i poszedłem ubrać się do łazienki.

Nie bardzo wiedziałem, co robić i mówić po

118

powrocie.

Marcysia, zwinęta w kłębek, hipnotyzowała przeciwległą ścianę.

Postałem, popatrzyłem, starając się nie widzieć drgających w bezgłośnym szlochupleców.

- To ja już może pójdę?

- Inie czekając na odpowiedź, bojąc się głośnego płaczu, który trudno byłoby zignorować, wyniosłem się stamtąd pospiesznie.

Czy istnieje stworzenie bardziej bezlitosne niż piętnastoletni chłopiec?

Stary doktor bardzo mi pomagał, opiekował się mną.

W czasie pierwszych miesięcy od aresztowania i skazania Romana zmieniło się całe moje dotychczasowe życie.

Zrobiłam maturę i zdałam egzamin na pielęgniarkę.

Miałam dwadzieścia jeden lat, gdy osiągnęłam następny stopień szpitalnej hierarchii.

Była to zupełnie inna praca, wcale nie łatwiejsza, a niosąca z sobą więcej odpowiedzialności.

Już nie mogłam leczyć uśmiechem, dobrym słowem i życzliwym gestem.

Musiałam wykonywać zalecane przez lekarzy zabiegi, podawać leki, pilnować, aby krnąbrni starzy ludzie połykali przepisane pigułki, a nie ukrywali ich pod językiem i wypluwali w minutę po moim wyjściu.

Musiałam nadzorować salowe, do niedawna moje koleżanki, które teraz z ogromną satysfakcją stawiały mi bierny opór - młodejkozie, coto jej się zdaje, zero zummy wszystkie pozjadała, bo dostała jakiś papierek.

Chciałam pozostać z nimi nadal w koleżeńskich relacjach, ale nie umiałam - one same też mi to bardzo utrudniały - i męczyłam się z tego powodu.

Lekarze także na mnie inaczej patrzyli, a szczególnie dwóch młodych, którzy przyszli tu do swojej pierwszej pracy, samotni w nowym otoczeniu, szukali przyjaznej duszy.

Dopóki myślałam, że tylko o przyjaźń im chodzi, byłam miła i uczynna.

Szybko jednak zrozumiałam, czego oczekują tak naprawdę, a szpital był ostatnim miejscem, w którym chciałam się angażować w niejasne związki.

Co innego

kotłownia i Roman.

Nigdy spędzanych z nim chwil nie kojarzyłam z pracą w szpitalu.

To był rodzaj azylu, zaczerpnięcie sił do dalszej pracy; ułatwiało mi to kontakty z pacjentami i lekarzami - mężczyznami.

Pozwalało pozostawać obojętną na ich zabiegi i starania.

Rzecz jasna wtedy tak o tym nie myślałam.

Dopiero teraz to do mnie dotarło, bo jak inaczej wytłumaczyć niechęć izłość z powodu załotów dwóch przystojnych, wykształconych młodych ludzi?

Nie byli przesadnie nachalni, arogancy ani brzydcy.

Nie śmierdziało im z ust, nie dłużyli w nosie.

Włosy mieli czyste, ręce też.

A jednak odtrącałam ich odruchowo, bez zastanowienia.

Czy już wtedy zaczęło brakować mi Romana?

Pewnie tak, ależ nowu - podświadomie.

Wiedziałam tylko, że coś jest nie tak, że coś dotychczas gładko funkcjonującej maszyny mojego życia zaczyna się zacierać, czegoś w nim brakuje.

A nie mogłam sobie uświadomić czego, bo wspomnienie ostatnich chwil w kotłowni, nędznej zdrady, jakiej doznałam od mego kochanka, wciąż było we mnie bardzo silne.

Wtedy, jak darem z zapomnianych niebios, los obdarzył mnie wzmoczoną opieką starego doktora.

Miał już prawie siedemdziesiąt lat, a wyglądał na jeszcze więcej.

Nosił gęstą strzechę siwych włosów, każdy centymetr twarzy miał porany zmarszczkami, ale trzymał się wciąż prosto i dumnie.

Średniego wzrostu, szczupły i zawsze elegancki.

Prawdziwy przedwojenny lekarz - doktor Miłosz Fleszek.

Zabierał mnie do siebie, do wynajmowanych dwóch pokoi w napół zrujnowanej willi, częstował herbatą, ciastkami z plebani!

, gdzie gospodynią była jego daleka krewna, i czasami naleweczką na wiśniach, którą sam potajemnie (A bota wiadomo teraz wolno, a conie?)

- mawiał) przyrządzał każdej jesieni.

Opowiadał mi dużo o sobie, o wojnie, która zabrała mu żonę i jedyne dziecko, a córkę rozdzieliła na wiele lat, wyganiając ją aż do Australii.

On nie wyobrażał sobie życia poza Polską (Choćby minawet tę nalewkę zabrali, a i tak niewyjadę!

), do córki pisał, nie przejmując się cenzurą i rzadkimi jej odpowiedziami, a w szpitalu pracował jak przed wojną, wymagając

120

dyscypliny, czystości i poszanowania dla pacjentów.

Namawiał mnie do kontynuowania nauki, przeniesienia się do pobliskiego wojewódzkiego miasta i znalezienia tam pracy oraz miejsca w wyższej szkole dla pielęgniarek.

"Lekarzem, Stasia, już nie zostaniesz.

Zresztą, to nie fach dla kobiety.

Ale masz w sobie naturalny dar, rzadko spotykany, dający pomoc.

Masz go w rękach.

W sercu.

Ja go czuję, bo sam kiedyś go miałem.

Dopiero wojna.

A, dajmy spokój.

Ty, dziecko, maszto.

Niezmarnuj go.

A już szczególnie wystrzegaj się takich bubków jak ci dwaj nowilekarze.

Trzęsiej mą starą duszą, kiedy obserwuję ich arogancję i butę.

Wszystko wiedzą, o nic nie muszą się pytać.

Pewnie powiesz, Stasiu, że zawsze starszym ludziom nie podoba się młodsze pokolenie, ale to nie tylko to.

Idą złe czasy.

Przyszły już.

Już są.

Toczą się, gdy do takich jak oni należeć będzie władza.

Nie chciałbym, abyś ty znalazła się pod ich wpływem, aby zawłaszczyli twoją niewinność i dobroć.

Gdybym był chociaż dwadzieścia lat młodszy.

" Popatrzył na mnie jak mężczyzna, przez krótką chwilę tych lat mu rzeczywiście ubyło.

Ale trwało to zaledwie kilka sekund, i znów był starym doktorem, opiekunem mojej naiwności.

Zaczęło mi brakować sił.

Nie potrafiłam już wstawać każdego ranka o piętej pełną radości zaczynać oszóstą pracę.

Nocne dyżury wyczerpywały mnie, pozbawiały sił nacały nadchodzący dzień.

Mój akumulator przestał się samoczynnie ładować, potrafiłam teraz tęsknić zaniedbiać, za wolną chwilą, którą mogłam przeznaczyć dla siebie.

Pojechałam na kilka dni do cioci Małgorzaty i przeżyłam szok - tak mocne było wrażenie, że u niej, zamiast czterech lat, minęły zaledwie cztery dni.

Ani słowem nie wspomniałam długiego milczenia, braku wiadomości.

Ze spokojem wysłuchiwała mojej opowieści, która również długa nie była.

Pożalowała tylko Romana, pobiadoliła.

Na moje plany dalszej nauki, pomysł przeniesienia się do wojewódzkiego miasta,

pokiwała jedynie głową i opowiedziała mi o losach córki sołtysa Żamojny, Przybysławy.

Dziewczyna zaszła w ciążę bezślubu, a Piotrek, pomocnik młynarza, uciekł do miasta.

Przybysława

121.

dzieciaka urodziła, podchowała kilka miesięcy i któregoś ranka ruszył świat.

Szukać Pietrka - mówiły kumoszki.

Zamojna rozpił się, przestał być sołtysem, źle działo się w jego zagrodzie.

"Uważaj, Stasienko, uważaj.

Patrz, co to miasto z człowiekarobi".

Nie komentowałam, ale po raz pierwszy poczułam obcość tak bliskiej mi osoby.

Czy bliskiej?

Czy gdyby taką była, to mogłabym się z nią nie kontaktować tyle lat?

Może właśnie wtedy zaczęłam wreszcie myśleć, analizować siebie i otoczenie, zamiast tylko prowadzić bierne życie, podporządkowywać się zdarzeniom.

Mimowszystko wypoczęłam przez tych kilka dni, nabrałam znów sił i podjęłam decyzję o wyjeździe z Opatowa.

Zatęskniłam za zmianą, myślenie zaowocowało niechęcią do powrotu utarte tryby szpitalnego życia.

Przypominałam sobie słowa doktora Miłosza Fleszka, podejmowałam z nimi wewnętrzną dyskusję i przegrywałam, bo w głębi duszy rosła we mnie z dnia na dzień chęć odmiany.

Poczułam się nagle bardzo, wprost przeraźliwie samotna, aż nie potrafiłam zrozumieć swojego szczęścia i zadowolenia z dotychczasowego życia.

Przecież ono wymagało już od dawna gwałtownego przewrotu.

Jak mogłam być tak zaślepią?

Kto założył mi czarną opaskę na oczy i dlaczego mi ona do tej pory nie przeszkadzała?

Gdy do końca urlopu zostały mi jeszcze dwa dni, spakowałam się, pożegnałam z ciotką i odjechałam z Opatowa (już od roku dochodził tam autobus) w przeciwnym niż Opatów kierunku.

W wielkim mieście zorientowałam się, że nikt tam na mnie nie czeka i trudno mi będzie zacząć nowe życie bez pracy, bez mieszkania.

Egzaminy do szkoły miały być zamieszane.

Tutaj nie robią nic trudnego.

Znalazłam jakiś szpital i dostałam się do kierownika.

Był miły, pracę, owszem, mogłabym podjąć od jutra, tyle że istniał pewien szkopuł: "Musisz mieć stałe zameldowanie w naszej aglomeracji miejskiej.

Inaczej, chociaż potrzebuję pielęgniarek, o, nawet dzisiaj, nocny dyżur mam wakat, nic z tego.

O, biurokracja.

Chętni są, ow! 22

szem, pani własną przystojną osobą najlepszy przykład na to daje, aleni mają zameldowania.

A meldować nikt nie chce, bo to komplikacje natury prawno-mieszkaniowej powoduje.

Jak się pani z zameldowaniem zgłosi, następnego dnia pracownicą mego szpitala zostanie".

Złapałam nocny pociąg do Opatowa.

Po południu, odespawszy koszmarną noc na twardych deskach w przedziale, spędzoną w towarzystwie bekających czosnkiem i pierdzących jak konie w stajni podróżnych, poszłam po radę do doktora Miłosza.

Był to ostatni dzień mojego urlopu.

Idąc przez miasteczko, z niechęcią myślałam o jutrzejszym powrocie do szpitala.

Zatęskniłam nagle do Romka, do beztrioski, z jaką mogłam zawsze zejść do kotłowni, usiąść na blacie, poczekać na odegranie komedii niezauważania mnie, zdjąć w tym czasie majtki i patrzeć na oszronioną czarną pyłką, rozkoszną grę mięśni na torsie mego Hefajstosa.

Nigdy wcześniej nie przyznałam sama przed sobą, jak bardzo mi tego brak.

Doktor wysłuchał mnie, pokiwał głową i głęboko się zamyślił.
Jego pomarszczona twarz robiła się w takich chwilach jakby pogodniejszą młodszą.
Rozważał coś naprawdę istotnego, bosapał, przyglądał mi się i wzdychał.
Kończyłam już drugi kieliszek wiśniowej naleweczki, gdy wreszcie przemówił:
"Moja droga Stasiu, ja pewnie mógłbym ci pomóc, tylko boję się, czy ta moja pomoc
przeciw tobie się nie obróci".
"Przecież pan doktor sam mnie do nauki namawiał".
"No właśnie.
Stasiu droga, dziecku moje, opowiem ci może, a ty sama zdecydujesz.
Znam jednego lekarza, to mój rówieśnik, no, rok młodszy.
Ale jakże inny.
charakterem.
Nie zrozum mnie źle, ja nie mam się za Bóg wie kogo, ale wyznaję pewne zasady.
A on.
Paweł Peryzentowicz.
Niech cię nie zmyli nazwisko, to Żyd.
Och, mówię jak oni.
Cóż ta wojna nawet ze mną zrobiła!
Jakie to ma znaczenie, że Żyd?
Ale w jego przypadku akurat, bo on zmienił sobie nazwisko jeszcze przed wojną, w
trzydziestym czwartym czy piątym.
I to nie.
No, mówiąc krótko, zmienił je z nienawiści do
Żydów.
Albo na przekór rodzicom, aby zranić ich jak
123.

najmocniej.

Ze swym ojcem, wspaniałym człowiekiem, chociaż sztywnych zasad, pokłócił się śmiertelnie; z matką, kobietą świętej dobroci, ale niepozbawioną własnego zdania, też.

Znałem jego rodziców.

Ileżoncierpień im zadał!

Pan Perisenthoff omal życiem bezczelności synanie przyplącił, na zdrowiu od tamtej pory podupadł.

A Paweł dalej żył po swojemu, tylko nazywał się już Peryzentowicz.

Opieniądze, chociażnie tylko, między nimi poszło.

I o kobiety, bo Paweł na wdzięki płci pięknej strasznie był łasy.

Itu właśnie, droga Stasiu.

Boja nie wiem, czyon się wiele zmienił.

No cóż, posłuchaj.

Jeszcze przed zmianą nazwiska poślubił kobietę sporo od siebie młodszą, Polkę.

Biedną jak mysz kościelna, za to ze szlacheckiej rodziny.

To od tego ślubu zaczęły się jego kłótnie z rodzicami.

Ale z bogą synową wreszcie jakoś się pogodzili.

Miał z nią dwóch synów.

Ona poza dziećmi świata niewidziała i dziadkowie umieli to docenić.

A Paweł odszedł od niej, zostawił ją z chłopcami, zmienił nazwisko, zmienił wyznanie i ożenił się z bogatą wdową, nie pamiętam jej nazwiska, Myer, Meer, jakoś takz niemiecka.

Córka fabrykanta.

Pierwszą żonę zostawił bez środków do życia, płacił jakąś śmieszłą sumę raz na miesiąc.

Byli teściowie pomagali jej, pan Perisenthoff był uznanym prawnikiem i bogatym człowiekiem.

To wtedy, po ślubie z tą Niemką, ich stosunki zostały ostatecznie zerwane.

Paweł nawymyślał ojcu od skner, bo ten chciał go zmusić, aby łożył jak należy na utrzymanie własnych dzieci.

Znam to zarówno z jego relacji, jaki z opowieści pani Perisenthoff, bo z obiema stronami utrzymywałem kontakty.

Widzisz, Paweł, chociaż hulaka i niezły drań, świetnie gra w brydża.

Mieliśmy niezmienny skład dobrydża jeszcze z studiów.

Wiele lat ze sobą graliśmy.

A do jego rodziców bywałem zapraszany na obiady, nie wypadało nie chodzić.

Dopiero wojna zerwała nasze kontakty.

To znaczy moje z Pawłem, bo państwo Perisenthoff tych strasznych czasów nie doczekali.

On zmarł rok przed wojną, ona zaraz po nim.

Paweł na pogrzeb nawetnie przyszedł.

Taki to człowiek.

Niewiem, jak przeżył wojnę, czy jako mąż Niemki, czy jako Polak, czy jeszcze inaczej?

Nie wiem.

Jego druga żona zmarła

124

podczas wojny.

Paweł mieszka teraz sam, ma żonę, dobrze mu się powodzi.

Pracuje w szpitalu, jest niezłym rentgenologiem.

Odwiedziłem go dwa lata temu.

Nic się niezmienił.

Wciąż tylko o.

No, Stasiu, taki mam kontakt w dużym mieście.

Paweł by cię pewnie siebie zameldował, ale.

"Jasięnie boję, panie doktorze.

Przecieżniejestemjuż dzieckiem".

"Właśnie dlatego.

" - westchnął ciężko.

"Zestarszym panem sobie poradzę.

Zresztą nie muszę u niego wcalemieszkać, potrzebny mi tylko papierek o zameldowaniu".

Następnemiesiące dłużyły mi się niemiłosiernie.

Zaczęłam warczeć na pacjentów,tak jak inne pielęgniarki.

Potrafiłam w środkudniawybuchnąć strasznymgniwem, zrugać od ostatnichmłodą salową,dziewczyinę, jaką sama byłam jeszcze nie tak dawno temu,i razem niąpóźniej płakać nad zlewem.

Albo skrzyzczyć staruszkę, gdy posiłekokładała "napóźnij,boćto nijak tyła zajadać".

A umierała na anemię.

Zeszłam kiedyśdo kotłowni.

Spociałam się z emocji i strachu, chociaż ani Romka, ani Edmunda nie mogłotam być.

Ale droga w dół,po dobrze znajomych mi schodach, ciemność korytarza, w którymomal nie zaczęłamodruchowo ściągać majątek, odgłosy dochodzącezza otwartych drzwi- to wszystko wymieszane ze wspomnieniamiostatniej haniebnej i bolesnej ucieczki po tychże schodach - wywołałowe mnie panikę.

Niezajrzawszy nawet, kto dorzuca dopieca, zawróciłam na górę.

Do dawnych czasów niebyłopowrotu.

Uzbrojona w list od doktora Miłosza, jechałam na egzaminy i naspotkaniePawła Peryzentowicza, który, czułam to, miał zmienićmoje życie.

Egzaminy okazałysięnie takie trudne.

Pewna sukcesu, poszłamna spotkanie z "satyrem",bo tak, według mnie, chciał go przedstawićdoktor Miłosz.

Otworzyła mi stara służąca.

Wyjaśniłam powód swojej wizyty i jużza chwilę z salonuwyszędłdo mnie

PawełPeryzentowicz.

Nie wyglądał takstaro, jak mójdoktor.

Byłdość wysoki, miał zadbaną krótką

125.

brodę i wąsik, czerstwą, zdrową cerę, przyczernione włosy, eleganckituzurek, okazały sygnet i ogniste oczy.

Trzymał się prosto, można powiedzieć: dumnie, ale może i trochę sztywno.

Zapewne bardzo przystojny w młodości, wciąż zachował wiele uroku.

Przewiercał wzrokiem moją ciętą na wylot, ale jakoś inaczej niż ci dwaj młodzi lekarze z Opatowa.

Czułam w nim szacunek dla siebie jako kobiety i naturalne, zrozumiałe pożądanie dla mego ciała.

A ono od początku nie miało nic przeciw rozpalonym oczom rentgenologa.

Z uśmiechem przeczytał list od Miłozsa Fleszka.

"Zawsze ten sam

- skomentował z czarującym uśmiechem.

- Czemu on nie został księdzem, tak pięknie potrafi kazania prowadzić.

Ale, drogi panie, proszę się przejąć moim dezwanieniem.

Ja tego Miłozsakożam jak brata.

To człowiek dobroci nieznaną powszechnie.

A już w dzisiejszych czasach zupełnie niespotykanej.

Ale kazania zawsze był prowadził.

Nawet przy brydżu na mały blefik krzywił swą twarz szlachetną.

Czyż niedługo zestarzał się tak przedwcześnie?

Ale widzę, że to pani przyjaciel wielki i zależy mu na losie pani pięknej duszy.

Tu pisze mi o ciebie.

Cóż, tak pięknej kobiecie zwierzę się wprost, bo chociaż znam panią dopiero pięć minut, to czuję prąd zrozumienia między nami płynący.

Nigdy, przenigdy nie zrobiłem niczego, na co kobieta wcześniej zgody byś nie wyraziła.

Tak więc, zostawisz ze mną, bo nie pozwolę, aby protegowana mojego najlepszego przyjaciela byle gdzie mieszkała i na niegodziwość współczesnego chamstwa się narażała

- zostawisz zatem, może pani tylko spełnienia własnych pragnień i życzeń oczekiwać.

Nigdy inaczej.

A że piękne pani oczy, wyniosłe pierś i cudna twarz niejednemu do złego przywiodły, to nie radzę kwatery szukać po mieście.

Nie te czasy to, gdy dla cnoty powszechnie było uważanie, gdy cud-dziewczyna mogła pewną być szacunku i bezpieczeństwa własnego.

O nie.

A ja święte słowo daję.

Cokolwiek się stanie - zgodzie z pani wolą będzie".

Oczarował mnie starszy pan swym uśmiechem, potokiem słów i spojrzeniem mężczyzny patrzącego na mnie z pożądanym nieukry-

126

wanym, podziwem prostym i odczuwanym przeze mnie znów tak, jak odczuwałam obecność Romka wemnie.

Wierzyłam, wiarą płynącą z naiwności i dreszczyku podniecenia, że cokolwiek się stanie, naprawdę nie będzie w tym łamania mej woli i chęci.

Od razu zanocowałam u niego, bo nie chciał nawet słyszeć o wypuszczeniu mnie "po ciemnej nocy" na poszukiwanie noclegu.

Mieszkanie miał ogromne i wspaniałe.

Nie mogłam zrozumieć, jak w czasach powszechnego dokwaterowywania ludzi wszędzie i wszyskim, gnieźdzenia się po kilkoro w jednej izbie, Paweł Peryzentowicz mógł mieszkać sam w pięciu pokojach, posiadać służącą, opływać we wszelkie dostatki.

W każdym pokoju byłomnośćwo myśliwskich trofeów, głowy dzików, jeleni, żubrów, nawet łosia.

Pięknie wyprawione skórydrapieżnych, również egzotycznych, zwierząt.

W salonie przeszklonegabloty z kolekcjami broni palnej i białej.

Porcelanowy serwis z wizerunkami zwierząt; nawet solniczka była w kształcie myśliwskiego kapelusza.

A pan Pawełsiedział za zastawionym do kolacji stołem, pukałlekko sygnetem wbrzeg talerzai zabawiał mnie rozmową.

Śmieszyła mnie jego kurtuazja, ale również imponowało mi to, żeja, dziewczyna z Gzyntów, pielęgniarzka z Opatowa, jestemobiektmezainteresowania tak światowego pana.

Gdy po kolacji kąpałam sięw wannie, wycierałam grubym rozkosznym ręcznikiem,czesałam włosy przed pięknie podświetlonym lustrem - chodziły mi po głowie dziwne myśli.

Spodziewałam się dalszego ciągu zalotów i jednocześnie odczuwałam żal, gdyby miało się to stać już dziś,pierwszej nocy.

Zastanawiałamsię,ile kobiet czesało się przed tym samymlustrem poczarujących rozmowach z panem Pawłem.

Patrzyłam na swoją twarz,zwykłą przecież, taką jak każdego dnia, i próbowałam wyobrazićsobie,jak to jest oglądać mnie z zewnątrz.

Ktoś zapukał.

Stara służąca.

Zaprowadziła mnie do przygotowanego już łóżka,życzyła dobrej nocy i przeproszała w imieniu pana,coto "ataku dostał podargi i o wybaczenieprosi panienkę, bo to się sampożegnać nieda rady".

127.

Długo nie mogłam zasnąć.

Myślałam czekającym mnie tutajżyciu z miłym przeczuciem nieuchronnego powrotu świeżych kolorówwe mnie i w mym otoczeniu.

Wiązałam te barwy z szarmancką postawąstarszego pana, nauką w szkole, pracą w nowym szpitalu, pobytemw wielkim mieście.

Jak przeskok z chaty cioci Małgorzaty w Gzymtachdo Opotowa zmienił we mnie wszystko, tak i teraz spodziewałam sięwałtownego i ostrego przestawienia zwrotnicy mego bytowania.

I niebałam sięnowego w nim kierunku.

Zasnęłam wreszcie.

Sama, jakby trochę zawiedziona całkowitymbrakiem zainteresowania.

Następnego dnia były już wyniki egzaminów.

Zdałam.

Od września miałam zacząć naukę.

Zajęcia odbywały się popołudniami, bo większość studentek równocześnie pracowała.

Z panem Pawłem spotkałam się przed urzędem meldunkowym, gdzie dopełniłmy formalności poza kolejnością, bo on kogoś tam znał.

Zaproponował mi pomoc przy załatwieniu pracy, ale odmówiłam.

Skłamałam, że mam już przyrządzone miejsce, i poszłam do tego samego kierownika, u którego byłam za pierwszym razem.

Tak jak obiecywał, wystarczyło mieć w dowodzie stałe zameldowanie.

Zdziwiła mnie tylko pensja, niższa nawet od tej z Opotowa.

Miałam jednak sporo odłożonych pieniędzy, bo żyłam skromnie i oszczędnie, żywiłam się przecież za darmo w szpitalu, a ubierałam się wciąż w to samo.

Tak więc nie był to problem.

Nie mogłam się jedynie doczekać, kiedy wreszcie nadejdzie pora wyjazdu z Opotowa.

Wyjeżdżałam uczyć się, więc ze szpitala zwolniono mnie bez słowa.

Nie byłam już przynoszącą radość i uśmiech iskierką, dlatego pacjenci i koleżanki też mnie nie żalowali.

A dwaj młodzilekarze wprowadzili, że pozostają w nieutulonym żalu i tęsknocie, ja jednak nie miałam ochoty umilać im ostatnich chwil przedrozstaniem, na co wyraźnie obydwaj naiwnie liczyli.

Tylko starego pana Miłosza byłomi żal zostawiać.

Z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej, gryzł się czymś i martwił.

Wypytywałam mnie

128

wielokrotnie o Pawła Peryzentowicza, owrażenie, jakie namnie zrobił.

Nie kłamałam, ale przedstawiałam jego zaloty jako coś zabawnego i całkowicie miobojętnego, starając się w ten sposób uspokoić staruszkę co do bezpieczeństwa mojej cnoty.

On potakiwał, rozumiał i wierzył, po czym dalej się zamartwiał.

Może wcale nie moim losem?

Niewiedziałam.

Starłam się pokazywać mu tylko radosną i uśmiechniętą twarz, bo pogoda mego ducha zawsze ścierała złe myśli z jego czoła.

Spakowałam się w tę samą walizkę, z którą przyjechałam z Gzymtów.

Może była tylko trochę cięższa.

Na dworzec odwiózł mnie motorem stary Szczepan.

Poprzedniego dnia nie potrafiłam oprzeć się pokusie i zajrzałam do kotłowni po raz ostatni.

Nie uciekłam tym razem sprzed drzwi, tylko zajrzałam do środka.

Potężny chłopak, jeszcze mocniej zbudowany od Romka, wrzucał węgiel do pieca. Ten samrytm, ta sama melodia szurania łopata po podłodze, jaśniejsze, ale też pokryte pyłem ciało, naprężane i rozluźniane mięśnie.

Mocarz przerwał na mój widok, odłożył łopatę i z uśmiechem podszedł do mnie: "Pani pewnie do wuja ze sprawą?"

Wuj przyjdą da co.

Jak pani chce, to niech poczeka, o tam, koło pieca czystemiejse jest".

Wskazała blat, na którym siadywałam setki razy i gdzie powinno chyba być wytarte moimi poślądkami miejsce.

"Dziękuję, poczekam".

A on stał, skonsternowany, nieśmiały i patrzył, jak siedzę i macham nogami.

"Nie przejmujcie się - powiedziała do niego.

- Pracujcie.

A jak wam na imię?

". Józek jestem, Józek Pieczerka".

"Pracujcie, panie Józku, bo w piecu wygaśnie i pomarzniemy".

Zaczął znów ładować węgiel do pieca, a ja patrzyłam na niego i próbowałam przywołać nastrój?

Przypomnieć sobie wrażenia?

Powrócić myślami?

Przecież było powrotu.

Przecież Roman swym tchórzostwem, zakłamaniem, uległością.

"Czy to nie dziwota, psze pani, co by latem takie zimno bez grzania było?"

Wuj mówią, co to stary szpital jest, mury odgniły i bez to ognia im potrzeba.

A pani w szpitalu pracuje?

".

Pojawił się stary Szczepan i dowiedziawszy się o moim wyjeździe, sam zaofiarował się odwiedzić mnie na dworzec.

Pytałam, czy niemajakichś wiadomości o Romanie.

Ale na wspomnienie o nim spłoszyłam się; nic nie wiedział, nic nie słyszał, więc dałam spokój.

Józek obserwował mnie z nadzoru szufli.

Szczepan po wzmiance o moim Hefajstosie stracił chęć dorozmowy - wyszłam stamtąd.

Po raz ostatni.

Doktor przyszedł na dworzec, mimo że już poprzedniego dnia pożegnaliśmy się przy naleweczce.

Pląkałam szczerze, on też wytarłukradkiem kilka łez.

Machał mi z peronu, gdy pociąg ze stukotem i sapaniem wywoził mnie spod opiekuńczych skrzydeł Miłosza Fleszka.

"Przyjedzie pan w odwiedziny?"

". "Nie wiem, dziecko, czy sił mistarczy.

Czuję swoje lata jakby podwójnie.

Nie wiem".

"Toja przyjadę, tylko naleweczki żeby nie zabrakło!"

". "Przyjedź, kochanie.

Nigdy niczego dla ciebie u mnie nie zabraknie.

Przyjedź, Stasiu.

Każdej godziny będę cię czekał".

Pląkał, gdy pociąg ruszył, a ja machałam do niego długo, aż mój pomarszczony doktor ozłotym sercu, gorąco dla mnie bijącym, zniknął w oddali.

Nie wiedziałam wtedy, że niespotkam już nikogo, kto będzie kochał mnie tak gorąco i tak bezinteresownie.

Nie wiedziałam, jak rzadkością jest taka miłość.

Rozdział Stradivariusa. Wiadomość o tournée Federico Camparopo Polsce dotarła do nas w miesiąc po katowickich przesłuchaniach.

Ela po prostu szalała ze szczęścia.

Jeden z koncertów miał się odbyć u nas, w naszej filharmonii.

Już po jednym dniu wiedziała od Kasprzyckiego wszystko o próbach i godzinach ich rozpoczęcia.

- Ja - mówiła mi z wypiekami na twarzy - nie zamierzam uronić ani jednego dźwięku, wydanego przez Camparo w naszym mieście.

Będą trzy próby, bo to tytan pracy i dokładności.

Lubi dopracować do perfekcji każdy dźwięk, każdą frazę.

Najpierw próba o dziesiątej, tego samego dnia po południu, o szóstej, i generalna w dzień koncertu, też o dziesiątej rano.

Koncert o siódmej trzydzięci.

Przez dwadzieścia lat ma mnie dla nikogo!

Idziesz ze mną do Dziej Ku?

- Po co?

- Musimy mieć zwolnienie na te dwie poranne próby.

Może się uda załatwić dla wszystkich z orkiestry?

Namówiła jeszcze Ewę i poszliśmy we trójkę.

Dyrektorka przyjęła nas życzliwie, wysłuchała spokojnie, ale nie podzielała zapału Eli i nie chciała zwolnić tylu uczniów ze szkoły tylko dlatego, że przyjedzie "znany Italianiec".

Ela zagotowała się
złości.

- Jak pani może, pani dyrektor!

To światowej klasy wirtuoz, genialny skrzypek.

I gra na prawdziwym stradivariusie!

Nikt niepotrafi grać lepiej od niego.

131.

- No to pójdziecie na koncert.

Sama też się wybieram.

- Ale koncert to nie wszystko!

Pani dyrektor, ważne jest, jak on pracuje, jak dochodzi do mistrzostwa.

- Po to nie musisz chodzić na obcokrajowe próby, moje dziecko.

Ja ci powiem: ciężka, mozolna praca, wysiłek każdego dnia, cierpliwość i.

- Och, pani dyrektor.

Pani jest jak.

jak rodzice!

Przecież.

- Ty się, dziecko, zapominasz.

Przerwałaś mi, dajesz mi jakieś bzdurne porównania.

Nie zgadzam się.

Niezwalniam.

Ela chciała dalej dyskutować, ale razem z Ewką wyciągnęliśmy ją z gabinetu prawie na siłę.

- Co to za kretynka!

- mówiła już na korytarzu.

- Nic nierozumie.

Uparta jak wół, albo raczej jak.

jak!

Tak będę o niej teraz mówić:

Dziejku Jak.

Co za idiotka!

- Dałabyś spokój.

Pójdziemy wszyscy na koncert, to wystarczy - przekonywała ją Ewa.

- Może wam, ptasiemóżdżki.

Ale nie mnie!

Uroczycie przysięgam, że będę na wszystkich próbach Camparo, choćby mnie ten głupi Jak miał za to wywalić ze szkoły!

Przez najbliższy miesiąc trudnobyło z Ela rozmawiać o czymkolwiek, co nie dotyczyło Włocha.

Nawet w kinie nie myślała o niczym innym.

Nawet wtedy gdy w mieszkaniu jej starszego kuzyna spotykaliśmy się tylko we dwoje.

Co prawda nie wychodziliśmy poza dość niewinne pieszczoty, ale poprzednio Ela potrafiła się w nich zatracić, zapomnieć.

Natomiast teraz wciąż czułem, całując jej usta, szyję, piersi, że ona myśli o spotkaniu z Camparo, pewnie układa powitalne zdanie albo odpowiada na proste pytania.

I może wyobraża sobie jego namoim miejscu!

Nie powiem, przeszkadzało mi to, denerwowało.

Zaczynałem mieć tego Włocha po dziurki w nosie, zanim go jeszcze ujrzałem.

Podczas wieczorów w mieszkaniu Eli słuchaliśmy już wyłącznie jego nagrań, a ona starała się znaleźć oznaki genialności w każdym pasażu, każdej

132

frazie, ja zaś obawiałem się, że dłużej już nie wytrzymam udawania zachwyty nad czymś, co z dnia na dzień zaczynało mnie coraz bardziej mierzić.

Nawet na próbach orkiestry Ela grała nie uważnie, wciąż nieobecna, zamyślona.

Kasprzycki zwrócił jej kilka razy uwagę, ja na nią syczałem, Darek wyśmiewał ją na przerwach - nic nie pomagało.

Była jak w amoku.

Miałem nadzieję, że to wszystko skończy się już niedługo, razem z wizytą "tego Italiańca", jak zacząłem nazywać go w myślach zadyrektorką.

To mnie przypadł zaszczyt stania ponad sześć godzin w kolejce pobilety na koncert, bo dowiedziałem się o dziesiątej wieczorem poprzedniego dnia od Stefana Gromnego, na dwa tygodnie przed przyjazdem znienawidzonego już prawie wirtuoza, że w kasach będzie ich tylko trzysta pięćdziesiąt sztuk, a sprzedawane będą od ósmej rano.

Byłem więc przed filharmonią już piętnaście po piątej, a i tak stała tam ogromna kolejka. Sprzedawano po dwa bilety nagłową, więc cierpliwie czekałem do dwunastej w południe. Zawaliłem dzień w szkole, lecz radość Eli, niemal euforia, gdy niespodziewanie przyniosłem wymarzone bilety, wynagrodziły mi wszystkie poświęcenia.

To jeszcze tylko dwa tygodnie, mówię sobie, potem wszystko wróci do normy. Ela znowu będzie zakochana tylko we mnie, zapomniete starego dziada. Wszystko się ułoży, jeżeli zachowam cierpliwość, będę wyrozumiały. Ostatecznie to nic złego, że ma idola, wzór, mistrza. Każdy tego potrzebuje.

Mieliśmy wtedy sporo prób, bo Kasprzycki pozwalał nam koncerty, aby jeszcze przed wakacyjną przerwą porządnie ograć program, chociaż wszystkie utwory znaleźliśmy od miesięcy niemal na pamięć.

Teodorowi jednak wciąż było mało i mało.

Przymuszał do stałego uczestnictwa w próbach nawet Gromnego, który wyraźnie przeżywał jakiś kryzys.

Nie wystarczała mu już jedna piersiówka, popijał dwóch.

Był wciąż na rauszu, ale nigdy pijany.

Zbierał za to od Kasprzyckiego

coraz ostrzejsze bury, których Teodor udzielał mu niemal przy nas;
z pokornie opuszczoną głową wysłuchiwał tyrad przyjaciela, potakiwał, coś tłumaczył,
machając przy tym długimi rękami, po czym następnego dnia historia powtarzała się znowu.

Ale grał wciąż bezbłędnie, jakby ilość pochłoniętego alkoholu nie miała na niego
wpływu tyłkoprzy kontrabasie.

Przez tych kilkanaście dni nie odzywał się do nikogo z orkiestry, nie wyłączając mnie i
Darka.

Nie odpowiadał nawet na wyraźne zaczepki Rejwasa.

Zaciskał tylko szczęki, wysłuchując żartów, i wpatrywał się w swego rozmówcę
wielkimi, zawsze wilgotnymi oczami, poczym odchodził bez słowa, a wopuszczonej linii
ramion raz odgadywałem załamanie, innym razem bezradność.

Ela dotrzymała słowa i w przeddzień koncertu Włocha nie przyszła do szkoły, tylko
siedziała w sali filharmonii i słuchała próby.

Napopołudniową próbę musiałem iść razem z nią, nie dało się wymigać.

Camparo zawiódł moje oczekiwania: niewysoki, zgarbiony, gderliwy facet.

Grał na próbie nieuważnie, co chwila przerywając i czepiając się orkiestry.

Znęcał się nad muzykami i kazał im powtarzać po kilka razy zupełnie proste fragmenty.

- Widzisz - szeptała Ela.

- Nie popuści żadnego błędu.

Prawdziwy perfekcjonista!

- Ale sam wstawia boki - odpowiedziałem.

- On nie pracuje teraz nad sobą.

Przecież to widać, że on wszystkimie.

On dzieli się swoją wiedzą z innymi!

Dłaniej wszystko, corobił Camparo, było jednoznacznie wspaniałe.

Nie miałem wątpliwości, że na przerwie pójdzie do niego, do pokoju solistów, bo pewnie już
rano zapoznała się z mistrzem.

Okazało się jednak, że Ela nie potrafiła przełamać w sobie onieśmielenia.

Stawała przed żywą legendą z otwartymi ustami, jak małe dziecko przed wystawą sklepu
z zabawkami.

A może wolą, by pozostała taki

134

nieosiągalny, nierealny?

Może bała się zderzenia marzeń z rzeczywistością?

Na porannej próbie była młoda żona Camparo, Constantina.

To o niej przez całą przerwę opowiadała mi Ela: wysoka, chuda blondynka, "wcale nie jakaś
piękność.

A takkoło niego chodzi, kręci się,;

jakby go miała na wyłączność.

Nie ta klasa co on!

To wirtuoz, ostatni!

z żywych!

A ona - nieta klasa.

Nogi dokitu.

I biust ma za duży!

".

Na popołudniową próbę Constantina nie przyszła, pomimo to Ela, 'do mistrza nie
chciała nawet podejść.

Wcale jej nie zachęcałem!
choć może lepiej byłoby zderzyć jej wyobrażenia z faktami, bo Camparo nie wydawał się
bynajmniej ucieleśnieniem dziewczęcych fascynacji.

Federico!

Przecież nie możesz z powodu mojego złego samopoczucia odwołać próby.
A bez porannej próby nie możesz zagrać wieczorem koncertu.
Ja wiem, jak bardzo mniekochasz, mój ty słodki, 'najwspanialszy geniuszu, ale ja nie żądam
od ciebie, abyś stawiała mnie ponad swój kunszt, ponad swoją boską niepowtarzalną grę.
Janigdy nie będę dla ciebie przeszkodą w karierze.
Przy mnie nigdy nie będziesz musiał wybierać: skrzypce czy miłość.
Ja to nie Claudia.
Przecież wiesz.
Tak, najmilszy, jeżeli tylko by mi się pogorszyło, zadzwonię.
Mam przecież numer telefonu.
Nawet w takiej Polsce chociaż telefony muszą działać.
W nagłym wypadku i po włosku rozumieją.
Zresztą kilka słów jeszcze pamiętam.
Chociaż myślałam, że więcej będę rozumieć.
Ale to taki trudny język!
Ty jednak nie martw się.
Będę dzwonić tylko w wyjątkowym wypadku, gdyby stało się coś nagłego, strasznego.
A czy ty wiesz, że jakiegoś po takich bólach brzucha miałam silny krwotok?
Tylko nie przejmuj się tak bardzo, i to było dawno temu i skończyło się za ledwie na
kilkudniach w szpitalu.
Powiedzieli, że z operacją lepiej się wstrzymać.
Nie, nie sądzę?
aby i tym razem.
Na pewno nie!
I nie zgadzam się, aby z mojego

powodu ucierpiał twój pierwszy koncert w Polsce.
Przednami przecieźcałe tournee.
Dzisiaj będzie prasa, pierwsze recenzje.
To takie ważne!
Zresztą boli mnie zupełnie inaczej niż wtedy.
Ja ci się tak zwierzam, atotakie wstydlive i krępujące dla kobiety sprawy.
Todlatego, żeufam cibeżgranicznie, że kochamcię do szaleństwa i chcę, abyś wiedziało mnie
wszystko.
I dobre, izłe.
Pewnie, tych ciemnych stron we mnieniewiele, boto ty je rozjaśniasz, ty powodujesz, że
wszystko złe mijai odchodzi w niepamięć.
Przy tobie czuję się taka niewinna i bezgrzeszna.
No, uciekaj już,bo się spóźnisz.
Tak, tak.
Poradzę sobie.
Tak,tak.
Tylko w razie czegoś naprawdę poważnego.
Pa. Pocałuj mniejeszcze na dowidzenia.
No,nie przejmuj się.
Skrzywiłam się,bo jaksię podnoszę, to jest jakby gorzej.
Masz już iść i w ogóle omnie niemyśleć.
Dobrze.
Będę sobie spokojnie leżeć imarzyć o naszej willi,o tym, jacy tam będziemy szczęśliwi i jak
będziemy się kochać.
Tamustąpiąwszelkie dolegliwości i bóle.
Tak, już mi lepiej.
Idź.
A jakby co,to popatrz: do telefonu dosięgnę.
Tylko parę słów.
Daj mi znać, jak tyłkozacznie się przerwa.
Nakręciłamgotak,że nawet nie pomyśli o skrzypcach.
Poleci na dół na łeb, naszyję,bo jest cały przerażony.
Przecież umiem udawać, moja ty Basetlo.
Niewiem tylko,co zrobi, jakniezastanie mnie przy słuchawce, przecież niebędę czekać.
Musiciezdążyć.
Nie przejmuj się, w tymhotelu jest centralasprzed króla Ćwieczka.
Niczego mi nie udowodnią.
Zresztąniebędąśmieliniepokoićzony Camparo tak bezczelnymi podejrzeniami.
Masz rację,rozgadujemy się całkiem niepotrzebnie.
To pewnie nerwy.
W dzień koncertu Ela znowu nie przyszła do szkoły.
Niczego innego się po niej nie spodziewałem.
Po lekcjach odbywała się dodatkowa próba orkiestry, bo następnego dnia mieliśmy zagrać na
jakiejsuroczystej akademiizupełnie inny program, niż ostatnio ćwiczyliśmy.
Próba planowana była tylko na jednągodzinę - od drugiejdo trzeciej.
A tu nie ma aniEli, ani Kasprzyckiego, aniGromnego.
Czekamy

Pół godziny - nadal nikogo.
Ktoś poszedł zadzwonić do filharmonii.
Po chwili wrócił, nie dodzwoniwszy się.
Albo zajęte, albo nikt nie odbiera.
Na zmianę.
Zakwadrans trzecia niektórzy zaczęli się rozchodzić.
Chwilę później wpadli, bardzo wzburzeni, Teodor i Ela.
Kiedy poszedłem do niej, zobaczyłem, że oczy mapelne łez.
Rzuciła mi się w ramiona:
- To straszne!
Taki wstyd!
I tou nas!
Ja tego nie wytrzymam, niezniosę!
Tuliłem ją, patrząc, jak Kasprzycki zbiera dookoła siebie orkiestrę.
- Co się stało?
Dlaczego płaczesz?
- Ale ona powtarzała tylko wciąż to samo o wstydzieni żenadzie.
- Proszę państwa - Teodor był poważny, skupiony - usiądźcie i posłuchajcie.
Nie będziemy dzisiaj grać.
Stała się rzecz straszna i niewiarygodna.
Dzisiaj, w przerwie próby, skradziono skrzypce Federico Camparo.
Skradziono je z zamkniętego na klucz pokoju w naszej filharmonii.
Dlatego nie mogliśmy przyjść na czas.
Była milicja, przesłuchania, przeszukania.
Jestem wstrząśnięty bezczelnością tej kradzieży, obojętnością na to, jakie światło całe
zdarzenie rzuca na Polskę, Polaków.
No i na nasze miasto.
Pocokomu stradivarius?
Przecież tego nie można sprzedać ani wywieźć.
Cóż za bzdurna i tragiczna historia.
Kasprzycki nie chciał dzielić się żadnymi szczegółami, może sam nic nie wiedział, a
Ela nie była w stanie skłecić nawet kilku słów.
Naszcześnie po paru minutach przyjechał starszy brat Ewy, Zdzisiek, żeby odebrać siostrę z
próby.
Też pracował w filharmonii i był typem prawdziwego plotkarza, dlatego z pasją zaczął
nam opowiadać swoją wersję zdarzeń:
- Ale jaja!
Podpierzili te skrzypce koncertowo!
Akcja wzorcowa.
Słuchajcie.
Maestro idzie na przerwę.
Wchodzi po krętych schodach, jest w pokoju.
Po chwili wpada doniego woźny Nalewajczyk i każemu natychmiast zejść do telefonu, na dół,
bo dzwoni żona mistrza,

Constantina.

Urgente, urgente.

Bella Constantina telefonato!

Urgente.

Ke koza, pewnie pyta mistrz, co się stało?

ANalewajczyk powtarzał tylko: Urgente, urgente.

La bella Constantina telefonato.

Mammamia, Maestro, urgente!

I Camparozamyka pokój na klucz, na migikaże Nalewajczykowi stać pod drzwiami, a sam pędzi na dół dowiedzieć się, co z jego ukochaną młodą żoną.

Słuchawka telefonów stróżówce leży obok aparatu, ale po drugiej stronie.

cisza.

Camparo pamięta numer do hotelu.

Dzwoni, ale, jakto u nas, dodzwonił się dopiero zatrzec albo czwartym razem.

Łączą go z pokojem żonczki.

Co się stało, moje ty kochanie?

Toty, Federico?

Masz przerwę?

Jak idzie próba?

Co się stało, kotku, że dzwonisz tak nagle, wyrywasz mnie z pokoju, cóż to za sprawa?

Janie dzwoniłam, mój najmilszy.

U mnie wszystko w porządku!

Pewnie dopiero wtedy Maestro pierwszy raz na poważnie się zaniepokoił.

Żegna żonę, wraca na górę, wypytuje Nalewajczyka.

Po włosku!

Wyobrażacie sobie?

Że ja tego niewidziałem, do końca życia sobie nie daruję!

Woźny, przestraszony, powtarza tylko swój tekst o Belli, że "telefonato urgente".

Camparomacha ręką, wchodzi do pokoju.

Spokój, porządek.

Nic nieruszone.

Kładzie się na sofie, ucina sobie drzemkę albo mruczy pod nosem.

A może zastanawia się, nad czym będzie się wyzłośliwiać po przerwie.

No i teraz słuchajcie.

Dzwonek na koniec przerwy.

Mistrz bierze skrzypce do ręki.

Sprawdza odruchowo, czy stroją i.

Jego wrzask to już osobiście słyszałem, bo akurat z Antkiem Miszewskim schodziliśmy po schodach.

Myślę: mordują człowieka.

Albo mumatka umarła.

Miszewski był szybszy, bo miał tylko trąbkę, ja altówką nie mogłem rozwinąć należytej prędkości.

Więc Miszewski wpada pierwszy.

Mistrz kłęczy na środku pokoju nad leżącymi na podłodze skrzypcami.

Pomyślał, znaczy Antek, że Camparoupuścił stradivariusa i rozpacza nad rozlanym mlekiem.

A Włoch rzuca się na niego, przewraca go na podłogę i zaczyna dusić, wciąż powtarzając coś powłosku.

Wpadam ja.

Co widzę?

Mordują mi przyjaciela.

Odkładam instrument, smyczek gdziekolwiek, i łapię narwańca za kark, ściągam

138

wciąż wrzeszczącego Włocha z Polaka.

Internacjonalizm?

Wielka sprawa, ale Antek to mój kumpel i nie będę spokojnie patrzył, gdy ktoś go dusi jak kurczaka!

Wtedy dotarli już inni, zwabieni godowym krzykiem Mistrza, i rzucili się z koleina mnie.

Oj, brak solidarności w naszym narodzie, oj brak.

Wtedy Camparo zasłabł.

Autentycznie zzieleniał, oczy postawił w słup i fajtnął na kozetkę.

W tej szamotaninie ktoś nadepnął na skrzypce!

Jak zobaczył to Tomaszek, to prawie poszedł w ślady Mistrza.

Ale wtedy Camparo zaczął już przychodzić do siebie.

Całe szczęście był w pokoju Kasprzycki i zrozumiał, o co chodzi.

Na podłodze, podeptany, leżał falsyfikat.

Prawdziwego stradivariusza ktoś podpierzył!

Kiedy?

W czasie, gdy Nalewajczyk pilnował pokoju Mistrza, który dodzwaniał się do żoneczki.

Ale historia, co?

Wezwano milicję, nikt nie mógł wyjść z budynku.

Tomaszek dowodził po generalsku, a rozkazami sypał jak z rękawa.

Ale było za późno.

Skrzypce wyfrunęły.

I to dosłownie, bo ze wstępnych ustaleń ekipy śledczej wynika, że wyniesiono je przez okno.

Z sąsiedniego dachu podstawiono drabinę, a ktoś sprytny wszedł po niej do pokoju w czasie nieobecności Mistrza.

Ale jak to wszystko zaplanowali!

Mieli przygotowane drugie skrzypce, na pierwszy rzut oka podobne do oryginału.

Podłożyli je.

To im dało dużo więcej czasu na zwinięcie maneli i ucieczkę.

Mieli prawo liczyć, że Camparo po powrocie do pokoju, nie będzie niczego sprawdzał.

I mieli rację.

Ale numer!

Jak w jakimś kryminale.

Opiszę to i poślę do Hollywood.

Columbo zrobi z tego ekstra odcinek!

Akcja zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach.

Coś niesamowitego!

Słuchaliśmy z zapartym tchem.

Żałowałem wtedy, że nie zerwałem się ze szkoły razem z Elą.

Zazdrościłem jej przeżyć, bo była nawet, jak wszyscy obecni w budynku, przesłuchiwana przez milicję.

I miała na jutro zgłosić się na pobranie odcisków palców!

Ela jednak nie podzielała entuzjazmu i zapału Zdziśka.

Całym zdarzeniem była przybita, wręcz załamana.

Mówiła tylko wciąż owstydzie i hańbie.

Pewnie, powodów dodumy nie mieliśmy.

Posmak

sensacji był jednak tak mocny, że nie potrafiłem zrozumieć jej cierpiętniczego nastawienia. Dopiero smutek i zamyślenie Kasprzyckiego uzmysłowiły mi prawdziwy wymiar zdarzenia.

To nie była robota z zewnątrz!

Wkaż dym razie - nietylko!

Ktoś filharmonii pomógł złodziejom.

Tak myślał Kasprzycki.

Tak chyba myślała też Ela.

Chociaż jej pewnie najbardziej było żal Camparo.

Nie mogłem pograć się w plotkowaniu i snuciu własnych wizji o przebiegu kradzieży, bo musiałem odwiedzić Elę do domu.

Zwróciła się o to do mnie głosem tak słabym i drżącym, że skruszało by nawet serce z kamienia, a nie tylko moje, zakochane.

W tramwaju staliśmy w strasznym tłoku, nie dało się porozmawiać.

Gdy dojechaliśmy, poprosiła mnie, wciąż cichutko, abym wszedł do niej na chwilę.

Tam, w swoim pokoju, rozkleiła się na dobre, zaczęła płakać w moich ramionach.

Głaskałem ją, uspokajałem, tuliłem.

W domu nikogo nie było, zrobiłem więc herbatę, znalazłem jakieś ciastka i gdy Ela doszła trochę do siebie po wizycie w łazience, wreszcie pogadaliśmy.

Rozdział miejskiego życia. Już po śmierci taty jeden z jego braci poprosił mamę o pożyczkę.

Mieliśmy wciąż oszczędności z dawnych dobrych czasów, kiedy tata jeździł do Skandynawii.

Ale te pieniądze były w dolarach, nakoncie bankowym.

Mama wyjęła dolary z konta, bała się jednak sama sprzedać taką dużą sumę.

Mateusz był na jakichś zawodach, Paulinie też nie uśmiechały się kontakty pod Peweksem, więc pozostałem ja.

Do osiemnastki brakowało mi wtedy jeszcze kilku miesięcy, ale wyglądałem na starszego.

Od dawna nie miałem kłopotów z kupowaniem biletów w kinie na filmy dla dorosłych.

Kiedyś nawet kupiłem wódkę monopolowym, gdy mama wyprawiała swoje urodziny.

Dolarów do wymiany na złotówki było dwieście.

Poprosiłem Darka Rejwasa i Tadzia Rzychwę o asystę i we trzech pojechaliśmy pod Pewex.

Pewnie nasze srogie miny sprawiły, że ani przed sklepem, ani w środku nikt nas nie zaczepił, chociaż zazwyczaj trudno było przejść obok sklepu, aby nie usłyszeć zduszonego szeptu:

"Sprzedać, kupić, a może bony?"

". Pokręciliśmy się między kolorowymi towarami, obrzucani ważnymi spojrzeniami eleganckich sprzedawczyń, i

nic.

Skinąłem w końcu na kolegów i wyszliśmy na ulicę.

Tam też pusto.

- Jak pech, to pech - zagałem, zastanawiając się, co robić.

- Jakiś pomór padł na cinkciarzy, czy co - powiedział Darek, ziewając szeroko.

- Możemy pójść do innego Peweksu?

Do Grand Hotelu jest niedaleko - zaproponowałem, bo nie miałem ochoty nosić tak dużej

141.

sumy pieniędzy przez kolejny dzień.

Wypełniony walutą portfel uwierał mnie podczas wszystkich lekcji, a pod spojrzeniami, jakimi obrzucał mnie Gerard, oblewałem się zimnym potem.

- To pospieszmy się, bo jamam za godzinę lekcję- powiedział Tadeusz Rzychwa i ruszył w kierunku Grand Hotelu.

Dostojny, stary, przedwojenny hotel.

Przed gmachem zaparkowane zachodnie samochody.

Przy wejściu dwóch podstarzałych odźwiernych w liberiach.

W holu ogromny żyrandol, sporo elegancko ubranych mężczyzn i kobiet.

Świat tak inny od naszego, szkolnego, jak niepodobny jest pinczerek do bernardyna.

i Tu o cinkciarzy było łatwo.

Do ucha szepniętymi krótki tekst "kupić, sprzedać" i już po chwili szedłem za niewysokim, wbitym w obcisłe dzinsy wąsaczem, oglądając się przez ramię, czy moja obstawa nadąza.

Ale nie musieliśmy iść nigdzie daleko.

Za grubasnym filarem wąsaty biznesmen odliczył przybrudzonymi palcami złotówki, sprawdził moje "zielone" i oddalił się bez słowa.

- Wszystko w porządeczku?

- spytał Darek, gdy pakowałem spuchnięty portfel z powrotem do kieszeni.

- Wszystko gra.

Dziękuję wam.

- To ja się zmywam.

Cześć - pożegnał się Tadeusz i pospiesznie wyszedł.

- Dzięki, Tadeusz - krzyknąłem za nim.

-Wiesz, Tomek - Darek z ciekawością przyglądał się hotelowemu mężczyźnie - tu, w kawiarni, podobną odjazdowe kremówki.

Nie maszochoty?

Kurs, po jakim udało mi się wymienić dolary, był znacznie lepszy od spodziewanego.

Nie musiałem się przecie z tego spowiadać mamie.

- Mam.

Idziemy.

Ja stawiam.

- No pewnie - rezolutnie zauważył Darek.

- Przecież inaczej bym nie proponował!

Usiedliśmy przy barze.

Zamówiliśmy pociastku i coca-coli.

Trochę gadaliśmy, ale więcej się rozglądaliśmy.

Próbowaliśmy zgadywać, który

142

z gości jest "zachodni", a który nasz, tubylczy.

Barmanem był niewiele od nas starszy chłopak, swobodnie wymieniający uwagi z klientami zarówno po angielsku, jak i po niemiecku.

Darek miał szczególną łatwość nawiązywania kontaktów, więc zagadał do niego już po kilkunastu minutach raczeni byliśmy szczegółami dotyczącymi barwnego życia wielkiego świata.

Aż trudno było uwierzyć, jak wielu obcokrajowców, z jak dziwnych i egzotycznych branż, odwiedza nasze miasto.

No, niby druga co do wielkości aglomeracja w sporym kraju europejskim, ale mniejsze "własne śmieci" wydawały się zaściankiem i prowincją.

Tymczasem:

- Ten gość jest Francuzem.

Razem z bratem zakładają u nas wytwórnię kosmetyków.

To się nazywa Interfrances.

Albo jakoś tak.

A tamten to Holender.

Nadzoruje u nas rozlewnię pepsy-coli.

A ta babka z zielonej sukienki jest Włoszką.

Niedawno otworzyła filię wytwórni jakichś drugorzędnych perfum.

To chyba perfumy są "Interfrances".

Sam już nie wiem.

A ten mały, z wąsami, przyjechał ze Szwajcarii i sprzedaje u nas wagi.

Ale nie takie osobowe, tylko kolejowe.

- A skąd to wszystko wiesz?

- spytałem, bo przecież równie dobrze także omnie i Darkumógł naopowiadać niestworzonych rzeczy innym klientom.

- Bo po parugłębszych mało kto umie trzymać język za zębami.

- I oni tak wszyscy dociebie.

- A coś ty taki niedowiarek?

- A te pod oknem?

- zapytał nagle Darek.

- Wyglądają na licealistki.

Albo nawet nie.

- To ostatni krzyk mody, cichodajki.

Nieletnia konkurencja dla zawodówek.

Na szczęście godziny pracy im się różnią.

Dwie dziewczyny, chyba jeszcze młodsze od nas, siedziały przystoliku w rogu sali.

Tylko jedną z nich widziałem w całej okazałości.

Wyzywająco, ostro umalowana twarz.

Dziewczyna patrzyła mi w oczy bez cienia skrępowania, zato z dużą dozą pogardy.

Szepnęła coś do

143.

koleżanki.

Ta odwróciła się i

oblał mnie zimnypot.

Znad obramowanych szminką ust patrzyły na mnie oczy Natalii Perisenthoff.

Lalkowato pięknejw wieku lat ośmiu, jakbyzgorzkniałej podczas moichwizyt u Marcysi, a teraz wulgarnie wypacykowanej w szesnastej wiosnie życia.

Ona też mnie poznała i natychmiast odwróciła głowę.

Sięgnęła potorebkę,coś szepnęła swojej towarzyszcze i pospiesznie oddaliła się kierunku wyjścia.

A w holu, jak zauważyłem, skierowała się dotoalety.

- Czyli tomalekurewki?

- dociekał Darek.

-Jakby.

praktykantki!

- Uczennice.

Ostatnio to plaga.

Albo moda.

A dla zachodnichklientów atrakcja, bo rzadko która ma szesnaściolet, że opemnoletniości nie wspomnę.

- A skąd wiesz, że one.

- wciążbyłem wszoku, bo przecieżNatalka.

zdobrego domu.

córka prawnika.

i mojej "cudnejpani".

- No bo wiem.

Tę,która właśnie wyszła, wczoraj zaliczył ten wąsaty Szwajcar, ten od wag kolejowych.

- Pochwalił ci się?

-A żebyś wiedział.

Ale niebył zachwycony, bo dziewczeczka podobno całkiembez temperamentu.

Poza tym co to za rżnięcie o trzeciejpo południu.

- I one tak zupełnie bez ochrony?

Taka prywatna inicjatywa?

- Darka wyraźnie interesowały szczegóły.

-Niektóre prywatnie.

Tylko takich do hotelu nikt nie wpuści.

W każdym razie drugi raz.

Ale te dwie akurat mają opiekuna.

Maksywę Księżyk, bo czasami chodzi w koloratce.

Słabo mi się zrobiło.

Od gwałtu w parku minęło wtedy raptem półroku, oczy Księżyka wciąż straszyły mnie po nocach.

Nasamą myśl, że mógłbym go spotkać, poczułem w gardle zapowiedź wymiocin.

- On tubywa?

- spytałem słabym głosem.

144

- Niezbyt często.

To szemrany gość.

Lepiej z nim nie zadzierać.

Ja w każdym razie mam z takimi typami nicwspólnego.

Jakto sięmówi: ja tu tylko sprzątam.

Nie dokończyłemswójego ciastka.

Dopiłem tylko colę, zapłaciłemi ponaglałem Darka, któremu śledzenie hotelowego życiawyraźniebardziej przypadło do gustu.

Natalka już się nie pojawiła.

Z Darkiem rozstaliśmy się przed hotelem.

Wlokłem się ulicą, wciążnie mogąc uwierzyć, że faktyczniewidziałem młodszą córkę paniLeokadii w okolicznościach co najmniej dwuznacznych.

Skręciłem zaróg i szedłem wzdłuż szeregu okien,zbliżając się dobramy hotelowego zaplecza.

Właśnie wyjeżdżała stamtąd ogromnaciężarówka.

Przystanąłem, bo zatarasowała całe przejście.

I wtedy,po drugiej stronie ulicy, ujrzałem Natalkę.

Stała przywitryniedelikatesów i żywo gestykułowała, wskazując co chwila w moimkierunku.

Obok niej zaś stał.

Gerard.

Zimny potwystąpił mi na plecy.

Gerard był ostatniąosobą, z którąchciałbym się teraz, tak obciążony gotówką, spotkać.

Popatrzyłem dotyłu, zastanawiając się nad możliwościąucieczki.

Ale biały dzień,środek miasta, przechodnie.

Jakoś tak- głupio.

- Podejź no, Babol - Gerard skinął na mnie ręką, a ja, posłusznie,przeszedłem na drugą stronęulicy.

-Czego chcesz?

- bardzo się starałem, aby w moim głosie niewyczułstrachu.

- Nic specjalnego.

Tylko Natali mi o tobie opowiada,jaki tonibyjesteś ogier, no nie?

- Odczep się.

-Nie bądź taki niegrzeczny.

Jest z nami dama, no nie?

W oczach Natalii nie było już teraz żadnego skrepowania.

Patrzyła na mnie spojrzeniemswójekoleżanki z kawiarni: zimnym i pogardliwym.

'- Więc czego chcesz?

145.

- Pójdiesz z nami.

-Ani mi sięśni.

- Nie bój żaby.

Jest interes do zrobienia, no nie, a potrzebny mi pomocnik.

Sam nie mogę, a Natali jeszcze zamloda.

Ty jesteś dupek, no nie, ale wyglądasz jak dorosły.

Nikt się nie zorientuje.

;

- Ja.

- Zarobisz, Babol.

Jeszcze natym zarobisz, a nic nie będziesz ryzykował.

Czysta sprawa, no nie, i legalna.

Trzeba obstawić konie.

Mam cynk, ale jestem tam spalony.

Ty obstawisz, zgarniesz forszę, a potem się rozliczymy.

- Nie mam najmniejszego.

-Zostaw go, Dżery - pierwszy raz odezwała się Natalka.

- Niewidzisz?

Wportki robi ze strachu.

To gówniarz.

- Zamknij się, Natali.

Nikt cię zdanie nie pyta.

Bądź pięknie i milcz.

Babol, idziemy.

I poszedłem za nimi.

Czemu?

Co Gerard zrobiłby mi na ulicy, w środku dnia, w obecności setek ludzi?

A może topogarda w oczach Natalii spowodowała, że nie wziąłem nóg zapas i po prostu nie odszedłem?

Spacer nie był długi.

Znowu stanęliśmy w bramie.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się, chyba jedyny w naszym mieście, punkt, w którym można było obstawiać odbywające się w Warszawie konne gonitwy.

- Cynk jest stu procentowy.

Obstawisz porządek: jeden, trzy, osiem.

Gonitwa szósta.

Umiesz wypełnić kupon?

W razie czego wzory wiszą na ścianie.

Na tripla, nonie.

Jeden, trzy, osiem.

Szósta gonitwa.

Tripel.

A tu masz dziesięć tysięcy.

Płacić będą w okolicach cztery do jednego, bo to niezadna sensacja, tylko pewniak, no nie?

Masz pół godziny, Babol.

Tylko minuteru nie wywiń, no nie, to ci dwatysiące wpadną za darmo do łapy.

- Dlaczego sam nie pójdziesz?

- Spalony tam jestem.

Ode mnie nie przyjmą.

No już, zasuwasj.

Wziąłem pieniądze i poszedłem.

Gdy wypełniałem kupon, zaczęło mnie kusić.

I chociaż bałem sięzaryzykować nieswoje pieniądze, to w końcu sięgnąłem po drugi

146

kupon i wypełniłem tak samo.

Coś mimówiło, że jeśli taki Gerardpakuje w ten interes dziesięć tysięcy, to pewnie wie, corobi.

Początkowo obstawiłem tylkoza tysiąc złotych.

Ale tuż przed kasą wycofałemsię i zwiększyłem kwotę dotrzech tysięcy.

W razieczego, mówięmsobie, nakłamię, że mnie cinkciarz orznął.

Oczekiwanie na wyniki strasznie mi się dłużyło.

Wyrzucałemsobiegłupotę, naiwność i przygotowywałem sięna gorzkie wymówkimamy,gdy przyniosę do domu tak znacznieuszczuploną sumępieniędzy.

Siedziałem jak na szpilkach.

Tymczasem na tablicy pojawił się wynik: gonitwa numer sześć,porządek: 1,3,8; wygrana w stosunku 1:4.

2.

Wstrząsany nerwowym chichotem, odbierałem z kasy pieniądze.

W lewej kieszeni czterdzieści dwa tysiącedla Gerarda, w prawejdwanaście sześćset dlamnie.

No nie, tylko dziewięć sześćset,bo trzytysiące będę przecież musiał.

Cały strach gdzieś odleciał.

Chyba pierwszy raz w życiu zbliżałemsię do Gerarda z szerokim uśmiechem na ustach.

- Nie szczerz się tak, Babo!, bo ci mucha wpadnie!

Czekali wciążw tej samej bramie,tylko dołączył do nich ktośjeszcze.

To była ta druga dziewczyna, koleżanka Natalii zhotelowejkawiarni.

W świetle dnia nie wydawała się już taka młoda.

Mógłbymprzysiąc, że była starsza ode mnie.

- Nawet nie musisz mówić,że się udało, taką masz pokerowafacjatę.

Ale on też był cały rozpromieniony.

Ażmu się ręceotrząsnęły z radości, gdy przeliczał otrzymane ode mnie pieniądze.

A cobyłonajdziwniejsze, wyciągnął do mnie dwa papierki:

- Twój udział.

Tak jak mówiłem, no nie?

Wziąłem pieniądze, naprawdę zdziwiony.

Chyba tylko obecnośćdwóch dziewczyn spowodowała, że dotrzymał słowa.

- Teraz widzisz, no nie?

Kto zemną, nie traci.

Prawda, mojeśliczne?

To co?

Idziemysię zabawić?

147.

- Ja zmiotam.

-A już myślałem, Babol, że znowu kumplami zostaniemy.

Co się tak spieszysz?

Patrz, panienki są, forsajest.

Krewisz?

- Umówiony jestem.

-Co? Mamusia w domu czeka?

- Daj mu spokój - odezwała się Nataalka, wciąż z tym samym pogardliwym uśmiechem.

- Togówniarz.

- Ale z twoją siostrzyczką sobie radził, no nie?

-Zmiotam.

Cześć.

Odszedłem od nich może zbyt pośpiesznie, ale wymienione zadolary pieniądze nagle znowu zaczęły parzyć mi pierś.

Wiedziałem poza tym z doświadczenia, że bliższy kontakt z Gerardem, chociażdotej pory z wodniczopokojoy, a wręcz korzystny, mógł w każdej chwili zmienić się w koszmar.

Już on umiał oto zadbać.

Nie zdążyłem na tramwaj.

Motorniczy patrzył, jak biegnę, poczekał, aż będę pięć metrów od wagonu i dopiero wtedy zamknął drzwi, i odjechał.

No cóż, był widać "prawdziwym" przedstawicielem tego trudnego i odpowiedzialnego zawodu.

Zziajany, oparłem się o barierkę i bluźnię pod nosem, ale niezbyt szczerze, bo w sumie byłem z siebie zadowolony.

Dwanaście sześćset minus trzy, dodać dwa od Gerarda, a jeszcze końcówka z wymiany.

Wychodziło mi, że, tak czy siak, zarobiłem niemal dwanaście tysięcy.

Była to, jak dla mnie, suma wręcz zawrotna.

- Tomek!

- ktoś puknął mnie w ramię.

Odwróciłem się zaskoczony.

Przedemną stała Nataalka.

Zmyła z twarzy wyzywający makijaż.

Nie miała go już chyba, gdy ją spotkałem z Gerardem.

Ale wtedy jakoś nie miałem ochoty jej się przyglądać, tak silna była z każdym razem pogarda i lekceważenie jej wzroku.

A teraz ta poza gdzieś zniknęła, uleciała.

Stała przedemną zwykła dziewczyna, chyba nawet lekkoprzestraszona.

- Słuchaj, Tomek.

Jak piśniesz chociaż słówko moim starym, to wyjdą na wierzch wszystkie twoje sprawki z Marcysią.

Rozumiesz?

- Nie mam zamiaru spotykać się z twoimi rodzicami.

148

- Tym lepiej.

Teraz ja patrzyłem na nią, a ona oglądała chodnik i swoje buty.

Nawet gryzła wargę.

- Co się tak gapisz?

- Takię tylko zastanawiam, skąd znasz Gerarda?

- Nie twoja sprawa.

-Na pewno.
Ale nigdy nie myślałem, że ty.
- Nie twoja sprawa.

Pamiętaj, jak piśniesz starym.
- Nie bój się.

Pozatym przecież ja jestem.
gówniarz.

Nie takmówiłaś?

- Daj spokój.

-A cou Marcysi?

Ona też.

- Nie.

- Popatrzyła na mnie nienawistnie.

-To ty nic nie wiesz?

Możeto i lepiej.

Jest mój tramwaj.

Cześć.

- Cześć.

Wsiadła.

Odwróciła się ode mnie, jakby chciała zapomnieć mojejobecności.

Ale tramwaj, jak na złość, dość długostał na światłach.

Wpatrywałem się wnią, jednocześnie zafascynowany i zdumiony:

dość obcisła bluzka, lecz biust, wporównaniu z imponującymi rozmiaramiMarcysi,
skromny, sterczący wyzywająco tylko dzięki specjalnemu krojowi stanika.

Plisowana spódniczka, białe podkolanówki.

We włosachkolorowa zapinka.

Czy to możliwe, że ta dziewczyna bezoporów rozbierała się przed obcymi facetami, brałaod
nich pieniądze,kładła się do łóżka, pozwalala.

Co ją do tego skłaniało?

Przecież ma dom, rodziców, nie brak jejniczego, a tymczasem.

Nie wytrzymała, kątem oka zerknęła na mnie, pewnieby sprawdzić, czy patrzę.

Niemogę przysiąc, bo tramwaj chwilę późniejruszył, ale chybadostrzegłem w jej
oczach łzy.

149.

Zacząłam nowe życie.

Pełne wspaniałych szans, wielkich oczekiwań, zagadkowych, niejasnych spodziewań.

Paweł Peryzentowicz był przez pierwszy tydzień mojego pobytu poza miastem.

Na letnikach - jak oznajmiła mi stara służąca Safianowa, która pracowała u pana Pawła od wielu, wielu lat.

Już wtedy, gdy poślubił biedną szlachciankę, i wcześniej, kiedy wiódł kawalerskie życie, a także później, popowtórny ożenku z Niemką, Elizą Móer.

Staralam się wyciągnąć z Safianowej jak najwięcej o tych dawnych czasach, ale ona odpowiadała zawsze zdawkowo, tyle tylko, aby nie wydać się niegrzeczną.

A przy zbyt szczegółowych pytaniach poprostu udawała, że nie rozumie, o co mi chodzi.

Co jakiś czas przychodziła zamiast niej córka, podobna do matki, niezamężna i równie dyskretna.

To było pewnie genetycznie zakodowane - taka lojalność dla pracodawcy.

Do pierwszych zajęć w szkole zostałam jeszcze kilka dni.

W szpitalu zaczęłam od pracy na nocną zmianę, więc w dzień, kiedy Safianowa wychodziła na zakupy, zostawałam w wielkim mieszkaniu sama.

Nie potrafiłam oprzeć się pokusie myskowania po gabinecie doktora, jego sypialni i salonie.

Miał bogatą kolekcję zdjęć z polowań: na tlezabitych lisów, z wiązką zajęcy, z nogą na potężnym dziku, przy ognisku z flaszką wódki, w radosnym uścisku z grubym jegomościem.

Na jednym z zdjęć rozpoznałam Miłozsa Fleszka.

Odbierali z Peryzentowiczem puchar, a w tle widniał plakat: Międzynarodowe Zawody Brydzowe w Krynicy Górskiej.

Rok nie był widoczny, ale obaj lekarze wyglądali na czterdziestolatków.

Miłosz aż trudny do rozpoznania, taki młody, Peryzentowicz zaś z taką samą brodą i wąsami - prawie niezmienny.

Znalazłam zdjęcie jego obydwu żon.

W młodej skromnej paniencie o długich lnianych włosach domyśliłam się szlachcianki.

Zaraz zresztą pojawiły się jej zdjęcia z dziećmi, co potwierdziło moje przypuszczenia.

Z drugą żoną zdjęć było mało.

Znalazłam tylko dwa.

Eliza Móer była gruba, uśmiechnięta, o ciemnej karnacji i okazałym nosie.

Miała zmysłowe oczy, w których czaił się jakiś figiel, zagadka.

Wystrojona, pięknie uczesana i jakby gotowa do żartów.

Zastanawiam się

czy to nie ten kontrast pogodnych oczu (bo szlachcianka była wszędzie wprost śmiertelnie smutna, poważna - nawet z niemowlęciem na ręku) kazał panu doktorowi odejść od młodej Polki dostarszej, za to pełnej życia i niespodzianek Niemki.

Może tonie tylko pieniądze przyciągnęły go do niej?

Na dzień jednej z szuflad odkryłam całkiem spore puzderko.

Zamknięte na klucz.

Ale zamek był tak prosty, że za pomocą zapinki do włosów bez trudu się nim uporałam.

W środku znowu zdjęcia.

Oglądałam je z wypiekami na twarzy.

Śliczna dziewczyna siedzi przed lustrem.

Czesze długie włosy, które opadają jej na piersi, dopiero co rozkwitłe piersi nastolatki.

A może jednak ona jest dojrzała, bo na następnym zdjęciu stoi naga, ma pełne, kobiece biodra, gęsto owłosione łono, a naprzeciw niej czai się lampart, długi i cętkowany.

Kolejne zdjęcie: dziewczyna leży z szeroko rozłożonymi nogami, w barokowym ogromnym łóżku tuli do siebie wyprężonego zwierzaka, którego lędźwie spotykają się z jej otwartym łonem.

Na ostatnim zdjęciu widać ją od tyłu, gdy rozluźniona swobodnie lekko muska swoje znów potargane włosy.

W wygiętej szyi znaczy odprężenie, zadowolenie.

Na pewno uśmiecha się (choć tego nie widać), patrząc, jak lampart znika w półotwartych drzwiach.

Stosprzecznym uczuć kotłowało się we mnie.

Zażenowanie i wstyd - jeszcze nigdy nie widziałam zdjęć tak wyuzdanych; zaciekawienie - jak też zdjęcia zostały zrobione, bo zwierzę wyglądało bardzo realistycznie i dziko; podniecenie - bo prosta historyjka działała na moją wyobraźnię, uruchamiała zaskakujące skojarzenia i pragnienia; strach przed odkryciem przez kogoś faktu, że ja te zdjęcia oglądałam; perwersyjne zainteresowanie - jak też to mogłoby być - tak z lampartem.

Powoli zaczęłam oglądać pozostałe zdjęcia.

Jakiż zawód.

Nie było już nic nawet zbliżonego do poziomu wyobraźni, niedopowiedzenia i zawoalowania do pięknej i bestii.

Jakieś proste dziewczuchy odsłaniały grube piersi, podstarzałe tancerki ukazywały

151.

gołe nogi aż po brzuch, rząd gołych pup w finałowej scenie kankana.

Byłyteż, na dnie, zdjęcia wprost obsceniczne.

Kobietaz wąsami i trzecią piersią sterczącą nisko,na brzuchu.

Karzeł zczłonkiemzwisającym do kolan, monstrialnie gruba baba, całkiem naga, ohydna, pomarszczona jak akordeon.

I jeszcze dwa obrazki: rozciągnięta na stolekobieta z ustami otwartymido krzyku, której dwaj mężczyźni nożamiotwierają brzuch, i najstraszniejsze z nich, dwuczęściowe, na którymz lewej strony siedzi uroczo uśmiechnięta panna z dobrego domu,w eleganckiej dziewiętnastowiecznej sukni - z prawej strony zaś tasama osoba ziejepustymi oczodołami, a po policzkach i szyi spływakrew aż na biały kołnierzyk.

Długo wpatrywałam się w tę przyprawiającą o mdłościfotografię, szukając fałszerstwa, zastanawiając się, jakimspodobem uzyskanotak potworny efekt.

Nic nie mogłam dostrzec.

Jeżeli był to fotomontaż, to doskonały.

W każdym razie dla mnie,amatorki.

Była jeszcze koperta.

Elegancka izaklejona.

Badalam ją palcami,wyczułam kilka zdjęć, siedem, może osiem.

Zzerałamnie ciekawość,ale zdrugiej strony te dwaokrutne, sadystyczne zdjęcia powstrzymywały mnie przed otwarciem koperty.

Jeżeli takie okrucieństwo zostały ukryte,to co mogło znajdować się tu w środku?

Nowłaśnie.

A może coś całkiem niewinnegoalbo równie podniecającego jakczteroo obrazowahistoryjka z lampartem?

Głaskałamtajemniczy prostokąt papieru, patrzyłam pod światło, deliberowałam nad możliwościąotworzenia koperty nad parą.

Ale zegar przypomniał mi, jakmałoczasuzostało dopowrotu Safianowej.

Z żalem odłożyłam nietkniętą,niepodpisaną białą tajemnicę z powrotem na dnoi zatrzasnęlampudełko.

A następnego dnia przyjechał Paweł Peryzentowicz.

Rozpoczęło się nasze wspólneżycie.

Chodziłamdo pracy na szóstą,już na dzienną zmianę.

Obiad jadłam w szpitalu i prosto stamtądszłam na zajęcia doszkoły.

Do domu panaPawła wracałam najczęściej

152

na kolację, po ósmej, czasami po dziewiątej.

Starszy pan zawsze namnie czekał zjedzeniem, Safianowa podawała dopieropo moim przyjściu.

Przy kolacji prowadziliśmy oficjalne, kurtuazyjne rozmowy: o doktorze Miłoszu,Opotowie i Gzymtach, o pracy doktora Peryzentowicza,który będąc na emeryturze, dorabiał wjednym ze szpitali "z nudów,abyczas wypełnić pomiędzy posiłkami i apetyt sobie na nie zapewnić".

Mówiłtrochę oswych dwóch żonach, ale oszczędnie.

Więcej opowiadał anegdot z przedwojennych polowań, szpitalnego życia,z brydżowych turniejów, na które jeździli razem z doktorem Fleszkiem, i z czasów własnego szczenięctwa.

Unikałrozmów o wojnie i swoich synach.

A po kolacji,gdy Safianowa wychodziła, zapraszał mnie do salonu,częstował wybornymi likierami i pokazywał w albumach reprodukcjeobrazów.

Miał tego dużo i w bardzopięknych wydaniach.

Lubił przytym wygłaszać swoje opinie o sztuce:

"Pani doświadczenie w tym względzie niewielkie ma, to warto przecież i mnie wysłuchać, amatora wprawdzie, ale i miłośnika wszystkiego, co swoim pięknem i urokiem życie umiła.

Tak to już zeszukała jest - jedna dla człowieka obojętne cuda przedstawia, jak gęsi, ptaki, drzewa, chaty chłopów przy pługach, a inna, ta prawdziwa, konia w pełnym biegu ukaże, Dianę, co z łuku odyńca utrafi, dziewczę warkocz spletające nad wodą, o miłości marzące, czy mężów dwóch, co krzyżują spady o tę jedną, jedyną.

Taka sztuka warta spojrzenia jest, zastanowienia i przemyślenia.

Pokazuje nam ona życie, nas samych odzwierciedla w sytuacjach różnorodnych, dumki w nas budzi nerwy koi.

Bo czyż może być piękniejszy widok od dziewczęcia w własne oblicze zapatrzonego?

Odkoniasz szyć długą, mokrym okiem, co stąpa delikatnie, ani źdźbła trawy nie zniszczywszy?

A o co mężczyzna może nastąpić na drugiego, bez narażenia się na śmieszność, jak nie o miłość niedocieczoną?

Jako miłość niewiasty, istoty ułotnej w ocenach, płochej i zmiennej.

Ale przez to pięknej niespodziewaniem zachowania w następnej chwili.

W następnym dniu.

Ai w nas jest sztuka.

O, w pani oczach.

Takich słodkich, zamglonych.

Pani jest osobą

marzącą, ulubienicą własnej wyobraźni.

A co, gdyby życie słodsze odmarzeń perspektywy podsuwało?

Czy pani oczy zasnuć naoburzeniei złość by nie zamieniły?

Pewnie, tego jeszcze nie wiemy i dzisiajrozstrzygać nie będziemy.

A na tebohomy co pani łaskawa powie?

".I zaczął pokazywać mi album zesztuką kubistyczną.

Nieco dzień te wieczoryodprawialiśmy.

Z umiarem,bezpośrednio tkął dokoła mnie pajęczynę zalotów, niedomówień i sugestii.

Z cierpliwością dojrzałego wieku obserwował, jakiewrażenie robiąna mniejego oracje.

A ja czułam się dość dziwnie.

Zadowolona z okazywanych mi względów, podsuwanego jedzenia, posprzątanego pokoju, upranych, poprasowanych, poukładanych rzeczy - rozleniwiana i rozpieszczana w ten sposób po raz pierwszy w życiu - czekałamna COŚ.

Nie wiedziałam, na co, ispodziewałam się podjęciaprzezpana Pawła energiczniejszych działań niż tylko subtelne zaloty.

Wciążmiałam przed oczami serię zdjęćdziewczyny z lampartem, wieczorami

wyobrażałamsobie swoje ciało na jej miejscu, a ją - oglądającate zdjęcia.

Gdy wchodził lampart, tozawszebył jakoś podobny doRomka - udawaną obojętnością lub przemożną siłą tryskającą z każdego ruchu.

Tymczasem starszy pan nie podejmował żadnych konkretniejszychkroków już ponad miesiąc.

Aż któregoś wieczoru,po przejściu dosalonu iodprawieniu Safianowej,dał mi do spróbowania nowylikier, truskawkowy.

Była w nimjakaś dziwnagoryczka, wypiałam zaledwie pół kieliszka, chociaż zazwyczaj, w sobotę, gdy mogłam następnego dnia wyspać się do woli,lubiłam w jego towarzystwie wypić nawet i trzy dolewki i poczuć głowie szum braku odpowiedzialności za siebie.

Tegodnia już potych kilku łykach dostałam zawrotów głowy i poszłam do łóżka, odprowadzona przez doktoraza rękę.

Usiadł przy mnie i nie puszczałmojej dłoni, opowiadał,jakie dziwne reakcjewywołuje czasami alkohol u młodych niewiast.

A mnierobiło sięnaprzemian zimno i gorąco, sufit falował, głos doktora huczał, by zachwilę przejść wodległy

154

szept.

Jego oczy wpatrywały się we mnieciekawie, czekałna coś.

Pytałmnie co chwila, czy go słyszę, a gdy potwierdzałam, to znówzaczynał banalne, usypiające opowieści.

Aż za którymś razemnieodpowiedziałam, chociaż słyszałami nadal go rozumiałam.

Pozostałam z zamkniętymi oczami, przywołując pod powiekiobraz prężącegosię lamparta.

Wtedy jego ręce zaczęły ześlizgiwać się w dółmegociała, rozpinałybluzkę, ściągały stanik, zsuwały spódnice.

Świadoma tylkow połowie,falująca wraz z jego dłońmi i tą falą śledząca jego ruchy, poddawałamsiędelikatnemu dotykowi.

Gdzieś wpodświadomości czułam żal, żenie odważył się zbliżyć do mnie, gdy byłam w pełni przytomna, że niezaufał swojemu urokowi i skuteczności roztaczanych z taką starannością zabiegów.

A on całował już terazmoje ciało, biernei uległe,aleteż obojętniejsze, niż mogłoby być.

Sapał przy tym iwzdychałstraszniegłośno, schodząc ustami z mojej szyi na piersi, brzuch, biodra i docierając wreszcie między nogi.

Jego wtargnięcie - tam - w tak dziwny i nieznanym mi sposób, wywołało we mnie w pierwszej chwili panikę i chęć zamknięcia ud.

Jednak lek lub narkotyki, podany mi w likierze, utrudniał jakiegokolwiek szybkie działanie, toteż już po kilkunastu sekundach oddałam się z leniwą i bierną ochotą kontemplacyjnym doznań.

Słyszałam wciąż jego strasznie głośny, przyspieszony oddech, czułam wilgotny język jakby wprost we własnym umyśle i czekałam na coś, nadzieję na jakieś dalsze, na następny krok z ciekawością i nawet z rozkosznym delikatnym strachem.

A on, wciąż schowany przed moim spojrzeniem, dyszał coraz ciężiej, rękami wodził po piersiach, brzuchu i biodrach i doprowadził mnie wreszcie do paroksyzmu rozkoszy - innej niż ta doznawana od Romana, ale też głębszej i może nawet dłuższej.

Działanie likieru musiało w tym czasie już całkowicie ustąpić, bo w pełni świadoma czekałam teraz na następny krok doświadczonego kochanka, gotowa przyjąć i zaakceptować wszystko z jego strony.

Tymczasem on tylko dalej wodził rękami po moim ciele, całował i lizał teraz moje nogi i, nic więcej.

Jego oddech

już się uspakajał, cichł i łagodniał.

A gdy po paru minutach nakrył mnie kołdrą i bez słowa wyszedł z pokoju, poczułam gorzki zawód.

Żał, jakby mnie ktoś porzucił bez słowa dobrego, bez wyjaśnienia powodów.

Zasnęłam, zastanawiając się, jak ta noc zmieni moje wspólne i wygodne życie z doktorem, czy go czasem nie zniszczy, nie zburzy.

Ale w niedzielę, przy śniadaniu, doktor Paweł Peryzentowicz zachowywał się tak jak zawsze.

Miły, powściągliwy starszy pan o nienagannych manierach i dobrym sercu, które przyciągnęło ulubienicę najlepszego przyjaciela całkiem bezinteresownie.

Rzecz cała zaczęła się dość regularnie powtarzać, tylko ja nauczyłam się truskawkowy likier dyskretnie wylewać, bo nie podobały mi się efekty jego działania, a i następnego dnia miewałam po nim bóle głowy.

Zawsze tak samo doktor prowadził mnie, półprzytomną, do łóżka, rozbierał z wielką uwagą, całował, dotykał wszędzie, niemal badał moje ciało w końcu chował się między moje nogi, gdzie ciężko oddychając, charcząc i śliniąc się, doprowadzał mnie do spełnienia. Przez wiele tygodni czekałam wciąż na dalszy ciąg, wspominając moc Romana, jego bezlitośnie twarde wemnie ruchy.

Po jakimś czasie zrozumiałam, że doktor po prostu już nic więcej zrobić nie może i nie mam na co czekać.

Zaczęły mnie wtedy jego zabiegi mierzwić, głośny oddech - denerwować, a jego ślinienie się i lizanie - przyprawiać mdłości.

Zastanawiałam się, w jaki sposób by tę sytuację rozwiązać bez konieczności rezygnacji z wygód mieszkania u pana doktora.

Bo iść na czwartą do wynajętego pokoju wcale nie miałam ochoty.

Zasmakowałam już w nieróbstwie, podawanym pod nos i sprzątanym jedzeniu, upranych i uprasowanych ubraniach, zmienianej co tydzień pościeli, w niezaprzętaniu sobie głowy codziennymi obowiązkami.

Mogłam tylko pracować, uczyć się i mniej więcej codziennie znosić dziwną, ale przecież nie nieprzyjemną, nie bolesną, tylko.

jakąś taką.

jałową miłość pana doktora Peryzentowicza.

Porozmawiaj

wiać z nim nie było jak, bo oficjalnie przecież o niczym nie wiedziałam.

Próbowałam kilka razy sprowokować go do okazania uczuć bez truskawkowego likieru.

Siadywałam mu na kolanach podczas oglądania albumów, a kiedyś sama, niby przypadkowo, otworzyłam szufladę, w której było puzderko ze zdjęciami.

"O, jakie ładne pudełko!

Co w nim jest?

""Nic dla pięknej kobiety ciekawego".

"A skąd pan doktor taki pewny, że wie, co kobiety naprawdę ciekawi?

". "Wiem i już!

". "A ja i tak otworzę".

Droczyłam się z nim jeszcze kilka chwil, ale on zabrał mi w końcu pudełko i schował znowu do szuflady.

Wyraźnie stracił humor, szybko i po prostu z tego miałam, że ponad miesiąc od tego zdarzenia nie częstował mnie truskawkowym likierem.

A gdy następnym razem ten specjał pojawił się w salonie, to odmówiłam, z niewinną miną prosząc o inny, brzoskwiniowy, który bardziej mi w smaku odpowiadał.

Zacęłam więc z doktorem walczyć i zastanawiałam się, jak sobie będzie próbował z moim oporem radzić.

Ów bierny opór okazał się skuteczną bronią.

Pan Paweł złapał się sam w zastawione na mnie sidła.

Postępując ze mną niehonorowo, skrycie, pozbawił się szansy wyjaśnienia czegokolwiek w otwartej rozmowie - boja przecież o niczym wiedzieć nie powinnam, więc jak miaż rzucić niechęć do ulegania jego zachciankom?

Zmiana zaślubień z truskawkowego na inny, o podobnym działaniu, mogłaby wywołać moje podejrzenia.

Mężczyśnię więc wyraźnie starszy pan, gryzł i deliberował, a czas leciał i ja mogłam wciąż korzystać z wszelkich przywilejów klasy posiadaczy, nie płacąc za to w żaden przykry dla mnie sposób.

Ta gra, istne podchody z Pawłem Peryzentowiczem, starym wygą i doświadczonym lowelase, sprawiała mi często radość, gdy prowokowałam go w rozmowie do zwierzeń z jego związków z kobietami, motywując swą ciekawość własnym brakiem doświadczenia i chęcią uniknięcia w przyszłości sytuacji, gdy jakiś mężczyzna będzie chciał nadużyć mojego zaufania.

On zazwyczaj łapał się na niewinną minkę i roztaczał mi całą grozę męskiej podłości i niegodziwości,

157.

często zaznaczając, jak bardzo go takie postępowanie mierzi i napawa wstrętem.

Tak przeszła zima, wiosna rozkwitła pełnią życia, a mnie wciąż udawało się balansować między męską próżnością doktora a własną, całkowitą naiwnością.

Ciekawiło mnie, kiedy, i czy w ogóle, pan Paweł odkryje moje machinacje.

Rozdział przeróżnych złudzeń.

Federico!

Jaki ty blady jesteś!

Co za dzień!

Co za nieszczęście!

Nasz skrzypce!

Nasz bezcenny, ukochany skarb!

Ty wiesz, co japrzeżyłam?

Było po drugiej, zaczynam niepokoić się o ciebie, bo powinieneś już być w hotelu, a tu wpada policja.

Pięciu albo sześciu.

Tylko jeden duka coś po ludzku.

A i to ledwo, ledwo.

Coś prokuratorze, o nakazie.

I zaczynają przetrząsać nasz apartament.

Ja dzwonię do dyrekcji hotelu, a tam nikt mi nic nie umie wytłumaczyć.

Ten policjant wciąż tylko powtarza dwa zdania po włosku.

O tym prokuratorze i o nakazie.

Myślałam, że oszaleję z nerwów.

Bo wyobraź sobie, ranomiałam straszną przysgodę!

Wracam ze śniadania, wchodzę do łazienki, a tam pokojówka myje zęby naszą pastą i twoją szczoteczką!

Mało zawału nie dostałam.

Krzyczę nanią, wrzeszczę, sięgam po telefon.

A ona uczepia się moją gorzką i błaga mnie, skomli.

Pewnie bała się, że z pracy wyleci.

Już chciałam dać spokój, zlitować się, ale na myśl, że ona może nie pierwszy raz, że może i mojej szczoteczki używała, to aż mnie zemdliło.

Och, straszne!

Co za naród!

Samizłódzieje i pomyłenci.

Jak ty źle wyglądasz.

Może się połóżysz?

A ci policjanci zupełnie bezczelni.

Złożę skargę w naszym konsulacie.

Ani słowa wyjaśnienia, wciąż tylko machali jakimś papierkiem, a jedenoś dukał o nakazie.

Co za kraj!

Deborah mi mówiła: to sami złodzieje, trzeba się strzec na każdym kroku.

Ty wiesz?

Gasparo stracił tutaj złotą papierośnicę.

Ukradlimu ją w restauracji.

Złodziejce chamy!

Napij się wody, kiepsko wyglądasz.
Na tępokojówkę nawet nie
159.

mogłam naskarżyć, bo nikt w recepcji po włosku nie mówił, a obieszczoteczki już wyrzuciłam.
Swoją drogą trzeba kupić nowe.
Teraz mi to głowy wyleciało, ale do wieczora trzeba rzecz załatwić, bo inaczej przyjdzie nam palcem.
Dlaczego ty nic nie mówisz?
Jak to się stało?
Zostawiłeś skrzypce bez opieki?
No, rusz się po tę wodę.
Już mi prawie gardło zaschło.
Jak to zszedłeś odebrać telefonode mnie?
To wtedy, kiedy do mnie zadzwoniłeś?
Jaki woźny?
Nigdzie nie dzwoniłam.
Przecież widziałeś, jak źle się czuję.
Mówiłam, że tylko.
Och, a ty pomyślałeś, że coś się stało!
Jak ty mnie jednak kochasz!
A to było pewnie od tej ich kuchni.
Moja trzustka wyraźniej nie wytrzyma!
Deborah mówiła, jak oni tłusto gotują.
To skandal!
Ale jak wyszedł na próbę, to mi się szybko poprawiło, nawet śniadanie dałam radę zjeść.
Tylko jak wróciłam, to tapokojówka.
Musiałeś straszne rzeczy przeżyć, kiedy ten woźny.
Zaraz, ale jak on mógł ci powiedzieć, że jadzwonię?
Po włosku?
Aha, dukał.
I ty się niedomyśliłeś, że to podstęp?
Na tych policjantów musimy złożyć skargę.
Wyobraź sobie, grzebali we wszystkich moich walizkach, w garderobie, pod łóżko zaglądali.
Ciebie też podejrzewają?
Toż to bzdura!
Przecież te skrzypce były dla nas wszystkim!
Teraz tylko ja ci zostałam jak opociecha.
Jak my sobie poradzimy?
Ależ to szczęście, że tuż przed wyjazdem załatwiłam do końca sprawę ubezpieczenia.
Udało mi się zwiększyć kwotę, więc po odliczeniu pięcioprocent to będzie.
Coś ty taki błady?
Nie przejmuj się!
To jest państwo policyjne.
Oni każdego złodzieja mają w rejestrze.
Pewnie już wiedzą, kto to zrobił.
Zostań lepiej w łóżku, teraz ja pójdę po wodę.
Ale jak zobaczę jutro samą pokojówkę.
Chyba nie będzie taka bezczelna?
A czy ty wiesz, jak Deborah miała zdarzenie?
Wróciła raz wcześniej do pokoju, bo źle się poczuła, też pewnie przez to tłuste jedzenie, a tu pokojówka paraduje przed lustrem w jej bieliźnie!

Stanik, majtki, podomka.
Dobrze, że pod pasek nie przymierzała!
Deborah poszła z nią do dyrektora hotelu, nie pozwoliła się jej przebrać.
A ten cham się śmiał!
Wyobrażasz sobie?
Co za kraj.
A ty mógłbyś czasami porozmawiać z Gas 160
 paro, to nie mielibyśmy teraz takich kłopotów.
Znowu wszystko wypileś?
Nie ma już więcej, trzeba zadzwonić do recepcji, tylko żetamnik po ludzku nie gada.
Zadzwoń ty, mówisz przecież po angielsku.
Co my teraz zrobimy?
Trzeba będzie odwołać Francję, a kto wie, czyi nie Argentynę.
Zanim dostaniemy pieniądze z ubezpieczenia, zanim znajdziemy następny instrument.
Wiesz, Fulwio Mambia, ten z Werony, miał ostatnio dobre skrzypce.
Chciała nie raptem sto tysięcy.
Nie pamiętam, jaki lutnik.
Pomyśl, zostałyby nam mnóstwo pieniędzy, naszą willę można by urządzić po pańsku,
zgodnie z naszą pozycją.
Nie ma się co martwić, co prawda lepszych skrzypiec już nie będzie miał, ale przecież
gra nadal umiesz.
Trzeba szukać w każdym zdarzeniu dobrych stron.
Ta kradzież trafi pewnie na pierwsze strony gazet na całym świecie.
Tonam przysporzy rozgłosu, wszyscy przypominają sobie, kto to jest Camparo.
Przecież nie mówię, że zapomnieli.
Ale dodatkowy rozgłos jeszcze nikomu nie zaszkodził.
Dasz kilka wywiadów, pokażesz, jak trudno cię złamać!
Udowodnisz, jaki jesteś wielki, nawet bez stradivariususa!
Każdy będzie chciał posłuchać, jak gra szan normalnych skrzypcach.
Tylko będziesz musiał więcej ćwiczyć.
Koniecz drzemkami, żadnych wakacji.
Czeka nas praca, praca.
A z tego przeszukania apartamentu trzeba zrobić chryję, żeby aż w Rzymie usłyszeli.
Nasposądzić o szalbierstwo, pozorowanie kradzieży!
Jak ty możesz tak spokojnie leżeć?
Federico!
Obudź się!
O Boże, on zasnął.
Lekarza, doktora, ratunku, pomocy.
 Dzwonię ostatni raz.
Wszystko dobrze poszło, chociaż najadłam się strachu, jak przyszli do mnie milicjanci.
Ale z ich min od razu się zorientowałam, że nic nie wiedzą.
Mówili przy mnie o wszystkim, nawet nie podejrzewając, że mogę coś rozumieć.
Swoją drogą, chamy.
Takim jedynemu młodemu miałam ochotę dać w pysk.
Wiesz, jak mnie nazwał?
Lepiej nie będę powtarzać.
Ale błędą po omacku.
To całe szczęście, żei na twój trop nie wpadli.
Z Księżykiem i całą resztą nie kontaktuję się przez jakiś czas, póki sprawa nie przyschnie.

Apotem wystarczy towar wywieźć
161.

i sprzedać.

To już załatwi w Berlinie Contescu.

Teraz tylko cierpliwość i spokój.

Ale będziesz sobie używał za tę forszę!

No, no, nie kryguj się tak.

Już ja cię znam, łysy pojebańcu.

A ja o mały włos miałabym jeszcze więcej szczęścia, bo mój staruszek prawie wykorkował.

Ale goodratowali.

Samajestem sobie winna.

Mam zbyt miękkie serce i wezwałam za szybko pogotowie.

Co się odwlecze, tonie wycieczce.

Jak?

Nie uciecze?

Niech ci będzie, i pamiętaj, od dzisiaj cisza.

Ani słowa.

Trzymaj się, tystaryzboczeńcu.

W taki dzień mogą zdarzyć się różne dziwne rzeczy.

Można pocałować pierwszy raz swoją dziewczynę i do końca życia pamiętać smak jej ust.

Można zachwycić się śpiewem ptaków, ich lotem, swobodą, magią skrzydeł - i zostać później ornitologiem (lub myśliwym!

). Albo leżąc w trawie rozkoszować się zapachem ziemi, która wyparowuje poranny deszcz w południowym słońcu i roztacza woń niezapomnianą, chociaż niekoniecznie słodką - cierpką raczej i ostrą.

Jest wtedy szansa ujrzeć odprysk duszy szlachetności tam, gdzie spodziewamy się tylko zgnilizny i robactwa.

Takie dni bywają, gdy świeci słońce, ale jeszcze nie pali, gdy przyroda rozkwita, a jeszcze nie kipi.

Rozpoznasz taki dzień, wchodząc między drzewa, do lasu, niekoniecznie sam, wręcz lepiej być otoczonym ludźmi, bo to z nich przecież emanuje magia życia i pomagają ochłonąć niezwykle chwile.

Chodziliśmy po podmiejskim parku, gdzie zabrał naszą klasę nowy nauczyciel biologii, Mieczysław Smuszeń, równy facet, niechętny sztywnemu, szkolnemu sposobowi nauczania.

Chciał pokazać nam jaskółkę w locie, nauczyć szacunku dla szorstkiej kory drzew.

Szukaliśmy liści klonu, dębu, brzozy i buka, uczyliśmy się je rozróżniać, oceniać wiek i stan.

Nie był to żaden wykład, raczej długi swobodny spacer, kiedy rozmowa schodziła na bardzo dziwne tematy.

"Panie Mietku, a tamten mały ptak?"

", spytała jedna z dziewczyn, spośród

162

których wiele podkochiwało się w przystojnym i wysportowanym nauczycielu.

Smuszeń roześmiał się niespodziewanie i powiedział:

- Wiecieco?

W szkole nazywalimnie "Mietła" i zawsze jak ktoś domnie mówi o "Mietek", to ja słyszę - Mietła!

A jaką mam u was ksywę?

Nie miał przezwiska, chociaż później mówiono o nim Romeo, bo uczennice łączyły do niego jak pszczoły do miodu.

Cała wyprawa miała posmak wagarów: Smuszeń zwolnił nas z trzech ostatnich lekcji, aby w parku mieć czas nie tylko na biologię. Wziął piłkę i zagrał z nami mecz, podczas gdy dziewczyny zajęły się wyplataniem wianków z traw i kaczęńców, a później puszczaniem ich z mostu na rzece. Takim terminowa noc świętojańska.

Po meczu, gdy przyjemnie zmęczeni i rozgadani wracaliśmy nad rzekę, któraś z dziewczyn wszczęła awanturę.

Podniesione głosy, kłótnia, złość.

Jedną pchnęła Ewę tak mocno, że ta aż oparła się o poręcz mostu.

Po zimie, deszczach i mrozach deski były pewnie w tym miejscu nadwątlone, a może nawet spróchniały i przegniły ze starości, dość że pod ciężarem ciała dziewczyny złamały się i Ewa, wywinąwszy tyłu koziółka, wpadła do wody.

Zdażyła tylko krzyknąć ze strachu podczas krótkiego lotu i.

plusk, cisza.

Koniec.

Żadnego młócenia rękami, prób ratunku.

Jakby zamknęła się nad nią zimna, ciężka zapadnia.

Trzask i już.

Gerard nie grał z nami w piłkę.

Po pierwszych tygodniach umizgów do nowych kolegów i nauczycieli szybko pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Brutalny i nieokrzesany w stosunku do dziewczyn, władczy i chamski dla chłopaków, bezczelny i obojętny wobec nauczycieli.

Już na półrocze miał sześć luf, a teraz, po nieudanych ogólnopolskich przesłuchaniach, w których, występując jako pupilek prorektora naszej Akademii Muzycznej, nie wszedł do finału, również dyrektor Jakowskiabrał nad niego swój ochronny parasol. Jego dni w szkole muzycznej zdawały się policzone, co nie było dla mnie powodem do żartów.

Wąleś się cały dzień sam, z dala od wszystkich pozostałych.

Smuszeń, który Gerarda wprost nieznosił, liczył pewnie na "samoulotnienie

się" czarnej owcy podczas tych nietypowych zajęć.

Ale kiedy Ewaspadła z mostu, to właśnie Gerard pierwszy skoczył na ratunek.

Wybiegł spomiędzy krzaków rosnących przy moście, gdzie się pewnie wylegiwał, i pognął jak sarna na miejsce wypadku.

Kilkanaście kroków po deskach mostu, niezgrabnych, bo musiał w biegu pozbyć się butów i kurtki, wybicie, krótki lot sprężystego ciała i piękne klasyczne wejście do wody.

Nauczyciel ruszył na pomoc w chwilę później.

Wskoczył do wody w ubraniu i płynął kraulem.

Po półminucie wynurzył się Gerard.

Sam.

Nabrał głęboko powietrza i zanurkował ponownie.

Smuszeń był właśnie pod mostem, na którym dziewczyny histerycznie wrzeszczały, ale nie próbowały pomóc, bo żadna nie umiała zbyt dobrze pływać.

Gerard wynurzył się powtórnie, ciągnąc tym razem za sobą Ewę.

Wydobył jej głowę nad powierzchnię i starał się przybrać właściwą pozycję ratownika, gdy ręce dziewczyny nagle ożyły i zaczęły tłuc na oślep po wodzie i twarzy Gerarda.

Znowu się zanurzył, ale tylko na chwilę.

Nauczyciel był zaledwieo kilka metrów od nich, Gerard holował niesforną ofiarę w jego kierunku.

We dwóch łatwiej dali radę Ewie szybciej płynęli do brzegu, gdzie stała już cała klasa.

Naostatnie metry kilkunastu chłopaków weszło do wody i odebrało Ewę śmiałkom, ledwie żywym ze zmęczenia.

Na brzegu dziewczyna przestała dawać znaki życia.

Za udzielanie pierwszej pomocy zabrał się Darek Rejwas, który przeszedł odpowiednie przeszkolenie na obozie żeglarskim.

Pokrótkim odsapnięciu przyłączył się do niego Smuszeń.

Po paru minutach Ewa zaczęła wypluwać z siebie wodę razem z wymiocinami, dławić się i krztusić.

Podnieśliśmy ten widok zwycięski okrzyk, bo wyglądało na to, że wszystko dobrze się skończy.

W bloku koło parku mieszkała babcia, staruszka.

Jej jedyną rozrywką była obserwacja spacerowiczów, podglądanie par, kąpiących się latem dzieciaków.

Starsza pani była profesjonalistką - miała nawet lornetkę.

Widziała upadek Ewy i zadzwoniła na pogotowie, zanim

164

jeszcze Gerard skoczył na pomoc.

Dlatego karetka zajechała od drugiej strony mostu już w parę minut po wyciągnięciu dziewczyny z wody i dalszą reanimacją zajął się lekarz.

Sytuacja została opanowana.

Krzyczeliśmy jak dzieci, ryczeliśmy z radości.

Po napięciu, przerażeniu i strachu nastąpił czas odreagowania.

Tylko Gerard nie brał udziału w orgii wrzasku i dzikich płasów.

Siedział opodal, obejmując rękami kolana, błądziej jeszcze, i trząsł się zimna, a może z napięcia.

Pierwszy zauważył go Smuszeń.

Podszedł do niego, przykłęknął.

- Nie lubiłem cię, przyznaję.

Widać nie poznałem się na tobie, bo dzisiaj udowodniłeś, że jesteś bohaterem.

Takiej odwagi jak twoja może ci pozazdrościć niejeden dojrzały mężczyzna.

Dziękuję ci.

Noi, niewiem jak u innych nauczycieli, ale u mnie masz spokój.

Są sprawy ważniejsze od nauki.

Pozwól, że uściskę ci rękę.

Ten jeden raz w życiu - bo do ściskania Gerarda rzuciła się zachwilę cała klasa, a na koniec zaprowadzono go donoszy, na których leżała Ewa - widziałem w jego oczach wzruszenie.

Widziałem duszę, ukrytą głęboko, przywaloną złem, nienawiścią, błagą, okrucieństwem - całym jego życiem.

Ujrzałem ją na twarzy brudnej odmułu i błota, zmęczonej jeszcze i przepelnionej powagą, tak kontrastującą z rozradowaniem pozostałych cieszących się głośno ludzi.

I widziałem - chociaż tego nie jestem pewien, bo Gerard był całym mokry, a z długich włosów wściekała mu wciąż woda - lzy w jego

oczach.

Na chwilę uwierzyłem w przełom, w zakręt takostry, że po nim wykolejony dotychczas szłopak wróci na proste, naturalne tory.

Tobyła piękna myśl.

Zdzisiek, brat Ewy, zaczął regularnie odbierać siostrę po próbach.

Miał malucha, wygranego rok wcześniej w loterii.

Zabierał nim czasami również Elę, chociaż musiał nadłożyć drogi, żeby ją odwieźć do

165.

domu.

Nie podobało mi się to, ale Ela chętnie korzystała z okazji, booszczędzała prawie godzinę i unikała tłoku w tramwaju.

Kumpel jednego z kolegów Zdziśka pracował w milicji i był popychadłem w zespole zajmującym się kradzieżą stradivariusa.

Zdzisiek bardzo lubił dzielić się z nami wiadomościami "trzeciej, czwartej ręki, więc możecie we wszystko uwierzyć".

Otaczaliśmy go próbującym kołem i wysłuchiwalismy kolejnych barwnych relacji.

On siedział rozparty, zadowolony, i nadawał:

- Nadzoruj wszystko kapitan Grzybowski, stary cwaniak.

Wiecie, co najpierw sprawdził, zanim jeszcze komukolwiek przyszło głowę zabrać się za śledztwo?

No? - A gdy wszyscy pokręciliśmy przeczącymi głowami, bo nikt nie miał pojęcia, co to mogło być, powiedział: - Pokój hotelowy Camparo.

- Tokretyn!

- wykrzyknęła Ela.

- Tak myślisz?

A jemu zdawało się śmieszne zostawienie takich cennych skrzypiec tylko dlatego, że zadzwoniła żona.

Dla mnie też to było dziwne, sam widziałem, jak Maestro do kibla raz szedł z futerałem.

A wtedy.

- Przecież mówiłeś, że kazał woźnemu stać na straży - wtrąciłem - i zamknął drzwi na klucz.

- Ha, woźny.

Nalewajczyk poszedł na drugi ogień, zaraz jak się okazało, że w pokoju Camparo znaleziono tylko roznieglizowaną i rozhisteryzowaną Włoszkę.

'NI

- Z Algieru - dorzucił Darek Rejwas.

- Żeby chociaż - śmiało się z wszystkimi Zdzisiek.

- Ona urodziła się w Rumunii, do Włoch jej rodzice przyjechali, jak miała piętnaście lat.

Albo coś koło tego.

Ale awanturę zrobiła popisową.

Włoską.

Kornel był oddelegowany do tej akcji.

Straszna chryja, podobno.

Biegała po pokoju prawie goła, w przezroczystej koszulce nocnej, bez majtek, bez stanika, rwała włosy z głowy i powtarzała Mamma mia.

Kornel niewiedział, naco patrzeć, bo to naprawdę niezła sztuka.

Ma czym odetchnąć, a i szyneczki niczego sobie.

Maestro ma gust.

166

- Ona jest bardziej jego impresariem niż.

-- Ela nie wiedziała,

jakskończyć.

- Impresario najlepszym przyjacielem człowieka - dodał Darek.

- Też bym się zaprzyjaźnił - oblesnie uśmiechnął się Zdzisiek.

- Ale poszukiwacze nic nie znaleźli.

Napatrzyli się tylko nasi milicjanci, naślinali i poszli.

Grzybowski maglował wszystkich po kolei - wszystkich, którzy byli wtedy w filharmonii.

Nawet Eli się dostało, nie?

- Ale Ela tylko wzruszyła ramionami.

- Najbardziej się przyczepił do Nalewajczyka.

Ten telefon był niejasny, dziwny.

Kiedy Maestro przytknął do swego genialnego ucha słuchawkę, po drugiej stronie była cisza.

Nalewajczyk upierał się, jakoby rozpoznał głos żony Camparo, pięknej Constantiny, która podobno spędziła poprzedni poranek w filharmonii której Nalewajczyk kilka razy nosił kawę, sok, wodę.

Uczyła go powłosku, a on jej mówił najprostsze polskie zwroty.

I zarzekał się, że rozpoznał jej głos.

Miała powiedzieć mniej więcej tak: "Nalecyk, tu Constantina.

Poproszę Federico.

Urgento, vivo.

Sibko, Nalecyk, sibko.

Raz, dwa, trzy.

Urgento, Nalecyk biegać".

- Strasznie dęta historia - zauważył Darek.

- Kornel sprawdził w hotelu rozmowy z pokoju Camparo.

Piękna Constantina dzwoniła w tym czasie dwa razy do miasta, nie wiadomo tylko gdzie ani o której, bo hotel ma dość starą centralę i nie sposób tego ustalić.

A i głowy nikt nie da, że toz tego pokoju ktoś dzwonił.

Zostaje tylko wiaraw pamięć telefonistki.

A to z kolei podobno dośleciwa pani u progu emerytury.

- A Constantina?

Mówiła, do kogo dzwoniła?

- Twierdzi, że nie zna tu nikogo, a aparatu dotykała w Polsce tylko po to, aby odebrać telefon od męża, z filharmonii i żeby poskarżyć się na obsługę hotelową.

Z Nalewajczykiem zamieniła podobno dwa zdania, po polsku zaś mówi tyle, co japo chińsku.

Awożny twierdzi, że nauczyła go, co znaczy: con amore, cantabile, affetuozo, con fuoco.

Recytował po włosku, jakby miał egzamin państwowy.

To tylko pierwsze niejasności w tej sprawie.

Grzybowski będzie

przesłuchiwał ludzi, którzy mieszkają za naszą budą i z okien ich domów widać tyły filharmonii.

Wiecie, że na sąsiednim dachu znaleziono drabinę?

Na tyle długą, że można byłoby się po niej dostać dookna pokoju, w którym Camparo zostawił stradivariusa.

Otóż ta drabina podobno leżała tam od tygodnia i pies z kulawą nogą jej nie ruszał.

Nikt niewidział, aby jej używano.

Badali i drabinę, i parapet okienny, nawet ten dach.

Szukali śladów.

Ale to nie takie proste, bo po całym zdarzeniu zaczęli się pić deszczyk i mógł wszystko zmyć.

Tak mówi Kornel.

- A ten Nalewajczyk?

- spytałem.

- Co to za gość?

- W filharmonii pracuje drugi rok.

Równy człek, wesoły, chociaż rudy.

Lubi sprośne kawały opowiadać.

Normalny facet.

Nie wierzę, aby miał z tym coś wspólnego.

Bardziej szemrana mi się wydaje żona Maestro.

- Kraść skrzypce własnego męża?

- zdziwiła się Ewa.

- A co?

Nie wiecie, na ile one były ubezpieczone?

Na pół miliona dolarów.

A Camparo to teraz biedak, bankrut.

- Co ty gadasz - oburzyła się Ela.

- Z samych tantiem za nagrania to on by mógł.

- I znowu nie znalazła właściwego porównania.

- Przed rozwodem owszem.

Teraz to on groszem nie śmierdzi.

A co ma, to pewnie żoneczka na ciuszki wydaje.

Kornel opowiadał, ile łachów w tym hotelu było.

Cały sklep miałby czym przez miesiąc handlować.

I wszystkodamskie.

Camparo miał jeden garnitur nazmianę i frak.

A reszta - dla naszej strojnisi, co todo dwunastej jeszcze majtek nadupę nie ma czasu wciągnąć.

- Nie bądź wulgarny - upomniała go Ewa.

- To słowa Kornela.

Onnie manic przeciwko, co się napatrzył, to jego.

- Ale przecież ktoś musiał wejść do tego pokoju, bo zamieniono skrzypce - powiedziałem.

- No właśnie.

Resztki skrzypiec.

Nikt nie chce się przyznać do nadepnięcia na nie.

W grę wchodzi Antek Miszewski, ale on jest 168

cze nie mógł dojść do siebie po ataku Maestra, wasz Kasprzycki, sam Tomaszek, Stefek Gromny, Mirek Psiabuda i Emil Szymanowski.

Mnie się zdaje, że w pokoju byłowiej ludzi, ale nie będę kapował.

Ja nie nadepnałem, tyle wiem.

Według mnie, to albo Psiabuda, albo Gromny.

Nie wiem.

Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Te skorupy badateraz lutnik.

Masię wypowiedzieć, co to był za instrument.

Bo Grzybowski jeszcze ma nadzieję że uda mu się oskarżyć Camparo o ukartowanie razem z żoną całej afery.

Tylko według mnie to Maestro nateskrzypce nie mógł nadepnać, bo właśnie omdlewał na kozetce.

Ale to już sprawa glin.

- Ten Grzybowski to jakaś straszna kreatura- zauważyła Ela.

-Oj, Eluniu, ty nie znasz ludzi.

Niewiesz, do czego są zdolni.

Jutro zobaczę się z Kornelem, to będą nowe rewelacje.

On mówi, że takiej afery jeszcze za swojej służby nie widział.

Takiej ciekawej.

- A mnie wstyd, że to w Polsce.

-Ela, złodziej są wszędzie.

- Ale u nas, okazuje się, najlepsi- zarechotał Darek.

- Swoją drogą, nie pomyślałbym, że rodzimi fachowcy tak się spiszą.

Prima sort!

- Faktycznie - zgodziłem się.

- Tak zgrać wszystko w czasie.

Mielina to pięć, dziesięć minut.

- Pojutrze dowiemy się więcej.

To jak, Elka, jedziesz z nami?

- Nie.

Idziemy z Tomkiem na lody.

Spojrzałem na nią zdziwiony, bo nie umawialiśmy się wcześniej na wspólny spacer.

Zrozumiałem.

Żartobliwe uwagi Zdziśka o Camparo, jego ubóstwie, posądzenie o kradzież własnych skrzypiec - Ela poczuła się urażona.

No i dobrze.

Niech będą lody.

I żadnych rozmów o kradzieży!

Przedziwne zabiegidoktora Peryzentowicza nie miały większego wpływu na moją naukę - zostałam prymuską w klasie i ulubienicą starej dyrektorki szkoły - ani na pracę.

Wielki miejski szpital różnił

169.

się od opotowskiego przede wszystkim rozmiarem.

Zeczerzy razy większy był jednak nie tylko budynek, liczba personelu i pacjentów, ale przede wszystkim bałagan i rozprężenie.

Łąpówkarstwo - jakby drugi, nieoficjalny, a ważniejszy od głównego krwiociąg - decydowało o wielkości spraw.

Pieniądże odpacjentów brali lekarze, im wyżej w hierarchii, tym więcej; pielęgniarki brały mniejsze kwoty zapodstawowe, wydawałoby się, zabiegi; nawet salowe korzystały z tego systemu, dostając drobne pieniądze za podstawienie basenu, częstszą zmianę pościeli, podanie większego kotleta i ciepłych ziemniaków.

Personel między sobą walczył jak największy dostęp do tego strumienia pieniędzy, bo dawało się w ten sposób podwoić lub potroić swoje zarobki.

Nie było to zjawiskiem całościowym w Opotowie nieznanym.

Tyle że tam częściej przekupywano darami natury, przynajmniej salowe i pielęgniarki, bo o lekarzach wiedziałam niewiele.

Ale odbywało się to w zupełnie innej skali.

Czasami, nie śmiało, a gdy na przekazywanie dóbr wszedł przypadkowo ktoś obcy, obie strony czuły nieudawane zażenowanie.

A tu?

W wielkim mieście?

Tutaj ustalony był praktycznie cennik usług: tyle zaprzyspieszenie operacji dla ordynatora, trochę mniej dla zwykłego chirurga; całkiem sporo trzeba było dać, aby leczenie oprócz na zagranicznych medykamentach, skuteczniejszego i mniej szkodliwych niż nasze bądź radzieckie.

Pielęgniarka wiedziała, ile się należy za zastrzyk cieńszą igłą, za dobry środek na przeczyszczenie zamiast lewatywy.

Cennik znalazł również prawie wszyscy pacjenci i akceptowali go.

: Po kilku miesiącach pracy ja też znalazłam się w samym środku tego układu, bo nawet nie upominając się o nic, musiałabym się odłapówek poprostu opędnąć, a to byłoby kłopotliwe i budziłoby zdziwienie, a nawet niechęć samych pacjentów.

Tak, tak, przechodziłam dalszą szkołę życia!

Umizgi i chore pożądanie ze strony mojego gospodarza nauczyły mnie, jak dziwne relacje powstają między ludźmi wskutek niedopowiedzeń, braku zaufania do samego siebie i drugiej strony.

Szpital pokazywał mi ułomność systemu, wychwalanego

170

co dzień w prasie, radiu, szkole i oficjalnie również w szpitalu.

Nic dziwnego w tym wychwalaniu nie było - dzięki takiemu zakłamaniu wielu ludzi było dostatej, niż mogliby oczekiwać, pacjenci uważali, że otrzymują lepszą opiekę, niż gdyby nie mogli zapłacić na lewo i tak to szło.

We mnie ów system na początku budził pewien rodzaj zdumienia i obrzydzenia, uodporniałam się jednak na te egzotyczne odczucia i skupiałam na własnym życiu.

Dużo uczyłam się z pozaobowiązkowych podręczników.

W bibliotece Akademii Medycznej zaczęłam spędzać długie godziny nad książkami poświęconymi leczeniu nowotworów, szczególnie u dzieci.

W naszym szpitalu był taki mały oddział, zwany "żoną smutku", gdzie śmierć czekała chore na raka dzieci.

Z dziesięciu, które tam trafiły, do domu wracało najwyżej jedno.

Nikt nie lubił tam pracować, atmosfera beznadziei udzielała się bowiem nawet rodzicom, którzy zapominali o prawach rządzących w całym szpitalu i nie płacili nieproszeni za to, za co gdzie indziej dostawało się pieniądze bez wyciągania ręki.

Pacjenci to zgaszone, przerażone dzieci oczach starców, które nie rozumieją, dlaczego mają pożegnać się z życiem.

Jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie robiły trzy-, cztero- czy pięcioletnie maluchy wyjące z bólu i tłukące głową o podłogę, które po podaniu środków przeciwbólowych biegały ze śmiechem po sali, czepiały się każdego;

żebrząc o chwilę zabawy i uwagi, popisywały się najprostszymi czynnościami, by po kilku godzinach znów wpaść w otchłań czarnej rozpacz.

Nikt nie chciał być na tym oddziale, a mnie pod koniec pierwszego roku pracy w mieście zaczęło coś tam ciągnąć, nieodparcie!

popychać do niesienia pomocy tym, którym pomóc już prawie nikt nie potrafił i nie próbował. Dlatego czytałam na ten temat co mogłam, wypytywałam Peryzentowicza o jego wiedzę w tej materii, rozmawia-

łam z pracującymi tam dłużej pielęgniarkami.

Zauważyłam, że są one jakieś inne niż reszta szpitalnego towarzystwa, cichsze i łagodniejsze, pozbawione pospolitej buty, pełne pokory i chęci pomocy, jakich oczekuje się od prawdziwej pielęgniarki.

171.

Czy byłam więc idealistką, materiałem na jakiegoś Judyta?
Przecieżgodziłam się na niezdrowy pociąg starszego pana do mnie, świadomie wykorzystując go dla własnej wygody; wcześniej pozwalałam używać swego ciała mężczyźnie, który był całkiem pozbawiony uczuć, a i pewnie w dużej mierze rozumu.
Przecież przez rok pracy w szpitalu brałam bez oporów podtykane mi ukradkiem pieniądze, nie zastanawiając się nad tym za dużo, nie odczuwając wielkich wyrzutów sumienia.
Skąd więc nagle taki zwrot?
Jak objawiła się chęć niesienia pomocy tym, którym już pomóc prawie nie można?
Skąd ta zmiana?
Tęsknotąza czym była spowodowana?
Tak jak w czasie zauroczenia Hefajstosem z kotłowni, jak przy wycofaniu się z ceremoniału rozkoszy w domu pana Pawła, prawdziwej, tylko pozbawionej naturalnej kontynuacji, jałowej i pokrętej - wszystko odbywało się w mojej głowie bocznym torem, powolnym dochodzeniem i zrozumieniem samej siebie, cichą, niepozbawioną prób i błędów ścieżką, której końca nie rozumiałam inaczej, jak tylko przecuciem, że po dotarciu do niego wreszcie będę szczęśliwa.
Czy każdy tak się miota w swych pragnieniach?
Czy wszyscy próbujemy różnych potraw, eksperymentujemy z gorzkim, słonymi słodkim, kwaśnym i cierpkim, aby odnaleźć ten jedyny smak?
Smakszczęścia nienazwanego?
Może inni lepiej zdają sobie sprawę, czego poszukują?
Pewnie łatwiej im uświadomić sobie: to jest czarne, tam niebieskie, a ja szukam zielonego z odcieniem morskiej wody.
Tacy ludzie, krocząc przez życie, nie zagląдают do zakątków o pośrednich barwach, nie przeżywają rozterek, nieudanych prób czy fałszywych czarowań.
Znają swój cel i w nim oczekują spełnienia.
A ja przetelata byłam jak daltonistka, co smaku szuka rękami, a kolory rozpoznaję własnym ciałem, do tego nie zna prawdziwej natury badanych przedmiotów, zadowolając się tylko ich powierzchownym charakterem.
Tobył czas w moim życiu, gdy zaczynałam już samodzielnie myśleć, a nie tylko pozwalać nieść się następującym po sobie wydarzeniom.
To pomogło mi w wielkiej próbie, jakiej poddana zostałam zaraz po wakacjach przez mojego gospodarza.

172

Paweł Peryzentowicz po powrocie z letniska zdawał się tryskać nową energią. Opowiedział mi o odmładzającej terapii, jaką ziołami, akupunkturą i medytacją połączoną z przekazywaniem energii uraczył się w nadmorskim kurorcie.
W terapii wzięło udział kilkanaście osób i u każdej z nich niejaki Regobhada, prowadzący zajęcia mistrz, doprowadził do znacznego cofnięcia się procesu starzenia organizmu.
"Wyobraź sobie, moja pani, mnie z trzydziestokilowym workiem na plecach jeszcze dwa miesiące temu!
Nawet próby takiej bym podjąć nie zamierzył.
A niedalek jak przedwczoraj mistrz Regobhada nakazał mi przejść z takim ciężarem sto metrów.
Inie tyłkomnie.
Pewna dama, hrabianka, dla jej bezpieczeństwa tylko panią Krzypniewską nazywana, połowę takiego dystansu bez jednej kropli potu na twarzy pokonała.
Również krew nasza została przez mistrza energią wewnętrzną oczyszczona, żyły poszerzone, przestrzeń zyskały, serce pracuje umnie teraz trzydziestolatka rytmemi wysileniem.

Mogę w tej chwili zbiec na dół pogazetę, wrócić, tempa nie zgubiwszy, i niezauważysz pani u mnie ni krzty zmęczenia ani zadyszki, która tak mi proste rzeczy dotąd utrudniała.

Jestem Faustusem, co to nawet diabła do szczęścia nie potrzebował, a swoje i tak uzyskał. Ha, masz przed sobą, droga pani Stasienko, śmiertelnika wprawdzie, jednakowoż człowieka odmienionego, co nowymi nadziejami teraz żyć będzie.

A kto wie, może i ta cudowna odmiana na innych wpływu swego nieposkapi?

Któżto wie, droga pani?

Są na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom ani pięknym kobietom!

". Popatrzył na mnie wyzywająco, a ja dopiero za jakiś czas zrozumiałam, co miał na myśli i jakie pragnienia wywołała w nim wiara w odzyskanie młodości.

Zaczął się teraz dziwny okres aktywności pana Pawła.

Zniknął zupełnie tak likier truskawkowy, jak inne słodkie napitki.

Przestałam być do kształcana w sztuce malarskiej, a rozpoczęłam edukację kulturalną poza murami mieszkania.

Doktor zaczął zabierać mnie do teatru, opery, na koncerty i długie spacerowanie po parku.

Kupował mi lody, ciastka, kremy, sam też jadł słodkości bez opamiętania.

Żartował

173.

przy tym dużo, śmiał się, a że jeszcze nad morzem zgolił brodę i wąsy, to wyglądał rzeczywiście młodziej.

Wysokokaloryczna dieta kawiarniana pozwoliła mu przytyć, toteż jego twarz zaokrągliła się, policzki zaczerwieniły - tryskał radością życia, gdy prowadził mnie pod rękę, i zadzierał dumnie głowę.

; Rozumiałam, że zalecasię do mnie, uwodzi.

Wspomnienie jego mało apetycznych wysiłków w truskawkowe noce przybladło.

Był teraz tak miły, uczynny i pełen kurtuazji, jak starający się o nieśmiałą pannę kawaler.

Czy on również zapomniał o swych nieco dziwnych zapędach względem mnie?

Czy wciąż wierzył w moją całkowitą o nich niewiedzę?

Dochodziłam do wniosku, że tak właśnie było, przyglądając się, jak pan Paweł, na przykład, idzie z kwaciarni ze schowaną za plecami ręką i jak gestem magika wyciąga mi bukiet goździków.

Taksamo przed kupieniem biletu do teatru wyszukiwał najpierw dla mnie miejsce na ławce, abym wygodnie mogła na niego poczekać, i dopiero szedł do kasy.

Podawał mi zawsze rękę przy wsiadaniu i wsiadaniu z auta bądź dorożki, z głębokim pochyleniem głowy przepuszczał mnie w drzwiach, wysuwał krzesło spod stolika w restauracji, zawsze miał w pogotowiu chusteczkę, gdy chociaż nieznacznie odchrząknęłam lub zakasłam.

Bardziej mnie to bawiło, niż krępowało, i wołałam go takiego niż dyszącego nocą u wrót mego królestwa miękkości.

Zaczynałam zastanawiać się, czy czasem jego obecne zainteresowanie moją osobą, tak inne niż dotychczas, nie jest spowodowane odzyskaniem męskich możliwości, przynajmniej wiarą w to.

Wyobrażałam go sobie przy mnie, we mnie - nie było to może przykre, tylko.

nierealne jakieś, bo do rozbuchanego pieca, w którego towarzystwie odbywało się przecież całe moje dotychczasowe seksualne życie, nie pasował, a sam jako kochanek najbardziej kojarzy mi się truskawkowym likierem i obślinionymi udami.

Lecz jego zabiegi sprawiały mi przyjemność - lubiałam lody, ciastka, operę i kino.

Teatr mniej, sztuki wystawiano z reguły współczesne, socrealistyczne, pozbawione jakichkolwiek niedomówień i dwuznaczności.

174

Tak przeszła jesień, az początkiem zimy, przy niedzielnej kolacji, pan Paweł w bardzo podniosłym nastroju zaczął takie przemówienie:

"Świat ma swoje urządzenie, prawa niezmiennie, które i dzisiaj, w tak śmiesznej rzeczywistości, obowiązują i muszą.

Panno Stanisłavo, to już mocno ponad rok naszej znajomości w zgodzie upływa.

Z nowoczesności czasów mówiłem do tak młodej osoby - pani, ale i z szacunkiem niezwykłego dla panny Stanisławy, dla jej rozumu, mądrości i urody przecież.

Adzisiaj, pozostawiając w jej pamięci, co się mną przydarzyło po spotkaniu mistrza Regobhada, tak właśnie - panno Stanisłavo - chcę się do ciebie, piękna ty moja dziewczyno, zwrócić.

Otóż rozważ, czy płochemoje słowa będą, gdy opowiem ci o uczuciu dziwnym, jakie od najmłodszych lat gonić mi przychodzi.

Dziesięć wiosen ukończywszy, w piętnastym roku życia spodziewałam się mądrości dojrzałość osiąść.

Doszedłszy piętnastki, o trzy lata ten moment przesunąć zdecydowałam.

Dalej, jak panna się domyślasz, szło podobnie: z końcem studiów, z podjęciem pracy, z tytułem pełnego doktora medycyny, z urodzeniem się mego syna pierworodnego, gdy

nazwisko na polskie i prosto brzmiące zmieniałem, toryswychlosów znacznie przestawiając - w tych wszystkich przełomowych momentach szukałem owego uczucia, że wiedzę o życiu doskonałą, mądrość i dojrzałość posiadam.

Wrodzona skromność wciąż jednakże pozwalała mi ze zdarzeń i zwrotów doświadczanych takiego wniosku wysnuć.

Wojna zmiany wielkie i przykre wemnie poczyniła, czyniąc z zadufanego może nieco lekarzyka wątpiącą w wiele dotychczasowych prawd osobę.

Bliski już zdawałem się być konkluzji statecznej, poznania prawd życia rządzących, a smutna i gorzka mi się ona zdawała, gdy panna Stanisława w mój świat wstąpić delikatną nóżką raczyła i ukazała mi świeżość urody niezwykłej, nie tylko bowiem cielesnej, ale i dojrzałością niespotykaną wzmocnionej.

Póki mnie mógł od życia wielu już radości oczekiwać, szanowałem w pani Stanisławie powściągliwość, tak w młodych latach rzadko spotykaną.

Ale zrzędzenie losu z mistrzem Regobhadem mnie zetknęło, innym

człowiekiem czyniąc, nareszcie pewność dając mi zrozumienia tych praw, o których tak szeroko pannie Stanisławie opowiedziałem.

Innym jestem człowiekiem, patrzę dalej, widzę lepiej.

Bo czyż człowiek w głębiserca nie pozostaje na zawsze piękny, silny i nieśmiertelny?

Czy świecąca nam nieustannie gwiazda młodości musi gasnąć z powodurzeczy tak błahej, jak upływ czasu?

Bezbrzeżną bzdurą jest nakaz poddania się wędnięciu, gdy części ciała znajdują się na swoim miejscu, rozum pracuje wręcz sprawniej niż kiedyś, wszystkie członki działają, prostują się, zginają i.

no, w ogóle!

Czy w takim stanie wolno poddawać się, pozbawiać nadziei siebie, a może i kogo drugiego?

Czyż nie jest słuszne wtedy podzielenie swego szczęścia z kim drugim?

Miał zasklepić się, jałowo delektować złudnym dorobkiem życia całego, przesypywać z kąta w kąt własną mądrość i doświadczenie, dobra doczesne strzec i ściubić - czyż nie lepiej udostępnić siebie swe uroki komu drugiemu?

Co panna Stanisława sądzi na takie moje oświadczenie?

Jak ocenia duszę maurokami życia na nowo zachwyconą, co więcej nie chce sama przebywać, tylko kogo drugiego do wspólnoty zaprasza?

Co panna Stanisława odpowie?

".

Od początku przemowy wiedziałam, czy mona jest.

Pierwsze to były w moim życiu oświadczenia i chociaż uśmiech błakał mi się poduszy, gdy słuchałam pozakręcanych zwrotów pana Peryzentowicza, to nie pozostałam całkiem głucha na praktyczną stronę propozycji.

Bo co on mi oferował?

Siebie, w glorii pychy koguta, co wierzy, że spod noża na jakiś czas ucieknie.

Tak, ale miał przecież za sobą i inne argumenty.

Zastanawiałam się, czy nie warto kilku lat życia poświęcić dla starca, niewstrętnego przecież, nieuprzykrzonego, tylko życzliwego mi człowieka, z którego pomocy, może niedo końca bezinteresownej, tak długo już korzystałam.

Czy nie spłaciłabym w ten sposób długu wobec niego, a i sobie niezapewniła przy tym przyszłości spokojnej i stabilnej, opartej na jego pozycji, pieniądzu, mieszkaniu?

Korciłam się też dowiedzieć się, czy jego cudowne uzdrowienie ciała rzeczywiście pozwoliło mu odzyskać męską moc.

176

Ale też, jak wspominałam, był to już okres, gdy zaczynałam samodzielnie, świadomie myśleć i zastanawiać się nad swoimi rzeczywistymi pragnieniami, nie ograniczając się do bezpośrednich odczuć i impulsów.

"Panie Pawle, doktorze kochany, miłomi bardzo słyszeć, jak pochlebne pan ma o mnie zdanie.

Zaskoczona jestem tym, czego się dzisiaj dowiedziałam, i proszę o rzecz bardzo chyba naturalną: o czas do namysłu.

To wielka i doniosła decyzja, połączyć się węzłem nierozzerwalnym.

Dlatego muszę się nad taką możliwością zastanowić, rozważyć, czy godna jestem zaszczytu, czy będę potrafiła pańskie oczekiwania spełnić.

Nie będzie chyba niewdzięcznością, gdy o miesiąc, może dwa swoją odpowiedź przesunę?

Nie będzie mój kochany pan Paweł boczył się na mnie z tak błahego powodu, prawda, że nie?

". Mówiąc te słowa trzymałam go za rękę patrzyłam zmiłym uśmiechem w oczy, w których dostrzegłam najpierw pewnego rodzaju zawód, a po chwili ulgę odroczoną, ale jednak wyraźnie pozostawioną nadziei.

Borze oczywiście nie byłam zdecydowana odrzucić jego oferty bezgłębszego przemyślenia.

Naprawdę zastanawiałam się nad kolorem spokojnej przyszłości u boku starzejącego się pana. Trochę pociągałam mnie w tym iskra niezdrowego podniecenia na myśl o chwilach u jego boku, być może (udzielała mi się widać jego wiara w cudowne możliwości mistrzów z Indii, Laosu czy Birmy) popartych teraz równie czymś twardszym od języka.

Spędziłam dość niespokojną noc, przewracając się z boku na bok i mając przed oczami raz prężne ciało lamparta i swobodną pozę zaspokojonej dziewczyny, a za chwilę przypominając sobie pustą czołową następnego zdjęcia, zastraszającorealne i ślepe w kontraście do błyszczących tuż obok, zadowolonych i roześmianych oczu.

Dreszcz strachu i obrzydzenia przechodził mnie wtedy, tak samo jak podnieceniem reagowałam na wspomnienie tych czterech, jakże innych w swej wymowie, fotografii.

Jaki człowiek mógłby te zdjęcia w jedno połączyć?

Czym tłumaczyłby takie wspólne umiejscowienie piękna i ohydy?

Znow zaczęła mnie dręczyć, zapomnianą już prawie, zagadka zaklejonej białej koperty.

Cóż takiego, jeżeli tamte

dwa zdjęcia, niesmacznej wiwisekcji i szkaradnego oślepienia cudnejistoty, mogły być przechowywane odkryte - cóż takiego wymagało dodatkowego zamknięcia w kopercie? Czy nie jestem zbyt naiwnie podurokiem starszego pana?

Czemu tak łatwo zapomnieliśmy jego niegodnym mężczyzny odurzaniu mnie narkotykiem dla zaspokojenia własnej huci?

Ale przecież on właściwie mnie, nie siebie, zadowalał, to ja przeżywałam momenty rozkoszy, realnej i prawdziwej, tylko niedokońca mi odpowiadającej.

Męczyłam się nad sobą, nad swym niejasnym i niejednoznacznym stosunkiem do Pawła Peryzentowicza.

Postanowiłam wstrzymać się decyzją i odpowiedzią.

I poszukać okazji, by zajrzeć do białej koperty.

Kupiłam kilka rodzajów papeterii, których koperty zdawały mi się podobne do tamtej z puderka, i czekałam na szansę pozostania w mieszkaniu bez świadków.

W szpitalu zaprzyjaźniłam się w tym czasie z przełożoną pielęgniarek z "żony smutku", Renatą Gryf.

Spokojna, cicha kobieta.

Wychowywała samotnie dwóch synów, bliźniaków, i córkę siostry, która, wraz ze swoim i Renaty mężem, zaginęła w czasie wojny.

Miała dopiero czterdzieści lat, ale życie zaznaczyło na jej twarzy dodatkowych kilkanaście wiosen pracą niemal ponad siły.

Nie skarżyła się jednak, ukazując wśród zmarszczek pogodne oczy.

Znalazłam w niej wrażliwość na bliźnich, nie tylko na rodzinę i znajomych, ale na los całkiem obcych jej istot.

Przy umierającym dziecku potrafiła spędzić całą noc, wiedząc, że nie będzie miała kiedy jej odespać.

Ważniejsze jednak dla niej było, aby w nieuniknionym momencie przy małym człowieku był ktoś niosący otuchę chociaż uściskiem ręki.

Takiemu maluchowi potrafiła podać środek na uśmierzanie bólu, czasami wbrew zaleceniom lekarzy, którzy już chyba nie chcieli marnować medykamentów na małego skazańca, o którego nie miał się kto upomnieć, zapłacić za zmniejszenie cierpień.

Nie opowiadała o tym, nie chwaliła się.

Jedynie śledzącej poczynania, można było dostrzec te wielkie akty miłosierdzia, za które nieraz wysłuchiwała następnego dnia inwektyw od nie 178

zadowolonych medyków.

Nie była przy tym dla dzieci pobłażliwa, ani dla swoich, ani dla tych w szpitalu.

Wymagała porządku, posłuszeństwa, grzeczności - a odwdzięczała się miłością, spokojną i pewną.

Podziwiałam ją, choć nie do końca jej niektóre postęпки rozumiałam.

Uderzyła kiedyś w twarz młodą salową, gdy ta skarciła kłapsem pięcioletniego chłopca, który przed chwilą złośliwie przewrócił jej wiadro z wodą.

Sama tymczasem karała dzieci za podobne psoty ostro i bezlitośnie.

Innym razem (to było już kilkanaście lat później, tuż przed jej emeryturą) pokłócił się z lekarzem o małą Wierę, której chciał podać jakiś niesprawdzony lek, szukając w tym jedynej szansy poprawy pogarszającego się zdania na dzień stanu zdrowia dziewczynki.

Lekarz postawił na swoim i lek na parę tygodni oddalił od Wiery kostuchę.

Później jednak wszystko wróciło do normy i dziecko i tak umarło, tylko o miesiąc później.

Rozmawiałam z nią o losie Wiery i o jej sprzeciwie wobec próby leczenia nieznanym środkiem.

"Pewnych praw nie należy ruszać - mówiła spokojnie - Wiera musiała już umrzeć, sama to rozumiała.

A oni nie z chęci pomocy podali jej nowylek, tylko dla eksperymentu, albo, jak to się u nas mówi: dla dobrej nauki.

Amnieniu nauka obchodzi, tylko los dziecka, które przezkoszmar umierania musi przejść dwukrotnie.

Pomóc jej umrzeć później nie będzie komu, Gryfowej zostawiają ten miły obowiązek.

A dwunastoletniadzieczynka ciężko znosi rozbudzenie w niej płonny nadziei".

Mówiłam o konieczności leczenia zawsze jaką cenę, do końca, Renata natomiast wzruszała na to ramionami: "Ja ostatnia jestem, która pozwoliłaby dziecku umrzeć bez potrzeby.

Ostatnia.

Ale na takie okrucieństwo, jakież tą Wierzą zrobili - wmawiali jej, że wyzdrowieje, po podwórku będzie biegać - patrzeć nie mogłam, bo wiedziałam, że się nie uda, a jak tak się stanie, to ten doktor nawet do niej nie zajrzy, gdy będzie umierała".

 Nie znaczy to, że Renata była przeciwna lekowi i leczeniu.

O, nie.

Walczyła jak lwica o medykamenty dla swojego oddziału, dla swych małych pacjentów.

Nie wahała się pójść do naczelnego dyrektora,

179.

gdy raz obciął fundusze na zabawki dla dzieci.

Potakiej awanturze już nigdy nie próbował oszczędzać na jej miejscu pracy.

Lekarze cenili ją.

Potrafiła uspokoić w najdzińszyspósób rozwrzeszczane dziecko, utulić płaczące całą noc niemowlę.

Wysyłano ją do rozmów z rodzicami biednych skazańców.

I zawszedziecichałymieć ją przysobie, gdynadchodziła ostatnia godzina.

ARenata nie zawodziła w takich sprawach nigdy, choćby i kosztem własnej rodziny.

Jej siostrzenica Klementynka miała już czternaście lat i przy dwóchdziesięcioletnich rozrabiakach była dla Renaty wielką wyręką.

Kiedy zaczęłam odwiedzać Renatę w jej mieszkaniu i pomagać jej jak umiałam, a to praniem, a to sprzątaniami czy prasowaniami gotowaniem

- poznałam inny rodzaj życia niż to, jakie sama wiodłam do tej pory.

Nic tu niedziało się zmyślą o własnej wygodzie, o dogadzaniu zachciankom.

A przecież nie byłam smutku, śmiech rozbrzmiewał często, na przemian z połajankami i chwilami ciszy, w których dwaj synowie Renaty, Damian i Roman, szykowali nowe psoty.

Byli urwipółciami i rozrabiakami, ale kochali swoją mamę do szaleństwa i równie mocno jej się bali.

Klementynka, poważna jak na swój wiek i smutna, wykonywała powierzone jej obowiązki sumiennie, a moją pomoc traktowała trochę obojętnie, ani się z niej nie ciesząc (choć miała dzięki temu więcej czasu dla siebie, mogła gdzieś wyjść, pobawić się, tyłkonie umiała tego robić), ani nie okazując innych emocji.

Zamknięte dziecko, tak różne od Renaty i bliźniaków.

Mąż Renaty zaginał wraz z rodzicami Klementynki w czasie wojny.

Wszyscy troje zajmowali się jakimś pokątnym handlem i pewnie wpadli w łapance.

Zniknęli w 1943.

Renata została sama z trójką dzieci.

Jak dała radę przeżyć wojnę do końca?

"Z dnia na dzień - mówiła.

- Nic w tym wielkiego, chociaż ciężkie to były czasy.

Szczególnie póki mialy sami nie zaczęli chodzić.

Pomagała mi pani Owczarkowa, z którą do dzisiaj się przyjaźnimy".

Wyszła kiedyś w rozmowie sprawa poszukiwania przezemnie pokoju, mieszkania, bo rozważałam uwolnienie się od pana Pawła na

180

poważnie i chciałam w takiej sytuacji mieć gdzie pójść.

Wtedy Renata opowiedziała mi więcej o pani Owczarkowej, która mieszkała co prawda w jednym pokoju z kuchnią, ale za dużym, przestronnym, przyodpowiednim przepierzeniu swobodnie powstałyby dwa pomieszczenia.

Miałabym tam dach nad głową za darmo, tylko za opiekę nad starzejącą się panią.

"Ona już mniewiel razy prosiła - mówiła o Owczarkowej Renata - o jakąś młodą kobietę do pomocy.

Ja sama nie mam czasu jej pomóc.

Klementynkę czasem wyślę, to posprząta, pozmywa, ale ona i u mnie ma co robić, a to przecież tylko dziecko.

Raz już jedna mieszkała z Owczarkową, tyle że po dwóch miesiącach się wyniosła.

Nie mogły się dogadać.

To kobieta z charakterem, nie jakieś ciepłe kluchy, lecz dobre maserce i jak w drugim dobro wyczuje, to na pewno dobrze im razem będzie.

Dlatego ciebie mogę do niej skierować, znam cię przecież".

Poszłam poznać starszą panią.

Gderliwa, ostra w słowach, ale rzeczowa i konkretna.

Omówiliśmy warunki i obiecałam odpowiedzieć w ciągu miesiąca, czy sprowadzę się do niej.

W tym czasie miałam nadzieję znaleźć odpowiedź na oświadczenia Pawła Peryzentowicza i zrozumieć, czego ja sama od niego chcę.

Rozdział szantażu.

Jeszcze cztery razy obstawiałem na wyścigach dla Gerarda.

Trzy razy się udało, raz jego typy okazały się fałszywe.

On za każdym razem inwestował około dziesięć tysięcy, ja zaś, na swoje konto, zazwyczaj połowę tej sumy.

Wygrane zawsze były między trzy a cztery do jednego.

W sumie zarobiłem kupę forsy.

Gerard informował mnie o pierwszej, drugiej lekcji, że dzisiaj idziemy "na konie".

Za pierwszym razem uciekłem z chemii i matematyki, aby pojechać do domu po pieniądze.

Później zawsze nosiłem przy sobie kilka tysięcy, aby nie być przez Gerarda zaskakiwanym.

Wciąż bałem się go i mu nie ufałem, w pamięci miałem gwałt, do którego zmusili mnie we dwóch z Księżym.

Za każdym razem gdy jechaliśmy "na konie", była we mnie obawa, że i tego drugiego w końcu spotkam.

Ale Gerard ani słowem nie zająknął się o tamtym wydarzeniu, całkiem niedawno zaś uratował Ewę przed utonięciem, i w ogóle nie był ostatnio szczególnie wredny i złośliwy, więc.

"Pracowałem" dla niego i przyjmowałem po każdej robocie tysiąc lub dwa za fatygę.

Najważniejsze jednak były, muszę ze wstydem przyznać, widoki na zysk z własnych obstawień.

Ten jeden raz, przedostatni, gdy konie przyszedły innym niż Gerard "przewidział" porządku, trochę się obawiałem jego reakcji, ale on skrzywił się tylko i powiedział:

- Patrz no, Babol, jak to nic pewnego na tym świecie nie ma.

Jak to mówią: na konie.

babę nie stawiaj w.

przesadę!

No nie?

182

- Nie znam tego przysłowia.

- Ja też nie.

Bowłaśnie je wymyśliłem.

Ale nie marmol, Babolku.

Jeszcze sobie odbijemy.

No, a ty ile wtopiłeś?

- Ja?

- zatkąło mnie.

Byłem przekonany, że kombinacje na własną rękę są moją tajemnicą.

- Za mądry to ty nie jesteś, no nie, ale nawet Stasio Przypiórek by się zorientował, że można tam nieźle zarobić.

To ile?

- Tysiąc złotych - skłamałem.

- To ty jesteś ciepłe kluchy.

Nonie, odbijemy sobie następnym razem.

Teraz zmiataj stąd.

Wracając do domu, zawsze mijałem Grand Hotel.

Już za pierwszym razem nie umiałem się oprzeć pokusie, a może zwykłej ciekawości, i zajrzałem do środka.

I nawet kiedy po nieudanej gonitwie nie miałem w kieszeni ani złotówki, wszedłem do holu, studiowałem tabelę kursów, odburknąłem przecząco kilku cinkciarzom i gapiłem się trochę na towary w Peweksie.

Przy tym całych czas rozglądałem się wokoło, czy abym zobaczył znowu Natalki.

Nie wiem, czemu tak mnie fascynowała i pociągała możliwość ujrzania jej powtórnie "na stanowisku pracy".

Prawdopodobnie nawet gdyby to się zdarzyło, ona pewnie udałaby, że mnie nie zna, aja.

Właśnie: co ja?

Przecież nie miałem zamiaru korzystać z jej

usług.

Nie.

Na pewno nie!

Ale zajmowała wtedy moje myśli bardzo intensywnie, że dwa razy śniła mi się, wyuzdana i wyzywająca, a jednak w jakiś sposób pociągająca, może właśnie przez swą inność, przez całkowite zaprzeczenie tego, co na co, dzień obserwowałem u koleżanek z klasy, u Eli, Ewy czy Danusi.

Jednak nie spotkałem jej, chociaż poprzednim razem przesiedziałem w barze nad kremówką chyba ze dwie godziny.

I nic.

Amożeczna historia była tylko wytworem barwnej wyobraźni młodego barmana, na którego resztą też się więcej nie natknąłem?

W Peweksie nie dało się długo sterczeć, bo cierpkie spojrzenia wyfiokowanych sprzedawczyń paliły nawet przez ubranie.

Tym razem jeszcze chwilę zamarudziłem znowu w holu, skorzystałem z toalety

i... wypadalo wyjść.

Wtedy, na szczycie schodów, dostrzegłem charakterystyczną sylwetkę Gromnego. Schodził powoli, rozchełstany jak cygański baron, z marynarką zarzuconą przez ramię, uśmiechnięty od ucha do ucha, a w stawianych lekko krokach, w całej sylwetce dało się zauważyć radość, swobodę i wyzwolenie.

Aż trudno było mi uwierzyć, że to on, nasz zazwyczaj tak skwaszony i sarkastyczny kontrabasista.

A wtedy wyglądał tak, jakby udawał się najlepszy interes.

Jakby właśnie zakochał się w najpiękniejszej i najbogatszej dziewczynie świata, oświadczył się, został przyjęty i obdarzony szczodrym pocałunkiem, a może nawet czymś więcej.

Był na tych schodach wprost nieprzyzwoicie, nieludzko szczęśliwy!

Odruchowo cofnąłem się za filar, podświadomie rozumiejąc, że nie powinien mnie zobaczyć, że nie byłby z takiego spotkania zadowolony.

Gdy zerknąłem powtórnie, Gromny właśnie wchodził do kawiarni.

Przysiadł się do stolika już wcześniej zajętego przez kogoś, kogo teraz zasłonił plecami przed moim wzrokiem.

Aby wyjść z hotelu, wypadaliśmy przez ścianę przeszklonej kawiarni.

Nasze szczęście ruch był spory, a Gromny wciąż siedział odwrócony do mnie tyłem, miałem więc całkiem uzasadnioną nadzieję, że mnie nie zauważy.

Chyłkiem, ostrożnie przemknąłem do wyjścia.

Tuż przed głównymi drzwiami ostatni raz zerknąłem za siebie.

Gromny właśnie wstawał od stolika.

Odsłonił mi na chwilę tego drugiego, do którego się przysiadł.

Wciąż nie mam pewności, bo ktoś przy drzwiach mnie wtamtej chwili potrącił, niemal wepchnął w ruchome wahadłowe skrzydła, ale w tym ostatnim ułamku sekundy pod uniesioną ręką zakładającą marynarkę Stefana chyba dostrzegłem roziskrzona oczy.

Księżyka.

Gdy jednak znalazłem się na ulicy, nie miałem najmniejszej ochoty sprawdzać, czy to abyma pewno był patron Gerarda.

Zwiewałem spod hotelu gdzieś przez rośnię.

184

Graliśmy, już po zniknięciu stradivariusa, koncert w Łomży.

Nocleg mieliśmy w starym dworcu.

Był to hotel, chociaż i trochę muzeum.

Zarządzała nim znajoma Kasprzyckiego.

Pokoje trzyosobowe, tylko dla Teodora znalazła się jedyńska.

Do mnie i Darka dokwaterowała się Stefan Gromny, który już w ogóle nie rozstawał się z piersiówką.

Nas nieczęstował, ale sam pociągał bezustanku.

Znów gadatliwy, jakby próbował nadrobić te kilka tygodni swojej milczkowatości, snuł przy byle okazji różne opowieści, czasami nudnawe, czasami dość zajmujące.

Uwielbiał odbrać wódka nas zawsze jakiś męt, niekoniecznie muzyczny.

Na koncercie tego dnia był biskup i dwóch księży, którzy przyszli później pogratulować Teodorowi i dowiedzieć się, czy nie zechciałby zagrać barokowej muzyki w kościele.

Teodor był uprzedzająco grzeczny, biskup pocałował w pierścień, a koncert obiecał za darmo, chociaż często targował się o stawki dla nas.

- Każdy ma swoją słabiznę.

Nawet Teoś - mówił Stefan.

- On głęboko wierzy w bezinteresowność kościelnych hierarchów.

Wichpatriotyzm.

- Nie jest w tym odosobniony - powiedział Darek, który w każdą niedzielę chodził do kościoła z całą rodziną i nie krył się ze swoją wiarą.

Gdzie szukać patriotyzmu, jeżeli nie tam?

- No wiesz, nie chcę cię urazić, Dareczku.

Lubię cię takiego, jakim jesteś, ale pomyśl: czyje interesy reprezentuje taki biskup?

- Bo ja wiem?

Nasze, Kościoła, Polski.

- No właśnie.

Kościoła!

To na pewno.

Reprezentuje się interesy tego, komu się podlega.

A przed kim odpowiada biskup?

- No, napewno nie przed urzędem wojewódzkim!

- Tu masz rację.

Tylko nie do końca.

On ma swojego, kościelnego zwierzchnika, który w tym urzędzie.

No, może lepiej to zostawmy.

Czyli zwierzchnika, arcybiskupa.

Tamten kardynała.

A nad nimi papież.

Teraz to Polak, ale to przypadek.

Zresztą Wojtyła, zostając papieżem, przestał być Polakiem.

185.

- To niemożliwe - wtrąciłem się.

-Jak się kimś jest, to niemożnatak po prostu.

- Można, Tomeczku, można.

To jest taka funkcja, że nie ma innej wyjścia.

Jak rolnik, co zasiał ogromne pole.

Dbao całe łany, a nie tylko ten zagon, który ma koło chałupy.

Albobydyrgent.

Jak staje przed wielką orkiestrą symfoniczną, to nie może bawić się w sprawdzanie, co gra

Stasiu w piątym pulpicie drugich skrzypiec.

On ma inne zadanie.

Całość.

Ogarnąć całość.

Nawet nie wiecie, jakie to trudne.

W orkiestrze, ale też w życiu.

Wiedzieć, co ważne, co warte poświęceń, ryzyka.

Jasam.

Nie, jestem zbyt trzeźwy, aby wam to opowiedzieć.

Zresztą poco?

- Stefan nagle zamilkł, zamyślił się nad pytaniem, którego jednak nie zadał.

Zdarzały mu się ostatnio takie chwile, gdy nagle milknął, patrzył w jeden punkt, wyłączył się nawet na kilka minut, po czym wracał do przerwanej rozmowy, jakby przerwy wcale nie było.

A czasami już się przeczały wieczór nie odzywał.

Godzina zrobiła się późna, popatrzyliśmy z Darkiem na siebie i zaczęliśmy szykować się do spania, bo dzień był ciężki, najpierw przejazd autokarem, próba koncertu, a nazajutrz, przed powrotem do domu, Teodor zapowiedział kolejną próbę, staraliśmy się bowiem wykorzystać każdą chwilę, jaka została nam jeszcze do konkursu.

Czasu nie było tak wiele, trzy miesiące za ledwie, a po drodze jeszcze koniec roku, egzaminy na studia, no i każdemu marzyły się chociaż krótkie wakacje.

Zamierzaliśmy dziesięcioosobową paczką wybrać się na Mazury.

Ela uzyskała wstępną zgodę rodziców na taką eskapadę; Darek miał być kierownikiem wyprawy, jako najbardziej doświadczony żeglarz.

Niezamierzaliśmy obijać się pod namiotami, tylko ostro pływać w wynajmowanych łodziach.

Pieniądze na ten cel zbieraliśmy między innymi z gazy za koncerty orkiestry, dlatego perspektywa darmowego grania nikogo nie ucieszyła.

Ale nie zamierzaliśmy protestować.

Teodor miał u nas posłuch absolutny!

Kiedy już byliśmy w łóżkach, Stefan znowu zaczął mówić:

186

- Jestem świnia.

Nie ma dla mnie nic świętego.

To straszne tak żyć.

Nawet słowem nie powinienem się do was odezwać.

Niszczę wszystko, czego dotknę.

I to bez zamieniania w złoto.

- Panie Stefanie, więcej optymizmu!

- Wygramy konkurs i zostaniemy zawodową orkiestrą - powiedziałem.

- A pan będzie naszym basem i impresariem.

- Tak, tak.

Basem.

Albo basetlą.

- Znapan tylu ludzi.

-Nikogo nie znam.

Nikt nie chce mnie znać.

Tylko Teoś.

Aj,śpijcie, chłopcy.

Nie przejmujcie się mną.

Wyszedł z pokoju, zabierając swoją piersiówkę.

Ale mnie odechciało się spać.

Chwilę gadałem z Darkiem, szybkojednak się zorientowałem, że onjuż prawie zasypia.

Ubrałem się i wyszedłem.

Polazłem pod pokój dziewczyn.

Mieszkaływe trzy: Ela, Ewa i Danusia Majer.

Najbardziejliczyłem natę ostatnią i niezawiodłem się -jej donośny głos z łatwością pokonywał barierę drzwi.

Zapukałem.

- Proszę, otwarte - odpowiedziała Ewa.

-To ja.

Nie przeszkadzam?

Nieśpicie jeszcze?

- Wejdz.

Coś się stało?

- spytała Ela.

- Nic takiego.

- Wszystkie trzy siedziały na łóżkach w piżamach.

- Pić mi się strasznie chce, a Darek już śpi.

Macie może herbatę?

Perspektywą mojej śmierci z pragnienia najbardziej przejęła się Ewa.

Włożyła grzałkę do metalowego garnuszka, w którym ja przyniosłem wodę, wyjęła herbatę, cukier dwa kubeczki.

Dopiero gdy popokoju rozniósł się zapach naparuu, pozostałe dziewczyny też wychynęły z łóżek.

Ela piła na spółkę ze mną, a Danusia przyłączyła się do Ewy.

Pojawiły się też delicje i markizy.

- No to powiedz- spytała między kolejnymi siorbnięciami Danusia

-co cię do nas tak naprawdę przygnało?

- Mamy pokój z Gromnym, a on ostatnio strasznie marudzi.

Gadał, gadał, aż mi się spać odechciało.

187.

- On w ogóle jest dziwny facet.

Ja podejrzewam -Danusia oddała kubeczek Ewie, bo gdy mówiła, zawsze potrzebowała obu wolnych rąk - że on przeżywa jakiś zawód miłosny.

Albo się kocha bez wzajemności, albo go dziewczyna rzuciła.

- Z nim w ogóle jest coś nie tak- wtrąciła Ewa.

- Nigdy się nie uśmiechnie, zawsze patrzy wilkiem.

- Nie podobaci się, bo on jedyny nie daje się uwieść!

- zaśmiała się Ela.

- E tam!

Ja przecież nikogo nie uwodzę.

- Tere-fere.

A Kasprzyckiego kto sobie okręca dookoła palca?

- Teodor ma żonę i dziecko.

To, że go lubię, nie znaczy zaraz.

- Ale obojętność Gromnego wpienia cię, przyznaj się?

- Danusia nie ustępowała; może z zazdrości, bo na jej myślenie ogonki, płaskie piersi i wąską twarz ze zbyt wystającymi zębami jakoś mało kto się łakomił.

- Ani mnie ziębi, ani parzy.

Z nim jest coś nie tak - powtórzyła.

- Poza tym strasznie pije.

Jak kołonięgo przechodzę- Ela aż się otrząsnęła - towarzyszę mam ochotę zatkać nos.

- Ale gra świetnie - wtrąciłem.

- A jak na razie to jest dla nas najważniejsze.

- A ja wam mówię, że go jakaś rzuciła albo go nie chce.

Z miesiącem temu widziałam, jak wsiadał do samochodu z takim jednym facetem, coto zupełnie wyglądał jak ksiądz.

No wiecie, włosy i to coś podszyją.

W samochodzie siedziała już jakaś kobieta, i to elegancka bardzo.

On usiadł z tyłu, razem z nią.

Znaczy, Gromny.

I się do niej pochylił, i jakby się pocałowali, chociaż tak raczej sztywno jakoś.

Zupełnie jakby ona go już nie chciała.

- Dlaczego wyglądał jak ksiądz?

- spytałem, przypominając sobie nagle Księżyka.

- No, przecież mówię.

Jak się nazywa takie uczesanie, takie z kółkiem na głowie?

- Tonsura - odpowiedziała Ela.

- A może był tylko łysawy?

188

- Łysy to jest Gromny.

A tamten miał jeszcze taką jakby koszulę czarną z tym czymś białym pod szyją.

- Z koloratką?

- znów uzupełniła Ela, odrobinę zdziwiona.

-Więc może jednak to był jakiś ksiądz?

- Taki on ksiądz jak ja zakonnica!

Więc tę taką puścił, że dodzisiaj pąsowieję na samo wspomnienie.

Tylko ubrany był tak jakby po księdzowemu.

- Miesiąc temu, mówisz?

- zapytałem niby obojętnie.

- Będzie z miesiąc.

O, teraz pamiętam.

Następnego dnia była taaferaw filharmonii.

Co to stradivariusa ukradli.

- Ata kobieta w samochodzie?

-Jej nie widziałam, bo od razu odjechali.

Ale Gromny się do niej pochylał.

Mówię wam, zupełnie jakby chciał ją pocałować, a ona.

- I natej podstawie wysnułaś opowieść o złamanym sercu Gromnego?

- Ewa uśmiechała się z pobłażaniem.

- A dlaczego nie?

-A ten facet, ten w czarnej koszuli -zapytałem -jakie on miał oczy?

- Jak to: jakie?

Normalne.

Pewnie niebieskie.

Albo czarne.

Aż takmu się nie przyjrzałam.

Noi za daleko było.

A co, znasz kogoś takiego?

- Nie, nie.

Tak tylko pytam.

W tej chwili zwątpiłem, czy to mógłbyć Księżyk, bo jego złowieszczopłomienne spojrzenie prześladowało mnie do dziś, takna jawie, jak weśnie.

Nie wydawało mi się zatem możliwe, aby ktokolwiek, kto zobaczyłgo chociaż raz, nie zapamiętał tych gorejącycho krucieństwem żreniec!

Ale zaraz przypomniałem sobie scenę z Grand Hotelu.

Relacja Danusi potwierdzała jednak kontakty Gromnego z Księżykiem.

Tylko:

jakie interesy mogłyby łączyć kontrabasistę z tym typem?

Bo w jego zawodzie miłośny jakoś nie potrafięmu wierzyć.

Podpatrzona przez Danusie kobieta w samochodzie mogła być po prostu.

Tak jak wtedy, w Grand Hotelu.

To jasne.

Księżyk naraił mu "dziewczynkę", a Gromny potem przyszedł się rozliczyć.

Pewnie stąd torozanieleniena schodach!

Nagle wpadło mi do głowy, że przecież taklientką

189.

mogła być Natałka.

A nawet jeśli nie, to może jakaś inna małolata, Nabrałem pewności, że w samochodzie siedziała zwykła "kurewka", bo przecież elegancji niektórym z nich trudno odmówić.

A że naiwna Danusia nierozpoznała profesjonalistki?

No cóż, dla Danusi sensacją mógłbyć nawet pies oblewający rabatkę!

W czasie gdy ja pogrążyłem się w rozmyślaniach, dziewczyny przeszły do omawiania swoich fryzur i do planowanych wizyt u fryzjera;

;dlatego, dokończywszy herbatę, pożegnałem się i wyszedłem na korytarz.

Teraz już ziewałem nacałego - wystarczyło przez kilka minut posłuchać o babskich problemach, aby z zasnieniem nie mieć kłopotu;

Po drodze mijalem pokój Kasprzyckiego.

W tym starym dworku rządziły dość dziwne akustyczne prawa, bo nagle, na środku korytarza, usłyszałem wcale niepodniesiony głos Teodora: :

- ...

iwcale niechodzio to, czy ja tobędę tolerował, czynie.

Dajesz przykładniemalże degeneracji!

Chociaż na próbach, na przerwach, mógłbyś się powstrzymać.

Nie byłem w stanie ani rozpoznać odpowiadającego głosu, ani też zrozumieć wypowiedzianych słów.

Słyszałem tylko buczenie.

- Zawsze tak samo marudzisz.

Lepiej wziąłbyś się w garść, zamiast tak się nadsobą rozczulać.

Ludzie przecież żyją gorszymi.

przypadłościami.

A ty.

- Znowu odpowiedź do mnie nie dotarła.

- To co z tego?

- Wiem, że celibat nie dla ciebie ani mnicha w niczym nie przypominasz.

'Żadne odkrycie.

Ja cię tylko proszę, żebyś przy dzieciakach nie obnosił się z tym swoim tumiwisizmem!

Bo chyba tu, w orkiestrze.

Odpowiedź była długa, ale nie udało mi się nic zrozumieć.

W ten sposób Kasprzycki mógł rozmawiać tylko z Gromnym.

Zmywałmu głowę, jak to ostatnio często czynił, za nadmierne pociąganie z piersióweczki.

Nie mogłem jednak skojarzyć, o co mu jeszcze chodziło.

- ...

to całe szczęście, bo tego bymnie mógł tolerować.

Słuchaj, Stefan, czy ty napewno nie chcesz mi czegoś powiedzieć?

Mam wrażenie, że nosisz ostatnio w sobie jakąś tajemnicę, jakiś

sekret.

Że od pewnego czasu.

190

Urwało się.

Pewnie Teodor przeszedł w innemiejsce i stamtąd już jego głos na korytarznie docierał.

Nie marzyłem o spotkaniu z Gromnym pod drzwiami pokoju Kasprzyckiego, odszedłem więc stamtąd.

Dręczyło mnie trochę, że niwieszystkie pretensje Teodora rozumiałem.

I znowu senność ustąpiła.

Darek chrapał, a ja leżałem i przewracałem się boku na bok.
Pogłowie krążyła mi opowieść Danusi.
Gromny, Księżyk, piersióweczki, małeletnie dziwki hotelowe i
jeszczeto coś tajemniczego, o czym mówił Teodor.
O co chodziło?
Czy na pewno tylko tego typu kontakt mógł mieć muzyk z filharmonii z tym księciem
półświatka?
Bo nie miałem wątpliwości, że Księżyk w przestępczym rzemiośle jest daleko bardziej biegły i
bezwzględny od Gerarda.
I wyżej postawiony.
Był chyba pierwszą osobą, na którą Gerard w mojej obecności patrzył
podziwem, szacunkiem,
strachem.
Czyli.
nawet on, nawet wszechwładny Dżery możesz kogoś bać?
Darek przewrócił się na bok i przestał chrapać.
Zacisnąłem poduszkę na głowie, skuliłem się pod kołdrą i
też w końcu zasnąłem.
Śniłem się koncert.
Piękna, ogromna sala.
Kryształowe żyrandole, wytworne kreacje kobiet, eleganckie stroje panów.
Gram, kończy się strona, trzeba ją przewrócić.
Wtedy spostrzegam, że przy pulpicie siedzi mną Gerard, a dyryguje Księżyk.
Jego spojrzenie niemal przepala mimózg!
Mierzy we mnie batutą, oskarżająco i bezwzględnie.
W przerażeniu i w panice zrywam się wybiegam z sali.
W ogromnym holu odgłosy koncertu ledwo dochodzą do mych uszu.
Gdzieś pod ścianą dostrzegam sylwetkę szatniarki.
Podchodzę, podaję numerki.
Ona odwraca się do mnie powoli, jak w filmowym horrorze.
Poznaję jej twarz!
To dziewczyna z parku!
Patrzy na numerki, który jej dałem.
Ja również spuszcza wzrok.
Na metalowym krążku widnieje umęczona, zaśniedziała twarz Jezusa.
Dziewczyna podnosi go do ust.
połyka ją khostię.
Obudziłem się, cały spocony i przerażony, z poduszką przyciśniętą do twarzy.
Z trudem łapałem oddech, uspokajałem się.
Dopiero po dłuższej chwili skonstatowałem, że gdy śniłem swój koszmar,

musiał wrócić Gromny, bo do regularnego mocnego chrapania Darkadołączył niespokojny i poświstujący odgłos wydawany przez kontrabasistę.

- Kiepsko wyspałem się tejnocy.

Następnego dnia, po próbie, wróciliśmy autokarempod szkołę.

Było późne popołudnie.

Elazabrała się z bratem Ewy, a ja smętniewlokłem się do tramwaju.

W jednej zbramzamajaczyła misylwetkaGerarda.

Przyspieszyłem kroku.

- Babol, trefisz?

Stanąłem.

Nie było sensu udawać.

Aniuciekać, szczególnie zeskrzypcami pod pachą itorbą podróżną na ramieniu.

Serce waliło miz emocji.

Czyżby nocnykoszmar miał się spełnić?

- Co chcesz?

-Beznerw.

Pogadamy tylko, no nie?

Zapraszam cię, Babol, nalody.

Tu jest cukiernia.

Jastawiam.

Poszedłem grzecznie zanim.

Usiedliśmy.

Zamówił dwie melby i patrzył na mnie uważnie, bezsłowa.

Czułem się nieswojo.

Ani przez chwilę nie pomyślałem, że tym razem sprawa dotyczyć będzie koni.

I to nawet nie dlatego, że odostatniego obstawiania minął ponad rok.

To spojrzenie.

Zimne, okrutne, któremunieumiałem się przeciwstawić, i wciąż spuszczałemwzrok na podłogę.

Gerard w naszej szkole z trudem doczekał końca roku.

Na ogólnopolskich przesłuchaniach zawiódł i prorektor stracił dla niego zainteresowanie.

Z przedmiotów ogólnokształcących miał chybasześć luf, chociaż nie było między nimi, zgodnie z obietnicą Smuszenia, niedostatecznej oceny z biologii.

Gerard nie bardzo się tym wszystkim przejął.

Po prostu w pewnym momencie, tuż po egzaminie z puzonu (zdany tylko na słabą czwórkę), przestał pojawiać się w szkole.

To było rok temu.

A teraz nóż siedział przede mną; dwudziestoletni mężczyzna o gwałtownych chruchach i niechlujnym zaroście, o podłużnej złej twa-

192

rzy. W oczach przyczajenie, coś rozważał.

Mnie zaś nocny sen odświeżył wspomnienie koszmarnych dni, jakie przeżyłem po gwałceniu dziewczynie w parku.

Mama wtedy chorowała, trzeba było przyniej czuwać, więc pod tym pretekstem niechodziłem przez tydzień do szkoły.

Pomagałem w ten sposób Paulinie, która miała na uczelni ważne egzaminy.

A kiedy zasypiałem, najczęściej widziałem właśnie srebrnego Jezuska, jak kołysze się, tańczy na dziewczęcej szyi.

Twarzofiary zmieniała się - raz to była matka, kiedy indziej Paulina, aż kiedyś to mnie gwałcono, to na mojej szyi chwiał się uwięziony w tanim metalu Chrystus.
I płakał nade mną, tchórzem, śmierdzielemi świnia.

Potygodniu mamie było lepiej, ja wróciłem doszkoły.

Wkrótce pojechaliśmy z orkiestrą na Litwę.

Koncerty, spotkania z Polakami, którzy bali się otwarcie przyznać, że się nimi czują, ale i nie potrafili ukryć wzruszenia, gdy przychodzili nam pogratulować, porozmawiać, rozpytać, jak też się w tej Polsce żyje.

Nie umieli też powstrzymać się od opowiadania o własnych losach.

Te nowe wrażenia, moc pozamuzycznych wzruszeń, wstrząsające historie o złamanym życiu, straconych nadziejach oddaliły i rozmyślne koszmary.

Aż do dzisiejszej nocy.

Gerard nigdy nawet nie wspomniał o całym zdarzeniu, jakby nic się nie stało.

Aż do tego dnia.

Nie wiem dlaczego, ale byłem wtedy pewien, od jego pierwszego słowa, spojrzenia, że o to właśnie chodzi.

Przecucie?

Intuicja tchórze?

- Pogadamy.

Mam do ciebie interes.

Wyświadczysz nam przysługę, a i sam na tym zarobisz.

- Nie potrzebuję.

- Cicho bądź, Babol.

Słuchaj.

Tym razem to nie żarty.

Nieładne koniki.

Teraz będziesz kurierem.

Dostaniesz ważną przesyłkę.

Wywieziesz ją za granicę.

Do Berlina.

Zaile to?

Za trzy miesiące?

193.

- O co ci chodzi?

- Alepo skórze przeszedł mi dreszcz przerażenia, bo od razu wiedziałem, domyśliłem się, co to za zlecenie.

- Jedziecie na konkurs, no nie?

Ja mam dobre informacje.

Samjestem prawie muzykiem.

Wciąż nieźle gram.

Lubięto, dlatego mam dla ciebie tylesympatii.

Dlatego dam ci zarobić.

Jedna fuchai dziesięćtysięcy dolarów.

Masz fart.

- Gerard, ja.

-I masz pozdrowienia od Księżyka.

To teraz ważna figura.

Pamięta cię.

Pewnie ze zdjęcia.

Ściął mnie z nóg.

Czułem paniczny strach, jak złapane w pułapkęzwierzę, którewidzi nadchodzących bezpośpiechu myśliwych, a niemoże uciec.

- Raz oglądaliśmy sobie twoje zdjęcia,no nie, a Księżyk mówi:

"Pamiętam go, to dupek,ale dam mu szansę.

Dam mu szansę";

Słyszysz, Babol?

- Ja nie chcę.

Ja..

- I maszszansę.

Nie odrzucaj jej tak pochopnie.

Mówię ci.

Pamiętaj o zdjęciach.

- Patrzył mi w oczy.

Szukałem tejduszy, tej odrobiny człowieczeństwa, którądojrzałem w nim, gdy stał nad Ewą. Alemusiałem spuścić wzrok, nie wytrzymując okrucieństwa i złej radościw jego spojrzeniu.

- Twoje zadanie będzie proste.

Dostaniesz na tydzień przed wyjazdem skrzypce, no nie, i zabierzesz je do Berlina.

Tam oddasz je.

Zobaczymyjeszcze komu.

Koniec.

Bułka z masłem;

Łatwizna.

I zarobisz dziesięć tysięcydolarów.

- Co to.

za..

skrzypce?

- spytałem, chociażdobrze wiedziałem;

- A ja cię miałem za inteligenta, Babol.

Nie wiesz?

- Przecież to bzdura.

Posłuchaj.

Ja będę musiał na tych skrzypcach grać do wyjazdu.

Będziemy mielipróby, wszyscy się zorientują, że.

- Nikt się nie zorientuje.

Zamknij się, Babol.

Stradivariusczyńie, sam nie gra.

Jak nie będziesz chciał, nikt się nie zorientuje.

- Toabsurd.

Kasprzycki będzie wiedział odpierwszego dźwięku.

194

- Babol, mynie jesteśmy amatorami.

To sprawa zawodowców.

Ty masz wziąć skrzypce, no nie, przewieźcie przez granicę i oddać.

Koniec.

- Ale wszyscy.

-Gówno wszyscy.

Nikt się nie pokapuje.

Zapodasz bajeczkę, zeskrzypce kupiłeś na bazarze, wyremontowałeś i teraz świetnie grają.

Każdy pocmoka, pokręci głową i już.

Będą ci gratulować dobrego interesu.

Wyjdiesz na mądrą, Babol.

- Ale Kasprzycki.

-Słuchaj, Babol.

Nie mam zamiaru z tobą dyskutować.

Zawsze jest ryzyko, no nie?

I tyje poniesiesz,

- Ani mi się śni.

To absurd!

Siedział przede mną, spokojny, uśmiechnięty.

Nic a nic nie przejął się mymi argumentami.

Popatrzyła mnie, pokręcił głową.

- Babol, raz w życiu wszystko może się zdarzyć.

Więc i ja pogadam z tobą tak, jakbyś mózg posiadał.

Słuchaj imyśl.

Albo odpowiedzmi najpierw na takie pytanie: co by się stało, gdybym ja trafił do więzienia?

- Niewiem, o co ci chodzi.

-No, pomyśl sobie.

Idę do więzienia.

Na trzy, cztery lata.

Albo napięć.

Krzywdę mam?

- Słuchaj, Gerard.

Nie jesteśmy już dziećmi.

A ty mówisz domnie.

- A teraz z innej beczki.

Coby się stało, gdybyś to ty trafił do więzienia?

Na pół roku, rok, no nie, za jakiś drobny współudział, coś takiego?

- Oco ci chodzi?

-No, odpowiedz.

Bądź raz szczery, Babol.

Odpowiedz.

Co się zemną dzieje?

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami.
- Pewnie nic.
- Myślisz.
Napawasz mnie otuchą.
Załatwimy sprawę.
No, a jakty?
- Coja?
;- Co się z tobą dziejew pierdlu?
195.

- Gerard, słuchaj.

-No to cipowiem.

Jesteś ładny chłopak, no nie?

I mięczak.

Przez pierwsze dwa tygodnie miałbyś się nieźle.

Dymałby cię tyłkoszef.

Ażbyś mu się znudził.

Słodki jesteś, co?

- zaśmiał się oblesnie.

-No to może i trzy tygodnieby cię dymał.

Potem by mu się znudziło.

Sądniejsiod ciebie.

Później byś się dostał jego przybocznym.

To różnie, no nie - jestich trzech, czterech.

Tylko nie sątacydelikatnijak szef.

Ale wciąż miałbyś jak w niebie.

Miesiąc, dwa?

Ty masz szczęście, nonie, fartowny jesteś, to niech będzie - trzy.

A co dalej?

Maszjakiśpomysł?

- Nie zalewaj, Gerard.

- Staralem się przybrać pewną siebie minę, aleręce mi drżały.

-Co ty snujesz?

- Uświadamiam ci.

Pamiętaj!

Pierwszy raz w życiu jestem z tobąszczyry.

Wysil się, myśl.

Jesteś jużw pierdlucztery miesiące, no nie, na dupie nie możesz usiąść od tygodnia.

A teraz dopiero idzie najgorsze.

Zostawiają cię samego.

Może ja tam będę, może kto inny.

Aleztakimi dupkami jakty to robi się tak: podprysznicembiorą cię podpachy, mordę zatykają ręcznikami.

Nikt nie lubi słuchać wrzasków.

I pucują.

Aż im się znudzi.

Ilu tam może ich być?

Siedmiu?

Ośmiu?

Przecież to wytrzymasz, no nie?

Po tychparu miesiącachmasz jużwprawę.

Rozluźniasz zwieracz, luzujesz się, wyłączasz.

Nawet dziesięciu wytrzymasz, no nie?

Może nawet o własnych siłachdojdiesz do celi?

Możliwe.

A w celi?

No, zależy, gdzie trafisz.

Piotrków, Siedlce.

Nie wiem.

W niektórych cele są sześciuosobowe.
Niech będzie, żenadal masz szczęście.
Następnych pięciu rżnie cię w celi.
Tu jużtrudniej.
Poślizgu nie ma.
Ale wytrzymasz, no nie?
A następnego dnia?
Też.
Później zaczniesz srać pod siebie.
Zabiorą cię do szpitala.
Zszyją co trzeba, no nie, odpoczniesz, wydobrejesz.
I wrócisz.
Najpierw pod prysznic.
Pucowanie.
Potem cела.
Rżnięcie.
Może zaczniesz się stawiać?
Może.
Ale nie radzę ci.

- Gerard, o czym ty gadasz?

-Tę dziewczynę pamiętasz?

196

A jednak!

Nie pocieszyło mnie, że od początku wiedziałem, o comu chodzi.
Jedynie udawałem przed samym sobą naiwnego.

Te zdjęcia.

Polaroid.

Tylko skąd oni już wtedy.

- Księżyka pamiętasz?

Nie będę cię obrażał, pytając, czy mnie pamiętasz.

No, to patrz.

Ty idziesz.

Gdzie ty idziesz?

Na milicję.

Niechbędzie, no nie, znajdziesz uczciwego glineę.

Uwierzy ci.

I co?

Przesłuchajamnie.

Księżyka nawet nie znajdą, bo inie wiedzą, kogo szukać.

Ty sam nie wiesz.

Mają mnie.

Wiesz, gdzie ja wtedy byłem?

Jakpodpierdzielano stradivariususa, siedziałem w kiciu.

W pierdlu.

Mogąmi nadmuchać.

A tydzień później przychodzą do ciebie.

Mają zdjęcia, no nie, mają moje zeznania.

Dziewczyny nie mają - gryzie ziemię.

- Co?

-Nie wiedziałeś?

Myśmy się z Księżym jeszcze zdrowo pobawili.
Potem wpakowaliśmy ją w krzaki.
Przestała, głupia, oddychać.
W nocy przyjechałem z chłopakami, no nie, i wywieźliśmy ją na wysypisko.
Znaleźli ją dopiero po miesiącu.
Dlatego nic nie słyszałeś.
Pojechaliście z tą waszą orkiestrą do Wilna.
Pamiętasz?
Nie byłem w stanie się ruszyć, odezwać.
Obraz tandetnego Jezusa kana szyi gwałconej ofiary, obraz, który śnił mi się przez wiele nocy, miałem znów przed oczami.
ONA NIE ŻYŁA.
Niemogłem w to uwierzyć.
Przyczyniłem się do śmierci drugiego człowieka.
I teraz będę za to płacił.
Tak albo inaczej.
Pomyślałem w tamtej chwili - to może lepiej iść do więzienia, odpokutować za swoją przynajmniej?
Tam na pewno nie jest tak, jak w opowieści Gerarda.
Ale jeżeli nawet jest dziesięć razy lepiej?
To więzienie.
Pełne dzikich, strasznych ludzi.
Miejsce dla takich jak Gerard, jak Księżyk.
Ja tam zginę!
I to jeszcze szybciej, niż to Gerard mi obrazowo przedstawił.
Drżałem z obrzydzenia do samego siebie, bo wiedziałem, że w końcu tak strach zwycięży we mnie wszystkie inne uczucia, postanowienia.

On też wiedział.

- Widzę, że pamiętasz.

Myślisz.

Baból, ty się boisz!

To dobry znak.

Podziwiam cię, pierwszy raz w życiu.

Nareszcie wiesz, czego się bać.

Apopatrz, może się zdarzyć, no nie, że nasz plan nie wypali.

Może takbyć.

I wtedy też idziesz do pierdła.

Może nawet razem zemną.

Możliwe.

Ale jesteście swój człowiek.

Masz opiekę, no nie?

Moją.

A ja mam opiekę Księżyka.

Kto nas tknie - trup.

I to bez względu na to, gdzie trafisz.

No to co?

Baból, czy ty masz się nad czym zastanawiać?

Patrzyła mnieważnie, jakby ciekaw mojej odpowiedzi.

Do mniedocierała perfidna logika ich rozumowania.

Tylko podejmując się zadania, wywiązując się z niego jak najlepiej, uniknę odpowiedzialności za tamtą dziewczynę.

- Pod jednym warunkiem.

- Baból, nie podskakuj!

- Ale śmiał się, czując swoje zwycięstwo.

i;- Ten, kto odbierze w Berlinie skrzypce, oddami obydwaj zdjęcia.

Inaczej.

- Brawo!

Dobrze!

Będą z ciebie ludzie!

Możemy się tak mówić.

Teraz słuchaj.

Ja nie jestem szefem tej sprawy.

Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów.

Skontaktuję się z tobą zaraz po wakacjach.

Masz być wtedy na miejscu.

Nieradzę nawalić, Baból.

Gra?

- Będę na miejscu od końca sierpnia.

- To starczy.

Dobre były lody- zaśmiała się, patrząc na moją nietkniętą porcję.

;

- Odpieprz się.

- Grzeczniej, Baból.

Grzeczniej.

- Całuj mnie w dupę.

Teraz ty mnie potrzebujesz.

- No, pięknie!

Wiesz co?

Księżyk raz cię widział i poznał się na tobie.

Mówi, no nie, że ty umiesz być ostry.

I proszę- całuj mnie w dupę!

Wspaniale, Babol.

Wspaniale.

Żartował sobie, kpił, a mnie zbierało się na płacz.

Ostatkiem sił powstrzymywałem łzy.

Całe szczęście poszedł sobie zaraz, zadowolony z siebie.

198

Zostawił mi rachunek do zapłacenia.

Za dwiemielby.

Do domu dowlokłem się raczej, niż doszedłem.

Atam czekał mnie piekło.

Stan mamy pogorszył się znacznie od wczoraj rana, kiedy wyjeżdżałem na koncert do Łomży.

Paulina wzywała dwa razy pogotowie, drugą karetkę widziałem, wysiadając z tramwaju.

Lekarz dał zastrzyk, przepisał jakiś lek, po którym siostra wysłała do apteki Michała, i kazał znowu wezwać pogotowie, gdyby zrobiło się gorzej.

Nikt nie wiedział, co mamie dolega.

Miała kłopoty z krążeniem. Ale miewała też straszne bóle w jelitach, wysadzało jej wątrobę, narzekała na głowę.

Środki przeciwbólowe nic niepomagały.

Potrafiła przezcałą noc siedzieć na łóżku i zawodzić, płakać.

Byliśmy, ja i Paulina, na granicy wytrzymałości nerwowej.

Trochę odpoczywaliśmy, kiedy przyjeżdżała ciotka Julka.

Nie mogła jednak siedzieć u nas cały czas.

Każdy lekarz mówił co innego i leczył mamę na co innego.

A ona czepiała się za każdym razem nowej nadziei, stosowała zapisane leki przez kilka dni rzeczywiście odczuwała poprawę.

Apóźniej wszystko wracało do normy i znów jęczała po nocach, czasami nawet krzyczała.

Mateusz ożenił się w Warszawie, czekali z żoną na pierwsze dziecko.

Nami przestał się interesować, nie dzwonił, nie przyjeżdżał.

Michał miał piętnaście lat, gryzł się stanem mamy na swój sposób, martwił się, ale mógł pomóc, tylko robiąc zakupy, stojąc w kolejce u rzeźnika, w aptecce, w piekarni.

Reszta była na mojej i Pauliny głowie.

Więcej na Pauliny.

Na pewno.

Wiedząc, że i tak tej nocy nie zasnę, ofiarowałem się czuwać przy łóżku mamy.

Paulina była zupełnie nieprzytomna, poszła natychmiast spać.

Po godzinie wrócił Michał z apteki.

Dostał tylko jeden z zapisanych leków, drugiego nie było.

Mama wzięła podwójną dawkę i od razu poczuła się lepiej.

Kazała nam iść do kuchni, zjeść coś, a dla siebie zażądała nawet rosołu.

To był dobry znak, bo normalnie musieliśmy ją długo przekonywać do każdej łyżki stawy.

Zjedliśmy z Michałem kolację, podgrzewając w tym czasie rosół dla mamy.

Zamarudziliśmy trochę, omawiając szansę Polaków przed

199.

ważnym meczem w mistrzostwach.

Nie byłem nabieżąco, nie miałem czasu oglądać transmisji, toteż Michał opowiedział mi co nieco, bopasjonował się piłką nożną, grał nawet w drużynie juniorów młodszych.

Mamania odzywała się w tym czasie, nie ponaglała mnie, więc minęło pół godziny, zanim zaniósłem jej ten rosół.

Spała.

Oddychała ciężko, nieregularnie, ale spała bez środków nasennych, co ostatnio już się prawie nie zdarzało.

Patrzyłem na jej twarz, tak ostatnio postarzała, zmęczona, naznaczona piętnem bólu.

Po spotkaniu z Gerardem w tramwaju, w drodze do domu łkałem łzy i zastanawiałem się, skąd uzyskać pomoc.

Pomyślałem o mamie, miałem nadzieję, że chociaż tym razem mnie nie zawiedzie.

Ale teraz, patrząc na jej zmęczoną twarz, zrozumiałem, jaka to niedorzeczność.

Paulina też miała dość własnych kłopotów.

Zostawił ją właśnie chłopak, z którym była wiele lat.

Zakochała się w innej.

A ona, zmuszona opiekować się chorą matką, nie mogła nawet walczyć, bo brakowało jej czasu.

Musiała się uczyć, sprzątać mieszkanie, gotować dla dwóch braci, pracować, prasować, doglądać mamy.

Była zmęczona i załamana.

Nie mogłem jej dokładać własnych zgrzyzotów.

Myślałem o Kasprzyckim, ale odrzuciłem ten pomysł, bo nie potrafiłbym przyznać się przed nim do udziału w czymś takim jak gwałt.

A i pewien byłem rady, jaką bym usłyszał: "Idź z tym na milicję".

Gdyby wtedy była u nas ciocia Julcia.

Mama ocknęła się, popatrzyła na mnie całkiem przytomnie.

- Masz ten rosół?

Czekałam i czekałam.

Zapomniałeś?

- Nie.

Podgrzewałem.

O, a teraz jest znowu zimny.

Zaraz.

- Nie chcę już.

Zawsze tak jest.

Nic nie mam na czas.

Nie jestem już głodna.

Mateusz dzwonił?

Od prawie roku mieliśmy telefon.

Mateusz dzwonił w tym czasie z Warszawy jeden raz, kiedy potrzebował pieniędzy, i matka wysłała mu je następnego dnia.

Nawet nie oddzwonił z podziękowaniem.

- Nie.

Nie dzwonił.

- Biedaczek, taki samotny jest w tej Warszawie.

I ta Żaneta.

Ona niego źle działa.

A teraz jeszcze będą mieli dziecko.

Żal mi go.

200

Żadne zwas nie ma takiego trudnego życia jak on.

Tylepracy, tetreningi.

A teraz chcą mu w klubieodebrać najlepszegomłodzika.

Niby za młodyjest i może go zmarnować.

To ciężkie życie.

Madwadzieścia pięćlat, a już musi być dorosły, odpowiedzialny.

Nie tak jakwy, wiecznedzieciaki.

I szczyt kariery ma już za sobą.

Był tak bliskomedalu naolimpiadzie.

Półsekundy!

Co to jest pół sekundy?

Dlategoteraz go gnębią w klubie.

A tobie się podoba ta Żaneta?

- Mamo, ja.

-Ona goodciąga od rodziny.

Sama jest z Warszawy, to mnie maza nic.

Idź no, sprawdź, czy słuchawka jest dobrze odłożona.

- Jest odłożona.

-Nawettyle nie mozesz dla matki zrobić?

Ty leniu,ty.

- Już idę, mamo, nie denerwuj się.

Wyszedłem do przedpokoju, oparłem się o ścianę.

Znowu chciałomi się płakać.

Jak mogłem pomyśleć, nawet przezchwile, o zwierzeniu się jej ze swoich kłopotów.

Głupiec, Babo!, dupek- powtarzałem szeptem, stukając potylicąw zimną ścianę.

Co robić?

Gdzie szukać pomocy?

Dupek, dupek.

Nie chcę iść dowięzienia!

Uderzyłemgłową tak mocno, że aż pociemniałomi przed oczami.

To nie było wyjście.

Westchnąłem i wróciłem do matki, która już zaczęłamnie wołać.

- Telefon jestw porządku, mamo.

Mateusz pewnienie ma czasu,sama mówiłaś, ten klub, dziecko w drodze.

- On zawsze był taki kochany, taki słodki.

Pamiętam, jak zarazpourodzeniu się Pauliny, miał wtedy roczek i dwa miesiące, podszedłdo mnie, gdy karmiłam jego siostrę, i powiedział "dzidzi, mama".

Jużwtedy był inny niż wszyscy.

A Jurek nigdy niechciał mu nic kupować.

Wszystkomu było za drogie.

A już zarabiałdobrze.

Ale ja miałamjeszcze własne pieniądze i mogłam sama decydować swoim pierworodnym.

Jakjechałam z nimi na spacer, to wszyscy mylili się myśleli,

201.

że to Mateusz jest dziewczynką.

Paulina była taka brzydka!

Tak jak ty.

Mateusz zawsze miał powodzenie u dziewcząt.

A wybrał taką pokrakę.

Podoba ci się ta Żaneta?

Straszna jest.

Zaczął chodzić, jak miał ledwie dziewięć miesięcy!

- Tak.

- Wszyscy znaleźliśmy opowieści mamy o Mateuszkę.

Znaleźliśmy je na pamięć.

- A kiedy miał dwa lata, to zaczął wymawiać "er".

- Chyba kiedy miał trzy?

- Cicho bądź.

Ty byłeś zawsze beksą i mazgajem.

Jak ja miałam dosyć ciąży z tobą.

Wszystko mnie bolało.

A i później płakałeś po nocach bez powodu.

Nieto co Mateusz.

Był silny, zdrowy, piękny.

Dajmi te tabletki.

Znowu mnie boli.

- Lekarz kazał brać po jednej dwa razy dziennie, a ty wzięłaś już.

- Jak ty mówisz do matki?

Co to?

Jestem twoją koleżanką?

Dawajcie leki.

Pomogli mi prawie na dwie godziny.

No, już!

Zrezygnowałem, dałem jej buteleczkę z pigułkami.

Były duże, ja przed połknięciem chyba bym je poprzekrawał.

A mama wysypała narękę trzy i połknęła bez popijania.

Staneły jej w przełyku, zakrztusiła się, oczy wyszły na wierzch.

Podbiegłem doniej, zacząłem uderzać w plecy.

Była wiotka i krucha jak ptak.

I wciąż dławiała się, charczała.

Wpadłem w panikę, zacząłem wrzeszczeć na całe gardło:

- Paulina, pomocy.

Mama się zakrztusiła.

Ratunku!

- i wciąż uderzałem ją w plecy, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

A mama przestała odkasływać, zaczęła charczeć, rzezić.

Wpadła Paulina przez chwilę stała oniemiała, ledwo obudzona, na środku pokoju.

Mama siniała.

Leciała mi przez rękę.

- Do góry ją, za nogi.

Staraliśmy się we dwojkę podnieść ją wystarczająco wysoko, aby przeszkoda wypadła z zablokowanego przełyku, ale nic nie pomagało, mama przestawała oddychać.

Paulina wsadziła jej rękę do gardła, japo trząsałem jej nogami.

W drzwiach do pokoju stanął przerażony Michał.

202

- Leć po Grzędowicza - krzyknąłem do niego.

To był dentysta z naszej klatki.

Michał pobiegł, a my walczyliśmy coraz bardziej bezwładnym ciałem.

Gdy Michał wrócił z dentystą w piżamie, mama nie dawała już znaków życia.

Paulina klęczała nad nią, robiąc co chwila sztuczne oddychanie, a ja stałem, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Po policzkach ciekły mi łzy.

To za dużo - pomyślałem wtedy.

To przesada.

Boże!

Tak niemożna!

Rozdział strachu.

Okazja nadarzyła się, gdy doktor Peryzentowicz wyjechał na dwadzieścia dni do Zakopanego, gdzie miał spotkać się z mistrzem Regobhadem.

Zdecydował się na to, bo jego samopoczucie znów zaczęło przypominać to sprzed terapii.

Safianowa miała jakieś rodzinne święto i w ten sposób została w mieszkaniu sama na sobotę i niedzielę.

Już pierwszego dnia wieczorem otworzyłam szufladę i nie znalazłam w niej pudranka.

Zastanawiałam się, gdzie mogło zostać przeniesione.

A może doktor niszczył wszystkie zdjęcia?

Żal mi było, bo wspomnienie dziewczyny z lampartem wciąż żywo działało na moją wyobraźnię.

Odruchowo zaczęłam przeglądać pozostałe szuflady w szafce i wreszcie natrafiłam na pudełko.

Znów łatwo poradziłam sobie z zamknięciem i oczom moim ukazały się te same zdjęcia.

Lampart był wciąż zaskakująco prawdziwy, odprężenie dziewczyny świetnie uchwycone.

Długo delectowałam się każdym szczegółem.

A później wzięłam do ręki kopertę.

Wydało mi się, że jest trochę inna, nie tak elegancka.

Obracałam ją w palcach, wciąż niepewna, czy powinnam odkrywać nieswoje sekrety.

Ciekawość!

Draży, nie daje spokoju, tłumaczy, usprawiedliwia.

Bo i miałam powód.

Ostatecznie mogłam zostać żoną człowieka, o którym tak niewiele wiedziałam.

Może właśnie w tej kopercie znajdę dodatkowe argumenty - za albo przeciw.

Przyniosłam kupione wcześniej papeterie.

W jednej z nich koperty prawienie różniły się od tamtej.

204

Z głośno bijącym sercem rozciąłam jej brzeg kuchennym nożem.

Fotografie.

Na pierwszej przywiązana do szerokiego łóżka kobieta.

Animłoda, ani stara.

Ciemnowłosa, dość koścista.

Z wygięcia ciała wynikało, że przywiązano ją wbrew jej woli.

Druga fotografia: zakapturzony mężczyzna w masce i czarnym płaszczu leży na tej kobiecie.

Wyraźnie spółkują.

Ona krzyczy.

To gwałt.

Trzecia fotografia: inny mężczyzna, też w kapturze, również zamaskowany, tylko w jaśniejszym płaszczu, robi to samo.

Ofiarą jest spokojna, jej twarz odwrócona w drugą stronę.

Czwarta: zbliżenie kobiecej piersi, w której tkwi zatopiony po rękę sztylet, trzymany przez dwóch ludzi.

Widać tylko ich dłonie.

Piąta: inna kobieta, starsza, grubsza, z długim nosem o dość ciemnej cerze, w tej samej pozycji, na tym samym łóżku.

Leży spokojnie, a lenie patrzy w obiektyw.

Szósta, siódma i ósma: powtórzenia.

Tylko trochę inne maski, najednej z nich napastnikowi zsunął się kaptur, ukazując blond włosy, kręcone jak Murzyna, również tutaj kobieta się pręży, wyraźnie podejmuje próby uwolnienia się.

Na ostatniej fotografii w sercu kobiety tkwi inny sztylet, większy, i zaciskają się na nim trzy dłonie.

Krwież jakby więcej.

Co to miało być?

Przeglądałam zdjęcia jeszcze i jeszcze raz.

Jakiś teatralny spektakl?

Film?

Inscenizacja?

Ale sztylety w ciałach wyglądały zastraszająco prawdziwie.

Przerażenie oczach gwałconych kobiet, wygięte ciała, zsiniałe odwieszonych stopy.

Krew.

I te ręce!

Nagle na którejś z fotografii dostrzegłam pewien drobny szczegół.

Rękaw peleryny jednego z mężczyzn trochę się podwinął i spod niego coś wystawało.

Poszukałam lupy.

Była przy Maserach.

Zapaliłam dodatkową lampkę.

I rozpoznałam: to był mankiet wojskowego mundur z charakterystycznym znacznikiem.

Dwie litery "s".

205.

Zadrzałam.

Skąd u Pawła Peryzentowicza, Żyda, lekarza, takie zdjęcia?
Zacząłam baczniej przyglądać się szczegółom, ale maski i peleryny szczególnie zakrywały
oprawców.

Przestałam wątpić w autentyczność zdjęć.

Przerzucając je, czułam strach i niesmak.

Taki sam jak pny zdjęciu z wydłubanymi oczami.

Dlaczego te zostały zamknięte w kopercie, a tamto mogło być na wierzchu?

Były równie okrutne, niedorzecznej sadystyczne.

Kim jest człowiek, który odczuwa potrzebę przechowywania takich zdjęć?

Zboczeńcem?

Potworem?

A może tylko starszym panem, którego podniecają już wyłącznie dziwności z
pogranicza ludzkich zachowań.

Ekskrementy!

Skąd ten mundur esesmana?

Miałam już schować zdjęcia w wybranej przednio kopercie, gdy nagle coś mi się
przypomniało.

Nie! To niemożliwe!

A może jednak?

.Wcześniej skupiłam się na badaniu detali zezdjęć z męskimi postaciami.

Teraz powróciłam do dwóch fotografii, gdzie na wbitych w serca ofiar sztyletach widać było
dłonie.

Tam gdzie dwie?

Nie.

A tam, gdzie przybywa trzecia dłoń?

Zrobiło mi się zimno i ogarnęło mnie przerażenie.

Na palcu jednego z oprawców widniał okazały sygnet.

Podeszłam z lupą do lampy, ale już wiedziałam.

Tak! To był sygnet doktora Pawła Peryzentowicza!

Kręciłam się w głowie.

Nie mogłam uwierzyć.

Przejrzałam jeszcze raz wszystkie zdjęcia po kolei.

I znalazłam.

Dopiero patrząc przez lupę, zauważyłam na jednym z nich, tym z młodszą kobietą, ten sam
sygnet, który widywałam codziennie na palcu doktora Peryzentowicza!

;

Byłam bliska omdlenia.

Czułam wzbierające mdłości i szybko pobiegłam do łazienki.

Z głową nad sedesem zastanawiałam się, co robić?

Pójść na milicję?

Co za bzdura!

Nie chciałam już nigdy więcej

206

widzieć jego twarzy, a co dopiero zeznawać przeciw niemu.

Zostawały tylko jedno wyjście.

Poszłam prosto do swojego pokoju i zaczęłam się pakować.

Był podziętej, gdy skończyłam i uświadomiłam sobie, że nieposprzątałam zdjęć.

A może je tak zostawić?

Nie będę przynajmniej musiałanicmutłumaczyć.

Zapakowałam je jednak do koperty, zakleiałam.

Zostawiłam znak, zabierając ze sobą cztery zdjęcia dziewczyny z lampartem.

One tam po prostu nie pasowały!

Kiedy doktor odkryje ich brak.

Dobiegała jedenasta, gdy zamknęłam za sobą drzwi i wrzuciłam klucz do środka przez otwór na listy.

Nocnym tramwajem dojechałam do mieszkania pani Owczarkowej.

Spalaj już, długo musiałam pukać, wyjaśniać, kim jestem.

Niepoznała mnie.

Jak się później dowiedziałam, brała na noc silne środki przeciwbólowe i była po prostu otępiała.

Leżałam na polowym łóżku, słuchałam ciężkiego oddechu starej kobiety i patrzyłam w pełen zacieków i plam sufit.

Tak niewiele brakowało, a zaczęłabym dzielić swoje życie ze zbrodniarzem.

Zdegenerowanym, ohydnympotworem, zdolnym do każdego chorego występku.

Fala obrzydzenia i wstępu do samej siebie przechodziła przezemnie wiele razy tej nocy.

Na wspomnienie dotyku jegorak, języka- ciężkiego, obślinionego, zadyszanego monstra, które dotykało moją gocią, a kiedyś mordowało inną kobietę dla podniety?

Rozrywki?

Zabawy?

- trzęsłam się, czułam przykredreszcze, na czoło występował mizimny pot.

Cóż za zdegenerowany umysł tkwił pod czaszką doktora!

Jakim cudem wyszłam z jegorak cała izdrowa?

Czy mnie też planował najedną ze swoich ofiar?

A może to tylko w czasie wojny miał okazję dotakich praktyk?

Na pewno tak.

Ale jak można być tak głupim, aby takie zdjęcia przechowywać jak rodzinną pamiątkę?

Co on z nimi robił?

Oglądał każdej niedzieli?

207.

Znów czułam mdłości, a żołądek był zupełnie pusty.
Gdyzamykałam oczy, widziałam sygnet doktora oraz wykrzywione cierpieniami strachem twarze kobiet ze zdjęć.

Do czego możebyć zdolny człowiek?

Gdy zmęczenie zaczęło brać górę nad przerażeniem, gdy uspokajało się już moje serce, wtedy - jak błyskawica, co rozświetlając ponury krajobraz, ukazuje na wzgórzu powykręcane konary usychającego dębu - w takim olśnieniu ujrzałam coś jeszcze.

Twarz tej starszej z zamordowanych kobiet!

Widziałam ją wcześniej!

Gdzie?

Jęknęłam, chciałam krzyżeć i tylko obecność starszej pani mnie powstrzymała.

To była twarz Elizy Móer, drugiej żony doktora.

Widziałam jej dwadzieścia, na których była elegancka, uśmiechnięta, zadowolona z życia. Dlatego nie rozpoznałam jej od razu w spętanej ofierze, szarpiącej się podczas zadawanego jej gwałtu.

Ale tennoś i ciemna karnacja!

To była ona!

W żołądku znalazły się jeszcze jakieś resztki do zwrócenia, a kiedy już ich zabrakło, dławiałam się i zachłystywałam napływającą bezustanku gorzką śliną obrzydzenia. Opuszczała mnie przytomność.

Osuwałam się z brzegu wanny na podłogę, gdy ktoś przytrzymał moją głowę, otarł z potu rozgorączkowaną nagle czoło.

Dniało już i pani Owczarkowa odzyskiwała wigor i siły, które opuszczały ją nanoc.

Zaprowadziła mnie do łóżka, przykryła.

Po chwili podałam mi herbatę z sokiem malinowym.

Piłam małymi łykami, ciesząc podniebieniem smakiem lata.

Rozkosznie suchy i szorstki ręcznik ścierał co chwila pot z mego czoła.

Delikatna, ale mocna ręka poprawiała mi poduszkę pod głowę.

Zasypiając, odpływając w bezświadomość, miałam złudne uczucie obecności matczynej, tej jedynej, która daje pewność leczenia wszystkich ran, każdego bólu i cierpienia - obecności napawającej serce ciepłem i zaufaniem - a której ja zostałam pozbawiona

208

tak młodo, że wspomnienie o tym nigdy nie nawiedzało mnie w pełni świadomie.

Siwe włosy pani Owczarkowej zamazywały mi się przed oczami, falowały, odpływały.

Tak zaczęła się moja opieka nad starszą panią.

Rozchorowałam się całkiem poważnie.

Tego pierwszego dnia wciąż mijałam, gorączkowałam, pociłam się.

Pani Owczarkowa poiła mnie ziołami, zmieniała piżamy, prześcieradło i kołdrę, a wieczorem wzywała lekarza, którego wizyty prawie nie pamiętam.

Według niego chorowałam na grypę.

Miałam leżeć, pocić się, dużo pić i jeść rosół.

Tak relacjonowała mi lekarskie zalecenia pani Owczarkowa następnego dnia, gdy już przytomniejsza, tylko wciąż słaba, obserwowałam jej krzątaninę z nadnaciągniętej pod szyję kołdry.

Nie pytała mnie o nic, tak jakby zwalenie się komuś na głowę w środku nocy nie było dla niej niczym niezwykłym.

Następnego dnia odwiedziła mnie Renata Gryf.

Wpadła tylko na kilka minut, bo jeden z bliźniaków też zachorował i teraz już zupełnie nie miała czasu.

Poprosiłam ją, aby zaniosiła przy okazji moje zwolnienie do szpitala i zadzwoniła do szkoły, bo pani Owczarkowa nie miała telefonu, a mnie nie wolno było jeszcze przez trzy dni wstawać z łóżka.

Otoczona byłam opieką jeszcze niedawno całkiem mi nieznanymi kobietami, które zachowywały się jak moje najlepsze przyjaciółki.

Taki początek mojej obecności pani Owczarkowej ustawił relację między nami dwiema tak, jakbyśmy były matką i córką.

Starsza pani potrzebowała nie tyle mojej opieki (nie wtedy jeszcze, dopiero za kilkanaście lat stało się to konieczne), co towarzystwa i powodu do życia.

Tak bardzo chciała być potrzebna, zauważana i doceniana.

W tym celu sprzątała, gotowała i prała, a żądała tylko podziwu i czułości.

Odkryłam to przypadkowo, gdy w pierwszym dniu choroby naprawdę myliłam ją z zapomnianą matką i nawet chyba do niej jak do matki się zwracałam, ona zaś czerpała dla swej duszy radość z każdego mego słowa.

Nie robiłam tego świadomie, nie chcąc znaleźć klucza do jej serca, gdy po dwóch dniach w łóżku powiedziałam: "Nie pamiętam

swojej mamy zbyt dobrze, ale ona musiała być bardzo do pani podobna, bo czuję, jakbym ją właśnie odnalazła".

Mówiłam to z czystym sumieniem.

Tak czułam i wydało mi się słuszne powiedzieć o tym mojej dobrodziejce.

Teraz wiem, że kupiłam tym oświadczeniem jej serce na zawsze.

Zaczęła być moją matką, dbać o mnie jak o córkę.

W czasie tygodniowej choroby opowiedziała mi historię swojego życia.

Miała dwie córki, obie umarły w dzieciństwie na płucach.

Mąż zostawił ją po śmierci drugiego dziecka, "ale to nie jego wina, sama go prawie wyгнаła.

Przecież nie chciała ani do siebie nie dopuszczać, a nim mu ją dała zgotować, naczynia nie zadbała.

U innej poszła szukać, czegoś dla niej nie miała".

Wiele lat żyła samotnie, pracowała jako pomocnica u krawca.

Sama dźwiżyła puste serce przez życie, wspominając tylko uśmiech swoich

dwóch kwiatów, potrafiących rozświetlić każdy mrok.

Obie dziewczynki dożyły siódmego roku życia, było między nimi dwa lata różnicy wieku.

Gdy przyszedł pierwszy cię, pani Owczarkowa jeszcze nie umiała poszukać

pociechy, tłumaczyła mniejszej dziewczynce, że jej siostrzyczka z Panem Jezusem teraz na

nich z chmurkami spogląda.

Nawet zabawę taką obmyśliły, "co na spacer idąc, raz po raz się za siebie oglądałyśmy, co by ją

natym zerkaniu przyłapać.

Ale nigdy nam się nie udało".

Gdy młodszą córkę w tym samym wieku zapadła na identyczną chorobę i szybko umarła,

pani Owczarkowa nie umiała już w niczym pociechy znaleźć, w żadnym sposobie z nikczemnością

życia się pogodzić.

"I z zemłą przegrałam swe życie.

A kwiatki moje do dziś w sercu noszę.

Ty bacz, abyś złością nie nasiąkała, bo widzę, że coś cię ciężkiego twoje młode serce przywaliło".

Niewypytywała o nic, siedziała ze mną i głaskała mnie po włosach.

A ja płakałam sobie po cichutku, starając się wstręcić i gorycz z serca wyrzucić, złością nie

nasiąkać, bo pani Owczarkowa swego samotnego życia nie gloryfikowała.

"Pusta tylem lat była jako skorupa po jajach.

Życiem zmarnowała, samej mi umierać przyjdzie.

A starał się, jak mnie czterdzieści lat jeszcze nie było, jeden szewc o mnie.

Ale gorycz

210

jeszcze nie umarła, a dobry był człek, wdowiec i niepijący.

Z niczym zemłą odprawiła, nawet dobrego słowa poskapiwszy.

Oj, żal i sromota to były moje lata długie".

Teraz znów potrafiła do kościoła chodzić, bez tej jednak żarliwości i dewocji, tak

charakterystycznych dla kobiet w jej wieku.

Własne relacje z Panem Bogiem sobie ustalała, spokojne i oparte na wzajemnej nieufności.

Tak zabawnie to tłumaczyła: "Zawierzę, pójdę za Nim, ale i On dla mnie coś zrobić w pierw

powinien.

Cudów nie pragnę.

Znak niech mi jakiś ukaże, we śnie córeczki na trochę obejrzeć pozwoli, co bym wiedziała, jak

im, niebogom, tam siedzieje.

Toć On dla nich teraz ojciec, to matkę zrozumieć by musiał.

Żadnych mi cudów nie potrza.

Tylko zerknąć odrobinę".

Gdy pocztę rano wstałam, to wprost śmiać mi się chciało z własnej niemocy. Spacer był problemem, przez dwa dni wychodziłam na powietrze pod opieką pani Owczarkowej. Ale później siły wróciły mi już szybko. Miałam przecież dwadzieścia trzy lata i zdrowe ciało, ochotę do życia tylko trochę przygaszoną, dlatego nie mogło potrwać długo. Tydzień po wprowadzeniu się do starszej pani wróciłam do pracy i do szkoły. Niewiele później poszłam do urzędu meldunkowego, aby zmienić swoje dane o miejscu zamieszkania. Musiałam się najpierw wymeldować od doktora Peryzentowicza. Na szczęście potrzebowałam na to jego zgody. Zresztą urzędniczka w okienku wyjawiała mi niezwykle nowiny: "To pani u doktora mieszkała?" A to słyszała pani pewnie, co go spotkało? Umarł na serce, zatchnął się. Z jakimś cudakiem się zadawał, do Zakopanego za nim pojechał. Od Safianowej wiem, tej młodszej. Ona panią zna i mówi jeszcze, jak to teraz cała rodzina doktora się martwi o ten pani meldunek, bo oni chcą mieszkanie odzyskać, co to po doktorze zostało. No a z lokatorką im się nie widzi. Już u naszego naczelnika byli, chcieli panią z urzędu wymeldować, ale przepisy nie zezwalają. A pani co? Sama przyszła się wymeldować? Przecież oni by chętnie za to nawet zapłacili. Dzisiaj

pewnie znowu przyjdą, to mogę dać im pani nowy adres, o, a my wedwie to się już później dogadamy".

"Dziękuję, ja nie chcę z nimi się widzieć.

Tylko.

Czy to rodzina jego pierwszej żony, czy drugiej?

Bowie pani, on.

". "Pewnie, że pierwszej.

To ta jego żona, co to Safianowa o niej mówiła, że w jednej koszuli doktor ją wziął, taka biednabyła.

A ta druga to była Niemka.

Safianowa mówiła, że tamta pod koniec wojny przepadła.

Wyjechała gdzieś czy coś takiego, i tyle ją widzieli.

Pewnie bała się, co po wojnie z Niemcami nas zrobią.

To jak?

Naprawdę wymeldowujemy się?

".

Czułam ulgę i ani odrobiny żalu.

Takiego właśnie, nieodwrotnego przecięcia wszelkich więzów pragnęłam z tym człowiekiem, który człowiekiem wydawał się tylko na zewnątrz, prawdziwą swą naturę zaś ukrywał, tyle że nie dość konsekwentnie.

Więść o jego śmierci oczyszczała mi duszę z brudu, wspomnień, a sumienia z grzechów i zatajenia strasznej zbrodni.

Lżej mi było teraz znów uczyć się, pracować, dawać z siebie pociechę i pomoc innym.

Spokojnymi torami toczyło się dla mnie kilka następnych lat.

Skończyłam studia, zaczęłam lepiej zarabiać, bo przeniosłam się do dużego szpitala onkologicznego.

W kilku szpitalach polikwidowano "żony smutku" i wybudowano specjalny ośrodek.

Otwartego z pompą w dwa lata po zakończeniu przez mnie studiów.

Dostała w nim pracę Renata Gryf, dostałam też i ja.

Tylko problemem stało się dojeżdżanie na ośm rano, bo pani Owczarkowa mieszkała na drugim końcu miasta, a mnie wstawanie co dzień o szóstej przychodziło znacznie ciężej niż za opotowskich czasów.

Pojechałam do Gzyntów.

Marazm, biedota i bezradność mieszkających tam ludzi, niezmienna bierność i monotonia przeraziły mnie.

Rozmawiałam z ciocią Małgorzatą jak z kimś obcym.

Może nie tyle obcym, co zatrzymanym w jakimś fragmencie rzeczywistości, wyłączonym z upływu czasu.

Jej świat to kury, sąsiedzi, kościół w Opiechołówkach i ksiądz; mąż, co nie dożył poślubnej nocy, córka Sołtysa Zamojny, Przybysława, co to w mieście kariery nie zrobiła, do rodziców

212

wróciła i bękart im pod dach przyniosła, a teraz łązi odkawaleradokawalera i "dupy nadstawia".

Tak tociocia w swym ponurym monologu ujęła - "dupy nadstawia".

A ja, zamiast się obruszyć na niezbyt notliwą Przybysławę, omal nie parsknęłam śmiechem.

Długo u cioci nie dałam rady zabawić.

Pojechałam do Opotowa, do doktora Fleszka.

Zastałam go chorego i od wielu dni nieopuszczającego łóżka.

Przeszedł przewlekłe przeziębienie, po którym zostałmu kaszel i zawroty głowy.
Opiekowała się nim krewna, do niedawna gospodyni na plebani!
, teraz już byt stara na tamtą posadę.
Doktor nie cierpiał głodu i niedostatku, dostawał paczki od córki z Australii, może nawet i
jakieś pieniądze.
Często wałmnie smakołykami z paczki nieposkapił też naleweczki.
Sam tylko wachał raczej, niż pił aromatyczny trunek, bo po głębszym łyku bardzo go dusił
kaszel.

 Spytałam, czy słyszał o śmierci doktora Peryzentowicza.
Potaknął, zamyślił się, zapatrzył na mnie.
"Słyszałem też, że na stare lata zgłupiał, jakiegoś hochsztaplera się uczeplił.
No cóż.
Tozawsze był człowiek słabego charakteru, którego tak samo łatwo było do dobrego, jaki
do złego namówić.
A tobie, Stasińko, jaki się zdał?
". Opowiedziałam, bez szczegółów, o dwóch latach życia u doktora.
Zataiłam tylko truskawkowy likier, oświadczyłam o zdjęciu.
"No cóż, dziecko.
Niemówisz pewnie całej prawdy.
Może to ilepiej.
Ja po Pawle zawsze spodziewałem się więcej, niż on potrafił zrobić.
Boto trudne, wznieść się ponad swoje chęci i pragnienia, zrobić coś wbrew sobie.
Tego on nigdy nie zdołał uczynić.
A jak zły podszept, a silny, usłyszał, to zarazmu ulegał.
Już przed wojną o toczęsto się kłóciliśmy.
Dla mnie lekarz to człowiek służebny, niosący pomoc, ulgę, kojący ból, a dopiero później myślący
o własnych potrzebach.
A Paweł.
No cóż, był, jak i był.
Za życia się nie zmienił, to i po śmierci trudno tego oczekiwać.
Ale ty sobie radzisz i bez niego?
".

 Opowiedziałam o Gryfowej, Owczarkowej, o mojej nowej pracy.
"Tak.
Rak to wyzwanie dla medycyny - mówił doktor Miłosz.
- W tyłuchorobach niosimy już pomoc, tyle nowych leków wynaleźliśmy, a tu
213.

jesteśmy jak ślepe krety.
Po omacku szukamy wyjścia, może nawet bez specjalnej nadziei, że ono w ogóle istnieje.
Trudne to miejsce do pracy, a jeszcze przydzieciach!
Stasińko, czy ty masz tyle siły?
Wiem, wiem, jest w tobie radość i moc, ale nie myśl, że ona jest niewyczerpana.
Ja też tak kiedyś myślałem.
Rozdawałem swoje siły na prawo i lewo, bez pokwitowań umiaru.
Aż później.
A może nie?
Może to tylko wojna, ohydny czas relatywizmu wszystkich wartości?
Może to ona zabrała mi moją moc?
Bo widzisz, dopóki miałem bliskich, rodzinę, dopóki chronili mnie swoją miłością - dopóty
wszystko mogłem znieść.
A gdy ich zabrakło,
To już tylko rutyna była, przyzwyczajenie.
Od dawna nie ma we mnie pasji, miłości do ludzi.
Nie obraż się, Stasińko, i wybacz nadmierną poufałość, ale ty jesteś moją ostatnią miłością,
tylko taką, co przyszła trochę jednak za późno.
Nie przerywaj mi, nie.
Ja wiem, pochlebiam sobie, że wiem odwzajemnienu przez ciebie mojego uczucia.
Ale przecież nie jak do mężczyzny, tylko jak do miłego, starszego pana, opiekuna i doradcy.
Bo chyba przyznasz, że nigdy nie doradzałem ci inaczej, niż kierując się twoim interesem.
Ale przecież świadom jestem, że zamykać w jednej klatce pięknego kanarka ze starym
gawronem nie ma sensu.
Wcześniej czy później taki eksperyment zakończy się klęską.
Czuję nieprawdę, albo raczej - nie całą prawdę tym, co mówisz o Pawle.
Ja miałem nadzieję, że on będzie taki, jak o nim opowiadasz, lecz.
Powiedz mi, mam rację?
Nie żądam szczegółów, niedyskrecji, ale przecież.
Paweł nie był taki, jak ty o nim mówisz.
Chociaż.
któż może powiedzieć coś pewnego drugiemu człowiekowi?

"

Jadąc do doktora, chciałam podzielić się z nim straszną tajemnicą z dziećmi.
A teraz patrzyłam na niego, pomarszczonego już do ostateczności, nawet w oczach jakby
zagościły mu zmarszczki.
Czy opowiadając mu o postępkach doktora Pawła, poczułabym ulgę?
Czy tylko zadała dodatkowej zgryzoty na ostatnie dni jego życia?

"Nikt święty nie jest - powiedziałam pogodnie.

- Ale pan Paweł w tych latach więcej już wyobraźnią mógł zaszkodzić niż czynem.

214

Może dlatego nie podejmował prób?

A pan, panie Miłoszu, zawsze w moim sercu będzie miał miejsce ojca, którego nie pamiętam,
bo serce cię mnie tak młodo".

Popłakaliśmy sobie razem z rozczulenia i szczęścia, bo szczęściem jest podzielić z
kimś te same uczucia, odnaleźć zgodność pełną i spokojną, pozbawioną żądy i pasji.
Może takie uczucie ma większą szansę przetrwania, bo nie spala się w ogniu
codziennych zmian, tylko trwa spokojnym płomieniem stabilności?

Na pewno bliższe jest miłości matki dodziecka, miłości, z którą od tej wizyty u doktora
Miłosz zaczęłam tęsknić.

Federico!

Tak nie można!

Musimy nadal żyć, ty musisz grać.

Mamy już gdzie mieszkać, patrz, jak teraz u nas pięknie.

Widziałeś kiedyś taki park?

Sama pielęgnuję róże, gerbery już były posadzone, alew przyszłym roku wolałabym w tym
miejscu petunie.

Gerbery będą ładniej wyglądać tam, w rogu.

Jutro przywiozę figurkę do fontanny.

Zawsze marzyłam, aby mieć własną fontannę.

Wiesz, co to będzie?

Niespodzianka.

Nie, nie powiem ci.

Zrobimy uroczyste odsłonięcie, zaprosiłam Deborah i Gasparo.

Przyjedzie też Fulvio Mambia, ten lutnik z Werony.

Musisz obejrzeć jego skrzypce.

To podobno autentyczny Guarneri.

I spuścił już z ceny osiemdziesiąt milionów.

Jak go dobrze ugoszczę, to pewnie utarguję jeszcze drugie tyle.

Podobno jest czuły na damskie wdzięki.

Co tak patrzysz?

Towzystko robię dla ciebie.

Musisz się obudzić, wrócić do koncertowych sal.

Za miesiąc tournée po Stanach.

Nie pozwolę ci go odwołać!

Zagrasz na skrzypcach Mambii.

Już ja wiem, jak cię rozruszać.

No, Federico?

Bądź mężczyzną!

Teraz już nie musimy się obawiać Franceski.

Urządź w pokojach dla służby.

Tutaj jesteśmy sami.

Cała posiadłość tylko dla nas.

Patrz, gdyby nie ta kradzież, to musieliśmy kupić willę od tego łodzieja Parvenzy.

A tak, przynajmniej - szczęście w nieszczęściu.

Co ty jesteś taki leniwy?

Kiedyś, po takiej propozycji, już bylibyśmy razem.

A ty nawet nie drgnąłeś.

Federico!

Czy ty już mnie nie kochasz?

Deborahmówi, że Gasparo ma chyba kochankę!

Federico, czy tomożliwe, żebyś i ty mnie zdradzał?

Nie odwracaj się ode mnie.

Masz kogoś?

No, spadł mikamień z serca.

Ja cię tak kocham.

Pękłoby mi serce, gdybyś mnie zdradził.

Ja to nie Claudia, która myślała tylko, jak by cię tu oszukać, zabrać ci wszystko.

Ale nie udało jej się cię zniszczyć.

Guarneri też był wielkim lutnikiem.

Niektóre jego instrumenty są lepsze od stradivariusa.

Pewnie, nasz był jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny.

Ale stało się, Federico!

Stało się, a żyć trzeba dalej.

Bądź jutromiły dla Mambii.

Nie słyszałam o lepszym instrumencie nasprzedaj niżten od niego.

Boli cię coś?

Wiesz, że Gasparo sześć lat temu miał żonę?

Odeszła od niego żona.

Co? Ty nie wiedziałeś, że Deborah poślubiła dopiero pięć lat temu?

On jest teraz zupełnie innym mężczyzną, chociaż musi się oszczędzać.

Deborahmówi, że raz na dwa tygodnie to tak dla niego za dużo.

Nie odwracaj się.

Czy to nie zabawne?

Ubiera się jak playboy, a jest prawie impotentem.

Federico, nie odchodź!

To ja.

Chcę tylko się upewnić, czy wszystko u was w porządku.

To dobrze, że spokój i cisza.

Ja już odebrałam pieniądze z ubezpieczenia.

Kontaktował się ze mną Contescu.

Ma kupca, bodajże z Japonii.

A może z Korei?

Wkażymy im płacidolarami.

Musisz się więc zastanowić, jak kombinować.

Jak uważasz, ale według mnie dałoby się ich łatwo kupić.

Przesadzasz, przecież to tylko miejscowe rzeźmieszkę.

Jest pewna, że ich ręce nie sięgają poza Polskę, ale jeżeli się boisz.

Dobrze, nie ma aż takiego pośpiechu, jednak za miesiąc muszę już wiedzieć, co i jak.

Pomyśl sobie, mój ty obleśny kochaniu, jakie miałbyś możliwości, gdybyś był bogaty.

Tyle towaru do przelecenia.

Pochowaliśmy mamę cztery dni po jej śmierci.

Dwie tabletki, złośliwie ze sobą sklezione, a każdy z nich i tak dużo, wpadły do tchawicy tylko natychmiastowa pomoc lekarza mogłaby wtedy uratować ma216

me. Organizacja pogrzebu zajęła się ciocia Julka, ale i dla mnie zostało dużo do załatwiania.

Pozwoliło mi to nie myśleć o Gerardzie i Księżyku.

Nie zastanawiać się, co mogę zrobić.

Porzuciłem już myśl owciąganiu kogokolwiek do tej sprawy.

Sam musiałem stawić czoło wyzwaniu i ponieść konsekwencje - jakiegokolwiek by one były.

Ciągle myślałem o groźbach Gerarda.

Rozważałem słabepunkty jego rozumowania.

Wychodził mi, że tak czy tak, więzienie nieskończyłoby się dla mnie dobrze.

Na opiekę Gerarda mógłbym liczyć tylko wtedy, gdybym miał na niego jakiegoś haka.

Coto mogłoby być?

Gdyby tak dowiedzieć się czegoś o Księżyku.

Ale jak?

Takimi torami biegł moją myślą, gdy stałem nad grobem matki, gdy spuszczano trumnę do grobu.

Mielili zeć zojcem koło siebie.

Razem dopiero po śmierci.

Nareszcie żadne z nich nie mogło wyjechać, nie mogli się kłócić, spierać.

Leżeli, pogodzeni na wieki.

Pamiętałem pogrzeb ojca, swój bezbrzeżny smutek, poczucie odwołalnej straty.

Szukałem i teraz w sobie tych uczuć.

Nie potrafiłem nawet płakać.

Taksamo zresztą jak Paulina.

Tylko Michał i Mateusz zalewali się łzami.

Mateusz przyjechał w dniu pogrzebu i zapowiedział, że zaraz wraca do Warszawy.

Zjawił się tylko jeden brat ojca, drugi, najstarszy z nich, leżał w szpitalu, pozawale.

Znowu została z nami ciocia Julka.

Nie było już w niej tyle energii i radości, ile pamiętałem z czasów po śmierci ojca.

To była jej siostra, starsza od niej tylko o dwa lata.

Każdemu nasunęłyby się refleksje: ktonastępny?

Rozdział rozterek i wyborów.

Na studia zdałem bezkłopotów.

Tak samo Ela i prawie wszyscy naszej orkiestry.

Tylko Danusia, solidna przecież skrzypaczka, nie dała rady.

Na ostatniej próbie przed wakacjami, trzydziestego czerwca, pocieszały ją wszyscy,

również Kasprzycki podszedł do niej, starał się dodać otuchy.

- Nie rozpaczaj.

Zdasz za rok -mówił.

- Przecież jesteś młoda,

masz czas.

- Szeregowym nie zostaniesz - śmiał się Darek.

-Ale kto mnie wtedy przygotowuje do egzaminu?

- pytała z mokrymi

oczami.

- Jeżeli chcesz - odpowiedział Teodor - to ja mogę się podjąć.

Po znajomości.

Rzuciła mu się na szyję, wyściskała.

-Zaraz, zaraz, jeszcze niezdalaś.

Cieszyć się będziemy później.

No, a teraz do roboty.

Nic jednak tego dnia nie szło tak jak zwykle.

Byliśmy rozkojarzeni, a Kasprzycki też myślał chyba o czymś innym, bo nie potrafił utrzymać dyscypliny.

Po dwóch utworach zarządził przerwę.

Pojawił się wtedy Zdzisiek i zaczął go namawiać, aby nie męczył "dzieci-

ków" przed wakacjami.

W normalnych warunkach zostałby wyrzucony za drzwi, ale był ostatni dzień czerwca -

Teodor wygadał się, że jutro wyjeżdżają z żoną nad morze, a część z nas za trzy dni ruszała na Mazury.

218

- No dobrze -zgodził się Kasprzycki, - Posłuchamy tego lenia.

Życzę wam miłych wakacji.

Spotykamy się dwudziestego sierpnia, w filharmonii, o dziesiątej.

Jeszcze raz -miłych wakacji.

Wziął tylko na stronę Danusie i rozmawiał z nią kilkanaście minut.

Zdzisiek w tym czasie zdawał nam relację z ostatnich poczynań Kornela i spółki:

- Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Wiadomo, że do pokoju łodzieje dostali się po tej drabinie.

Znaleziono ślady na parapecie i na dachu.

Nikt nie wie, dlaczego okno nie było zamknięte.

Sprzątaczką, która była tam poprzedniego dnia wieczorem, mówi, że zamykała je na zamek.

Camparo w zeznaniach utrzymywał, że okna nie otwierał.

W każdym razie nie pamięta.

Bo ja wiem?

Połowa kwietnia, ciepło, chociaż z drugiej strony deszcz wisi w powietrzu.

A wilgoć podobno szkodzi radziwiariusowi nadzwiek, dlatego można mu wierzyć.

To też jest zagadka.

Znaleźli takiego dziadka, co rzekomo widziały złodziei, jak wchodzili po drabinie.

Tylko że dziadek ma nienajlepszy wzrok i nikogo raczej nie rozpozna.

Poza tym nie wie, czytam było ich dwóch, czy trzech, a może tylko jeden.

"Myślę, co to są robotniki" - Zdzisiek dobrze naśladował staruszkę, śmiało się wszyscy.

- A w tak zwanym środowisku nic nie znaleziono.

Cisza, spokój.

Bo też to nie mogli być pospolici złodzieje.

Według mnie to robotnik zlecenie.

Może wcale nie nasi fachowcy?

- Coś ty - obruszył się Darek.

- Polak potrafi.

- Obcych - wtrąciłem, przelękając ślinę - łatwiej byłoby znaleźć.

- Ale to była czysta sprawa.

Kornel jest zdumiony brakiem jakichkolwiek poszlak.

- Jak ten Kornel się nazywa?

- spytałem niewinnie.

- Kossobudzki.

Znasz go?

- Nie.

Tak tylko.

- wzruszyłem ramionami.

- W pokoju nie zostawili żadnych śladów, Ate skrzypce, ten falsyfikat.

Lutnik był podobno pod wrażeniem.

Twierdzi, że przygotował je profesjonalista, ktoś, kto dużo wie o lutnictwie.

Zostały złożone

219.

od nowa i teraz do złudzenia przypominają oryginał.
Zwyglądu, bocieżko powiedziec coś o ich brzmieniu.

- Musiały być do niczego, jeżeli nawet Camparo zorientował się po pierwszym dźwięku.

-Jak to, nawet Camparo!

Cośty, Darek!

- Nie bądź taka poważna, Elka.

Camparo to już dziadek.

- Wy wszyscy się zupełnie na niczym nie znacie!

Autentycznie obraziła się i wyszła bez słowa.

Czułem się niezręcznie, ale po chwili wyszedłem za nią.

Dogoniłem ją już na ulicy.

Wcale nie była taka zła.

W każdym razie - niena mnie.

Od śmierci mamy prawie się nie widywaliśmy.

Czułem jej skrępowanie, chyba nie wiedziała, jak się zachować, jak okazać mi współczucie.

A ja miałem w głowie taki mętlik, tak bardzo nie mogłem oderwać myśli od tej jednej, wcale niezwiązanej z mamą, sprawy, że najbardziej odpowiadało mi odosobnienie.

Teraz też - szliśmy obok siebie, milcząc i zastanawiając się każde nad czym innym.

- Tomek - powiedziała niespodziewanie, łapiąc mnie za rękę i stając w miejscu.

- Czy ty jesteś pewien, że chcesz, abyśmy jechali.

no, razem.

To znaczy.

wedwoje.

Pod tym samym namiotem, po tym, co się.

No wiesz, po tym, jak twoja.

Janie wiem, czy chcesz o tym mówić, ale jeżeli nie chcesz, to powiedz.

- Chodzi ci o to, czy chcesz jechać?

-No tak.

I czy chcesz, żebyśmy razem.

no wiesz.

Szykowaliśmy się na te wakacje poważnie.

Ela poszła miesiąc temu do lekarza i dostała pigułki antykoncepcyjne.

Tam miał być nasz pierwszy raz.

Na spotkaniach w mieszkaniu jej kuzyna wciąż nieposuwaliśmy się za daleko w pieszczotach.

Dopiero tam, na Mazurach, mieliśmy zostać prawdziwymi kochankami.

Po ostatniej rozmowie z Gerardem zacząłem się tego bać.

Nie chciałem, aby w razie czego Ela cierpiała za moje grzechy.

Kochałem ją i bałem się o nią.

W mojej sytuacji lepiej było z nikim się nie wiązać do czasu zakończenia sprawy skrzypiec.

220

Jednak samotność.

Śmierć mamy.

Niby nie cierpiałem, nie płakałem za nią.

Po śmierci ojca był taki moment, gdy zbliżyliśmy się i ona zaczęła okazywać uczucia nie tylko Mateuszowi.

Ale kiedy zaczęła chorować i zrozumiała, że może liczyć na wszystkich z nas, tylko nie na swojego pupilka, to, paradoksalnie, znowu się przed nami zamknęła.

Nie było to tylko moje odczucie.

To samo mówiła Paulina.

Nawet do Michała, którego tak lubiła pieścić i pocieszać, jak był malutki, odnosiła się conajwyżej obojętnie.

To nie mogło nie boleć.

A teraz miałem jeszcze odtrącić serce dziewczyny, którą kochałem?

- Eluniu, jeżeli ty chcesz, to ja.

Mama.

- Pewnie, że chcę!

Czy ty myślisz, że ja te pigułki łykam dla przyjemności?

Alenię chcę cię ponaglać.

Zwłaszcza teraz.

- To nie jest tak.

Wiesz, matką była dla nas bardzo uciążliwa.

Nie, nie.

Co ja mówię.

Prostu zrozum, po śmierci ojca byłem.

A teraz nie.

Chociaż.

- Nie mów tak.

Trochę cię znam.

Zachowujesz się ostatnio.

Niewiem, ale.

nienormalnie.

Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo to przeżywasz.

Dlatego.

- Chcę pojechać.

Inaczej.

zwariuję.

Pojadę.

- To dobrze.

Niemiałam sumienia cię namawiać, ale tak łatwiej ci będzie.

zapomnieć, pogodzić się.

Zobaczysz!

- Może.

Na pewno.

Jest twój tramwaj.

Jutro widzimy się u Darka?

- Tak.

O szóstej.

Pa!

- Cześć.

Stałem na przystanku, niezdecydowany, co robić.

Przyjechała piątka.

Tramwaj, którym przez tyle lat jeździłem do naszego domu.

Dopóki go nie wyburzono.

Dopóki żyłojciec.

Wsiadłem.

Po co tam jechałem?

Spotkać samego siebie?

Wrócić do znanych z dzieciństwa miejsc?

Jechałem.

Robiłem coś.

Fabryki już nie było.

Musieli ją burzyć w ciągu ostatnich lat.

Na jej terenie trwała jakaś budowa, jeździły ciężarówki, wałęsali się

221.

robotnicy, wszędzie leżały cegły, deski, rury, narzędzia.

Socjalistyczny krajobraz.

Jak w filmie Barei.

Tam śladów dzieciństwa nieodnalazłbym napewno.

Na miejscustarych kamienic stały dwa nowe bloki.

Adalej - pusty plac.

Zamiast naszego domu - też tylko pusty plac.

To po to, dlaskrawkawyrodziłej przestrzeni, pozbawiono nas części własnego jestestwa?

Oszczędzono nawet część płotu, a domu nie.

Ani drzew dookołanego.

Drzewom też nie pozwolono dokończyć żywota.

Tak jakojcu.

To dziwne, on przecież tyle wyjeżdżał, siedział całymi miesiącami zagranicą, w domu rządziła mama, a teraz.

Nie potrafiłem pomyśleć:

dom mamy, chociaż to ona sprzątała go tysiące razy od piwnicy podach.

Toona peła warzywa, kwiaty, podcinała drzewka owocowe.

Możedlatego, że zawsze robiła to sama?

Jeśli robił to ojciec, brał nas wszystkich, którzy chcieli i mieli czas, do pomocy.

Tylkoz ojcem dbaliśmy dom.

Mama zawsze działałasama.

Możedlategomyslałem: domojca.

Pewnie niesprawiedliwie.

Pewnietak!

Nie chciałem wchodzić na to pole, gdzie na niedbale zasypanychdziurach po fundamentach naszego domu pieniały się chwasty.

Tamteż śladów dzieciństwa bym nieodnalazł.

A moženigdzieich nie odnajdę?

Zniknęły pewniewrazze śmierciąojca, mamy, ze zburzonym domem.

Również w głowie czułem pustkę.

Żadnych wspomnień.

Ruszyłem w kierunku starych bloków.

Bawiła siętam gromada dzieciaków.

Przekrzykiwali się, huścali,kręcilina karuzeli.

Na chodniku, którego nie było za moich czasów,dziewczynki grały w klasy.

Kilka metrówdalej grano w gumę, koedukacyjnie.

Kiedyś chłopcy brzydzili się takimi zabawami!

W nowej przestronnej piaskownicy siedziało troje maluchów, zajętych tworzeniempiaskowego świata.

Nie znałem tu nikogo.

Nikt tu też na mnie nie czekał.

To gdzie miałem szukać śladów dzieciństwa?

A może powinienem byłpomyśleć: po co?

222

Zawracałem już naprzystanek, gdy nagle ktoś wyszedł zza pobliskiego bloku.

Sylwetka jakby mi znana.

I twarz też.

Czekałem w napięciu.

On takżeintensywnie mi się przyglądał.

- Nie mogę!
Oczom nie wierzę!
Babol.
Znaczy.
Tomek, to ty?
- To ja.
Cerkwin!
Tak, Wiesiu, to ja.
Kopęlat!

Był blisko, ścisnął moją rękę, na jego twarzy pojawił się autentyczny, niewymuszony uśmiech.

Jako siedmio-, ośmiolatkiem dużo bawiliśmy się tylko wedwóch.

W Indian, w Niemców i Polaków, policjantów i wioździei.

Później, chyba przez cztery lata, prawie wcale się nie widywaliśmy.

Tyle co na podwórku z innymi dziećmi.

Aż znowu, gdy mieliśmy po dwanaście lat, znaleźliśmy wspólne zainteresowania.

Urządziliśmy sobie wielkie mistrzostwa w cymbergaja.

Wyszukaliśmy duży kawał twardej, gładkiej dykty, umocowaliśmy na niej bramki, wyrysowaliśmy pole karne, bramkowe, zazaczyliśmy środek boiska i graliśmy.

Ja, dzięki podróżom ojca, miałem dużo monet z obcych krajów.

W naszych mistrzostwach brała więc udział Szwecja, Finlandia, Dania, Norwegia.

Tata Cerkwina zbierał stare monety.

Wiesiek wydebił od niego przedwojenne złotówki i dzięki temu Polska też miała silną reprezentację.

Tylko bramkarz był współczesną dziesięciozłotówką.

Metodą wymiany załatwiliśmy jeszcze monety z innych krajów, z Francji, Anglii, Holandii, i zabawa była gwarantowana.

Zawody odbywały się na strychu naszego domu, tam też trzymaliśmy "zawodników" i boisko.

Nikt z podwórka nie został przez nas nigdy dopuszczony do gry.

Znaczyła dla nas zbyt dużo, aby ryzykować, że ktoś ją nam zepsuje.

Mieliśmy tylko problem z mierzeniem czasu.

Bardzo wciągaliśmy się do walki, czasami mecz trwał dwa razy dłużej, niż się umawialiśmy, bo żaden z nas nie pamiętał o patrzeniu na zegarek.

Kiedyś znalazł nas, w czasie tak zażartej rozgrywki, mój ojciec.

Z werwą i zapalem opowiedzieliśmy mu, na czym to polega.

Obejrzał nasz zeszyt z wynikami, rankingiem drużyn i najsilniejszych zawodników.

Wysłuchał też narzekań, że mamy problem z pomiarem czasu gry, po czym pokiwał tylko głową i zszedł na dół.

Nie śmiało się, nie szydził.

Po półgodzinie przyszedł na strych ponownie.

Przyniósł nam prezent: kuchenny timer, który mogliśmy nastawić na tyle minut, ile potrzebowaliśmy, a który zakończenie odmierzonego czasu ogłaszał dzwonkiem.

Prawie jak syrena na meczach hokejowych!

Ta przygodatrwiała nieco ponad dwa lata.

Gdy wiadomy już był termin naszej eksmisji, gdy okazało się, że przeprowadzamy się nad drugi koniec miasta - zapadł też wyrok na cymbergaja.

Obiecywaliśmy sobie z Wieśkiem spotykać się czasami u niego, czasami u mnie, ale bez specjalnej nadziei w sercu.

Już sam transport boiska okazał się niemożliwy.

Było za duży, aby zmieścić się gdzieś w blokach i nie zajmować połowy ściany.

Ani jedni, ani drudzy rodzic nie zgodzili się wziąć nieestetycznej dykty do domu.

I tak w naturalny sposób skończyły się zarówno mistrzostwa, jak i moje kontakty z Cerkwinem.

- Ile to?

Pięć lat!

Ale ten czas leci!

Duży z ciebie facet.

- Wyrosłem.

- Nie mogłem tego samego powiedzieć nim, sięgałmi tylko do ramienia.

- Grałeś?

- popatrzył na mnie, przez chwilę zastanawiając się, o czym mówię.

- No wiesz, z kim innym, sam?

- Nie.

Coś ty!

A ty grałeś?

- Nie.

Nie było z kim.

Wiesz.

to se newrati!

- No tak.

Co u ciebie?

- Smutno, Rodzicenie żyją.

- Oboje?

- Ojciec kilka lat temu.

Mama dopiero co.

- Szkoda.

A twój ojciec był równy chłop.

Pamiętasz tendzwonek?

- Pamiętam.

Masz go może?

- Mam.

Sam niewiem, dlaczego u mnie został.

Używamy gowciąż w kuchni.

A co z Pauliną?

Mateuszem?

Opowiedziałem mu trochę o własnych losach, odrobinę o rodzeństwie.

Cerkwin dorzucił co nieco o sobie: chciał zostać mechanikiem samochodowym.

Skończył zawodówkę, pracował już nawet w warsztacie, u znajomego swojego ojca.

Miał się nieźle.

224

- Gdyby tak jeszcze człowiek mieszkaniem mógł dostać.

A tu, bracie, nie ma siły.

Atu wiesz, dziewczynę mam, za dwa, trzy lata byłoby się żenić.

A jak to bez własnego kąta?

- Znam ją?

- Znasz.

Nie zgadniesz.

- Inie dając mi szans, dodał: - Marusia, pamiętasz?

- Krzysia?

Oo!

- Zdziwiony?

A zawsze mi się podobała.

A że rok starsza, to co?

- Pewnie, że nic.

Jeszcze tu mieszka?

- A mieszka.

Zestara.

A Krzepakki rok temu kipnął, na zawał.

A jak twój?

Początkowo nie rozumiałem, o co mu chodzi.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że pyta, na co zmarli moi rodzice.

- Tak samo - nie chciałem się wdawać w szczegóły.

- Marusiawciąż.

Jak ją nazywasz?

- Poimieniu.

A czasami, w żartach, no wiesz.

Dawne czasy.

- Tak.

- Nie wiem czemu, zapragnąłem ją zobaczyć, dowiedzieć się, czy pamięta tę lizkę, Gerarda, tamten dzień.

- Jest terazu siebie?

- Nie.

Ma wieczorowe kursy.

A pracuje jako piguła.

- Na moje pytające spojrzenie wyjaśnił: - Pielęgniarka, piguła.

A chce awansować, to się dokszałca.

Ambitna jest taka!

A wszystko dzięki pani Kłopkowej.

Jaka to równa babka!

Mówię ci!

Szkołę doradziła i pomaga Krzysiwe wszystkim.

Nawet jej załatwiła praktyki u siebie w szpitalu.

- A pani Kłopok wciąż się Stasiem opiekuje?

- Pewnie.

A Stasio jakby sierotą został.

Abo ci jego starzy gdzieś wyjechali, do sekty jakiejś.

A słuchy chodzą, że tam zbiorowe samobójstwowszyscy popełnili.

- U nas?

W Polsce?

Nie słyzałem.

- Aboja wiem, czyto prawda?

Ale Stasio zKłopokową teraz mieszka.

- I wciąż taki sam?

-Tylko wyrósł i wasy ma pod nosem.

Ale zrozumempostaremu.

- Pamiętasz, jak się mleczybał?

225.

- Pamiętam.

Fajnie wtedy było.

- Dawneczasy, dawne.

Co z tego zostało, Wiesiu?

I gdzie?

- A co tamżalować.

A wiesz, że starzyDżerego w tym nowymbloku mieszkanie dostali?

Dla takich wyskrobków mieszkania dają, a jak kto uczciwie pracuje i też chce, to proszę: piętnaście latkolejki!

- ToDżery tu bywa?

- rozejrzałem się dokoła niespokojnie.

Niemiałem ochoty na spotkanie z nim.

- A przez jakiś czasgo nie widywałem.

Słyszałem, że w pace się-
'dział.

Razem z Czapa.

Ale ostatnio znowu się pojawia, chociażnikttu za nim nietęskni.

- Wiesio zaśmiał się, jakby udał mu się wspaniałydowcip.

- To i Czapa też dalejtu mieszka?

-A Czapa pewnie jeszcze siedzi, bo go nie widuję.

Wiesz, Babol.

przepraszam, Tomek, ja się od nichtrzymamz daleka.

To szemranetowarzystwo.

Napewno złodzieje, a możei co gorszego

- Może ico gorszego.

Masz rację.

No nic, miło było, Wiesiu.

Będę leciał.

- A wpadłbyś czasami - powiedział bez entuzjazmu, ściskając midłoń na pożegnanie.

-Zobaczmy.

Może po wakacjach.

Pozdrówode mnie Marusię.

Dla mnie ona zawsze będzie Marusią.

Pamiętaj, pozdrów.

Pokiwał głową, że tak, że na pewno pozdrowi, i wszedł do klatki.

Patrzyłem na dwa nowe bloki.

Wyglądały tak schludnie, niewinnie, a tymczasem gdzieś w nich mieszkała rodzina Przyborów.

Pewniesypiał tam Gerard.

Może tu właśnie powstał plan wciągnięcia mniewsprawę przemytu stradivariusa?

Pod blokpodjechał duży fiat.

Wysiadło z niego dwóchmężczyzn.

Jednym z nich był Edmund Przybora, ojciecGerarda.

Czekał na trawniku, kurząc papierosa, podczas gdy drugi, pochylony nad otwartymoknem, rozmawiał jeszcze z kierowcą, rudym jak wiewiórka.

Już nawidok pana Edmunda odruchowo schowałem się do klatki, stamtąd

226

tylko zerkając, czy aby gdzieś nie pojawi sięteż Gerard.

W końcu pochylony nad autem mężczyzna wyprostował się.

Był w czarnym grubym golfie, a na środku jego głowy błyszczała tonsura.
Chociaż zerkałem przez szpary w klatce, niewidocznym dla tamtych, oblałem się zimnym potem.
Nie miałem żadnych wątpliwości: to był Księżyk.

Szykując i pakując rzeczy na Mazury, natknąłem się w komórce na wędkę taty.

Cały zestaw.

Przywiózł je kiedyś z Finlandii.

Kilka razy zabierał mnie i Mateusza na ryby.

Słabiz nas byli wędkarze, połowymiewaliśmy mizerne, ale siedzenie nad brzegiem rzeki, wpatrywanie się w leniwy prąd, wystawianie bladego ciała do słońca, zerkanie na lekko kołyszący się spławik - bywało całkiem miłe.

Później zbieranie chrustu, ognisko, pieczenie kiełbasy, czasami ryb, nocleg w namiocie - to wszystko wspominałem z przyjemnością.

Tknięty nagłym impulsem, postanowiłem zabrać ze sobą cały sprzęt.

Darek wprawdzie nic nie mówił o wędkowaniu, ale w razie kryzysu żywnością mogłem nawet całaj wyprawie uratować życie!

Wędki były składane, zachował się też zapas żyłek, duży wybór spławików, bityszczyków, sztucznych muszek.

Załadowałem wszystko, jak leci, doplecaka, chociaż zastosowania niektórych sprzętów nawet się nie domyślałem.

Nic to, na miejscu na pewno ktoś będzie się znał na wędkowaniu.

Pojechało nas tylko siedmioro.

Ja z Elą, Darek z Ewą, Danusia ze swoim kolegą spoza szkoły, Irkiem Maturem, i samotny Piotrek Kłasz, nasz kontrabasista, którego dziewczyna puściła w trąbę na tydzień przed wyjazdem i pojechał z innym.

Rozbiliśmy obóz na tyłach leśniczówki, w miejscach znanymi z poprzednich wypraw.

Leśniczy, pan Filip, pozwolił nam korzystać ze swojej zapasowej wygódki, co szczególnie ucieszyło dziewczęta.

Od razu zaczęły się żagle.

Darek wypożyczył omegę i zaczął nasszkolić.

Nie wszyscy okazali się wystarczająco wytrzymali.

Ja

227.

miałem dość po godzinie, gdy wyrzygałem już co mogłem, a dalejczułem mdłości.
Tak samo Ewienie odpowiadały chybotliwe deskipokładu.
Również Irek wyraźnie zieleniał na wodzie i po jednym dniu zrezygnował z dalszych prób.
Darek ocenił nas jednym słowem, niezbyt pochlebny, i wytrwale szkolił pozostałą trójkę na wilków morskich.

Teraz przydały się wędkę.

Po krótkim kursie u pana Filipa zbierałem robaków, narobiłem kuleczek z chleba i poszedłem nad pobliską rzekę.

Tam, w ustronnym miejscu, zarzuciłem dwie wędkę i zacząłem rozmyślać o swojej sytuacji.

Spławik to dziwny stwór.

Niby martwy, a co rusz daje znaki życia.

Drga, tańczy, kłania się - wtedy tylko oszukuje.

Gdy znika - raduje się serce wędkarza.

W tej samej chwili ryba czuje pierwsze ukłucenie pokoju.

Połknęła coś, robiła to w tym i w innych miejscach tylerazy, chce płynąć dalej, a coś jej przeszkadza.

Dziwny opór, twardy i niezrozumiały.

Jakiś kłujący.

W ogóle z tym, co znane i zrozumiałe, koniec.

Nagle zostaje wyrwana winny wszechświat: suchy, pusty, oślepiająco jasny, dziki i przepełniony bólem, cierpieniem wysychania.

Przecuciem śmierci.

Dwa, trzy razy wraca jeszcze na ułamki sekund do znanej rzeczywistości, chyba tylko po to, aby mocniej świadomości sobie poniesioną stratę, wiedzieć, jak boli przejście przez bramę między mokrym życiem a suchą śmiercią.

Gdyby mogła wybrać.

Nie może!

Jest już w rękach Obcego.

Straszny jest: ogromny, o suchym wstrętnym ciele.

Tylko dwie maleńkie krople wilgoci przypominają w nim prawdziwym rybim życiu.

Śliskim, zimnym - rozkosznie mokrym.

Pełnym radości zerowania, składania ikry, lekkiego unoszenia się opadania, miłkiego piachu, ciemnego mułu, gęstych wodorostów.

Ciszy.

Życie?

To już przeszłość?

Czy teraz?

Rozpalone śmiercionośne światło, na które Obcy wystawiają w bezmyślnym okrucieństwie, gdzie tylko dusi się i wysycha.

Traci swą

228

oślizgłość, traci ją w strasznej męce i panice, wyginając przystęcało w łuk, podskakując w parzącym skrzela powietrzu, czując, jak łuski zamieniają się w szeleszczące skorupki.

Rozorany haczykiem pyszczek szuka wody.

I to nie "wody życia", ale zwykłej wody, która właśnie jest tak życiodajna, wilgotna nadzieją przyszłości.

Czym zawiniłam?

- myśli sobie ryba.

Dlaczego takilos spotykawłaśnie mnie?

Gdzie popełniłambłąd?

Dlaczego ja?

Czy mój światistnieje dalej beze mnie?

Takimiałem wtedy nastrój i tyle mniej więcej radości sprawiałomi wędkowanie.

W tępych,złaknionych wodyrybich pyszczkach doszukiwałem się parafrazy własnego położenia.

Tak bym się czuł w więzieniu.

I takiemiałbym szansę na przeżycie.

Mógłbym tylko liczyčna litość rybaka, który dniami, tygodniami stoi na brzegu i dybie namnie.

I co?

Puści, jak złapie?

Toż towbrew logice, wbrew zasadomzdrowego rozsądku.

Każda następna płotka utwierdzała mnie w podjętej już, ale wstydliwie skrywanejwciąż przed samym sobą decyzji.

A jak na złość ryby brały jak szalone.

Wręcz wrywały się paszczęśmierci.

Może w ten sposób poświęcały się za mnie, bo gdy złapałemwielkiego leszcza, do którego pierwszy raz wżyciu musiałem użyćpodbieraka, przestałem filozofować i dałem się ponieść łowieckiej pasji.

Miejscebyłourokliwe.

Z dość wysokiego brzegu pochylała się nadprzesmykiem między dwoma jezioramistara wierzba, o której pieńmogłem się oprzeć.

Metr od drzewa niewielki żleb prowadził ostrow dół, nad wodę, gdzie stoczyłem bój z leszczem olbrzymem.

Miałna pewno ponad dwa kilo.

Walczyłem z nim zaciekle -ja dla zabawy,dreszczyku emocji, może trochę dla żarciai sławy; on- o życie.

I przegrał.

Jak każdy, kto walkę musiałby stoczyć poza własnymśrodowiskiem,wyrwanyze znanego mu świata i rządzących nim praw.

Przegrał z silniejszym, który potrafiłnarzucić własne zasady gry.

Słabszyprzegrywa.

Niedobrze jest być słabszym.

Taki był pierwszy dzień mych rozterek.

Aż bałem się, czy przykażdej rybie będę musiał przeżywać tosamo.

229.

W obozie powitano mnie jak bohatera.

Dziewczyny wypatroszyły ryby.

Osiem sporych płoci, dwa leszcze - jeden z nich ogromny - i cztery okonie, przy których moje bohaterstwo zostało niecnie skłete przezplęć skrobiącą.

Mniejszego leszcza i trzypłocie zanieśliśmy z Elą do leśniczówki.

Pan Filip dziękował wylewnie, aw rewanzu jegosyn przyniósł namdwiebutelki jabłkowego wina.

Było młode, ale mocne.

Do pieczonych nad ogniskiem ryb, do świeżego chleba z masłem - takiego wiejskiego, o twardej skórce, którego jednapajda wystarczała dwóm dziewczynom na kolację - do takiego chleba smakowało jak ambrozja.

Cierpka a rozkoszna radość, gdy złoty płyn, rozgrzewając przełyk, spływał do żołądka wraz z przydymionym, delikatnym mięsem, tak innymod przyrządzanego w domu, wmieście.

Czar przemiany zwykłych jabłek wpłynęzłoto.

Uczta poprzedzona rzezią niewinnych mieszkańców jezior i rzek.

Złudna chwila zapomnienia dla mnie, gdy po kolacji poszliśmy do namiotu, gdzie z Elą mieliśmy dokonać całkiem innego misterium.

Bez światła, przy nikłym i odległym blasku wygasającego ogniska, przy którym pozostali piekli jeszcze ziemniaki, zdejmowaliśmy z siebie;

ubranie.

Wino szumiało w głowie, oczy błyszczały podnieceniem, oczekiwaniami.

Pierwszy pocałunek o smaku jałowca, jej szyja o zapachu jeziora, włoski pod pachami, lekko wilgotne, spryskane rodzącym się podnieceniem, drżący pod mymi wargami brzuch, te gęstsze włosy, o zapachu obietnicy, czarujące miękkością i delikatnością aksamitnej skóry.

Westchnienia, jęki, nadzieja radości.

Pęd ku spełnieniu.

Przyjmowała mnie zachłannie, bez lęku, odganiając obawę bólu, problemów pierwszego razu.

A ja chciałem się zatracić w niej, zapomnieć sobie, nie wiedzieć, kim jestem i comnie czeka.

Luđało mi się tak bardzo, że przez to straciłem nad sobą panowanie i nasza inicjacja skończyła się, zanim jeszcze dobrze poczuliśmy siebie nawzajem.

Wtuliłem się, zawstydzony, zawiedziony samą sobą, w łuk jej szyi, schowałem się za uchem, we włosach.

I stamtąd słyszałem jej wes

tchnienie, ni to bólu, ni zawodu.

Wyślizgnęła się spodnie po chwili i poszła do przedsionka, skąd rozległy się odgłosy wlewania wody do miski, pluskania.

Przyszła po chwili, już ubrana, uklękła nade mną i powiedziała:

- No widzisz?

Prawie nie bolało.

Ale dzisiaj to już więcej nie.

Chodźmy do ogniska.

Może jeszcze nie pożarli wszystkich kartofli.

Poszła.

Ubierałem się powoli.

Wino wywietrzało, smak ciała Eli zniknął razem z nią.

Byłem sam w próżni życia, przedemną przepaść, w którą już skoczyłem.

Zastanawiałem się tylko, ile czasu mi zostało do uderzenia o ziemię.

Siedzieliśmy przy ognisku jeszcze długow nocy.

Było ciepło, gwiazdziście, mroczno w poświacie żaru, w którym dochodziły ziemniaki.

Ela była nienaturalnie ożywiona.
Śmiała się co chwila niemal bezpowodu, piła resztki wina, śpiewała harcerskie pieśni.
Tylko ja siedziałem osowiały, pusty i samotny wśród przyjaciół.
A oni okazali się natyle delikatni, że przypisywali to mojemu sieroctwu.
Nie wyprowadzałem ich z błędu.

Moje wyprawy na ryby weszły w zwyczaj.
Przynosiłem połów, którym dalej zajmowały się dziewczyny; siedzieliśmy przy kolejnych ogniskach, popijaliśmy wino pana Filipa (gdy złowiłem wystarczająco dużo, by było się czym podzielić) albo kwaśne piwo z pobliskiego miasteczka.

Tylko z Elą nie układało się tak, jak chciałem.

Gdy pod dwóch dniach znów byliśmy razem, podnieceni, radośni, pełni nadziei i apetytu na swoje ciała, gdy pieściliśmy się nawzajem, szukaliśmy miejsc pełnych wzruszeń - wtedy czułem się zdolny stawić czoła wyzwaniom życia.

Ale czar przysł, gdy po czterech, pięciu ruchach w ciele ukochanej rozszalał się spazm wytrysku, wcale nierozkosznego, wręcz bolesnego i niechcianego.

I gdy znów usłyszałem westchnienie trudniejszego już teraz do ukrycia zawodu.

 Nie okazałażłości, zniechęcenia.

Głaskała mnie, przytulała, ale była w jej rękach jakaś pobłażliwość, litość.

I nie wykazywała ochoty

 231.

na powtórna próbę.

Mnie zaś przeszywał dreszcz strachu, że tak już będzie, tak zostanie.

I następnej nocy nie umiałem tej obawy się pozbyć, zapomnieć o pierwszych porażkach. Opóźniałem moment pójścia donamiotu; teraz ja bawiłem całe towarzystwo, śpiewałem, opowiadałem sprośne kawały, piłem piwo bez umiaru.

A kiedy zostaliśmy wreszcie sami, opuściła mnie odwaga i dobry nastrój.

Sztywni przestraszone zbliżałem się do Eli, z góry zakładając kolejną porażkę.

Ona też się bała, czujna jakaś inieszwoja.

Dodatkowo męczył mnie przepełniony pęcherz.

Co chwila musiałem biegać w krzaki, a po każdym powrocie Ela była coraz sztywniejsza i mniej czuła na moje pieszczoty.

- Tomek?

- szepnęła, gdy mozołnie zdejmowałem spodnie po kolejnej wyprawie w zarośla.

- Dajmy dzisiaj spokój.

Coś mnie głowa.

No wiesz, boli mnie jakoś.

- I dodała bez sensu: - Musiałam pewnie ziębnąć, czy co.

Następnego ranka przybył niespodziewany gość.

Zdzisiek, brat Ewy.

Przyjechał maluchem.

- Wpadłem do was, dzieciaki, bo w mieście orła można odwalić te upały.

A na Mazurach zawsze przyjemniej.

Mamy teraz dwa tygodnie wolnego, potem jedziemy na festiwal do Łądka Zdroju.

Niedługo każda większa wioska w Polsce będzie miała swój festiwal.

Społeczeństwo nam się tak rozwija, że u nas, wyobraźcie sobie, nawet taki Nalewajczyk, woźny, rudabestia, kupuje sobie dużego fiata, podczas gdy wielki dyrektor Tomaszek jeździ skodą, koncertmistrz ma za ledwie zaporożca, że o sobie już nie wspomnę.

Ale, byłbym zapomniał!

Czytaliście?

- i wyciągnął przedwczorajszą gazetę, podtykając nam pod nos jakiś artykuł na drugiej stronie.

- Camparo nie żyje!

Toci draka.

Kipnął we własnej posiadłości, na oczach żony i przyjaciół.

Deborah!

To nie może być prawda!

Jak Federicomógłmi to zrobić!

Teraz, kiedy wreszcie zaczęliśmy żyć jak ludzie, gdy miałam własny ogród, własną sypialnię z buduaem, trzypsy i kabriolet.

Miałam

232

tyle planów, wydatków, a on tak głupio.

Ach, co za słabeusz.

I to wobec tylu ludzi!

Będę teraz pośmiewiskiem wszystkich.

Co gorsza, ten głupiec nie ubezpieczył się od swojej śmierci.

Nie dostanę anigrosza!

Dobrze chociaż, że nie zdążył podpisać umowy z Mambią, inaczej ten cwaniak by mnie zniszczył.

Jaki bezczelny!

Już teraz żąda odszkodowania, bo podobno ustne zobowiązanie się dokupna tych jego głupich skrzypiec to już jest jak umowa.

Co za kretyn.

Myśli, że jak ma z biedną kobietą do czynienia, to mu wszystkowi! No!

Bezczelność.

A ja nie mam z czego płacić.

Po co mi reszta teraz tego skrzypce?

Musisz mi znaleźć kogoś, kogoś nad biedną wdową lituje, obroni mnie.

Ktoś bogaty, wpływowy.

Nie.

Nie musi być zaraz kawalerem.

Z tym sobie umiemporadzić.

Jak to nie znasz nikogo odpowiedniego?

A Zaffi?

A Primor, ten serbski arystokrata?

Poznaj mnie z nimi.

Za miesiąc muszę spłacić architekta, rzeźbiarza dwie raty za dom.

Pewnie, że tyle to mam.

Ale jak zapłacę towszystko, to będę goła.

Nie możesz mnie zostawić bez pomocy.

Nakogo mam liczyć, jak nie na najlepszą przyjaciółkę?

Zaffi będzie u ciebie pojutrze.

Jak to nie wiesz?

Co mnie obchodzą goście Gasparo.

Masz go zaprosić.

Wymyśl coś.

Ach, ten Federico.

Tak mnie urządź.

Czy to nie jest bezczelność, mając sześćdziesiąt dziewięć lat, nie ubezpieczyć się na życie?

Zawsze był marzycielem.

To ta Claudia tak go rozpuściła.

Idiotka.

Nawet nie wiedziała, co się dzieje.

Sama umawiała nas na spotkania, pchała mi go do łóżka, a później dopiero lamente, groźby, pretensje.

Wariatka!

Jakby się częściej przeglądała w lustrze, to by wiedziała, że jej czas już minął.

Ja nie będę tak głupia.

Zresztą, jestem wdową.

Czysta kpina.

Mam dwadzieścia osiem lat, wyglądam na dwadzieścia, nie mam męża, kochanka, tylko rachunek do zapłacenia.

Niemam pracy.

Co? U Gasparo?

Jako tłumacz z rumuńskiego i polskiego?

A ile ja bym mogła zarobić.

Ty masz mnie poznać z Zaffim, a nie stroić sobie żarty.

No dobrze, może być w przyszły czwartek.

Jutro to może faktycznie by było trochę wcześniej.

Dopiero tydzień, jak Federico tak mnie urządził.

I czym
233.

on się tak przejął?

Czy ta moja rzeźba nie pasowała do fontanny?

Czy to komuś mogło przeszkadzać, by zamiast tych wszystkich nagich Dian, głupich amorków, wyszczerzonych lwów, byłyby sobie w fontannie.

po prostu skrzypce?

Czy to jest powód, aby na ten widok dostać zawału?

Wobec tylu gości!

Federico!

Och, ty głupcze!

Całe szczęście, że się w końcu zdecydowałaś.

Drzemie jednak w tobie, ty zбочeńcu, trochę odwagi.

Jesteś facet z jajami, chociaż specyficznie tookazujesz.

Już dobrze, nie będę się wyzłośliwiać.

Sprawa z Contescu jest dograna.

Dostaniesz czwartą część ceny.

Ja tyle samo, reszta dla Contescui jego pośredników.

No, myślę, że się zgadzasz.

Od tych rzeźmistrzów nie dostałbyś nawet jednej dziesiątej.

To już twoja sprawa.

Może wystarczy, jak zgolisz wąsy?

Albo założysz perukę?

Dobrze, więcej nie będę kpiała.

Masz coś do pisania?

No to podaję ci adres Contescu.

Zapisałeś?

Tylko żebyś nie skrewił, bo Contescu, dla odmiany, ma długie ręce.

Pani Owczarkowanie dożyła przeprowadzki.

Dzień przed przyjazdem zamówionego transportu, gdy część rzeczy przewiozłyśmy już nawet do bloków, umarła.

Po cichu, we śnie.

Odwróciła się w noc na lewy bok i w tej pozycji zastała ją śmierć.

Gdy budziłam ją rano, delikatnie potrząsając z ramieniem, opadła na plecy, ale jej oczy błędnymi już w poszukiwaniu dawno straconych córeczek.

Tyle śmierci widziałam przez te lata, młodszej i okrutniejszej, przychodzącej bez ciszy skupienia, w panicznym bólu i strachu, takiej, przed którą próbując chronić zaciśnięte ramiona przerażonych rodziców, wpatrzonych w gasnące oczy niewinnych dzieci, a do niej przyszła śmierć dyskretna, z palcem przyłożonym do sinych warg i bez kosy, bez przemocy zabrała panią Owczarkową.

Możesz usiła ją obietnicą z dawna oczekiwanego spotkania?

Roztoczyła wizję radosnego spaceru z obiema córkami, które tak długo czekały na matczyną pieszczotę?

Nie dowiem się.

Nie potrafiłam zamknąć jej oczu.

234

Sześć lat mieszkaliśmy razem.

Matka i córka.

Tylko przez kilka ostatnich miesięcy to ja się nią opiekowałam.

Wcześniej pani Owczarkowa robiła mi obiady, kolacje.

W sprzątaniu jedynie jej pomagałam, właściwie symbolicznie, bo gdybyłam w pracy, to ona samawszystko doprowadzała doładu.

Bezczynność męczyła ją tak jak niektórych praca.

Pozbawiona zajęcia, zaczynała pewnie myśleć o swoich dziewczynkach.

O smutku życia.

Musiałam odwołać przeprowadzkę, zająć się pogrzebem.

Smutny był, skromny i prawie bez ludzi.

Przyszła Renata z chłopcami i Klementynką, jedna sąsiadka, która przez cały czas płakała ze strachu, że pewnie jest następna w kolejce, ksiądz.

Modlitwa, ostatnia droga na ramionach przygłupich skacowanych chosiłków, ziemia zabębniła o wieko trumny i.

skończył się żywot pani Owczarkowej.

Zostałam sama.

Przez tych sześć lat nie potrafiłam związać się z nikim na stałe.

Miałam dwóch.

kochanków?

No cóż, gdy przyrównam ich do mojego Hefajstosa, to szczególnie pierwszy z nich wypadł cienko, bo chociaż doktor Ignacy Lepionyk był czuły, ciepły, dyskretny i wrażliwy, nie potrafił jednak rozpaść we mnie tego ognia, jaki czułam już na schodach prowadzących do kotłowni.

Ignasz płakał razem ze mną nadumierającą, cierpiącą dziewczynką i w moich ramionach, w pokoju lekarzy, szukał później zapomnienia.

On jeznajdował - ja nie.

Dlaczego więc pozwalałam mu "używać" siebie?

Przecież tytu lekarz odmawiałam w takich samych okolicznościach.

Umiałam bronić się bez krzyku, awantur.

Nie chciałam, i już.

Odmienność Ignasia polegała na braku buty, pewności siebie.

Nie starałam się imponować wiedzą, cynizmem, odwagą, brawurą.

Mówił mało i cicho, i przez to wydawał mi się mądry.

Potrafił usiąść przy pacjencie, słuchać jego żalów, kiwać głową, pocieszać.

Na ustach zawsze miał nieśmiały uśmiech.

Przypisywałam to jego wrażliwości, dobroci.

Ale z tym samym uśmiechem spełniał ze mną krótkie akty "miłości" i cierpliwie wysłuchiwał moich

słów, planów, bo na początku durzyłam się w nim i marzyłam o wspólnym życiu.

Ale tylko ja.

Onnie podejmował żadnych kroków.

W pewnym sensie traktowałam go jak Roman.

Byłam, zgadzałam się, więc korzystał.

To mu starczało.

Biernie czekał do następnej okazji, ani samemu jej nie prowokując, ani nie próbując zamienić naszego związku w coś stałego.

Może gdyby był lepszym kochankiem, to trwałoby także do dzisiaj?

Wyobrażam sobie, że on byłby do tego zdolny, bo w jego milczeniu odkryłam brak czegokolwiek do powiedzenia, w jego przejmości - grzeczną obojętność, w uważnej opiece nad pacjentem - litościwe zakłopotanie pomieszane z poczuciem obowiązku.

Gdy wreszcie oznajmiłam mu, że tak dłużej nie mogę nie chęć - zaakceptował to i zostawił mnie bez słowa.

Gdyby to jeszcze był z jego strony jakaś gra!

Ale nie.

On przyjął moje słowa do wiadomości po prostu dostosował się do nich.

Och, Ignas!

Do dziś cię nierozumiem.

Dzięki niemu dowiedziałam się o swej bezpłodności.

Po pierwszych spotkaniach, nie mając od dawna kontaktów z mężczyznami, a posiadając już jakąś wiedzę o pochodzeniu dzieci, poszłam do ginekologa.

Chciałam mieć dziecko, czyli chociaż na tyle skorzystać z znajomości z Ignasem.

Ale okazałam się bezpłodna.

Trochę potrwało, zrobiono badania.

Jajowody nie przepuszczały jajeczka.

Lekarka rozłożyła ręce, uzalała się nade mną i wezwała następną pacjentkę.

Powiedziałam o tym Ignasiowi.

Pokiwał głową, przytulił mnie ispytało następny dyżur.

Od tego czasu niewiele już zostało do naszego rozstania.

Marian Rekuć, jeden z dwóch moich dawnych konkurentów w Opatowiu, przed którymi tak mnie ostrzegł doktor Fleszek, zawitał do wielkiego miasta.

Miał kolegę pracującego w naszym szpitalu i tak się powtórnie zetknęliśmy.

Za pierwszym razem umówiłam się z nim pod pretekstem opowiedzenia mi o zmianach, jakieżaszyły w Opatowiu po moim wyjeździe.

Marian uwodził mnie i czarował całkiem jawnie,

236

otwarcie.

Pozwalałam na to, ciekawa dalszego ciągu.

On zaś cierpliwie, ostrożnie, zapraszał mnie do kina, na tańce, do teatru.

Wreszcie zaprosił do siebie, do wynajmowanej kawalerki ze ślepa kuchnią.

A ja, z ciekawości raczej niż z miłości bądź zuroczenia, poszłam.

I z nim odnalazłam ten odczuwany przy Romanie żar.

Z nim przeżywałam spełnienia oszałamiające i wciągające jak narkotyki.

Szczególnie wryła mi się w pamięć ślepa kuchnia.

Mała, ciemna i obskurna, miała jedną interesującą cechę - bardzo szybko się nagrzewała.

Starczyło włączyć jeden z trzech gazowych palników, aby po kilkunastu minutach mieć namiastkę żar.

Obok kuchenki był blat, pokryty podobnym laminatem jak pamiętny blat z kuźni mego Hefajstosa.

Po kilku miesiącach naszej znajomości zapaliłam gaz i usadowiłam się na miejscu do krojenia chleba, owoców, pomidorów - sama jak dojrzała brzoskwinia.

Marian wyszedł na chwilę zadzwonić odsąsiada.

Gdy wrócił, w naszej saunie było już dobrze ciepło, a ja zaczynałam się pocić, nie tylko z gorąca.

Okazał się domyślnym kochankiem.

O nic nie pytał, nie narzekał na niepotrzebne wydatki związane z wypalaniem się gazem.

Spodobał mu się pomysł, urzekła go nowa pozycja i cieplarniane warunki.

A ja?

Czy szukałam w nim Romana?

Teraz usiłuję wmówić sobie, że nie.

Ale w fantazjach posypywałam Mariana pyłem księżycowym, prochem spalonych kasztanów, suszonym spróchniałego pnia, popiołem moich wspomnień i wyobrażałam sobie zwoje jego mięśni pod tak podniecającą patyną.

Czułam żar rozbuchanego tużobok pieca, słyszałam szuranie łopaty w stercie węgla i odczuwałam początkowe zakłopotanie udawaną obojętnością mego ogniowładcze kochanka.

To pomagałam osiągać ekstazę, zbliżać się do absolutu.

Po takim akcie oboje byliśmy całkowicie mokrzy, zanurzeni we wzajemnej rozkoszy jak w miłosnym, sennym basenie, którego woda przylega i pieścicała kochanków oleistością konsystencji, taką że światła snu, lepkiego, zwiewnego, dusznego od zakazanej żądz.

Z jego włosów kapywała moje policzki sól życia, po plecach płynęły mustrugi spełnienia

237.

moich niezwykle zachcianek.

Nabierał powietrza, niósł mnie na łóżko i za chwilę powtarzaliśmy naszą wyprawę pod arktycznie zimnym dotykiem białej pościeli.

Ponad rok spotykaliśmy się po kilka razy w tygodniu.

Oboje zadowoleni z braku konsekwencji naszego układu, z jego anonimowości.

Dobrze nam było z sobą tylko w łóżku.

Poza nim kłóciliśmy się, niezgadzały się nasze poglądy na medycynę, jej znaczenie, naszą w niej, służebną według mnie, rolę.

Oburzał mnie stosunek Mariana do ludzi, uznawanie z góry jednych za idiotów, innych za mędrków.

Również jego cel życia - zostać bogatym lekarzem, ordynatorem, dyrektorem, w każdym razie jakimś dygnitarzem - był mi obcy.

A on nie wstydził się jasno o tym mówić, wręcz naukowo uzasadniać takie postawy.

Nie był przy tym zły ani chamski.

Kupował mi kwiaty, upominki, nie spóźniał się na nasze spotkania; czuły i uważny w miłości, namiętny i czerpiący radość z naszych wspólnych doznań.

A mimo to.

Ani przez moment nie traktowałam go jako kandydata na towarzysza życia.

Ignasia - nieudacznika w łóżku, słabego, niepewnego swych sądów lekarza, milczka i, w sumie, głupka - darzyłam przez jakiś czas uczuciem.

Pragnęłam z nim mieć dziecko, zanim nie dowiedziałam się o swej skazie.

Od Mariana chciałam tylko jednego.

Dostawałam to i.

znów byłam pełna sił.

W pracy tryskałam energią, radość życia rozpieierałam nienaco dzień.

Na nowo czułam w sobie strumień mocy, którą starałam się przekazać pacjentom.

Potrafiłam nie spać całą noc inieczuć potrzeby odpoczynku w dzień.

Do dziś wierzę, że wtedy uratowałam życie jednego chłopca.

To był piętnastolatek, chory na raka płuc.

Gdy gopierwszy raz zobaczyłam, był po operacji i zaczynał serię naświetlań.

Błady, zrezygnowany, smutny smutkiem zimnym, cichymi ostatecznym.

Odwiedzała go matka i dwa lata młodsza siostra, stworzenie tak pełne życia i radości, że wylewały się one z niej rąbkami sukienki w grochy, zadrapanym małym palcem u nogi, dołkami w po238

liczkach i dużymi piegami.

Przy niej Karol, tak chłopcu było na imię, zazwyczaj się ożywiał: budził się w nim cień małego rozrabiaki, gdy wysłuchiwał paplaniny siostrzyczki o wszystkim i o niczym.

Ale z drugiej strony łóżka siadywała matka i płakała przez cały czas wizyty.

Więc kiedy na nią spoglądał - znów zamierał, przypominał sobie ciężącym na nim wyroku.

Do leczenia go zabrałam się z wielką determinacją.

Miał spędzić na moim oddziale jeszcze miesiąc, później bąkanoc o sanatorium, mając pewnienna myśli wszystkim nam obiecać miejsce wiecznej szczęśliwości.

On też tak myślał.

Podczas jednej z wizyt zabrałam jego matkę na korytarz i wymogłam na niej, aby zostawiła u mnie córkę (byli zamiejscowi, musieli dojeżdżać na odwiedziny prawie pięćdziesiąt kilometrów), a sama przez jakiś tydzień nie przyjeżdżała.

Zachowałam się jak znachorka, czarownica, obiecując kobiecie coś, czego obiecać nie miałam prawa.

Ale ona chwyciła się moich dziwnych zaleceń, zostawiła dziewczynkę i odjechała.

Agnieszka ucieszyła się z możliwości pobytu w wielkim mieście.
Zabierałam ją do kina, zoo, lunaparku, poszliśmy nawet do opery na *Zaczarowany flet*.
A potem ona to wszystko relacjonowała Karolowi, opisywała, przeżywała powtórnie razem z nimi dla niego.
Siedziałam z nimi, jeśli tylko mogłam, dorzucałam szczegóły, żartowałam, dogadywałam.
Wtedy on, cały rozpromieniony radością siostry, zapominał, gdzie jest, przekomarzał się ze mną i uszczęśliwioną Agnieszką.
Wieczorem zachodziłam do niego sama, opowiadałam niestworzone historie o pacjentach, którzy wywinęli się rakowi nawet po drugiej operacji, zachwalałam nasze metody, lampy, lekarzy i opowiadałam, gdzie go zabiorę razem z Agnieszką, jak tylko wyzdrowieje.
Nie zaprzeczał, słuchał, sam wtrącał różne uwagi.
Już nie tylko leżał w łóżku, ale zaczął chodzić po korytarzu, Agnieszka zabierała go też do parku - za moją zgodą i trochę wbrew woli jednego z lekarzy, który bardziej obawiał się złapania przez chorego kataru, niż liczył na jego dłuższe życie.
Po tygodniu Karol wyglądał już inaczej, mówił głośno i pewnie, śmiał się i układał plany na przyszły rok szkolny.
Jego matce, gdy

przyjechała w odwiedziny, pozwoliłam tylko popatrzeć z okna, jak jejsyn, oparty o drzewo, naśmiewa się z grającej w klasy Agnieszki.

Spojrzała namnie jak na cudotwórczynię, potem porozmawiała z równiezdziwionymilekarzami i pokornie odjechała do swojej wioski.

Gdy skończył się pierwszy cykl naświetlań, zrobiono Karolowi zdjęcie płuc. Byłam przy tym, jak nasz ordynator w czasie obchodumówiłozdrowieńcowi, że czegoś takiegojeszcze w życiu nie widział, i gratulował mu zatrzymania postępów choroby.

"Całkowita remisja!

Wszystko się jakby cofnęło.

Pani Stasiu, widziała pani kiedyś coś takiego?

".

Niewiele później Karol zaczął wychodzić na przepustki, zawsze z Agnieszką, otoczony jej paplaniną, uśmiechem i szczęściem.

Wtedy już odwiedzała go na nowo matka, znów płacząc, ale terazze szczęścia.

A po jakimś czasie ordynator, kręcąc głową, wypisał go do domu.

Rok później byłam unich przez tydzień.

Karol wyglądał zdrowo, nieszałał, oszczędzał się, miał też dziewczynę ("Tylko niech pani Stasia o tym mamie nie mówi, bo ona mi na nic niepozwala, bo się nawrotu choroby, a ja zdrowy jestem jak koń"), dobrze się uczył i często przebywał ze swoją siostrą.

Ten cud zawdzięczam Marianowi.

Odniego miałam siłę wmówić temu chłopcu, że nie musi umrzeć.

Ale jakie to dziwne: tak sam próbowałam pomagać innym dzieciom, ich rodzicom, zarówno wtedy, jaki później, a nigdy już czegoś takiego nie przeżyłam powtórnie.

Po roku naszych uniesień Marian, rzeczowo i konkretnie, oświadczył mi: "Żenię się. Możemy jeszcze ze dwa miesiące się spotykać, ale później już nie.

Ona jest córką prezydenta miasta.

Strasznie zazdrosna, rozumiesz więc.

Nawet teraz będziemy musieli bardziej uważać".

Tak to rozwiązał.

Nie miał w stosunku do mnie żadnych wyrzutów sumienia.

Nieczuł zobowiązań.

Co więcej - ja się z nim zgadzałam.

Żałowałam tylko tej energii, jakiej dostarczał mi do życia, bo teraz już wiedziałam, skąd ona pochodzi.

Następnych kilka lat przeżyłam sama.

240

Unikałam mężczyzn, owszem, ale nie czułam się wcale mniszką.

Niewierzyłam też w przypadki (o których często czytałam w książkach) sparzenia się kobiety w związku z jednym mężczyzną tak mocno, że na całe życie pozostawał jej urazdo innych samców.

Bo czyż życie to garnek z gorącą wodą, z którego oparzyć się można parą tylko przedziurawą pokrywkę?

Przecież żar namiętności może poranić, gdy złapiesz za brzeg naczyńia wilgotną ścierką, dotknięcie rozgrzanego ucha również boli, a można w końcu ukrop wylać sobiena nogi.

I co?

Kto z tego powodu zaprzestanie używania wrzątku i zacznie zaparzać herbatę wodą z kranu?

Życienie jest tak proste.

Zmieniają się nim co chwila nie tylko garnki, ale i kuchenki; gotować można nagazie, maszynce elektrycznej, na ognisku, na węglowym piecu.

Garnek możemy wziąć wielki, mały, może to być czajnik lub rondelk.

Któż po jednym oparzeniu zrezygnowałby z wszelkich prób?

Jeżeli są takie kobiety, to ja ich nie spotkałam.

Ani się do nich nie zaliczam.

Znacznie częściej obserwowałam takie kuchmistrzynie, co to raz za razem się parzą i niezważają nawet na to, że od ostatniego razu jeszcze skóra im się nie zblizniła.

A poza tym, Idm to ja miałabym się niby tak zrazić?

Takim kochankiem, jakim był, pożalsię Boże, mój Hefajstos?

Toż równie dobrze wiatru mogłabym mieć pretensje, że drzewa łamie, gdy wieje z całą mocą.

Cóż Roman miał wspólnego z tym, co ja z nim przeżywałam?

Był jak bierny narząd: to ja go wykorzystywałam i zużywałam jego energię.

A Paweł Peryzentowicz?

Nie był przecież moim kochankiem.

Nie potrafił.

Budził we mnie obrzydzenie, teraz, gdy wiedziałam, do czego był zdolny.

Tych uczuć jednak nie przenosiłam na nikogo innego z mojego otoczenia.

Ignas?

Cóż, nieudacznik, fajtłapa.

Marian?

Od początku grał ze mną w otwarte karty, nie mogłam mu niczego zarzucić i nie widziałam powodu do robienia mu scen.

Dlaczego więc, niesparzona, tyle kolejnych lat spędziłam sama?

Nie wiem.

241.

Zdzisiek był zapalonym wodniakiem, a Ela, po dniu smutku i nostalgii z powodu śmierci Camparo, rzuciła się do żagli z jeszcze większym zapałem niż dotychczas- Ja dalej chodziłem na ryby.

Uodporniłem się już na ich cierpienie i ból.

Z wędkowania najbardziej polubiłem stan podobny do transu, gdy powierzchnia wody zniknęła przed oczu, gdy patrząc w dal, nie widziałem żadnych detali, tylko rozmazaną szarość, zamgloną zieleń zlewającą się z niebieskim niebem w nieokreślonym odległym miejscu.

Umiałem trwać w takim zapatrzeniu, nie myśląc, nie czując, nie oddychając prawie. Czasami, kiedy złowiłem już wystarczająco dużego ryba na kolację, zarzucałem wędkę bez przynęty, tylko dla obserwowania płasów spławika, który najszybciej wprowadzał mnie w odpowiedni nastrój, o ile tylko nieznikał nagle pod wodą.

Czy wtedy myślałem o samobójstwie?

I tak, inie.

Tak, bo myślałem o różnych rzeczach.

Nie, bo było zbyt straszne wyobrażenie sobienicości, uświadomienie własnego "nie-bycia". Pamiętam że gdy jakodziecko dowiedziałem się pewnego razu, że każdy z nas umiera i że ja muszę też kiedyś przestać istnieć, poczułem zimny prąd w krzyżu.

Tak przerażający i długotrwały, że jeszcze w łóżku, późno w nocy, nie potrafiłem zestrachu, z powodu przenikliwości tego zimna, zasnąć.

Nauczyłem się o śmierci nie myśleć, odsuwać jej przecucię dna duszy, do przywalonych zapomnieniem wiadomości z chemii, niemieckiego i fizyki.

Tak dobrze byłem w tym wytrenowany, że i teraz myśli o samobójstwie nie potrafiłem rozważyć na serio.

Zdzisiek zalecał się do Eli.

Już wcześniej, gdy przyjeżdżał po próbach, niby tylko dla odwiedzenia siostry, tak mi się wydawało.

Teraz stało się całkiem jasne.

Przez pół dnia byli razem na łódce, wieczorami coraz mniej krępowali się moją obecnością. A w namiocie Ela wynajdywała coraz to nowe powody, by jak najszybciej pójść spać.

Byłem w rozterce.

Z jednej strony imponowała mi szlachetność takiego postępku: porzucić Elę, aby oszczędzić jej cierpienie, gdy wezmą mnie do więzienia.

Owszem, byłem gotów ją zostawić, ale żeby chociaż

242

ona później czuła się smutna, zawiedziona, nieszczęśliwa.

A tymczasem śmiała się i zalecała do Zdziśka całkiem otwarcie; nie psułem humoru, mój zły nastrój, moja melancholia.

Tak oddać pierwszą miłość w łapy starszego, wcale nie tak znów mądrego chłopaka, tak prosto bez oporu - to było zbyt banalne, płaskie.

Kiwając się nad wędką, często płakałem - nad sobą, nad Ela, że taka jest nieczuła, niedobra dla mnie.

Rozpacziałem nad swym przyszłym życiem, którego kolein nie umiałem w głowie poukładać.

Łzy płynęły mi z oczu w samotności, ciszy i spokoju.

Zamazzywały obraz spławika i w dziwny sposób sprawiały jakąś gorzką, oszukańczą satysfakcję.

Któregoś dnia, prawie tydzień po przyjeździe Zdziśka, gdy wypłakałem już swą dzienną porcję, ktoś wreszcie przerwał mi medytację.

Od strony obozu nadeszła Ewa.

Próbowała jeszcze kilkakrotnie żeglować, ale z kiepskim skutkiem dla jej żołądka.

Zawsze później chorowała cały następny dzień, i to na tyle ciężko, że zrezygnowała z kariery majtka.

Przyszła w lekkiej, przewiewnej sukience, w słoneczny i ciepły dzień, wnosząc blask i świeżość do mej samotni.

- To tu się kryjesz!

;.-Niekryję się, Ewuniu.

Fajnie, że przyszedłaś.

Usiądziesz?

- Aleja nigdy ryb nie łowiłam.

To ciekawe?

;'-Bo ja wiem?

Spokojnie tu jest, można pobyć samemu z sobą.

- Oj, pewnie ci przeszkadzam.

;

- Daj spokój, świruję już od tej ciszy i samotności.

Normalnie świruję.

- Jesteś jakiś smutny.

To po.

nowiesz, po śmierci mamy?

- Chyba tak - skłamałem.

-Pamiętam, jak zmarła moja babcia pięć lat temu.

Mieszkała z nami od zawsze, więc jak odeszła, to nie mogłam w to uwierzyć.

Od tego czasu często myślę o śmierci, o tym -co dalej.

A ty?

- Co ja?

- zrobiłem unik.

- Nie myślisz, gdzie teraz twoja mama.

jest?

243.

- Czasami.

- Nagle poczułem chęć opowiedzenia jej o mamie, o tym, jaka dla mnie była.

- Tylko wiesz.

Mama mnie nie bardzo.

kochała.

Albo raczej.

- Nieumiała okazać?

- Może.

- Ja nie jestem wyjątkowo mądra.

Ale jestem kobietą i dlatego myślę, że matka nie może nie kochać swojego dziecka.

- Czemu mówisz.

- Bo pomyśl.

Nosić kogoś przez tyle miesięcy w sobie, urodzić, karmić, ubierać, leczyć, chronić.

Nie można nie kochać.

Tylko czasami trudno.

- Mama kochała jedynie mojego brata, już nawet siostry nie.

- A ty?

Umiałaś jej okazać miłość?

Czy wyłącznie zazdrość?

- Nie wiem.

Jak byłem mały, to nie zastanawiałem się nad tym, co jej okazuję.

Później trzeba było się nią opiekować.

Robiliśmy torazem z siostrą.

A mama wciąż była opryskliwa, zła.

- Moja babcia, jak już czuła, że to koniec, zawołała mnie i tak powiedziała: "Ewuniu, na każdego przyjdzie ten czas.

Tyle przeżyłam.

Ciesz się życiem, abyś później umiała umrzeć".

A ja potrafiłam tylko płakać.

Ale pamiętam jej słowa i.

- Cieszysz się?

- Tomek!

Nie bądź taki.

dosłowny.

Pomyśl o matce.

inaczej.

Ona też była tylko.

- Chcesz się wykapać?

Jest tak gorąco.

- Gdzie?

Tutaj?

- Nie, coś ty!

Ryby byśmy na rok wypłoszyli.

Tam zaraz jest taka łąka.

Kiedyś już tam się moczyłem.

Masz kostium?

Zostawiłem wędki pod drzewem i poszliśmy się kąpać.

Znowubyłem tylko dziewiętnastoletnim chłopakiem pluszczącym się z ładną dziewczyną na wakacjach, chichoczącym wraz z nią, żyjącym chwilą obecną - zmartwienia zostawiając na później.

Woda była wspaniała, ciepła i w najgłębszym miejscu mielizny sięgała Ewie zaledwie do
244
szyi.

Próbowaliśmy łapać małeńkierybki, chlapaniśmy się, zakładaliśmy się, kto więcej razy bez oddechu przepłynie pod nogami drugiego.

Ewie zaledwierzaz się udało dwukrotnie, a mój rekord wyniósł pięćrazy.

Naprzewracaliśmy się przytym co niemiara, śmiejąc się za każdym razem jak dzieci, dotykając się niechcący obejmując.

Ale nie dokońca byłyto tyłkokoleżeńskie wygłupy.

Później wróciliśmy pod drzewo.

Ewa opalała się, ja znowu zarzuciłem wędki, bo mój dzisiejszy połów zapowiadał się kiepsko. Miałemzaledwie dwa okonie.

- Uwielbiam słońce - powiedziała Ewa, obracając się na brzuchi patrząc razem ze mną na wodę.

-Tak.

Słońce to życie -zauważyłem mądrze.

- Ale niedła ryb.

One nie lubiąsię opalać tak jak ty.

- Mhm.

Masz rację.

Która godzina?

Głodna jestem.

- Dopiero koło drugiej.

-Cholera.

Cała ferajna wróci pewnie o szóstej.

Wiesz co?

Chodźmy do miasteczka, na frytki i kiełbasę.

- Dobry pomysł, chodźmy.

Zwinałem sprzęt.

Odnieśliśmy go do namiotu, a potem poszliśmy, nie opowiadając się siedzącemusamotnie nad szachowym zadaniem Irkowi.

W miasteczku stwierdziłem, że mój sposób spędzania wakacji byłbardzo głupi.

Melancholia, smutek, gorzkie łzy: to dobre dla staruszków.

Muszę się z tego otrząsnąć.

Co mitam Ela.

Chce Zdziśka, niech go ma.

Nie jest przecież jedyna na świecie.

Ewa- taka piękna i radosna.

Co tam się przejmować Darkiem!

Muszę żyć.

Być mocny, bo słabi przegrywają wszystkie szansę.

Gerard, stradivarius - jakoś sobie z tym poradzę.

Po frytkach poszliśmy na gofry, a Ewa zmieściła jeszcze lody.

W miasteczku było kino, w wakacje dawali dwa seanse dziennie.

Wybraliśmy się na komedię z de Funesem.

Ubawiliśmy się do łez.

Ewa kilka razy łapała mnie zarękę, ścisła mocno, ale tylko przy szczególnie

245.

zabawnych gagach.

I chociaż uchwyty miała jak imadło, robiło mi się wtedy ciepło na sercu.

Ela była ostatnio dla mnie zimna i oschła.

Kiedy wróciliśmy do obozu, rozpalano już ognisko.

Nikt nie komentował naszej nieobecności, tylko garstka złowionych ryb nie wzbudziła zachwyty żeglarzy.

Ale my, przewidując to, kupiliśmy kilka porcji kiełbasy różnej.

Po długim błaganiu sprzedano nam surową wędlinę pieczoną, więc było nadzieję na patyki.

Wieczór nareszcie mijał mi wesoło i przyjemnie.

Tylko gdy poszliśmy wreszcie do namiotu, Ela powiedziała:

- Wiesz, Tomeczku, muszę wrócić jutro do domu.

Przyszedł telegram od mamy.

Ojciec źle się czuje.

Nic poważnego, w sumie nie wiem, po co im jestem potrzebna.

Jak wszystko będzie w porządku, to pewnie za kilka dni przyjadę z powrotem.

Ale nie miała ochoty na pożegnalną noc.

Wcale się tym tak bardzo nie zmartwiłem.

Baliśmy się stracić znów, dopiero co odzyskaną, wiarę w siebie.

Rozdział kontrastów.

Razem z Cerkwinem siedzieliśmy w wielkiej okiennej wnęce.

Z dołu, z podłogi, nie było nas widać.

Bawiliśmy się w ptaki, wysiadaliśmy właśnie młode.

Teraz wiem, że ptaki wysiadują jajka, ale my byliśmy takimi ptakami, które wysiadują młode.

Jakaś boczna gałąź kukulki.

Nie była to szczególnie ruchliwa zabawa.

W ogóle nie pamiętam, abyśmy się w nią jeszcze kiedy indziej bawili.

Tylko raz, wtedy w tej okiennej wnęce.

Wysiadanie odbywało się po cichu, więc i my niegdakaliśmy zagłośno.

Wiem, jako kukulki powinniśmy kukać, ale mieliśmy po siedem lat, dlatego bez przesady z tymi szczegółami!

No więc nie kukaliśmy, a gdakaliśmy po cichu.

Ostrzegła nas szmer ostrożnych kroków.

Ptak ptakiem, ale i w takim przebraniu drzemała w nas dusza Indianina.

Zastygliśmy w jednej chwili.

Nie zadrgało nam ani jedno piórko.

Napięcie rosło.

Ktoś wszedł po cichu do tej samej hali, pogwizdując fałszywie Deszcze niespokojne.

Szedł pod nami, po chwili zatrzymał się i powiedział:

- Tu jesteście.

Nieuciekliście.

Nasze pióra się nastroszyły, dostaliśmy gęsiej skórki.

Na dole był Gerard i słodkim głosem do kogoś przemawiał:

- Czekaliście?

Zaraz, zaraz.

Tutaj macie.

Nie tak szybko.

Przed kilkoma dniami w domu Gerarda wybuchła straszna awantura.

Jakiś czas temu jego matka zapragnęła mieć kota i pan Edmund Przybora przyniósł jej jakiegoś
rudzielca.

Przez kilka tygodni pani

247.

Przyborowa dbała o zwierzaka, wyczesywała mu sierść, karmiła gołakociami, aż przytył jak beczka.

Wychodziła z nim na smyczy, czymwzbudzała śmiech dzieciakowi zgorszenie sąsiadek. Trwało to niewiele ponad miesiąc.

Później nowy pupilek poszedł w odstawkę.

Nie dawał się jednak wyrzucić, conoc wracał do domu.

A po kilku tygodniach sięokocił.

Nawet my, dzieciaki, wiedzieliśmy, że todziwne.

I nawet myzrozumieliśmy wtedy, że to kotka.

Kociaków było pięć.

Pan Edmunddość szybko "wyszedłz nerw", znudziło mu się miauczenie drobiazgupo nocach lub w porze poobiedniej drzemki.

No i kazał Gerardowizapakować kociaki do worka i wywieźć na Stawy.

Sam widziałem, jakGerard, z workiem na plecach, maszerował w tamtą stronę.

Alepotemwcale się nie chwalił, nie opowiadał, jak się rzecz cała odbyła, więc sprawa szybko poszła zapomnienie.

A teraz stał trzy metry pod nami i słodko do kogoś przemawiał.

Wystawił naszą ptasią cierpliwość na długą próbę, bo spędził na tymkwilaniu chyba pół godziny.

Żaden znas nawet nosa nie wychylił.

W tym czasie baliśmy się już Gerarda całkiem serio, bo potrafiłniezależć nam zaskórę.

-No, nie drap, ty mały potworku.

Ale masz zębiska.

Będiesz chyba przywódcą całego stada.

O, a to co za krostka?

Czy ty nie jesteś chory?

Kwilił i gadał dotych kociaków, jakby był dziewczyną.

I to małą.

Jak do pluszowych misiów.

Musiał jeszcze nie przejść obrzędu wtajemniczenia, gdy przeprowadza się młodemu Indianinowi rzemień podskórą i on musi ten rzemień sam ze swego ciała wyrwać.

Inna sprawa- my też tego nie przeszliśmy.

Przez krótką chwilę widziałem, jak zapuścił się za jakimś niedyscyplinowanym kociakiem aż pod przeciwległą ścianę.

Niósł zwierzątko powrotem do kryjówki i wtulał w jego rudą sierść swą twarz.

Złąj przewrotną twarz Gerarda, a tak w tej chwili kretyńsko rozmarzoną.

Spuścił na oczy powieki, nucił coś maleństwu.

Pewnie te Deszcze.

Musielimy przecierpieć jeszcze długie pożegnanie, z każdym z kociąt oddzielnie, i powtórne zastawianie kryjówki.

248

Wreszcie poszedł.

Odczekaliśmy kilka chwil, po czym zesliśmy ostrożnie na ziemię.

Nawet wiedząc mniej więcej, gdzie kociaki są schowane, wcale nie było tak łatwo je znaleźć.

Gerard też miał swoje tajemne skrytki naterenie fabryki.

Dopiero gdy Cerkwin odsunął jedną z cegieł, zobaczyliśmy za nią dziurę, z której dochodziły leciutkie popiski wianamaluchów.

Ciasno tam chyba było całej piątce, ale ciepło, bo Gerard wyścielił im czymś wewnątrz.

Powyciągaliśmy na wpół śpiące kotki.

Wyjeliśmy też wyściółkę.

To był ten worek, w którym Gerard niósł kocięta stracenie.

Widzę je wciąż.

Trzyrude, dwa szare.

Kręcą się kółko, próbując się do czegoś przytulić.

Łażą po worku, znają jego zapach i dotyk.

Ile obrazów może zatrzymać człowiek na całe życie, ile zdarzeń?

Śmierć ojca: widzę ciągle plecy pielęgniarza, który niósł nosze;

pamiętam moment przebudzenia, gdy ktoś w środku nocy zadzwonił do drzwi, i słowa mamy: "To tutaj, proszę, tu leży".

I własne zastanowienie: o czym ona mówi?

do kogo?

Chłód, dreszcz, gdy wyszedłem na korytarz, i zdziwienie na widok dwóch obcych ludzi w białych kitlach, którzy taszczą coś długiego do pokoju rodziców.

Równienieprzytomna Paulina w drzwiach swego pokoju otulała się szlafrokiem, który dostała poprzedniego wieczora od ojca na imieniny.

Niewyraźne kwiaty na białym tle.

Rękawy zakończone pięknym haftem.

Jej drżące ręce, które chowała na piersiach i co chwilę wyjmowała, aby poprawić poły szlafroka, zacisnąć pasek, przejechać ręką po włosach.

Michał się wtedy nie obudził, Mateusz był na obozie szkoleniowym.

Drzwi do pokoju rodziców półprzymknięte.

Szloch mamy, grubybas lekarza, cienie ruszających się mężczyzn.

"Zabieramy.

Natychmiast".

I wiedziałem, i nie, co się stało.

Czułem ostateczność chwili, przerażenie siostry, słyszałem mamę: "Ale to nic groźnego?

Pani doktorze?

". I gruby bas: "Szybko, szybko".

Nagle otwarte drzwi, ojciec na noszach, o twarzy tak wykręconej bólem, a moim strachem, że go nie poznałem - chociaż nie mogłem przecież.

go nie poznać.

Plecy

pielęgniarka.

Zamknięte drzwi.

Twarz mamy, którą siły opuściły tak bardzo, że nie mogła nawet wyjść z sypialni.

I mądrość Pauliny, która

przyniosła jej szklanekę zimnej wody.

I cisza.

Dreszcz zastanowienia- co dalej?

Cichy szloch mamy.

"To może ja pojedę?

" - słowa Pauliny.

Plecy pielęgniarka.

Są wemnie gasnące oczy mamy, gdy umierała, dusiła się na moich rękach.

Pamiętam profil Eli; ruch ręki odgarniającej włosy przy słuchaniu Bacha, tego pierwszego wieczoru, kiedy zakochiwałem się w niej z minuty na minutę.

Twarz Gerarda, gdy Wysunął się zza pleców dyrektora Jakowskiej, aby powtórnie wejść w moje życie.

Srebrny zaśnieżyły Jezusek na tanim łańcuszku, podrygujący w rytmie kolejnych pchnięć.

".

„

Dołek w brodzie Marusi.

I moment, kiedy na chwilę zniknął.

„.

„

Ściana z poodpryskiwaną farbą i łóżko z wierszykiem: "Leżysz wale, a ja stale, twoją .

".

Wiele innych.

Pięć kociaków.

Trzy rude, dwa szare.

A może odwrotnie?

Nie!

Trzy rude.

Jak można usprawiedliwić samego siebie, gdy nikt cię nie oskarża?

Czym uspokoić sumienie, kiedy w żaden sposób nie można zrozumieć własnych motywów?

No bo tak: byliśmy Indianami, zgoda.

Indianinnie zna litości.

Fakt.

Ale nie znateż bezmyślnego okrucieństwa.

Już prędzej byliśmy ptakami, wysiadywaliśmy właśnie swoje potomstwo, w tym samym pomieszczeniu.

Małe ptaszki niedługo zaczęły latać.

Najpierw słabo, niesprawnie.

Przysiadają na gzymsie, innym razem?

na stercie gruzu w kącie, czasami wprost na ziemi.

Kocięta podrosną.

Gerard zapomni je nakarmić.

Cichyskok, krótka walka.

Kto wygra?

Czy może wygrać ptak, który nawet nie istnieje?

Tu jest luka w moim usprawiedliwianiu samego siebie.

Nie pierwsza, nie ostatnia - może dam więc spokój.

Zrobiliśmy to bez słów, bezuzgodnień.

Jednomyślnie.

250

Same weszły do tego worka.

Byłim prawie domem.

W drodze chyba usnęły, bo gdyby miauczały, protestowały, to może nasze małe serca nie pozostałyby obojętne.

-Hej hop, hej hop, raz, dwa, trzy.

Worek poleciał niezgrabną spiralą.

Plusnął dwa metry od brzegu.

Wtedy złapał nas zagardło strach, odwróciliśmy się na pięcie zmiataliśmy stamtąd coś w nogach.

Cerkwin, jak zwykle, szybciej ode mnie.

Ela wyjechała po południu następnego dnia.

Nadworzec odwiózł ją Zdzisiek swoim maluchem.

Czy już wtedy wiedziałem?

Domyślałem się.

Sprawa stała się jasna, gdy następnego ranka Zdzisiek też zwinął swoje manele i odjechał.

Czułem się zawiedziony, najbardziej tym, że nie dano mi możliwości wykazać się poświęceniem.

Co innego zrezygnować dziewczyny ze szlachetnych pobudek, a co innego zostać zrobionym w konia.

Nasz pobyt nad jeziorami przestawał mieć sens.

Z Darkiem żeglowali już tylko Danusia i Piotrek.

Ewa coraz częściej chodziła z zemną na ryby, aż Darek zaczął patrzeć na mnie zezem.

Irek też był zazdrosny, o Piotrka.

Nasze wspólne ogniska przestały być przyjemnością.

Coraz częściej jedliśmy po prostu chleb z dżemem, a moje ryby trafiały na stół pana Filipa.

Czas było wracać.

Każdy z nas to czuł.

W przeciwnym razie paczka przyjaciół zamieniłaby się w grzytających zębami swój widok wrogów.

A tego nie chcieliśmy.

Pewnego wieczoru Darek pierwszy podsunął pomysł powrotu o tydzień wcześniej, niż planowaliśmy.

Zgodziliśmy się z entuzjazmem następnego dnia zwinęliśmy obóz.

Bez żalu odwiedziłem ostatni raz pochyloną nad wodą wierzbę.

To z nią spędziłem tutaj najwięcej czasu.

Ona była świadkiem moich

251.

problemów, rozterek.

Moich łez.

I na swój sposób mi pomogła.

Spokojem, cierpliwością, szumem wiatru w gałęziach, twardym oparciem dla moich pleców.

Zostawiłem panu Filipowi w prezencie spinning taty.

Nie chciał od nas zapłacić za pobyt, a przecież nie tylko korzystaliśmy z jego terenu.

Dziewczyny co jakiś czas kąpały się myły włosy u niego w łazience, kilka razy dzwoniliśmy z jego telefonu, nadwątliliśmy mu zapasy jabłkowego wina.

A nad spinningiem tyle razy cmokał z zachwytem.

Zapraszał nas serdecznie na przyszły rok.

Gdzie ja będę za rok?

Przysposobienia obronnego uczył nas emerytowany, chociaż ledwo pięćdziesięcioletni pułkownik, Zenon Farszak.

Z pasją i nieskrywaną przyjemnością przyczynił się do podniesienia bezpieczeństwa naszego kraju, naszej socjalistycznej ojczyzny.

Ze wzdrganiem i obrzydzeniem powiadałam ponadprogramowo o zgniłym Zachodzie, zakłamaniu, w jakim żyją tam ludzie, o kulcie pieniądza i jawnej chęci "zaborczenia" naszej ukochanej wolności.

Nikt z klasy nie podejmował z nim dyskusji, aż tacy głupinie byliśmy.

Gerard na jego lekcjach z reguły spał, dzięki temu przez jakiś czas nie miał kłopotów z uzyskaniem zadowolających ocen.

Któregoś dnia jednak nie mógł zasnąć.

Danusia, która siedziała przed nim w ławce, opowiadała później o niezbyt świeżym oddechu Gerarda.

Może to prawda, bo nagle, w środku pasjonującego wykładu o liczbie belek na ramiennikach polskich żołnierzy, podniósł rękę:

- Panie psorze.

Mam pytanie.

Pan psor się zna na marynarce wojennej?

- Znam się na wszystkim, chłopcze, co dotyczy naszej armii.

- To świetnie.

Bo ja tak.

no..

Problem mam.

Ile centymetrów mają mankiety u spodni.

mata.

252

- Co?

- No, u mata, na statku.

Tego nigdzie nie ma.

Wie pan psor, onimają takie szerokie nogawki, no nie, i efektowne mankiety.

- No.

Pff.

Dwa, no.

dwa i pół centymetra.

- Dziękuję.

Wykład spokojnie odbywał się dalej.

- Panie psorze - Gerard znów podniósł rękę i wszedł Farszakowi w półsłowa.

- A u bosmana?

- No.

Pff.

A myślisz, że jest różnica?

- Na bank, panie psorze.

-Tak, moźetak.

No..

też dwa i pół.

- Ale jak tak zamknę oczy i patrzę, no nie, jak w rzedzie stoją, tochyba więcej.

-No tak.

Może trzy.

Trzycentymetry.

- Dziękuję.

Zenon Farszak zajął się rysowaniem na tablicy z pamięci pagonu generałapolowego, bo przez niedopatrzenie brakowało takiego w książce.

- A panie psorze, jeszcze tak.

Ile ma centymetrów mankietu spodni bosman-mata?

- Co?

- Farszak patrzył błędnym wzrokiem na Gerarda.

- Bosman-mat.

Taki stopień w marynarce.

- Wiem.

Po co ci te.

mankiety?

- Bo mi ten, no.

obraz skacze, jak nie wiem.

Zamykam oczy, nonie, widzę całą załogę.

Admirał, kapitan, majtkowie.

A bosman-mata.

, nie widzę.

-Tak na pamięć.

Niechę cię w błąd wprowadzić.

Trzy.

- Dziękuję.

Pierwszego oficerapan nie pamięta?

- Co?

-No dobrze.

Nic, nic.

Niech pan psor sobie rysuje.

Farszak wpatrywał się chwile w śmiertelnie poważną twarzGerarda.

Chyba w tej chwili musiałym się zacząć nasuwać niejasne

253.

podejrzenia.

Ale jeszcze wrócił do wykańczania generalskich gwiazdek na tablicy.

Reszta klas siedziała przyczajona.

Czuliśmy od pierwszego słowa, co się święci, Gerard jednak nie należał do jajcarzy.

Jego żarty były reguły grubiańskiej głupie.

Śmiał się z nich zawsze sam, często przywórcze łez ofiar swego wątpliwego poczucia humoru.

Dlatego teraz niejaką obawą obserwowaliśmy rozwój wydarzeń.

Nikt nie miał ochoty zarobić lufy z powodu wyglądu Gerarda.

- Panie psorze.

Jaki ładny rysunek.

A te, no.

na boku spodni, no.

te..

takie długie.

- Co?

- Już mam.

Lampasy.

To jakie są u mata?

Podwójne?

- Co?

Lampasy?

U kogo?

- Bo jak tak zamknę oczy, no nie.

mają lampasy.

Ale niedowidzę, czy podwójne.

- Twoje nazwisko?

- Przybora Gerard.

Ale ja nie mam lampasów.

,; - Ale masz dwójcę!

- No dobrze.

Jak pan nie wie u mata, to może ubosman-mata?

A- Za drzwi.

- Już idę.

Niech pan poprawi gwiazdkę, tę z prawej.

- Za drzwi.

Ale już!

Wyszedł bez dalszego oporu.

Pewnie od początku mu o to chodziło.

Farszak sapał, wpisywał coś do dziennika, kręcił głową:

- Kto jeszcze - powiódł morderczym wzrokiem poreszcie klasy - ma jakieś pytania?

Co za chamstwo!

Wrócił do tablicy i odruchowo startł generalskie szlify.

- Panie profesorze - odezwał się z nad zeszytu Darek - nie zdążyłem jeszcze przepisać.

- Też chcesz dostać dwójcę?

- Ależ skąd, panie profesorze.

Niech pan patrzy - i wyciągnął w kierunku Farszaka swój zeszyt.

254

Uchyliły się drzwi.

W szparze zobaczyliśmy twarz Gerarda:

- Już wiem!
Bosman nie ma lampasów.
Tylko bokobrody!
I uciekł.
Mało kto nie roześmiał się w tej chwili i skończyło się na dziewięciudodatkowych lufach.
Powrót do pustego mieszkanianie poprawił mi nastroju.
Paulinabyła w górach ze swoją paczką, Michał wyjechał na miesiąc, najpierw na kolonie, później na obóz z klubu piłkarskiego.
Nie zadzwoniłem do Eli.
Bałem się.
Nie miałem przecież pewności,co się stało między nią i Zdziśkiem.
Wolałem tego nie dochodzić.
Było mi tak wygodniej, łatwiej.
Czytałem dopóżna książki lub oglądałem telewizję,wstawiałem podwunastej.
Mało cojadłem.
Nie miałem apetytu.
Czekałem.
Jak na wyrok.
I doczekałem się choroby, przeziębienia,bo zacząłem kichać jak z armaty, łąpały mnie też dreszcze.
Potemzaczęłomnierównież boleć gardło i wpadłem prawie w euforię czarnychmyśli.
Nie wziąłem polopiryny,witaminy C ani wapna.
Z przyjemnością obserwowałem rozwój choroby, znajdując kretyńską radość w pogarszającym się z godzinyna godzinę samopoczuciu.
Gdy kładłen-isię spać, bolała mnie jużgłowa, po ramionach szarpały ostrymi pazurami złe koty, a śliny w ogóle nie mogłem przełykać.
Obudziłem się w środku nocy zlany potem, z gardłem jak płonąca pochodnia.
Poszedłem dokuchni, nalałem sobie szklankę zimnej wody i w tej mokrej piżamie wyszedłem na balkon.
Był sierpień,ale pogoda brzydka, wietrzna.
Trząsłem się, a zimna woda raniła mi przełyk, zamiast zaspokajać pragnienie.
Nie wytrzymałemdługo natymbalkonie, bo zawroty głowy wywołały jakiś irracjonalny strach,zmuszając mnie do powrotudo łóżka.
Podkołdrą nadal dygotałem,ale mimo "straceńczych zamierzeń" poczłapałem do szafypo suchapiżamę i koc.

Nie spałem zbyt wiele tej nocy.
Moje ciało pulsowało razem z łóżkiem, oknem i podłogą.
Mały ruch głową budził kowalskie miechy, które wbiły pod czaszkę języki ognistego bólu.
Gardło było otwartą raną, na którą ślina lub powietrze działały jak sól.
W przerwach pulsowania wciąż czułem dreszcze, i właśnie one - przecież nie aż tak przykre ani bolesne - przejmowały mnie największym strachem.
Umierałem!
Znalazłem rozwiązanie!
Tylko dlaczego to tak bolało?
Wreszcie nadszedł ranek.
Musiałem w końcu zasnąć, bo leżąc naboku, zastanawiałem się, dlaczego jedyną dolegliwością, jaką w tej chwili odczuwam, jest pragnienie.
Wstałem z łóżka, aby się czegoś napić, i w jednej chwili koszmar powrócił.
Zawrót głowy i straszny ból zmusiły mnie do położenia się prosto na podłodze.
Wracały dreszcze oraz pulsowanie całego ciała.
Zacząłem płakać, to jednak wymagało przełykania śliny, a ta czynność była zbyt bolesna.
Tak! Nie wstaje już tej podłogi!
Tutaj umrę.
Ale dowlokłem się do łóżka i wpełzłem pod kołdrę.
Nic nie kołobólu, który atakował każdą komórkę megalociała.
Bolała mnie nawet skóra na rękach.
Leżałem na rozżarzonych węglach, przykryty ponabijaną pinezkami płachtą, omiatany co chwila ognistym oddechem smoka, który uparł się spopielić mnie, lecz nie od razu, tylko potroszeczką, rytmicznie.
Taki smok sadysta.
Zaglądał co chwila przez okno i wypijał na moich oczach szklanek czystej wody.
Drugą wyciągał w moim kierunku gdy ja, przezwyciężając ból, sięgałem ponią drżącą ręką, on wtedy wypuszczał z pyska języczek ognia, stapiając szkło i wodę balon, który unosił się poza zasięg mojego wzroku.
Znowu zasnąłem.
Po przebudzeniu nie było ani lepiej, ani gorzej.
Ostrożnie, pomału, aby nie przebudzić czasem smoka, powlokłem się do toalety.
W czasie siusiania popatrzyłem w lustro.
Spodziewałem
256
się ujrzeć twarz upióra, ale wyglądałem całkiem normalnie, tylko oczy tak mi jakoś dziwnie błyszczały.
Tym samym wolniutkim krokiem doczłapałem do kuchni.
Dreszcze złapały mnie, gdy czekałem na zagotowanie się wody w czajniku.
Przecież musiałem się czegoś napić, a zimna woda nie wchodziła w grę.
Mogę nawet umrzeć, ale nie jestem aż takim masochistą!
Już dość krzywdy zrobiłem sobie dzisiejszej nocy!
Teraz będę umierał trochę przyjemniej, z herbatką i bez smoka.
Sporo wody rozlałem, zanim wreszcie napełniłem szklanekę.
Wciąż mi ręce tak drżały, że bałem się przenieść napor na stół.
Przysunąłem więc sobie z trudem krzesło do kuchennego blatu i czekałem, aż płyn nabierze koloru.
Gdy zbrązowiał, spróbowałem wypić go łyżeczką.

Niestety, te piętnaście centymetrów "między ustami a brzegiem pucharu" wystarczyło, aby herbatę dokumentnie rozlać.

Przysunąłem się bliżej i następną łyżeczkę wlałem sobie do ust bezpośrednio nadszklanką. Znowu błąd!

Wrzątek podzielał na mój przetyk jak rozpalone żelazo.

 Płacząc z bólu, kręciłem głową.

Jak trudne mogą być najprostszeczynności, gdy człowiek jest chory i zdany tylko na siebie.

 Studzenie na łyżeczce nic nie dawało.

Wychlapywałem wszystko już po kilku sekundach.

Musiałem odczekać, wstrząsany dreszczami, nękany znów przez fale gorącego

powietrza (choć smoka nie było) i nową przypadłość - ciekący hektolitrami katar.

Położyłem głowę na blacie i wpatrzony w herbatę marzyłem o śmierci bez tych wszystkich niedogodności.

 Balkon, krótki lot, zderzenie z ziemią - ale mieszkaliśmy na drugim piętrze i obawiałem się raczej pobudki w szpitalu z połamanymi nogami i rękami niż spokoju wiecznego spoczynku.

 Gaz, kuchenka.

Lecz do tego trzeba by wstać, przejść edwa metry.

i pewnie obudziłby się smok ze swoim uporczywym dmuchaniem.

Zaduzo zachodu.

 Znowu zasnąłem, z głową na blacie.

257.

Gdy się ocknąłem, herbata zrobiła się rozkosznie letnia, ręce przestały mi drżeć, samobójcze myśli odeszły w niepamięć.

Przełykanie było przyjemnością, ale przynajmniej pomagało gasić pragnienie.

Korzystając z lepszego samopoczucia, zaparzyłem sobie jeszcze jedną herbatę i poszukałem polopiryny.

Zrozumiałem już, że nie wybrałem zbyt inteligentnego sposobu rozstawiania się z życiem.

W łóżku znów poczułem dreszcze, w głowie zaczęło mi dudnić i zaparę chwil rozmawiałem ze smokiem.

Niewiele pamiętam z następnego nocy.

Przed śmiercią zpragnienia uratowała mnie ta szklanka herbaty, którą zaparzyłem i przyniosłem do łóżka po wzięciu tabletki.

W przerwach kolejnych ataków dreszczy popijałem po łyku, oszczędzając ją i z niepokojem patrząc, jak szybko jej ubywa.

Rano nie miałem ani siły, ani ochoty otworzyć oczu.

Leżałem jak w nirwanie, oderwany rozkosznie od ciała i jego bolesnych problemów.

Czułem tylko wszechogarniające zimno, dopóki jednak nie miałem dreszczy, było ono wspierałem przeciwieństwem rozpalonych oddechów smoka.

Pogoda się zmieniła, bo przez okno zaglądało okrutnie jasne słońce.

I tak musiałem wstać do toalety, zaciągnąłem więc przy okazji zasłony.

Po drodze zrobiłem trzy przystanki, bo podłoga była upstrzona czerwonymi plamami, po ścianach przesuwali się pulsujące bąble, a drzwi do łazienki uporczywie chowały przede mną klamkę.

W końcu zauważyłem, że są otwarte na oścież i wszedłem.

Z lustrem było coś nie w porządku.

Pociemniało bardzo i nie miało zbyt równej powierzchni.

Zdjęty niemocą, przysiadłem na brzegu kibelka.

Oddychałem głęboko, ale to, zamiast pomagać, tylko pogłębiło moją słabość.

Nagle odczułem paniczny, gorący strach przed śmiercią tu, w kiblu.

Muszę wstać, wrócić do łóżka i tam godnie poczekać na kostuchę.

Wstałem gwałtownie.

258

Świat zawirował, lustro było studnią bez dna, a ja byłem jednocześnie opadającym piórkiem i stuletnim drzewem walącym się pod huraganem, którego huk odczułem głęboko w własnym sercu.

Obudziłem się poparu wiekach maligny, po latach przekomarzań ze smokiem o twarzy Gerarda, który podawał mi puchar z pianistym napojem, a gdy zamierzałem skosztować płynu, nagle widziałem w środku tylko dziewczęce malutkie głowy: Marcysia z rozmazaną natwarzą szminką, wyuzdana Natalka, moja Ela, Ewa i

ta dziewczyna z parku, ze srebrnym Jezuskiem naszymi.

Odrzucałem od siebie puchar, ale jakieś ręce przystawiały mi go ponownie do ust.

Musiałem więc pić, dławilem się na myśl o losie główek w moim żołądku, próbowałem

walczyć, lecz to był przecież Gerard, zawsze ode mnie silniejszy, a teraz, gdy jestem słabiony chorobą.

- Tomek, cholera, jak mi to jeszcze raz rozlejesz.

Zgarnuszkami rosołu pochylała się nade mną.

Paulina.

- To.

ty? - Ucieszyłem się, przestałem walczyć.

Widziałem ją słabo, ale nie miałem wątpliwości, kim jest.

Ostatecznie jeżeli Paulina postanowiła nakarmić niewywarem z tyłu młodych dziewcząt, to niemoja wina.

Ona zawsze wiedziała, co robi.

Była w tym lepsza od mamy.

A ja leżałem znów w łóżku, smoka nie było, tylko gardło bolało igłowa.

Widok uwijającej się przy mnie siostry spowodował, że nie miałem już ochoty rozstawać się z życiem.

Bo ktoś mnie jednak kochał!

Smok zajrzał jeszcze raz, ale ruch i krzątania wystraszyły go.

Wzruszył ramionami, rzucił miostatnie, zawiedzione spojrzenie i odfrunął z parapu.

A nad sąsiednim blokiem rozplynał się bez śladu, jakby nigdy nie istniał.

- Tomku, lepiej ci?

- pochylała się nade mną zatroskana siostra.

- Tak.

- Byłem już w stanie się uśmiechnąć, chociaż bolało mnie wciąż tyle rzeczy naraz.

- Paulina, nigdy nie wiedziałem, że ty mnie kochasz.

259.

- Też masz tematy!

Dlaczego nie poszedłeś sam do lekarza?

- I wieszco?

Jateż cię kocham.

- Och - łzy stanęły jej w oczach - ty głuptasie.

Ty mój mały braciszku!

Mateusz obchodził szesnaste urodziny bardzo uroczyście.

W naszym domu zjawilo się mnóstwo jego kolegów i koleżanek.

Iz klasy, i z klubu pływackiego.

Były wśród nich dwie starsze dziewczyny, umalowane i wystrojone jak kobiety.

Używając swej pomysłowości, korzystając z każdego pretekstu, starałem się jak najczęściej być w jego pokoju, aby przyglądać się dorosłej zabawie.

Ale mimoruchu, tłokui gwaru Paulina zawsze wypatrzyła mnie w którymś ciemnym kącie i zaraz wyrzucała za drzwi.

Odczekałem kilka minut i próbowałem powtórnie.

Znowu mnie wyrzucali, najczęściej Paulina, ale czasami też koledzy Mateusza albo sam jubilat.

Za którymś razem zarazza mną wyszła z pokoju jedna ze starszych dziewcząt.

Poszła do łazienki.

Ruszyłem za nią.

Nasz dom był stary i duży.

Łazienkę od starej graciarni oddzielała ścianka z wysokim umieszczonym okienkiem zabitym na stałe deskami.

Dawno temu wydłubałem w tych deskach małą wyrwę, taką na kącik oka za ledwie, niewidoczną, bo na co dzień zaślepioną kawałkiem dykty.

Stamtąd często podglądałem rodzącą się kobiecość Pauliny.

Spocony z emocji, śledziłem intymne zabiegi siostry, nie rozumiejąc najczęściej ich znaczenia ani powodu.

Paulina była dla mnie wtedy tylko źródłem wiedzy o dziewczęcym ciele i, co jeszcze bardziej wstydlive, podnieta do praktyk samozadowoleniowych.

Czułem wtedy jakby podwójne wyrzuty sumienia: bo sam onanizm był grzechem, a jeszcze z udziałem własnej siostry.

Pomimo to spędzałem przy Judaszu sporo czasu.

Znalazłem się na posterunku już minutę po tym, jak koleżanka Mateusza weszła do łazienki.

Ostrożnie, po cichutku, odsunąłem jedną z desek.

Dziewczyna siusiała, rozglądając się po suficie.

Skończyła,

260

podciągnęła majtki i opuściła sukienkę.

Zaczęła myć ręce.

Normalka.

To samo robiła Paulina.

Już zamierzałem wracać na prywatkę, gdy moja uwaga wróciła do drobnego szczegółu.

Dziewczyna zdjęła z palca pierścioneł i myła ręce szczoteczką, oglądając co chwila paznokcie.

Gdy skończyła i wytarła dłonie, zapomniała założyć pierścioneł z powrotem.

Wyszła, a ja zostałem w swym punkcie obserwacyjnym, wpatrzony w złoty odbłask, jaki błyskotka dawała w świetle niezgaszonej lampy.

Był to czas serialu o Arsenie Lupinie, dzentelmenie złodzieju, który uczynił z kradzieży sztukę godną pozazdrosczenia.

Miałem przed sobą teraz wielką szansę, by pójść w jego ślady.

Korciła mnie ta możliwość, ale rozważałem też związane z nią ryzyko.

Wpadłem na genialny pomysł.

Wejść niby zgasić światło - gdyby mnie ktoś przydybał.

A pierścionek ukryję tak, że w razie czego można będzie przypuszczać, iż sam tam spadł.

Znałem dobry schowek: wydrążona odśrodkowa komoda, na której stało lustro koło umywalki.

Pewnym krokiem wszedłem do łazienki, wziąłem pierścionek i, nieprzyglądając się mu, wcisnąłem go wszparę.

Opuściłem łazienkę, zamknąłem drzwi i zbiegłem do salonu, gdzie tata z mamą oglądali jakiś film.

Byłem spocony z emocji.

Przypomniałem sobie o świetle.

Również zapomniałem je zgasić.

Czy iść teraz?

Duże ryzyko!

Niezdawałem sobie wcześniej sprawy, na jakie stresy narażony jest złodziej.

Wydawało mi się to prostym, eleganckim zajęciem.

Siedziałem z rodzicami w salonie jak na szpilkach, czekając, aż rozpoczną się poszukiwania i zastanawiając się, jak reagować na stawiane mi zarzuty.

Bo byłem pewien, że wszyscy właściwie będą podejrzewać kradzież.

Przecież jej dokonałem!

W przeżywaniu dumy przeszkadzały mi wyrzuty sumienia, nerwy strach, co będzie, jeżeli.

Ale przecież nikt mnie nie widział, nikt też pierścionka nie znajdzie w takim schowku, a nawet gdyby.

261.

Przypomniały mi się odciski palców.

Co się stanie, gdy milicyjna ekipa sprawdzi je na znalezionym przedmiocie?

Podjąłem już prawiedecyzję, aby pójść do łazienki i odłożyć pierścionek na miejsce.

Wtedy skończył się film i zostałem oddelegowany przez mamę do przypilnowania Michała w czasie kolacji.

Pozwalałem młodzi nie jeść wyrzucać prawie wszystko do śmieci, bo wciąż myślałem tylko o jednym.

Później poszliśmy obaj z mamą do łazienki, umyliśmy zęby, ręce, twarz i zostaliśmy zapakowani do łóżek.

Podczas mycia nie mogłem oderwać wzroku od komody, na szczęście mama nie zwróciła na to uwagi.

Leżałem w łóżku, czekając, aż rozpęta się awantura.

Zdenerwowany, sztywny z emocji, w ogóle nie potrafiłem myśleć o zaśnięciu.

Wreszcie zaczęło się.

Ale nie była to awantura, tylko powszechna poszukiwania.

Przetrzęsniętów pierwszym rzędzie pokój Mateusza, później łazienkę i pokój Pauliny, gdzie niektóre dziewczyny spędziły trochę czasu na oglądaniu żurnali mody przywożonych przez ojca.

Czekałem, spocony z emocji, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Ktoś zajrzał do naszego pokoju.

Gdyby wtedy zapalono światło i tylko raz spojrzano na mnie, wszystko byłoby jasne.

Ale uznano, że my, maluchy, jesteśmy pogrążeni w głębokim śnie.

Słyszałem jeszcze głośne rozmowy przy drzwiach, zapewnienia mamy, że jutro przeszukamy cały dom, czyjeś przypuszczenie, że może koleżanka Mateusza pierścionka wcale dzisiaj nie miała.

Tawersja zdobyła sobie na tyle dużą popularność, że zaczęto żartować całego zamieszania.

Kiedy za ostatnimi z gości zatrzasnęły się drzwi, nie rozmawiano już wcale o tym zdarzeniu.

Powoli uspokajałem się, napięcie zelżało.

Byłem już na granicy snu, gdy powtórnie ktoś do nas zajrzał.

Tata.

Postał nad łóżeczkiem Michała, przykrył rozkopanego malucha.

Podszedł do mnie.

Znowu drżałem z przerażenia.

Ale ręka taty powędrowała tylko nad moją głowę, musnęła włosy, i ojciec wyszedł.

Rano główkowałem, co dalej?

262

Przy śniadaniu rodzice pytali mnie i Michała, czy nie widzieliśmy gdzieś złotego pierścionka.

Malec bardzo się tym zainteresował i kazał sobie dokładnie opisać wygląd zguby.

Następnie pokiwał głową i ogłosił, że coś takiego widział w pokoju Pauliny, pod łóżkiem.

Pobiegliśmy wszyscy.

Już na miejscu Michałowi przypomniało się, że to jednak nie byłou Pauliny, tylko u Mateusza.

Następny kurs.

Kiedy u Mateusza stwierdził, że widział to w łazience, pod pralką, dostał burę od mamy i wróciliśmy do kuchni dokończyć śniadanie.

A mnie bardzo ulżyło, gdy zrezygnowano z poszukiwań koło pralki.

Stamtąd było pół metra do komody!

Nie odważyłem się zdobyć zanieść do szkoły.

W czasie zajęć nanczym nie mogłem się skupić.

Gdy wróciłem po lekcjach, mamawłaśnie wychodziła odebrać Michała z przedszkola.

W domu byłatylko Paulina, zatopiona w studiowaniu najnowszych trendów mody dla zagłodzonych nastolatek.

Wszedłem do łazienki, zamknąłem drzwi, sięgnąłem do skrytki.

Przez krótką chwilę palec nie mógł odnaleźć pierścionka.

Panika!

Alenie.

Był na miejscu.

Znowu drżały mi ręce, gdy oglądałem go, tymrazem dokładnie.

Miał gładką obrączkę i dość duży kamień.

Zielony.

Z takimi leciutkimi pęknięciami.

Przestraszyłem się, że te pęknięcia to od leżeniana podłodze.

Może tam jest mokro?

Alboza zimno?

Ale pozatym wyglądał ładnie, był ciężki, solidny.

W końcu uznałem pęknięcia za ozdobę.

Włożyłem pierścionek do kieszeni, spuściłem wodę dla zachowania pozorów i w drzwiach prawie zderzyłem się z Pauliną.

- Ty zawsze w kiblu tyle przesiadujesz, że wreszcie hemoroidów dostaniesz!

-Co?

- Ty maluchu, ty - i wypchnęła mnie z łazienki.

Mimo że zaczęła napszczać wody do wanny, nie udało mi się naswój punkt obserwacyjny, skąd mogłem ją podglądać, tylko szybko wszedłem na dwór.

Miałem już plan.

Sam nie potrafiłbym pierścionka sprzedać; Gerarda zbyt się bałem i miałem przeczucie, że nainteresach z nim

263.

tylko bym stracił.

Postanowiłem więc pójść do Kury, chłopaka ponad dwa lata ode mnie starszego, naturalnego rywala Gerarda na podwórku.

Kura, niemal trzynastoletni, wydawał mi się prawie dorosły.

I częściej niż inni mówił do mnie po imieniu.

Znalazłem go natrzepaku.

Był razem z Wackiem, kolegą Mateusza z klasy.

Odciągnąłem Kurę od trzepaka i pokazałem mu pierścionek, wcześniej wymusiwszy na nim przysięgę do chowania tajemnicy.

Nie powiedziałem mu prawdy o pochodzeniu zdobyczy.

- Leżał na przystanku tramwajowym, kołkosza na śmieci.

Kopnąłem kapsel i on był pod nim.

Jak myślisz, prawdziwy?

- A co?

Jubiler jestem?

Ciężki jest.

Podniósł go do oczu, aby obejrzeć dokładniej.

Wacek ciekawie się przyglądał, odciągnąłem więc Kurę w kierunku fabryki.

Tam siedliśmy pod dębem i zaczęliśmy snuć plany spieniężenia błyskotki.

Kura zamierzał pójść nazajutrz do jubilera, gdzie pracował znajomy jego starszego brata, i wywiedzieć się o ewentualną wartość znaleziska.

Prześcigaliśmy się w podawaniu przybliżonej ceny, jaką z niego uzyskamy.

Mnie zależało, aby pieniędzy wystarczyło na duże akwarium, chociaż cztery welony.

Kura planował zamienić rower na nowy, z bazaru.

Swój chciał sprzedać i kupić kolarkę, taką, jaką miał Szozda, który był jego idolem.

Łaziliśmy cały ten dzień razem, Kura zafundował mi nawet lodynę poczet wspólnego interesu.

Woził mnie naramie swojej starej młodzieżówki, najszybszego roweru na podwórku, będącego przedmiotem marzeń i zazdrości Gerarda, który roweru w ogóle nie miał.

Ja miałem składaka, ale rower nie był wtedy jeszcze moją pasją, wołałem bawić się bez niego.

Postanowiliśmy z Kurą, że do jutra jazatrzymam pierścionek.

On mieszkał w blokach, w dwupokojowym mieszkaniu razem z rodzicami i starszym bratem.

Ciężko mu było wynaleźć właściwy schowek.

Postanowiłem ukryć nasz skarb jeszcze raz w nodze komody.

Tam był najbezpieczniejszy.

264

Lekko i radośnie mi było na duszy, gdy pogwizdując, wracałem do domu.

Nagle zeszywniałem.

Przy płocie stał Gerard.

Uśmiechał się kiwał na mnie przyjaźnie.

- Chodź no, Babol.

Mam małą sprawę do ciebie.

Kura mi powiedział, że robicie interesy, no nie?

- Co?

- No powiedz, nie jest tak?

Pokaż, co tam masz w spodniach?

Zdałem sobie sprawę, że odruchowo moja ręka wędruje do kieszeni, by sprawdzić, czy skarb jest na miejscu.

- Kuraci powiedział?

Kiedy?

- No już, nie marudź.

Dawaj to.

- Ale musisz przyrzec.

-Babol!

Dawaj - i wyrwał mi z ręki pierścioneek.

- Fiu,fiu,ale bajerek.

Komu to gwizdnałeś?

- Namoją opowieść przystanku i koszu na śmieci roześmiał się.

"Ty to jesteś klituś-bajduś.

Jużci wierzę.

Gwizdnałeś to.

- Oddawaj.

-Tobie, Babol?

Przyjdiesz jutro do mnie z Kurą, no nie, i razemto opchniemy.

Dostanieciena lody.

Zostaw!

- Przerażony,rzuciliśmy się dojego ręki, chcącabrać, co moje.

Ale Gerard zdążył się cofnąć, odepchnął mnie i z szyderczymśmiechem zaczął uciekać.

A ja, w swej rozpaczycy i głupocie, zacząłemgo gonić.

Poco?

Co mógłbym mu zrobić,gdybym go nawet dopadł?

Biegłemjednakze sto metrów i dopieropóźniej zdałem sobie sprawę z daremności tego wysiłku.

Do domu wróciłemkompletnie załamany swoją klęską.

Icorazmocniej docierało do mnie, że sam sobie jestem winien, żeGerardo niczym od Kury nie mógłwiedzieć.

W domu kolejnabura, bo nie przyszedłem wporę na obiad.

Wysłuchałem utyskiwańmamyi właśnie wchodziłem na schody, gdyktoś zadzwonił dodrzwi.

Otworzyła Paulina:

265.

- Mateusz!

To do ciebie!

W szparze drzwi mignęła mi twarz Wacka.

Mateusz wyminął mniemaschodach.

Miałem złe przeczucia, gdy szedłem do swojego pokoju, gdzie wojował Michał z kolegą.

Posiedziałem chwilę przy biurku, zabazgrałem kartkę papieru i ruszyłem do toalety.

Mdliło mnie ze strachu.

Gdy myłem ręce, dobiegł mnie z dołu głośny krzyk matki:

- Tomek!

Natychmiast nadół!

Do dziś pamiętam każdy schodek, każdy krok.

Przeszło mi przez myśl, żeby rzucić się głową w dół.

Lepszy mi się wydał szpital niż piętno złodzieja.

Wacka na dole już nie było.

Rodzicei Mateuszczekali na mnie, siedząc przy stole.

W oczach mamy furia, podobnie u brata.

Tylko ojciec patrzyła na mnie z drobiną współczucia.

Straciłem resztę nadziei i ochotę do obrony.

Nie potrafiłbym więcej kłamać.

Podbiegłem ze szlochami do taty i przytuliłem się do niego.

Odruchowo objął mnie i pogłaskał po głowie.

- Jurku!

- w głosie mamy było oburzenie.

- Zamierzasz go bronić?

Puść go!

Uścisk jego rąk zelżał.

Mimo mego oporu postawił mnie obok swego krzesła.

- Tomek, czy zamierzasz dalej kłamać?

- Oddaj to, ty złodzieju!

- Mateusz nie wytrzymał i rzucił się na mnie z pięściami.

Ojciec złapał go za ramię i wyprowadził z salonu, zamykając drzwi przed nosem.

- Taki wstyd!

- mama zaczęła w tym czasie lamentować.

- Tego unas w rodzinie nigdy nie było!

Dlaczego to wzięłeś?

Czemu nie oddałeś, jak cię pytaliśmy?

Ty podły dzieciaku!

Jurek, co tak stoisz?

Łobuz musiał dostać takie manto, żeby przez miesiąc na dupie nie usiadł.

- Tomku - ręka ojca namym ramieniem udrząła.

- Wzięłeś ten pierścionek?

266

- Aleja.

- Ty jeszcze go pytasz?

Nie wystarczy ci, że pół podwórka o tym pyta?

Dlaczego jesteś taki niedobry?

- Złapała mnie za ucho i pociągnęła z całej siły.

Krzyknąłem rozpaczliwie.

- Dorota!

Krzywdę muzrobisz!

- A co?

Mam tobie go zostawić?

Żebyś go pogłaskała?

A w kryminale ja go będę później odwiedzać?

Gdzie to masz?

Oddaj najpierw.

Zaniosłem się płaczem, dławilem się łzami, które nie były wcale słone - piekły żywym ogniem.

Nie musiałem udawać rozpacz.

Sytuacja była bez wyjścia.

- Nie mam, naprawdę nie mam - mówiłem przez łzy.

- Jeszcze będziesz kłamał?

- Ucho było jednym wielkim ogniskiem bólu.

Przez głowę przelatywały mi rozpaczliwe pomysły.

- Nie kłamię!

Boli!

- I ma boleć!

Jurek, bierz pasa.

On musi zapamiętać tę lekcję naresztę życia.

- Dorotko, myślę.

- Nie masz teraz myśleć!

No, już.

Chociaż raz zrób coś jak mężczyzna.

A jak nie, to mnie daj ten pasek!

Kładź się, ściągaj portki.

Gdzie go schowałeś?

Oparty osiedzenie krzesła, czekając na wykonanie wyroku, wciąż rozpaczliwie myślałem o wybrnięciu z sytuacji.

Ostatnie pytanie matki poddało mi pomysł.

- W starym dębie.

- Gdzie?

- Nie zrozumiała, mówiłem wciąż przez łzy.

- W starym dębie, przy bramie fabryki.

- Przecież nie wolno ci tam chodzić.

Jurek!

Na co czekasz?

Znowu mam sama wszystko robić?

Tata nie bił mocno.

Alenię mógł całkowicie oszukiwać, bo wtedy mama wzięła by się za mnie osobiście.

A ja wypłakiwałem rozpacz, wstyd, zażenowanie, bezradność i dopiero na końcu ból.

Bo itak naderwane ucho przysporzyło mi więcej cierpienia niż pasek taty.

267.

A później, wciąż zboląły i dalej z czarną rozpaczą w sercu, musiałem iść do starego dębu razem z Mateuszem, który już w tamtą stronę nie mógł się powstrzymać przed praniem mnie po głowie.

- Ty szmaciarzu, podłoto, pusty łbie.

- Każdy epitet popierał pięścią.

Ja zaś bałem się pomyśleć, co będzie, gdy pierścionka w dębienie znajdziemy.

Staliśmy koło fabrycznej bramy.

Zapadał zmierzch.

Miałem ochotę powiedzieć wszystko Mateuszowi, zaufać mu, ale czułem na całym ciele jego rąki, a i bałem się Gerarda.

Wspiąłem się na gałąź dębu, zająrzałem do skrytki.

- Nie ma!

O Jezu!

Nie ma!

- Co!

Ty kłamliwa ropucho!

Coś ty z tym zrobił?

- Nie wiem.

Mateusz - starałem się, aby mój głos był błagalny, pełen rozpacz.

Nawet łatwo mi to przychodziło.

- Tutaj zostawiłem.

Ktoś ukradł!

- Może Kura?

Wacek mówił, że z nim się zgadywałeś.

- Kura na pewno nie.

Ja jego też okłamałem.

Mówiłem, że na przystanku znalazłem.

To pewnie Przypiórek.

- Ten idiota?

- Chodził za mną cały dzień.

Za Kurą też.

Musiał mnie wysledzić, a potem zabrał.

To głupek!

Pewnie zgubi.

- Tomek!

Jeżeli znowu kłamiesz.

- Mateusz, nie bij!

- Skuliłem głowę, na łzy nie musiałem długo czekać.

- To Przypiórek czy nie?

- Nie wiem.

Gerard też mnie obserwował.

On jest o Kurę zazdrosny.

Może to on?

Albo Czapa?

- Jak ci przyłożę!

Co teraz robić?

- Nie bij!

Pchnął mnie w krzaki, pokrzywy, aż zawyłem, najbardziej ze strachu.

- Chodź do domu.

Opowiesz wszystko matce.

268

- Mateusz, ja odkupię ten pierścionek.

Mam trzydzieści dwa złote.

Będeźbierał butelki.

Mateusz!

- Cicho bądź, matole!

- Trafił w naderwane przez mamę ucho.

Znowu zawyłem.

- Cicho, bo cię zabiję!

W domu był tylkotata.

Mama poszła na lekcję kroju i szycia dośródmieścia.

Tata wysłuchał mojej relacji.

Kazał odejść Mateuszowi, zapewniająco, że sprawę załatwi.

- Przyniosłem straszny wstyd, Tomku.

Nie spodziewałem się tego po tobie.

- Jajuz nigdy.

- rzuciłem się ojcu do nóg.

Naprawdę nie wiedziałem, co robić.

- W to wierzę.

Wstań.

Ale sprawę trzeba jakoś załatwić.

- Patrzyła mnie,spłakanego, chlipiącego, ledwo mogącego złapać oddech.

- Łzami niczego nie rozwiążemy.

Pamiętasz, jakwyglądał ten pierścionek?

- Potaknałem.

-Pójdiesz jutro ze mną domiasta.

Poszukamytakiegosamego.

Masz jakieś pieniądze?

- Mam.

Trzydzieści.

- Dobrze.

Będiesz mi oddawał po dwadzieścia złotych miesięcznie.

To całe twoje kieszonkowe, wiem.

Oprócz tego przez miesiąc niema dla ciebie telewizji.

A przez tydzień będziesz jadał sam, w komóreczce.

To żądanie mamy.

Jaod ciebie chcę usłyszeć co innego.

Czywiesz co?

- Ta-ak.

Przepra-aszam.

- Wciąż nie mogłem normalniemówić,głos mi się załamywał.

- Nie.

Nie chodzi mi o przeprosiny.

- Tonie-e wiem- byłem znów na granicy płaczu.

-Musisz mi coś przyrzec.

Że nigdy,przenigdy nie zrobisz jużczegoś takiego świadomie.

- Przy-y-rzekam, ta-a-tusiu.

- I padłem mu znowu w ramiona,a on tuliłmnie i ciężko wzdychał.

- Nodobrze.

Idź już, przyślij tu Mateusza.
269.

Brat czekał pod drzwiami.

Zamachnął się na mnie, ale zdążyłem skoczyć na schody.

Z połowy ich wysokościkrzyknąłem:

- Masz iść do-ty!

- Niesprawdzając, czy mnie posłuchał, pognąłem do siebie.

Choć było dopiero wpół do dziewiątej, położyłem się spać.

Ale mimo tylu przeżyć, wielkiego stresu i zmęczenia nie mogłem zasnąć.

Paulina położyła Michała, maluch pomarudził i zasnął.

Mateusz umył się, jeszcze gadał coś po cichu z Pauliną i też wrócił do siebie.

Siostra poszła się kąpać.

Wróciła mama.

Rozmawiali z tatą w salonie.

Korciło mnie, żeby iść na szczyt schodów i podsłuchać, ale powstrzymała mnie obecność

Pauliny w łazience, to, że mogłam złapać na podsłuchiwanie właśnie dzisiaj, po tylu awanturach (choć jej też zdarzało się czatować w tym miejscu).

Gdy jednak na dole rozgorzała kłótnia, nie wytrzymałem i wyszedłem z pokoju.

Przycupnąłem na pierwszym stopniu, gotów w każdej chwili do odwrotu.

Krzyczała mama:

- ...

tak jest wygodnie.

Janie mam dla siebie animinuty, wszystkodla dzieci poświęciłam.

Książki nie mam czasu wziąć do ręki.

Kościół i lekcje życia to moje rozrywki.

Przyjaciółek też nie mam.

A teraz jeszcze ten mały złodziej.

Wezmą nas na języki!

Tata odpowiedział coś tak cicho, że nie zrozumiałem ani słowa.

- Pomoim trupie - krzyczała w odpowiedzi mama.

- Z Polski się nie ruszę, tu moje miejsce.

Bóg tak chciał.

A ty uważaj!

Kiedyś wrócisz i nie będziesz miał do kogo!

- Bzdurchociaż byś nie gadała - pierwszy raz usłyszałem tatę.

- Dla ciebie to bzdury?

Myślisz, że już taka stara i brzydka jestem, że chłopu sobie nie znajdę?

Jeszcze zobaczysz.

A myślisz, że ja to wierzę w twoją niewinność?

Taki świętoszek jesteś?

Ktoś za mną stał.

Paulina!

Poderwałem się, ale ona położyła mi tylko rękę na ramieniu, zmusiła do przykucnięcia i sama zamieniła się w słuch.

270

- ...

nie mam się czego czepiać.

Gruby taki jesteś, jak beczka prawie.

Wierny z konieczności!

O nic nie dbasz.

Zsynami byś piłkę chociaż pokopał.

Zamiast tego siedzisz tylko w gabinecie i papiermarnujesz!

- Z tego przecież żyjemy!

- I czego się doczekałeś?

Syn ci na złodzieja rośnie.

I to twój pieszczoszek, zakichany rzępoła, co po tatusiu żyłkę do muzyki odziedziczył.

Też będzie taką pokraką jak ty.

- Matalent, będzie dobrym skrzypkiem.

Żebyś umiała być taką matką, żoną jak.

- I tyśmiesz to mówić?

Ty, który palcem nie kiwniesz, ręką nieruszysz?

Czasami to się cieszę, że zaraz wyjedziesz.

- Ja też!

Tylko dzieci mi żal!

Trzasnęły drzwi z salonu do gabinetu.

- Bezczelny cham!

- A jak się będziesz dalej nad Tomkiem znęcać - ojciec znowu utworzył drzwi, teraz on też krzyczał - to go zabiorę i odejdziemy.

Wedwóch.

- To więcej dzieci nie masz?

Tylko tego grajka złodziejaszka?

- Co ty mówisz, kobieto?

Jemu też chcesz to wmówić?

Ty tylko umiesz na niego krzyczeć.

A dobre słowo to masz jedynie dla tego osiłka, co to pływa jak ryba i pakuje w siebie prochy.

To jest problem, tego trzeba zabronić!

- Wara ci od Mateusza.

On jest w kadrze olimpijskiej.

Zatrzy lataw telewizji go obejrzysz.

- A za dziesięć na wózku.

Ty ślepa jesteś czy głupia?

Ucichło.

Oboje przeszli do gabinetu i zamknęli za sobą drzwi.

Siedziałem obok siostry i kolejny dzisiaj raz płakałem.

Nie była to pierwsza podsłuchana kłótnia rodziców, ale po raz pierwszy zrozumiałem, że mama mnie nie kocha.

Kocha tylko Mateusza.

Może też Michała.

Na pewno Paulinę, bo to przecież dziewczyna.

A mnie nie!

Jedynie tata!

271.

Paulina pogłaskała mnie po głowie.

- Idź już spać.

Dosyć dzisiaj narozrabiałeś.

- Paulisia?

-Co?

- Co to są te prochy?

-Ach, daj spokój.

Idź spać.

- Paulisia?

-No, co tam jeszcze?

- Dlaczego oni tak na siebie krzyczą?

Już się nie kochają?

- Głuptas!

Oni zawsze na siebie krzyczeli.

I nie przejmuj się tym,co mówią.

To w złości.

- To mama nas kochaczy nie?

-Aleś ty głupi!

Jak mama może dzieckaswojego nie kochać?

Każda kobieta kocha!

- Ale.

-Idź już spać, ty grajku.

Idź.

- Paulisia - szepnąłem już z korytarza.

-Co znowu?

- Ale ciebie to ja bardzo, bardzo Kocham.

-No dobrze.

Ty też jesteś fajny.

Tylkowięcej tak nie rozrabiaj.

Podbiegłem jeszcze do niej i cmoknąłem w policzek.

Nie odepchnęła mnie,jakbytozrobił Mateusz.

Przytuliła i pogłaskała.

- Wiesz co?

-Co, maluchu?

- Jesteś najładniejszą dziewczyną,jaką widziałem.

-No, idź już spać, idź.

- Ale wbrew słowom muskała mnie palcami po szyi, gładziła włosy.

Dopiero po chwili lekko pchnęła mnie w kierunku korytarza:

- Pospiesz się!

Chyba mama idzie.

W pięćsekund byłem z powrotem w łóżku.

Zasypiając, miałemw pamięci dotyk rąk siostry, pieszczotę ciepłą i serdeczną, jaką przez cały ten dzień nikt mnie nie obdarzył.

272

Może trochęojciec.

Przyrzekłem sobie już jej więcejnie podglądaćw łazience.

Udało mi się dotrzymać przyrzeczenia przez całe dwatygodnie!

Dlaczego właśnie wtedy,gdy patrzyłem na krzątającą się kołomnie Paulinę, przypomniałem sobie historię zipperścionkiem?

Notak -tylko siostra, oprócz taty, niepotępiła mnie wtedy, nie dobiła.

Kim jestem dla Pauliny?

Czyrzeczywiście kocha mnie, młodszegobrata, złośnika, lenia i bałaganiarza?

Za co można kochać rodzeństwo?

Starsze można jeszcze podziwiać, czuć wdzięczność za opiekę, bać się.

To rozumiałem.

Boco ja wiedziałem o Michale?

Czyja się nim interesowałem?

Zdałomi się, że go zawsze zbywambylesłowem, dbam tylko, żebymi nie przeszkadzał, i

zżymam się na jegogłupotę albo wściekam, gdy upiera się przy jakichś bzdurach.

PrzytulićMichała?

Po co?

A teraz Paulina przychodziła do mnie, do łóżka, po kilkanaścierazy dziennie, tylko po to, aby do mnie zagadać, potrzymać za rękę,objąć za ramię,poprawićkołdrę, poduszkę.

Czy jakiedykolwiek cośtakiego zrobiłem dla niej?

Owszem, często siędo niej przymilałem,gdy miałem w tym interes.

Ale żeby tak, po prostu?

- Paulina- zaczępiłem ją, kiedy kolejny raz sprawdzała,czy mamco pić.

- Jak tamz twoim chłopakiem?

- Co?

-No, ztym angielskim amantem, Maćkiem?

- A..

amant?

Angielski?

- zaśmiała się.

-To już nieaktualne.

Alewiesz - ożywiła się, uśmiechnęła jakoś inaczej - poznałam w górach. chłopaka.

Ma na imięArkadiusz.

Fajny.

Tylko jest jeden szkopuł- skrzywiła się i zafrasowała.

- Mieszka w Lublinie i.

ma tam dziewczynę.

Ale jest uczciwy, nie ukrywał tego przede mną.

Podoba mi się.

- Jak to ma inną?

Zresztąnawet jak ma inną, to i takjest lepszyod tego gogusia.

273.

- Nie wiem.

Zobaczmy.

A co ty tak na Maćka?

- Nic.

Nie przepadam za nim.

Mogę?

- Co mnie to.

- Wzruszyła ramionami, ale nie była zadowolona.

Pewnie z tym Maćkiem takiego łatwego końca nie będzie.

- A ty jak z Ela?

- Chyba.

Wygląda na to.

No, rozstaliśmy się.

- Może to i lepiej?

- Teraz japo patrzyłem na nią zdziwiony.

Zawsze byście rywalizowali z sobą.

Ona jest taka.

napalona.

- Ela?

- Nie przejmuj się.

Wiem, zaraz po rozstaniu to boli.

A może jeszcze się zejdziecie?

To kiedy zaczyna ci się ten konkurs?

- Ona chyba ma innego, starszego chłopaka.

- Michał jutro wraca.

Przyszła od niego kartka.

Pisze, że wygrał jakiś turniej, a on strzelił dwie bramki w finale.

- To fajnie.

Którego dzisiaj mamy?

Okazało się, że moja choroba trwała ponad tydzień.

Do rozpoczęcia prób miałem raptem dziesięć dni.

Musiałem zacząć ćwiczyć, zmobilizować się, wrócić do życia.

Niezależnie od tego, co mnie czekało, wszelkie próby ucieczki nie miały sensu.

Teraz to rozumiałem.

Zobaczyłam go pierwszy raz całkiem przypadkowo.

Pracował w biurze adwokackim obok hurtowni, w której odbieraliśmy różne rzeczy dla szpitala.

Poszłam tam w zastępstwie za Renatę Gryf, która wciąż była moją jedyną przyjaciółką.

On wychodził z bramy i zatrzymał się, aby porozmawiać z kolegą.

Nie mogłam go nie poznać.

Podobieństwo do ojca było uderzające.

Te same oczy, broda i wąsy.

Tylko trochę wyższy inosił się jeszcze dumnie.

Z kilku zdań, jak wymienił z tym drugim mężczyzną, wywnioskowałam, że jest adwokatem.

Po załatwieniu sprawunków w hurtowni podeszłam pod biuro i przeczytałam na tablicy, kto tam jest zatrudniony.

niony.

Trzeci od góry był doktor nauk prawnych, Tymoteusz Albin Perisenthoff.

A więc nosił stare nazwisko ojca.

Wróciły wspomnienia sprzed lat, z czasu mojego zamieszkiwania z doktorem Pawłem. Ciekawe, co się stało z truskawkowym likierem?

Kto go znalazł?

Kto go wypił?

A on, Tymoteusz, czy zna tajemnicę zdjęć?

Kto znalazł skrzyneczkę?

Kto, oprócz mnie, kryje w sobie sekretną zbrodnię, niegodnej mężczyzny, lekarza, niegodnej człowieka?

Jako częściej zaczęłam brać za Renatę te kursy do hurtowni.

Zatrzecim czy czwartym razem zobaczyłam go ponownie, i znów nie byłam.

Przyjechała po niego żona z dwiema małymi córeczkami.

Wszystkie trzy były urocze i świeże jak poranek, ale Tymoteusz Albin jakoś nie rozjaśnił na ich widok swego oblicza.

Burkliwie odpowiadał żonie, kłócił się z nią, i ona w końcu wsiadła do samochodu, nakrzyczała na dziewczynki i odjechała.

A pan mecenas poszedł w przeciwną stronę.

Wszystko już załatwiłam, a nasz kierowca, pan Heniu, koniecznie chciał jeszcze iść do pobliskiego sklepu rybnego, więc pozwoliłam mu zrobić zakupy, sama zaś poszłam za synem doktora Pawła.

Po co?

Przecież mógł iść do sądu, narozprawę.

Albo dokochanki.

Nie znałam go.

Tylko to jego uderzające podobieństwo do ojca.

A przecież pamięć jego ojca była mi nienawistna!

Cóż, poszłam.

W kiosku kupił gazetę i skierował się do kawiarni.

Zamówił coś kelnerki, wbił wzrok w zadrukowany papier i czytał.

Usiadłam przysąsiednim stoliku.

Zamówiłam kawę i eklerkę.

Jeszcze zanim dostał swoje zamówienie, zerknął na mnie parokrotnie.

A gdy idła niegoprzyniesiono ciastko i kawę, odłożył gazetę i raz po raz popatrywał na mnie, gdy tylko sądził, że tego nie widzę.

Gryzł przy tym wargi i gładził się po brodzie.

Zastanawiał się, usiłował coś sobie przypomnieć.

Na kilka lat przed czterdziestką byłam wciąż bardzo atrakcyjną kobietą, chociaż nie starałam się tego szczególnie podkreślać, mając i tak na codzień w szpitalu dosyć kłopotów zezbytnią poufałością pacjentów i lekarzy.

Ale on chyba nie tylko przez moją urodę zainteresował się

sąsiadką w kawiarni.

Wreszcie wstał, uklonił się grzecznie i zapytał głosem swego ojca: "Bardzo panią przepraszam, moje nazwisko Tymoteusz Perisenthoff.

Przypomina mi pani kogoś i pragnę upewnić się, czy to nie pomyłka".

Uśmiechnęłam się do niego, naprawdę zdziwiona, bo przecieźnie mógł mnie znikąd znać.

"A jednak - odpowiedział, gdy zaprzeczyłam.

- Czy nieznała pani kilkanaście lat temu mojego ojca, Pawła Peryzentowicza?

Jest pani z nim na kilku zdjęciach.

To znaczy pani lub osoba bardzo do pani podobna i równie.

piękna".

"Och, dziękuję.

Tak, ma pan rację.

Znałam doktora Pawła Peryzentowicza.

Ale cóż to za zdjęcie?

Nieprzypominam sobie".

"Dwa są zrobione w parku, stoi pani z ojcem przy budce z watą cukrową, a trzecie jest z teatru.

Ma pani na sobie piękną, skromną sukienkę.

Chyba szarą, a włosy upięte takimi mosiężnymi zapinkami.

Bardzo pani pięknie na tym zdjęciu wygląda, chociaż nie piękniej niż teraz".

W ten oto pełen galanterii sposób poznałam syna doktora Pawła.

Miał w sobie cały urok ojca, był równie szarmancki, ciepły i.

znacznie młodszy.

Chyba nawet niewiele starszy ode mnie.

Gdy tak rozmawialiśmy przy kawie, bo przysiadł się do mojego stolika, zaczęłam zastanawiać się, co znaczyła ta scena dość niechętnego odprawienia małżonki i córek.

Czy zrobił to tylko po to, aby posiedzieć sobie samemu nad gazetą w kawiarni?

Ale za tym pierwszym razem nie chwalił się żoną, wypytywał mnie jedynie o ojca, którego prawie nieznał.

Ani nie kłamałam, ani nie mówiłam całej prawdy.

Potem opowiadał o prowadzonych sprawach, o kłopotach z klientami, ich krętactwie i skąpstwie, chociaż samochód, jakim przyjechał jego żona, był zagraniczny i wyglądał dość okazale.

Czarował mnie, a ja czułam do niego jakiś dziwny pociąg.

Połączenie początkowej sympatii do doktora Pawła z zaciekawieniem, jak i też cechy przekazał genetycznie swemu synowi.

Tymoteusz był atrakcyjnym mężczyzną.

Ale ja przecieźnie tyłu już przystojniejszych, bardziej elokwentnych i lepiej sytuowanych panów odesłałam kwitkiem, bez odrobiny nawet zainteresowania.

A za nim poszłam sama.

276

Rozmawialiśmy dość długo, aż zorientowałam się, że nasz kierowca na pewno już czeka przy samochodzie i wyrzeka na spóźnialską pielęgniarkę.

"Proszę, oto moja karta wizytowa - powiedział na pożegnanie.

- Czy pani może podać mi swój telefon?

To może adres?

- spytał, gdy okazało się, że nie mam telefonu.

- Bardzo bym pragnął spotkać panią ponownie".

Rozdział granicy.

Gerard znalazł mnie sam.

Do wyjazdu pozostał jeszcze miesiąc.

Załatwialiśmy już formalności paszportowe i wizowe.

Prawie codziennie mieliśmy próby.

W sierpniu w filharmonii, od wrześniaw szkole, bo część z nas, nawet większość, była wciąż jeszcze uczniamimuzycznego liceum.

Z Elą pozostałem na stopiekoleżeńskiej.

Czasami odprowadzałem ją do tramwaju, gadaliśmy, śmialiśmy się.

Nie było między nami dawnej zażyłości.

Zdzisiekteż jużpo nią nie przyjeżdżał.

Wolałem niczego dokońca nie wyjaśniać, zostawić nas w zawieszaniu.

Gerard:

- Jutro powiesz, że będziesz miał noweskrzypce.

Dostaniesz jenadwatygodnie przedwyjazdem.

Nie radzę ci nic kombinować.

Pamiętaszo zdjęciach?

To nie żarty!

Jak skrewisz.

Siląc się na entuzjazm, podczas jednej z przerw oznajmiłem Kasprzyckiemu, Eli, Ewie i Gromnemu, że kupiłem na bazarze za bezcenskrzypce i na dniach odbiorę je od lutnika.

- Alechyba nie zamierzasz na nich graćnakonkursie?

- zaniepokoiła się Ela.

- Czemu nie?

Jeżelibędą lepsze?

Już bez korekty świetniebrzmiały.

To jakiś włoskiinstrument.

- Może kradziony?

- zapytał poważnie Kasprzycki.

- Ee, byłym bardzo kiepskim stanie.

Dziadek z bazaru odnalazł jena strychu jakiejś chałupy.

Leżały tam pewnie od wojny.

278

- Napoleońskiej - zaśmiał się Gromny, - 'Przynieś je.

Zobaczmy,co są warte.

- No dobrze -zgodził się niespodziewaniełatwo Kasprzycki.

-Jakbędą lepsze, toczemu nie.

A zdążysz się przestawić?

- Na pewno.

Mają podobną menzurę.

Łatwo mi sięna nich grało.

Po dwóch dniachdostałem je do ręki.

Gerard znów przyszedł podmójblok.

- Pilnuj ichjak oka w głowie.

Jak - zachichotał szyderczo - własnejdupy!

Tu masz papiery.

Zgadzą się z kartką, no nie, jaka jest w środku.

Zgłoszę się dociebie tuż przedwyjazdem.

Dostaniesz wtedy namiaryna Berlin.

- Pamiętaj,zdjęcia.

Inaczej.

- Nie podskakuj!

Zrobisz swoje, będziesz wolny.

Ale, ale.

Księżykzgadza się oddać zdjęcia, ale wtedy, no nie, twój udział to będą tylko trzy kawałki.

Cena za brak bezinteresowności.

- Dobra - wzruszyłem ramionami.

Nie wierzyłem w to, że przejadę przez granicę z taką bombą w futerał.

Nieprzy moim pechu.

- Jak nie będzie zdjęć, to zniszczę skrzypce.

Rozwalę je.

- Nie podskakuj, Babol.

Nawet o tym nie myśl.

A zdjęcia będziesz miał.

Ładnie wyszedłeś.

Zobaczysz, Babol, to będzie robotatwojegożycia.

W mieszkaniu nikogo nie było.

Zamknąłem się w swoim pokoju, rozłożyłem futerał i patrzyłem na skrzypce.

Brązowe pudłorezonansowe z pięknie wykrojonymi "efami".

Szyjkasmukła i zgrabna.

Zakręcony ślimak.

Nie znałem się zbyt na instrumentach.

Niepotrafiłbym odróżnić dobrego od złego tylko pobudowie.

Przez całe, dość koszmarne, wakacje jedna myśl była mi pocieszeniem: tak czy tak, zagram na stradivariusie.

To jak dla kierowcy poprowadzić porsche lub bolid Formuły 1.

Jak dla kolekcjonera obrazów posiadać własnego da Vinci albo van Gogha.

Wyobrażałem sobie pierwszy dźwięk, jaki wydam na tym boskim instrumencie.

279.

Światło lekko przygaśnie, by za chwilę nasycić się barwami tęczy, które skryształizują się w powietrzu jako dzwoneczki i rozświetlą nareszcie moje życie.

Scena rodem z kreskówki Disneya.

Gdzieś na granicy wyobraźni widziałem nawet uśmiechnięte krzesła, rozanielony stół i zasłuchany w bogactwo dźwięków żyrandol.

A teraz miała nastąpić ta chwila.

Ibałem się pryśnięcia ostatniego czaru, jaki, tak mi się zdawało, trzymał mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Nie ma co!

Trzeba zagrać!

Złudzenia przysły.

To były skrzypce.

Dźwięk ładny, ale jakby odrobinę surowy.

Grałem dalej.

Niektóre instrumenty niosą przeznaczone do małych pomieszczeń.

Tracą w nich barwę isię, a dopiero na wielkiej sali rozbłyskują wspaniałym, mocnym i szlachetnym dźwiękiem.

Tak samo musiało być z estradivariusem, bo tu, w bloku, w moim pokoju, nie potrafiłem dopatrzeć się istotnej różnicy między nim a moimi własnymi skrzypcami.

To było jak bluźnierstwo, a jednak odczułem ulgę, bo może nie będzie aż tak oczywiste dla Kasprzyckiego, o co w tym wszystkim chodzi.

Jeżeli nie będę się nadmiernie wysilał, to na sali w naszej szkole skrzypce powinny brzmieć szczególnie dobrze, bo akustyka jest tam fatalna, sucha.

Ćwiczyłem tego pierwszego dnia długo.

Brałem raz swoje skrzypce, potem stradivariusa.

Grałem te same fragmenty utworów.

Porównywałem, szukałem różnic.

Istniały, owszem, ale dość subtelne.

Czyżby moje własne skrzypce były aż tak dobre?

A może stradivarius został jakoś specjalnie spreparowany?

Wiedziałem, że lutnicy mają swoje sztuczki, dzięki którym słaby instrument potrafi tak podrasować, aby przez jakiś czas grało wiele lepiej, niż naprawdę może.

Podobno polegało to na specyficznym zeskrobaniu pudła rezonansowego, co na kilka dni, tygodni robiło ze słabego instrumentu całkiem przyzwoity.

Może więc w tej sytuacji ktoś zastosował nieznaną mi technikę odwrotną?

Może istniały sposoby, aby z genialnych skrzypiec uczynić na jakiś czas przeciętne?

280

Czułem i zawód, bo tyle obiecywałem sobie przyjemności z gry na stradivariusie, i ulgę, bo wyglądało na to, że ten karkołomny pomysł może mieć ręce i nogi.

Jeżeli ja się nie potrafię tak łatwo w tym zorientować, wiedząc, jaka jest prawda, to może Kasprzycki, Gromny i koledzy z orkiestry też dadzą się nabrać?

A jak już wywożę w końcu te skrzypce, jak odzyskam te przeklęte zdjęcia, to już nigdy nie pozwolę Gerardowi zbliżyć się do siebie.

Jeszcze nie wiedziałem, jak tego dokonam, ale obiecywałem to sobie solennie.

Uświadomiłem sobie jednak inny problem: co zrobię na miejscu, w Berlinie, gdy oddam skrzypce?

Na czym będę grał na konkursie?

Bo nagle zaczęło miżnów zależeć na własnym dalszym życiu.

Zacząłem snuć plany odzyskania miłości Eli, myślałem o studiach, o następnym miesiącu, roku, który wcale nie musi być spędzony w więzieniu.

Teraz tylko przejechać przez granicę, oszukać celników, którzy przecież na instrumentach muzycznychnie znają się lepiej ode mnie.

Jest szansa, jest nadzieja!

A jak dobrze pójdzie, to jeszcze na tym zamieszaniu zarobię trzy tysiące dolarów.

Może kupię sobie za to jakieś dobre skrzypce?

Moje gwałtowne ożywienie koledzy z orkiestry przypisywali nowym skrzypcom, które wcale nie wzbudziły w nikim entuzjazmu.

Kasprzycki podszedł do mnie po próbie i spytał:

- Czy ty jesteś pewien, że one są lepsze od twoich starych?

- Myślę, że tak, panie profesorze.

Tylko gram na nich dopiero pierwszy dzień, więc jeszcze się nie przyzwyczałem.

- A zdążysz przez niecałe dwa tygodnie?

Może jednak.

- Nieda rady, panie profesorze.

Moje się rozeschły.

Lada dzień mogą pęknąć.

Oddaję je jutro do lutnika.

Jakby taki numer mi zrobiły już za granicą.

- Tym się nie martw.

Mam w Berlinie kilku znajomych.

Mogę ci zorganizować całkiem przyzwoity instrument w jeden dzień.

Oczywiście, tylko do pożyczenia.

281.

- Ja bym jednak popróbował na tych nowych.

Gorsze nie są.

A możesz rozegrają?

Pewnie ten dziad nie umiał grać.

Kto wie, ile czasunikt ichnie dotykał?

- Uparty jesteś - popatrzył namnie poważnie.

- Zobaczymy.

Papiery były nainstrument z1909 roku.

Lutnik: Stanisław Gałka.

Szkoła -włoska.

Zezwolenie na wywóz wydane przez wojewódzkiegokonserwatora zabytków.

Wszystkie pieczętkii podpisy wyglądały naautentyczne.

Robota profesjonalistów.

Odprowadziłem tego dnia Elę aż do samego domu.

Znowu namsiędobrze ze sobągadało.

Znów jej profil zapadał mi głęboko w serce,uśmiech rozgrzewał myśli, a głos rezonował w głowie.

Zdzisiekniepojawił się na żadnej próbie, Ela też onim nie wspominała, a janie pytałem.

Ćwiczyłem teraz dużo, skrzypce rozgrywały się z dnia nadzień,Kasprzyckinie zgłaszał dalszych pretensji.

Finalizowaliśmy formalności związane z wyjazdem.

Odebraliśmy paszporty, kupiliśmy podziemie dolarów na książeczkę walutową, ja z zapasów po tacie zaplanowałem wziąć ze sobą trzysta marek.

Wiedzieliśmy już, w jakimhotelu będziemy zakwaterowani, którego dnia i o jakiej godziniebędziemy grać program pierwszego etapu.

Do wyjazdu zostały jeszcze trzy dni, gdy znowu zgłosił się do mnie Gerard:

- Babol - powitał mnie z szyderczym uśmiechem.

- Ty masz znowu rumieńce!

Oj, Babol, ty chyba za dużo sobie wyobrażasz, nonie?

A teraz słuchaj.

WBerlinie zgłosi się do ciebie, do pokoju hotelowego,człowiek.

Powoła się na Księżyka.

Rozpoznaszgo po tym, nonie - wyszczerzył zęby - że będzie miał twoje zdjęcia.

Słuchasz, Babol?

- Słucham.

Mówię ci jeszcze raz- bez tych zdjęć nieoddamskrzypiec.

- Dobra.

Będziesz miał zdjęcia.

Przecież mówię.

- A pieniądze?

-O,Babol!

Czy ty nie za dużo wymagasz?

-Jak ja nienawidziłemtego jegokrzywego, okrutnego uśmiechu.

Już jako dziecko wykrzywił

282

się tak samo.

- Forsa dopiero na miejscu, no nie?

Po powrocie.

My też musimy towar najpierw opylić.

- Na bazarze?
-Niepyskuj, Babol.
Słuchaj!
Na granicy, jakby co, ty nic nie wiesz.
Rozumiesz, no nie?
Nic nie wiesz.
Skrzypce sprzedał ci starydziad.
Mnie nieznasz, nonie, Księżyka nie znasz - nawet nie musisz kłamać, widzisz?
Babol, skąd masz skrzypce?
- Od dziada, z bazaru.
Dlaczego.
- Tego masz się trzymać.
Nie będzie potrzeby.
Ale jakby co.
Tylko, Babol, nie zesraj się w portki ze strachu, bo po smrodzie dojdą, no nie, zecóż nie tak.
I pamiętaj, co będzie, jeżeli farbę puścisz.
W pierdłu!
Pamiętaj, wyobrażaj sobie, podniecaj się tym.
Przecież ty, Babol, zawsze taki mądry byłeś, no nie, taki zarozumiały!
Śmiał się, zadowolony z siebie.
Musiało być dla niego bardzo ważne powodzenie tej akcji.
Pewnie miała tym dobrze zarobić.
Ale myślę, że rozkoszowała się też moim strachem, niepewną miną, moimi rozterkami.
Zrobił ze mnie szczura, który wyjść z labiryntu może tylko jedną drogą - i to wybraną przez niego, władcę dusz: Gerarda Przyborę.
Władza!
Gromny niezaszczycał swą obecnością wszystkich prób.
Kiedy przychodził, bywał rozdrażniony i ciągle na lekkim rauszu.
Kasprzycki znowu na stronie kładł mu coś do głowy, ale niewiele to pomagało.
Grał zawsze perfekcyjnie, nie było się do czego odstrony muzycznej przyczepić.
A gdy Piotrek Kłasz zostawałam, to często, niestety, zdarzały się zauważalne kiksy.
Naprzewach Stefan tak manewrował, żeby złapać mnie albo Darka, a najlepiej nas razem, icoś nam opowiedzieć.
Cokolwiek, bo często plótl teraz androny, wygłaszał banały.
Słuchaliśmy go wyłącznie z powodu dawnej sympatii.
Jakoś głupio nam było unikać go zbyt otwarcie.
W przeddzień wyjazdu złapał nas dwóch i zaciągnął do cukierni.
Kupił ptysie, kawę i zaczął mówić:
283.

- Myślicie, że to fajnie być dorosłym?

Można robić, co się żywniepodoba, tak?

- Wyjął z kieszeni marynarki swoją piersiówkę i ostentacyjnie dolał z niej do kawy jasnego płynu.

-Na przykład pić, nie?

A tonie takieproste.

Jako dzieciak miałem takie marzenie: jak dorosnę, to nigdy nie zrobięniczego na czyjś rozkaz. Żadnego pozmywaj,skocz, przynieś czyzozamiataj.

Tylko to, na co będę miał ochotę.

Skończyłemszkołę, patrzę, nie idzie tak.

No to może później, myślałemsobie.

Nobo jak dziekanowinie przynieść trzeciej kawy?

Ale postudiach to samo.

I wiecie co?

-Pokręciliśmy głowami, spoglądającwymownie jeden na drugiego.

- Do dzisiaj nie jestem dorosły.

Albożle to wtedywykombinowałem.

O, właśnie.

Darek, kupisz dla mniejeszcze jedną kawę imoże eklerekę?

Tu masz forszę.

- A jak powiem, że nie?

-To nie będziesz dorosły, tylko.

Kup.

- Nie było eklerek - tłumaczył po chwili.

- Wziąłemjeszcze razptysia.

Atu ma pan resztę.

- Jesteś dobry chłopak - Gromny objął go za ramię.

- Pilnuj się,żebyś dobry umiałzostać.

Ty też, Tomek.

Pilnujcie się.

Pamiętajcieo tym moim marzeniu.

No i że mi się nie udało.

- Znowuchciałdolać piersiówki, ale niespodziewanie woda ognista już się skończyła.

-Szkoda.

Znikąd pociechy.

Nie myślcie, że niewidzę waszychporozumiewawczych spojrzeń.

Widzę.

I rozumiem.

Zachowuję sięjak krety.

I wiecie co?

Wcale mito nie przeszkadza.

To jest dopieroproblem.

Teoś mówi: Ośmieszasz się.

A jato wiem.

Ale wierzcie mi,ja chcę wam pomóc wygrać ten konkurs.

Naprawdę chcę.

Wiecie, ileorkiestr przyjedzie?

- Pokręciliśmy przecząco głowami.

Nie wiem jakDarek, ja czułem się zażenowany zachowaniem Gromnego.

- Osiem.

Toduzo.

Dwie z Niemiec.

Będa też Anglicy.

Nie będzie Rusków, i w tym nasza nadzieja.

- A ten pański Shalim JakMu Tam?

I ta Rihem z Francji?

- Jejorkiestra jest zgłoszona.

A Shalim Abd El Aziz przyjedzie, owszem.

Nie będzie tylko przewodniczącym jury, bo został nim taki

284

jeden profesor z Niemiec, von Grabba.

Staruszek.

Ktoś miał lepsze wejścia od naszego dyrektora.

To wy tak wciąż o tym pamiętacie?

- Ee, różnie.

- A ty, Tomek, oczym myślisz?

- Ja?

- Poczulem się tak, jakby mnie nagle zaatakował, próbowałna czymś przyłapać.

- O wyjeździe.

- Trzymaj się - powiedział dość nieoczekiwanie.

- Pamiętaj: nie tendorosły, kto niczyich rozkazów słuchać nie musi.

Nie martw się tak.

Byłem zbity z tropu, nie rozumiałem, o comu chodzi.

Darek też, bowzrokiem wskazał mi piersiówkę- Gromny bawił się nakrętką.

Nie zakręcał, nie chował, tylko mechanicznie nakładał i zdejmował ją z buteleczki.

I patrzył przy tym uporczywie w okno.

Na jego twarzy zagościła jakaś ssa, gorzka tęsknota.

- Truję wam, chłopcy - ocknął się wreszcie.

- Nie przejmujcie się.

Ale ciężko mi tak.

samemu.

A wy.

No, dobra.

Jutro widzimy się dziesiątej, przed szkołą.

Pożegnaliśmy go z ulgą.

Zataczając się lekko, odszedł na postój taksówek.

Niewysoki, łysy, o wrażliwych oczach i łapach goryla.

My też się rozstaliśmy.

Czas do wyjazdu zostało niewiele.

Trzeba się było spakować, przejrzeć jeszcze raz wszystkie dokumenty.

Przynajmniej ten ostatni dzień mi się nie dłużył.

Za ostatnim razem połów był najobfitszy, chociaż stawiałem swoje pięć tysięcy przepełniony ogromnymi wątpliwościami, czy aby i tym razem, jak poprzednio, cynk Gerarda nie okaże się fałszywy.

Ale wygrana wynosiła aż sześć do jednego, najwyższa z dotychczasowych.

Tylko gdy wróciłem pod bramę, gdzie miał czekać mój zleceniodawca, nie zastałem na miejscu nikogo.

Skonsternowany, zaniepokojony, kręciłem się bezradnie po okolicy.

Śródmiejska dzielnica w naszym mieście była stara i zaniedbana.

Kamienice znajdujące się w nich sklepy przy głównej ulicy wyglądały
285.

jeszcze jako tako, ale gdy tylko wszedłeś w boczną uliczkę, a już niedaj Boże w podwórko, to wszechobecny brud i nieład niemal porażały.

Z klatek schodowych zionęło smrodem, tynkodpadał wielkimi płatami, pod ścianami piętrzyły się sterty gruzu, połamanych mebli i starych szmat.

Najbardziej zaś dziwiło mnie, że same mieszkania w tych kamienicach bywały naprawdę eleganckie, wygodne i przestronne.

Rodzice Tadzia Rzychwy tak właśnie mieszkali.

Zapyłone podwórko prowadziło do obskurnej klatki; poślizgłych, trzeszczących schodach wchodzić trzeba było ostrożnie, i lepiej za dnia, a dotykanie poręczy żadnej porze nie należało do przyjemności.

Ale już drzwi do mieszkania były grube, solidne, wyposażone w kilka błyszczących zamków. Za drzwiami zaś zaczynał się inny świat.

Czekałem, przestępując z nogą na nogę i zachodząc w głowę, coteż Gerarda mogło odciągnąć od możliwości natychmiastowego odebrania wygranej.

Już, już miałem odejść, gdy napiętrzesąsiednie kamienicy utworzyło się okno.

Popatrzyłem w górę i zobaczyłem rozbranego do pasa Gerarda, jak rozgląda się po ulicy, wyraźnie kogoś szukając.

- No, jesteście wreszcie, Babol.

Chodź tu.

Numersiedemnaście.

Trochę się obawiałem, czy w środku nie czeka Księżyk, lecz radość wygrania furypieniędzy przewyciężyła strach.

Ostatecznie, mówiłem sobie, tylko oddam Gerardowi forsy i wcale nie muszę wchodzić do środka.

Zadzwoń.

Czekałem chyba z minutę, zanim drzwi uchylily się lekko.

Dobiegł mnie tupot bosych stóp.

cisza, spokój.

Zajrzałem do środka.

Pusty, dość zakurzony przedpokój.

Nad starą komodą wielkie, ale prawie ślepe od brudu lustro, na ścianie jakiś tandetny landszafcik, na podłodze zesmacony chodnik.

- Gerard, jesteś tam?

- Wcale nie chciało mi się wchodzić głębiej.

Mieszkanie sprawiało wrażenie zapuszczonej nory emerytowanego borsuka.

- Właż, Babol - dobiegło z jednego z pokoi.

- Tylko drzwi zamknij, no nie, żeby nas nie okradli - zarechotał.

286

Zamknąłem.

Wszedłem.

Pieniądze podobno szczęścia nie dają, mnie jednak pozwoliły zapomnieć o ostrożności.

Pchnąłem jedną z niedomkniętych drzwi i znalazłem się w dużym, ale ciemnym i brudnym pokoju.

Gerard leżał na materacu pod ścianą, w samych spodniach.

Kurzył papierosa na spółkę z zakrytą poszyję starym kocem.

dziewczyną, tą koleżanką Natalii z kawiarni.

Bez makijażu, potargana!

prezentowała się niezbyt efektownie.

I znowu wydała mi się dużo, dużo starsza niż wtedy, gdy w świetle hotelowych lamp rozglądała się za klientami.

Amoże to tylko półmrok w pokoju nie służył jej bladej cerze?

No i tło nie było zachęcające, bo siedziała oparta plecami o kaloryfer, z którego biała farba oblażała już chyba przed kilkomalaty.

- Znać się Beatrycze?

No to nie muszę dokonywać oficjalnej prezentacji.

Forsę masz?

- Mam.

Nieźle poszło.

Sześć do jednego.

Wyjąłem pieniądze z kieszeni.

Nie musiałem ich przeliczać.

Podszedłem do ich wyrka i podałem zwitek banknotów Gerardowi.

Wziął bez słowa, odliczył dwa tysiące i podał mi.

- Jak zwykle, Babol.

A to dla ciebie, moja złota Beatrycze - podała dziewczynie pięć tysięcy.

Kiedy sięgnęła po niez radosnym uśmiechem, opuściła koc, spod którego wychynęły piękne, jakby rzeźbione w marmurze, piersi.

Moje pełne zainteresowania spojrzenie nie uszło uwagi Gerarda.

- Niezła jest, co?

Ślinisz się, Babol, no nie?

A wygląd tojeszczeniowszystko.

Prawda, moja złota?

Pokaż no się temu dupkowi w całej okazałości, niech wie, czego nie będzie miał.

Dziewczyna wstała, przeciągnęła się leniwie, ziewnęła i podeszła do sterty swoich łaszków, ułożonych koło wyjścia.

Posągowe piękno jej ciała dziwnie kontrastowało z bladym, jakby wymiętym i zniszczonym obliczem.

I ze znudzoną, skwaszoną miną, bobłysek uśmiechu pojawił się tylko wtedy, gdy sięgała po pieniądze.

Kiedy minęła mnie po drodze pod drzwi, nie odwróciłem się, nie popatrzyłem za nią.

287.

- To ja się zmywam.

Do zobaczenia w szkole.

- Nawet nie wiesz, co ona umie!

Za jej "francuza" płacą po stodołców.

- Za co?

-Ech, Babol.

Żeby od Nataliinie wiedział, jak obracałeś jejsiostrzyczkę, to bym pomyślał, żeś jeszcze prawiczek.

No co, Beatrycze?

Pokażesz mu?

- Ani mi się śni - odezwała się pierwszy raz.

Spojrzałem do tyłu.

Ubierała się powoli.

Już wcześniej wciągnęła jedwabne majtki i teraz zakładała z pietyzmem pończochy, od pasa w górę wciąż goła.

Spotkałem jej wzrok.

Rzecz dziwna, pierwszy raz patrzyła bez pogardy, taksując mnie uważnie.

- Przecież piękny chłoptaş z niego - zachwalał szyderczo Gerard.

- Przy tym muzyk, kurwa, esteta.

Takiemu jeszcze łoda nie robiłaś.

- I dalej nie zamierzam!

Niepomy, pochylony tors i spokojne ruchy rąk naciągających pończochy wprawiały jej piersi w bardzo podniecający taniec.

Nie żeby pomyślał o tym realnie, ale widok był naprawdę ekscytujący.

- Ja ci zapłacę pięć patoli, no nie, a Babol dołoży swoje pięć.

Wyjdzieci, jak za dewizowca.

Wyprostowała się.

Chłodno uśmiechnięta, kalkulowała propozycję.

Podeszła do mnie blisko, aż poczułem jej papierosowy oddech.

W oczach dojrzałem nagły chochlik, jakby wpadła na świetny pomysł.

Pociągnęła mnie zakłapy marynarki w dół, do siebie, i złączyliśmy się w długim pocałunku.

Jej język rozwarł moje wargi bez trudu i oporu z mojej strony.

Nie opanowałem też rąk, które same przytrzymały jej wygięty w pocałunku tors.

I podczas gdy prawa ręka, ta od strony Gerarda, podtrzymywała tylko plecy, lewa zamknęła się na wyprężonej piersi; wnętrzem dłoni bardzo dokładnie czułem stwardniały sutek.

288

Puściła mnie po dłuższej chwili, z lekką ogłupiałego, i powiedziała do Gerarda:

- Może rzeczywiście z nim pójdę, i nawet zrobię coś więcej, ale zadarmo.

Łapkima pracowite, ładny jest i całkiem dobrze całuje.

Lepiej od ciebie.

Pociemniałe ze złości spojrzenie Gerarda sprawiło, że moje podniecenie natychmiast ustąpiło miejsca fali panicznego strachu.

Nie czekałem dłużej, nie rozglądałem się, nie zastanawiałem, tylko wzięłem nogi za pas i w kilka sekund już byłem na korytarzu.

Mimo że zatrzasnąłem za sobą drzwi, jeszcze na schodach słyszałem jego szyderczy śmiech.

Byłem przed szkołą pół godziny przed czasem, a i tak stawiałem się jako jeden z ostatnich.

Gorzej tylko, bo nie było autokaru.

Czekaliśmy na walizkach, podenerwowani, rozgorączkowani.

Kasprzycki poszedł zadzwonić do Orbisu, ale, jak to w Polsce, nikt nic nie wiedział.

Pozostawałam tylko cierpliwie czekać.

Zastanawiałem się, czy to dla mnie dobry, czy zły znak.

W miarę zbliżania się terminu wyjazdu coraz częściej dopadały mnie nagłe ataki strachu, prawie przerażenia.

Odganiałem je, próbowałem lekceważyć.

Niezbyt pomagało.

Wreszcie, w pół do dwunastej, przyjechał autokar.

Kierowca przeproszał, sto metrów od domu zerwał mu się pasek klinowy, ten, który miał w pasie, okazał się wadliwy, trzeba było załatwić nowy.

Same problemy.

Rozlokowaliśmy się dość pośpiesznie.

Gdy każdy usiadł już na wybranym miejscu, wiołenciści ustawili swe instrumenty na siedzeniach, Gromny i Kłasz zabezpieczyli w lukach kontrabasy, a my ułożyliśmy futerały ze skrzypcami na górnych półkach, wtedy Kasprzycki wziął mikrofon, chuchnął w niego kilka razy i powiedział:

289.

- Zaczynamy naszą wielką wyprawę.

Już na starcie mamy kłopoty.

Ale pamiętajcie: co się źle zaczyna, to się dobrze kończy.

A teraz jeszcze jedna sprawa.

Kiedyś, podczas wyjazdu z filharmonią, nasz polega po dotarciu na miejsce znalazł w swoim futerale dwie flanelowe koszule i butelkę wódki, a zamiast smyczka - kabanosy.

Widać pakował się nerwowo.

Dlatego zrobimy teraz ostatni przegląd.

Otwórzcie swoje futerały, wyjmiecie paszporty, książeczki walutowe, zezwolenia na wywóz instrumentów i ja to wszystko jeszcze raz szybko sprawdzę.

Raz, dwa.

Zaczynamy.

Trzeba było znowu ściągać instrumenty, szukać dokumentów, poczym Kasprzycki zaczął chodzić po autokarze i wszystko pedantycznie sprawdzał.

Obejrzał też moje skrzypce, dokumenty - wszystko w jak najlepszym porządku.

Ale za mną siedział Darek:

- Panie profesorze, nie mogę znaleźć zezwolenia na wywóz i książeczki walutowej.

Chyba zostały w domu.

Kasprzycki, pochylony jeszcze nad moimi skrzypcami, odpowiedział:

-No, widzicie.

Lepiej teraz sprawdzić, niż wracać z granicy.

- Ja mieszkam prawie po drodze.

Zadzwońię ze szkoły, żeby mama czekała na ulicy.

Nie będzie kłopotu.

Tylko że nie mógł się dodzwonić.

Podjechaliśmy więc pod jego dom i autokar poczekał, aż Darek pobiegnie po zapomniane dokumenty.

Opuściliśmy miasto w pół do pierwszej.

Dziwna to dla mnie była droga.

Cały spięty, myślałem wciąż o granicy i o tym, co dalej.

Układałem sobie w myślach przebieg spotkania z tym wysłannikiem Gerarda w Berlinie.

Wymyśliłem tak: oddam skrzypce do innego pokoju, na przykład do Eli i Ewy, i dopiero po znieszczeniu zdjęć przyniosę.

Choćby mi nie wiem czym grozili, choćby.

A co z celnikami?

Co robić, jeśli będą mieli jakieś podejrzenia?

A może wszystko pójdzie gładko, bez kłopotów?

290

Pola, lasy, słupy, wioski, miasteczka, samochody.

Mój wzrok rejestrował szczegóły tak dziwne, jak na przykład dwa ptaki na linii wysokiego napięcia, które co chwila zamieniały się miejscami.

Kiedy jeden wskakiwał na wyższy przewód, drugi zeskakiwał na niższy.

Zrobiły toz pięć razy, zanim zniknęły w oddali.

Później zatrzymaliśmy się naświetłach w małym miasteczku, tuż obok budki z piwem.

Jeden mężczyzna przysuwał drugiemu kufel, który tamten uparcie, z odmoownym gestem, odsuwał od siebie.

Fundator przekonywał, klepał oportunistę po plecach, gestykulował.

A piwo wracało, podtykane cierpliwie i równie cierpliwie odtrącane.

Światła zmieniły się, mężczyźni dalej prowadzili swoją pantomimę, a ja jechałem na spotkanie swego losu, znów pewny, że będzie zły i okrutny.

Te zapite typki przy budce wywołały wemnie panikę.

Już niedługo będę wśród takich indywidualistów, lubjeszcie gorszych, na co dzień.

Będę musiał się do nich uśmiechać, udawać zrozumienie dla ich prymitywizmu i chamstwa, pilnować każdego słowa i gestu, aby mnie czasem za "inteligenta" nie wzięli, za takiego, co to się wywyższa.

Na obiad stanęliśmy około kilometrów od granicy.

Kasprzycki nas poganiał, mieliśmy już prawie trzygodzinne opóźnienie.

Zapowiadał się, że do Berlina zajdziemy dopiero koło północy.

Jadłem w roztargnieniu jakiś kotlet, siedząc razem z Darkiem i Tadeuszem Rzychwą.

Przez głowę przebiegła mi myśl, że mógłbym zabrać skrzypce i wysiąść tu cichaczem, zaszyć się w jakiejś mieścinnie i zacząć nowe życie.

Zgłosić się do pracy w fabryce, zmienić wygląd, może nazwisko?

Ale było już za późno, a i pomysł nie należał do najmądrzejszych.

Kasprzycki zwoływał nas, odliczał w autokarze.

Ruszyliśmy.

Panika narastała.

Tablice z informacjami o zbliżającej się granicy budziły we mnie dreszcze.

Spoglądałem co chwila na spokojnie leżącą nad mną futerał jak na bombę z opóźnionym zapłonem.

Gdzieś czasami słyszałem miarowe tykanie, zamknąwszy oczy, widziałem potężną eksplozję, niszczącą mnie, moich przyjaciół, cały świat.

291.

Jeszcze przed granicą złapaliśmy gumę i straciliśmy kolejną godzinę.
Żałowałem, że nie wpadliśmy w poślizg, nie zderzyliśmy się z innym samochodem.

Wtedy wypraw skończyłaby się w tym miejscu:

zamiast na konkurs, trafilibyśmy pewnie do szpitala.

A tak, koło dziewiątej, z ogromnym opóźnieniem, dojechaliśmy na granicę.

Kolejka umiarkowana.

Przed nami tylko jeden autokar.

Jacyś sportowcy z Warszawy.

Najpierw kontrola paszportów, zebranych wcześniej i ułożonych według kolejności miejsc.

To był pomysł Gromnego, miło przyjęty przez młodego żołnierza ze stemplem.

Spojrzenie w oczy, później na dół, na zdjęcie w paszporcie, jeszcze raz w oczy i stempel.

Następny.

Oczy, paszport, oczy i.

buch.

Buch, buch, buch.

Mnie sprawdził bez pytań i wątpliwości.

Zostali jeszcze celnicy.

Weszło dwóch, jeden siwy jak gołąb, drugi młody, brodaty, o jasno uśmiechniętych oczach.

- Kto z państwa przewozi towary podlegające ocłenieniu?

Prezenty, alkohol, biżuteria?

- Jedziemy na konkurs, proszę pana - odezwał się Kasprzycki - To młodzieżowa orkiestra.

Muzycy.

- Muzycy też ludzie.

Nikt nic nie ma?

No dobrze, zobaczymy.

Na instrumenty zezwolenia są?

- Każdy ma indywidualne.

- No, to proszę.

Zaczynamy od pana - zwrócił się Gołąb do Teodora.

- Ja nie mam instrumentu.

Dyryguję.

Prowadzę.

- Pani - to już do Danusi, którą wyciągała w jego kierunku przygotowany wcześniej papier.

Zaczęła się kontrola.

Pociłem się.

Umierałem.

Drżałem.

- Pańskie papiery!

To do mnie.

Stało się.

To już koniec!

292

- No tak - powiedział Gołąb.

- Które topańskie skrzypce?

Coś mnie kusilo, gdy wstawalem, aby pokazać instrument Eli, leżący tuż obok.
Ale Ela siedziała dwa rzędy za mną i za chwilę wszystko by się przecież wydało.
A może nie?

Przecież nie zaglądał do każdego instrumentu.

- No, co tam, kawalerze?

Co tak długo?

Ręce same zdjęły mój futerał z półki.

Otworzyłem go.

- To co my tu mamy?

Rok produkcji- 1909.

A wyglądają nastarsze - zaśmiał się, mnie zaś po plecach sphywał zimny strumień potu.

- Patrz, Grzesiu - zwrócił się do brodacza- jakie ładne skrzypce.

Autor: Stanisław Gałka.

Włoska szkoła.

Co to znaczy, kawalerze, włoska szkoła?

Topolski instrument czy włoski?

- Polski, przecież napisane.

- No, nie wiem.

Zapakuj, kawalerze, te skrzypce i chodź z nami.

- Gdzie?

- Tutaj, do urzędu.

No, już!

- Zmienił nagle ton z żartobliwego na ostry, rozkazujący.

W głowie miałem pustkę, gdy pakowałem skrzypce z powrotem do futerału.

Wzięłam swoją kurtkę, skrzypce pod pachę i.

Chciało mi się płakać, a musiałem udawać zdziwienie i niezrozumienie.

- Co się stało?

- zatrzymał nas przy drzwiach Kasprzycki.

- Nic - odparł Gołąb.

- Musimy sprawdzić, czy pański podopieczny na pewno wywozi swój instrument.

Wprowadzili mnie do środka budynku.

Podeszliśmy do stołu, przy którym czekał już trzeci celnik, szczupły staruszek o krzywym zgryzie.

- No i jest?

- spytał na nasz widok.

- Zaraz zobaczymy- odparł Gołąb.

- Daj te skrzypce, kawalerze.

Musimy coś sprawdzić.

W tej chwili do środka wszedł Kasprzycki.

Rozejrzał się, podszedł do naszego stolika.

- Panowie, o co chodzi?

Jesteśmy już spóźnieni.

Dzieciaki jutro grają, a i tak w hotelu będziemy podwunastej.

293.

- Kim pan jest?

- zwrócił się do niego starszek.

- Jestem Teodor Kasprzycki, opiekun grupy i dyrygent orkiestry.

-Musi pan poczekać.

To nie powinno potrwać długo.

Grzesiu, jak tam?

- krzyknął w kierunku Brodacza i Gołębia, którzy byli czymśzajęci w na wpół zamkniętym sąsiednim pomieszczeniu.

- Zaraz, zaraz.

Już prawie mamy.

O, jest.

-Jeden z nich wyszedł, :

trzymając pincetą kartkę ze środka skrzypiec.

- No, kawalerze, co to są za skrzypce?

Nie musiałem silić się na drżący głos, gdy opowiadałem wyuczoną na pamięć historyjkę obazarze, starym dziadzie, okazji za bezcen i tak dalej.

- A pan?

- starszek zwrócił się do Kasprzyckiego.

-Co pan o tym wie?

-Chłopiec przyniósł skrzypce dwa tygodnie temu i powiedział mi to samo.

Wierzę mu, bo to nienadzwyczajny instrument, chociaż za;

tę cenę- okazja.

- Ach, jak ładnie.

A to brodacz podsunął mi pod nos kartkę.

- No, kartka.

-Słusznie.

Przyjrzyj jej się.

Byłem zbyt denerwowany, aby spokojnie patrzeć na karteluszek, którego treść znałem na pamięć.

Wciąż myślałem gorączkowo, skąd celnicy wiedzieli?

Bo wyraźnie od początku szukali właśnie mnie i nie mieli żadnych wątpliwości.

Czyżby ktoś mnie wsypał?

Ale kto?

- No, zaraz to sobie obejrzymy.

Wstawiłeś już wodę, Grzesiu?

- Tak, za chwilę będziemy mieli parę.

Zabrali papierkę do pomieszczenia z przymkniętymi drzwiami.

Starłem się nie patrzeć na Kasprzyckiego, który usiadł na krześle pod ścianą i patrzył cierpliwie w sufit.

- To jak, kawalerze?

Bazar?

- Potaknąłem, z trudem przetykając ślinę.

-Zastanów się, jak będziemy mieli już dowody, to za późno będzie się przyznawać.

- Kupiłem na bazarze.

Nie wiem, co panowie.

- wzruszyłem ramionami.

Skupiłem się na tym, aby niepatrzeć na Kasprzyckiego i nie dać nakłonić się do wyznań.

Przywoływałem przedoczywszystkie więzienne sceny, tak plastycznie opisane przez Gerarda. Teraz wyglądało nato, że w więzieniu wyląduję takczy siak, więc już lepiej było móc liczyć na opiekę tego łotra, bosiedzacza niego, miałemna niegowreszcie haka.

- Eureka!

- rozległ się zwycięski okrzyk brodacza.

-Mamy to!

Znów niósł trzymany pincetą papierek, teraz jakiś cieńszy.

Naglesprawą zainteresowałosię więcej osób, każdy z obecnych podchodził, patrzył, komentował, kręcił głową, niektórzy gratulowali Gołębiowi, brodaczowi i staruszkowi.

- Taki sukces przed emeryturą!

Świetnie, stary!

Dobra robota.

Po jakimś czasie papierek dotarł na stół, przy którym nadal stałem.

Staruszekkiwnął na Teodora.

- Niech pan teżpodejdzie.

Żeby było jasne, że żadnych szwindlitu nie ma.

Papierek położonona bibule, na której teraz wysychał.

Kasprzycki podszedł, nachylił się i odczytał niewyraźne litery i cyfry.

Wzruszyłramionami.

- Proszę pana - zwrócił się do staruszka - to jest szwindel, bo jeżeli te skrzypce to stradivarius, to ja jestem biskupem!

-To proszę usiąść, Wasza Eminencjo!

- brodacz podstawił mokrzesło, a obecni w sali wybuchnęli śmiechem.

- Dziękuję panu - odparł Kasprzycki, zajmując miejsce z poważną miną.

- To wszystkiepanów dowody przeciwko temu chłopcu?

Według mnie, ktoś wam i jemu robi kawał.

- Dobrze, dobrze.

Kawalerze - brodacz zwrócił się do mnie w sposób, w jaki widocznie miałem już tutaj być nazywany - czy teraz opowiesz nam coś więcej?

- Kupiłem skrzypce na bazarze.

Przecież już mówiłem.

Maciepanowie papier od wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Tam jest napisane, co to za instrument.

Ja je kupiłem na bazarze.

295.

- Dostyc, szczeniaku - uniósł się staruszek.
Po co robisz z siebie i z nas durniów?
- Opowiedz wszystko, przyznaj się, kto ci je dał, a wtedy.

- brodaczzawiesił głos.
- Przepraszam - wtrącił Kasprzycki.

- Panowie zachowujecie się jak ekipa śledcza.
Oco oskarżacie mego podopiecznego?
- O kradzież cennego instrumentu i próbę nielegalnego wywozu.
- To jest rola milicji, jak sądzę.

Problem tylko, że to nie te skrzypce.
- Cicho pan bądź - staruszek przejął inicjatywę.

- My onic nieoskarżamy.
Ale chłopiec musi tu zostać.
Miał tu być prokurator i specjaliści.
Coś ich musiało zatrzymać.
- Jacy specjaliści?
- Dyrektor Framenna z poznańskiej kolekcji i tamtejszy lutnik.

Do ich przybycia chłopiec zostanie tutaj.
- Co zresztą mojej grupy?
- Możecie jechać.

Mamy sprawę tylko do kawalera Bamblińskiego.
Pana również nie zatrzymuję.
Grzesiu - zwrócił się do brodacza.
- Oddaj panu paszporty.
Niech jadą na konkurs.

Niech reprezentują Polskę, ale na własnych instrumentach, a nie na kradzionych.
Kasprzycki, nie popatrzawszy nawet na mnie, wyszedł za brodaczem do autokaru, przed którym kilku chłopców paliło papierosy, gadało, popatrywało w naszym kierunku.
- Do ciebie, kawalerze, mam jeszcze raz pytanie.

Przyznasz się?
Popatrzyłem na krzywy zgryz staruszka.
Wykrzywił się jeszcze bardziej, co zapewne miało być uśmiechem, a wyszedł z tego porozumiewawczy grymas, prawie zabawny, gdyby tylko koliczność nie była tak poważna.
Na moje kolejne zapewnienie o bazarze i dziadzie machnął ręką razem z Gołębiem zabrał się do wypełniania jakichś strasznie skomplikowanych formularzy.
Stałem wciąż przy stole.

Nikt nie dał mi krzesła, nie pozwolił usiąść.
W gruncie rzeczy ucieszyłem się, gdy Kasprzycki odjechał,
296
choć spodziewałem się od niego jakiegoś gestu pocieszenia, parusłów otuchy.

A teraz patrzyłem, jak nasz autokar rusza i znika poniemieckiej stronie.
Ktoś położył rękę na moim ramieniu:
- Myślę, Tomku, że możesz usiąść sobie tam, pod ścianą.
- To pan.

- Kasprzycki stał przede mną w płaszczu, a przy wejściu leżał mój plecak i jego mała zgrabna walizeczka.
- Nie pojechał pan?

Czułem ulgę, bo nie zawiódł mnie człowiek, którego podziwiałem lubiłem, ale i obawę, bo przy nim trudniej mi było kłamać w żywe oczy.

A teraz będę musiał robić to przez jakiś czas.

- Przecież jesteś pod moją opieką.

Poza tym - uśmiechnął się - przyjadą ci ich specjaliści i sprawa będzie oczywista.

- A konkurs, a orkiestra?

- Przed szóstą jest pociąg do Berlina.

Do tego czasu sprawa już się wyjaśni.

Stefan zaopiekuje się dzieciarnią.

Wszystko się dobrze skończy.

- Kawalerze - rozmawialiśmy wciąż obok celników siedzących nad papierami - wy nie na krzesło, tylko tam.

- Staruszek ruchem głowy wskazał korytarz.

- A pan, jak pan już został, proszę sobie usiąść pod ścianą i czekać.

- Dzwoniłem - powiedział od wejścia brodac.

- Wyjechali pięć godzin temu.

Nikt nie wie, kurwa, co się stało.

Powinni już tu dawnobyć.

- Przyjadą, przyjadą.

Zaprowadź, Grzesiu, naszego kawalera orderu odkradzeni skrzypiec do poczekalni.

- A to dobre.

Order odkradzenia.

Ty to masz, Szymon, powiedzonka.

Brodacz wziął mnie za ramię i popchnął w kierunku korytarza.

Zatrzymaliśmy się przed trzecimi drzwiami z rzędu.

- Szczać ci się chce?

- Potaknąłem.

- To chodź najpierw tutaj.

Wprowadził mnie do toalety i cały czas stał za mną, gdy opróżniałem pełen pęcherz.

- No dobra.

Starczy.

- Znów zaprowadził mnie przed te same drzwi.

- Masz tu wszelkie wygody.

Tylko dzwonić na miasto nie możesz!

297.

Ze śmiechem przekręcił klucz w zamku od zewnątrz i oddalił się.

Pokój miał zakratowane okno.

Pod ścianą stało łóżko, metalowe, pokryte białą miejscami poodpryskiwaną farbą.
W kącie wiadro, obok niego kulawe krzesło, z trzema tyłkonogami i wykrzywionym oparciem.

Na łóżku brudny szary koc, położony wprost napasiastym sienniku;!

Komfort!

Zgasilem światło, naga żarówkę, dwusetkę chyba, bo świeciła, jakbymóżg
chciała wypalić.

Położyłem się.

Przede mną była przepaść.

Zacząłem jednak myśleć.

Co mi grozi?

Najwyżej oskarżenie współdziałania, bo nikt przecież nie pomyśli, że sam te skrzypce
gwizdnąłem.

Ale kto mnie wsypał?

Przez cały czas, gdy stałem przed celnikami i powtarzałem swoją formułkę,
zastanawiałem się: Kto mnie wsypał?

Kto wiedział?

Czyżbysam Gerard?

Po co?

A może jacyś jego i Księżyka rywale?

Bo co dotego, że celnicy byli o moim przybyciu uprzedzeni, nie miałem najmniejszych
wątpliwości.

Noi wezwanie tych oficjeli z Poznania.

Cobędzie, kiedy oni tu dotrą kiedy wiara Kasprzyckiego w moją niewinność zostanie
zburzona?

Tego się bałem.

Jak wytrzymam towszystko w obecności Teodora?

Jakmu spojrzę twarz?

Może lepiej się przyznać?

Wtedy stawał mi przed oczami Księżyk.

Jego promieniujące złe spojrzenie.

To był człowiek pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć.

Gdybym go wydał, zrobiłby zemnie powidła.

To już lepszy wstyd przed Kasprzyckim.

A co powie Paulina?

Jeszcze taki kłopot dla niej.

A Ela?

Przede mną była przepaść.

Na samą myśl o następnym dniu.

Tejnocy w rozgorączkowanej wyobraźni wróciłem do fabryki z Cerkwinem, rzucałem
się na Gerarda w obronie Marusi, później oglądałem swego ptaszka, gorzko płakałem nad
malcem przerażonym bólem przy siusianiu.

Znowu kradłem pierścione koleżanki Mateusza, oddawałem go bez walki

Gerardowi, wysłuchiwałem kłótni rodzicieli

ców, odkupywałem z tatą podobny pierścionek następnego dnia u jubilera i odnosiłem
go tej dziewczynie, czerwieniąc się przepraszając.

Taki był warunek taty.

Sam miałem pierścione kodnieść.

Przeżywałem miłosne uniesienia z Marcysią, wspominałem platoniczną miłość do "cudnej pani", dziwowałem się upadkowi Natalii, myślałem o Elii naszych wspólnych niepowodzeniach na Mazurach.

To łóżko z głupim wierszykiem na obramowaniu, popękana farba na ścianie.

Ruch za oknem, samochody odjeżdżające jeden za drugim na granicę.

Gwar.

Życie.

A przede mną była przepaść.

Nie wiem, ile czasu trwało, zanim usnąłem.

Nie wierzyłem, że w takiej sytuacji jak moja w ogóle można zasnąć.

A jednak.

Umysł nagle się wyłączył, coś kliknęło, przeskoczyło i znalazłem się w innym świecie - jasnym, promiennym.

Podszedł do mnie Gromny, z wielkim kieliszkiem koniaku w ręce:

- Będziesz dorosły, duży i dalej niezadowolony.

Tak jak ja!

- Zostaw go, on jest mój - mówiła Marcysia, podjeżdżając na wózek inwalidzkim, ubrana w żółtą sukienkę, którą nosiła jako dziesięciolatka, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz. Wstała z wózka, złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku wielkiego, obsypanego kwieciami łóżka.

Ale tam już czekała Ela z Natalką.

- Zostaw go, on nic nie może.

To impotent.

Chodź do nas - Ela wyciągnęła do Marcysi ramiona.

- Zabawimy się razem.

Chciałem zostać, popatrzeć na nie, ale ktoś usilnie mnie odciągał. To Kasprzycki.

- Tutaj masz swój plecak.

Znajdziesz w nim swoje zdjęcia.

Znajdziesz w nim swoje zdjęcia.

Znajdziesz.

To już nie był on.

Stałem twarzą w twarz z Księżykiem, który nagle ukląkł i zaczął odmawiać Zdrowaś Mario.

Popatrzył na mnie w środku modlitwy i powiedział:

- Kochaj bliźniego jak siebie samego.

- I dalej ciągnął głosem dewotki: - Błogostawionaś Ty między niewiastami.

299.

Obudziłem się, ocknąłem nagle.

Za oknemwstawał szary świt.

Oddrzwi dochodził gwar podnieconych głosów.

Rozpoznawałem podniesiony głos Kasprzyckiego, robił komuś awanturę, prawie krzyczał.

Zachwilę kroki pod moimi drzwiami, chrobot klucza wzamku i brodatatwarz celnika.

- Jest pan tutaj?

- zapytałinteligentnie.

-Proszę do głównej sali.

Czekamy na pana.

Siedziałemna łóżku,przeciągałem się analizowałem,co teżmogło się w czasie mego
snu zdarzyć.

Nie byłem już "kawalerem".

Nie mówił mi też na "ty".

I nie dowcipkowałem!

Nie bardzo wiedziałem,co może się wmojej sytuacji zmienić nalepsze, ale to byłdobry znak.

Wstałem.

Drzwi zostawił otwarte.

Wyszedłem na korytarz i skierowałem się najpierw do łazienki.

Zrobiłem co trzeba, umyłem twarzw zimnej wodzie i wciąż zastanawiałem się nad zmianą
stosunkubrodacza do mnie.

Kasprzycki zauważył mnie odrazu.

- Tomek, zbieramy się.

Nie ma czasu.

Pociągjest za godzinę,atrzeba jeszcze dojechać nadworzec, kupić bilety.

No, zbieraj się.

Rozejrzałem się po sali.

Gołąb i starszettekkonferowali z trzemapanami w czarnych garniturach, pomagającsobie przy
tym rękami i prezentując bogaty wachlarz grymasów.

Jedenz nich był wyjątkowo niezadowolony, wręcz wściekły.

Koło stołu,na którym znówleżały moje skrzypce, stał starszy pan w góralskim grubym
swetrze.

Przyglądał się uważnie instrumentowi, brał goco chwila do ręki, odkładał,cofał się dwa kroki,
znowuwracał.

- Ale Galkato chyba teżnie jest - zwrócił się jakby do Kasprzyckiego.

-Możei nie, panie Gąsiennik, ale przeciezi nie stradivarius.

- No, tyle to wszyscy wiemy.

Ale Galkateżnie.

A może?

Ta karteczka była tam od razu, jak je kupiłeś?

- zwracał się wyraźnie domnie.

Czułem się nadal oszołomiony, nie wiedziałem, co tu się dzieje.

- Kupiłem skrzypce na bazarze - postanowiłem graćdalej swojárólę.

- Od dziada, za bezcen.

300

- To wiem - machnął ręką Gąsiennik.

- Karteczka była?

- Była.

-No, to jasne.

- Wszystko jasne, aczasunie ma - ponaglał Kasprzycki, wcale jakby niezainteresowany wywodem lutnika.

- Złóż instrument, Tomku.

Wszystko ci wyjaśnię w drodze.

Panie Dzierżysławie, to jak z tym podwieszeniem?

- Już, już - odpowiedział grzecznie Gołąb.

- Za dwie minuty będzie nyska.

- Czemu się nie pakujesz?

- zwrócił mi uwagę Kasprzycki.

- Spieszmy się.

Ja zaś stałem i próbowałem dociec przebiegu zdarzeń z ostatnich godzin.

Czyżby Kasprzycki podmienił skrzypce?

Albo wszedł w porozumienie z tym Gąsiennikiem?

Nie. Skrzypce były wciąż te same.

- Pana paszport - starszek puknął mnie delikatnie w ramię.

Jego krzywy zgryzwcaż nadawał twarzy dziwny, porozumiewawczy wyraz.

- I bez urazy.

Zdarzyła się pomyłka.

Pański opiekun wszystkoplanu wyjaśni.

A teraz musicie się spieszyć.

Wziąłem paszport bez słowa.

A więc przepaść się oddaliła?

Czy toczary Kasprzyckiego?

Czy też znowu czeka na mnie tuż za rogiem nianiespodzianka?

- Tomek - Kasprzycki podniósł już trochę głos.

- Pospiesz się.

Czekał przy wyjściu, ścisnął rękę Gąsiennika i jednego z ludzi w garniturach.

Włożyłem kurtkę, zarzuciłem plecak, pod pachą miałem skrzypce.

Wyszliśmy przed budynek.

Nyska czekała, z miejsca dla pasażera wychylał się Gołąb.

Wsiadliśmy z Kasprzyckim.

Pomógł mi, popchnął mnie od tyłu, gdy ciężki plecak zawadził o dach samochodu.

Ruszyliśmy.

Odjeżdżałem stamtąd wolny.

Ogłupiały, zdumiony, otumaniony, ale wolny.

Część druga:

Gerard:

Rozdział konkursu.

Pociąg do Berlina zazwyczaj nie zabierał pasażerów z tej stacji.
Stawała niej dla załadowania poczty i doczepienia dwóch wagonów z Wrocławia.
Do nich właśnie, jeszcze stojących naboczniczy, wsadził nas Gołąb.
Poszli z Kasprzyckim pobilety, a ja siedziałem namiękkim fotelu pierwszej klasy, sam w przedziale, i rozkosznie sobie niczym nie myślałem.

Po pięciu minutach wrócił Kasprzycki, już sam.

Poukładał swoje rzeczy na półce, zdjął płaszcz, usiadł wygodnie i założył nogę na nogę.
Nie patrzył na mnie, ja na niego tylko zerkałem.

- No, to jedziemy.

Wybacz mi, Tomku, przez chwilę muszę odpocząć.

Zamknął oczy i zaczął głęboko, jednostajnie oddychać.

Nie wiedziałem, co robić ze sobą.

Wciąż broniłem się przed analizowaniem zaistniałej sytuacji, jakby w obawie, że jak ją przemyślę, tokłopoty wróca.

Również przymknąłem powieki.

Przypomniał mi się sen.

Ela z Marcysią?

Co za absurd!

Kasprzycki coś we śnie mówiło zdjęciach.

Też absurd.

A moja obecność w pociągu do Berlina?

To jest dopiero absurd!

Zaczęły dochodzić odgłosy podłączania naszych wagonów do głównego składu.

Szarpnęło raz i drugi.

Obaj otworzyliśmy oczy.

Popatrzyliśmy na siebie.

Ze zdumieniem zauważyłem na twarzy Teodora uśmiech.

Może nie był radosny, ale patrzył pogodnie i lekko kiwał głową.

305.

- No, kawalerze, wyszliśmy z tego cało, co?
- Potaknąłem, zdziwiony jego dobrym nastrojem.
- Tylko jeszcze nie wszyscy wiemy, co to było.

Jak myślisz, należami się jakieś wyjaśnienia?

- Panie profesorze.
- Co ja mogłem powiedzieć?
- No, dobrze.

Najpierw opowiem ci, co się zdarzyło w nocy.

Otóżten dyrektor, ten z kolekcji instrumentów, i Gąsiennik dojechalio czwartej czterdzieści pięć.

Dwa razy złapali gumę.

Dlatego dotarlitak późno.

Po drodze mieli zabrać jeszcze prokuratora, który, niedoczekawszy się ich, dojechał sam.

Jak ci specjaliści wreszcie sięzjawili, to nasi kochani celnicy zaprezentowali im twoje skrzypce i tękarteczkę.

Było wesoło, bo ten z kolekcji od razu głośno parsknął.

Jasię tej karteczceż wcześniej nie przyjrzałem, bo wiedziałęmswoje.

A wiesz, co na niej było?

-Nie wiem.

Byłem zbytznenerwowany.

;a Antonio Stradivari, Cremona, Anno domini 1648.

Rozumiesz?

czy Nie.

A kiedy Antonio Stradivari się urodził?

- Niewiem.

- Właśnie w tym roku!

W tysiącsześćset czterdziestym ósmym!

Albo szóstym.

Teraz rozumiesz?

Ja, Czyli.

- Gąsiennik też się śmiał.

Mówił: "Poto mnie po nocy ciągałtaki kawał drogi, żeby mi niemowlaki pokazywać". Ale prokuratorbył autentycznie wściekły.

Mówiłcoś o niesprawdzonych pogłoskach, łatwowiernych idiotach i tym podobnych.

A oni!

Żebyś ich widział!

Próbowali jeszcze bronić swojej wersji, okazało się, że mieli nawetzdjęcie tego stradivariusa od Camparo, tylko byli tak pewni siebie, że nie raczyli go porównać z twoimi skrzypcami.

Zresztą to tacy specjaliści, że pewniei tak nic by nie zauważyli.

Ale i tak ten siwy siępoczuł, bo pomógłnam dostać się do pociągu.

Dzięki temu jedziemyjednak nakonkurs.

Będziemy w Berlinie koło dwunastej i zostanie

306

nam jeszczekilka godzin na odpoczyneki próbę.

No- popatrzył namnie -teraz twoja kolej.

Kusiło mnie, żeby dalej trzymać się wersji o dziadzie z bazaru.

Coś jednak wspanowieniu Teodora ostrzegęło mnie przed taką łatwizną.

On musiał się chyba wielu spraw domyślać.

Tylko - skąd?

- Zanim zaczniesz kręcić, chcę ci coś powiedzieć.
Ufam ci i tylko dlatego ci pomogłem.
Znam cię kilka lat, więc wiem, do czego jesteś zdolny, a do czego nie.
- Panie profesorze, to nie takie proste.
Ja..
Teraz sam już niewiele rozumiem.
A nie chciałbym w oczach pana profesora stracić resztek szacunku, honoru, więc.
- Honor jest ważny, ale.
- przerwał, wpatrzył się w okno, przełknął ślinę.
- Kiedy jednak zaczyna być ważniejszy od.
życia, tonie jest już honorem.
Jest głupotą.
I tonie ma znaczenia, od czyjegożycia.
Rozumiesz mnie?
- Potaknąłem, patrząc na jego dłonie.
- Dlatego można zrobić coś.
niehonorowego, może nawet niedo końcaucziwego.
Albo - nie zrobić.
uczciwego, no, nie powiedzieć, niewyjaśnić do końca, nie dzielić się swoimi podejrzeniami.
Żyjemy wśród ludzi.
Ich życie.
nasze życie - to są priorytety.
dla mnie.
Dlatego.
No, ja też nie dzieliłem się z celnikami wszystkim, co myślę i podejrzewam w tej sprawie.
Nie tylko ze względu na ciebie, a wręcz.
Ale to na razie zostawmy.
- Ja wiem, że pan profesor ocalił mi skórę.
Jestem.
w tarapatkach.
- I próbujesz sam się z nich wydostać?
- Już nawet przestałem próbować.
Panie profesorze, zastanawiałem się, czy panu.
Czy nie porozmawiać z panem.
Ale bałem się, co panu mnie pomyśli.
Pan tak wciąż tym honorze, a dla mnie to.
ważne.
Nie chcę, aby pan myślał.
Z kradzieżą nie mam nic wspólnego.
Jestem szantażowany.
- Przekogo?
Ja wiem, że to nie ty ukradłeś.
Znam cię.
Nie jesteś wzorem cnót, ale znasz granice.
Co z tym szantażem?
- No, jest taki chłopak.
Ma na imię.
307.

Powoli, z oporami, zacząłem Kasprzyckiemu opowiadać o tym, o czym z nikim jeszcze nie rozmawiałem.

Bardzo rzadko grywaliśmy pod batutą innego dyrygenta niż Kasprzycki.

Za pierwszym razem zdarzyło się to na nagraniu radiowym, które załatwił prorektor uczelni, ten sam, którego protegowanym w naszej szkole był Gerard.

Nagrywaliśmy całkiem długi, pseudobarokowy kawałek (zresztą autorstwa tegoż prorektora), w którym oprócz smyczków były też oboje, waltornie, trąbki tenorowe i trzy puzy.

A dyrygował sam kompozytor!

Tylko szło mu to, jak z satysfakcją zauważyliśmy, owiele gorzej niż Kasprzyckiemu.

No i samo nagranie: żmudna, benedyktyńska robota.

Nieustannie powtórki, wyłapywanie nieczystości, nierówności.

Dyrygent co chwila biegł do reżyserki, gdzie odsłuchiwał wraz ze specjalistami dopiero co wykonany fragment.

Potem przychodził, mówił, co było według niego źle, następnie swoje trzy grosze wtrącał jeszcze reżyser dźwięku i powtarzaliśmy ostatnią część albo tylko taki jej kawałek, który można potem było łatwo "przyciąć".

Już po godzinie tej mordęgi zniecierpliwienie do końca życia wszelkie nagrania.

Miałem też swoje indywidualne kłopoty, bo w utworze były bardzo niewygodne, wysoko popisane solówki, które ćwiczyłem w każdej przerwie, a i tak nie wychodziły jak należy.

Jednym słowem: męczarnia.

Poza tym ten prorektor w ogóle nie umiał stworzyć atmosfery.

Gdy zdarzały się kłopoty (materiał okazał się trudny, przede wszystkim rytmicznie), lał orkiestrę, jakbyśmy byli bandą matołów, by za chwilę zreflektować się i pochwalić nas zupełnie bez powodu.

Taki brak konsekwencji, kontrastujący z wyważonym spokojem Kasprzyckiego, nie nastrajał nas zbyt dobrze do pracy.

Dlatego też nagranie, zaplanowane początkowo na dwie czterogodzinne sesje, przedłużało się;

308

druga sesja ciągnęła się już sześć godzin i nie było widać końca.

A z każdą kolejną minutą narastało zmęczenie i zniechęcenie.

W studiu była mała kawiarenka, do której biegli wszyscy podczas przerw i ustawiali się w kolejce po herbatę, kanapki i zimne napoje.

Tylko ja zazwyczaj zostawałem na miejscu, aby wciąż doskonalić jakość swoich solówek. Z takim wdzięcznym materiałem nie miałem jeszcze nigdy do czynienia.

Jednym z puzonistów był Gerard.

Rzeczcała działa się już po naszej wizycie u szewca, ale przed gwałtem w parku.

Gerard na nagraniu, w obcym mu środowisku, u boku dwóch zawodowych puzonistów z filharmonii, był cichy i spokojny.

Skoncentrowany na grze.

Zresztą radził sobie nieźle, ani razu dyrygent nie miał do niego pretensji.

Częściej czepiał się trąbek, które uwagi na niezwykle wysokim rejestrze nierzadko fałszowały, mimo że obaj trębaczami byli zawodowcami.

Kiedy wreszcie zostałem do nagrania tylko finał, stosunkowo prosty, fanfarny, nagle wybuchła awantura.

Jedna z kobiet, technik dźwięku, podniosła alarm, bo zginął jej portfel.

A tego właśnie dnia dostała wypłatę.

Otak późnej porze w całym studiu, oprócz orkiestry i ekipy nagraniowej, był tylko stróż i dwuosobowa obsługa kawiarenki.

Wszystkich razem trochę ponad trzydzieści osób.

Okradzona kobieta wpadła niemal w histerię.

Widać w radiu niezłe płacili!

Ale kłopot niebył, niestety, ani łatwy do rozwiązania.

Pokilku minutach konsternacji i bezradnego przeszukiwania reżyserki dowództwo przejął jeden z waltornistów.

- Proszę państwa, proszę o chwilę ciszy.

Mamy dwa wyjścia: albo wezwijemy milicję i spędzimy tu całą noc, albo rzecz załatwimy w własnym gronie.

- Podniósł się szmer głosów, z którego wynikało, że kontaktów z milicją wszyscy woleliby uniknąć.

- Proponuję więc - ciągnął waltornista - aby wszyscy pozostali tam, gdzie siedzą.

Ja z panem prorektorem, z reżyserem i samą poszkodowaną, pójdziemy najpierw do szatni i komisyjnie przeszukamy wszystkie okrycia.

Zastrzeżemy też

309.

na dyżurce, aby nie wypuszczać nikogo z budynku.

Jeżeli to nic nieda, będziemy musieli przeprowadzić rewizję osobistą.

To nic przyjemnego, ale nie widzę innego wyjścia.

- Zaraz, zaraz - wtrącił drugi z waltornistów.

- Jeżeli sprawamabyć czysta, toktoś powinien najpierw wassamych przeszukać.

- Słusznie.

Jako że to twój pomysł, zabieraj się do rzeczy.

Patrzyłem, jak macają się po spodniach, zaglądają sobie do kieszeni marynarek, a myślałem tylko o jednym: żeby czasem nie spojrzeć na Gerarda!

Od pierwszej sekundy afery byłem absolutnie pewien, że to jego sprawka.

Pewnie dlatego był taki cichy i potulny, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Kusił mnie strasznie, by wskazać komuś rzeczywistego winowajcę, ale nie miałem śmiałości wstać i powiedzieć o tym na głos.

Gdybym mógł szepnąć temu waltorniście doucha, to możebym się odważył, ale tak.

Gdy komisyjna czwórka wyszła ze studia, wszyscy naraz zaczęli rozmawiać, komentować.

Wtedy zerknąłem na Gerarda.

Siedział na swoim miejscu.

Odwzajemnił mi spojrzenie.

Nie wyglądał na zdenerwowanego.

- Co za afera - najgłośniej perorowała Danusia Majer; - Jaki wstyd!

Powinniśmy zadzwonić do pana Kasprzyckiego.

On na pewno znalazłby jakieś wyjście z sytuacji.

- A może ona zgubiła ten portfel gdzie indziej?

- rzucił Darek.

- A my tubędziemy szukać do usranej śmierci.

- Cicho bądźcie - odezwał się jeden z trębaczów.

- Jak zginęło, to trzeba znaleźć.

Mirek jest świetny w takich sprawach.

W filharmonii jest inspektorem orkiestry.

Już niech was głołowało to nie boli.

Poradzi sobie.

Zauważyłem, że Gerard wstał, podszedł do ściany i odłożył do futerału swój puzon.

Potem przeciągnął się i ruszył do drzwi.

- A ty gdzie, chłopie?

- zapytał go trębacz.

- Za potrzebą.

- To ja pójdę z tobą.

310

- Jak pan chce.

Wyszli razem.

Teraz już byłem zupełnie pewien, że to Gerard; nie wiedziałem tylko, z kim podzielić się tą wiadomością.

Po kilku minutach wróciła zarówno komisja, jak i Gerard z trębaczem.

- Nie mamy innego wyjścia - podjął Mirek inspektor - jak przeszukać się nawzajem.

Zaczynamy tak, jak siedzimy.

Ty pierwszy - wskazał na Piotrka Kłásza, bo kontrabasista był akurat najbliżej wyjścia.

Co będzie, zastanawiałem się, jak znajdą uniego pieniądze?

Możego wyrzucą ze szkoły?

Znowu będę miał spokój.

A jeśli ukrył je w kiblu?

Komu powiedzieć?

Temu Mirkowi?

Czy może lepiej jeszcze poczekać?

Nie umiałem powstrzymać się przed coraz częstszym zerkaniem na Gerarda.

Gdy zakończyła się rewizja grupy wiolonczel, do studia zająrzaliśmy z kawiarenki.

- Przepraszam bardzo, ale czy ktoś z państwa zostawił w kawiarni żakietu?

- Mój żakiet!

- krzyknęła okradziona i wybiegła.

Wróciła po kilkunastu sekundach, cała czerwona z przejęcia.

- Jest!

Jest portfel!

Był w kieszeni żakietu.

Ja bardzo wszystkim przepraszam, ale bez tych pieniędzy ja bym.

- i rozpląkała się, niemogąc nic więcej powiedzieć.

Już nie udało się tego dnia (była godzina jedenasta w nocy!

) dogać ostatniej części utworu.

Ubieraliśmy się pośpiesznie, aby zdążyć na ostatni tramwaj i autobusy.

Gratulowałem sobie w duchu powściągliwości, chociaż wiedziałem, że powstrzymałem się przed rzuceniem podejrzenia na Gerarda raczej ze strachu niż z rozsądku.

Wyszedł pierwszy, ja jeszcze marudziłem, aby na pewno niespotkać.

Ale nie udało się.

Czekał w bramie, przez którą prowadziło

311.

jedynie wyjście na ulicę, i kurzył papierosa.

Kiedy przechodziłem obok, złapał mnie za rękaw.

- Nie myśl, Babol, że nie widziałem, co ci chodzi po głowie.

- Co chcesz?

Każdy był podejrzany.

- Każdy był, no nie, ale tobie żal, żeto nie ja.

- Coś ty!

- Jedno musisz zrozumieć, Babolątkoty moje: ja nie jestem idiotą.

Obraża mnie, kiedy taki bubek jak ty myśli, że jestem pospolitym młodziejaszkiem.

Chwycił moją rękę i błyskawicznym ruchem przyłożył mi do wierzchu dłoni papierosa.

Wyrwałem się natychmiast i uciekłem.

Gonił mnie tylko swym szyderczym śmiechem.

Oparzenie zaś paprało się prawie tydzień.

Przygoda na nagraniach była szeroko komentowana w czasie próby orkiestry następnego dnia.

Kasprzycki wysłuchał naszej relacji, pokiwał głową i powiedział:

- Dobrze, że był z wami Mirek Psiabuda.

On zawsze potrafi zachować zimną krew.

- Ja to byłam pewna - powiedziała Danusia - że to ten Gerard ukradł.

Alenił nic nie mówił, to się bałam samawychylić.

- I miałaś rację, Danusiu.

Nie wolno nikogo rzucać oskarżeń tylko na podstawie domysłów.

Niewszystko, co nam się wydaje oczywiste, takim się potem okazuje.

A nagranie będziecie musieli dokończyć w przyszłym tygodniu.

Opowiedziałem o wszystkim.

Tak wyobrażałem sobie spowiedź.

Utknąłem dopiero przy interpretacji zdarzeń ostatniej nocy, bo ich autentycznie nie rozumiałem.

Teodor długo tarł skroń, myślał, analizował.

- Byłaś na wabia.

To się nazywa: wystawić kogoś na wabia.

Taksądzę.

Dla odwrócenia uwagi.

A stradivarius mógł przejechać przez

312

granice zaraz po tobie albo w środku nocy, kiedy celnicy pewni już byli sukcesu.

Widzisz, ja czułem, że za tą zamianą twoich skrzypiec kryjesię coś dziwnego.

Nie wiem skąd.

No, może trochę.

Ale o tym niemogę ci mówić.

Pamiętasz, wczoraj, jak już siedzieliśmy w autobusie, kazałem wam pokazać wszystkie instrumenty.

Pamiętasz, co mówiłem, a tak naprawdę chodziło mi o to, żeby zobaczyć, jakie skrzypce są w twoim futerale.

- Ale skąd pan.

- Nie wiem.

Intuicja.

Zresztą.

Nie, nie powiem ci.

Ale jak zobaczyłem, że masz te skrzypce, które masz, to pomyślałem, że jestem nad podejrzliwy. A potem okazało się, że wcale nie.

- Najgorsze, że tych zdjęć nie odzyskam.

- To jest w twojej opowieści najdziwniejszy fragment.

Mówisz, że dziewczyna umarła?

Zginęła?

To nieprawdopodobne.

- Tak powiedział Gerard.

I że znaleziono jej ciało dużo później, w czasie naszego wyjazdu na Litwę.

Pamięta pan?

- Pewnie.

Dwa miesiące wcześniej urodziła mi się córka.

Wieszco?

Moja żona jest.

aktorką, ale uwielbia sensacyjne wiadomości w prasie.

Zawsze czyta kronikę wypadków.

Nie wiem dlaczego.

Takie.

hobby.

Opowiadami później co ciekawsze zdarzenia, chociaż akurat nie jest.

moje hobby.

Gdyby taka historia wypłynęła podczas mojej nieobecności, o ciebie dziewczyny znalezione na wysypisku, przynasz, że to niezwykle, to opowiedziałyby mi o tym zaraz po moim powrocie do domu.

Jeszcze przed relacją o stanie zdrowia Ewuni.

Tak ma moja córka na imię - wyjaśnił ilekko pokraśniał.

- Nie rozumiem, co pan profesor sugeruje?

- Sugeruję, że cię oszukano.

Na szczęście.

Może brałeś pod przymusem udział w gwałcie, ale nie w morderstwie.

Dałeś się zastraszyć.

- A jeżeli nie?

- Sprawdźmy to po powrocie do Polski.

Żona ma znajomych wśród dziennikarzy z kroniki milicyjnej.

Oni na pewno będą pamiętali.

313.

Wiesz co, Tomku?

Nie zazdroszczę ci tych ostatnich miesięcy.

Tomusiał być koszmar.

- Był.

Nawet z Elą się

rozeszliśmy.

- A tego Gerarda to ja pamiętam.

Tak mi się kojarzy.

A ten, jak ;.

to mówiłeś, Księżyk.

Ja chyba.

Zresztą tonieważne.

Trzeba terass ;

myśleć o naszych sprawach, o konkursie.

A czytybędzieszdzisiaj', wstanie zagrać solówki?

- Chyba tak.

Nie mogę zrobić Eli takiego numeru.

Umarłabyze

strachu.

- Tak.

Ona jest dobra, ale bardzo nerwowa.

Ciekawe, jak sobie poradzili bez nas w hotelu?

Ostatnia godzina bardzo nam się dłużyła.

Przesiadka w Berlinie Wschodnim na podmiejską kolejkę, która wywiozła nas w inny świat.

Z szarości, nieporządku i brudu trafiliśmy nagle na rozkrzyczanekolorami, rozbuchane nadmiarem dobrobytu ulice wielkiego miasta.

Nawet mundury kolejarzy i kostka na peronie wydały mi się jaśniejsze i lepsze od tych po drugiej stronie muru.

A gdy wsiedliśmy do taksówki, gdy w eleganckiej kabini mercedesa mrugały do mnie lampki tablicy rozdzielczej, a kierunkowskaz tykał z precyzją i dyskrecją szwajcarskiego zegarka, gdy widziałem tłumy ludzi sunących na tle przeładowanych towarami sklepowych wystaw - poczułem oszołomienie odkryciem nowego świata.

Była to moja pierwsza podróż na Zachód.

Szybko stanęliśmy pod hotelem.

Kolejny szok, gdy taksówkarz powymmował nasze bagaże, zanim jeszcze dobrze wysiedliśmy z auta.

Kasprzycki płacił, a ja zadzierałem głowę, by policzyć wszystkie piętra hotelowego wieżowca.

- Zachowujesz się jak nuworysz.

- Teodor poklepał mnie po plecach.

- Bo to wszystko jest takie.

inne.

- Przyzwyczaisz się.

Idziemy.

W holu od razu zauważyłem przy recepcyjnym blacie Elę Darka.

Przeczuwałem dalsze problemy, chociaż nie domyślałem się ich po 314 chodzenia.

Ela dyskutowała z recepcjonistką, żywo gestykując.

Takrobiła tyłkow chwilach silnego zdenerwowania.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie martwi się o mniei Teodora, oto, co się z nami dzieje.

Już za moment staliśmy obok nich i Darek nasdostrzegł.

- Nareszcie!

Panie profesorze!

Jaka draka!

Stefan zniknął!

- Pan Gromny?

- naczole Kasprzyckiego pojawiła się pionowazmarszczka.

- No tak, pan Gromny.

-Umówił nas na próbę, nadwunastą - odezwała się Ela.

- Byliśmy jużw gmachu akademii, czekaliśmy na niego, i nic.

Wobec tegomy zDarkiemwróciliśmy do hotelu, dowiedzie się, czy nie jestmoże chory?

- Na śniadaniu też go nie było.

Tę próbę ogłosił jeszczew nocy, w autobusie.

- Ta panimówi po włosku - Ela wskazała na rozmawiającą przeztelefon recepcjonistkę.

- Obiecała spytać koleżankę z nocnej zmiany.

- A byliście u niego w pokoju?

-Klucz wisi tutaj - wskazała na ścianę - a na telefon nikt nieodpowiada.

Recepcjonistka skończyła rozmawiać przeztelefon i odezwała siępo włosku do Eli.

Kasprzycki słuchał pilnie.

- No tak - zwrócił się do nas, gdyskończyły dość krótką wymianę zdań.

- Pan Gromny wyprowadził się w nocy.

Nie wiem dlaczego.

- Ale w jego minie było coś dziwnego, jakby nie do końca był postępkim Gromnego zaskoczony.

- Narazie dajmy temu spokój.

Tomek, zostawimy rzeczy tutaj i idziemy na próbę.

Wszyscy czekają?

- zwrócił się do Eli i Darka.

- Na pewno się nie rozejdą.

Alesalę mamy tylko do drugiej.

- Tym bardziej musimy się spieszyć.

Gramy o szóstej?

Nic się niezmieniło?

- Chyba nie.

To pan Gromny miał się wszystkiego dowiedzieć.

315.

- Nie ma czasu.

Idziemy.

W drodze Ela z Darkiem wypytywali mnie o przejścia na granicy.

-Pomyłka- odpowiedziałem krótko.

- Wszystko się wyjaśniło w nocy.

Opowiem wam później, teraz nie mam głowy.

Obserwowałem Teodora.

Był zmartwiony, może, wcięż jednakże wyglądał na zaskoczonego ani zdumionego zniknięciem Stefana.

Czyżby i o tym coś wiedział?

Próba była nerwowa, nic nie szło jak należy.

Ja myliłem się cały czas, wszyscy grali nieuważnie, nieczysto i nierówno.

Teodor dyrygował jak strach na wróble, pokazywał wejścia nie tym grupom, co trzeba, dawał zaszybkowane auktakty, na nic nie reagował.

Zanosilo się na totalną klępkę.

- Co to było pracy, ilero boty -biadolila w przerwie Danusia Majer, gdy przenosiliśmy się z sali koncertowej do mniejszego pomieszczenia, w którym mogliśmy ćwiczyć aż do występu.

- Tak się naharować, a teraz samotność iniedola.

Co to będzie?

Jaki wstyd.

Plakać mi się chce, że aż chyba nie wytrzymam - i wyciągnęła chusteczkę, w którą głośno wytarła nos.

- Słuchajcie - powiedział Kasprzycki, gdy rozlokowaliśmy się już w mniejszej salce.

- Jesteśmy wszyscy zmęczeni, zdenerwowani.

Nie musimy ćwiczyć.

Ten program umiecie znakomicie, praktycznie moglibyście go grać nawet w środku nocy w śnie.

Teraz bardziej nam potrzeba odpoczynku i porządnego posiłku.

Idziemy do stołówki, a później mamy dwie godziny na drzemkę w hotelu.

Spotykamy się z powrotem w tejsali o piątej.

Instrumenty możecie tu zostawić.

W stołówce musiałem opowiedzieć ze szczegółami przygodę nagranicy.

Gdy wyjawilem, za jaki instrument wzięto mojego Gałkę, słuchacze zaniemówili.

Wychwalałem zaradność Kasprzyckiego, jem uprzypisując (przecież zgodnie z prawdą) szybkie wyjaśnienie nieporozumienia.

Opisywałem głupie miny celników, gdy ich wielka akcja okazała się zupełnym niewypałem.

- No właśnie - podjął Darek.

- Dlaczego oni mieli na ciebie oko?

316

- Nie wiem.

Jakiś donos pewnie czy coś takiego.

- I dla jakiegoś tam niesprawdzonego donosu ściągają po nocach ludzi z Poznania?

I prokuratora?

- Nie wiem, Darek.

Skąd mam wiedzieć?

- Jak nie wiesz, to nie.

- Ale patrzył na mnie dziwnie; jem może coś tu nie pasowało.

- Najważniejsze -wtrąciła Ela -że wszystkodobrze się skończyłi że przyjechaliście na czas.

-Pewnie - zaśmiała się Ewa, -Inaczej byś portkami trzęsła przysolówkach.

A tak, Tomeczek.

- Ale z tym Stefanem to jakiś ostry numer - przerwał jej Darek.

-Zwróciliście uwagę?

Teodor jakbycoś wiedział, tylko nic nie mówi.

- Dajcie spokój.

- Nie chciałem dyskutowaćna tentemat.

-Chodźmy do hotelu.

Chętnie sięwyciągnę chociażna godzinę.

Inaczejz moich solówek nici.

Ale nie mogłem zasnąć.

Darek też tylko przewracał się z boku nabok, i w końcu tuż po czwartej obaj poszliśmy do akademii.

Rozegrałem się,poćwiczyłem.

Gdy przed piątą zebrała się całaorkiestra, to, nie czekającna Teodora, nastroiłem ich i sami zaczęliśmy próbę.

Kasprzyckisię spóźniał.

O wpół do szóstej przyszła młoda dziewczyna, przedstawiła sięjako Gerda, inspicjentkakonkursu.

Całe szczęście mówiła trochę powłosku i jakoś dogadały się z Elą.

Kasprzycki zjawił sięchwile później,cały spocony i czerwony.

Pochwalił nas za próbę, dałkilka ostatnichuwag iwyszliśmy na scenę.

Są różnegorodzajuwystępy.

Popisy, akademie, uroczyste okazje,podczas których muzykajest tylko dodatkiem, przypinką do całej imprezy.

Gra sięcoś takiego na luzie, bez poczucia odpowiedzialności,bez tremy.

Bywają egzaminy, na których znasz komisję, oni znająciebie, wiedzą, co umiesz.

Nawet jak się pomylisz, to i tak świat sięnie zawali.

Ale koncert w wielkiej sali, pełnej ludzi, którzy zapłaciliza biletypo to, aby posłuchać CIEBIE, aby dzięki TOBIE oderwać się

317.

choć na chwilę od codzienności, odebrać uchem i sercem TWÓJkunszt, talent, otrzeć się o artyzm i sztukę - taki koncert wyzwalał wykonawcy emocje dodatkowe, które wielu muzyków paraliżują, niszczą większość mozolnie wyćwiczonych umiejętności. Są jednak artyści, którym dopiero taki stres pozwala prawdziwie zabłysnąć - ich dźwięk uzyskuje wtedy zadziwiającą lotność i lekkość, fraza - głębię, palce - nieomyślność. Tacy ludzie zostają solistami i spalają się przez całe życie w ogniu tremy, która przeszkadza tysiącom innych - tymnielicznym zaś pomaga, dodaje jeszcze skrzydeł.

Trochę inaczej jest w orkiestrze.

Tu odpowiedzialność jest mniejsza, rozłożona na wielu.

Zdarza się jednak tak dobrać grupę muzyków, wyćwiczyć ich we wzajemnym wyczuwaniu się, wyczulić na dźwięk, nauczyć wspólnego w czasie gry oddychania, tych samych gestów, i pochyłeń i westchnień, czucia melodii uchem sąsiada z pulpitu taksamo, jak i sercem wiolonczelisty siedzącego pięć metrów dalej.

Taka orkiestra rozumie ruch kapelmistrza, zanim ten jeszcze zostanie wykonany.

Oddycha razem.

Muzycy słyszą nie głos własnej grupy, czy sami poboczny, akompaniujący, ale nadrzędną ideę, zamysł niezapisany nigdzie, ulotny, który przekazuje im gestem, grymasem lub zaważaniem - czy właśnie nerwowym ruchem - dobry dyrygent.

Kasprzycki uczył się dyrygentury sam, wziął za ledwie kilka lekcji starego Moglianiego we Włoszech.

Nie miał doskonałej techniki.

Miała to serce bijące razem z naszymi sercami, umysł nastrojony na te same, co my, fale.

I wyćwiczony do perfekcji zespół, w którym trudności i niespodzianki ostatniego dnia wyzwoliły dodatkową energię.

Źle przespana noc, nerwowe popołudnie, zmęczenie - dla nas, niespełna dwudziestolatków - to nie był problem.

Byliśmy jeszcze bardziej skoncentrowani, jeszcze bardziej głodni sukcesu, na który ciężko i długo pracowaliśmy.

To był koncert najważniejszy w naszym dotychczasowym krótkim artystycznym życiu. Czuliśmy to i graliśmy lepiej, niż pozwalały na to nasze umiejętności.

Trema z paraliżującej przemieniła się w pomoc-

318

na, wzmacniającą - jak u dobrego solisty.

Graliśmy dla zaskoczonych "jurorów i pełnej sali ludzi jak znakomity, profesjonalny zespół.

Niejak młodzieżowa orkiestra na konkursie.

Graliśmy jak zawodowcy, bo ;;

tego nas przez wiele lat uczył Kasprzycki, i teraz, w chwili nagłej "potrzeby, te umiejętności wypływały z nas naturalnie, bez wysiłku - jakbyśmy się z nimi urodzili i z nimi mieli umrzeć.

Burza braw po serenadzie Eine kleine Nachtmusik upewniła nas, że wszystko jest na dobrej drodze.

Solówki w Haendlu grałem z upojnym poczuciem wyzwolenia, wypuszczenia spod palców, ze smyczkowego włosia pięknie doskonałego i wypielęgnowanego.

Zapomniałem wstrętnej gębie Gerarda, o okrutnym uśmiechu Księżyki i kreowałem coś niezwykle ulotnego, całkowicie przeciwnego ich wrażliwym myślom.

Przepełniał mnie radość, niemal euforia, bo uciekałem w ten sposób w krainę niedostępną ludziom pozbawionym wrażliwości na piękno, na cud muzyki - najulotniejszej ze sztuk.

Na koniec zagraliśmy utwór współczesny.

Tu już bez wzruszeń, spokojnie i nudno.

Z tego niota i tak nikt nie potrafiłby wykrzesać więcej.

Obawialiśmy się wszyscy o Piotrkę Kłosa, osamotnionego przez Stefana na kontrabasie. Ale widać i jemu udzielił się ogólny nastrój zespolenia, bo i on wznosił się z nami na wyżyny orkiestrowego kunsztu i grał bezbłędnie, pewnie.

Gorzej mogło być w czasie drugiego etapu, gdzie mieliśmy w programie Sonatę Rossiniego, z dużymi i bardzo trudnymi, wirtuozowskimi solówkami kontrabasu.

Tak to się zaczęło.

Przyjeżdżał po mnie tym eleganckim samochodem i zabierał do restauracji, zawsze poza miasto, bo już na drugim spotkaniu przyznał mi się do nieporozumień z żoną, osobą wprost chorobliwie zazdrosną, która swą nadopiekuńczością zamieniła mu życie w "istne piekło".

Kupował mi kwiaty, uśmiechał się pięknie, a po miesiącu ofiarował mi złotą bransoletkę i zaproponował łóżko.

319.

Gryzł przy tym wargi i zapewniał o niedopasowaniu z żoną, która niechętnie obdarzała go swymi wdziękami, "

a do ciebie (bo przeszliśmy już na "ty") od pierwszej chwili, ba, od momentu gdy ujrzałem cię na zdjęciu u boku ojca, poczułem coś niezwykłego.

Kiedy spotkałem cię miesiąc temu w kawiarni, poznałem od razu, tylko bałem się podejść, by nie zepsuć wszystkiego nadmierną natarczywością.

Stasienko, nie mogę zostać twym mężem, bo sumienie nie pozwoli mi zrobić moim córkom tego samego, co uczynił mi ojciec, ale tak bardzo cię pragnę i pożądam.

Bądź ze mną chociaż tak".

I pojechaliśmy do mnie, gdzie poczułam wreszcie korzeń Perisenthoffów w sobie, rzetelny, prawdziwy, jakiego nie mógł już mi zaoferować doktor Paweł.

Tymoteusz był niezmordowanym kochankiem.

Został zatympierwszym razem na całą noc, na co nieczęsto mógł sobie pozwolić, nie wzbudzając podejrzeń żony.

"Pojechały wszystkie z moją matką do Zakopanego.

Wrócą za trzy dni.

Czy możemy się spotkać również jutro?

". "Ale u ciebie".

"Dlaczego?

". "Chcę popatrzeć na stare kąty".

Niechętnie, ale zgodził się.

A ja bardzo chciałam zajrzeć doszuflady i sprawdzić, czy nie ma tam czasem wciąż puzderka ze

zdjęciami.

Przemykaliśmy ukradkiem do dobrze znanego mi mieszkania, jakna kryminalnej komedii, bo Tymoteuszowi zależało, abyżadna sąsiadka nie zauważyła mojej wizyty.

Gdy wreszcie znaleźliśmy się w środku, on, spocony z emocji i z nerwów, opadł bezsilnie na krzesło w salonie.

"Jak to można życie sobie zamienić w piekło!

Pomyśl, Stasienko, nigdy jej nie kochałem, no, może na samym początku, pierwsze dwa, trzy lata, wtedy byłem pełen złudzeń, miałem nadzieję na zmianę jej nastawienia do mnie.

Bo czyż to nie kretynstwo, być zazdrośnym o kogoś, z kim unika się kontaktów?

Odnarodzin Natalii, naszej młodszej córki, spałem z nią może pięć razy.

Wyobrażasz to sobie?

". "I co?

Ja jestem pierwsza, z którą.

". "Nie.

Nie śmieję się zemnie, ale nie byłem moim życiu wcale dużo kobiet.

Dwa lata temu spotykałem się przez kilka miesięcy z koleżanką.

Też prawniczka, ale

320

dostała pracę w Szczecinie i urwało się.

A ja nie jestem mnichem.

Chodźtu do mnie".

Posiadłmnie na stole, przy którym tyle razy słuchałam długich wywodów jego ojca.

Potem poszedł do łazienki.

Ja zaś udałam się do gabinetu doktora Pawła.

Niewiele się tu zmieniło, szafa stała na swoim miejscu, tak samo biurko.

Zaczęłam przeglądać szuflady, tak z ciekawości, bo od razu zorientowałam się, że są gruntownie odnowione i wypełnione rzeczami nienależącymi do starego doktora.

"Stasińko, co ty tu robisz?"

- Tymoteusz stał w progu.

- Tak sobie tylko.

szukasz, czy chodzi ci o coś konkretnego?

". "Mówiłeś o jakichś moich zdjęciach z twoim ojcem.

On tu zawsze trzymał różne szpargały, myślałam.

". "Oglądałaś.

zdjęcia.

z tych.

szuflad?

- W jego głosie był strach, panika.

Zdałam sobie sprawę, że on może wiedzieć.

No bo komu, jeżeli nie synowi, na dodatek pracownikowi, należy zlecić uporządkowanie papierów i dokumentów po nieboszczyku?

- Takie.

z koperty?

". "A ty oglądałaś?"

" - spytałam bezmyślnie, jak kretyńka, bo skąd inaczej pytałby o kopertę.

Przykucnął przy framudze drzwi.

Nad nim wisiała głowa dzika.

Jedna szabla była złamana, przez co całość wyglądał jakoś krzywo, śmiesznie - i niegroźnie.

Tak samo jak on zaskoczony, dezorientowany.

Była w jego głosie nadzieja, a może i ulga, gdy spytał: "Nierozmawiałaś o tym.

Nie mówiłaś.

nikomu?"

".

Podeszłam do niego, przyklękłam.

"Nie mówiłam, nie".

- Zaprzeczając, czułam nagle ciężarswoich, zwiniętych w kok, włosów".

"Nikt o tym nie wie.

- Mówiąc, nie patrzył na mnie.

-I..

nie powinien!

Prawda?

- Włosy, gdy potakiwałam, wciąż były ciężkie, zupełnie jakbym owinęła je ręcznikiem.

- Spaliłem je.

wszystkie.

Od razu.

Boże, Boże, jak on mógł!

".

Plakał.

Opuścił głowę na moje kolana i tam, wtulony w ciepło spódnicy, szeptał: "Dwie noce nie spałem, myślałem, że zwariuję.

Chciałem to sobie zrzucić.

podzielić się z kimś, ale matka.

Ani Leokadia.

321.

Ona tym bardziej!
Cogo mogło do tego popchnąć?
Widziałaś, tam był z nim esesman, może go zmusili?
". "Tak" - powiedziałam bez przekonania.
"Ja też w to nie wierzę.
Od kiedy nas zostawił, nie widywałem go za często.
Prawie wcale.
W czasie całej wojny- raptem kilka razy.
A nawet wtedy, jak razem z Leonem przychodziliśmy do niego, to zajmowała się nami tylko Eliza.
Wiesz, ja czasami nawet żałowałem, że to nie ona jest naszą matką.
Nie powinienem tak mówić, ale.
Ona tak lubiła się śmiać, a nasza mama w tych czasach ciągle tylko płakała i płakała.
U niej zawsze było dużo jedzenia, cukierki - unas głodno, ciemny chleb.
Eliza!
O Boże!
Czy ja też taki jestem?
Czy będę taki?
- Tuliłam go, głaskałam czarne włosy.
- Ojciec.
Ty wiesz?
Rozpoznałaś?
- Podniósł głowę, patrzył namnie nagle twardo, stanowczo.
- Ty wiesz, kto tam był?
". "Na zdjęciach?
Rozpoznałam tę Elizę.
Z trudem.
Tej drugiej nieznałam".
"Eliza.
Jak można zabić, przyłożyć rękę.
A ta druga.
.Ja ją widziałem raz u ojca.
Zgniewało go to, bo ona się u niego nie ukrywała, a ja wtedy.
Czternaście czy piętnaście lat miałem.
Nic nie rozumiałem, dopiero Eliza mi wytłumaczyła, że o tej pani mamnikomu nie mówić,
nawet mamie.
I to ja, a potem Elizę!
Stasińko, jak to można.
zrozumieć?
Mnie do dzisiaj, jak o tym pomyślę.
Przecież we mnie płynie jego krew, przecież.
". "Nie obwiniaj się.
- Znowu płakał, moja spódnica była już mokra.
- Nie masz z tym nic wspólnego.
To straszne, ale to już minęło.
Uspokój się".
"To nie był twój ojciec.
Nic nie rozumiesz.
Ja byłem jak chory, to takie straszne.

I znikim.

Dopiero z tobą pierwszą mogę tym porozmawiać.

Takazmorana piersiach.

A ja też jestem.

Widzisz, ja nie potrafię kochać zony, dzieci, matki, brata.

Nikogo.

Nie potrafię.

Dopiero ciebie.

A z tobą nie mogę być, bo gdybym tak zrobił, to byłbym taki jak ojciec.

takisam.

Och, Stasińko.

Kochaj mnie, kochaj mnie zawsze.

Tak chcę, żeby ktoś mnie kochał, chociaż na to nie zasługuję.

Ojciec.

Przeszkadzaliśmy mu.

Nawet tak rzadko.

Kochaj mnie".

Oboje byliśmy mokrzy od łez.

Dotknęliśmy się słonymi wargami, podzieliliśmy wspólny żal do pana Pawła, szukając pociechy we wza322

jemnych uściskach.

Nie można było zapomnieć, ale łatwiej jest wiedzieć, gdy jest ktoś, kto cię rozumie, wspólnie z tobą niesie przykrą tajemnicę.

Podglową dziką pieczętowałismy poznanie swoich sekretów, nie mając pewności, czy to nas zbliży, czy od siebie oddali.

Pierwszy raz w życiu mężczyzna posiadał mnie, płacząc i wśród łez doznałam spełnienia.

Była to miłość miękka, uległa i przeprasająca, a ledła mnie rozkoszna innością słodocy, co skapywała na mnie słonymi kropelkami wyzwania się z samotności.

Nigdy wcześniej niczego tak z kimś mocno nie dzieliłam jak wtedy z Tymoteuszem.

I u niego czułam ulgę oraz cichą radość z odnalezienia we mnie nie tylko ciała, ale i czegoś głębszego.

Takie zdziwienie, gdy okazuje się, jak ma różni się od innych ludzi, jak podobne wszyscy nosimy tajemnice, żale; pragniemy ciepła, czułości, ze wstydem, z obawą, aby nie być posądzonym o słabość, by nie zostać wyszydzonym, wykorzystanym.

A wtedy ogarnęła mnie gorąca fala nie tylko pożądania, lecz również wyzwolonej radości.

I nie miało dla mnie znaczenia, że nigdy pewnie mój ukochany nie będzie dzielił ze mną życia, zawsze do kogoś innego.

Wróci po pracy, z kim innym zje obiad, śniadanie - bo wiedziałam, o jego już wyłącznej do mnie tęsknocie.

Moje życie nagle zaczęło przynależeć do konkretnego mężczyzny, nie tylko do mnie i często bezimiennych pacjentów.

Nie czułam zazdrości o jego rodzinę, nie pragnęłam gona wyłączność.

Świadomą jego prawdziwych uczuć, potrafiłam godzić się z rzeczywistością.

W bloku, do sąsiedniego mieszkania wprowadziło się małżeństwo z dzieckiem.

Ich synek, Staś, ciągle się uśmiechał.

Niestety, było to prawie jedyne, co umiał robić dobrze.

Opóźniony w rozwoju, może początkowo tak strasznie, miał jednak kłopoty z przystosowaniem się do życia wśród innych dzieci, a ciągnął do ich towarzystwa nieustannie.

Bycie pośród nich było dla niego ważniejsze niż picie, jedzenie i oddychanie.

Gdyby jego matka miała dla niego czas, to może opóźnienie dałoby się nadrobić.

Nie byłbybystry, nie zostałby prymusem, ale mógłby pójść z innymi do szkoły i jakoś sobie radzić.

Rodzice

323.

Stasia jednak mieli inne zajęcia, inne cele.

Należeli do jakiejś sekty, która wymagała od nich prowadzenia nieustannej agitacji, naborunowych członków, dokonywanego na rogach ulic, w prywatnych mieszkaniach, na dworcach, w barach - wszędzie.

Zostawał więc Stasio sam w domu, ale wtedy natychmiast biegł na podwórko i spędzał tam swoje życie na obserwacji bawiących się dzieci, próbując nie dołączyć do ich zabawy. Kończyło się dla niego reguły smutno.

Dzieciaki, i starsze, i młodsze, były po mojemu bezmyślnie okrutne.

Rozpoznał w nim głupka i nie traktował go jak partnera, tylko jak statnie popychadło.

Szpecially chłopcy bywali bezwzględni, tłukli go po głowie, szturchali, kopali.

Często Stasio przychodził z podwórka, jakby i płakał przed zamkniętymi drzwiami mieszkania, dopóki ja nie wróciłam ze szpitala i nie zabrałam go do siebie.

Szybko zaprzyjaźnił się ze mną, lecz nie potrafił zrezygnować z towarzystwa rówieśników.

Nie umiałam utrzymać go w domu nawet wtedy, gdy nie pracowałam.

Wpadał po kanapkę, po majtki na zmianę i natychmiast biegł znośić kolejne wyzwiska i drwiny.

Zawsze uśmiechnięty, prawie ze wszystkiego zadowolony, pełen zaufania dotychczas, którzy minutę temu zasypali mu oczy albo włosy piaskiem, przewrócili w kałużę, nakarmili rosówkami.

Przychodził do mnie, płakał, cierpiał.

"O, jak fajowo.

Mama kiedyś też tak zrobiła", wyznał, gdy umywszy mu głowę, przytuliłam chude ciało i pocałowałam w zaróżowiony policzek.

Rozpłakałam się wtedy, a on zarzucił mi rączki na szyję i powiedział: "Nie płacz, nie będę cię bił".

Rozmawiałam z jego rodzicami.

"Gdyby Stasiowi coś groziło, to Bóg się nim opiekuje.

Ale nic mu nie grozi, póki zostaje pod Jego opieką.

A światło trzeba nieść wszystkim.

Światło i miłość są jak płomień ogniska - zgasną bez dokładania drewna".

Nic niepomagały moje argumenty o rosnącym pośledzeniu Stasia, o jego potrzebie miłości i czułości.

Jego miał kochać Bóg za to, co jego rodzice robili na ulicach, gdzie sprytnie unikali milicjantów, wciskali się na siłę do ludzkich mieszkań, pozwalali wyrzucać się przez drzwi, by zaraz zapukać

324

do okna.

O duszę własnego dziecka byli spokojni.

Zaiste szczęśliwi ludzie.

Pełni wiary w swoje posłannictwo, przekonani o słuszności obranej drogi, z pasją niosący to, co uważali za najlepsze i najważniejsze.

Czemu Bóg pokarał Stasia takimi rodzicami?

Dlaczego to dziecko mogło mieć matkę praczkę, ojca mechanika?

Sylabizować z nim elementarza, dodawać dwa do dwóch, chodzić za ręką na lody i do zoo?

Przez pewien czas myślałam o możliwości pozbawienia ich praw rodzicielskich.

Gdy nie posłali Stasia w wieku siedmiu lat do szkoły, wydawało mi się, że jest to wystarczające zaniedbanie obowiązków rodzicielskich.

Poprosiłam Tymoteusza o pomoc.

Niechętnie, bo Stasia niezbyt lubił, zaczął dowiadywać się, jakby to przeprowadzić.

Okazało się, że do żadnej szkoły chłopca nie chcieli, a w specjalnej nie było miejsc i jakiś specjalista zalecił posłać go rok później między normalne dzieci.

Tymoteusz chyba niespecjalnie przykładał się do sprawy i tak to ugrzęzło.

Stasio zbierał cięgi, uśmiechał się, ja gomyłam, karmiłam, pucowałam i kochałam.

A on za chwilę uciekał nadwór, gdzie ganiał najczęściej za Gerardem, podwórkowym królem tyranem, jako jego przyboczny błądź do wycierania nóg, kopania, przewracania i znęcania się.

Gdy kiedyś wrócił z wyciem, pokaleczony papierem lub trawą, na rękach, policzkach i nawet wargach, po opatrzeniu tych krwawiących ran nie wytrzymałam, zamknęłam go w domu i pobiegłam w furii do rodziców Gerarda.

Mieszkali w pobliskiej kamienicy.

Jakoś nigdy nie widziałam ich z bliska.

Godziny, w których oni byli aktywni, nie zgadzały się z moim rozkładem dnia.

Ich mieszkanie uchodziło za melinę, skarżono się na pijackie burdy urządzone przez ojca Gerarda, posądzano go o złodziejstwo.

O jego matce wprost mówiło się, że to kurwa, toteż nikogo nie dziwiło, jaki jest ich syn.

Każdy starał się schodzić im z drogi, ale Stasio tego nie umiał i dlatego musiałam go ratować.

Gdy zrozwanym włosem dobiegałam do bramy kamienicy, akurat wynurzył się z niej pan Edmund, ojciec Gerarda, ubrany w tandetny,

prążkowany garnitur, otoczony odorem taniej wody kolońskiej, w kapeluszu i z uśmiechem cwaniaczka na przepitej gębie.

Natarłam jaklwica, od mojegowrzaszkuzatrzęsły się szyby w starych framugach, stado gołębi wzbilo się z parapetowej uczty, a pan Edmund stanął z grymasem niechęci zaczął mi się bacznie przyglądać.

"Co siętak drzesz.

Głuchy niejestem.

Słabą masz pamięć, zbabolona piguło.

Starych znajomych nie poznajesz?

A Opotów pamiętasz?

-Patrzyłamna niego zdumiona, nagle zapomniałam języka w gębie.

- Romusiaswojego pamiętasz?

Jak się u niego kurwiłaś, pamiętasz?

A mnie,panie, mnie na pewno pamiętasz!

".

Przyjrzałam się uważniej jego śmiesznej postaci.

"No co?

EdmundPrzybora.

Tak, tak, to ja.

Przez tego twojego Romusia za kratki trafiłem.

Ale zapłacił za to.

Wiesz, co się z nim stało?

- Pokręciłam przeczącogłową, nagle czując paniczny strach przed tym, czego się za chwilędowiem.

To on był tym pomocnikiem kucharza, z którym Romanwspólnie okradał szpital.

Widywałamgo dość rzadko, z reguły zdaleka,poza tym jednym razem, gdy znalazł się aż za blisko mnie.

Jego nazwisko poznałam dopiero naprocesie.

- Tam ciężko było.

To wszyscy kupysię trzymaliśmy.

Razem raźniej.

Ale twój Romuś, tfu, wywłoka taki,kapusiem został.

Najgorszy chuj tam, panie, nie kapował, a Romuś pomiesiaću zaczął.

Wiesz, coz takimi się robi, jak się ichosobno przyłapie?

Do gnojówki, w gównno idą.

A potem, panie, nogąsię spycha w dół.

Jak on skamlał, jak błagał, jęczał.

A my go, ciach, i w śmiech, bozachłystywał się gównem, rękami czepiał się pobrzegach, a my go,panie,butami, to on zaraznowu wypływał, bańkiz gówna puszczał,jakpies się łąsił, to ja jeszcze raz.

Dawaj muw pysk,chujowi.

Aż niewypłynął.

Nie znaleźli go.

Pogrzeb tam,panie, od razu miał.

W gównie.

Cha, cha, cha.

Taktwój kochaś skończył.

A ty co?

Babol taki!

Won miód mojego Gerarda, on na takiego Romusianie wyrośnie.

Nieszczekaćmi tu, panie, na niego.

Twardy ma być, to jest twardy.

A twój Romuś, w gównie, panie.

Cha, cha, cha".

Zrobiło mi się słabo.

326

Patrzyłam na plecy w prążkowanej marynarce, słyszałam śmiech, a widziałam tylko Romana, zgrzanego, spoconego przyłopacie, jak pochylał się nad mną, jak na krótką chwilę spadała z niego maska obojętności i wyższości, gdy musiał wtulić się w moją szyję, zaczerpnąć powietrza do pełnego rozkoszy westchnienia.

Wtedy zauważałam w nim tę słabość, która kazała mu pomóc, gdy Edmund

Przyboraz apragnął mnie zgwałcić, a w więzieniu, jak widać, doprowadziła go do zguby.

W tych chwilach całkowitej nagości uczuć nie był Hefajstosem, nie żelazo i ogień były jego żywiołem, ale niepewność, nieśmiałość i strach przed rzeczywistym życiem.

Pewniemarzył o swojej mocy, o wysnionym motorze, dla którego posiadania wszedł w zgubne interesy.

Potem życie wśród więźniów zamknęło przed nim wszelką szansę, zastraszyło go i dlatego zaczął szukać opieki u strażników.

I tak oto, nie przynależąc nigdzie, poniosł straszliwą karę zaswoją głupotą i słabością.

A przecież, przy odrobinie wysiłku, mógłby mnie mieć jako żonę, pewnie bym się wtedy zgodziła bez zastanowienia.

On jednak nie potrafił.

Życie nie potrafił, nie rozumiał, jak to się robi.

Ach, Roman!

Czyja cię kiedykolwiek kochałam?

Czyja potrafię cię zapamiętać?

Gdy wróciłam do mieszkania, Stasia już nie było.

Rozglądałam się po podwórku, jednak gromadka dzieci wyniosła się gdzieś indziej, może do ruin starej fabryki albo na gruzowisko koło kamienic lub do lasu za domem państwa Bamblinów.

Nie byłam jednak w nastroju do poszukiwań, chociaż niepokoiłam się trochę o rany Stasia.

Mimoto położyłam się z butelką cinzano, jaką dostałam od jednej z mam wdzięcznych za opiekę nad dzieckiem, i pogrążyłam się we wspomnieniach.

Po dwóch kieliszkach - nie tylko na jawie, ale i we śnie.

Znowu byłam na schodach prowadzących do kotłowni, z otwartych drzwi buchał żar, a gdy podeszłam bliżej, powitały mnie kłęby zmrożonej pary.

W miejscu podłogi była tafla wody, a pod nią twarz topielca.

Ohydna, opuchnięta.

Wychylał się powoli na powierzchnię, a wraz z nim docierał do mnie straszny odór.

Chciałam uciec, ale sama

327.

grzęzłam w tej wodzie, która teraz okazała się bagnem.

Topielec wyciągał do mnie rękę, aja czułam tylko ten przejmujący smród i wstręt.

Nie mogłam się przebudzić, chociaż wiedziałam, że śnię.

Wciąż wciąż musiałam patrzeć nawynurzającą się głowę.

Trupi odór był tak intensywny, prawdziwy.

Gdy w końcu się obudziłam, był wieczór.

Wyrzłam na korytarz.

Nie było tam Stasia, wróciłam więc do łóżka, wypłam znów dwa kieliszki słodkiego zapomnienia i już po chwili Roman pochylał się nademną, obok huczał piec, ale jego płomienie wylewały się poza palenisko, wydostawały się na podłogę, parzyły moje stopy, kolana, uda.

Krzyczałam z bólu, a Roman z uśmiechem, miarowo przesuwając się nademną.

Nagle to nie był Roman, tylko doktor Paweł, w którego ręce zobaczyłam sztylet.

Na palcumiał wielki sygnet, świecący upiornym blaskiem, popalcach spływały mu kropelki ciemnej zgęstniałej krwi.

Jego ręka zbliżała się do mojej twarzy, krople spadały mi na piersi z sykiem, a unoszący się dym śmierdzał tym samym trupim jadami już po chwili twarz Peryzontowicza zamieniła się w posklejaną brudną mazią oblicze Romana.

Z jego ust wychylały się pędraki, z nosa wystawały ciemne glisty, oczy świeciły ohydną pustką.

Zerwałam się z krzykiem, spocona, przerażona.

Chociaż był środek nocy, bałam się już zasnąć.

Rano czułam się zmęczona, bolała mnie głowa i oczy.

Raczej powlokłam się, niż poszłam do pracy.

Lecz nie pozwoliłam sobie na chorobę, jak wtedy po obejrzeniu zdjęć u doktora Pawła.

Przez kilkakolejnych nocy męczyły mnie jeszcze koszmary, ale już nie tak przerażające jak za pierwszym razem.

Edmundowi Przyborze starałam się schodzić z drogi, Stasią pielegnowałam bez specjalnej nadziei na zmianę jego postawy wobec dzieci z podwórka, pilnując tylko, aby mu się żadna poważniejsza krzywda nie stała.

Z Tymoteuszem spotykałam się dosyć często, oboje szukaliśmy w tych chwilach zapomnienia, poznawaliśmy coraz lepiej swoje ciała, ich potrzeby.

Ale - po raz pierwszy w mych kontaktach z mężczyznami - nie poprzez 328
stawałam jedynie na tym.

Rozmawialiśmy, przykryci kołdrą, w świetle słońca, wśród gwaru osiedla, przydobięgających zewnątrz odgłosach dziecięcych zabaw kłótni, słysząc trzepanie dywanów, strzępków i rozmów o dokonanych zakupach, dowiadując się, gdzie dają pomarańcze, a gdzie papier toaletowy, i ile mięsa na głowę dała dziś tanowa u rzeźnika.

"Wysyłam je znowu do Zakopanego, na cały tydzień.

Marysia i Natałka są trochę chorowite, a mama wierzy w zbawienny wpływ górskiego powietrza.

Będziemy więcej razem - obiecywał.

- Cieszysz się?

". Gładziłam jego pierś, spoconą, owłosioną, kochaną.

Nie czułam potrzeby niczego zmieniać.

"To straszne, ale tak sobie czasami wyobrażam, jak one idą tam, w górach, i nagle lawina.

Giną wszystkie.

I wiesz co?

Nie czuję żalu!

Czyż ja nie jestem taki sam jakmójciecie?
Stasieńko, chcesz, to się rozwiodę, inaczej kiedyś.
Niewiem, nie mogę nanią patrzeć, ajej to wogóle nie przeszkadza, że niesypiamy razem.
Ach, po co ja ci o tym mówię.
Kochasz mnie?
Tak podle się czuję.
Wykorzystuję cię.
A jesteś największą miłością megożycia.
Czy ty mi kiedyś to wybaczysz?
Jakdziewczynki podrosną, to wezmę rozwód.
Będziemy razem.
Na zawsze.
Bez tego wykradania każdej wolnejchwili, bez.
Ty płaczesz?
Kochanie, nie płacz, proszę cię.
Jak to zeszczęścia?
Naprawdę jesteś ze mną szczęśliwa?
To..
To..
tak jak ja!
Stasieńko, kocham cię.
Tak mocno cię kocham".
 To niesłychane, jak bardzo można się przyzwyczaić dotymczasowych rozwiązań.
 Przeszliśmy dalej.
Nie wątpiłem w to ani chwili.
Odpadły dwieorkiestry, włoska iholenderska.
W konkursie pozostało sześć zespołów.
Do finału miały wejśćtylko cztery.
 W czasie wolnegodnia przed drugim etapem Kasprzycki ćwiczyłgłównie z
PiotrkiemKłaszem te nieszczęsne solówkiz sonaty Rossiniego.
Nie szło mu najlepiej.
Piotrek dawał z siebie wszystko, starał się, ale to było po prostu dla niego za trudne.

Wieczorem Teodor wezwał mnie do swojego pokoju.

- Tomku, mam dla ciebie delikatne zadanie.

Udało mi się skontaktować z panem Gromnym.

- Oślupiałem, otwierałem już usta, by zapytać, gdzie on jest, co się stało, ale Kasprzycki powstrzymał mnie.

- O nic nie pytaj.

Sam prawienic nie wiem, a domysłami nie będę cię raczył.

Słuchaj.

Pan Gromny przyjdzie jutro pięć minut przed naszym występem.

Zagra i od razu zniknie.

Twoje zadanie to uprzedzić o tym Piotrkę, żeby nie zadawał żadnych pytań Stefanowi.

Lepiej, żeby nikt inny z orkiestry nie wiedział wcześniej, że on jednak będzie grał.

Wiem, że to dziwne i niezrozumiałe.

Ale pan Gromny prosiło to.

Żądał wręcz.

Widocznie też ma kłopoty.

Powinieneś zrozumieć, że względu na.

no, wiesz na co.

To jak?

Podejmiesz się?

- Co mam powiedzieć Piotrkowi?

To taki.

pedant.

On nie przepuści niejasnej sprawy.

- Powiedz mu, że takie są moje polecenia.

Nie staraj się tłumaczyć Stefana.

Aha, i powiedz mu to jak najkrócej przed występem, żeby się po orkiestrze nie rozeszło.

- Panie profesorze, o co tu chodzi?

- Lepiej, żebyś za dużo nie wiedział.

Ja też tylko się domyślam.

Widzisz, Stefan już kiedyś, we Włoszech.

Nie, nie mogę.

Może kiedyś ci powiem.

Teraz nie mogę.

Zrobisz, o co cię proszę?

- A co będzie po występie?

Wszyscy będą przecież pytać.

- Coś wymyślę.

Nie przejmuj się.

No, będzie dobrze.

Nie potrafiłem dotrzymać słowa.

Tego wieczoru nasza mniestraszna ochota na rozmowę z Darkiem i sprawa Stefana jakoś taksama wypływały wiadomo kiedy.

Opowiedziałem mu też o swoich kłopotach, o tym, co się naprawdę zdarzyło na granicy, o szantażu Gerarda.

Słuchał z zapałem.

Kręcił z niedowierzaniem głową, kiedy opisywałem Księżycę, gwałt i wszystkie moje późniejsze rozterki.

- Wieszco?

- odezwał się, gdy skończyłem i opadłem zmęczony nałóżko.

-Ja tego Księżyka chyba raz widziałem.

Na przystanku.

Toznaczy, ja byłemna przystanku.

Czekałem natramwaj.

A po drugiej stronie

330

ulicy stał taki chłopak w czarnym golfie z długimi rękawami, w czarnych spodniach. Zwróciłem na niego uwagę, bo był taki upał, że sam bym zdjął nawet paznokcie, a tamten paradował prawie w półkożuszk.

- Miał takie promienne, jasne oczy?

- Czort go wie!

W oczy to ja nie chłopakom patrzę.

Za to on patrzył w oczy takiej dziewczyny, takiej.

nijakiej.

Rozmawiali.

Pewnie bym o tym zapomniał, ale podszedł do nich Gerard i razem weszli do jakiegoś sklepu czy warsztatu.

- Do szewca?

- Tomek, nie wiem.

Szewc, krawiec, może kuśnierz albo hodowca skrońców.

Pamiętam tylko, że podszedł do nich Gerard i razem gdzieś weszli.

- Jeżeli koło przystanku, to pewnie do szewca.

Pana Mirka.

Jego też szantażowali.

A jak wyglądała ta dziewczyna?

- No, mówię ci.

Taka.

nijaka.

Tu szara, tam płaska.

Wymoczek jakiś.

- Kiedy to było?

- Pod koniec roku, jak już wszyscy wiedzieli, że Gerardzik wylecina zbity dziubeczek.

Jak ją tego chama nie cierpiałem!

Chociaż.

- Uratował Ewę, nie?

- Uratował.

Ale, jak to mówią, wilk barankiem nie zostanie, bezwzględnie na to, co zjadł na śniadanie.

- Ale ją uratował.

- Co go tak bronisz?

- Nie bronię.

Żebyś ty wiedział, jak ja go nienawidzę!

I...

boję się.

go.

- No tak.

A co z tym Gromnym?

Mówiłeś, że Kasprzyckima dla ciebie poufne zadanie.

- Tylko ani pary z gęby.

Kasprzycki bardzo o to prosił.

Podobno Stefan wpadł w jakieś tarapaty, coś się za nim ciągnie, chyba jeszcze Włoch.
Teodor nic konkretnego nie powiedział.
Ale jutro Stefan zjaw się tuż przed naszym graniem i wykona sonatę.
Czyli mamy szansę, bo z Piotrkim.

331.

- To dobrze.

Szkoda byłoby spieprzyć tyle pracy jednym kontrabasem.

A dlaczego o tym nie można mówić?

- Tego nie wiem.

Ale skoro Teodor prosi.

- Pewnie ma jakiś powód.

A co będzie z tobą i tymi skrzypcami?

- To zależy.

Jeżeli się okaże, że sprawa z tym zabójstwem jest duża, to chyba mi dadzą spokój.

A jak nie, to zgłoszę na milicję.

- Co niby zgłosisz?

Chyba sam siebie.

- Nie wiem.

Pewnie mi dadzą spokój.

Mam nadzieję.

- Takie typy mogą nie odpuścić.

I maszich skrzypce.

Ale jaja.

Pamiętasz Zdziśka, brata Ewy?

Może by z tym jego Kornelem pogadać?

Dać cynk.

- Daj mi spokój.

Ja wolę, żeby sprawiedliwości nie stało się zadość, byle tylko samemu mieć spokój.

Jak ich sypnę, to cholera wie, kiedy jak się zemszczą.

Znasz Gerarda?

No, a on przy tym Księżykutonie winny motylek.

Bałbym się potem całe życie.

- Jak nic nie zrobisz, to się będziesz dopierobał!

- Nie wiem.

Mama dzisiaj dosyć.

Teraz trzeba się skupić na konkursie.

Zasypiając, myślałem o opisanym przez Darka scenie.

Księżyk z Gerardem i jakąś dziewczyną przed warszatem szewca.

Czy to możliwe, że to była ta sama dziewczyna, którą wtedy gwałciliśmy?

Czy oni mogli coś takiego ukartować tylko po to, abymieć mnie w rękę i łatwo później szantażować?

Ale to było ponad rok przed kradzieżą skrzypiec.

Nikt wtedy nie wiedział, że Camparo przyjedzie kiedykolwiek do Polski.

Nie.

Bzdura.

Darek mógł widzieć zupełnie inną dziewczynę, wziętą do pilnowania, podczas gdy Księżyk z Gerardem "rozmawiali" z szewcem.

Ale mówił o niej: taka nijaka.

Taksamo ją zapamiętałem z tamtego dnia.

Nijaka uroda, nijaka sukienka.

Biernai spokojna do obrzydzenia, podczas gdy my znęcaliśmy się nad jej ciałem.

Czy to mogła być ona?

Rodziła się we mnie nadzieja, zapoczątkowana wątpliwościami Teodora, podszycona relacją

Darka - nadzieja na niewinność.

Bo wołałem przekonać się o własnej naiwności, łatwowierności

332

i głupocie, niż mieć na sumieniu udział w czymś tak strasznym jak gwałt, tak przerażającym jak morderstwo.

Lepiej być podłym tchórzem- boprzecież bardzo łatwo udało im się mnie zastraszyć - niż zbrodniarzem i niegodziwcem.

Nie żałowałem rozmowy z Darkiem.

Ufałem jego dyskrecji w tajemniczej sprawie Stefana, a lżej mi było po zwierzeniu się przyjacielowi z kłopotów.

Piotrek nic nie pytał, tak bardzo ucieszył się z nieoczekiwanej pomocy, na którą przestał już liczyć.

Wszystko odbyło się jak w gangsterskim filmie.

Siedzieliśmy już na estradzie, czekając na Kasprzyckiego.

Wszedł, uklonił się, uściśnął mi rękę i w tej samej chwili zauważyłem Stefana sadowiącego się do przygotowanego wcześniej przez Piotrka kontrabas.

Puścił do mnie oko, przejechał ręką po swojej łysinie i zaraz zaczęliśmy grać.

Nie było tym razem we mnie, w nas wszystkich, nastroju podniosłości, tej motywującej tremy, jaka towarzyszyła nam w pierwszym etapie.

Ale orkiestra dobrze przygotowana, nauczona dyscypliny, zgrana i skupiona potrafi i bez tego dać znakomity koncert.

I tak się stało tego dnia.

Graliśmy może bez pasji i zapamiętania z pierwszego etapu, zato z oszałamiającą precyzją, błyskotliwie i efektownie.

A Gromny swoimi solówkami wzbudził szmerzenia na sali, niemal wywołał aplauz wśród utworu.

Po Rossini zagraliśmy równie perfekcyjnie Koncert na orkiestrę smyczkową Grażyny Bacewicz.

To było dobre wykonanie, solidne i profesjonalne.

Także uważała publiczność, która zgotowała nam burzliwą owację.

Gdy mieliśmy już schodzić ze sceny, zerknąłem w kierunku Gromnego.

Już go nie było.

Kontrabas stał samotnie, oparty o krzesło, a odwieszony na kołkusmyczek jeszcze się leciutko kołysał.

Rozdział zalotów.

Weszliśmy do finału.

Razem z nami zakwalifikowały się dwie orkiestry niemieckie i Anglicy.

Odpadli Belgowie i Francuzi z piękną dyrygentką Rihem El Din, której nie pomógł zaprzyjaźniony juror z Egiptu.

W finale graliśmy dwie serenady - Czajkowskiego i Bartoka.

Program trudny, ale bez solówek kontrabas i wykonywany przez nas wielokrotnie.

Na próbie, w przeddzień występu, oszołomieni szansą odniesienia sukcesu, zaczęliśmy grać impulsywnie, przyspieszać, zwalniać - muzykować na całego.

Kasprzycki przerwał nam i zaczął przestrzegać przed nadmiernym entuzjazmem, przesadnym zaangażowaniem w czasie gry.

Mieliśmy wykonać oba utwory na zimno, precyzyjnie i perfekcyjnie.

- Nikt tu nie doceniłańskiej fantazji - tłumaczył nam.

- Trzeba grać czysto, równo i ze smakiem.

Jury jest zawsze bardzo konserwatywne, a już szczególnie, gdy na jego czele stoi ktoś tak sędziwy, jak profesor von Grabbe.

A jako rywali mamy dwie orkiestry z Niemiec.

Skupmy się więc na tym, co umiemy, bez nadrabiania niepotrzebną improwizacją.

Zgoda?

Skupienie i zimna krew.

Każdy kiwał głową, potakiwał.

Denerwowaliśmy się, czuliśmy wielką szansę i rozumieliśmy obawy Kasprzyckiego.

Ale ten jeden raz nie potrafiłem się z profesorem zgodzić.

Wydawało mi się, że właśnie powinniśmy pokazać rogi i temperament, to, co odróżniało nas od porządnie i grzecznie grających rywali.

Nie potrafiłem powstrzymać się przed powiedzeniem o tym Teodorowi, zrobiłem to jednak wczteryocy, w jego pokoju.

Wysłuchał mnie spokojnie, pokiwał głową:

334

- Masz rację.

To jest.

kunktatorstwo.

Ale uwierz mi: tak jest lepiej.

My nie gramy teraz dla publiczności, to nie koncert, chociaż przyjdzie pełna sala.

Gramy dla profesjonalistów i gramy o dużą stawkę.

Uwierz mi, tobie będzie się wydawać, że grasz spokojnie i nudno, a oni odbierać to będą jako dojrzałość, dowód profesjonalnego podejścia do muzyki.

To co - popatrz na mnie z uśmiechem - zaufasz mi?

- Oczywiście, panie profesorze.

»

- A na koncercie laureatów poszalejemy sobie.

Zgoda?

A jak twoje sprawy?

Ktoś cię niepokoił tu, namiejsu?

- Nie.

Cisza i spokój.

A co z panem Gromnym?

- Gdyby ktoś się do ciebie w tej sprawie zwrócił, daj mi znać.

Zawiadomimy milicję.

To ich sprawa.

, -No ate zdjęcia?

-Dzwoniłem do żony.

Ona jest pewna, że nic takiego nie zdarzyło się w czasie naszego wyjazdu na Litwę.

Niemusisz się więcbać.

Pamiętaj, to sprawa dla milicji.

Szantaż to przestępstwo.

- No dobrze.

A w Bartoku, w solówkach?

Też tylko spokój?

- Tomek, nie marudź.

Gadasz jak dzieciak.

Wszystkim nam trudno było zachować opowiadanie, gdy zaczęliśmy Bartokiem nasz najważniejszy występ.

Również Kasprzycki był denerwowany i dopiero po kilkunastu sekundach, gdy muzyka już wprowadziła nas w odpowiedni rytm, gdy wytrenowane wieloletnią pracą nawyki zaczęły same działać, uszy słuchały, palce czuły tempo, a myśli skupiły się na frazie, na następnym taktie, na dynamice i wyćwiczonych na blachę niuansach - wtedy dopiero odnaleźliśmy właściwy nastrój i wytworzyliśmy między nami a słuchaczami nieporozumienia. Nikt nie kaszał, nie szeleścił.

Nawet w przerwach między częściami utworów panowała pełna napięcia cisza, a Teodor, aby tego nastroju nie burzyć, nie pozwalał nam w tych krótkich chwilach stroić się i hałasować. Brawo Bartoku - mocne i szczerze.

Ale gdy wykonaliśmy Serenadę Czajkowskiego - którą graliśmy prawie z pa-: mięci- gdzie w Elegii odmawialiśmy smyczkami modlitwę skupienia, '

335.

w Walcu przywołaliśmy czar carskich balów, zaś w Finale pędziliśmy trojką po gładkiej drodze, wśród ukwieconych pól, tańczących wieśniaków i rozradowanej dzieciarni - gdy dojechalśmy do ostatniego akordu, huk braw zagłuszył w nas własne myśli, pozostawiając tylkotę jedną - zwycięstwo!

Musimy zwyciężyć!

Słuchacze też byli widać tego zdania, bo uraczyli nas stojącą owacją, zupełnie do chłodnych Niemców niepodobną.

Jednak muzyki żaden innynaródnie odbieratak głęboko, tak osobiście i powszechnie jak właśnie Niemcy.

Jest potrzebą niemieckiej duszy, aby ulegaćdźwiękowym wzruszeniom.

Bez tego piwotraci smak, parówka- soczystość, mężczyzna temperament, a kobieta - rumieńce.

Tychostatnich nikomu z nas nie brakowało, gdy ściskaliśmy sięwszyscy w obłądnymtańcu radości za sceną.

Nikt nie miał wątpliwości, jak zagraliśmy.

Kasprzycki, ze łzami w oczach,powiedział:

- Nie wiem, czym to sięskończy.

Przecież to konkurs.

Ale jestemzwas dumny.

Naprawdę, to jeden z najszcześniejszych dni mojegożycia.

Kocham was, dzieciaki!

Jesteście wspaniali.

Pozostało nam teraz pełne napięcia oczekiwanie.

W euforii, alei w wielkich nerwach, obgryzając paznokcie, gadaliśmyo czymkolwiek,zmieniająco minutę temat, przesiadając się z krzesła na krzesło;

słuchaliśmyjednym uchem kończących swój występ rywali z Monachium, ciesząc się, gdy brawa dla nich w niczym nie przypominałyaplauzu dla nas- dalej mogliśmy tylko czekać, czekać i jeszczeraż czekać.

Długo trwały obrady jury.

Już po godzinie oczekiwań pozniakały nasze radosne miny.

"Nad oczywistym wynikiemnikt by tyle nie deliberował" - powiedział Da-rek.

"Gromny miał rację!

To na pewno układy!

" -dodała zgaszona i smutna nagleEwa.

Druga godzina oczekiwania załamała nawet największych optymistów.

Również Kasprzycki,na początku takpełen entuzjazmu, chodził jak struty po korytarzu,znikał co chwila w kabinie telefonicznej, wracał na dalszą nerwowąprzechadzkę, znów gdzieś dzwonił, wreszcie w ogóle wyszedł z budynku, nikomu znas nicnie mówiąc.

336

- O czym, kurwa, oni gadają?

Głusi byli?

- Zobaczysz, Darek, Gromny miałrację.

- WisielczynastrójEwypogłębiał się z każdą minutą oczekiwania.

-Nikogo nie obchodzi.

- Daj spokój.

To niemożliwe!

- Poczekajmy - radziłem, sam nie mogąc usiedzieć na jedynymmiejsu dłużej niż pięć sekund.

- Spokojnie.

- Sam jesteś spokojny jak sikorka przysłoninie.
W dupę, w dupę.
- Po co bluźnisz?
- strofowała Darka Ewa.
- Nie bluźnię.
Swoje zdanie wygłaszam.
Nie byliśmy jedynymi czekającymi na werdykt.
Członkowie innych orkiestr też snulisię po korytarzach, niektórzy tak samo struci, inni obojętni, a jeszcze inni z pokazowym optymizmem.
- No, czego się śmieje, tandeta jedna - cedził przez zęby Darek, gdy koncertmistrz monachijskich adorował Elę, która krygowała się i wdzięczyła do chłopaka.
Musiał znać włoski, bogawędzili szybko i z zapalem.
- Miała jej matka nosa - komentował dalej po cichu Darek - że jej Wanda na chrzcie nie dała.
Panowie, zdrada.
Jesteśmy.
- Już nie kończ - zamknęła mu usta Ewa.
- Patrzcie!
Wychodzą!
Na korytarzu zrobił się nagle ogromny ruch tłoku, każdy przepychał się, by być jak najbliżej niepozornego staruszka, profesora von Grabbe, który drżącym głosem zaczął odczytywać werdykt.
- Mówiłem, będzie chryja - zaświstałmi w ucho Darek, gdy von Grabbe podał nazwę niemieckiej orkiestry z Berlina na samym początku.
- Cicho!
- Za namistał Kasprzycki, spocony i roztrzęsiony.
- Onizajęli trzecie miejsce.
Przepchnąłem się bliżej staruszka, w pobliże Eli, wciąż tkwiącej obok tego Niemca.
- Słyszysz?
- złapała mnie za przegub.
- Drugie miejsce dla tychz Monachium - przetłumaczyła mi ledwo szmerzący głos starego profesora.
- Możemy być albo ostatni, albo.
Hurra!
Jee!
Tomek!
Panieprofesorze!
337.

To było szaleństwo!

Krzyczeliśmy, wyliliśmy, płakaliśmy, tańczyliśmy.

A jednak!

Zwycięstwo!

Radość i euforia!

Długo trwało, zanim zacząłem znów zauważać ludzi dookoła.

Ocknąłem się dopiero, gdy Piotrek Kłaska całował w same usta, a on, zdumiony, potrząsał mną jak młodym drzewkiem, bo był to duży zupełnie normalny chłopak.

Wtedy, gdzieś w tłumie, przez moment, mignęła mi łysina Gromnego.

Oddalał się, mocno pracując łokciami.

Ale wpadłem wprost w objęcia Teodora i gdy zachwilę znów się rozejrzałem, niemożliwego już dostrzec.

A przecież jemu też należały się nasze uściski, bo chociaż zachowywał się dziwnie i niezrozumiale, to w krytycznym momencie nam pomógł.

A i teraz widać nie potrafił się oprzeć pokusie, by usłyszeć werdykt na własne uszy.

Później był rozwrzeszczany, rozradowany powrót do hotelu i wyszukiwanie po bagażach zapasów alkoholu.

Kasprzycki miał dwie butelki szampana, Danusia znalazła pół litra wódki, Ela dzień wcześniej kupiła likier wiśniowy, a Darek, jako jedyny, zaopatrzył się w dziesięć puszek piwa. Nie musieliśmy jednak wcale pić, aby zabawa była radosna i szaleńcza.

Cieszyliśmy się jak dzieci, wciąż podchodząc jedno do drugiego, ściskając sobie ręce, poklepując się po ramionach i wznosząc indiańskie okrzyki.

Teodor razem z nami rozkoszował się każdą chwilą.

Szampany zniknęły w pięć minut, wódki starczyło tylko po małym kieliszku nagłowem i, nawet po zakropieniu piwem, nikt nie opuścił błogosławionego stanu trzeźwości.

- Jak to pan Stefan zawsze mawiał?

- spytał Darek, ostentacyjnie osuszając ostatnią puszkę.

- "Wódka bies piwa - dzjengi na wieter"!

Dziewczyny sączyły likier, co jakiś czas ktoś wynosił pod niebiosa Kasprzyckiego.

Żartowaliśmy, a Danusia co pięć minut głaszała:

338

- Jak na studia nie zdałam, to myślałam, że se żyły popodcinam.

Adzisiaj rano mówię: Skoczę z dachu, jak niewygramy!

Mówię wam, normalnie bym skoczyła!

Chyba jako jedyna dała radę strąbić się likierem Eli.

Po pierwszej zaczęliśmy rozchodzić się do swoich pokojów.

Krążyłem koło Eli, miałem nadzieję, że może pozamieniamy się z Darkiem Ewą, ale jakoś niktego nie podchwycił.

Dopiero w pokoju Darek uświadomił mi, że nie są już z Ewą razem.

- Znudziłam się.

Wiesz, ja nie lubię, jak moja dziewczyna szczerzy się do każdego portek, a on nie potrafi inaczej.

Po co mi nerwy?

Jaczłek spokojny, serce u mnie na dłoni, a ona ma zadługie paznokcie.

Jeszcze mnie podrapie.

Oczy nam się kleiły.

To był długi, chociaż szczęśliwy dzień.

Zasypiałem, zupełnie nie pamiętając o Gerardzie, a całą noc śnił mi się profesor von Grabbe, jak wręcza jakiś ogromny puchar Eli icałuje ją później, przemieniając się w cudowny sposób w niemieckiego skrzydka z Monachium.

Ela kiwała na mnie, a potem uciekała, ciągnięta zarekę znów przez starego profesora.

A gdy ich doganiałem, to czuli się z Kasprzyckim i oboje śmiali się z mojej zdziwionej i zgorzzonej miny.

Sen był natrętny, w tej czy innej postaci wracał pokazany przy przebudzeniu (a Darek wyjątkowo głośno chrapał tej nocy), rano wstałem jednak wypoczęty i wciąż pod wrażeniem naszego sukcesu.

Na śniadaniu zrzędziłem trochę mina, gdy zobaczyłem Elkę pograżoną w rozmowie z monachijskim bubkiem.

Naprawdę zły i pełen zazdrości, przysiadłem się do Ewy i zacząłem ją emablować, co było tyle przyjemne, że ona jakby zamierzała mnie uwieść.

Ciekawe:

Ewa chciała pewnie wywołać zazdrość Darka, ja zaś te same zamiary miałem względem niecnej Eluni.

Mimo to śniadaniem było nam wesoło i miło, a później razem wyszliśmy na miasto, rozejrzeć się, naco by tu wydać nagrodę - całkiem sporą, bo wczorajszej nocy podzieliliśmy dwadzieścia pięć tysięcy marek (których jeszcze nie dostaliśmy do ręki) w następujący sposób: cztery tysiące dla Kasprzyckiego,

dwa dla Gromnego i po tysiąc dla każdego z dziewiętnastu członków orkiestry. Teodornie chciał przyjąć tak dużej części, ale przegłosowaliśmy go przez aklamację. Przy ustalaniu wysokości kwoty dla Gromnego kilka osób zgłaszało wątpliwości, że przecież grał tylko w drugą metapię, gdzie on w ogóle jest i co będzie z jego dalszą współpracą z nami. Kasprzycki ani go nie bronił, ani nie tłumaczył, słuchał tylko, jak ja i Darek trzeźwimy niewdzięczników, przypominając kłopoty, jakie zagroziły nam, gdy Gromnego zabrakło. Muszę przyznać, że jednym z tych, którzy nam pomagali i bronili Stefana, był Piotrek Kłasz. To on powiedział: "Bez pana Stefana gównem byśmy mieli, a nie pierwszą nagrodę. Jabym Rossinię rozłożył na obie łopatki. Sraczkę miałem ze strachu, a wszystko wychodziło za każdym razem coraz gorzej".

Problemy żołądkowe Piotra wyraźnie wszystkich przekonały, bo nie było już dalszej dyskusji na ten temat.

A dzisiaj rozglądaliśmy się, na coby tu wydać tysiąc marek.

Ewa była bardzo zainteresowana ciuchami.

Ciągała mnie od jednego do drugiego stoiska z sukienkami, przymierzała wszystkie i kazała się podziwiać.

W niektórych rzeczywiście nieźle wyglądała.

Gdy tak stałem w damskim dziale dużego domotowarowego i czekałem na kolejną prośbę o ocenę kreacji, uświadomiłem sobie, że jest mi.

po prostu dobrze, tak spokojnie i błogo.

Jestem szczęśliwy, bezpieczny i nareszcie pełen optymizmu!

A rano, zazdrosny o Elę, już pograżałem się w złych myślach.

Gdy przypomniałem sobie, jakie problemy były moim udziałem jeszcze kilka dni temu, poczułem w sercu radość i miłość do całego świata.

A że w tej chwili Ewa wyszła z przymierzalni wszczególnie ładnej sukienki, podszedłem do niej i mocno ją pocałowałem.

Patrzyła na mnie zdziwiona, ale wcale nie była zła ani zgorszona.

- A za co to?

- spytała i określiła się, a sukienka otoczyła ją szelestem podniecenia.

- Za to, że piękna jesteś.

I że.

ze mną.

- Tomek!

340

- Co?

- Chciałem pocałować ją jeszcze raz, ale ona się odsunęła, kładąc mi ręce na ramionach.

- Ja nie jestem.

do zabawy.

- Ja też nie!

- Jak się chcesz na kimś odgrywać, to bezemnie!

- Ewa!

Jestem po prostu szczęśliwy.

Ty nie?

- Mącisz coś.

- Wiesz co?

Wziąłem z domu trochę forsy, jeszcze po ojcu, możemy iść na lody.

- Tomek?

Ty tak serio?

- No pewnie.

Jak mamy dostać po tysiąc.

- Ja nieo lodach - przerwała mi, patrząc poważnie w oczy.

- Coś ty taka.

sieriozna?

- A nic.

Toco - znowu okręciła się wsukience, aż powietrze zafurczało- ładna?

- Piękna.

Ty..

jesteś piękna!

- Uważaj!

Bo mogę to wziąć na serio!

- To przebierz się i idziemy na lody.

- Jeszcze tylko przymierzę taką zieloną.

Zaczekaj.

- Ewa!

Chodź już.

Ile można siedzieć w sklepie?

- Zaraz, zaraz - odpowiedziała już z przymierzalni, skąd dochodził szelest ściąganej garderoby.

- Co mówisz?

Podszedłem pod same drzwiczki ileciutko je uchyliłem.

Ewa stała przed lustrem tylko w samych majteczkach.

Duże pełne piersi, pełne ramiona, lekko wypukły brzuch, ładne nogi, chociaż nie tej klasy co u Eli.

Widziałem ją już wiele razy w kostiumie kąpielowym, ale nigdy jej widok tak mnie nie podniecił.

A ona, gdy zobaczyła moją rozdziawioną gębę w uchylonych drzwiczkach, uśmiechnęła się krzywo, zakryła piersi rękami i powiedziała:

- Zjeżdżaj stąd albo będę krzyczeć.

- Krzycz.

Po polsku i nie zrozumie.

341

- Już krzyczę - i nabrała powietrza, otwierając szeroko usta.

Wycofałem się.

Blef zadziałał.

Obejrzałem jeszcze kilka kreacji i dopiero wtedy udało mi się wyciągnąć ją na lody. Tyle byłomojego, że za każdym przebraniemcoraz bezczelniej ją podglądałem, ana jej okrzykowy szantaż odpowiadałem:

- Dobra, krzycz.

Ale ja sobie jużidęi kto ci powie, jak wyglądasz?

Gdy zjrzałemtrzeci albo czwarty raz, przestała zakrywać piersii spytała:

- Mam zdjąć resztę?

A może chcesz sobie pomacać?

Dałem spokój.

Ale na lodachgadaliśmy i śmialiśmy się jak para

dobrychprzyjaciół.

Odprowadziłem Ewę do samego pokoju,spotykając w drzwiach wychodzącą właśnie Ełę.

- Gdzie się włóczycie?

Wiecie, czego się dowiedziałam?

Hans miopowiedział, kto wywalczył dla nas pierwszą nagrodę.

Zgadnijcie kto?

- Co za bzdury - oburzyła się Ewa.

- Jak to: wywalczył?

Przecieżbyliśmy najlepsi!

- No to wiecie kto?

-Skąd mamy wiedzieć?

- Nie podobał mi się ani jejentuzjizm,aniźródło, zktórego czerpała te swoje rewelacje.

- Sam von Grabbe!

Ale numer, co?

A Teodor tak na niego jechał.

TaGerda to dziewczyna Hansa.

Opowiedziała mu wszystko.

Innichcieli daćpierwsze miejsce im, to znaczy orkiestrze tego Hansa, bo tournee, bo my ze Wschodu i nie wiadomo, czy nagrodę wykorzystamy, a wtedy von Grabbe wstał, walnął pięścią w stół i powiedział, żeto może jego ostatni w życiu konkurs, na którym jest przewodniczącym, i żąda sprawiedliwości.

Bo ten Hansteż uważa, że to my byliśmynajlepsi.

Fajny z niego chłopak, taki obiektywny.

Przecież to jego orkiestra była naszym głównym rywalem.

A wiecieco?

Dzisiaj, porozdaniu nagród i po koncercie laureatów, będzie bankiet.

Wiecie,kto nas na niego zaprasza?

Nie zgadniecie!

342

- No, mów - Ewa słuchałaz wypiekami na twarzy, a ja zzymałemsię na kretyńskie zauroczenie Eli jakimś palantem.

-Sam Herbert!

Kto?

-tym razem spytaliśmy jednocześnie.

- Herbert von Karajan!

To jest numer, co?

No, a teraz biegnę, 'bo Hans obiecał mi wycieczkę do sali Filharmoników Berlińskich. On sam już kilka razy rozmawiał z Karajanem i był nawet natakimkursie dla młodych muzyków, z którego później dobierają członkóworkiestry.

Za dużo gadam, już jestem spóźniona.

To widzimy się narozdaniunagród!

Cześć.

Pobiegła, a ja zastanawiałem się, czy to napewno w niej byłem(jestem?) tak bezpamięci zakochany, że obawiałem się, jak ona przeżyje mój pobyt w więzieniu.

Nie przyjąłem zaproszenia Ewy, aby pogadać w pokoju.

Wyszedłem z hotelu pogrążony wczarnych myślach i wałęsałem się po zatłoczonych ulicach.

Nawet rozdanie nagród nie poprawiło mi humoru.

Również na koncercie laureatów grałem jak z musu.

Na szczęście wykonywaliśmy Czajkowskiego, nie miałem więc solówek i nie musiałem się przesadnie wysilać.

Ostatecznie sam Kasprzycki mówił, żeby grać obiektywnie i zimno!

Na wydanym przez wielkiego dyrygenta przyjęciu poczęstowano nas szampanem.

Zdażyłem wypić trzy lampki, zanim Teodor zaciągnął!

mnie przed siwe oblicze von Karajana, który chciał osobiście po'gratulować koncertmistrzowi zwycięskiej orkiestry.

Starałem się zachowywać poprawnie, jego sława działała przecież i na mnie.

Naszczyście, poza zdawkowymi grzecznościami, do żadnej prawdziwej rozmowy nie doszło.

Ela wciąż wisiała na ramieniu Hansa, co było o tyle śmieszne, że z drugiej strony uwiesiła mu się ta Gerda, czy jak jej tam było.

Czary goryczy dopełniał zaś widok Ewy kręcącej się koło Karajana w wyzywająco wydekoltowanej sukni oraz częste spojrzenia dyrygenta w jej stronę.

Po paru minutach rozmawiał już przez tłumacza.

Obserwowałem jej cięły zachwyty z coraz większą złością i piłem

343.

następne szampany.

Bąbelkizaczęły mi już wychodzić uszami, a wciąż sięgałem po kolejne kieliszki pianistego napoju.

Za którymś razem spotkałem się przy stole z tym Hansem.

Brał trzy lampki szampana i właśnie zamierzał oddalić się w kierunku czekających na niego dziewcząt, gdy zatrzymałem go za ramię:

- To co?

Taki jesteś mądrała?

Jedna dziewczyna ci nie wystarcza?

Odpierdol się od Eli.

- Was?

- dobiegło do mnie.

- Co to?

Nierozumiesz?

Patrz mi na usta.

Od-pier-dolsię.

Coś jeszcze powiedział, kiedy nagle ktoś chwycił mnie za ramię zaczął od niego odciągać.

Strąciłem wrażliwą rękę i zamachnąłem się na zdziwionego Niemca.

Uchylił się, a ja trafiłem w trzymane przez niego kieliszki.

Brzęk szkła, podniesione głosy - rzuciłem się jeszcze raz na wroga, musiał mnie jednak zmylić i wpadłem na jakiś stół, przewracałem nakrycia.

a potem urwał mi się film.

Obudziłem się w środku nocy.

Leżałem w hotelowym łóżku, obok chrapał Darek.

Ból głowy i straszny wstyd na wspomnienie wieczornych wyczynów nie pozwoliły mi z powrotem zasnąć.

Chciało mi się płakać i nie widziałem żadnych przeszkód, aby tego nie zrobić.

Łkając, zastanawiałem się, dlaczego jestem taki głupi.

Czemu latem potrafiłem Ełę oddać bez walki jakiemuś tam Zdziśkowi, a teraz zachowałem się jak zraniony byk?

Przecież nasze stosunki po wakacjach pozostały tylko koleżeńskie, nic więcej.

To o co mi chodzi?

A Ewa?

Dlaczego najpierw mnie podrywa, a później szczyrzy zęby do starego capa?

Świnie, niedziewczyny.

Nikt mnie nie chce, nikt mnie nie kocha!

Płakałem sobie spokojnie, rozczulałem się nad sobą, bluźniłem pod nosem, a z całej złości pozostawało powoli tylko ciężkie, dotkliwe zażenowanie, co tym bardziej mnie denerwowało i zmuszało do dalszego płaczu.

W końcu Darek przestał chrapać, ja połknąłem spirytus i też udało mi się zasnąć.

Gdy się obudziłem, w pokoju nikogo nie było.

Zrobiło się za to zapóźniona śniadanie.

Zresztą w żołądku czułem twardą gulę, przy

344

każdym pochyleniu kręciło mi się w głowie i najchętniej zostałbym cały dzień w łóżku, gdyby nie mgliste przeczucie, że dzisiaj o dwunastej miał nastąpić wyjazd.

Zwlokłem się z wyrka i powolutku zaczęłam pakować swoje rzeczy.

Wrócił Darek.

- Aleś wczoraj narozrabiał.
A jeszcze w pokoju zabierałeś się do bicia mnie i Teodora.
Ty niewdzięczniku!
Jacię tulę do piersi, Teodor z biera jak niemowlaka, a ten z pięściami na swoich dobroczyńców.
Gbur, cham, niewdzięcznik.
- Zamknij się, co?
Czyja komuś coś.
- Ależ skąd!
Jeden złamany stół, dwadzieścia siedem sztuk porcelanowej zastawy i wykąpana w szampanie małżonka dyrektora konkursu.
Poza tym - cacy chłopczyk.
Prawdziwy koncertmistrz.
- Naprawdę tak narozrabiałem?
Co na to Teodor?
- To ciekawe, bo nawet złego słowa na ciebie nie powiedział.
Posłuchaj, martwisz się dalej o tego Gerarda?
Znowu cośnie tak?
- A - machnąłem ręką.
- Jestem kiep i już.
- No cóż.
Nie będę kłamał.
Masz rację.
- Darek!
Daj dzisiaj spokój z żartami.
Niemam nastroju.
- Ja nie żartuję.
Zachowałeś się jak ostatni jełop!
Całe szczęście, że pięć minut wcześniej Karajan sobie poszedł.
- Naprawdę?
A ta żona dyrektora?
- Nie przejmuj się.
Tylko ochlapało jej trochę sukienkę.
Nawet majtek niezamoczyła.
- Idź ty.
Wyjeżdżamy o dwunastej?
- Tak.
Do odjazdu autokaru grupy zwycięzców pozostały jeszcze czterdzieści dwie minuty.
Byłem przy autokarze jako jeden z pierwszych.
Wtarabaniłem się na sam tył, nakryłem głowę kurtką i udawałem, że śpię.
Rzecz dziwna - zasnąłem, chociaż rzadko udaje mi się to na siedząco.
Jak przez mgłę pamiętam kontrolę wschodniemieckich służb.
Od razu zasnąłem znowu.
Obudzili mnie dopiero na ostatnim postoju przed polską granicą.
Głowa bolała, w ustach sucho, pęcherz mało

nie pękł, a żołądek wyraźnie zamierzał.
popatrzeć na słońce.

Powysiusianiu się ustąpiła tylko jedna dolegliwość, ale zacząłem myśleć zbliżającej się granicy i trząsałem się ze strachu, że znowu będę miał jakieś kłopoty.

Co za koszmarny dzień!

Amiało przecież być tak pięknie!

Gdy podawałem paszport pogranicznikowi, wciąż szczękałem zębami.

Nerwy?

Strach?

A może tyłkokac?

Nie było nikogo z tamtej feralnej nocy.

Nikt niezwrócił nam uwagi.

Wróciliśmy do Polski bez kłopotów.

Kasprzycki musiał tylko wyjaśnić nieobecność Gromnego, co wcale nie trwało długo.

Tego nie przewidziałem: wrócić powygranym konkursie, uniknąć więzienia, uwolnić sumienie odudziału w zabójstwie - po prostubajka.

Tymczasem jechałem z powrotem do domu jak zbity pies, z samopoczuciem robakanadzianego na haczyk i zarzuconego smród cena nieżywego sandacza.

Udało mi się przez całą podróż z nikim nie rozmawiać.

Wychodziłem z autokaru tylko nasiusianie i szybko wracałem do swojego kąta.

Przed szkołę zajechaliśmy późnym wieczorem.

Miłośnianka - wyszła po mnie ciocia Julcia z Pauliną i Michałem.

Wzruszyłem się ich widokiem, imiało co nie wybuchnąłem znow płaczem.

Dopiero w domu przemołem się i zacząłem powiadać o naszych sukcesach.

Pokazałem medal, dyplom, uświadomiłem sobie, że niedostałem pieniędzy.

Pochwaliłem się uściśnięciem ręki von Karajana, mówiłem o czekających nas wyjazdach na koncerty do Francji i Niemiec.

Ale gdy ciocia i Paulina postawiły na stół wino, odmówiłem, tłumacząc się niestrawnością po podróży w autokarze.

Paradny wydał mi się pierwszy dzień na uczelni, gdy dorośli, wręcz starzy ludzie poprzebierali się w sutanny, pootulali futerkami, zasłonili głowy biletami, założyli na szyję łańcuchy i dumnie udawali dostojnych i mądrych.

nych i mądrych.

Coś cyrku raczej niż z teatru było dla mnie w inauguracji roku akademickiego.

Już nigdy później nie szczycałem tejuroczystości swoją skromną obecnością.

Same studia - bardzo przyjemny czas dla młodego człowieka.

Dużo miesznych i niepotrzebnych przedmiotów zastąpiło dotychczas wpajaną nam wiedzę z fizyki, matematyki, biologii.

Teraz, jako przyszli artyści, studiowaliśmy filozofię, wiedzę o sztuce, socjologię i nawet wojsko!

Tak naprawdę zajmowały mnie pasjonowały tylko zajęcia ze skrzypiec, bodostałem się do dobrego, mądrego profesora, który uczył mnie grać, a nie popisywał się przedemnerudycją i własnymi sukcesami.

Takiego pecha miała Ela.

Jej pedagog, osoba wielce dystygowana, prowadziła na lekcjach pogawędkę.

Gdy jej zaschło w gardle, posyłała Elę do kawiarenki po herbatę, w tym czasie nabierała się do dalszej pracy, która trwała aż do opróżnienia szklanki przez panią profesor.

Przez jakiś czas trochę unikałem członków naszej orkiestry.

Wstydm było; nie wiedziałem, czy się usprawiedliwiać, czy warto choć jednym słowem wracać do tego przykrego epizodu.

Dopiero gdy zaczęły się znów próby z Kasprzyckim, gdy niejako z urzędu musiałem wrócić pomiędzy świadków mego wygłupu i gdy okazało się, że nikim niczego nie wypominam - dopiero wtedy zapomniałem o Berlinie.

Pewnie to był rok jakichś piłkarskich mistrzostw, w których nasza drużyna odnosiła sukcesy.

I dlatego dzień w dzień kopaliśmy wtedy piłkę, prześcigając się w ławkach, podaniach i faulach. Każdy.

Chciał być Deyną, Lubańskim czy Szarmachem.

Mecze odbywały się.

W dwóch miejscach.

Kiedy udawało się zebrać więcej graczy - ośmiu, dziesięciu - szliśmy na łąkę za naszym domem, tę samą, na której kiedyś Gerard znęcał się nad Stasiem.

Ale często było nas tylko pięciu, sześciu.

Wtedy graliśmy przed jednym z bloków, gdzie jako bramki służyły nam małe i niskie ławki.

Gerard nie był zapalonym piłkarzem, ale tamtego lata czasami z nami grywał. Zazwyczaj dobierał sobie wtedy do drużyny Cerkwina, najlepszego dryblera na podwórku. Technika Wiesia w połączeniu z brutalnością Gerarda, który nigdy nie wahał się kopać przeciwników po kostkach, czyniła z nich groźny zespół.

Stasio zazwyczajnie grał.

Niezgrabne, nieskoordynowane ruchy podobały go do młodego żrebaka, który potyka się o własne nogi.

Dlatego najczęściej kibicował, krzycząc i śmiejąc się innymi.

Któregoś razu Gerard nie był w drużynie z Cerkwinem, tylko ;

z Czapa i jeszcze jednym chłopakiem, przeciwko mnie, Wiesi i Kurze.

Dwa razyegraliśmy ich w meczach "do dziesięciu".

Już chcieliśmy się rozstać, gdy nagle Gerard zaproponował trzeci mecz.

- Ale u nas będzie grał Stasio - powiedział.

- Chyba że krewicie?

Trudno było bać się Stasia!

Zgodziliśmy się bez oporu.

Gerard zaś kazał Stasiowi.

położyć się pod ławką!

W ten sposób całe światło bramki zasłonięte było ciałem Stasia.

Nie dało się strzelić ani pod, ani nad nim.

Aniobok.

Protestowaliśmy, że przeciętnak niemożna, ale Gerard tylko śmiał się szyderczo.

Ze złości i frustracji zaczęliśmy kopać piłką wprost w Stasia, nie próbując wcale strzelić gola, tylko kanonadą zmusić głupka do ucieczki.

Chociaż boisko było piaszczyste i suche, chociaż kurz dławiał w gardle, Stasio jednak kulił się dzielnie naswoim posterunku i niezłomnie bronił własnym ciałem dostępu do bramki.

- Tak nie można - zaprotestował Kura w połowie meczu, gdy przegrywaliśmy pięć do zera.

- Nikt przecieźnie strzeli gola, jak o tam będzie leżał.

- Ja strzelę.

Założysz się?

- naskoczył na niego Gerard.

- O dychę.

- A jak to niby zrobisz?

- Założysz się?

- No to spróbuj.

- Dychę masz?

- Mam.

Stoi.

348

Pobiegł z piłką na skulonego Stasia.

Tak jak i my, najpierw strzelał, kurzył, próbował, ale nie było wystarczająco dużej dziury, aby piłka przez nią przeleciała.

Zaczął więc kopać Stasia, najpierw zdziwionego i tylko posykanego z bólu, pochwili wrzeszczącego już na całe gardło, gdy noga Gerarda trafiała go w głowę, ramiona czy brzuch.

Gerard nie pozwalał mu teraz na ucieczkę, tylko jakby wkopywał go do środka, do bramki, aż wreszcie Stasio znalazł wyjście z drugiej strony ławki, a wtedy napastnik ze śmiechem wbił gola.

- Płać - krzyknął do Kury.
- Ty jesteś porąbany,Dżery - powiedział Kura, ale nie odważył się zaprotestować. Dałmu monetę, po czym zaproponował:
- Aleja też sobie strzelę.
- Dobra - zgodził się Gerard.

- Stasio!

Waruj!

I chłopak, bez słowaprotestu, znowu położył się pod ławką.

Najpierw wkopał go do środka Kura, potem Czapa,a w końcu zaczęliśmy bawić się tak wszyscy.

Dopiero nadejście pani Kłopot uratowało przygłupka przed ciężkim pobiciem, ale i tak, gdy uciekaliśmy przed rozwścieczoną pielęgniarką, ubranie Stasia było całe wstrzępach, a on sam nieźle posiniaczony.

Czekało nas dużo pracy.

Teodor załatwił nagranie płyty w Polsce,w programie naszych pokonkursowych wyjazdów do Francji i Niemiec było mnóstwo nowych utworów, przede wszystkim akompaniamentów, których dotychczas nie graliśmy zbyt wiele.

Dostaliśmy również zaproszenie na festiwal do Werony i w ogóle przyszłość naszej orkiestry zapowiadała się całkiem interesująco.

Po jakimś miesiącu przestałem myśleć o Gerardzie, Księżyku i stradivariusie.

Nie wracałem jednak do swojego dawnego instrumentu,bo te skrzypce Gałki - nie-Gałki rozgrywały się z dnia na dzień i były już na pewno lepsze od moich starych.

Noce przesypiałem bez

349.

koszmarów i tylko czułem żal do Eli, że nie daje mi żadnej zachęty do odnowienia naszych dawnych stosunków.

Zacząłem umawiać się z Ewą.

Na randkach było miło, zabawnie i przyjemnie, chociaż Ewa w studiach nic a nic się nie zmieniła dalej podrywała wszystkich po kolei: profesorów, docentów, adiunktów, asystentów, studentów, nawet szatniarza.

Nie czułem się z początku uprawniony do czynienia jej wyrzutów, bo trudno było określić ją jako parę, ale szybko zrozumiałem słowa Darka - o szczerzeniu się do każdego portek. To stawała się denerwująca i wzbudzała moją zazdrość.

Przy czym na Ewę zupełnie nie działały proste zagrywki w stylu niezauważania jej przez dzień czy dwa.

Wspomnienie widoku jej pełnych piersi i zamglony wzrok, gdy całowaliśmy się w klatce pod blokiem, trzymały mnie przy niej i dawały nadzieję na szybkie "sfinalizowanie" naszego romansu.

Nie byłoby kłopotu ze zorganizowaniem mieszkania, bo od rana Michał szedł do szkoły, a Paulina do pracy, Ewa jednak na moje coraz częstsze, ale delikatne aluzje w ogóle nie reagowała.

Postanowiłem pójść na całość.

Zacząłem częściej kupować jej kwiaty, odprowadzać po zajęciach do domu, w kinie szeptać gorące słówka.

Niewiele to pomogło.

Namiętny całus, ręka pod bluzką, mój przyspieszony oddech - a ona tak zaraz grzecznie wracała do domu.

Byłem jakiś dziwny wtedy: jednego dnia zachłanny, niecierpliwy, innym razem nieśmiały, zagubiony, rozgoryczony.

Nadal pełen pretensji do Eli: za zostawienie mnie wtedy na Mazurach, za zdradę w Niemczech, za wszystko, bo zdawało mi się, że poświęciłem się dla niej, pozwalając jej naromans ze Zdzisławem tylko po to, aby oszczędzić cierpienia mojej ukochanej, gdy Romeo pójdzie do więzienia.

No a teraz Ewa, owszem, podobała mi się, ale przede wszystkim chciałem chyba dopieć Eli, pokazując, jak szybko i bezboleśnie pożegnałem się z jej wdziękami i znalazłem pociechę gdzie indziej.

Natomiast za "niepełność" tej pociechy winiłem Ewę, bo wyglądała na łatwą i chętną, a wciąż opierała się wszystkim moim zakusom.

350

Pewnego razu, krótko przed świętami, zaprosiłem ją do kina, ale film był tak nudny, że po półgodzinie wyszliśmy.

- Słuchaj, jest wcześniej, ja tu blisko mieszkam, może wpadniesz do mnie?

Poznałabyś moją siostrę, Paulinę.

Zgodziła się i poszliśmy do mnie.

Zrobiło się zabawnie, gdy okazało się, że Paulina (o czym niewiedziałem) wychodzi tego wieczoru na randkę.

Ulotniła się w kwadrans po naszym przyjściu; Michał zaś już od tygodnia był u cioci Julii, gdzie miał spędzić święta.

Zostaliśmy w mieszkaniu sami.

Zrobiłem herbatę, podałem ciastka.

Opowiadałem Ewie o naszym zburzonym domu i próbowałem opisywać jej ciekawsze zdarzenia ze szczenięcych lat.

Ubarwiający conieco dodając, opowiedziałem o kradzieży zielonego pierścionka.
W wersji dla Ewy pominąłem Gerarda i nałgałem, że zwróciłem dziewczynie właściwy pierścionek.
Ona zrewanżowała mi się opowieścią o tym, jak podkradała mamie z portmonetki drobne: na lody, gumę, oranżadę.
Przyłapał ją kiedyś na tym brat Zdzisiek, i o tej porze musiał przez pewien czas z każdej kieszonkówki płacić mu myto.
Ja opowiedziałem znówo Cerkwini, cymbergaju, nauce kaligrafii z panią Prezydentową.
Wymknęło mi się gdzieś o drodze moje przezwisko, ale ona nie śmiała się; sama w dzieciństwie była otyła i wołano na nią Puchatek.
Puściłem płytę Barbry Streisand.
Gadaliśmy sobie miło, Ewa wyglądała zabójczo.
Odgarniała z wdziękiem długie włosy, uśmiechała się ciepło, smak jej ust pożegnał na klatce wałęsał się po mojej głowie.
Czy to dziwne, że przesiadłem się na miejsce obok niej i spróbowałem drobnej pieśczoły, wkładając rękę pod jej włosy zauchemi całując delikatną różową muszelkę?
Zaśmiała się, odsunęła ode mnie i zaczęła opowiadać o swoim nowym belfrze, który przyjeżdżał do nas raz na dwa tygodnie z Warszawy.
Znów byłem blisko niej, starałem się pogłaskać jej rękę, zawędrować do łokcia.
351.

- Tomek - powiedziała dość stanowczo.
- Jak nie przestaniesz, tood razu idę.
- Ewunia, nie bądź taka groźna.
- Dosyć - powiedziała, zdejmując moją rękę ze swej szyi.
- Przyszłam pogadać i poznać twoją siostrę, która, jak widzę, jest bardzo domyślna.
- To nie tak - broniłem się, bo mój gość wstał i poszedł doprzedpokoju.
- Naprawdę nie wiedziałem, że Paulina wychodzi.
Ewa - przyciągnąłem ją, próbowałem pocałować.
- Odczep się!
- odepchnęła mnie ze złością i zaczęła wkładać płaszcz.
- Coś ty taka.
święta!
- Nie lubię, jak robisz ze mnie idiotkę.
Ja nie z tych.
- A ja niez Gliwic.
Nie zaśmiała się, miała już rękę na klamce.
Złapałem kurtkę i wybiegłem z nią.
Mieszkaliśmy na nowym osiedlu.
W naszym bloku była pijacka melina i samotne spacerowanie po nocy mogły się źle skończyć.
- Daj spokój, ja nie miałem nic złego na myśli.
- Szedłem wciąż pół kroku z nią, bo ją dogoniłem, to ona przyspieszała.
- A o Paulinie nie wiedziałem.
Słowo.
Nie gnaj tak.
Na ulicę się na ciebie nie rzucę.
Przystanąła.
Zgrzana, zła, z zacisniętymi szczękami.
- Od początku traktujesz mnie jak.
rewanż.
Za Elkę.
Ale dzisiaj przeszedłeś samego siebie.
- Ewunia.
- Jak jestem dla ciebie miła, to zaraz musisz mnie zaliczyć?
- Tonie tak!
- A jak?
- Przecież sama.
no, na Mazurach, przychodziłaś, opalałaś się.
- I dlatego mnie traktujesz jak kurewkę?
Dwa razy kwiatki, kino i dołóżeczka!
- Coś ty!
- Ja? Mieli rację z tym przydomkiem.
Babol!
352
Zabolało.
To było trochę nie fair.
Nie odzywałem się już więcej.
Szedłem metr z nią, aż dotarliśmy do przystanku autobusowego.
Wciąż zła, podniosła sobie kołnierzy i odwróciła się do mnie plecami.
Nie wiem, dlaczego zacząłem jej opowiadać historię z Marusią.

Mówiłem o Gerardzie, nie zdradzając jednak jego imienia.

Określałem go jako "króla podwórka".

Gdy doszedłem do lizki, policzków i dołeczka wbrodzie, Ewa wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Trochę chyba uszlachetniłem pobudki swojej pomocy, dodałem efektowną pogoń zmyleniem śladów, ale uczciwie przedstawiłem rolę starszego brata jako obronnej tarczy.

- A wiesz, kto to był?

-Kto?

- Odwróciła się do mnie, słuchała znów z zainteresowaniem.

- No, ten, którego zepchnąłem z piersi cud-dziewicy, to.

Gerard.

- Gerard Przybora!

-Tak.

Był zmorą mojego dzieciństwa, a błogosławieństwem twojej nastoletniości!

- Wiesz co?

Ja mu nigdy, tak naprawdę, niepodziękowałam.

Tylko wtedy, na tych noszach.

i to.

wszystko.

Ja się go zawsze.

bałam.

- Nie ty jedna.

- Opowiedziałem jej szewcu.

Przyjechał autobus.

- Jedziesz?

Odwieźć cię?

- Może pojedę następnym.

Przejdziemy się?

Znowu było miło.

Opowiedziałem jej historię z mleczami i Stasiem, a także o innych, drobniejszych złościwościach i okrucieństwach Gerarda.

Trzymała mnie pod rękę.

Szliśmy po krzywym chodniku, wzdłuższarych, jednakowych budynków.

Omijaliśmy błoto i kałuże.

Mijaliśmy zmęczonych jednostajnym życiem ludzi.

Ciepło jej dłoni pozwalał mi odzyskiwać równowagę między głupią zachłannością a przesadną śmiałością.

I nareszcie wspólny temat:

- Wiele razy tak sobie myślałam, że chociaż on jest takim łachudrą, to jednak mnie uratował.

A mimoto.

Zawsze pamiętam, jak

353.

kiedyś, no, na długo przed tym wypadkiem, widziałam go w parku.
Był jakimś facetem, gadali ztrzema młodymi chłopakami, ale tamci to teźraczej nic dobrego.
Tak wyglądali.

Szłam na przystanek, widziałam toż daleka.

Nagle Gerard zaczął bić jednego z tych chłopców.

Ten drugi, ubrany na czarno, śmiał się, trochę mu pomagał.

A Gerard tamtego przewrócił i zaczął kopać po głowie.

Nie zatrzymałam się, byłam cała w strachu, że mnie zauważą.

I zawsze jak zbierałam się, aby do niego podejść, podziękować po ludzku, to.

Poza tym.

on..

kiedyś.

Niewiem, niemogę o tym mówić.

Może kiedy indziej.

Powinnam być mu wdzięczna, a.

nienawidzę go.

Brzydzę się takimi typami.

Boję się ich.

- To straszny człowiek.

I umie zastraszyć innych.

Słuchaj, powiem ci coś, ale.

No, nie musisz przyrzekać.

- Pewnie, że nikomu nie powiem.

- To dotyczy.

eee.

trochę.

też.

- wahałem się całkiem serio, bo uświadomiłem sobie, że ona również może znać Kornela, tego milicjanta, przecież kolegę Zdziśka, jej brata, i może chlapnąć coś przyjednym albo drugim, a nie miałem ochoty na żaden dalszy ciąg sprawy.

- Nie chcesz, to nie mów.

Ale to pewnie o tej twojej aferze nagranicy?

- Skąd wiesz?

- A co ty myślisz, że nikt nie plotkuje na twój temat?

Szczególnie po takiej drace i tak nędznych wyjaśnieniach jak twoje.

- Nie wiedziałem.

- To co?

Gerard w tym maczał palce?

- Maczał.

Widzisz, to on ukradł skrzypce Camparo.

On jak on, pewnie cała szajka, ale on w tym siedzi po uszy.

- A ty?

- Co, ja?

- Co ty masz z tym wspólnego?

- Zmusił mnie do przewiezienia stradivariusa przez granicę.

- Jak to - zmusił?

Przecież to nie był stradivarius?

- To długa historia.

354

Zacząłem opowiadać.

To już trzeciej osobie zwierzałem się zewstydliwych stron mojego krótkiego życia. Nigdy nie planowałem mówić o tym Ewie, mając ją za plotkarke i osobę niezbyt godnąaufania,po prostu trzpiotkę.

Tymczasemopowiedziałem jejwszystko o wieleszczerzej i dokładniej niżKasprzyckiemu i Darkowi.

Nie oszczędzałem siebie i nie kryłemswych dwojakichodczuć związanych z tymgwałtem, opowiedziałem jej o późniejszychłękach, owizji więzienia,jaką w kawiarnipredstawiłmi Gerard, o przerażających oczach Księżyka, tandetnymmedaliku z Jezuskiem, który śnił mi się tyle razy.

Osamobójczych myślachw wakacje, o smoku i chorobie, omdleniu,;

Paulinie, mdłym strachu, tchórzostwie.

Siedzieliśmy najakiejś ławce przed szpitalem, ogromnym, ponurym gmaszyskiem, pełnymbólów w szarym,odrapanym z godności;

kolorze beznadziei.

Iluż ludzi cierpiało w tychmurachw tej chwili,'ilu wcześniej, przez wiele lat codziennejwegetacji molocha, a ilujeszcze miało tam trafić?

Ciekawe, nigdy nie myślałem o szpitalachjak o miejscach wyzdrowienia, nadziei.

Nie.

Dla mnie to były łaźnieznojuumierania, przedsionki mdłego kalectwa, korytarze labiryntucierpień i upokorzeń.

Często przechodziłem koło tego wielkiego gmachu, bo tamtędy prowadziła drogado sklepu spożywczego, i zawszeprzyspieszałem kroku, aby to miejscejak najszybciej minąć i przestaćo nim myśleć.

A teraz oto stało się niemym świadkiem moich ekshibicjonistycznych zwierzeń wobec dziewczyny, z którą jeszcze godzinę temu chciałem tylko pójść dołóżka.

Higienicznie i odprężająco przespać się ponętym ciałem, nie angażując się i nie zagłębiającwpotrzebyjego właścicielki.

Przecież tyle razy planowałem takąspowiedź przedElą, którą kochałem odlat,szanowałem, wyobrażałemsobie jako żonę i towarzyszkę na całe życie.

A Ewa?

Piękna błyskotka, mialka, świecąca blichtrzem, umysłowopopolita i naiwna.

Szczerzyła się dokażdego,przewracała oczami,wiecznie poprawiałałosy i makijaż, krygowała się i wdzięczyła przednajmniejszymnawet lusterkim męskich oczu.

355.

- Wiesz - ciągnąłem swoją autowiwisekcję -ja nawet pogodziłem się już z więzieniem, tylko tak strasznie bałem się o siebie.

Kombinowałem, jak uniknąć roli przechodniejszmaty, cioty.

Nic mnie nie obchodziło, co ktobędzie o mnie myślał, obojętna mi była orkiestra, koledzy, Teodor, rodzeństwo.

Bo wiedziałem, że tam nikim nie pomożę, jak tylko ten Gerard, a on nic nie zrobi, jeżeli nie będzie musiał mnie chronić ze względu na własne bezpieczeństwo.

Dopiero Teodor otrzeźwił mnie trochę.

Tylko dzięki niemu zrozumiałem, jak łatwo dałem się zwyczajnie zastraszyć wykorzystać.

Jak byłem głupi i naiwny.

A przede wszystkim tchórzliwy.

A teraz, maszrację, odgrywam się na Eli.

- Już nie gadaj tak.

Każdy by się bał.

Ty i tak dałeś sobie radę.

- Zniczym sobie nie dałem rady.

Mówię ci, gdyby nie Teodor, niewyszedłbym z tego cała.

- A skąd on wiedział?

Wzruszyłem ramionami.

Od strony szpitala energicznym krokiem nadchodziła kobieta.

W jej ruchach, sylwetce, sposobie noszenia wysoko upiętych włosów, geście poprawiania płaszcza było coś odległe mi znajomego.

Latarnia oświetliła jej twarz.

Odruchowo wstałem z ławki:

- Dzień dobry pani- chociaż był dość późny wieczór inne pozdrowienie byłoby bardziej na miejscu.

Zatrzymała się.

Chwilę trwało, zanim mnie poznała

- Ach, dobry wieczór.

Nie pamiętam, jak masz na imię.

Ty jesteś tego wyburzonego domu?

- Tomek, proszę pani.

-A tak, Tomek.

Bambliński.

Teraz pamiętam.

Cóż za przypadek, Tomku.

Wiesz, kogo przywieźli niedawno do naszego szpitala?

- Przecząco pokręciłem głową.

-Twojego przyjaciela Gerarda.

- On nigdy nie był.

-Miał pecha.

Jest w dość poważnym stanie.

- Aleja.

- Nie wiedziałem, co powiedzieć.

356

Co za zbieg okoliczności!

Czyż życie nie jest zlepkiem kretyńskich, niespodziewanych przypadków, niemożliwych doprzedzenia i śmiesznie nieprawdopodobnych?

Ostatnie bowiem, zapamiętane przeze mnie spotkanie z panią Kłopot odbyło się w naderdziwnych i krępujących okolicznościach.

Poszedłem do fabryki pobawić się.

Sam. Często wtedy do dobrej zabawy wystarczała mi własna wyobraźnia.

Wcielałem się nazmianę w wymyślane osoby, prowadziłem dyskusje, utarczki, strzelaniny, pogonie i ucieczki.

Tropiłem przestępców, ale częściej uciekałem przed detektywami albo łowcami nagród.

Niewinnie posądzony o kradzież, znajdowałem schronienie w domu miłej dziewczyny, która zakochała się we mnie bez pamięci, porzuciła rodziców i razem ruszaliśmy w niesprawiedliwy, okrutny świat, szukać miejsca dla wzajemnej miłości.

Nie pamiętam konkretnej treści zabawy w tamten odległy dzień, ale nie mogła wiele odbiegać od takiego właśnie schematu.

Nagle znalazłem się koło jednej z lepiej zachowanych hal, gdzie nawet nie rozszabrowano podłogi.

Ktoś był w środku, dochodziły do mnie dziwne odgłosy sapania i jakiegoś szlochu przerywanego jękiem, uspokajanego przez Gerarda dość ostrymi i brutalnymi słowami.

Straszył go biciem, obiecywał cukierki i pieniądze, i znów zduszonym głosem nakazywał ciszę.

Wspiąłem się po kamieniach do okna, zajrzałem ostrożnie.

Przez jakiś czas nie umiałem zrozumieć, co się dzieje.

Gerard i starszy od niego chłopak, którego twarzy nie widziałem, bo odwrócony był do mnie tyłem, stali nadleżącym na jakiejś kapocie Stasiem Przypiorciem.

Stasi był bez spodni, leżał twarzą do ziemi, a nad nim podrygiwał jakiś dorosły facet z gołym tyłkiem.

Jęczęli co jakiś czas obydwoj, Gerard zaś strofowali uciszał Stasia, a to obiecując murówne smakołyki, a to strasząc wymyślnymi karami.

Miałem skończone dwanaście lat.

Wiedziałem już wtedy sporo o chłopcach i dziewczętach.

Słyszałem pogardliwe opowieści o pedałach.

Bywałem przestrzegany przez rodziców przed starszymi obcymi panami, którzy mogliby mnie skrzywdzić.

Nie bardzo jednak

357.

rozumiałem, co się rozgrywało przed moimi oczami.

Gerard zawszerebił dziwne i złe rzeczy, ale o co w tym chodziło?

Ten mężczyzna na Przypioru sapał coraz mocniej, Stasio zaczął głośno płakać, Gerard dosadnie, chociaż półgłosem, bluźnił.

Nagle.

usłyszałem za sobą czyjeś kroki:

- Co tam siedzieje, chłopcze?

- To byłapani Kłopot.

Zdyszana, z rozwianym włosom.

- Co ty tu robisz?

- spytała podniesionym głosem, wyraźnie zdenerwowana.

Dotarło do mnie, że ktoś jednak robi Stasiowi krzywdę, a pani Kłopot zawsze się nim opiekowała.

Bez namysłu zeskoczyłem na ziemię i zacząłem uciekać.

Wołała za mną, ale nawet się zasiebie nie obejrzałem.

Gdy wybiegłem na tył hali, prawie zderzyłem się uciekającymi: Gerardem i tym sapiącym mężczyzną, który próbował w biegu zapiąć rozporek.

Miał spory brzusek, łysinę z pięć-'dziesiąt lat.

Tak wtedy go oceniłem.

Trzeci z obecnych przy Stasiu, ten stojący do mnie plecami, uciekał widać inną drogą.

Gerard nie zwrócił na mnie uwagi, ponaglał zasapanego satyra, ciągnąc go za rękę.

Zatrzymałem się i zastanowiłem nad sensem dalszej ucieczki.

Przecież w niczym nie zawiniłem!

Przez chwilę rozważałem możliwość powrotu do hali i wyjaśnienia pani Kłopot swojej niewinności, ale ten pomysł też mi się nie podobał.

Niezdecydowany, wytracony z zabawy, zastanawiając się, co tak naprawdę zrobiono Stasiowi, powlokłem się do domu.

Opowiedziałem Mateuszowi o tym zdarzeniu (jakoś wstydziłem się pójść do taty czy mamy, a nawet do Pauliny), pytając go, czego też oni mogli od przygłupka chcieć.

„

- Widzisz, Tomek, są tacy ludzie, którzy są nie-nor-mal-ni!

Zboczeni.

I oni wyżywają się na dzieciach.

Ty już wiesz, jak to jest z dziewczynami, nie?

No, toni normalni robią to z mężczyznami albo chłop-'cami.

Słyszałeś już pewnie opedałach?

No, to rozumiesz.

- Ale jak?

Przecież dziewczyny mają, no, jakąś dziurkę.

gdzieś.

tam. A my.

Nierozumiem.

358

- Aleś ty dociekliwy.

Tam, gdzie kupę robisz, bracie.

A teraz daj mi już spokój, bo mam jutro klasówkę z matmy.

Wciąż nie do końca rozumiałem, czego byłem świadkiem.

A już zupełnie nie mogłem dociec roli Gerarda w całym tym przedstawieniu.

Pani Kłopot unikałem przez wiele miesięcy, Stasio zaś gdzieś zniknął.

Jego nieobecność była tylko ulgą.

Wkrótce zapomniałem, w nawale innych zdarzeń, o dziwnym incydencie.

Dopiero po kilku latach, pod wpływem jakiejś audycji w telewizji, przypomniałem sobie i zrozumiałem scenę z fabryki oraz rolę, jaką odegrał w niej Gerard.

Wtedy przyszło mi również do głowy, iż pani Kłopot napewno pomyślała, że ja jestem wystawiony przez tych zwyrodniałców jako straż, która miała ostrzegać przed zbliżaniem się kogoś obcego.

Przecież w końcu, chociaż przypadkowo i nieświadomie, naprawdę zaalarmowałem ich, gdy pielęgniarka nadeszła.

Przez jakiś czas wstydzilem się na samą myśl o tym, co ta kobieta o mnie musiała myśleć.

Znowu jednak zapomniałem o wszystkim, bo nie miałem już kontaktów ani z panią Kłopot, ani z Gerardem.

A teraz stałem przed nią, z Ewą u boku, i słuchałem, jak nazywa Gerarda moim przyjacielem:

- W poważnym stanie, naprawdę poważnym.

Doigrał się.

Możesz go odwiedzić po starej przyjaźni.

Ucieszy się.

Pogadacie sobie, powspominacie.

- Ja naprawdę.

- Rokowania ma kiepskie, prawdę powiedziawszy - żadne.

Zresztą sam się przekonasz.

Leży na oddziale D.

Do widzenia, Tomku.

- Proszę pani, niech pani posłucha.

- Złapałem ją, może trochę niegrzecznie, za rękaw.

- Ja nie miałem z tą sprawą Stasia nic ani wspólnego.

Znalazłem się tam przez przypadek.

Niech mi pani uwierzy.

Gerard nie jest moim przyjacielem!

- Co to ma za znaczenie?

- Dla mnie ma.

Ja zawsze panią lubiłem, nie chciałem.

- Stasia trzeba było lubić.

On tego potrzebował.

A wy wszyscy.

359.

- Pamięta pani?

Z tymi mleciami?

Przecież to ja mu pomogłem dojsć do domu.

Wtedy też Gerard.

- Zostaw już Gerarda w spokoju.

Teraz nikomu krzywdy nie robi.

A czy był ci przyjacielem, czy wrogiem, to odwiedź go.

Możesz się czegoś nauczyć.

- Ale czemu się stało?

- Zobacysz.

Odwiedziny są jutro od jedenastej.

Muszę już iść.

Do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedzieliśmy razem z Ewą, patrząc za odchodzącą pielęgniarką.

- Kto to jest?

- spytała Ewa, gdy tylko pani Kłopot oddaliła się poza zasięg głosu.

- Pielęgniarka, która mieszkała w bloku obok mojego starego domu.

Słabo ją znam.

- To musiała być piękna kobieta!

Jeszcze teraz.

A z czego jej się tak tłumaczyłeś?

Co to za Stasio?

- Opowiadałem ci o nim.

To ten od mleczy, nasz podwórkowy przyglupek.

Ale coto za cholera z tym Gerardem?

Co on może robić w szpitalu?

- Pewnie choruje, mój ty myślicielu.

Co to za szpital?

- Bo ja wiem?

Staram się go ignorować i nie zauważać.

Nienawidzę szpitali.

Wiem tylko, że mają bardzo duży oddział onkologiczny.

- To może Gerard ma raka i dlatego rokowania są złe?

- Może.

Ale iść, spotkać się z nim.

- aż się otrząsnąłem na taką możliwość.

- Pójdę z tobą.

Jutro o jedenastej, dobra?

- Lepiejnie.

Jutro pójdę sam, dowiem się, co jest, i później pójdziemy.

..

- Nie.

Ja mam w stosunku do niego dług wdzięczności.

Powinna też pójść.

Tobie on tylko szkodził, amnie.

- To co z tego?

A zresztą jak chcesz, to chodź.

- No właśnie.

Może jednak najpierw ty pójdziesz?

360

- Przecież sama mówiłaś.

- Miałaś rację.

Idź sam, ja pójdę następnym razem.

- Wiesz co, Ewa?

Jesteś.

- Daj spokój.

Jest mój autobus.

Cześć!

Zadzwoń!

Pojechała, a ja wracałem do domu wzdłuż szpitalnych zabudowań.

Wpatrywałem się w okna, jakby czekając, że w jednym z nich ujrzę Gerarda.

Na drugim piętrze rzeczywiście ktoś stał.

W plamie światła widziałem głowę, ramiona, tułów.

Jeżeli to on.

No to co?

Tomóglbyć każdy.

Może lekarz palił papierosa przy oknie, bo tajemnicza postać w dość charakterystyczny sposób podnosiła rękę do ust i opuszczała na dół.

Dziwne to było uczucie wiedzieć, gdzie znajduje się wróg.

Upokorzony nieznanym piętnem, może umierający?

Co mogło zaprowadzić Gerarda w szpitalne mury?

Czyżby naprawdę rak?

Jeżeli tak, to ujrzę go pewnie jutro łysego, bladego, może podłączonego do kroplówki.

Nagles podobał mi się pomysł pójścia tam, napawania się widokiem cierpiącego okrutnika.

Popatrzę na niego z wyżyn człowieka zdrowego, który ma przed sobą wiele lat życia w szczęściu i dostatku jako utalentowany młody muzyk, przed którym świat stoi otworem.

Powiem mu: "Chciałeś mnie zniszczyć, upodlić, zastraszyć, a patrz, co ci zostało.

Miesiąc, dwa i zjedzą cię robaczki, mój drogi Dżery-słabery.

Całuj mnie w dupę i patrz, i myśl, że ja będę piękną kobietą, gdy ty zgnijesz niedługo".

Albo lepiej: "Tak mi cię żal, przyjacielu.

Rozmawiałem z lekarzem.

Niestety, nie dość, że sprawa jest beznadziejna, to jeszcze czeka cię śmierć w strasznych męczarniach, bo morfina szybko przestaje działać, a na twoją przypadłość nie ma lekarstwa.

Tak mi przykro, przyjacielu.

Więzienia się nie bałeś, a tymczasem,

".

Postać z okna wyrzuciła niedopałek, nie gasząc go, i odeszła w głąb korytarza.

Dojrzałem jakby kilka spadających na ziemię iskier, a równie dobrze mogła świecić przed moimi oczami nienawiść do Gerarda lub jarząca radość z klęski tego potwora.

Nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, jak definitywnie nastąpi zerwanie wszelkich nicizła

361.

w moim życiu - po jego śmierci.

Aż zachłystywałem sięgorzką radością i z uśmiechem spoglądałem na ponury gmach, w którym pewnieumierał Gerard.

Nagle istnienie tych murów wydało mi się całkowicieuzasadnione,doskonale potrzebne, bo tam miała szczeznąć najgorszazmora mojego dzieciństwa i dorastania.

Tyle zgryzot, upokorzeń i cierpień!

Jest sprawiedliwość!

Jest kara!

Jutroujrzę w jego oczach i smutek, i strach.

Będzie przerażonym małym pieskiem, szukającym pociechy i nadziei u wszystkich, aja;mu tę nadzieję odbiorę do końca!

Ach, co to będą za chwile!

Zemsta!

Rozkosz poniżenia ludzkiej glisty, która gnębiła mnie tak długo i tak mocno.

Oddychałem pełną piersią, rozsadzała mnie satysfakcja i nie mogłem powstrzymać się przedukładaniem kolejnychctyrad, jakiewygłoszę przed przerażonym skazańcem.

Nagle.

A może.

Czy to nie tak właśnie on się czuł,poniżającmnie, zmuszając do różnych świństw?

Gdynogą wpychał mniiegwałconą dziewczynę, upokarzał co chwila w czasie zabaw na podwórku, gdy roztaczał mi wizję rozrywanego w więzieniu na strzępyodbytu, a strach i bezradność w moich oczach oddawały mi podjego rozkazy.

Czyż tonie to samo uczucie?

Czyżnie napawam sięteraz nikczemnością?

Skąd u mnie.

Czyżbym przesiąkł.

Przecież ja taki nie jestem i nigdy nie byłem!

Nie?

To skąd u mnie taka złość na Elę?

Co onami zrobiła?

Dlaczego w Berlinie zachowałem się jak kretyn?

Podrażniono moją dumę?

Noto co z tego?

Jeszcze nie wiem o Gerardzie, jegostanie, o tym, zjakiego powodu znalazł się w szpitalu, a już czuję mściwą satysfakcję.

A może on ratował kogoś, tak jak wtedy, w parku, i odniósł przy tym poważne obrażenia?

A moje dzisiejsze zachowanie w stosunku do Ewy?

Czemu ja taki jestem?

Dlaczego zachowuję się, jakbynagle coś

362

mi się należało tylko ztego powodu, że wysmyknąłem się z więziennych krat, które nigdy by mi nie groziły, gdyby nie własna głupota?

A czy rzeczywiście migroziły?

Do domu doszedłem znów przygnębiony i zrezygnowany.

Wróciła już Paulina i zagoniła mnie do szykowania kolacji.

Też była naburmuszona.

Pewnie randka nie wyszła jej tak, jakzaplanowała.

:: - Paulinka, chcesz pogadać?

A jest o czym?

U mnie wszystko w porządku!
isj Pamiętasz tego Gerarda?
No, Przyborę, takiego rozrabiakę z kamienicy.
Gerarda.

- Pamiętam, pamiętam - odpowiedziała, trochę jakby nieobecna.

Jest w szpitalu.

Tu, koło nas.

Mhm.

Spotkałem przypadkowo panią Kłopot, tę pielęgniarkę.

Pamiętasz ją?

Co?

- Nie słuchasz?

Tomeczku, daj mi spokój.

Miałam w pracy młyn do szóstej, jest mianko w kasie, a teraz Maciek nie zjawił się na spotkanie.

A ja, głupia, czekałam, wydzwaniałam.

Kogo mam pamiętać?

- To ty znowu z tym Maćkiem?

Przecież mówiłaś.

- Ty jakiś dziwny jesteś.

Chodzę z Maćkiem już tyle lat, mamy się zaręczyć.

- A mówiłaś o jakimś innym chłopaku.

W górach go poznałaś.

;ZRzeszowa czy.

- Z Lublina.

Toprzeszłość.

Maciek wrócił do mnie.

Ja go.

kocham, wiesz?

A ten cham nawet nie zadzwonił, żenie może przyjść, chociaż się umówił.

- To dlaczego.

- A co ty myślisz - krzyknęła nagle, zła, z oczami pełnymi łez.

- Jakiś kocha, to można też czasami wybaczyć, zapomnieć, nie?

Zawsze go kochałam, tyle lat.

I co teraz mam zrobić?

Odkochać się?

363.

- Nie krzycz.

Przepraszam.

- Nawet nie zadzwonił, gnida.

A może coś mu się stało?

- Może.

- Lepiej nie.

Aco z tym Gerardem?

Coś pamiętam.

On ci zawsze dokuczał.

Toco z nim?

- W sumie nie wiem.

Tylko tyle, że jest w szpitalu.

No i rokowania kiepskie.

Tak mówiła ta Kłopot.

- Pamiętam ją.

Ładna kobieta z niej była.

I dobra.

- Jutro pójde się dowiedzieć, co z tym Gerardem.

Ona nie chciała powiedzieć, oco chodzi.

- A ta dziewczyna?

Ewa?

To nowa miłość?

- Etam.

-A jak było?

- Wcale nie było.

Cnotliwa.

Wyniosła się zaraz po tobie.

Wieszco?

Ona pomyślała, że taksję z tobą umówiłem, że jak ją przyprowadzę, to ty się dyskretnie wyniesiesz.

- Mogło tak wyglądać.

Ładna jest.

Do Eli niepodobna.

- Śliczna.

Ale nie ładniejsza od ciebie, siostrzyczko.

Zostaw tytego Maćka.

Co on jest wart?

- Możetak zrobię.

Ale najpierw muszę mudopiec!

Nie przepadałem za Maćkiem.

Kiedy przychodził do Pauliny, domagał się jej całkowitej uwagi.

Również wszelkie rozmowy w jego obecności musiały dotyczyć Maćka zainteresowań, Maćka spostrzeżeń, nowych skarpetek Maćka, wyjazdu Maćka nad morze lub chociaż przyjazdu z Łowicza brata Maćka.

A był Maciek za ledwie niezbytbyстрыm studentem anglistyki.

Uwielbiał wtrącać co chwila well, o key, ofcourse, o wright i, gdy byłem niecomłodszy, good boy, wizę boy.

Przynosił czasami z uczelni "Time'a" lub "Newsweeka" i od niechcienia kładł je gdzie popadło, by na odchochodnym głośno domagać się pomocy w poszukiwaniach "naukowych" pism.

I kogoś takiego moja ukochana siostrzyczka od wielu już lat darzyła względami. Pozwalała się zdradzać i wtedy płakała, rozpaczała, po czym przebaczała

364

mu, a on, niezmienny nawet najotę, znów rozsiadał się jejżyciu i żądał bezwzględnej uwagi.

Tobyło tak, jakbym miał dwie siostry:

jedną normalną, na co dzień, i zwariowaną imfomankę, gdybyłaz Maćkiem, wpatrzoną poddańczo w jego oczy, wkaźde skrzywienie brwi, w wygięcie kącika ust. Jedno muszę przyznać- był szaleńczo przystojny, urodą amanta filmowego, nie kliwego i słodkiego jak Valentino, ale coś między ironicznym Clarkiem Gable'em a posagowym Henrym Fondą.

Tylko, jakby to powiedzieć, rozum miał nie tak dobrze. zarysowany jak rysy.

Życie lubi toczyć się w dwóch rytmach.

Spokojne, powolne trwanie, godzina podobna do godziny, dzień do dnia.

Sen, woda, chleb, tramwaj, praca, cudzy ból, tramwaj, chleb, woda, łóżko, sen, chleb.

W takim rytmie przyspieszony na mój widok puls kochanka, gorączka warg, spijających oddech Tymoteusza, zatracenie się woddaniu, przyjmowaniu, spełnieniu - topozwalało każdego ranka wstawać, zachować zdrowie, siłę i poczucie sensu życia.

Bywają jednak w takim rytmie gwałtowne wychylenia, zawirowania.

Dzieje się wtedy wiele rzeczy naraz, przywalają nas niechciane zdarzenia i wtedy dopiero doceniamy spokój i pewność zwykłego, powolnego dnia.

Opiekując się Stasiem, odkryłam kiedyś rzecz zatrważającą.

Miałam popełnić odbytnicę.

Mogłam wymyślać jakieś choroby, chodzić do lekarza, ale od początku wiedziałam, co to jest.

Bez trudu wyciągnęłam z niego, jak i kiedy to się dzieje.

Obiecał mi, że nigdy więcej nie będzie chodzić do fabryki z Gerardem, ale miałam całkowitą pewność, że nie dotrzyma tego przyrzeczenia.

Mogłam znowu porozmawiać z jego rodzicami, apelować do ich sumienia, straszyć ich, grozić.

Zależało mi jednak tylko na tym, aby pomóc Stasiowi, pomóc mu jednoznacznie i zdecydowanie.

Renata Gryf po przejściu na emeryturę

365.

pracowała poza miastem w ośrodku dla dzieci upośledzonych.
Duży dom, park, specjalna szkoła, powroty dzieci do domu tylko na niedzielę albo w te dni wizyty rodziców.
Wymarzone warunki!
Trzeba tylko, aby uznano Stasia za upośledzonego w odpowiedni sposób.
Marian, mój dawny kochanek, miał znajomego psychologa.
Nie wahałam się odnowić z nim znajomości i wykorzystać słabość, jaką od pierwszego chwili zauważyłam w jego spojrzeniu.
Dobrze "urodzona" żona nie spełniała widać wszystkich jego zachcianek.
Nie nagrzewała kuchni!
Ja też nie zamierzałam, ale co innego zachcianki spełniać, co innego dawać tylko nadzieję.
Skontaktował mnie ze swym znajomym i wymógł na nim odpowiadającą mi diagnozę.
Z uśmiechem dziękowałam im obu, do Mariana obiecałam zadzwonić i miałam nawet sporą miłą satysfakcję z świadomości, jakie zamiary i marzenia wiąże z moim telefonem.
Jeszcze kilka dni trwało, zanim przekonałam do mojego pomysłu państwa Przypiórków.
Niewielki - aż wstyd, jak nikły - był ich opór przed oddaniem jedyne dziecko do zamkniętego ośrodka.
Gdybym nie miała pewności, że działam w interesie Stasia.
Ale nawet przez tych kilkadziesiąt dni załatwiania sprawy musiałam wyrwać chłopca spod noża.
Wróciłam kiedyś godzinę wcześniej niż zazwyczaj.
Stasia nigdzie nie było, poszłam więc na podwórko poprosić dzieci, czy go gdzieś nie widziały.
"Tak, pani Chłopak, Stasiu poszedł z Gerardem do fabryki".
Biegłam, gnana przeraźliwym poczuciem spóźnienia, bezradności.
Tyle pustych baraków, zrujnowanych pomieszczeń.
Jak mam ich znaleźć?
Nagle widzę zaglądnącego do wnętrza jednej z hal chłopca z naszego podwórka, jednego z bandy Gerarda.
Zauważył mnie, usłyszał.
Pewnie wystawiono go na czaty.
Uciekł.
Wpadam do hali.
Na jej drugim końcu paniczny ruch, wyskakujący przez okno mężczyzna i dwaj chłopcy.
Na środku podłogi, na brudnym kocu, leży na brzuchu zapłakany Stasio.
Spodnie opuszczone do kolan, pośladki lekko pokrwawione, twarz wciśnięta w dłoń.
Tulę go, uspokajam, szepczę słowa pocieszenia, mówię o czekających w domu leniwych pierogach, jego ulubionym
366
daniu.
On płacze, chlipie, rozpacza i nagle słyszę, zdumiona, na czym polega jego nieszczęście.
Miał dostać od Gerarda piłkę, prawdziwą futbolówkę, byleby tylko przyszedł dzisiaj i jutro do fabryki.
A teraz, zachłystywał się, Gerard mu nie da.
piłki!
Zgłosiłam zdarzenie na milicję, ale czułam, że mnie lekceważą nic w tej sprawie nie zrobią.
Tymoteuszowi nie chciałam się zwierzać.
Stasio nie był jego ulubieńcem, wielokrotnie nam przeszkadzał, gdy byliśmy sami, czasami nie opuszczał nas po przyjściu Tymoteusza, zazdrośnie siedział na krześle i obserwował intruza.

Do oddania go pod opiekę Gryfowej został mi wtedy raptem tydzień, postanowiłam zatem zabierać chłopca z sobą do szpitala.

Bawił się tam z chorymi dziećmi.

Miał dla nich bardzo wiele cierpliwości, upajał się ich podziwem dla niego.

Gdy wreszcie razem z panią Przypiórek odwiozłyśmy Stasia do ośrodka, głęboko odetchnęłam i miałam nadzieję na powrót spokojnego, usatkwianego rytmu na długi, długi czas.

Tak jak w czasie wojny mówiła moja ciocia Małgorzata: "Jak ma się co zdarzyć, Stasiuś, to lepiej, żeby się nie zdarzało, bo tylko samo złodmianą być może".

ucze, ja, duszoduszo, iedna pańi, hfali, bojakco, zo, pacze,
topa, mientam, izafszę, pamientam jak, spisańem, jes, ize, szyt, sfujmam boto ua, tfe, aleuczę
šepatszeć nainyh, wićeć kiedyšę, zuoszou.

še, aftedy, lepiei ņerobićcozłōi, boja, ņe wiećau, co namņe tesz zuoszou, iżery,
mņebiję, itata, bose suoŝi jakropie czegoņe, lubi, tojusz, še nauczyeem, itak, ņerobię, ito od
razsu ņkt mņę ņe bijębiję, anawet, jaczasemibiję czaruŝ, a, jakmizabierauo a puŝņej,
goņebiję bohoć, is ańelkoou.

ajakona ņehce, tosemnou, hoći i;:?

Niedługo później zrozumiałam, dlaczego tak łatwo rodzice Stasia zgodzili się na umieszczenie go w zakładzie zamkniętym.

Odwiedził go tam ze dwa razy, po czym, z mistyczną radością na twarzach, oznajmili mi, że teraz dopiero w pełni mogą poświęcić się.

Bogu.

367.

I wyjechali, nie zostawiając ani adresu, ani telefonu, ani żadnych wskazówek, co robić, gdyby z ich synem działo się coś niedobrego.

Tymoteusz, może nekany wyrzutami sumienia, często zawoził mnie w tygodniu po szpitalu do Stasia.

Sam zostawał co prawda w samochodzie albo szedł do lasu na spacer ("Po co malucha mam stresować!

"), ja zaś bawiłam się z nim, nareszcie szczęśliwym i bezpiecznym, otoczonym przez dzieci słabsze od niego, zabiegające o zabawę z nim, wpatrzone w "dużego Stasia".

Szczęście!

Jakie dziwne możemy być oblicza.

Jak różne twarze!

Któż ma czelność powiedzieć: Ja wiem, co dla kogo dobre, ja wiem, co jest słuszne.

Tylko.

Ach, lepiej takich ludzi w ogóle nienazywać!

to, pani mówi co jak będę pisał, ona, pszeżysza poprawi iniszszyć, czaruśowi neda, notoja, pisze azaczne cotobyuo, zmamo stato, boi hńewić auem dawnodawno toi, pisać nema, oczym, boto tylko.

ćoća pszyhoći, iten, tak ipan wysoki wysoki, amamańe itata, netaesz, coja fcałe nę, tenskńe bood klenczańiato jeszse, bolom, mńekolana co, coca nęwie, boona nęklencza, iten wysoki wysoki pan tesz nęklencza, u ajego nę lubię, boon, tak paczypaczy na mnę ina, coce teszśle jak czaruśpszy, naobieće, jak jęskurczepjeczzone, iludo dla mnę, adla czaruśa biauepierwsi, toten wysoki pan, tak patzsy aćoća, do, nęgo muwi, tymotesz uśmiejńj, sebo ćećak seboi, jatesz jąkną czaruśa, syknę ipryhne to tylko, hlipie ijusz nępaczyalejak, onma, ludo to jajem sfoje mienso, inę prysze, jednak, to pisane, jes fajowe ibendem duszo, pisau ipisa.

Rozdział zółwia.

Ubierałem się wolno, ostrożnie.

Również powoli jadłem śniadanie.

Sam, bo Maciek zadzwonił wczoraj późnym wieczorem i Paulina już od rana pobięła spotkanie z nim.

Gryząc czerstwy chleb z żółtym serem i popijając to zieloną herbatą, bo ostatniapaczka madrasu skończyła się wczoraj, a w kredensie znalazłem tylko jaśminową, zastanawiałem się, po co mam iść do Gerarda.

Wciąż się go bałem.

Wczorajsze rojenia - o wyrafinowanej słownej zemście, grze słów, uśmiechu wyższości człowieka wolnego nad skazańcem, już nie wydawały mi się atrakcyjne.

Znając Gerarda, przypominając sobie jego cynizm, okrucieństwo, bezwzględność - ale przecież nie głupotę!

- nie wyobrażałem sobie pogwałcenia takimi zagrywkami.

Wypluwając poblakłe mięsiste fusy, przypomniałem sobie, jak kilka dni po moich dziesiątych urodzinach graliśmy w butelkę z Cerkwinem, Kurą, Marusią i Kamilką w fabryce.

Był nami też Stasio Przypiórek, ale tylko siedział pod ścianą i pilnie nas obserwował.

Inicjatorką zabawy była Kamilka.

Nie wiem, jak namówiła Marusię, która od incydentu z lizką była bardzo nieśmiała i niechętnie przychodziła do fabryki.

Wydaje mi się, że obie z Kamilką podkochiwały się w Kurze, dwunastoletnim wtedy chłopaku, wyrośniętym, czarnowłosym.

A my dwaj służyliśmy jako przyzwolitki.

Stasio zaś, jak zwykle, po prostu się przypalał.

Tak to teraz widzę, bo gdy butelkawskażywała mnie bądź Wiesia, dziewczyny całowały nas w policzek albo tylko dotykały nosem, z Kurą zaś rozmawiały

369.

o "języczku", chichotały przed każdym cmoknięciem z nim, krygowały się i czerwieniły.

- Ale ty masz już bicepsy- chwaliła Kurę Kamilka.

, - Trenuję do trzydziestu pompek dziennie.

A tu, zobacz - i napiął mięśnie uda.

- Coś ty - zawstydzila się Marusia, której podsunęła naprężoną nogę.

- Jak żelazo, zobacz!

- Noo!

- Kamilka przechyliła się przez nogi koleżanki i dotknęła spodni chłopaka.

- Jak żelazo, jak żelazo, ale żelazo - zaczął powtarzać Stasio, klepiąc się po nogach.

- Jak się nie zamkniesz, to cię wyrzucimy - powiedziałem doniego w nagłej złości, bo swoimi mięśniami nie miałem szans rywalizować z Kurą.

- Teraz ja kręcę - złapała butelkę Kamilka.

- O, wyszło na ciebie.

- Oszukujesz- zaprotestował Cerkwin.

- Ty w ogóle kręcisz, tylko trochę popychasz i zawsze wychodzina Kurę.

A ja się cały czas ałuję z Babolem.

- Jak ci się nie podoba, to zjeżdżaj!

- Nie podoba, nie podoba, Cerkwin zjeżdża, Cerkwin zjeżdża.

- Jak cię dorwę, ty przygłupie, to popamiętasz - zaperzył się Wiesiek.

Ale bicie Stasia nie należało do przyjemności, bo tylko kulił głowę pokornie przyjmował kolejne ciosy.

Cerkwin wrócił więc zaraz do naszego kółka, a Stasio podniósł ostrożnie łepkę, rozejrzał się i uroczo nas uśmiechnął.

- Co to za dureń!

- zrywał się Wiesiek, machając naniego ręką.

- Szkoda pięści na wariata.

- Twoja kolej - Marusia podawała butelkę, gdy w okniemignęły mitwarze Gerarda i Czapy, a po chwili obaj weszli do zajętego przez nas pomieszczenia.

370

W tych latach pozycja Gerarda jako podwórkowego tyrana była już ustalona.

Czapa był jego prawą ręką, a my wszyscy, mniej lub bardziej, podlizywaliśmy mu się ze strachu.

- Ale zabawa.

Siadaj, Czapa.

Będziemy się lizać.

Daj buzi, Cerkwiaczku.

Zrobił w kierunku Wieśka tak śmieszny ryjek, że wszyscyśmy szczerze zarechotali.

- Buzi, buzi, buzi - biegał koło nas Stasio, którego obecność Gerarda zawsze ośmielała do wyjścia ukrycia i przyłączenia się do zabawy.

Działo się tak aż do czasu, gdy Gerard lub Czapa nie huknął na niego albo nieprzyłożył mu w głowę.

Wtedy chłopiec znów wracał na kilkanaście minut na poprzednie miejsce i zostawał tam, póki nie zapomni o oskarzeniu.

- Ty to się możesz we własną dupę pocałować!

- Czapa nie grzeszył subtelną.

- Cicho siedź - usadził go Gerard.

- Twego ryłateż nikt obśliniał nie będzie.

- Co?

- Weź tego przygłupa i wyprowadź stąd.

A potem pilnuj, żeby niewracał.

- Niech go Babolprzegoni.

-Ja do ciebie mówię, Czapa, no nie?

Spierdalaj razem z nim.

Tylko żeby mi to pomietło wrzasku nie robiło.

Dawajcie butelkę.

- Ja już muszę.

- Marusia zaczęła się podnosić i poprawiać sukienkę.

- No, coś ty - z uroczym uśmiechem zatrzymał ją Gerard.

- Tylko sobie pogramy.

Cykasz się?

- Nie - Marusia, złapana za przegub, usiadła z powrotem.

-To gramy.

Kto kręci?

Babol - popatrzył na butelkę, którą wciąż trzymałem w ręce - twoja kolej.

Wyszła Kurę i sztywno dotknęliśmy się policzkami.

Atmosfera była napięta.

Nikt z chłopców nie ufał Gerardowi.

Zostaliśmy tylko zestrachu przed nim.

Na podwórku często zaczepiał

371.

również dziewczyny, klepał je po pośladkach, czasami szczypał, zadzierał sukienki. Nie był jedynym, który torobił.

Ale w kontaktach z dziewczynami był jeszcze najnormalniejszy.

O wiele bardziej zależało mu na władzy i posłuchu wśród chłopców, dla nich też był bardziej bezwzględny.

Może dlatego Kamilka wcale nie protestowała przed kontynuowaniem zabawy, a pór Marusi był pozorny, bo od incydentu z liską minęło dużo czasu i ona pewnie już tak bardzo tego nie pamiętała.

Po kilku kolejkach rozruszaliśmy się, dziewczęta znów chichotały, szeptały do siebie. Gerard był w świetnym humorze, a jego docinki złośliwsze i łagodniejsze niż zwykle. Dopiero gdy zauważył, że dziewczyny chętniej całują się z Kurą niż z nim, trochę się zasępnął, a uśmiech często zniknął z jego twarzy.

- O, znowu wyszło na Kurę - śmiała się zadowolona Kamilka.

- Ty, Kura, jakiś magnes masz w kieszeni?

- Coś ty.

- No dobra, to teraz tak będziemy kręcić, że jak wyjdzie chłopakowi na chłopaka, nie, to dupniak zamiast całusa.

- A po co?

- zainteresowała się Kamilka.

- Bo chłopak nie powinien z chłopakiem.

- To ja nie gram.

- Wcale nie miałem ochoty nikogo bić ani tym bardziej dostać w tyłek od Gerarda.

Nieraz już siadałem z sykiem przez trzy dni po jego ciosach.

- Babo! Babolem byłeś, jesteś i zostaniesz.

Spierdalaj.

Albo nie.

Zwolnij Czape, no nie, niech się też zabawi.

- Ja też zmiatam - Wiesio podniósł się, ale Gerard złapał go za ramię.

- Czeka! Cerkwin.

Tak nie można.

Zagramy trzy kolejki, no nie, potem pójdiesz.

A ty, pchlarzu - popatrz na mnie - co tu jeszcze robisz?

Po Czape, ale już.

Wyszedłem.

Godność - to dobre słowo - alenię miałem poczucia jej utraty.

Wiele razy zauważyłem, że od godności ważniejszy jest dla mnie cały

372

tyłek.

A z Gerardem tak było - albo mu się człowiek podporządkował, albo obrywał.

To dotyczyło wszystkich, tylko że niektórzy częściej obrywali.

Poszedłem szukać Czapy i Stasia, nigdzie jednak ich nie było widać.

Wróciłem pod okno hali i przyglądałem się z ukrycia rozwojowi wydarzeń.

Właśnie Gerard nadstawił się Cerkwinowi.

Wiesio uderzył lekko, na co Gerard odwrócił się do niego, złapał go za gardło i powiedział:

- Co to, siły nie masz?

Ja cię nie oszczędzę, jak wyjdzie na mnie.

Dawaj jeszcze raz - i nadstawił swój suchy zadek powtórnie.

Wiesio przyłożył mocniej, i to Gerarda zadowolilo.

Polował na Kure, ale jak na złość teraz wciąż trafiał na dziewczyny, którym ta rywalizacja wyraźnie zaczynała się podobać.

Dawno już minęły trzy kolejki, a Cerkwin jeszcze nie odchodził.

Zapomniał chyba.

Dostał raz dupniaka od Gerarda, lecz nawet nie jęknął.

Patrząc na ich dobrą zabawę, zaczynałem żałować, że się wycofałem.

Wreszcie wstał Kura i powiedział:

- Ja muszę zmiatać.

Z bratem się umówiłem.

Cześć.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Gerard.

- Karniaka na odchodnym.

- Odczep się, Dżery.

- Tak nie odejdziesz.

- A co?

Zabronisz mi?

- Tchórzysz.

Pietra masz.

- Daj mi spokój.

- A tak byś umiał?

- Gerard wyciągnął jakiś mały ostry przedmiot i przystawił go sobie do przedramienia.

- Dżery, zostaw to - krzyknęła Kamilka, a Marusia bez słowa odwróciła się i wybiegła na zewnątrz.

Wyciągałem szyję, aby zobaczyć, co Gerard robi ze swoją ręką.

Cerkwin, Kura i Kamilka, pochylając się nad Gerardem, zasłonili mi widok.

Dobiegło mnie westchnięcie chłopców i pisk dziewczyny.

- Ty jesteś porąbany - głośno powiedział Kura.

- Ja stąd zjeżdżam.

373.

- Tchórzysz, nie potrafisz tak!
Mięczak.

- A, daj mi spokój.

Po co mam się ciąć?

- Patrz, Kamilka, to tchórz, no nie?

,- Mam wnosie.

Ale Gerard nie pozwolił mu dokończyć i rzucił się na niego, przewrócił na ziemię i zaczął okładać pięściami.

Tylko Kamilka broniła Kury.

Ja od razu zrobiłem w tył zwrot, taksamo Cerkwini.

Niby wedwóch dalibyśmy radę odciągnąć Gerarda od Kury, ale później.

Myślałem o swojej skórze.

W biegu mineliśmy Czapę, który nadchodził od strony podwórka z butelką oranżady. Obeszliśmy go dużym łukiem i każdy z nas pomknął do swojego domu.

Wyplułem narękę kolejny kawałek jaśminu.

Przyglądałem się jego miękkiej, porowatej strukturze.

Tak samo miękki i podatny na skaleczenie jest mój honor.

Jakto mówił Kasprzycki: honor ważny, ale ważniejszy człowiek.

A w takiej sytuacji jak wtedy?

Co było ważniejsze?

Honorowe bronienie Kury czy ucieczka i ratowanie własnej osoby?

Zdałem sobie sprawę, że dzisiaj postąpiłbym dokładnie taksamo i wezbrała we mnie pogarda dla siebie.

Ach, czemuż ja jestem takim Babolem?

Zbliżała się dwunasta.

Iść czy nie iść?

A copowiem Ewie, jeżeli nie pójdę?

Przecież w szpitalu nic mi nie zrobi.

Czemu ja się tak boję?

Dwudziestka karku i wciąż zajęczę spodnie.

A właśnie, że pójdę.

Będę udawał współczucie.

Zresztą.

Zacząłem się ubierać.

Z ciężkim sercem, pełen obaw, ruszyłem w kierunku szpitala.

imosze, ńefszysko, japisze tylko, bo jak czaruś, zańelką pošli tonę, napisze co wićau, bo ańelka, ze, mnom ńe sce, a szczaruśem hoći hoći, aczaruś, fajńeiszy iemu, wszysko jedno ize, mnom tesz, hoći hoći aletak, patsze, naćoće ipatsze onama, brusdybrus, dyna buśi, ajak še, uśmieha tońema, taksamo, tapani coto muwi, jak pisa,ć idoda. wać, i, odiemowa.

ć

374

cołumie ajak czeba, ćelić, tonę tumie, i jesszeczego, ś ńełumie, aledzewo, jak mam, toja ruszne, zeczyłumie, ipokazuje ćoći to nawet, ten, panwysoki wysoki krenći.

i smoka, ajak ptakazdzewa wycioeem a puśńej, nasz, domtylko, konninuf ńe,

i, szczaruśem, ańelkou tona, nawet kleiua, i śmiauacomy, tak ńe umijemy, a coca, še ńe śmiaua,

iten dom, zabraua, aja, wyćouem jesszce ańelke, iczaruśa, jak poszliposzli, razsem nawet,

ańelkatotaka, sama tam, byua.

bo pierśi2, idupa, isńom czaruś nafieszhu.

ijak, zobaczyua tokszyczaua, grysua fdrefno imńe, fpale.
c grysua, aczaruś, še śmiauiśmiau iańelka powiećaua, co, sńim, ńe bece, hoćiua idalej,
tohoćiua, jusz.
zemnom, aczaruś puakaupuakau tolep.
iej mosze ńe, bente, dawaaustarszei, pani boico, tu porprawijać, jak, wszyskojasne tolepiei
ćoći, kiedy, pokasze co umie, tylko ńepanu, wysoki.
emutymoteszowi

Jak to czasami bywa, bo nieszczęścia podobno chodzą parami, dwie na raz sprawy, a każda dramatyczna i przykra, zburzyły to prawietrzyletnie statusquo.

Najpierw poznałam Marcysię Perisenthoff, starszą córkę Tymoteusza, przywiezioną do naszego szpitala ze zwichniętą podczas upadku z konia kostką, a po zdjęciu rentgenowskim pozostawioną na dłużej z bardzo poważnego powodu.

Rak kości, zmora potworna, trudna w leczeniu, rzadko dająca się pokonać.
Jednak dziewczynka miała niewiarygodne szczęście, bo zmiany wykryto bardzo wcześnie.
Tylko jedną kość śródstopia trzeba było wyluskać.
Była spora szansa, że Marcysia nie tylko nie straci stopy, ale i będzie mogła normalnie chodzić.

Powiedziałam lekarzowi, że znam rodzinę dziecka i z jego polecenia miałam ich powiadomić konieczności natychmiastowego przyjazdu do szpitala.

Kiedy zadzwoniłam do domu Tymoteusza, pierwszy raz rozmawiałam z jego żoną.

Miły głos, pełen zaniepokojenia i chwilę przerażenia, gdy wyjaśniłam, o co chodzi.

Przyjechała po półgodzinie, ja jednak zrezygnowałam z dalszych kontaktów z nią.

Tymoteusz na pewno nie byłby z naszego poznania się zadowolony.

Operację wyznaczono w bardzo krótkim terminie - nie było na co czekać.

Matka nie chciała dziecka

opuścić ani na chwilę, dopiero Tymoteusz ją przekonał, że w szpitalu zostać nie może. Nie rozmawiałam z nim tego dnia ani przez kilka następných, gdy oboje z żoną przychodzili do córki, potem do ordynatora, siedzieli w poczekalni i gryźli ze zdenerwowania palce. Również nie ja zaniósłam im wiadomość o prawdopodobnie całkowitym sukcesie operacji i o potrzebie zachowania umiaru w rozpaczy i przerażeniu.

Była nadzieja na całkowite wyleczenie.

Nie należało więc dziewczynki straszyć i uświadamiać za bardzo, co jej grozi.

Jeszcze przed jej operacją, tym razem sama, wybrałam się do Stasia.

Pojechałam pchnięta jakimś dziwnym impulsem, niepokojem, który nie pozwolił mi po całonocnym dyżurze odpocząć, tylko kazał trząść się w tramwaju, a gdy na jednym z przystanków ujrzałam rzecz zaskakującą, czyli kilka taksówek czekających na postoju, to jeszcze musiał mnie, abym wysiadła i resztę drogi odbyłam taryfą, wsłuchana w bzdury, jakie wygadywał jej kierowca, wyłysiała satyr, że wszystkich sił usiłujący mnie emablować.

Już od bramy, otwartej na oścież, wiało złymi wieściami.

Gdy z pospiesznie bijącym sercem dobiegłam pod dom, zastałam tam tłum wychowanków i personeluciasno otaczający czarną nyskę.

Kogoś jak worek wnoszono do środka samochodu, a wysunięta spodciemnego kocareka, zauważona przelotnie, dyndająca biało i złowieszczą, kazała mi się zatrzymać kilka metrów od całej grupy.

Najgorsze przecucia chwyciły mnie za gardło!

aftedy, tońik nie wiećau ce, czaruś poszedu, ikiedybogo naśńadańuńe, byuo alebo, on
śesafsze spuśnauspuśna, nońe safsze tośe, nńik nie martfju, szego nńema ijaśe, nńemartfju
boañelka semnouzaras, poszua zadom, donaszei komurki iak śe, rosebraua toiaśerosebra, u, em iej
wsaćić hcaem, takiak safsze, aona iak, ćikaćika mnę mńentośia, iw l buśe
sego, wsacauaimiency 2 pierśi szebyia, ruszauruszau aiakposzuo, to 2 ras hcaua, szebytak
iakczaruś mńe robiu iklenczau, a, nakolanah aiakia, wsaćiu tona, pszuh uapduaitośe wierćia
imuwia, szeiusz, nńescetak alemńe, dopsze byuo ia, ćekafby, u

376

iakto iest, toiom czymauczymau, em mocnomocno ten 2 ras
aszsam, skończytoañelka, mńe potempo, tem poudrapywaua pobuśi, aiakia śe śmiau
tohcauakopa, ćkopać mnę toia, iom jeszszce"!
ras napszuh, pouoszy, u i 2 rasiei, wsaćiualejusz, nńetamtona mńei, jusz
wierćiaśe jńepoudarpywau, ła mńepotem, -aiakmyjeszelisobielszeli rasem
tokszyk, isuyszeli, icośoczaruś, u, suyszeli tośeubral, imy ipobi, ekli dolasku, sinynymi atam
nadzewie, wiśauwiśau czaruśiśetak, huśtauhuśta, u acauy byu, śinyśiny iakślifkarenklota, izaras
pszyiehau, samohut inaipierf, czerwony pszyieha, u izaras odiehau
bezczaruśa, apote, mpszyiehau, cz, arnysamo, hut iczaruśa zabrauzabra, u

Chwilę trwało, zanim fala paniki opadła, zanim mogłam rozejrzeć się po otaczających nyskę ludziach.

Wtedy, już spokojna, od razu zobaczyłam Stasia.

Stał tuż koło samochodu, w jego oczach były i przerażenie, i jakaś dziwna niezdrowa ciekawość.

Obok niego stała, w rozchełstany ubraniu, dziewczyna o wulgarnej urodzie.

Stasio patrzył nawnoszone ciało, a co chwila zerkał na nią; kiedy to robił, ona, widząc jego spojrzenia, szturchała go w bok i głową pokazywała, by patrzył nazbiegowisko wokół trupa. Stasio, jak toon, potrafił tylko przez chwilę na tym się skupić, i cała pantomima powtarzała się kolejny raz.

Nie umiałam tej sceny zrozumieć, ale też na głębsze rozważania nie miałam czasu, bo gdy Stasio w końcu mnie zauważył, natychmiast podbiegł, i, niemal się zachłystując, zaczął

nieskładnie opowiadać, jak to Czarus nie przyszedł na śniadanie, jak po śniadaniu poszli we dwoje z Anielką rzeźbić figurki w komórce, jak usłyszeli krzyki, i że to przecieźnie jego wina, bo skąd miał wiedzieć, że Czarus zamiast jeść śniadanie, będzie się "huśtał na drzewie".

Takiego zwrotu użył.

W tej samej chwili podmuch wiatru zakotłował we wnętrzu nyski, zwiął koc z ciała i zobaczyłam sine pręgi na szyi nieboszczyka.

To faktycznie był ten wielki, ponury chłopak, którego ostatnio tak często widywałam z moim pupilkiem.

"Ależ, Stasiu, co się stało?"

- pytałam odruchowo, bez nadziei na jakąś mądrą odpowiedź.

- Dlaczego twój kolega to zrobił?"

". I drugi raz usłyszałam o śniadaniu, i że potem, w tej komórce to oni tylko robili

figurki z drewna, a jak zaczęto krzyżeć, to pobiegli od razu, ale że już nie mogli zrobić, bo Czarus się huśtał na całego!

"I ja już, ciociu, nie chcę wcale tu być, bo ja się nie chcę huśtać!"

Złapał mnie za rękę, ścisnął.

Pewnie wtedy po raz pierwszy poczułam, że nie jest już chłopcem, że ma się niemal dorosłego mężczyzny, chociaż brakowało mu jeszcze kilku miesięcy do siedemnastki.

Tak jak nie było proste umieszczenie Stasia w domu specjalnej opieki, tak i nad zabranie go stamtąd musiałam się trochę natrudzić.

Robiłam to z mieszanymi uczuciami, bo chociaż sytuacja na podwórku moim bloku była teraz zupełnie inna - odpółtora roku nie widywałam Gerarda, a chodząły słuchy, że trafił do więzienia lub poprawczaka to nie miałam pomysłu, co ze Stasiem zrobić.

Ktoś w pracy podsunął mi, aby poprosić, czy nie przyjęto by go do szkoły dla dzieci opóźnionych w rozwoju.

W tej szkole, chyba po raz pierwszy od mojej przeprowadzki do wielkiego miasta, wszystko okazało się możliwe i do zapisania Stasia;

nie potrzebowałam ani żadnych znajomych, ani łapówek.

Stasio zaczął więc chodzić do szkoły.

Musiał sam dojeżdżać kilka przystanków tramwajem, czego się początkowo obawiałam. Jednak szybko nauczyłam się tej odrobiny samodzielności, a posiadanie migawki było dla niego powodem do dumy - nawet przypadkowym pasażerom w tramwaju chwalił się nią, a w reakcjach na jej widok potrafił długo i szczegółowo opowiadać przy kolacji.

I znowu zastanawiałam się nad wystąpieniem do sądu o pozbawienie państwa Przypiórków praw rodzicielskich.

Podstawa byłaby prosta - ponad dwa lata nie widział dziecka, nie interesował się nim; nikt nie wiedział, gdzie przebywają w tej chwili.

Podstawa prosta, ale sprawa, jak mi powiedziano, mogłaby się ciągnąć latami.

Sugerowano mi, że szybciej Staś osiągnie pełnoletniość, i że może w tej sytuacji lepiej byłoby dla nas obojga nie wszczynać żadnych procedur, bo jeszcze mogłyby one zaowocować oddaniem chłopca do sierocińca.

Mieszkał więc u mnie nieoficjalnie, bez zameldowania, ale jakoś jego obecność nikogo z sąsiadów nie dziwiła - od dawna wiedzieli, że

378

to ja się nim opiekuję, nie rodzice - i nikomu do głowy nie przyszło niepokoić tym faktem milicji.

Wyglądała to, że i sprawa Marcysi idzie ku lepszemu.

W kilka dni po operacji wróciła do domu.

Tu jednak zaczęły się kłopoty, bo żona Tymoteusza nie chciała dziewczynki posłać do szkoły, tylko trzymała ją w domu, awręcz zachęcała do leżenia w łóżku.

Tymoteusz, jak to on, wylewał przedemną żal, ale żonie niepotrafił się przeciwstawić.

Nawet gdy od operacji minął cały miesiąc, a kontrolna wizyta w szpitalu wypadła pomyślnie, to i tak Marcysia nie wróciła jeszcze do szkoły, a na argument, że dziecko straci rok, matka zorganizowała dla niej korepetycje.

Staś w domu po powrocie ze szkoły zajmował się zazwyczaj sobą.

Kupiłam mu ernerowski zestaw "Mały stolarz" icałymi godzinami potrafił bawić się, wycinając różne figurki.

O szkole zawsze mówił ogólnikowo, że wszystko w porządku, i chodził tam raczej chętnie. W samej szkole też się nikt na niego nie skarżył ani też zbyt go nie chwalił.

Tymoteusz niemógł nieteraz odwiedzać tak swobodnie jak dotychczas, ale i tak znaleźliśmy sposób, aby się spotykać: przyjeżdżałw te dni, kiedy ja nie pracowałam od rana, a Stasio byłw szkole.

Załatwił też dla mnie, swoimi prawniczo-partyjnymi kanałami, telefon, aby móc przed każdą wizytą upewnić się, czy "droga wolna".

Mimo to kilka razy zdarzyło się tak, że te wizyty przeciągnęły się niecoi Staśpo powrocie ze szkoły zastawałnas razem.

Oboje jednakbyliśmy pewnijego całkowitej naiwności; zdawało nam się zupełnie niemożliwe, abykojarzył co i jak.

Tymoteusz trochę siężżymał na te wszystkie niewygody, narzekał, że tak rzadko się widujemy, ale przedobrze ponad rok nic nie naruszyło naszego nowego układu.

Dozorca w portierni niby powiedział mi, jakiś na oddział D, aleprawie zaraz zablądziłem.

Były wprawdzie kierunkowskazy, nie na

wszystkich jednak do nazw oddziałów poddawano litery.

Razem z B skojarzone nowotwory, kierując się zatem wyczuciem i wczorajszymi przypuszczeniami, powędrowałem tam.

Przecież mogłem źle usłyszeć od pani Kłopot, bo czyż B i D nie są do siebie podobne? Ponadto, tak na logikę, jak trafię na B, to i na D stamtąd nie powinno być, w zgodzie z alfabetem, za daleko.

Lekko zasapany, szedłem po schodach wraz z kilkorgiem odwiedzających.

Drzwi na oddział B stały otworem.

Podpierała je młoda dziewczyna.

Jej twarz była wprost przeraźliwie biała.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ona nie ma ani rzęs, ani brwi, a na wypukłym czole kolorowa chustka zasłania

łysinę.

Na szyi zaś, owiniętej jedwabną apaszką, dojrzałem kilka żółtawych plam.

Wyglądała strasznie, wpatrzona ponad głowami nadchodzących schodami ludzi w prostokąt okna, za którym odwilż topiła pierwszy śnieg.

Cóż za myśli chodzą po głowie kogoś, kto może nie doczekać wiosny?

Czy więcej w tym żalu, czy strachu?

A może jednak nadziei?

Jej rysy coś mi przypominały.

Spotkałam niewzrokiem i natychmiast się ożywiła, a na smutną dotychczas twarz wypełził pełen niedowierzania radosny uśmiech:

- Tomek!

- zamachała do mnie ręką.

Zaskoczony i przerażony, poznałem ją.

To była Marcysia Perisenthoff!

Todzięki niej tak młodo przestałem być prawiczką!

Jakże przerażającą wyniszczyła ją choroba!

- Tomek, oczom nie wierzę!

Skąd ty tutaj?

Kto ci powiedział?

Dlaczego przyszedłeś?

- Cześć, Marcysiu.

Podszedłem, podałem jej rękę, i z trudem zmusiłem się, aby ją pocałować policzek. Ona przygłębła do mnie tym odruchowym gorącym, jakiego pamiętałem z naszych schadzek.

Podczas tego uścisku intensywnie szukałem w myślach jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia moich odwiedzin, bo nie chciałem jej ranić prawdą o zabłądzeniu; nie potrafiłem też, przytulając ją, przemóc

380

w sobiewstrętu, chociaż uczciwy człowiek powinien przede wszystkim współczuć.

- Byłeś u nas?

Mama ci powiedziała?

- Nie byłem u was, ale spotkałem twoją mamę na mieście.

Tak się zgadało, więc po starej znajomości. Wpadłem.

- Och, jaki jesteś kochany!

Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Małko.

Aleja tak strasznie wyglądam!

Tylko oczymiała wciąż piękne.
Niebieskie, ogromne.
Gdy trysnęłyż nich łzy, musiałem znowu ją przytulić i pogłaskać po plecach, bobałem się dotknąć kolorowej chustki na głowie.
- Nie zaprowadzę cię do sali, bo tam wszystkie.
wszystkie wyglądamy tak samo.
Chodź podokno.
Czy ty wiesz, ile ja teraz czas spędzam przy różnych oknach?
Są dla mnie ciekawsze niż kiedyś jeden film.
Nawet jak na dworze nic się nie dzieje.
Ale powiedz, co u ciebie?
Ileż to lat się nie widzieliśmy?
- No właśnie?
Cztery, pięć?
- Ja wtedy skończyłam właśnie szesnaście.
Teraz mam dwadzieścia.
Uwierzyłybyś?
Mam dwadzieścia lat i wyglądam jak.
jak.
- i z oczu znowu zaczęło kapać.
- Marcysiu, przecież to przejściowe, po kuracji tylko.
- Przejściowe.
Mama ci nie mówiła, że to.
wznowa?
- Nie mówiła, ale przecież.
lekarze.
tyle teraz.
i w ogóle.
- Kiedy spotkaliśmy się, kiedy byliśmy, no wiesz, razem, wtedy ona pierwszy raz dała znać o sobie.
- Kto dał znać?
Nierozumiem.
- Moja choroba.
Rak kości.
Dlatego wtedy prawie nie chodziłam.
Wycięli mi kawałek stopy.
Nawet tak bardzo nie bolało, tylko ten strach.
Tak się bałam, wtedy tak się bałam, i ty zacząłeś.
przychodzić.
Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale byłam gotowa zrobić wszystko, abyś tylko przychodził dalej.
Pomagałeś mi, kiedy byłeś, kiedy byliśmy.
Dawałeś mi.
Na te krótkie chwile zapomniałam.
Do dziś pamiętam każdy.
I ten smutek, jak w końcu przestałeś.
381.

przychodzić.

- Tym razem nie zapłakała, a w jej wzroku nie było wcale wyrzutu, tylko daleki, jakby zastygły już żal.

- Marcysiu, ja.

Ta Natałka, wtedy.

- Nagle przypomniałem sobie, kiedy i w jakich okolicznościach widziałem Natałkę po raz ostatni.

Dozakłopotania dołączyła fala paniki, jakbym za chwilę miał ujrzeć ją tutaj, rozmawiać z nią, udawać.

Naprawdę nie wiedziałem, co mówić.

- ...

wtedy, kiedy weszła.

Natałka.

Ty nic nie.

a ja.

Przecież pamiętasz.

Myślałem, że nie zechcesz mnie więcej widywać.

No i był pewien, że twoi rodzice.

I w ogóle.

Ja przecież nic nie wiedziałem!

- Nie tłumacz się.

- Coś jakby zgasło w jej oczach.

-Przepraszam cię.

Nie powinnam.

Powinnam się cieszyć, że znowu przyszedłeś.

Powiedz, co u ciebie?

Zdałeś w tym roku maturę?

Dostałeś się na studia?

- Zdałem i maturę, i na studia.

-Dalej grasz na skrzypcach?

- Potaknąłem.

-A w tej orkiestrze, co to pisali we wrześniu, w takiej młodzieżowej orkiestrze od nas, która wygrała jakiś konkurs za granicą?

Grasz w niej?

- Tak.

Skąd wiesz?

- Czytałam w gazecie.

Od razu sobie pomyślałam, że możecie.

To musi być piękne, powiedz?

Grać na skrzypcach, tyle muzyki, tyle dźwięku, tyle czasu.

Ostatnie słowo ledwo wyszeptano.

Coś mnie dławilo w gardle.

Niemogłem nic wykrztusić.

Zapatrzyłam się w grudniowy krajobraz.

Jej białe, długie i wrażliwe palce, którymi kiedyś tak lubiła pieścić moje włosy, bezwiednie dotykały bladych, przeraźliwie suchych warg.

Wyobraziłem sobie wywołany tym pocieraniem szelest, poczułem go niemal gdzieś w tyle głowy, zupełnie jakby to mnie te białe palce znów dotykały i.

aż mnąwstrząsnęło.

obrzydzenie.

Chyba się wzdrygnąłem, jakby ktoś tużobokpociągnąłwidelcem po powierzchni talerza.

Natychmiast spuściłem głowę.

Przecież nie mogła nic zauważyć!

- Pić mi się chce.

Pójdę się napić.

Poczekaszdwie minuty?

- Pokiwałem głową.

Uśmiechnąłem się z przymusem.

- Za dwie minuty

382

wrócę, a ty opowiesz mi o tym konkursie.

I będzie.

jak dawniej.

Zadwie minuty.

Delikatnie dotknęła wierzchu mojej dłoni i popatrzyła mi w oczy.

Jej spojrzenie tym razem było nie tyle smutne, co.

jakby pożegnalne.

Szlafrok miała bladnoróżowy, wtym wyblakłym kolorze szpitalnejbeznadziei.

Wydała mi siębardzo drobna, gdyodchodziła, szurającpantoflami po szarych kafelkach.

Po kilku metrach odwróciła się, jeszcze razpopatrzyła na mnie,a ja, bezwiednie, właśnie rozmasowywałem powierzchnię swojej dłoni.

I,co gorsza, natychmiast zaprzestałem tego ruchu, gdytylko poczułemjej wzrok.

- Przepraszam - wyszeptła, patrząc na moje ręce.

Nie usłyszałem tego, tylko odczytałem z ruchu warg.

W pierwszejchwili nie skojarzyłem, czego przeprosiny miały dotyczyć.

Dopiero gdy nie wróciła po pięciu, dziesięciu minutach, zrozumiałem.

Mimo to wytrzymałem pod oknem jeszcze dobrą chwilę i dopierowtedy odszedłem.

Wlokłem się z opuszczoną głową, przepełniony wstydem; nie pomagało tłumaczenie, że nad odruchami nikt nie jest przecież w staniezapanować.

Już nie szukałem oddziału D, ipewnie dlatego po chwilidostrzegłemwłaściwy kierunkowskaz.

To była chirurgiaourazowa.

Aja myślałem, że to Gerard ma raka!

Tegodnia kręciło siętutaj sporo ludzi.

Jakby więcej niż na oddzialeMarcysi.

Odwiedzającysiedzieli pod ścianami z bladymipacjentami.

Ale jakże inna była tobladość!

Wszędzie kule,wózki.

Sporo łózek na korytarzach, zwiędłe goździki w słoikach, jabłka na stoliczkach, papierowe torby z tłustymiśladami po pączkach.

Specyficzny, szpitalny zapach środków odkażających, mokrych ścier do podłogi i żarcia z wielkiegokotła.

Ziemniakiz marchewką, kotlet mielony i wodnisty kisiel.

Jakaś dziewczyna wiozła na wózku młodego chłopaka do okna.

Usłyszałem:

383.

- ...

to może już w przyszły piątek.

Adzisiaj chociaż sobie popatrzysz.

Jakbyś nie był taki nieśmiały, to mógłbyś codziennie poprosić siostrę.

Zapatrzone na nich, prawie zderzyłem się z płynącym nakulachjednonogim facetem.

- Oczyś pan pogubił!

- zrugął mnie grubym głosem.

-Taki pętałkprzewróciłprawie człowieka, panie, i nawet nie przeprosił.

To się nazywa młodzież.

Tfu.

Cholera jasna!

Potężny, postawny mężczyzna.

Pewnie nie miał jeszcze czterdziestu lat.

Noga była ucięta pod kolanem.

Co za życie go czeka?

Ale lepiej tak, niż stracić rękę.

Albo palec.

Co by to było, gdybym stracił chociaż jeden palec?

Mały palec u lewej ręki - i jestem wrakiem.

Wszystko, czego się nauczyłem, idzie na marne.

Dla mnie strata niepowetowana - dla tego faceta przyszcz, błahostka.

Oddałby pewno dwa, trzy, a może i wszystkie palce za nogę.

To gdzie ta równość?

A gdzie w tym wszystkim Marcysia!

Spytałem pielęgniarkę Gerarda Przyborę.

Musiałem przejść nakolejne piętro, puste dla odmiany, jakby wymarłe, i po chwili stałem przed pokojem numer 17.

Pod tym samym numerem, na ulicy Wiązowej, stał kiedyś nasz dom.

Teraz nasze mieszkaniemiało numer 17.

Ja urodziłem się 17 czerwca.

Nacisnąłem kłamkę.

Dwa łóżka.

Na jednym kulek człowieka, tak dokładnie obandażowano pacjenta bliżej wejścia.

A przy oknie leżał Gerard.

Poznałem go od razu.

Nie mogłem go poznać, chociaż wiedziałem, że to on.

Patrzył w sufit, raczej hipnotyzował sklepienie.

Przykryty kołdrą, w bezruchu, pełen wewnętrznego spokoju.

Wiecznego.

Zastygłem przy drzwiach, usiłując zrozumieć, co się z nim stało.

Jak może leżeć tak spokojnie ktoś, kto nigdy nie potrafił bez ruchu wytrzymać nawet kilku minut?

Nawet grając na puzonie, chodził,

384

wykonywał niepotrzebne ruchy ramionami, drapał się stopą łydkę.

Na podwórku zawsze gadał, gestykulował, ganiał kogoś, bił, śmiał się, przedrzeźniał, deptał mrówki, odganiał muchy; na lekcjach w szkole wciąż się wiercił, zakładał nogę na nogę, zaglądał przez ramię sąsiada.

Nie kojarzyłem tej ruchliwości jakoś,.

oddzielnie.

Była permanentnie przynależna Gerardowi i w normalnych warunkach niezauważalna. Zdałem sobie sprawę z tej jego przyrodzonej nadaktywności dopiero teraz, gdy ujrzałem go leżącego w szarawej pościeli, z ziemistą cerą, półprzymkniętymi oczami.

Jak głaz.

Wycofałem się na korytarz.

Ruszyłem wzdłuż ściany, zaglądając do oświetlonych sal.

Wszędzie tylko pacjenci, zazwyczaj nieruchomi na wózkach.

Musiałem z powrotem zejść na niższe piętro, aby znaleźć lekarza.

Zapisywałem coś, stojąc przy biurku.

Zapukałem, chrząknąłem:

- Przepraszam, chciałbym spytać.

Gestem ręki lekarz dał mi znać, że za chwilę, za moment.

Zostałem w drzwiach.

Oparłem się o framugę.

Domyślałem się już.

Co odczuwałem?

O czym myślałem?

- Tak, słucham pana?

- Mój kolega, właściwie to tylko dawny znajomy, no, z podwórka jeszcze, taki.

Więc leży piętro wyżej, w siedemnastce.

Co mu jest?

- A, ten ze złamanym kręgosłupem?

No, kiepska sprawa.

- Kręgosłup?

- Tak.

Spadł na plecy.

Bodajcynie z dachu.

Nie pamiętam.

Zaczął mówić o rozmiarach urazu, wymieniać jakieś liczby w połączeniu z literą "c", rozwozić się nad przeprowadzoną operacją, przy której asystował i z góry wiedział o jej negatywnym wyniku.

- Ale ordynator się uparł, że to młody chłopak, żeby mu dać szansę, a od początku wszystko było całkiem jasne.

To pana brat?

- Już mówiłem.

Znajomy tylko.

Z dzieciństwa.

- To już sobie razem nie pobiegacie.

Zajrzała siostra.

385.

- Panie doktorze, proszę zajrzeć do ósemki.

-Za chwilę.

- Rodzina od mechanika czeka.

-To już lecę.

- Paniedoktorze - przytrzymałem go,jak wczoraj panią Kłopak,za rękaw.

- A jakie są
rokowania?

- Coś pan, naiwny?

Żadne.

- I pobiegł do rodziny mechanika.

Doczłapałem sięznów podnumer 17.

Po co ja mam iść do Gerarda?

Jak to jest,być sparaliżowanym i nie mieć przed sobą żadnejnadziei?

Ktoto może znieść?

Kto potrafi wytrzymać?

Co lepsze: losMarcysi czy takiparaliż?

Nocóż, najlepiej być pięknym, młodymi zdrowym.

Niektórzy mówią też - bogatym.

Uchyliłem drzwi.

Patrzył na mnie.

Miał we wzroku ten samspokój, jaki dojrzałem w jego ciele kilkaminut wcześniej.

Patrzył, patrzył,aż zamknął oczy.

Przełknąłem ślinę,oblizałemwargi.

Teraz już nie odejdę bez słowa.

Jak znim rozmawiać?

Czyon wie?

Czy może mówić?

Rusza głową, poprzednio patrzyłw okno.

To może i mówi?

Podszedłemdo łózka.

Usiadłem nabiałym metalowym krześle.

Sucha twarz, zapadnięte policzki, podkrążoneoczy, dwie krostyna czole i blizna na policzku.

Sterczące, wielkie jabłko Adama i rzadki,kępkowaty zarost na szyi, brodzie i podnosem.

Oczy wciąż zamknięte.

Chrząknąłem.

- Gerard, słyszysz?

Nie otwierając oczu, spokojnie, głosem pewnym, chociaż cichym powiedział:

- Spierdalaj, Babol.

Zatrzęsło mną.

Tyle latskrywanej nienawiści, obrzydzenia i strachu.

Tylekrzywd, upokorzeń, niegodziwości, podłości.

I nawet terazmówi do mnie jak do śmiecia!

- Już idę, Gerardziczku.

Spierdalam.

A ty gnij sobie.

Zasmradzajotoczenie swym gównem,spoglądaj na sufit, podziwiaj muchy, co

386

będą ci twarz obsrywały, a ty nawet palcemdo końca życia nie ruszysz.

Proszę bardzo.

Spierdalam.

- Podniosłem się, odwracałem już.

Domoich uszu dobiegł śmiech.

Cichy chichot.

- Dobrze, Babol.

Ale za prędko się cieszysz.

Powiem ci coś, nonie.

Ja jeszcze wstanę.

- Co?

- Te dupki chcą ze mnie kalekę zrobić, a ja mam czucie w nogach.

Czasami wrękach.

Wczoraj się drapałem palcem o palec.

Chcesz zobaczyć?

Patrzyła mnie całkiem poważnie.

W jego głosie nie było ani śladu kpiny, żartu czy ironii.

- Jak możesz czuć?

Ze złamanym kręgosłupem?

- Jakie tam złamanie.

Z trzech metrów spadłem.

Bo to pierwszy raz?

Poza tym czuję ból.

- Ty bredzisz.

Lekarz mówił.

- Chrzanię go, Babol.

Puknij w moją nogę.

No, dawaj, możesz się odegrać.

Przywal mi.

Odsłoniłem koldrę.

Pasiasta szpitalna pidżama.

Chude, wielkiestopy Gerarda sterczały brudnymi paznokciami.

Puknąłem bojaźliwie ręką w jego kolano.

- Co jesteś taki słaby?

Palnij trochę mocniej.

- Uderzyłem jeszcze raz wskazującym palcem w jego rzepkę.

- Czuję.

Słabo, no nie, ale lepiej niż wczoraj.

Za tydzień będę chodził.

Najpierw okulach.

A zamiesiąc skopię ci dupę!

Cha, cha, cha.

Strasznie brzmiał ten jego śmiech, szczególnie, że urwał się jakby w połowie, a Gerard znów skierował wzrok na okno.

Tam, na gołych gałęziach rosochatych drzew klóciły się wrony.

Głośno wyrażały swoje zdanie o pogodzie, szpitalu, cienkim wikcie i kiepskich perspektywach.

"Kra, kra".

Tak, "kra, kra" - odpowiadała inna wrona.

A może to były kruki?

Wielka ciężarówka spłoszyła ptaszyska, wolno podjeżdżając do rampy szpitalnego zaplecza.

Kierowca wysiadł z szoferki, trzasnął drzwiami i krzyknął coś w kierunku otwartych drzwi,

387.

z których buchała kabaretowa wprost para, taka, w jakiej śpiewa się romantyczne kawałki. Ptaki kołowały kilka chwil nad drzewami, głośno wyrażając burzenie na takie zakłócenie ich spokoju.

Później, zainteresowawszy się wyładunkiem niebieskich pudeł, usiadły znów naprzeciw miejscach i obserwowały w ciszy pracę ludzi.

Gerard zamknął oczy.

Swoją lewą rękę, której nie mógł dojrzeć, włożyłem pod kołdrę.

Dotknąłem jego stóp, wzdrygając się, bo spodziewałem się trupiego zimna, tymczasem one były normalne, letnie.

Kciukiem i środkowym palcem uszczypnąłem go w śródstopie, mocno, także powinien zawyć. Skrzypkowie mają silne palce.

Nic. Ani drgnął.

Uszczypnąłem jeszcze raz, aż mnie zabołało.

Na twarzy Gerarda nie drgnął ani jeden mięsień.

Gdy cofałem rękę spod kołdry, on znowu spojrzał na mnie.

Zwroty jego głowy były bardzo oszczędne, powolne.

Jak u starego pomarszczonego żółwia.

Czułem jeszcze w palcach mrowienie, tak mocny był mój ucisk.

Odruchowo rozmasowałem sobie prawą ręką palce lewej.

On patrzyła to.

Czy domyślił się, co przed chwilą sprawdzałem?

- Coci się stało?

Z czego spadłeś?

- Nie wiedziałem, co mówić.

Miałem ochotę uciec stamtąd i nigdy nie wrócić.

Niepewność własnego miejsca, swojego zdania, swędzenie w karku; ta jego noga, ciepła, amartwa.

Fatalnie się czułem.

- Ja?

Spadłem?

Ty jesteś dobry, Babol.

Zrzucili mnie.

- Kto?

- Trzeba podtrzymać tę rozmowę jeszcze kilkanaście minut i dyskretnie się potem wycofać.

- Ludzie.

Nasłani pierdolcy.

- Przez kogo?

- Ty akurat powinieneś zgadnąć.

- Ja?

Skąd?

- Znasz człowieka.

- Ja? Skąd?

- powtórzyłem.

Wciąż nie wiedziałem, co mówić.

I po co.

- Księżyk.

Mój stary kumpel.

388

- Chyba twój szef?

Znowu zamknął oczy.
Byłem spocony z nerwów, ale i w sali byłoteż całkiem gorąco.
Drugiz pacjentów, ten szczelnieowinięty bandażami, zaczął jęczeć.
Gerardnie odzywałsię, nie patrzył na mnie.
Wstałem, wyszedłem na korytarz, aby poszukać pielęgniarki.
Drżałymi nogi i ręce, gdy mówiłem młodej kobiecie o jękach obandażowanego pacjenta.
- A ten chłopak z przetrąconym kręgosłupem - ciągnąłem - twierdzi, że czuje ból, i w ogóle.
-Oni tak wszyscy.
Samoobrona - uśmiechała się do mnie miło, wcale nie spiesząc się do jęczącej mumii.
- To pana kolega?
On bywanieprzyjemny.
- Dawny znajomy.
Taki zpodwórka.
Przypadkowo dowiedzialemsię, że.
- Jeden takico chwila chciał wzywać lekarza, żeby mu udowodnić, jakijest zdrowy.
Patrzcie, mówił, teraz ruszam nogą, a terazpalcamiurąk.
Zmarł na zapalenie płuc.
Prawie wszyscy onitak kończą.
Alepogoda, nie?
Pewnie znowu nie będzie śniegu na święta.
Jeździżpanna łyżwach?
- Słucham?
-Na łyżwach.
Jak nie, to mogę pana nauczyć.
Magda jestem.
- Tomek.
Tak.
Nie.
Nie jeżdżę.
To znaczy, trochę.
- To co?
Chcesz sięnauczyć?
- To oni tak wszyscy.
udają?
Po co?
- Tak imłatwiej.
To co z tymi łyżwami?
Była dość ładna, chociaż chyba trochę starsza ode mnie.
Patrzyłaz zaciekawieniem, a mnie wciąż drżały ręce.
I kolano.
Tak nieprzyjemnie, bo gdytylko przenosiłem ciężar ciała na lewą nogę, prawekolano skakało jak oszalałe.
Dotychczas coś takiego zdarzało mi sięwyłącznie na scenie, gdy miałem złą, paraliżującą trewę.
- Ale nie ma lodu.
-Można iść do hali.
Jak nie chcesz.
389.

- Nie, nie.

Tylkokiedy?

Ty pewnie od rana pracujesz, a ja popołudniu mam zajęcia na uczelni.

- Jak nie, to nie - obrazila się nagle i odeszła.

Tylko wcale nie dotego jęczącego w bandażach pacjenta.

Kręciłem się pokorytarzu, niezdecydowany.

Przecież nie mam żadnych zobowiązań wobec Gerarda.

Wręcz przeciwnie.

A może dowiem się czegoś o tej swojej sprawie?

Czym ryzykuję?

Co on chrzało tym Księżyku?

Obandażowany pacjent już ucichł.

Gerard jakby spał.

Była pierwsza.

Zaraz za mną weszły dwie pielęgniarki z jedzeniem.

Rozmawiały o makijażu jakiejś modelki albo piosenkarki, kłóciły się o podkład czy puder.

Wycofałem się.

Uciekłem.

Potrzebowałem tylko pretekstu.

Przed szpitalem długo oddychałem zimnym grudniowym powietrzem, zachwycając się szarzyzną tego budynku, błotem na chodniku, pękniętą i sklejoną przylepcem szybą w budce Ruchu, zatłoczonym autobusem, do którego ludzie próbowali wepchnąć się na siłę, a kierowca cierpliwie czekał, aż niemożliwe stanie się faktem.

Dwóch chłopaków w końcu zrezygnowało i autobus wolno odjechał, zostawiając za sobą szaroniebieskie kłęby spalin.

Nawet ten smród sprawiał przyjemność.

Boże, jakie piękne jest życie.

Rozdział pełen ciepła.

Ewanie odważyła się pójść do Gerarda.

"To straszne" - powiedziała tylko przez telefon i nie wykazała więcej zainteresowania.

A ja poszedłem zaraz następnego dnia.

Postanowiłem dowiedzieć się wszystkiego o swoich zdjęciach, o tym, czy ta sprawa może jeszcze kiedykolwiek wypłynąć.

Gerard ani się zdziwił, ani ucieszył moim przyjściem.

Na pytanie odpowiadał, myślał, patrzył w okno.

Ale gdy wychodziłem, odwrócił tym żółwym ruchem głowę i powiedział:

- Przyjdź jutro, Babol.

Dzisiaj mnie tak napierdala.

Jutro przyjdź.

Opowiem ci.

Wszystko ci opowiem, no nie, wszyściutko.

Przyjdiesz?

W domu zastałem Paulinę z Maćkiem.

- Zaręczyliśmy się - oznajmiła siostra.

- Ślub planujemy na maj.

Uściskałem ją bez entuzjazmu.

- Życzę szczęścia, Maciek.

Słuchaj, znasz kogoś, kto daje lekcje angielskiego?

- A co?
Jaci niepasuję, my boy?
- Wolę uczyć się kogoś spoza rodziny.
To co?
Znasz kogoś?
- Well, masz tu telefondo Ilony.
Ona uwielbia uczyć.
youngboy s.
Cha, cha.
Wziąłem kartkę z telefonem.
Umówiłem się nalekcję zaraz poświętach.
Do Ewy nie dzwoniłem.
Nazajutrz, na dzień przed Wigilią, znów poszedłem doszpitala.
Długo się zastanawiałem, czy odwiedzić powtórnie Marcysię.
Jednak

w końcu, strachliwie, tak samo jak poprzednio, powiedziałem sobie, że przecież sama nie chciała, bo odeszła bez pożegnania, bo.

Wcale nie miałem ochoty do niej iść.

Do Gerarda też nie, ale zdjęcia, sprawa kradzieży skrzypiec, afera na granicy, ta zgwałconadziewczyna.

Musiałem dowiedzieć się prawdy!

A żeby go obłaskawić, zaniósłem mu nawet prezent.

- Nie masz tu choinki, ale chociaż to ci trochę święta umili - powiedziałem, stawiając na parapecie tranzystorowe radio.

-Dziękuję ci, Babol.

Ty dziwny jesteś.

Inny by splunął tylko namnie.

A ty.

Zawsze myślałem, żeś mięczak.

Dziękuję.

Włącz coś.

Przez chwilę dostrajałem głos, zastanawiałem się, gdzie będzie dla niego najwygodniej to radio postawić.

- Zostaw na parapecie.

I tak sam nie włączę.

- To co?

Już się pogodziłeś?

- Co?

Słuchaj, przystaw mi tęszkłąnkę z rurką.

Nie będę pielegniarki wzywał do każdej pierdoły.

Dziękuję, Babol.

Żebyś ty mnieniańczył!

To dopiero.

Pamiętasz naszą fabrykę?

Ale tam była zabawa, no nie?

To byłyczasy!

Były z nas niezłe rozrabiaki.

Nawet ty, Babol.

Pamiętasz, jak szybko rozwaliłeś u Kaniszkisów?

Aleś potem do domu spierdalał.

- Gerard, słuchaj.

-A Czapa kiedyś Cerkwinowi o mało oka nie wybił.

Wiesz, że Czapa siedzi?

Dwa lata dostał.

Nicmu nie będzie.

Ja byłem w pierdlupół roku i wolałem to, niż ten szpital.

Che, che.

Dobre, no nie?

- Co tygadałeś o Księżyku?

O co chodzi?

- On strasznie spaniał.

Załatwił mnie, bo próbowałem się wycofać z interesu, no nie, a to nie takie proste.

Dosyć miałem.

Już nie pierwszy raz.

To nie dla mnie towarzystwo.

Zatwardzi.

- Ale ty bredzisz.

-Nie znasz mnie.

Tylko ci się zdaje, że mnie znasz.

Nikt mnieniemna.

Zawsze chciałem byćdobry, no nie, tylko nikt mi nie pozwalał.

Jak byłem mały,to ojciec pilnował, żebym zawsze dostał w skórę,
czy był powód,czy nie.

Jak płakałem, no nie, to dostawałem dwarazy więcej.

Matka też była niezła.

Raz cacy,a za chwilę mało mioczu nie wydrapała, bo jej pantofelek zapodziałem.

Nawet ty.

To było takdawno, na granicy mej pamięci.

Słoneczny upalnydzień, więcpóźna wiosna albo już lato.

Na sobie mam białą koszulkęi krótkie spodnie.

Rządzą ogromnym państwem z piasku.

Są tampiaskowe rzeki i patyczne mosty, z kamieni zrobione domy iludzie:

jeden - z dwóchpalcówlewej ręki, a jego przeciwnik- podobny, tylkoz prawej.

Trochęsię kłóca, zaraz godzą i budują wieżę, gdzieraz zamieszkają.

Nagle do mego państwa wpada rzeczywisty wróg.

Burzyczęść dróg i zatrzymuje się tuż koło wznoszonej właśnie wieży.

Natwarzy ma zwycięski uśmiech.

Widzę gopierwszy raz.

Gdzieś obok,na zielonym poobdrapywanym drewnie ławki, mama opowiada innymkobietom
oostatnichwojaczach taty, a może analizują tę nową modęz szerokimi nogawkami?

Silny obecnością mamy, stają w obroniegranicy mego państwa.

Podnoszę się z klęczek.

Jestem równywzrostemwrogowi,a własny teren dodajemi odwagi.

Każę mu się wynieśćprecz od mojej wieży, uciekać nawłasne podwórko.

On się śmieje,a jego noga zamierza burzyć dalej moje włości.

Rzucamsię na niego.

Przewracam, zaskoczonego, na ziemię.

Ciemno, jasno, ciemno, jasno.

Coś trzeszczy, pęka, drę materiał, ciskam piasek.

Płacz, plecy wrogawrozpaczliwym odwrocie, a moja wieża całkiem zrujnowana.

Niemamczasu uzalić się nad architektonicznąstratą, bo łapie mnietwarda ręka matki.

Wymówki, rękaw koszuliwisiw strzępach, wewłosach pełno piachu.

Słyszę jej narzekania kierowane do jakiejś kobiety.

Jestemw nich nieznośny, zły, agresywny.

Żadnej pochwały zaprzepędzenie wroga.

Zwycięstwo zostaje zlekceważone, niezauważone.

A przeciezjego koszula też nie została w całości.

To on uciekł,piach miał nie tylko we włosach, bo tarł oczy, płakał.

A ja ani jednejłzynie uroniłem!

Jednak mama prowadzi mnie za gołeramie jak złoczyńcę;mam ponieść za coś karę.

W domudalsze wymówkiw obecności ojca.

Jest też jakaś inna kobieta, teraz myślę, czy to nie ciocia

Julcia?

Ona śmieje się, głaszcze mnie po głowie, ale złość mamyzwycięża.

Tata nie odzywasię.

Nie chwali, nie gani.

Ściągają mipodartą koszulę i mama prowadzi mnie dodrzwi komóreczki.

Tamjestem zawsze stawiany dokąta.

Próbuję protestować, wyrywam się, ktoś wstawia się w mojej sprawie.

Zewsządświeci słońce, igra wewłosach mamy.

Ale w jej głosie nie ma słońca, jestgniew, sapretensje.

Bronięsię, zaczynam chlipać i opowiadam o wieży, ulicach, ludzikach.

Zapach komóreczki, szarość i za chwilę straszna ciemność.

Przed chwilą tyle słońca, atutajsama czerń, przerażająca, pełnaniwidzialnych, pełzających łap, macek.

Z sufitu już siępuszczawielki pająk, tka dookoła mnie unieruchamiającą sieć, strach przemieniaszmetry rozmów w hałasy duchów ciemności, naradzających się nad sposobem omotania mej głowywe mgłę wiecznej niemoty.

Przerażenie przygniatające piersi zabiera powietrze, na drobne ramiona :

napierają ściany, łkanie zamiera, gardło zaciska się jak pięść, w otwartych oczach - ciemność, w zamkniętych -ciemność, tylko podkreślona czerwienią; półki zrzucają na mnie słoiki, podłoga wsysamoje nogi.

Nagle odzyskuję głos.

Ogłusza mnie moc własnego krzyku, więc milknę, nie oddycham inagle, oślepiiony, jestem w czyichś ramionach i po prostu płacę.

Z salonu dobiegają podniesione głosyrodziców, a mnie ktoś tuli i głaszcze po głowie.

Czuję paniczny strach, bo to nie mama mnie wypuściła, wyrywam się z powrotemdo komóreczki, bo inaczej mama ukarze mnie powtórnie, ale uniesiony w górę,; tracę możliwośćrozporządzania swoimi ruchami.

Dokoła mnie słoń- ;

ce, drzewa, jesteśmy w ogrodzie.

Tulę się do szyi cioci Julci.

To odniej przyszedł ratunek.

Z piłką podbiega domnie Paulina, bawi sięz jakąś koleżanką.

Wciąga mnie do ich gry.

Gdzieśniedaleko jestMateusz.

Po chwili ciocia zostawia mnie zdziewczynkami, asamaidzie dowypełnionego niezgodą salonu.

Nie zawsze udajemi się złapać piłkę i często muszę klękać, jakaś obca dziewczynkaśmieje sięze mnie.

A ja gram, klęczę zradością, znadzieją, że zachwilęzłapiępiłkę i pozwolą mi znów stać nadwóchnogach.

Zielona trawa, pobie394

lone drzewa, wózeczek z uspionym Michałem.

Piłka źle układa się;

w moich rękach przy rzucie.

Leci prosto wwózek.

Michał płacze, od strony domu nadbiega mama, a ja kamieniejęzestrachu.

Paulina nie?

zwala jednak winy na mnie i mama tylko uspokaja malca.

Gramy dalej w piłkę.

O zdarzeniu wpiaskownicy przypomina mijedynie co jakiś czas lekki, zamierający szloch przy oddychaniu.

Ile miałem lat?

Więcej niż cztery, mniej niż pięć, bo Michał był jeszcze maleńki.

Czemu to pamiętam?

Bo odtamtego czasu zacząłem się bać chłopca z piaskownicy, ulegałem mu, bawiłem się pod jegodyktando, tylko z rzadka próbując się buntować.

Kto był tym chłopcem?

Ano, mój osobisty wróg, zmora dzieciństwa, postrach lat dorastania, koszmar ostatnich kilku miesięcy, bezbronna kukła przed moimi oczami.

Często sobie myślałem, że gdyby mama mnie wtedy nieukarała, tylko doceniła moją postawę, zrozumiała potrzebę obrony terenu własnych zabaw, godności - może nie tak łatwo ulegałbym później woli Gerarda, nie bałbym się go, czerpiąc siłę z tej pierwszej zwycięskiej potyczki.

To pewnie tylko moje rojenia, bo życie nie poddaje się tak prostym regułom, charakter kształtuje wiele zjawisk z otoczenia, ważne są kontakty z większą liczbą ludzi, codzienne zachowania, obserwacje, wyciąganie wniosków, a nie jakies jedno zdarzenie, choćby i mocno zapadające w pamięć.

A jednak gdyby wtedy w piaskownicy byłaze mną ciocia Julcia.

Gdyby mój ojciec potrafił się przeciwstawić matce.

Gdyby.

Gdyby.

Gdyby.

- Nawet ty, Babol, jak cię nie szurnałem odczasu do czasu, tozaraż podskakiwałeś.

A już najgorszy był Kura.

To wyście ze mnie zrobili takiego.

- Odwrócił głowę do okna.

Na widok powolności jego ruchu czułem jakiś dreszcz, ni to strachu, ni to wstrętu.

- Hodo-wałem kiedyś jeża w domu.

Tupał po nocach, nonie, i ojciec go ze złości zdeptał.

U dziadka miałem gołębie, całe stado, ale wyzdychały, najakąs zarazę.

Próbowałem mieć koty, ale ktoś mi je ukradł.

Jak 'kupiłem sobie psa, to ojciec wyrzucił go przezokno i.

już.

Rybki

395.

miałem.

Dziadek mi kupił, jak te gołębie nam wyzdychały.

Mieczyki, welony, czerwunki.

Wodorosty w akwarium, no nie, pompka, filtr.

Wszystko od dziadka.

Butelki sprzedawałem, żeby na robaki mieć.

I jakaś kurwa w czasie popijawy wlała tam pół butelki wiśniówki, borybkom też się należy.

Wstajerano, nonie, a one brzuchami do góry.

Na komodzie stało akwarium, to je zepchnąłem, no nie, i rozpierdoliło się na tysiąc kawałków, a mnie odwieźli na pogotowie, bo ojciec wyrznął moją głową o parapet.

Siedem szwów miałem, rzygałem przez trzy dni.

Czego się nie tknąłem, wszystko na nic.

Tylko jak byłem zły, kiedy inni przeze mnie płakali, wtedy wszystko grało, dobrze szło.

A żebyż tegorównież pieniądze.

Ale zawsze chciałem.

Wierzysz mi, Babol?

- Nie patrzył na mnie, nie czekał na odpowiedź.

- Puzon!

Wiesz, czym był dla mnie puzon?

Tak sobie mówiłem, łatwe to przecież, no nie, bo wszystko mi od początku wychodziło, to paniskiem zostanę, no nie, w orkiestrze będę grał, zagranicę jeździł.

A wtedy Księżyk się przypalał i.

Jeszcze jak doszkoły muzycznej poszedłem, ciebie znowu spotkałem, na początku przecież w porządku byłem, nonie?

Dopiero potem, jak ten Księżyk.

Konkurs bym wygrał, gdyby nie on, do orkiestry gdzieś we Francji zdał.

Nad morzem bym się wylegiwał.

Jak człowiek chciałem żyć.

Ewę pamiętasz?

Taka piękna dziewczyna, kochałem się w niej.

Uratowałem ją, beze mnie by przecież.

no nie?

Raz mi "dziękuję" powiedziała.

A później znowu byłem dla niej śmieć.

Albo się mnie ludzie bali, albo byłem dla nich niczym.

Towolałem już.

Rozumiesz, no nie?

Ciebie, z tymi skrzypcami, pamiętasz, no nie?

Księżyk mnie zmusił.

Nastraszyłem cię, ale przecież nic ci się nie stało.

A Księżyk chciał tak zrobić, żebyś jednak w kiciu wylądował.

Aty, Babol, jesteś taki, jak chcesz być?

Przecież tonie tak prosto, chociaż ty miałeś ojca, matkę, takich, co cię kochali, nikt cię nie prał po mordzie, po dupie, no nie, a też pewnie chciałbyś być inny.

A ja?

Patrz, teraz tylko popłakać mogę.

Słuchaj, nie śmieję się, ale mnie strasznie swędzi pod kolanem.

Podrap mnie.

Proszę.

Babol!

Podrap.

Podniosłem koldrę.

Znów się wzdrygnąłem, dotykając jego skóry.

396

- Podrapałeś?

- Potaknąłem.

-To nic nie daje.

A czuję, żeswędzi,

- Powiedzmi, co z tymi zdjęciami?

-Nie bój się.

Zniszczyłem je.

Za to też mnie Księżyk nie pogłaskał.

Tak mówił, że ty, muzyk, będziesz często za granicę jeździł, przewieziesz nam co jakiś czas towar, nie taki, to inny.

Ja mu tłumaczyłem, że po jednej takiej wpadce będą na ciebie mieli oko, nonie, a omnic, tylko swoje.

Spaliłem twoje zdjęcia, Babol.

Nie masz się cocykać.

Czysty jesteś.

- A jak było na tej granicy?

O co to chodziło?

Dlaczego mnie wystawiliście?

- Podpucha.

Też pomysł Księżyka.

Kazał cię nastraszyć, a skrzypce przewiózł kto inny.

On sam dał cynk, no nie, zresztą mieli swojego celownika.

Pomógł zrobić aferę.

Teraz pięta.

- Co?

-Piętamnie swędzi.

Nie ma codrapać.

Nie przestanie.

Kurwa, co za los.

- Który celnik był wasz?

-Taki stary, ze złamaną szczęką.

Miał dostać twoją dołą, bo Księżyk nigdy nie zamierzał ci zapłacić.

Bałeś się, Babol?

Ja też się bałem.

I dzisiaj dalej się boję, a ty już nie masz co.

-A kto przewiózł skrzypce?

Przecież nie zrobiliście tego dla jaj?

- To ty nie wiesz?

Rusz głową, Babol.

Przecież to proste.

Znasz gościa.

Dobrze znasz.

- Nie wiem.

Znam?

- No pewnie.

Łysy, mały.

No co?

Już wiesz?

- Łysy?

-Grał u was na kontrabasie.

Niezłyż niegocwaniak.

Nawet Księżyka wykiwał.

- Gromny?

To..

niemożliwe!

- Co tam niemożliwe.

Co ty wiesz, Babol.

Wszystko jest możliwe.

- Po co by Gromny.

„

- A ty?

397.

- Ja?

Ze strachu.

Szantaże.

- On też.

Zajączek.

- Co na niego mieliście?

- To ty nie wiesz?

Pedzio.

On już we Włoszech miał kłopoty, nonie, bo chłopców lubił.

A gorzej, bo młodych.

Księżyk mówił, że napalił się najakiegoś "garazzo", a potem wyszło, że to był syn burmistrza.

I musiał uciekać do Polski.

Do Włoch nie ma po co jechać, no nie?

Gromny, znaczy.

- To coż tego, że.

chłopców?

- niby nie dowierzałem, dziwiłem się, ale przed oczami stanął mi zwycięski uśmiech na twarzy Gromnego, gdy szedł po schodach w Grand Hotelu.

Idota rło do mnie, dlatego później zobaczyłem go przy stoliku z Księżykiem.

- Babo!, gdzie ty żyjesz.

Księżykmu towar podsuwał, no nie, a później rachunek wystawił.

- Wszystko Księżyk?

A kto Stasia wystawiał?

Też Księżyk?

A ty, Gerardziku, niewinne dziecko.

A ja?

Naiwny Tomeczek!

Czemu nigdy wcześniej nie próbowałem jakoś wytłumaczyć sobie śliskich spojrzeń Gromnego, jakimi obdarzał mnie i Darka?

Zachowywałem się zupełnie tak, jakbym wyrzucił z pamięci podpatrzoną w Grand Hotelu scenę.

Może nie chciałem w nią wierzyć, bałem się płynących z niej skojarzeń, możliwości?

Głupota, strach przed logiczną interpretacją czy naiwność właśnie?

- Męczysz mnie, Babo!.

Wyobraź sobie, że Stasia też Księżyk.

Jamiałem wtedy trzynaście lat, no nie?

Księżyk dwadzieścia z hakiem.

Co ja mogłem!

A Stasio krzywdy nie miał.

Cukierki dostawał, no nie, czasem parę złotych.

Tylko jak ta Kłopotkowa zaczęła się kręcić, to interes zrobił się zbyt ryzykowny.

Wiesz, że onatatu pracuje?

- Wiem.

To ona mi powiedziała o tobie.

- Boję się baby.

Zawsze zła jak osa była.

A jak do mnie tutaj przysłała, no nie, to tylko popatrzyła i powiedziała: doigrałeś się.

Boję się jej.

- Nareszcie.

Nareszcie i ty się kogoś boisz.

398

- Jak ty mnie nie znasz, Babol.

Ja przez całe życie portkami zestrachu trzęsę.

Jawśród dzikich ludzi żyję.

Wiesz, co Księżyk zrobił chłopakiem, który klientowi nabłuźnił?

Ucho mu obciął.

Takim zakręconym kozikiem.

Żebyś słyszał, jak tamten wył!

A czego ty się boisz?

Zdjęć już nie ma, no nie?

- A jak ten Gromny niby skrzypce przewiózł?

- W kontrabasie.

Wśrodku.

Sam skrytkę zrobił.

A w Berlinie nawiął.

- Jak to?

- Człowiek Księżyka czekał w hotelu do pierwszej w nocy.

Wyście się nieźle spóźnili, no nie, to on myślał, że coś nie tak poszło.

A rano Gromnego już w hotelu nie było.

Ani skrzypiec.

Dał nogę.

,! Gromny ukradł wam kradzione skrzypce?

On? Nie wierzę.

- Byś zobaczył minę Księżyka, to byś uwierzył.

Onto wszystko planował, no nie, kupca w Niemczech już załatwił, celnikowi nieźle posmarował, tym, co kradli, musiał zapłacić.

Zainwestował, no nie.

A tu ciach.

Jeden pedzio go w dupę robi.

Żebyś ty go widział.

Imprezą ćwierć miliona zielonych koło nosa mu przemyka.

Wkurwiony był.

- Ale co Gromny zrobił z tymi skrzypcami?

;- A co myślisz, Babol?

Pewnie cioci zawiózł.

Na imieniny, no nie?

Jaci tak wszystkomówię, gadam, nawijam.

Po co?

Coty mnie obchodzisz?

A co ja ciebie obchodzę?

Mniej o mnie dbasz niż o gównow krzakach.

Na chujmi z tobą pogaduszki.

Coty dla mnie zrobisz?

- Pewnie.

Ze ścianą sobie pogadaj.

- Babol - patrzył na mnie poważnie, smutno.

- A jakbym miał prośbę?

Powiem ci wszystko o tej kradzieży, no nie, a ty mi przysługę wyświadczysz.

- Jaką?

-Ewę Olecką pamiętasz?
Życie jej uratowałem.
Przyprowadź ją.
Chcę zapytać.
Zobaczyć ją.
Kochałem się w niej.
Ona w tej waszejorkiestrze gra, no nie, to na pewno wiesz, gdzie mieszka.
Albo zadzwoń.
- A jak nie zechce przyjść?
399.

- Poprosisz, to przyjdzie.

Czego ma się bać?

Chorego?

Tak sobiemyśle, że jak do rąk czucie wróci, no nie, to chociaż na wózku sobiepożyję, do parku pochodzę.

Zawsze lubiłem na ptaki patrzeć.

Onetakie.

, swobodne, no nie?

Lekkie.

Tu jest takiestado wron, przykuchni żerują.

Widzę je tylko, jak ktośje spłoszy.

Przyprowadzisz ją, Babol?

Proszę cię, Babol.

Opowiem wszystko.

Przyprowadź ją!

- Po co ci ona?

Niemogę ci obiecać.

To nie odemnie.

- Przysięgnij, że zrobisz wszystko, co możesz.

Przysięgnij!

- Gerard, moęspróbować, ale.

-Przysięgnij, że spróbujesz!

Poczułem się znów jak mały chłopiec, na którego starszy i silniejszy kolega wywiera presję, zmusza do niechcianych czynów.

Popatrzyłem na niego z niechęcią.

Miał łzy w oczach.

Płakał.

Nie wiem czemu, ale mnie też zaczęło zbierać się na płacz.

Jakdziecku.

- Dobrze.

Przyrzekam ci, że spróbuję.

- Wierzę ci, Tomek - odwrócił powolutku głowę do okna.

Cały świat był dla niego zamknięty w tych dwóch pozycjach.

Mógł

patrzeć w okno i mógł obserwować pokój.

I tak dokońca życia.

Śnić

będzie tylko o odzyskaniu władzy w rękach i o własnym wózku.

A kto

będzie się nim opiekował?

Mył, sprzątał, karmił?

Jego wpatrzone w okno milczenie trwało długo.

Już chciałem

wyść, gdy Gerard zaczął mówić:

- Pomyśl przyszedł z Włoch.

Od Constantiny.

Ona kilka lat mieszkała w Polsce.

Chyba wtedy poznali się Księżyką.

Nie wiem, czy on ją sam bzykał, czy tylko wystawiał klientom.

Szykowna była, łąbska, to może miała własny interes, no nie?

Chociaż.

młoda wtedy była, zielona.

Zresztą, co za różnica?

Potem przeniosła się do słonecznej Italii i jakoś oczarowała tego grajka.

Widziała czym, no nie?

Rozwiódł się dla niej, ale wyszedł z tego goły.

Tylko skrzypce mu zostały.

Stradivarius.

Ona główkowała, myślała, aż przypomniała sobie Księżyka, bo całą tę rzecz najwygodniej było w Polsce urządzić.

Księżyk się do interesu zapalił, no nie, bo to wielka forsa, a on zawsze chciał być

400

mafiozo.

Ja mu pasowałem, bo środowisko muzyczne znałem.

Gromny Księżyk siedział po uszy.

Za pieprzenie nieletnich jest niezły kryminal, a takiego pedzia w więzieniu docna by zgnoli.

Więc Gromny grzecznie współpracował, no nie?

Wciągnął w sprawę woźnego z filharmonii, takiego rudzielca, nonie, i kiedy tamten stał na czatach, Gromny sam podał skrzypce z pokoju tym, co czekali na dachu.

Żadnej obsuwy, wszystko jak w zegarku, a co do wywiezienia, to od początku były dwie wersje, no nie, albo ty, albo sam Gromny.

Bo ukrąść to było najłatwiej.

Tylko co dalej?

Księżyk załatwił kupca w Niemczech.

Na co tamtemu były takie skrzypce?

Nie wiem.

U nas wszystko poszło gładko, pół roku oczekaliśmy, no nie, i skrzypce grzecznie wyjechały.

Tylko kto by przewidział, że ten pedzio taki cwaniak.

I Księżyk został na lodzie.

Constantina dostała swoją dolę zabezpieczenia, ale celnika, tych co kradli, lutnika, co dla ciebie skrzypce podstawił, no nie, to wszystko trzeba było zapłacić.

Nie każdego się zastraszyć.

I Księżyk jest w tarapatkach.

A tu jeszcze ja mu zacząłem krewić, nonie, zacząłem się wycofywać.

No to nie wytrzymał i kazał mnie z dachu spuścić.

Tylko nie dobili, chuje pokrzywione.

Ja im jeszcze.

Zresztą.

No, Babo, ty byłeś tylko płotka, pionek.

Ja też, nonie?

Cochcesz jeszcze wiedzieć?

- Czyli ja po to srałem pod siebie ze strachu, żeby Gromny spokojnie ze skrzypcami przez granicę przejechał?

On wiedział o mnie?

- Babo, pewnie, że wiedział!

Przyprowadzisz ją?

Ma u mnie dług.

Powinna przyjść.

- To znaczy, że do filharmonii naprawdę żona Camparo telefonowała?

A Nalewajczyk był wami w znowie?

- Co?

Kto?

Mam na dzisiaj dość.

Kiedy indziej ci resztępowiem.

Słaby jeszcze jestem, no nie, ale dojdę do siebie.

Przyprowadź ją.

Wigilia jutro, no nie, to nawet psu się nie odmówi.

To jak, przysięgasz?

Wszystko ci powiedziałem, Babol.

- Nie wszystko.

Co z tą dziewczyną?

Tę..

zgwałconą?

- Jak to co?

Łeb mnie napierdala!

A co z nią ma być?

Nie wiem.

401.

- Powiedziałaś, że.

nie żyje, że na wysypisko.

- Ojej, a ty to kupiłeś?

To był pomysł Księżyka, żebyś był jeszcze bardziej w strachu.

Nie wiem, co z nią.

Popłakała po rżnięciu i do domu poszła.

Daj mi już spokój.

- Czyli żyje?

- Żyje, chyba że ją samochód wczoraj przejechał.

Ewę przyprowadzisz?

- Spróbuję.

W domu nie mogłem się otrząsnąć.

Ta dziewczyna - Teodor miał rację!

Zastraszili mnie.

Czułem ulgę, mając pewność, że nie przyczyniłem się do niczyjej śmierci.

Gromny - to stąd te jego rozterki!

Dlatego pewnie nosił wciąż przy sobie piersiówkę pociągając z niej nieustannie.

A jego wrażliwość oczyszczała moją atrakcyjność seksualną.

Moją i Darka!

I potrafił być tak doskonale nieprzemakalny dla pięknych oczu panny Ewy!

Kasprzycki czerwieniał się, krygował, uśmiechał - a przecież miał piękną żonę, dziecko.

Stefan zaś Ewę całkowicie ignorował.

A jak przy tym cwaniak!

Wykiwał ich wszystkich!

Księżyka, Gerarda, całą szajkę.

I to on, na spółkę z Nalewajczykiem, dokonał kradzieży?

Tak po prostu wszedł, podał skrzypce przez okno i.

to wszystko?

A więc tak łatwo jest ukraść stradivariusa?

No tak, ale potem trzeba zmylić wszystkie tropy, milicję, kolegów.

I ani słowem się nikomu nie zdradzić.

Zaraz, a wtedy, w tej kawiarni, tam, gdzie byliśmy z Darkiem?

Co on mówił?

Coś o dorosłości i rozkazach.

I na koniec powiedział mi - trzymaj się.

To mógł być znak.

Żeby mi się przypomniał, gdy będę w tarapatkach.

A bał się powiedzieć więcej.

Obaj byliśmy przecież w tym samym gównie po uszy.

A on nawet sam się w nim zanurzył!

Na co Gerardowi Ewa?

Czy ktoś tak jak on w ogóle potrafi kochać?

Okazywać czułość, przywiązanie?

Co on może od niej chcieć?

Będzie ją prosił o ostatni pocałunek?

A może liczy na jej opiekę do końca swoich dni, w zamian za uratowanie życia?

Obiecałem.

402

Takiej gni gdzie jak on?

Niech się w dupę ugryzie!

Ale obiecałem.

Tata zawsze mówił: nie chcesz czegoś zrobić - nie obiecuj.

Jak obiecałeś, zrób wszystko, aby słowa dotrzymać.

Tego wymaga szacunek dla samego siebie!

Czy tata się do tego stosował?

Coto maza znaczenie?

Na obiad zjadłem mięsną konserwę z chlebem i pojechałem do Ewy.

Rozmowa była na telefon.

DO ĆÓĆI O UROĆINY18bo ja sce zaprosić kolekuf jaki duszy jestemi pokazać
pokuj gćie śpię i coce jaka fajna to oni by przyjszli zijedli pobawawili ipojszli iszefc tesz
bybyuł to coca jak srobi toryt toja bendeł barzsozadolowolony ikana,pki, wiencja ćóći ćekuije
aprosze, kolekuf akońnik iestdla ćóći na szeńśće

Nadwa tygodnie przed swoją osiemnastką Stasio dał mi kartkę z prośbą o
zorganizowanie urodzin.

Dołączył do niej drewnianą figurkę - całkiem zgrabnego konia z bujną grzywą, kopytami
pomalowanymi na czarno i czerwonymi oczami.

Całość wyglądała dość demonicznie, ale przecież nie mogłam mu tego powiedzieć.

Nie miałam powodu mu odmówić, zresztą - niby dlaczego?

Nie bardzo tylko wiedziałam, kogo chce zaprosić.

Początkowo Staś nie chciał uchylić rąbka tajemnicy, ale w końcu okazało się, że koleguje się
z chłopcem, którego poznał w parku i który ma "całkiem fajnego kumpla", ten kolega zaś ma
znajomego, nazywanego przez Stasia

Szewcem.

Czy to przezwisko, czy nazwisko, czy też może.

zawód tego, chłopaka - tego Stasio nie wiedział.

Ale twierdził, że Szewc do brzozy na, bardzo lubi, i bez niego niewyobrażasz swoich urodzin,
bo Szewc mu często funduje lody, więc jakby to było, gdyby go nie zaprosił na urodziny,
na które "ciocia tort mi taki pyszny zrobi".

Pozostał dwójkę też podobno lubił i często się nim było spotykać.

Przyszli o czasie, w eleganckim, ładnym.

Ten nazywany Szewcem, sporo starszy, może dwudziestopięcioletni, pozostali raczej w wieku
403.

Stasia.

Grzecznie jedli kanapki, asystowali przy gaszeniu świeczek, śpiewali "Sto lat".

Później zamknęli się w jego pokoju.

Najpierw gadali, słyszałam śmiechy, żarty; włączyli tranzystorowe radio i słuchali koncertu życzeń.

Uspokojona, zadowolona zeszczęścił mojego "syneczka", ukojona melodią Chryzantem złocistych, sprzątałam po przyjęciu, potem pozmywałam, wciąż nucąc kolejne, dobiegające zza drzwi, przeboje.

Już nie pamiętam, co konkretnie mnie zaniepokoiło.

Radio ucichło, z pokoju Stasia przestały dobiegać żarty i śmiechy.

Chociaż w samym tym fakcie nie było nic dziwnego i niepokojącego, to nagle zrobiłam się czujna, a wcześniejsze wrażenie miłej sielanki odeszło w niebyt.

Bloki, cienkie ściany - usłyszałam głębszy jęk, zduszone westchnienie, podeszłam pod drzwi.

Stałam, na razie tylko napężona i zdziwiona, i słuchałam dochodzących ze środka odgłosów.

Jakieś szuranie, ciężki oddech, regularny, ale narastający, wzbierający.

Chyba nie chciałam nawet pomyśleć, co to może być, chętnie bym sama siebie oszukała.

Ale ten niespokojny oddech zaczynał jakby chrząkać, a szuranie przeszło w regularne stuknięcia.

Drzwi nie miały zamków.

Nie wytrzymałam, krew podeszła mi do gardła, wtargnęłam do środka.

Na leżącym na tapczanie rozebrany Stasiu podrygiwał Szewc.

Dwaj pozostali chłopcy klęczeli naprzeciw siebie w kącie, pod ścianą.

Ich spodnie były opuszczone, ręce w ruchu, ustająco.

Moje wejście oderwało ich od siebie, patrzyli na mnie zdumieni okrągłymi, złymi oczami.

Tylko Stasio, wykręciwszy głowę do tyłu, uśmiechnął się i powiedział:

"To już będzie herbata?"

Ciocia zaparzyła?

Mamy przyjść?

".

Krzyczałam.

W moich rękach sama znalazła sielankę, taka z grubej żyłki.

Biłam na oślep, tłukłam po gołych nogach, pośladkach, po rękach, podciągających w pośpiechu i panice portki.

W ciszy znosili razy, uskakiwali, spiesząc się, zbierając swoje rzeczy.

Krzyczał tylko Stasio, tłumaczył wciąż o tej herbacie, że nie wystygła przecież, że

404

mogłam ich najpierw zawołać, powiedzieć, przecież by przyszli, wypili,

dokończyli pysznego tortu.

Stałam z siatką na środku pokoju.

Stasio, wciąż rozebrany, klęczał, składał ręce jak do modlitwy, prosił, abym już go nie biła.

Przez policzek biegła mu czerwieniejąca pręga.

Drzwi wejściowe zatrasnęły się z hukiem, na schodach tupotały trzy pary przerażonych nóg.

Uklękałam, płakałam, skuliłam się.

Stasio zaczął mnie głaskać, pocieszać.

"Przecież herbatę ciocia jeszcze raz zaparzy, ja wypiję.

Szkoda tylko, że oni pouciekali.

Bo też ciocia tak krzychała i biła.

I teraz sama płaczę.

Ja im powiem, to następnym razem herbatę od razu wypijemy.

Niech ciocia już nie płacze.

Nawet bez tej herbaty fajnie było".

Zadzwonił telefon.

Chciałam wrzeszczeć, wyć, a tylko opadłambeził na podłogę.

"Tak, już po urodzinach.

Fajowo było.

Zenek, Mirek i Szewc przyszli.

Tylko herbatynie wypiliśmy i ciocia nie była zadowolona, i oni już poszli.

Ale fajowo to było.

Jak wujek przyjdzie, to możemy i dla niego urodziny zrobić.

Ciocie zaraz poproszę.

Tylko chwileczkę wujekzaczeka.

Ciociu - spokojnym, normalnym głosem powiedział Stasio i zajął do pokoju -

wujek Tymoteusz dzwoni.

Chce z ciocią rozmawiać.

Ale nie mów, ciociu, że tą herbatą tak się zdenerwowałam.

Niech się wujek nie martwi".

Nie pamiętam, co powiedziałam wtedy Tymoteuszowi.

Coś zdawkowego, w miarę przyjemnego i obojętnego.

W głowie miałam pustkę.

Gdy odłożyłam słuchawkę, Stasio, już ubrany, uczesany, siedział w salonie i pił herbatę.

Więc po to otaczałam Stasia opieką, miłością?

Nie wiedziałam o nim nic, nic nie rozumiałam.

Przecież rozmawiałam z nim codziennie, wypytywałam o każdy szczegół, godzinę, minutę, jaką spędzał poza domem.

Opowiadał wszystko szczerze, otwarcie, kłamstwo nieprzeszło przez jego usta - zresztą skąd on by miał kłamać?

Przecież od tych zdarzeń w fabryce minęło tyle lat,

405.

spokojnych, pogodnych lat w oddalonym od brutalności życia miejscu.
Przecież Stasio musiał zapomnieć, nietakie rzeczy potrafił zapomnieć, i to z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

Więc skąd?

Jak?

Dlaczego?

Kim byli, są, ci chłopcy?

I ten mężczyzna, zboczeniec.

Skąd Stasio ich wystraszał?

Od kiedy to trwa?

Jak z tym walczyć?

Czy dam radę?

Czy taka walka ma sens?

Szczególnie jeśli Stasio nie jest.

nie będzie w takiej walce moim sojusznikiem.

Patrzyłam, jak siorbie herbatę, jak na nią dmucha i krzywi się, gdy jest za gorąca, popatrując na mnie z niepewnym uśmiechem.

Moje oczy wyschły, serce bolało, bezradność przytłaczała.

Co miałam robić?

Jak postępować?

Następnego dnia próbowałam ze Stasiem rozmawiać, tłumaczyć mu, że to nie są jego przyjaciele, że go tylko wykorzystują, a wcale nie lubią.

"Ale ja ich lubię - odpowiadał.

- Zresztą Szewc to mnie lubi, Zenek i Mirek to mniej.

Ja Szewca też lubię.

Tak jak Czarusia, co to był w tamtym domu.

On się też tak lubił śmiać.

Szewc też się śmieje, a nie ze mnie, bo inni to ze mnie".

Znowu tłumaczyłam, głaskałam go.

Jego odpowiedzi były jednak niezmiennie.

Dowiedziałam się trochę więcej o tym, jak ich poznał.

Otóż przychodzili po lekcjach pod szkołę i zabierali różne dzieciaki nalody, naciastka.

Nie tylko ci trzej, ale jedynie ich Stasio polubił, bo z innymi to "czasami bolało, a tamci nieprzestawali.

Tamci to niesą moi przyjaciele, chociaż od nich to i pieniądze dostawałem.

A Szewc to mnie też tak dotyka, że fajnie jest i nic nie boli, tylko fajnie jest.

Tak jak z Czarusiem było".

Czułam, że zderzam się z murem, nieumiem się przedrzeć i niebardzo wiem, jak to zrobić.

Nie mogłam przecież zabrać Stasia ze szkoły, trzymać go zamkniętego w domu jak pieska, szczeniaczka.

W szkole był psycholog, nie budził jednak mojego zaufania.

Stary jakiś obleśny.

Mogłam pójść do dyrektora szkoły, żądać dla dzieci ochrony, większej uwagi.

Ale przecież takiej ochrony nikt nie mógł przyciągnąć na całe

406

miasto.

Nie sposób było takiego Stasia ochronić przed nim samym.

Zaduży był, aby to robić wbrew jego woli.

A w swym postępowaniu niewiedział nic zdrożnego, groźnego ani dziwnego.

Wszyscy chłopcy przecieżto robią!

- mówiliśmy z wyrzutem, gdy próbowałammu uświadomicniewłaściwość stosunków łączących go z nieznanymi.

"Przecieżciociai wujek Tymoteusz też tak czasami jęczycie, a raz widziałem, jak wujekleżał na cioci!

Ciocia wcale niepłakała.

Ja lubię patrzeć wtedy na ciocię.

Ciocia mawtedy piękne oczy.

Szewceż ma takie oczy.

Czaruś też miał,aAnielka to zawsze zła była.

Złe oczy miała.

No,nie zawsze złe.

".

Wymogłam na nim tylko, aby więcej do domu Szewca z kolegaminie sprowadzał. Obiecałnawet wogóle się znim niespotykać, alejegosprytny uśmiech zdradzał kłamstwo.

Ewę zastałem z rękami połokcie urobionymi w cieście.

Razemz mamą, panią Ludmiłą, piekły własniedrożdżowe z kruszonką.

Ucieszyła się na mój widok,kazała wejść, usiąść i zaraz uraczyła mnieróżnymi, szykowanymi na święta przysmakami.

Pochwaliłem szczerzebigos i gotowaną szynkę, których zjadłem imponującą ilość, nie najadłszy się widać konserwą.

Nie bardzo smakowały mi wypieki - zasuchymakowiec i gliniasty piernik.

Jednak ciasta też chwaliłem, chłonaćprzy tym przedświąteczną atmosferę,przyglądając się matce icórceszukującym następnie słodkości, podczas gdy pan domu przygotowywałprzepalankę, opowiadając wciąż o Wigilii na wsi, gdzie się wychował.

Zdzisiek, bratEwy,był na nartach w Zakopanem,chyba nawetz Elą.

Najmłodsza latorośl Oleckich, dziesięcioletni Mirek, pełen przejęcia tłukł orzechy na tort.

Wyglądali wszyscy na szczęśliwych: uśmiechnięci, dzielący te same radości,pełni ciepła dla siebie i dla obcegoprzybysza- dla mnie.

U siebie w domu, nieumalowana, ubrana tylko w przybrudzoną jakimś kremem podkoszulkę, zupełnie pozbawionazalotnej pozy,wydała mi się Ewa dojrzałą, mądrą kobietą, taką, którą kochać będą

dzieci, poważać sąsiedzi.

Będziechodźlana wywiadówki, prała i cerowała, sprzątała.

Zrobi to wszystko dla jednego, ukochanego mężczyzny

- kiedy już go znajdzie.

Czy zasługiwałem na coś takiego?

Czypotrafiłbym uszanować jej trud, poświęcenie?

Cieszyć się własnym domem, ciepłymjego ogniska?

Siedziałem iłupałem z Mirkiem orzechy, cały czas na granicypłaczu.

Nasze puste mieszkanie, Paulina zauroczonanarcystycznymMaćkiem, Michał u ciotki Julci, Mateusz ze swoją rodziną w Warszawie.

I rodzice, na cmentarzu, połączeni na wieki.

Dlaczego innymlos oszczędził rozbicia, smutku, samotności?

Mama Ewyzanurza palec w słodkiej polewie do piernika i daje mężowi do spróbowania.

Śmieją się przy tym oboje jak dzieci.

Mirekpróbuję zgnieść włoskiorzech w rękach, purpurowieje z wysiłku, wreszcie słyhać trzask

- i cała rodzina bijemu brawo, cieszą się jego dumą i radością.

-A gdziepan spędza święta, Tomku?

Ocknąłem się.

To do mnie mówi pani Ludmiła, przyglądając mi się uważnie z takim ciepłym, matczynym zainteresowaniem.

- Chyba w domu.

Siostra pewnie coś przygotuje- mówię bezentuzjazmu, nie umiem się pozbyć z głosu smutku.

- A nie zajrzałyby pan do nas?

Zapraszamy.

Również na Wigilię.

- Dziękuję, pani Ludmiło, ale.

-Tomek!

Mojej mamie się nie odmawia.

Prawda, tatko?

- Prawda, to bardzo niebezpieczne.

-Kogo wy ze mnie robicie!

- oburza się pani Ludmiła.

Ewa jestzupełnie do niej niepodobna, może oczy tylko mająte same.

- Toco?

- pyta pan Olecki.

-Czekamy, aż się przegryzie, czypróbujemy po kieliszeczku?

- Ja ci dam, Wojtek!

-Taktylko żartowałem - śmiejesię pan Olecki i puszcza domnie oko.

Zaraz zabiera się zawielki kawałwołowiny.

Myjego i zaczynasolić, przyprawiać.

408

- Nie ma to - mówi przytym do mnie - jak własnoręcznie przyrządzona wędlina.

To, co ja turobię, to tylko namiastka.

Gdybymmiał chociażmaleńką wędzarnię.

Ale i tak, jak się taką wołowinkępieczeni pokroi na cieniutkie plastereczki, to żadna kielbasa konkurencji nie wytrzyma.

- Tybyś tylko jadłi jadł - śmieje się z niego Ewa.

-A co?

Gruby przecież niejestem, to dlaczegobędę sobie odmawiał?

- Chudzi też nazawał umierają.
Tłuszcz się odkłada nie tylko w brzuchu, kochanie - i pani Ludmiła podchodzi do męża z następnaporcją do spróbowania na palcu.
- Będę mógł obejrzeć Kajaka?
- pyta nagle Mirek.
- Wszystkie orzechy potłukłem.
- Będiesz, będziesz.
A i wódeczka z cukrem zdrowa nie jest.
- Nic, tylko mnichem zostać.
Wtedy chociaż człek może robić, co chce.
- Akurat - mówi Ewa.
- Już widzę, jak ty wstajesz o szóstej i najutrznie spieszysz.
- Ja byłbym w bractwie o luźniejszej regule.
- Kto idzie na Kajaka?
- Zakon Śpiących Rycerzy!
- śmieje się pani Ludmiła.
- Albo Kawalerów Kryształowego Kieliszka - dodaje Ewa.
- To do ciebie pasuje.
A Miruś byłby twoim giermkim.
- Ty, pannico, możesz za to być członkinią sekty pudrowanych nosków i malowanych pyszczków.
- Mamo - dobiegło z pokoju.
- Dajmi kanapkę z szynką.
Albo dwie.
- Chodź, Tomek.
- Ewa wzięła mnie za rękę.
- Posiedzimy trochę u mnie.
Pachniała cukrem waniliowym, dłoń miała ciepłą, otaczała ją pogodą.
Ale w swoim pokoju zajęła się pakowaniem prezentów pod choinkę.
Gadaliśmy o marcowym wyjeździe do Francji, opowiedziały ostatnie rewelacje o Teodorze.
409.

Nie wiadomo, czy nie przeniesie się na wybrzeże.
Zaproponowali mutam koncertmistrza i własną klasę na uczelni.
Jestem pewna, że odmówi.
Co on tu u nas ma?
Tylkotę naszą orkiestrę.
Szkodabyłoby, nie?
Cała nadzieja w jego żonie.
Ona jest u nas, w Jaraczu, świetnie ustawiona.
A u aktorów to tylko układy się liczą, bo i tak; każdy wszystko umie.
Zawsze myślałam, że będę aktorką, ale teraz nie; żałuję.
Patrz, to będzie dlataty - pokazała migrującego sweter z owczej wełny.
- Podobałby ci się taki?
- Słuchaj, twoja mama, to tak tylko kurtuazyjnie?
- Z czym?
A, chodzi o święta?
Nie, czemu?
A to dla Mirka.
Pif, paf - strzeliła do mnie ze składanej dwururki.
- Będziem się podobała, nie?
- Chyba już jest trochę za duży?
- On uwielbia bawić się w Indian.
Czyta właśnie Winnetou.
Jak chcesz, to przyjdź.
Fajnie będzie.
Tata miałby z kim wypić.
Tylko żeby się nie zaprawił, tak jak.
no wiesz.
- Jakby Teodor wyjechał - wolałbym zmienić temat - to znasz orkiestrę nici.
- Czemu?
Ty byś prowadził.
Odpulpitu.
Bamblinśka Orkiestra Kameralna.
- Ewka!
- To brzmi prawie jak berlińska, słowo daje.
- Cała nadzieja w tej jego żonie.
- Nie podoba ci się mój pomysł?
A co ty dostaniesz pod choinkę?
Uśmiechnąłem się.
Ostatni raz prezenty pod choinkę widziałem przed śmiercią taty.
Później jeszcze raz urządzaliśmy święta z ciocią Julią, ale upominek dostał tylko Michał, jako najmłodszy.
Nie myślałem, że dorośli też bawią się w Mikołaja.
- Różgę.
Nie byłem grzeczny.
- Och, Tomek - objęła mnie nagle i gorąco pocałowała.
- A wiesz?
- oderwała się ode mnie równie gwałtownie.
- Będę miała dla ciebie prezent!
Musisz przyjść na Wigilię.

- To przecież wasze święto, rodzinne.

Ja sobie poradzę.

Zresztanie mogę Pauliny samej zostawić.

- Jak chcesz.

Ale przyjdź chociaż w pierwszy dzień, to spróbujesz(mojego keksa.

Pierwszy raz w życiu zrobiłam!

Leżakujejuż ponadtydzień.

i - Przyjdę,z przyjemnością.

Słuchaj, a jutro.

- No właśnie.

Ty wiesz, że nie mamy jeszcze choinki!

Tacie obiecali wpracyna dzisiaj i ktoś coś skrewił.

Jutrood rana jadę na bazar.

Pomógłbyś mi?

Wezmę Mirka, jak niemożesz, ale.

-Pewnie.

Pojadę z tobą, tylko.

i:

- To świetnie, bo będziemy mogli kupić takąwielką, pod samsufit.

Sama bym takiej nie przytargała.

- Ewa.

- Ale ona właśnie usiadła mi na kolanach i pograżyliśmy się w długim pocałunku.

- Uwielbiam święta- powiedziała z roziskrzonymi oczami, poprawiając mi kosmyk włosów koło ucha.

- Nie ma nigdy takiego.

nastroju jak teraz.

Jestem rozmarzona i.

łatwa!

- Ty kusicielko!

W domu jest pełnotwoich rodziców.

- Ale pocałować mnie możesz.

Nie powiem jej,to bzdura.

Usta tak słodkie.

Moje ręce same poszukały wiotkiej talii, wślizgnęły się pod koszulkę i powędrowały do góry, napotyając przeszkody, które równocześnie potrafią być jędrne i miękkie, delikatnei twarde.

Co mnie obchodzi ten cholerny Gerard?

Zamknąłem rękę na źródle życia, ciepłym iprężnym.

Jak pyszczek rozkosznego szczeniaczka o czarno-różowychwargach, co szuka twardym izimnym noskiem schronienia, tak jej wiśniowy guziczek wypełniał wolną przestrzeń, drażnił wnętrze mojej dłoni;

łechtął, sam odbierając pieśczołę, mrużąc prawie ze stulonymiwzdłuż głowy uszami. Jej ręce wciąż badały długość moich włosów,czesaly pod prąd, odnajdywały uszy, zaglądając ciekawie do środka

i budząc dreszcz, który rozlewał się po całym ciele, by wrócić naszym gorętszym, mocniejszym, i zejść powtórnie na ramiona, brzuch, aż do łądźwi.

Drugi piesek jakby sam odnalazł moją łądź i wężąco wyszukiwał dla siebie najlepsze miejsce wśród palców.

Raz wszedł pomiędzy serdeczny aśrodkowy, pochwili był na poduszeczce kciuka, we wzruszonej tam wilgocią skórze, by za moment ocierać się obrzeg najmniejszego z pięciu braci i wyglądać ciekawie na szeroki świat.

Czyż może być coś ulotniejszego, bliższego magii?

Byłem tam, trwałem w zachwycie, oczarowany, lecz również sam wyczarowywałem mgłę pod półprzymkniętych powiek.

Ulotnym dotykiem budziłem nierówny oddech, co zamierał na ułamki sekund, cofał się, by powracać gorącym westchnieniem.

Nagle te same koniuszki palców przypomniały mi inny dotyk, inne odczucie, sprawdzanie czegoś o wiele mniej przyjemnego, budzącego dreszcz wstrętu i grozy. Toż te same paluchy szczyptały skórę na stopach Gerarda i aż drętwiały od wysiłku. Dotykając teraz najczulszych, najwrażliwszych miejsc - przypomniały mi o wiecznej martwocie tamtego nieszczęśnika.

A przecież to on Ewę.

Usta tuż przy moich, tak zmysłowe, miękkie i słodkie.

A przed oczami miałem nagle inne dziewczęce wargi, kiedyś pełne podobnego żaru, a teraz wąskie, wyschnięte, zamknięte w twarzy ogołoconej włosów, zdolne tylko wypowiedzieć słowa pozbawione nadziei.

Przepraszające za.

Czemu poszedłem do Gerarda, a nie odwiedziłem powtórnie Marcysi?

Czy on więcej dla mnie znaczy, czy też to strach?

A może właśnie jego już się nie boję, podczas gdy widok kredowobiałej cery Marcysi budzi mój lęk.

Niechęć.

Obrzydzenie.

Wzdrygnąłem się, przejęty nagle jakimś irracjonalnym strachem, czując jakieś fatum w zwrocie mych myśli.

Jej ręce zamarły w moich włosach.

Wyczuła coś!

- Mój pokój można zamknąć.

Oni będą teraz robić karpie - szepnęła mi do ucha.

Głos matowy, poważny.

Lecz po chwili dodała, już

412

z jej zwykłą filuternością: - Obyśmy tylko za daleko nie zabrnęli w takim zamknięciu!

Szukając poprzedniego podniecenia, wzniosłego nastroju, całowałem dość mechanicznie wdzięcznie wygiętą szyję.

Ale moje ręce już nie były schronieniem dla bezbronnych szczeniąt.

W głowie pustka i dziwna obawa.

Niemal strach.

Z kuchni dobiegł hałas, coś spadło.

Aż podskoczyłem.

- Coś ty taki nerwowy, mój panie?

Ocierałem z czoła zimny pot.

Serce miałem w gardle.

Ciałoobojętne i gorzkie.

- Tomek, o co chodzi?

Ten Gerard!

Cholera by go wzięła.

Próbowałem całować ją znowu, szukałem w sobie zachłannośćisprzed kilku zaledwie minut.

Rękami ogarniałempółkule piersi,a przed oczami miałem powolny ruch głowy Gerarda.

Ewa dotknęławargami moich warg, aja widziałem,jak palce Marcysi szeleszcząprzy wyschniętych ustach.

Cholera.

Niech to szlag!

Palcami dotknęła uszu, a ja przypomniałem sobie spłoszone wrony.

Pachniała wciąż wanilią,obięcywała tyle ciepła,była tak blisko.

- Mamo - rozdarł się z równoległego świata Mirek.

Ja chcęjeszcze jedną kanapkę z szynką.

- Nie mam terazczasu.

Poproś Ewę.

- A gdzie ona jest?

Wcałe niebyłem zły, gdy za chwilę rozległosię pukanie do drzwi.

Poprawialiśmy pospiesznie pomiętagarderobę.

Ewa, uśmiechając się,uladzała moje i swoje włosy.

- Ewa, zrób mi kanapkę - dobiegło wraz z szarpaniem za klamkę.

-Dlaczego zamknęłaś?

- pytał,oglądając po chwili z zainteresowaniem wnętrze pokoju.

- Uciekaj - wyganiałago Ewa.

- Tu są prezenty od Mikołaja.

Zjeżdżajstąd!

413.

- To ja już pójdę.

-W gardle zagościł mi pustynny piach.

Nie byłojak przełknąćśliny.

- Poczekaj, Tomek.

Odprowadzęcię na przystanek.

Cały dzieńniebyłam na dworze.

Odetchnę trochę.

Zrobiła bratu kanapki i poszliśmy.

Teraz czułem żal.

Ale co z tego?

Mamją całować w bramie?

- A może jednak wpadniesz do mnie któregoś dnia?

- spytałem, biorąc ją za rękę.

-U mnie jest znacznie spokojniej.

- Ach, jakie powietrze.

To o którejmożesz przyjść na bazar?

- Co?

-Przecież obiecałeś mi pomóc!

- A tak, choinka.

Nadziesiątą starczy?

- Lepiej o wpół.

Potem jeszcze trzeba ją ubrać.

Może być o wpół?

- Może.

A nie wykroiłabyś jutroz pół godzinki dla.
no..

niewiem, jak ci to powiedzieć.

- Tylko nie mów, że dla Gerarda!

-Czemu nie?

- Daj mi spokój.

-Ewa!

Co ty?

Jabyłemdzisiaj u niego.

On tak prosił, czy byś nieprzyszła.

Oncię pamięta.

- Ja też go pamiętam!

Alenie pójdę do szpitala.

Nie!

- Czemu?

On przecież nicnie może.

- Brzydzą się.

Nienawidzę kalek, szpitali, chorych, nienormalnych.

Boję się ich.

Daj mi spokój.

Musiałeś dzisiaj!

Było takfajnie- w jej głosie żal, pretensja.

- Przepraszam.

On tylko prosił.

Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

No cóż.
Spróbowałem.
Nie wyszło.
Ale mam czyste sumienie.
- A mówisz, że go nie lubisz, że to twój wróg.
Tomek, zostaw go.
On jest.
- Teraz to on jest tylko wrakiem.
Sam nie wiem dlaczego.
Wiesz, on nawet nauczył się płakać.
Jest jak żółw w za dużej, zaciężkiej
414
skorupie.
Jakby mu ktoś tę skorupę woźdźcami do podłogi przybił.
To go zmieniło.
- Niewierzę.
Zostawmy ten temat.
- Naprawdę.
Opowiedział mi wszystko, sam, bez poągania.
Nie miał wypadku, tylko go kompani z dachu zrzucili, bo chciał odejść szajki.
Ten Księżyk, o którym ci mówiłem.
- Tomek, nie chcę dzisiaj słuchać o Gerardzie.
Rozumiesz?
- Ale.
- Jesteś głupi i naiwny.
Szkoda tylko, że taki ładny.
Cześć.
Odwróciła się i pobiegła w stronę bloków.
To dziwne, nie musiałem jej tego proponować, aby wiedzieć, jak się zachowa.
Czułem, że właśnie tak.
Przecież mogłem Gerardowi skłamać, nie miał szans tego sprawdzić.
Co za kretyńskie samoumartwienie się!
I to dla kogo?
Po co?
A Ewa?
Co się stało?
Dlaczego dzisiaj sama.
Poprzednio tak się oburzyła.
- Tomek, Tomek - wołanie dobiegało z daleka, była granicą słyszalności.
-Jutro.
Bazar.
Czekam.
- Machała do mnie pomiędzy bloków.
Podniosłem rękę na znak, że słyszę, przyjdę, pamiętam.
Czyli nie obraziła się aż tak strasznie albo ta choinka dla niej tyle znaczy?
Jedną dziewczętą z naszego bloku, Krzysia, którą kiedyś przezywano Marusią, pewnie ze względu na rude włosy, bo do Poli Raksy nie była na pewno podobna, kształciła się na pielęgniarkę.
Załatwiłam jej praktyki w moim szpitalu.
Prosiła o to jej matka, a i sama dziewczyna wydawała mi się miłą, pracowitą i uczynną.

Czemu miałamnie pomóc, jeśli mogłam?

A że Krzysia okazała się materiałem na naprawdędobrą pielęgniarkę, to pomogłam w ten sposób iszpitalowi, i sobie,bo miałamw niej zaufaną osobę, życzliwą, dyskretnąi myślącą.

Pewnie dlatego, bo sama nie umiałabym jednak kontrolować Stasiawystarczająco dobrze, zdecydowałam, że on mógłby, zamiast wałęsać

415.

się całymi dniami po parkach, spędzać swój wolny czas w szpitalu.

Stasio znakomicie nadawał się do wykonywania prostych czynności, na przykład takich, jak zawożenie brudów do pralni i przywożenie na oddział czystej pościeli.

Obie cierpliwie nauczyłyśmy go tę czystą dziedź potem segregować, układać na półkach według określonego porządku, tu piżamy, tam powłoki i prześcieradła, a gdzie indziej znów skarpety i majtki.

W schowku na bieliznę ustawiliśmy mu maleńkie biurko, przy którym siedział i oglądał komiksy, kiedy nie był od niego nic doroboty.

Wyższy personel traktował go jak powietrze.

Mam wrażenie, że tak naprawdę spośród lekarzy nikt go nie zauważał!

Pielęgniarki urobiłam, a dla salowych Stasio był prawdziwą pomocą wyryką, bo chociaż i z zapalem wykonywał za darmo, zaco im
płacono.

Albo ja, albo Krzysia raz na jakiś czas zaglądałyśmy do niego, sprawdzałyśmy, czy dopustej głowy nie wpadnie jakiś dziękopomysł.

Ale mijają miesiące i Stasio coraz bardziej, coraz lepiej wrastał w szpitalny krajobraz.

aftedy cośne poszuoiszefc izenek imirek pszestarasz, yli ćoći, iakih biuabiua, alena mnę ne kszyczeli bosom pszyiaćele, tylko do mnę ne hćelihoćić, itopasowauo, boia, teszne hćau, boćoćia, jak, kszyczy tone, lubię, choćasz ćoćie lubię aza czarušem ia tenskne ibym, pojehaul, nawet nehańelka sobie beunće inehpatszypatszy to, nawe, tdam czarušowi wszyskietuda boañelka to nic ne, lubiua tylko patszeć się lubiu, ta taksamo iak, nekture, luce ze śpitala gće ciocia pracui.

je imaruša pracuije igćie, iamogeśećeć i wośćić, i gće fartuhmam, byiauy, aiak, ne, ma gće wośćić, to pisa.

ćmoge.

aiak, wosze to luće nekturetak, lubiom patszeć.

iakańelka kiedyślepatyszyu, ła

Rozdział podchodów.

Choinkę kupiliśmy ogromną.

Trzebabyło ją dotachać na miejsce nawłasnych plecach, bo nie zmieściłaby się do żadnego autobusu ani tramwaju.

Mirek cieszył się jak pięciolatek, powyciągał wszystkie swoje żołnierzyki i bawił się nimi na gałęziach drzewka.

Sam tak robiłem w czasach, gdy jeszcze mieliśmy własny dom.

Tata, gdy bywał na święta, kupował drzewka jeszcze większe od tego, boi nie byliśmy ograniczeni rozmiarami współczesnego budownictwa.

A tę choinkę musieliśmy z panem Oleckim najpierw porządnie przyciąć, ucywilizować.

Zjedliśmy z Ewą, na rozgrzewkę po choinkowym spacerze, zupę-krem z suszonych śliwek.

Głodny byłem, nie tak bardzo jednak jedzenia, co świątecznego nastroju, rodzinnego ciepła. Wczoraj wieczorem Paulina zaprosiła mnie na Wigilię i święta do rodziców Maćka, gdzie ona zamierzała być przez całe trzy dni.

Odmówiłem.

Liczyłem na powtórzenie propozycji ze strony Oleckich i nie zawiodłem się.

Koło dwunastej wyskoczyłem do miasta i kupiłem prezenty.

Skarb w srebrnym jeziorze dla Mirka, ładne, ozdobne szachy dla pana Oleckiego i kryształowy wazon dla pani Ludmiły.

Najwięcej nabiedziłem się nad wyborem prezentu dla Ewy.

Nie chciałem kupować jej obojętnej szmatki z Peweksu, sprzętu do pokoju ani książki.

Miałem sporogotówki.

Nie szalałem i pieniądze konkursowej nagrody były prawie nie naruszone.

Kupiłem złote kolczyki.

Trochę za drogie na niezobowiązujący koleżeński prezent, ale przecież nie tak oficjalnie jak pierścionek.

417.

Gdy wróciłem o piątej, kończono ostatnie przygotowania do wigilijnej wieszery.
Mirek ślezczał przy oknie, czekając na pierwszą gwiazdkę co chwila przekonując, że właśnie ją zobaczył.

Gdy to wypatrywaniu się znudziło, zaciągnąłem do swojego pokoju i ponad godzinę graliśmy w makao.

Wreszcie wszystko było gotowe.

Oplątek.

Piękny, ciepły obyczaj.

Po uprzejmych życzeniach ze starszymi Oleckimi i z Mirkiem, stanąłem naprzeciw Ewy.

- Tomek - nie patrzyła na mnie, nagle się zmieszkała.

- Życzę ci zdrowia, szczęścia i rozsądku.

Masz tyle talentu, tak pięknie grasz.

Powinieneś tylko.

No, żebyś wiedział, czego chcesz.

Tego ci życzę.

Ułóż moje.

- Podała mi resztki opłatka.

- Dziękuję.

- Ciężko mi było mówić, miałem łzy w oczach.

Ten rodzinny nastrój, ciepły uśmiech Ewy, chociaż skierowany w podłogę.

- Ja chciałbym.

Życzę ci.

szczęścia.

A jak ty mi rozsądku, to ja tobie.

stateczności, bo talentu też ci.

- Ach, ty - zaśmiała się.

Też miała łzy w oczach.

- Stateczność dopiero po pięćdziesiątce.

- No to ci tego życzę.

Od wielu lat, może nigdy, nie byłem na takiej Wigilii.

Mimo że prawie pełniłem tam rolę niezapowiedzianego gościa - tego od zapasowego nakrycia - czułem się w pełni zadowolony z ich wzajemną życzliwością, ze spokojnym dostojeństwem w celebrowaniu święta.

Już kolejny raz nie poznawałem Ewy.

Jak można być tak inną osobą w domu i w szkole, wśród kolegów?

Mirek rozdawał prezenty i jako pierwszy wręczył Ewie kolczyki odemnie.

A ona, nie czekając, odruchowo i spontanicznie zerwała papier. Pierwsze spojrzenie skierowała na mamę, ale pani Ludmiła zaprzeczyła.

- Tomek, tak nie można!

Przesadziłeś!

- kręciła głowę żałowana, lecz pokraśniała z emocji.

- Za duże?

418

- Ja ci dam!

Niewolno kupować tak drogich prezentów!

- Ewa ma rację - pokiwał głową pan Olecki.

- Jeden musi pan wziąć z powrotem.

- Tato!

-No już.
Mirek, rozdawaj dalej.
Szachy, wazon i książka też zostały przyjęte z wdzięcznością.
Jadostałem również książkę.
Duży ilustrowany album o europejskich, chociaż głównie włoskich, mistrzach lutnictwa.
Byłam zdjęciami wielostradivariusów.
Nie potrafiłem jednak odgadnąć, czy między nimi znajdowała się ilustracja instrumentu, na którym grał Camparo.
Państwo Oleccy zajęli się sprzątaniem ze stołu i krojeniem ciasta, Mirek bawił się otrzymanymi prezentami.
Ewa przyglądała mi się z uśmiechem, gdy, usiadłszy w kącie, pilnie kartkowałem książkę, zatrzymywałem się przy każdym zdjęciu.
- Nie ma - powiedziała.
- Szałkote z państwowych kolekcji.
Przejrzałam już wcześniej, też byłam ciekawa.
- No, teraz bym już się nie pozwoliła brać - mówiłem do niej szepsem.
- Dziękuję, to piękny prezent.
- Ty mi jeszcze musisz dziękować!
- Była już w kolczykach i wdzięcznym ruchem odśloniła włosy, abym mógł podziwiać nową ozdobę w całej okazałości.
- Podobają ci się?
Bo to wiesz, ani wybrać nie jest prosto, ani zawiłego wyboru nie było.
- Podobają ci się, podobają.
Tylko niemyśl teraz, że.
- Coś ty!
- popatrzyłam na nią odrobinę przestraszony, ale ona miała w oczach te swoje figlarne iskielki.
- Naprawdę nie?
- zrobiłam mutną minkę.
-A taką miałam nadzieję.
- Ewka.
Wolę, jak jesteś.
W domu jesteś inna.
Wolę cię taką.
- No dobrze.
Nie będę pana Tomasza denerwować.
Śpiewaliśmy kolędy, oglądaliśmy rodzinne zdjęcia.
Było mi dobrze, ciepło, czas płynął leniwie, rozkosznie.
Pan Olecki opowiadał o Wigilii, jak przeżył w czasie wojny, w Poczdamie.
Byłam wywieziony na
419.

roboty i spędził w Niemczech ponad pół roku, w tym jedno Boże Narodzenie.

Wynikało z jego opowiadania, że nie byli specjalnie źle traktowani.

Owszem, było głodno i trzeba było ciężko pracować.

Alenik się nad ich grupą nieznęcał i gdyby nie tęsknota i niepewność jutra - tak mówił - to miałby z tego okresu nie najgorsze wspomnienia.

W Wigilię, jakby nazłość, podano im na obiad kiełbasę.

Po kilku plasterków, ale i to nie zdarzało się zbyt często.

- To była straszna rozterka.

Mało kto jednak zdecydował się trzymać post.

Ja sam tak pomyślałem: Boże, jeżeli miałbyś mi wziąć za te kilka plasterków, nawet jeśli podsuwane są przez szatana, tookazałbyś się bardzo małostkowy.

Mój Bóg nie może być taki.

Dlatego jadłem tę kiełbasę.

Do dziś pamiętam jej smak.

Długo o tym nikomu nie mówiłem, znaczy rodzicom, a kiedy w końcu powiedziałem, to uznali, że postąpiłem słusznie.

Smutne to były czasy, ta wojna i później.

Tak marzyłem, aby założyć rodzinę i żeby moje dzieci miały inne życie, jaśniejsze.

Zadzwoił telefon.

Pani Ludmiła poszła odebrać: "To Zdzisiek"

- krzyknęła z przedpokoju i zaraz wszyscy pobiegli rozmawiać.

Nagle uświadomiłem sobie, że Zdzisiek jest w Zakopanem z Elą, pewnie razem śpią, jeżdżą na nartach, śmieją się i śpiewają dzisiaj kolędy.

Tak niedawno miłość Eli wydawała mi się głęboka i szczerą, a teraz.

Zazdrość kłują.

Ostatecznie ładnych parę lat byliśmy razem, zapewnialiśmy się tak często o swej wzajemnej wierności.

A teraz.

W przedpokoju Ewa śmiała się do słuchawki, a na koniec powiedziała: "To pozdrów też Elę ode mnie".

Nic w tym przecież dziwnego

- były najlepšími przyjaciółkami, na wyjazdach mieszkaly zawsze razem.

Mój podniosły nastrój przysł i nie umiałem go odbudować.

Tłumaczenie sobie, że Ewa jesto wiele ładniejsza od Eli, nie pomagało.

Czy on musiał zadzwonić?

Było tak przyjemnie.

Wrócili do stołu, radośni, zżyci, tacy wszyscy.

razem.

A ja?

- Coś dziwnego - śmiała się pani Ludmiła.

- Nie poprosił o dosłanie pieniędzy.

Czyżby wydorósł?

420

- E tam - machnęła ręką Ewa.

- Ciągnie z Eli.

Ona zawszema forszę.

- Tonie jest sukces wychowawczy - pokręcił głową pan Olecki.

- Mężczyzna nie powinien nigdy kobiecie.

- Taki jesteś, tato, nowoczesny, a taki czasami staroświecki!

-Widzisz, Ewuniu, to nie ma nicwspólnego z upływem czasu.
Stosunki między kobietą a mężczyzną nigdy nie ulegną zmianie.

- Jak tonie!

-Tak naprawdę -nie.

Kobiety mają swoją emancypację, prawai tak dalej, ale przecież natury nie da się oszukać feministycznymihasłami.

A upodabnianie się do mężczyzna pewno doniczegodobrego doprowadzić nie może.

Zaczęli gorąco dyskutować na ten temat,a ja wyłączyłem się,myślałem o mamie, tacie, Paulinie, Michale, Mateuszu.

O Marcysi.

I o Gerardzie.

Tak!

O Gerardzie.

Wyszedłem do łazienki, usiadłem na zamkniętym kiblu i płakałem.

Dobry nastrój już nie wrócił.

Nawet w kościele, napasterce, wciąż miałem przed oczami śmiertelne zadławienie mamy, tatę na noszachi powolne ruchy głowy Gerarda.

W połowie nabożeństwa musiałem wyjść' z zatłoczonego kościoła.

Stałem namroznie i głęboko oddychałem.

Czułem się samotny, pokrzywdzony, zdradzony, poniżony.

Śniegu było mało,ale wziąłem te nędzne resztki w garść i rozsmarowałem sobie na szyi.

Pomogło.

Nagle przestałem rozczulać się nad sobą.

Ściekająca poplecach zimnawodaodegnała wisielczynastrój,pozwoiliła skupić sięna bardziej bezpośrednich niedogodnościach.

Oleccy próbowali mnienamówić, abym został na noc, ale, dziękując za piękną Wigilię, odmówiłem i nocnymautobusem wróciłem dosiebie.

Po drodze musiałem przejść koło szpitala.

Gerard tam był, czekałna mnie.

Jutro -ziewnąłemw ciemne okna ponurego budynku.

421.

Dla mnie to wszystko razem było trudne i pełne napięcia.

Wizyty Tymoteusza nie przynosiły mi ukojenia iradości, takiej prostej, rozprężającej, o jaką dotychczas było łatwo, a tylko nawarstwiały stresy, bo Tymoteusz swoje domowe problemy lubił uzewnętrzniać przede mną.

Coraz częściej w łóżku do niczego nie dochodziło, bo on, zanim jeszcze zdążył zdjąć płaszcz, już zaczynał swoje narzekania.

Oprócz nieustannych utyskiwań na żonę, matkę, doszły też kłopoty z młodszą córką, która podobno zrobiła się harda i wulgarna.

A i stosunki pomiędzy córkami przypominały, z tego opisu, otwartą i brutalną wojnę, pełną wyzwisk, zazdrości i nienawiści.

Przy tym ta młodsza, Natalka, ulubienica tatusia z czasów szczenięcych, umiała Marcysię doprowadzić do łez nazwołanie.

Marcysia zaś, przed operacją tak pełna wigoru i radości życia, podobno z dnia nadziei, z roku na rok, pograżała się w melancholii i odrętwieniu.

Niby powinnam mu współczuć, użalać się nad jego strasznym losem - tego pewnie oczekiwałam najbardziej - ale wraz z kolejnymi seansami nieustannych narzekań obojętniałam.

Gdy zaś zaczęła jeszcze regularnie płakać, a potrafił się rozmasać naprawdę nieoczekiwanym momencie, to po jakimś czasie przestałam go traktować jak kochankę, jak mężczyznę, a jednocześnie nie znalazłam w sobie siły, by wczuć się głęboko w los kolejnej pokrzywdzonej przez los istoty.

Tu nawet nie chodziło o te nasilające się seanse płaczu, bo nie uważałam łez za coś "niemęskiego", niewłaściwego.

Jednak jego słabość, to jak kiepsko - żeby nie powiedzieć wcale - radziło sobie z domowymi problemami, zamiast, jak dotychczas, wywoływać współczucie, zaczęłam nie mierzyć, a osam - niemal brzydzić.

I coraz częściej jego telefonów albo nie odbierałam w ogóle, albo zbrykałam go kłamstwami, unikami.

Oddalaliśmy się od siebie szybko.

Tak szybko, że aż się zastanawiałam, czy też kiedykolwiek byliśmy sobie bliscy!

Trudno powiedzieć, kiedy się rozstaliśmy ostatecznie.

Nie było jakiejś konkretnej rozmowy, decydującego kroku, tylko kropla po kropli, odmowa poddumowie, tydzień zamienił się w miesiąc, potem upłyły 422

na następny i kolejne dwa, i telefonów od Tymoteusza było coraz mniej.

Kiedy zaś upewniłam się, że mogę żyć bez niego, a nawet jest mi tak wygodniej i lepiej, to i on widać zrozumiał bezcelowość nieustannego wydzwaniania, może się w końcu obraził, może dotarło do niego, jak długo jest zbywany niczym, i przestałam go nagabywać.

Obyło się więc bez dramatu.

A że wciąż pamiętałam chorobę, w jaką opadłam po zerwaniu więzi z ojcem Tymoteusza, trudno mi było cieszyć się takim obrotem sprawy.

Dobrze ponad rok nie miałam ani z nim, ani z jego rodziną żadnych kontaktów.

Odnowienie ich nie miało początkowo nic wspólnego z naszymi wzajemnymi relacjami.

Było dużo dramatyczniejsze, bo dom jego szpitala powtórnie trafiła Marcysia.

Różnie to bywa z rakiem - tyle mogę z mojej wieloletniej praktyki powiedzieć mądrego.

Wciąż pamiętam Karola, przywiezionego do nas wyrokiem śmierci, bo trudno było wtedy raka płuc klasyfikować inaczej, a który po kilku miesiącach mojego kurowania ogrodością siostry, pięknej i rozszczębotanej Agnieszki, wyszedł ze szpitala zdrowy.

Do dzisiaj dostaję od niego regularnie kartki ze świątecznymi życzeniami.

Ale znacznie więcej widziałam dramatów, tragedii rozłożonych czasami na lata,bo, popoczątkowej remisji, niemal zawsze witanej hurraoptymistycznie, pacjenci wracali z powtórными objawami, przerzutami,przepelnieni wtedy zazwyczaj bólem, przerażeniem i często całkowiciejuż zrezygnowani, załamani do dna, do samych korzeni i tak przecieżwątłej nadziei.

Takto, po ponad czterech latach od operacji, trafiła do nas powtórnie Marcysia Perisenthoff.

Od razu poddano ją intensywniej chemioterapii.

I niemal natychmiast, bo już podwóch, trzech dniachw szpitalu, otoczona bólem, bladością i bezwłosymi koleżankami z pokoju,pograżyła się w czarnej rozpaczy, tak czarnej, że ani próby pocieszaniajej przez Krzysię, animoje usilne tłumaczenia, jak ważne jestjej własnenastawienie do leczenia, jak niezbędnajest jej całkowita i bezbrzeżnawiaraw wyzdrowienie - nic z tego do niej nie trafiło.

423.

A już na pewno nie pomagały jej płaczliwe wizyty matki czy teźszywne, niemal obojętne zachowanie ojca.

Wtedy znów zobaczyłam Tymoteusza, po przerwie tak długiej, że mogłam na niego popatrzeć z dystansem, obiektywnie.

I nieumiałam znaleźć w nim niczego, co by usprawiedliwiało moją wieloletnią fascynację panem mecenasem.

Oschły, wyniosły, pełen obojętności dla otoczenia - tak go, z niejakim przerażeniem, oceniłam. I przesadnie dumny, bo starał się ignorować mnie daleko bardziej, niż powinien ojciec pacjenta ignorować przełożoną pielęgniarkę na oddziale, gdzie leży jego dziecko.

Zresztą cała rodzina podczas odwiedzin sprawiała wręcz groteskowe wrażenie:

matka popadała co chwila zeskrajnej wesołości w czarną rozpacz, Tymoteusz stał przy łóżku córki w pozie indiańskiego wodza, z założonymi na piersi rękami, Natalka, ich młodsza córka, znudzonym wzrokiem przewiercała sufit, a babcia, mama Tymoteusza, co chwila poszturchiwała syna i wnuczkę, pouczając ich, żeby zabawiali chorą Marcysię, zamiast stać jak kolki.

Było to, zaiste, załóżniewidowisko.

I byłoby niemal śmieszne, gdyby tragedia dziewczyny nierozgrywała się naprawdę.

Przed szpitalem sprzedawano kwiaty.

Wziąłem trzy goździki i dwie gerbery.

Z przybraniem.

I poszedłem, wbrew sobie, może i wbrew niej samej, do Marcysi.

Chociaż wcale nie miałem na to ochoty.

Tym razem na onkologii tłok był spory.

Wydawało mi się, że zapamiętałem, w które drzwi wtedy, odchodząc bez pożegnania, weszła, ale ani z pierwszym, ani z drugim podejściem nie trafiłem.

Nie znalazłem jej.

Natknąłem się jednak na panią Kłopot:

- O! A co ty tutaj robisz?

- Dzień dobry pani.

Wesołych Świąt.

- Wesołych Świąt, chłopcze.

- Leży tu moja dawna znajoma.

Marcysia Perisenthoff.

Może wie pani, w którym pokoju?

424

- Chodź, zaprowadzę cię.

Skąd się znacie?

- Wspomniałem o lekcjach kaligrafii u pani Prezydentowej.

- Marcysia jest córką mojego

znajomego.

Pana Perisenthoffa.

Staram się nią opiekować trochę bardziej.

osobiście.

Ale ona jest bardzo rozbita, roztrzęsiona.

Niedokładaj jej jeszcze zmartwień, Tomku.

- Ja tylko.

kwiaty, życzenia.

- Jeśli nie masz zamiaru dotrzymać, to nie rób jej złudnych nadziei.

Rozumiemy się?

- Myśli pani, że będzie lepiej, jeśli
nie wejdę?

- nawet liczyłem na to, że mi zabroni.

- Jak już jesteś, to wejdź.

Tylko pamiętaj, że ona jest.

chora.

Bardzo chora.

Siedziała w pozycji półleżącej na łóżku.

Chustkę miała tym razem amarantową.

W tym ciemnym pokoju, gdy spjrzała namniemnymi Wielkimi oczami, gdy poznała
i uśmiechnęła się wzruszona, była znowu niemal.

ładna.

- Przyszedłeś?

Chciało ci się.

w święta?

Och, Tomku!

- wyciągnęła do mnie ramiona.

Co mogłem zrobić?

Uściskałem ją, pocałowałem w oba policzki, starannie unikając ust.

Nie mogłem się przemóc.

- Pani Stasińko, da pani wazon?

Albo chociaż jakiś większy słoik.

Jakie piękne kwiaty!

Prawda, pani Stasiu, że piękne?

Pani Kłopot kiwnęła głową, wzięła kwiaty i wyszła.

A ja znów kompletnie nie wiedziałem, co mówić.

Cał szczęście Marcysia, wyraźnie pobudzona, paplała bez przerwy:

- Mam obiecać, że na sylwestra mnie puszcza do domu.

A i samopoczucie powinno być lepsze, bo skończyłam pierwszą kurację.

Pierwszą dawkę.

Cóż to za ohyda!

Nie będę cię zanudzać szczegółami, ale w czasie brania leków to człowiek zwariować może.

Wciąż tylko.

No, daruję ci dokładne opisy.

Ale dzisiaj czuję się całkiem nieźle.

No itaka niespodzianka!

Mało kto mnie w szpitalu odwiedził.

A już dwa razy tylko rodzina.

Inni uciekają od chorego, jakby był zadżumiony.

425.

- Pojawiła się pani Kłopot, postawiła kwiaty na stoliku przy łóżku i wyszła bez słowa.
- A czy ty wiesz, że mój tata pojedzie do Kanady w sprawie mojego dalszego leczenia?
W Kanadzie mieszkawujek Leon, brat taty, i oni tam mają wszystkie papiery z moimi wynikami.

Poszukaj kliniki, która by się podjęła dalszej kuracji.

No bo w Kanadzie są naprawdę dobre rezultaty w.

O, ależ ja jestem dzisiaj oblegana!

Spojrzałam za siebie.

W otwartych drzwiach dostrzegłem schowane za okularami, małe jak świderki, oczy pani Prezydentowej i elegancką fryzurę pani Leokadii.

A za nimi weszła.

Natalka.

Nie umiałem spojrzeć jej w oczy.

Ona też hipnotyzowała podłogę.

- Popatrz, mamusiu, kto mnie odwiedził.

Poznajesz?

Ścisnąłem i całowałem ręce obu pań.

Dowiedziałem się, jak bardzo wyrosłem, zmężniałem i jaki jestem przystojny.

Natalka ledwo dotknęła mojej wyciągniętej na powitanie dłoni.

Zrobiło się tłoczno, nawet w wazonie, bo nowogrodzkie donieśli jeszcze więcej kwiatów.

Przez pewien czas rozmowa toczyła się wokół wspomnień: ja kłamałem, że piszę teraz o wiele wyraźniej, że lekcje kaligrafii nie poszły na marne, wspólnie śmialiśmy się z mojej przerażonej miny na widok kroślu z kaszą manną, a pani Leokadia wciąż pamiętała, że próbowałem ją tytułować "jaśnie panią".

Tylnokoraz spotkałem się wzrokiem z Natalką.

Jej spojrzenie było tak zimne i pełne nienawiści, że po plecach przeszły mi ciarki.

Niewiedziałem, jak dać jej do zrozumienia, że niezamierzam zdradzić tajemnicy jej pozaszkolnych popołudni.

Bo i po co?

Chociaż trochę drażyla mnie ciekawość, czy onawciąż jeszcze.

Na życzenie Marcysi musiałem opowiedzieć też co nieco o konkursie, potem o czekającym nas tournée po Niemczech i Francji o wiosennym wyjeździe do Werony.

W pewnej chwili wszyscy zamilkli.

Wykorzystałem ten moment, aby się pożegnać, chociaż Marcysia gorąco mniemawiała, abym jeszcze został.

Wykpiwszy się obietnicą kolejnej wizyty, mówiąc ogólne

426

"do widzenia", aby uniknąć kolejnych uścisków rąk i pocałunków, wyszedłem w końcu na korytarz.

Odetchnąłem z ulgą.

Prawie z radością wyzwolonego z pętniwołnika szedłem do Gerarda.

Ciekawe, może Gerard wie, czy Natalka dalej.

Miałam nocny dyżur, dość koszmarne, bo akurat nikt nie mógł spać, każdego coś bolało, każdemu potrzebna była pomoc, więc kiedy o trzeciej w nocy na chwilę się uspokoiło, zeszedłem na dół, aby odetchnąć świeżym mroźnym powietrzem, poszukać w prószącym śniegu nastroju nadchodzących świąt.

Wciąż przetrawiałam zawód, jakim byłoby powtórne spotkanie Tymoteusza, spojrzenie na niego z dystansem, uświadomienie sobie, jak mało on mnie obchodzi w tej chwili, ale i bolesnej prawdy

o tym, że i ja nigdy dla niego nie byłam niczym więcej niż ponętym ciałem, ujściem dla męskich chuci, niezaspokajanych przez oziębłą żonę.

Cóż za dziwna, chora rodzina.

Pokręcony ojciec sadysta, dziwaczny wyniosły syn - mecenas, lalkowato urodziwa, nadpobudliwa matka, dwie śliczne córeczki, między którymi od razu wyczułam nienawiść.

Obie chore, bo jednej umierało ciało, a w drugiej niezdrowa była dusza, zatruta czymś gorzkim i złym.

I nad tym wszystkim cylindryczne oczka babci, przewiercające nieustannie całe otoczenie, dbające przede wszystkim o zachowanie pozorów szczęśliwego, zgodnego stadła.

Może lepiej, że ja jestem sama, a opiekuję się chłopcem, który chociaż nigdy samodzielności nie osiągnie, to nie zrobi też niczego na prawdę złego, bo przecież tego, jak postępuje z własnym ciałem, nie można rozpatrywać w kategoriach moralnych.

Może tak lepiej - mówiłam sobie, a jednocześnie czułam nagłą pustkę, jakieś dojmujące ssanie w dołku, gdzieś w głębi mojej na zawsze już pustej macicy, organu, który może być zarówno najważniejszą częścią jestestwa kobiety, jak i zwykłym balastem, ciężarem niespełnionych szans.

427.

Westchnęłam, otrząsnęłam się i zamierzałam już wracać dośrodku.

Pod ostry dyżur podjechała karetka.

Znajomi pielęgniarze wynosili na noszach długiego, kościstego mężczyznę.

Witając się z Włodkiem Korczakiem, bratankiem Renaty Gryf, zerknęłam na twarz chorego i.

To był Gerard!

"Włodek, skąd go macie?"

Co mu jest?

". "Milicja twierdzi, że to jakieś porachunki między bandami.

Anasz doktorek mówi, że z niego już nic nie będzie, bo od szyi w dół - warzywko".

"Kregosłup?"

"A pani go zna, pani Stasiu?"

"Tak jakby, Włodziu.

Nazywa się Gerard Przybora.

Mieszkał w mojej okolicy.

No i mogę potwierdzić, że to co najmniej półświatek i że siedział już w więzieniu, chociaż taki jeszcze młody".

"To już se teraz nie pobędzie nigdzie indziej jak w łóżeczku.

Chociaż doktorek kazał go dawać na chirurgię, to może jeszcze mutampomogą i da radę znowu narozrabiać".

"Będą go operować?"

".

"A boja wiem?"

No, muszę uciekać.

Do widzenia, pani Stasiu".

Ziemista cera, stercząca grdyka, zamknięte oczy.

I to on, niby wiele lat temu, a tak niedawno, wykorzystywał naiwność Stasia, pewnie przyczyniając się w ten sposób do jego dzisiejszych niezdrowych skłonności.

A teraz, jeśli operacja nic nie da, będzie dokońca życia sparaliżowany, bezbronny i.

nareszcie przestanie być zagrożeniem, tak dla mojego Stasia, jak i dla wszystkich innych.

A jednak gdy pomyślałam sobie, co go czeka.

Wróciłam na dyżur jeszcze bardziej zbita niż przed tą krótką przerwą.

Jakoś doczekałam ranka i dopiero wtedy poszłam na chirurgię i zapytałam przywiezionego w nocy chłopaka.

Tak jak należało przypuszczać, operacja nic nie dała, a Gerard jeszcze nie odzyskał przytomności.

428

Dopiero następnego dnia poszłam do niego.

Leżał w pokoju natym samym piętrze, gdzie Stasio miał swój pokój.

Gdyby Gerard był w innym stanie, może wzbudziłoby to moje zaniepokojenie, ale tak?

Stałam nad jego łóżkiem.

Początkowo nie otwierał oczu, chociaż byłam niemal pewna, że zauważył, jak wchodziłam.

"Doigrałeś się, chłopcze.

- Popatrz na mnie taksującym wzrokiem.

- Pewnie nie uwierzysz, ale tak to bywa, że jak krzywdzisz innych, to i sam kiedyś krzywdy doznasz".

"Spierdalaj stąd, stara kurwo!"

".

Nie spodziewałam się miłego powitania, ale mimowszystko zatkało mnie.

"I nie próbuj się mścić, bo jak ojciec by się dowiedział, że mnie palcem, no nie, tknęłaś, to by cię szczeciną z twojej pizdy nakarmił".

"Ty..

". "I nie wyjeżdżaj mi tu z morałami, tylko szybciej coś dopicia przynieś, bo mi w gardle zaschło.

No już, ruszaj się, kurwa.

- Patrzyłam na niego oszołomiona i zadziwiona.

- Zapierdaj po to picie, no już!

".

Wysłałam, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Od Magdy, pielęgniarki, która akurat pracowała na pourazówce, dowiedziałam się, że lekarze nie dają Gerardowi żadnych szans na odzyskanie czucia od szyi w dół.

Był przykuty do łóżka na resztę życia, pewnie niedługiego, bo tacy jak on najczęściej kończą po kilku, kilkunastu miesiącach na zapalenie płuc.

Jak dziwnie to bywa, pomyślałam, że obaj, Gerard i Stasio, wylądowali w jednym szpitalu, że będą od siebie o kilkanaście metrów, a już się nie spotkają już nigdy ten potwór nie zdoła skrzywdzić mojego chłopca!

Niezdziwił się, nie komentował mojej wizyty.

Bez powitania zaczął mówić:

- Kiedyś moja matka próbowała urządzić święta.

Kupiła choinkę, wystawiła szynkę w kolejce, nawet upiekła ciasto.

Z zakalcem - zaśmiał

429.

się. Nie patrzył na mnie.

- Pod drzewkiem było kilka pakunków w szarym papierze.

Miałem chyba osiem lat, nigdy wcześniej nie dostawałem prezentów.

Ojca długo nie było.

Przyszedł pijany, no nie, z jakimś kumplem.

Przynieśli zawiniętego w gazetę karpia w galarecie.

I zaczęli wszyscy pić.

Mnie dolewali wódkę do oranżady, jak zawsze.

A później przypomnieli sobie o prezentach.

Dla matki były jakieś perfumy, dla ojca rękawiczki, a dla mnie łuk i strzały.

Kumplowi ojca, no nie, strasznie te strzały podeszły.

Zaczęli we dwóch bawić się moim prezentem.

Ja już wtedy wiedziałem, no nie, że jak ojciec jest pod gazem, to lepiej siedzieć cicho.

Złamali jedną strzałę - ja nic.

Drugą - ja nic, a oni rechocą.

Strzał było sześć, no nie?

Trzecią ojciec połamał z złości, bo w szklanekę nie trafił, a kumpel się z niego śmiał.

Chyba wtedy zacząłem płakać.

Ale po cichu, no nie, bo jeszcze się bałem.

Kiedy czwartą połamali, to nie wytrzymałem i rzuciłem się na tego ojcowego kumpla z pięściami.

A on był tak pijany, że się przewrócili i bemo kant stołu wyrznął.

Wiesz, czym mnie ojciec stłukł?

- Powolny ruch głowy, wzrok wbity wemnie.

- Tym łukiem.

Połamał go namnie.

Tak - zaśmiał się.

- Dla niegrzecznych dzieci pod choinkę jest zawsze różga.

To ja się później cieszyłem, no nie, jak świąt nikt nieurządzał.

- Ewa nie przyjdzie.

Nie chce.

Prosiłem ją, ale nie chce.

- A innymrazem, na urodziny, no nie, dostałem od dziadka.

- Gerard, słyszysz?

Ewa nieprzyjdzie.

Ja jestem ostatni raz.

Niemam w stosunku do ciebie żadnych długów.

- ...

dostałem samochód elektryczny.

Do przodu jechał prosto, nonie, a do tyłu skręcał.

Nabaterię.

To jeździłem po całym domu.

Brrrr

- tak robiłem, bo on głosu nie miał.

Do matki ktoś przyszedł.

Samochódmu się spodobał, bawił się ze mną.

Ja się śmiałem, on się śmiał, matka też rechotała.

Nato wchodzi ojciec, no nie?

I do matki z pyskiem.

Co to za gość?

- pyta.

Matka coś mu mówi, no nie, a ja jeżdżę samochodem.

Ojca w nogę trąciłem.

Nawet na mnie nie popatrzył

- rozdeptał samochód w cholere.

A ja rzuciłem się na niego z pięćdziesiątami

ściami.

Chcesz zobaczyć, co mi zrobił?

Pod włosami jeszcze jest szrama.

O parapet.

Rzygałem kilka dni.

Tak, Babol.

Ja cię nie zatrzymuję.

Czym cię mogę zatrzymać?

Zębami?

I śmiał się, a ja przypomniałem sobie panią Kłopot, jak mówiła o Gerardzie: "Skąd wywiecie, dlaczego on taki jest, co on w domu ma?"

".

- Szkoda mi tej Ewy.

Beze mnie trupek byłby.

A przecież sam się wtedy o mało co nie utopiłem.

Do kina ją chciałem zaprosić, jak człowieka, no nie?

A ona mi powiedziała: spierdalaj, chuju jeden.

- Kłamiesz!

- Pewnie.

Takie słówka przez gardziołko dziewczuszki by nie przeszły.

Jutro nie mogę, no nie, za tydzień jest klasówka z matmy, kuje.

Później mam egzamin z pierdolonej wiolonczeli, muszę zająć pięć godzin.

Nie mam czasu, mój zbawco.

Tak powiedziała, no nie?

- Gerard, ciebie wszyscy bali, to.

- Jak twoje zdjęcia paliłem, to Księżyk mówił: "Głupiz ciebie palant."

To muzyk, jeszcze się może przydać".

A ja po starej znajomości, no nie, tak sobie mówiłem: Chłopak się bał, no nie, to teraz nie będzie się bał.

Może kumpla będę miał.

- Ależ ty pieprzysz!

- Pamiętasz kotki?

- Zamurowało mnie.

Patrzył na mnie bardzo uważnie.

- Cerkwini mi wszystko wyśpiewał.

Dobrzeście się spisali.

W worek, no nie, i do wody.

Bohaterzy!

- Gerard, ja.

- Spierdalaj, Babol.

Co ja mogę?

Nawet taka Ewa.

Co drugi dzień życia ktoś ratuje, nie?

I nawet kurwa niemoże przyjść do szpitala?

Patrz na mnie, Babol.

Patrz.

Odejść od Księżyka mi się nieudało, no nie?

Człowiekiem nie jestem, no nie?

Nawet kopnąć nie warto.

Ty, co innego.

Panisko.

Dobry Tomuś, co kotki splawia, no nie, a dlażywego trupa nawet koleżancewstydzi się pierdoloną głowę zawracać.

Wszyscy jesteście tacy sami.

Jak się kogoś nie boicie, to już.

- Gerard, ja naprawdę.

431.

- Tam był taki jeden kotek, no nie, strasznie zabawny.

Zadzierałaki.

Gryzł wszystko, a leżąc łasił się.

Napoleon go przezwiałem.

Był taki jak ja, no nie?

Tamte pozostałe, też żał, ale Napoleon.

Te powolne ruchy głowy.

Tak obce, takie - ostateczne!

- Podejź, Tomek.

- Popatrzyłem na niego zdziwiony.

- Do mnie, do łóżka.

Niebój się.

- Zauważył moją niepewną minę.

- Nic ci nie zrobię.

Weź mi to spod głowy, przeszkadza mi.

Tomek, proszę cię.

Wyciągnąłem poduszkę.

Patrzył namnie jakoś błagalnie, w oczach

miął łzy.

- Chciałem prosić tę Ewę, no nie, winna mi to jest.

Ale nie przyjdzie - zamknął oczy, grdyka podeszła mu w górę i opadła na miejsce.

- Winna mi jest, ale i tak by tego nie zrobiła.

Tomek, dla ciebie tylko chwila, dwie minuty, no nie, ja się nie będę bronił!

- Uśmiechnąłeś się, jakby powiedział smutny żart.

- Nie zawsze byłem dla ciebie kumpel, ale.

Nie mam nikogo, zdechnę tu, zgniję, a dla ciebie tylko dwie minuty.

Ktosie dowie?

Nawet nie będą badać.

Przyjdą, nonie, nie żyje, to cześć.

Ty się nie będziesz zmęczył, ja też nie.

Zatezdzjęcia, że już się nie masz czego bać, no nie, za Napoleona.

Tomek.

Od początku wiedziałem, o czym mówię.

Ani przez chwilę nie zamierzałem tego zrobić.

Nie! I już.

Poduszka parzyła dłonie, w gardlesucho, w głowie pusto i jakoś.

strasznie.

- Proszę, Tomek.

Błagam cię, ja.

nie wytrzymam, no nie.

Tylko chwila.

Ojciec mnie katował, matka się kurwiła, ja próbowałem, chciałem inaczej.

Tomek!

Tylko chwila.

Nikt nie będzie nic badał.

I tak jestem trupem, no nie?

Tomek!

Przecież nie uklęknię.

Błagam, zrób to.

Nikt się nie dowie.

Palce zaciskają się, tak samo oczy.

Czy to wróg, co leży obok mnie, bezradny?

Czy przyjaciel, świadek dzieciństwa, towarzysz zabaw?

Czy może człowiek, co potrzebuje pomocy?

432

- Nikt się nie dowie.

Tomek!

Szept węża.

Poduszka przylega do twarzy, pasuje do niej.

Na łóżku obok chrapie obandażowany pacjent.

Przed oczami mam bezbrzeżny smutek Marcysi, gdy bezgłośnie, samymi ustami, wypowiada "przepraszam".

Czuję krzyż zamróż bezwzględny, mściwego spojrzenia Natalki.

Widzę ciepłe, ufne kuleczki maleńkich kotków.

Pamiętam wykonany wspólnie z Cerkwinem zamach, po którym wózek, obracając się w powietrzu, poleciał do wody.

I wiecznie skrzywioną twarz pana Edmunda, ojca Gerarda.

I samego Gerarda, gdy, ociekając wodą, pochylał się nad wyciągniętą na noszach Ewą.

Dociskam ręce do dołu.

Nic się nie dzieje, ale szept ustał.

Mocniej, mocniej.

Nikt nie szepcze.

Nikt nie kusi.

Nikt się nie dowie!

Ile tak trwałem?

Mniej niż minutę, bo kiedy oderwałem poduszkę od niego, tonaty chmiast zaczął spazmatycznie oddychać.

Nikt się nie dowie?

A ja?

Ja będę wiedział do końca życia!

To ja zostanę ofiarą.

Znowu będę jego ofiarą!

Ostatni raz chciał mnie wykorzystać.

Łkając prawie, spocony z emocji, patrzyłem na przychodzącego do siebie Gerarda.

Oddech mu się wyrównywał, już po chwili mógł mówić:

- Ty chuju, padalcu, spóździły pierdolcu, jebany kutasie.

Szpadel w dupę twojej matce!

Baból, skurwysynu pierdolony.

Ty zachujał pedale.

Nic nie potrafisz zrobić.

Nic.

Pierdolony impotent - mówił to zupełnie spokojnie, tylko w głosie było mnóstwo jadu i nienawiści.

- Wiesz, coo tobie Iwona powiedziała?

Z takim, nonie, to jeszcze nie miałam do czynienia.

Włazł wemnie i zdechł, skapcianał.

Topewnie pedzio, powiedziała.

A Księżyk się śmiał, jak spierdalałeś stamtąd.

Pewnie się bał, że jego też wyruchamy, tak mówił.

A Iwona nato,bał się, że gonie wyruchacie!
Żeby cię stado pedziów obsrało, w dupębabolony chuju.
Nawet dziewczuchy nie umiesz wypieprzyć.
Chuj ci

433.

w niej zdechł.

Jak ona się śmiała!

A Ewunia, no nie, wiesz dlaczego przyszła?

Przez dwamiesiąćmi dupy dawała, nonie, chuja zesmakiem lizała, aż mi się znudziła, suka jedna.

A teraz świętą udaje.

Wiesz, do kogo chodziła twoja kurewska matula, jak ojciec ci się szlajał za granicą?

Nie wiesz?

Niewiniątko ty moje!

Do Krzepakiego, tak, tak, tatusia szanownej Marusi, której mamusia w Warsie pracowała.

A wiesz, kto rozdziewiczyl twoją siostrunię, cudną Paulinkę?

Zgadnij!

Znasz człowieka!

Przystojny, w tonsurce chodzi!

- Gryzłem wargi, znowu ścisnąłem kurczowo poduszkę.

Zamknąć te nienawistne ślepie!

- Ciebie można na wszystko nabrać, Babol, ty we wszystko uwierzysz, "i tylko niczego później do końca zrobić nie umiesz, no nie?"

Tak jak, z Iwonką.

Zdechł ciw babie?

Dobrze, że jej nie obszczałeś!

Mówiła później, aż się bałam, nonie, że sięna mnie zejszczy, pedał jeden.

Zrozumiałem!

Poduszka upadła na podłogę.

Ręce mi drżały, nie czułem nóg.

Sztywno podszedłem do krzesła i schowałem twarz w dłoniach.

Poduszka, zmięta, leżała przy nodze łóżka.

Jak on to sprytnie wykombinował!

Jak on mnie zna!

Tylko niedokońca.

A teraz?

Czy naprawdę liczył, że go uduszę z nienawiści, jeżeli nie potrafiłem tego zrobić z litości?

A może ma rację?

Czy tonie jest możliwe?

Powoli wracała mi jasność myśli.

Patrzyłem znów na Gerarda.

- Wszystko kupiłeś, Babol.

Ckliwe opowieści, rybki, pipki, choinki, kotki, cnotki.

Jaka ty szmata jesteś!

Pewnie nawet uwierzyłeś, że chłopcy Księżyka tak urządzili, nie?

Że na dobrą drogę byłem prawie nawrócony, no nie, nad robaczkiem już płakałem, ty bożakrówko jebana.

Tak Iwona powiedziała, a to chuj, boża krówka, co to nawet wyjechać baby nie potrafi.

Ty naprawdę myślałeś, że tak gwałt wygląda?

Jamówię, przecież na to się dziecko nie nabierze, no nie, a Księżyk mówi, zobaczymy.

To mięczak, dupek, takiemu niewiele

434

trzeba.

A zdjęcia ma kumpel.

Jak będziesz niegrzeczny, no nie - to już wiesz.
Wszystko kupiłeś.
Ty mięczaku w kurwę jebany!
Odupały zwiędłaku!
Pizdowaty padalcu!
Teraz mogłem go słuchać już obojętnie.
Coś się przełamało, skończyło.
Jego bezsilny gniew, nienawiść - to tylko żalodne próby odzyskania nade mną przewagi.
Wrzynał się w powietrze.
Ile razy jeszcze Gerard będzie je oglądał, jak kołują naddrzewami, osiadają pojedynczo,
uspokajają się i znowu wlatują w niebo.
Ilerazy?
Niech sobie ogląda.
Jak był stracony za życia, tak jest stracony również teraz, w oczekiwaniu na śmierć.
Bo jego życie to będzie już tylko czekanie na koniec.
Taki czy inny.
Wcześniej czy później.
Ale już beze mnie.
Mnie to już nie dotyczy.
- A o Gromnym - spytałem spokojnym głosem - też zmyślałeś?
Odwrócił głowę do okna.
Szybkim, normalnym ruchem.
Więc i to było tylko grą?
Więc tak chytrze zaplanował sobie swoje nade mną zwycięstwo?
Aż do tego stopnia opracował szczegóły?
- Nie mów.
I tak się kiedyś dowiem.
To z Ewą też zmyślałeś, umiesz ładnie zmyślać.
Wiesz co?
Marnujesz się.
Przyniosę ci kartkę, ołówek i piśnik.
A, zapomniałem.
Noto jak już tę władzę w rękachodzyskasz.
Gdzieś po Nowym Roku, nie?
- Spierdalaj!
- Nie martw się.
Na pewno długo nie zostanę.
- Chuj ci w dupę.
- A ja myślę, że trochę prawdy w twoich słowach też by się znalazło.
Bo kotki rzeczywiście z Cerkwinem spławiliśmy.
Żeby ci przysrać.
A i historia kradzieży skrzypiec brzmi całkiem prawdopodobnie.
Nic nie powiesz?
Nawet Gromny.
Wierzę ci.
Dżery, podwórko królu, powiedz coś.
Taki byłeś rozmowny!
Znowu normalny, szybki ruch głową.
Spodziewałem się nienawistnego spojrzenia, ale on też już się uspokoił.

- Nie uda ci się tak łatwo, Babol.

Za (długo cię znam.

Mięczakjesteś, no nie?

Obaj wiemy.

Rznij se teraz kogo chcesz, ale Babolem do końca życia zostaniesz.

- No to będę Babolem.

A ty?

Teraz w jego wzroku pojawiła się nienawiść.

Przez chwilę niemógł patrzeć na mnie obojętnie, znowu odwrócił głowę, znowu powoli, po zółwiemu, jakby zaczynał następny akt sztuki.

Kolejną odsłonę.

Ale to nie dla mnie.

Janie zostanę już więcej jego widzem, ofiarą, katem, zabawką, narzędziem - ani sędzią.

- No, to na razie - powiedziałem, wstając.

- Albo, jakto mówisz:

"Chuj ci w dupę!

" Szkodatyłko, że nawet tego byś nie poczuł.

Mizerny to był żart, alenienie potrafiłem go sobie odmówić.

Jak Babol, to Babol.

Tak wolno jechał autobus.

Pragnąłem "być przy Ewie jak najszybciej, pokajać się, uzyskać przebaczenie, opowiedzieć jej wszystko.

Tłok, ciężki zapach perfum, jakimi skropiły się kobiety w ten pierwszy dzień świąt.

Zaciśnięte na grubych szyjach krawaty.

Krople potu na czołach okrytych futrzanymi czapkami.

Kolejny przystanek, następna gromada ludzi - te same narzekania, coraz większy ścisk.

A ja, wsamym środku ciżby - nareszcie wolny, nagle pełen pogardy dla siebie samego sprzed kilku jeszcze dni - gdzie tam, kilkunastu godzin za ledwie.

Chciałbym odetchnąć pełną piersią, wykrzyknąć radość i nadzieję, opowiedzieć komuś o oczach Ewy, o jej piersiach i ustach.

Zamykam oczy i marzę.

Już nigdy nie dam sobą manewrować, wodzić się za nos.

Owszem, jestem na tyle dojrzały i pewny odzyskanej niezależności, że będę mógł pójść znów do Gerarda i wysłuchać go.

Tylko tym razem samodzielną ziarną odplew.

Tak wgruncie rzeczy - nie mam powodu gonić i nawiązywać.

Zmężniałem dzięki ostatnim przeżyciom, wydołałem.

Pójdę również do Marcysi i wcale nie będę jej robił fałszywych nadziei,

436

tylko.

po prostu, odwiedzę ją jak koleżankę, jak swoją dziewczynę,

jak człowiek człowieka w nieszczęściu odwiedzić, i pocieszyć powinien.

Koniec z rozczulaniem się nad sobą.

I zrozumiałem, może właśnie dzięki ostatnim wydarzeniom, kocham Ewę.

Ledwo zdążyłem wysiąść na właściwym przystanku, tak bardzo zająłem się swym dojrzwaniem.

- To ty, Tomku - powitała mnie pani Ludmiła.

- Pewnie do Ewy?

Ona dzwoniła do ciebie, a dosłownie przed pół godziną odjechała taksówką na dworzec.
Pociąg ma za jakieś dziesięć minut.

Do Zakopanego.

Zdzisiek rano dzwonił, że jakiś kolega wraca do domu i jest miejsce dla Ewy.

Na pewno do ciebie zadzwoni, jak dojedzie.

Możesz się wybrać?

Dziwne.

Gdy wracałem do domu, bardzo zmarzłem, a w tamtą stronę, pod drzwi Ewy, dotarłem wręcz spocony.

Co tu robić?

Cóż, może to pierwszy sprawdzian dla tej mojej dojrzałości, którą niby to właśnie osiągnąłem?

Puste mieszkanie.

Samotność.

Książka.

Jedna, druga.

W każdej tysiące liter, w każdej autor próbował zawrzeć jakiś sens, cząstkę swojej wiedzy, doświadczeń.

A ja przewracałem kolejne strony bez entuzjazmu, bez radości zainteresowania.

Obejrzałem znów otrzymany w prezencie album z włoskimi instrumentami.

Czytałem krótkie notatki o życiu słynnych lutników, oglądałem zdjęcia.

Trochę pomogło, pocieszyło, bo ta książka była przecież prezentem od Ewy!

Jasne, gdzieś tam, w głębi duszy, miałem do niej za .

wyjechać bez słowa, zostawić mnie samego po tylu pieszczotach, słówkach, gorących pocałunkach.

A może ona udawała?

Pewnie bała się moich nacisków o odwiedzinę u Gerarda, brak entuzjazmu do tej wizyty rozumiałem bardzo dobrze, z drugiej strony.

437.

Gdy usiadłem do samotnej kolacji, złożonej z czerstwego chleba zjełczałego masła i żółtego sera, gdy znów musiałem popijać jaśminową herbatę - wtedy dopiero w pełni odczułem brzemień samotności, beznadziei.

Przypomniały mi się smutne dni po powrocie z jezior, moja choroba, majaki.

Rozsądek mówił, jak mało mam teraz powodów do zmartwień i że powinienem być znacznie szczęśliwszy, a i zupełnie spokojny własną przyszłość.

Serce tymczasem szukało drogi do gardła, oczy wilgotniały i po chwili serdecznie nadsobą płakałem.

Łzy kapały na ser, do zielonkawej herbaty, na przybrudzony obrus.

Paulina zapomniała swoich środków upiększających i jej kosmetyczka tkwiła po drugiej stronie stołu.

Wystawało z niej lustro, w którym dojrzałem własne rozmazane oblicze.

Mokre policzki, czerwone oczy - toż to obraz nędzy i rozpacz!

Co ja wyczyniam?

Pokręciłem głową, zacząłem się śmiać sam z siebie.

Poszedłem do łazienki, wydmuchałem nos do umywalki, umyłem twarz i wytarłem w szorstki ręcznik.

Ten stary ręcznik przypomniał mi sceny z dawnych lat, jeszcze z naszego domu.

Było to między moim dwunastym a trzynastym rokiem życia.

Paulina dochodziła wtedy siedemnastki.

Kłóciłem się z nią często i wciąż ją podglądałem.

Ale teraz tonie było już niewinne zainteresowanie dziewięciolatka.

W ruch szły ręce, krew napływała do głowy, w gardle robiło się ciasno.

Prowadziłem swoją reżyserię spektaklu podglądania.

Na posterunku meldowałem się razem z Pauliną, a nawet starałem się być tam odrobinę wcześniej, żeby siedzieć przy szparze w desce wygodnie i nie kręcić się, nieryzykować, że onamnie usłyszy.

Grę wstępna mogłem sobie darować, mój "interes" był zawsze gotowy do działania.

Kiedy Paulina, oczyszczała z dyskretnego makijażu policzki i oczy, ja pracowałem bez pośpiechu prawą ręką.

Gdy zaczynała się rozbierać, mniej uwagi poświęcałem sobie, a więcej wpatrywałem się w odsłaniane powoli kształty.

Następnie pogrążałem się w grze wyobraźni.

Dobiegające z łazienki odgłosy pluskania nie musiały wcale pochodzić od mojej siostry.

Wyobrażałem sobie w wan438

nie całkiem sporo kobiet - od Marusi i Kamilki, poprzez koleżanki z starszych klas i niektóre młodsze nauczycielki, aż do "cudnej pani", która najdłużej gościła w tych lepkich praktykach.

Moja uwaga nowu była kierowana na Paulinę, gdy dochodziło do namydlenia.

Wtedy też kończyłem zazwyczaj przedstawienie, z zacisniętymi zębami, aby z gardła nie wyrwał się żaden dźwięk.

Ręce wycierałem w wcześniej przygotowany ręcznik, równie szorstki jak ten dzisiaj, i po cichu puszczałem posterunek.

Nie miałem może jakichś strasznych wyrzutów sumienia, ale nie czułem się też wobec Pauliny całkiem w porządku, dlatego często szukałem z nią swady, prowokowałem ją i obrażałem.

Jakoś wtedy łatwiej mi było prowadzić dalsze działania.

Któregoś dnia Paulina wróciła później niż zwykle.

Na dole klóciły się z mamą, podniesione głosy dochodziły aż nagórę.

Takie sprzeczki zdarzały się wtedy często.

Leżałem już w łóżku, pocichutku więc wymknąłem się, abyczatować na siostrę. Zdjąłem spodnie od piżamy, przygotowałem sobie, wyjątkowo, jednorazowe chusteczki, które tata przywiózł z ostatniego wyjazdu i każdy z nas dostał po dwie paczki, a Paulina cztery, bo: "Dziewczyny więcej płaczą, często z naszego powodu".

Tata mówił to z uśmiechem, przypadkowo pewnie trzymając rękę na mojej głowie, ale dla mnie był w tym jakiś wyrzut i ostrzeżenie, idłatego przez kilka dni wystrzegałem się wizyt nad łazienką.

Niejasna obawa jednak minęła, a teraz przygotowywałem się do późnego seansu, po którym zasypianie zawsze przychodziło mi o wiele łatwiej niż zwykle.

Czekałem i czekałem.

Coś dziwnego się działo, bo zazwyczaj Paulina pierwsze kroki kierowała tu właśnie, a tego wieczoru marudziła i zwlekała.

Wreszcie otworzyły się drzwi, moje oko zawisło przy szparze, a szczęka lekko opadła, bo razem z Pauliną do łazienki weszła mama.

Głaskała ją po głowie, mówiła coś szeptem.

Moje stanowisko było znakomite do podglądania, ale zupełnie nie nadawało się do podsłuchiwania, bo tuż obok szły rury i często w nich warczała, syczała i bulgotała woda.

One tam, na dole, gadały dość długo, najwięcej

439.

mówiła mama, Paulina popłakiwała trochę, trochę potakiwała.
Wreszcie mama wyszła, Paulina rozebrała się jakoś pospiesznie i już siedziała w wannie, ja zaś zupełnie zapomniałem, po co tam sterczę, bo zezdziwieniem i przerażeniem patrzyłem na wodę, w której zauważyłem leciutką, prawie niewidoczną czerwoną smugę.
Smuzkę raczej, taką małą, która prawie natychmiast uległa rozpuszczeniu.
Skojarzyłem ją z niewiele wcześniej usłyszczanymi, niejasnymi pogłoskami o miesięcznym krwawieniu dziewcząt.
Były przekazywane sobie tylko w grubych żartach, do ucha, nigdy na głos, nigdy konkretnie.
Nie bardzo rozumiałem, jak to miałyby być, skąd ta krew miałyby wypływać i poco, i w jakiej ilości.

Teraz, patrząc na Paulinę, poczułem mdłości.

Zrobił mi się niedobrze.

Już wcale nie miałem ochoty na dotykanie siebie.

Czekałem tylko, aż siostra skończy się myć, i przeżywałem męki obrzydzenia, wręcz powstrzymywałem wymioty.

Gdy zerknąłem po jakimś czasie, Paulina właśnie się namydłała.

Było przecież mój ulubiony, zwykle kulminacyjny moment.

Ale tym razem jej ruchy pozabawione były energii i radości.

Wszystko robiła ostrożnie, jakby wstydliwie i bojaźliwie, a siadała do wanny powolutku, na kilka razy.

Coś się stało - wykoncypowałem.

Pewnie się wykrwawiła i nie materaz siły.

To straszne.

To obrzydliwe.

Nigdy więcej już tu nie przyjdę.

Czy wszystkie dziewczyny tak mają?

Rzeczywiście, coraz rzadziej zajmowałem się podglądactwem.

Przez wiele lat niemyślałem o tym zdarzeniu, nie pamiętałem go jakby lubnie chciałem pamiętać.

Aż do dzisiaj, do momentu, gdy Gerard w gradzie nienawiści cisnął we mnie słowa o Księżyku i mojej siostrze.

Umknęły mi najpierw, jako jawny kretynizm, a teraz przywołałem je w pamięci.

Bo przecież mama nie mogła Paulinie tłumaczyć objawów miesiączki, nie mogła jej z takiego powodu pocieszać ani wcześniej, w salonie, krzyżując na nią.

Czy możliwe, że tamtego wieczoru Paulina przestała być dziewczyną, że zamieniła się w kobietę?

I czy rzeczywiście mógł z tym mieć coś wspólnego Księżyk?

Czy to mogło odbyć się wbrew jej woli?

Może mama przekonywała ją, aby

440

sprawy nierozgłaszać, a może miała do niej pretensje o zawiedzione zaufanie?

To chyba absurdalne, chociaż.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Otrząsnąłem się ze wspomnień i jednocześnie zdałem sobie sprawę, jak głęboki wpływ ma wciąż na mnie Gerard, jego słowa i czyny.

Powtórny dzwonek, tym razem krótszy.

Wyjrzałem przez judasza, ale na korytarzu zgasło światło.

- Kto tam?

- U nas w domu zawsze trzeba było zapytać, zanim otworzyło się komuś drzwi.
Mama tego wymagała i ten imperatyw wciąż tkwił we mnie.

Jednocześnie, nie czekając na odpowiedź, zacząłem już otwierać dlatego odpowiedź zagłuszył szcęk opornych zamków.

W ciemnym korytarzu, przygarbiona pod ogromnym plecakiem, stała.

Ewa.

- Mogę wejść?

Poczułem zdumienie - bo ona powinna być daleko za Koluszkami!

- ale przede wszystkim radość, gdyż mój wcześniejszy żal ustąpił miejsca nagiej euforii.

Tylko ten plecak przeszkodził mi w porwaniu jej od razu w ramiona i wycalowaniu słodkiej buzi.

Była zarumieniona od mrozu i wysiłku, z jakim na pewno tachała ten ciężar na piętro w bloku.

Gdy zdjąłem go z jej pleców, nasze usta spotkały się same.

Serca uderzały wspólnym, przyspieszonym rytmem.

Przez kilka chwil nie potrzebowaliśmy słów, Ewa jednak odsunęła się ode mnie i powtórzyła:

- Mogę wejść?

- Co się stało?

- nie uważałem za konieczne odpowiadać na retoryczne pytanie.

- Twoja mama mówiła.

- Wsiadłam z pociągu.

Zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę tam jechać.

- Nie chcesz do Zakopca?

Na narty, na śnieg?

- pytałem, miałem nadzieję na oczywistą w takich okolicznościach odpowiedź.

- Nie teraz.

Nie załatwiłam tu wszystkiego do końca.

A powinnam.

- Ewuniu - przytrzymałem ją za rękę - przecież.

441.

- Ty mi to dawałeś do zrozumienia, ale ja nie chciałam.
zrozumieć.

Tylko że ty nie wiesz wszystkiego, boi skąd?

Tak więc;

chyba powinnam najpierw ci powiedzieć, a dopiero później.

Zresztą zobaczę.

Chyba dopiero wtedy do mnie dotarło, że ona wcale nie przyszła do mnie, albo raczej nie tylko do mnie.

I nie skłonił jej do tej dziwnej, nocnej eskapady mój urok, tylko gniotło ją nieczyste sumienie.

Gerard, czyja się od ciebie nigdy nie uwolnię?

Z przyjemnością piła jaśminową herbatę, zajadała z apetytem podsuszone kanapki.

Patrzyła przy tym wciąż na mnie, badała wzrokiem.

- Nie chciałam tym nigdy nikomu mówić, ale ty.

Na mnie to zawsze działa, gdy ktoś mi okaże tyle zaufania, zwierza mi się takszeczce, serdecznie, a ja.

Nocóż, ja wiem, Gerard to nie jest twój przyjaciel.

Również nie mój, chociaż.

nikt inny mi życia nie uratował, tylko.

Nie jestem niewdzięczna ani nieczuła, zresztą.

znasz mnie przecież.

- Potaknałam, bo patrzyła na mnie i czekała na jakąś odpowiedź lub znak.

- To prawda, co ci mówiłam Gerardzie, że się gobałam, nie tylko zresztą ja.

Wszystkie dziewczyny z klasy.

Ale potym.

On kiedyś podszedł do mnie, może po dwóch tygodniach, i zaproponował mi kino.

Jabym nigdy z nim nieposzła, ale w takiej sytuacji.

Gadałam z Elką, ona też nie wiedziała, co powinnam zrobić.

Naradzałyśmy się, zastanawiałyśmy.

W końcu - zgodziłam się, bo jednak.

Rozumiesz?

Zagryzała wargi.

Dłonie skubały resztki chleba albo mieszały prze-';

studzoną herbatę.

Nie patrzyła na mnie.

- Gerard czekał przed kinem, miał nawet bukietek kwiatków, czy mnie śmielił mnie jeszcze bardziej.

To był jakiś francuski film.

Byłam taka zdenerwowana, że nic nie mogłam z niego zrozumieć.

Film już leciał jakiś czas, gdy po mojej drugiej stronie ktoś usiadł.

Gerard wiercił się, aż nagle położył rękę na kolanie.

Zesztywniałam, ale jakoś.

Wiesz, krzyczeć w kinie, totalnie głupio.

Zdjęłam jego rękę, a on zachichotał i coś mi zaszeptał do ucha, że zaraz, że już.

i że bym

442

nie była.

"taka".

I znowu położył tę rękę, a ja
jej niestrącałam.
Niewiem dlaczego.
Później zaczął się koszmar.
W kinie nie było dużo ludzi.
Jak on tą ręką zaczął wędrować do góry, to zaczęłam się bronić.
Wtedy ten ktoś z siedzenia obok wykręcił mi ręce do tyłu, a zanim zaczęłam krzyczeć, łapa
Gerarda zamknęła się na moich ustach.
Tomek, ty nie wiesz, jak ja się bałam!
: - Ewuniu, ja nic nie wiedziałem.
Nie musisz tym mówić.
- Muszę.
Muszę komuś powiedzieć, a tylko ty znasz Gerarda wystarczająco dobrze, żeby.
Więc jeden wykręcał mi ręce, a Gerard blokował usta.
Nogami nic nie mogłam zrobić, bo musiałam je zaciskać.
Rozumiesz?
Walczyłam, ale.
Jedną rękę uwolniłam.
Machając panice, złapałam nagle.
no, wiesz.
Gerarda, no wiesz co.
Musiałam go nieźle zaorać paznokciami, bokrzyknął i uwolnił moje usta.
Wtedy zaczęłam wrzeszczeć i oni uciekli.
Krzyczałam dalej.
Przerwano film, zapalono światła.
Gerarda i tego drugiego już nie było.
Ja dostałam jakichś spazmów, doszłam do siebie dopiero w pokoju kierowniczkini kina.
Opowiedziałam jej coś o staruchu, który zaczął się do mnie dobierać, przepraszałam za kłopot i
błagałam, żeby mi pozwoliła zadzwonić do domu po tatę.
Bałam się wyjść sama na ulicę.
- Wcale ci się nie dziwię.
I nie dziwię się, że nie chciałaś do niego pójść.
Teraz.
- A właśnie teraz chcę!
- patrzyła na mnie twardo, zdecydowanie.
- Nie chcę się bać do końca życia.
Chcę go zobaczyć w tym szpitalu.
Może wtedy.
Może mu wybaczyć przestanę się gryźć, że zawdzięczam życie komuś takiemu.
- Przecież gdyby cię wtedy Gerard nie wyciągnął, to Smuszeń był tuż-tuż, i to on by cię
uratował.
Gerard poprosty był bliżej.
Popatrzyła mi w oczy, a ja spojrzałam w bok, bo też w to nie wierzyłam.
- Pójdę do niego, Tomek.
Pójdiesz ze mną?
Proszę cię.
Czy mogłam jej odmówić?
Chociaż jej motywy były dla mnie niedo końca jasne.
443.

- Tomek!

Która jest godzina?

Muszę zadzwonić do Zdziśka, inaczej on wyjdzie po mnie na dworzec, a jak nie wysiądę z tego pociągu, to na bank zadzwoni do rodziców.

- To twoi rodzice.

- Jutro rano do nich zadzwonię.

Teraz do Zdziśka.

Była jedenasta.

Zamówiłem błyskawiczną z Zakopanem po kwadransie Ewa wyjaśniła bratu, że jednak nie przyjedzie.

Ja wkładałem talerze do zlewu, zmywałem i zastanawiałem się, jak to będzie, skoro Ewa wyraźnie zamierza u mnie nocować.

Postanowiłem na nic nie nalegać, jej zostawić inicjatywę.

Zresztą po ostatnich zwierzeniach jakoś sam nie miałem specjalnej ochoty.

- Wszystko w porządku - poinformowała mnie od kuchennych drzwi.

- Mogę się pierwsza umyć?

Jestem piekielnie zmęczona.

Pościeliłem jej u Michała, usiadłem z jakąś książką i udawałem, że czytam.

A jednak nie tylko we mnie to spotkanie w szpitalu, w tak przecieźnie przyjemnych, niechcianych okolicznościach, wywołało jakąś reakcję, bo Tymoteusz po kilku dniach zadzwonił, poprosił o spotkanie na mieście, w kawiarni.

Trochę wbrew sobie, raczej ze współczucia dla sytuacji jego córki, zgodziłam się.

Nie odmówiłam może też dlatego, że pewna już byłam swych uczuć względem niego, a raczej ich braku.

No i było także wem trochę przewrotnej ciekawości - coteż pan mecenas wymyśli, jakimi sposobami będzie próbował naprawiać nasze stosunki.

Podjechał nowym polonezem, miał dla mnie anturium z przybraniem, wręcz nieśmiało całowała powitanie moją dłoń, a przy zamawianiu kawy i wuzetek nie umiał ukryć zdenerwowania.

I nie umiał też, gdy kelnerka odeszła, nawiązać zwykłej rozmowy, zupełnie jakby nie był wygadany mecenasem, jakby bezczelne gadanie na każdym możliwym temat nie stanowiło treści jego życia.

Zniknęła też jego "szpi-

444

talna" sztywność, wyniosłość.

Był znowu tym Tymoteuszem, który potrafił czuć.

"Stasińko, nie mam pojęcia, co powiedzieć, bo tak się boję, że tak już jest za późno.

Dla nas.

dla mnie - za późno.

Ale myślę, że powinienem cię przeprosić.

Przeprosić za to, jak się rozstaliśmy, a raczej jak ja się przed naszym rozstaniem zachowywałem.

To był czysty egoizm, zwykłe szczeniactwo.

I nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, może pozamoim.

moją ślepotą, takim zapatrzeniem się w swoje problemy.

Wcale ci się nie dziwię, że miałaś dość tego jęczenia i narzekań.

Miałaś?

". "Owszem, miałam dość.

Ale teraz też cię nie pocieszę, bo.

". "Poczekaj, Stasińko.

Przecież ja nie jestem dzieckiem, ja wiem, że pewnych rzeczy, pewnych spraw nie da się uznać za niebyłe.

I nie oczekuję wcale pocieszenia.

Chcę tylko, abyś nie wspominała mnie źle, aby mnie został w twoich wspomnieniach mazażem i słabeuszem".

"Moich wspomnień nie zmienisz".

"Masz rację.

Nawet bym zresztą nie próbował, bo i jak?

Ale uwierz mi, ja się ostatnio zmieniłem, sporo przemyślałem".

"Posłuchaj, Tymoteusz, nawet gdybym uwierzyła, że się zmieniłeś, to już nie jestem tych zmian po prostu ciekawa.

Już nie".

"Masz kogoś?

". "Daj mi spokój.

Co ma piernik do wiatraka".

"Dla mnie ma.

Bo widzisz.

".

W tym zakłopotaniu był prawdziwy.

W swych wątpliwościach, jak się wobec mnie zachować, co zrobić, aby nie pogorszyć sytuacji, aby nie powiedzieć czegoś, po czym ja zamknę się przed nim już nazawsze.

Zależało mu.

A mnie nagle ustąpiła złość.

Już nim nie pogardzałam.

Bo przecież przez tych wiele wspólnych lat doznałam od niego więcej dobrego niż złego.

Przecież ani nie liczyłam nigdy na to, że zostawi dla mnie żonę i dzieci, ani tak naprawdę tego nie chciałam.

Bo taki układ, kiedy pan mecenas był cały dla mnie tylko od czasu do czasu, zawsze uznawałam za najwygodniejszy.

Jakoś codziennego życia z nim nie umiałam umieścić w swych marzeniach.

"...bo ja dopiero niedawno sam ze sobą doszedłem doładu.

Może niedo końca, ale na tyle, żeby zdać sobie sprawę, że tak naprawdę

445.

oboje, wtedy, mieliśmy to, o co nam chodziło".

"Słuchaj.

". "Poczekaj, daj mi skończyć.

Zdaję sobie sprawę, że trochę na wyrost obiecywałem ci rozstanie z żoną, z rodziną.

Teraz wiem, że tylko ja byłem naiwny.

Bo ty, przyznaj tak uczciwie, przyznaj albo daj mi w twarz, wcale mojego odejścia od rodziny nie oczekiwałaś!

Wcalego nie chciałaś".

Zaskoczył mnie.

Pierwszy raz od dawna - pozytywnie.

"Może i nie chciałam, ale.

". "Więc te moje rozterki - bo one wynikały z nieczystego sumienia, tak wobec ciebie, jak i wobec Leokadii - wcale nie muszą być dla nas przeszkodą.

Jesteśmy starsi, mądrzejsi, no, w każdym razie ja, bo ty.

ty zawsze byłaś mądrzejsza, dojrzała ode mnie.

". "Dałbyś spokój" - prychnęłam, bo nagle przed oczami stanął mi Staś, a nad nim ten Szewc i moją rozdaną w ślepe furii ciosy siatką na zakupy.

"To fakt, Stasińko.

Jesteś i dojrzała, i lepsza odemnie.

Jako człowiek.

Ja może sobie dobrać zawodowo, finansowo, mam pozycję, znajomości, wpływy.

Ale w uczuciach.

". "Tymoteusz - podniosłam głos - ty mnie nigdy nie kochałeś!

". "Stasińko - mówił dalej, z trudem przetykając ślinę - jeśli ja nie Kocham ciebie, to znaczy, że nie umiem kochać.

Albo że umiem kochać tylko tak, jak ciebie właśnie: krzywdząc, oszukując, zwodząc".

"I co ja mam ci powiedzieć?

Że chcę, abyś nadal mnie krzywdził?

". "To nie tak.

Po prostu.

musimy, złe słowo - możemy - albo to razna zawsze zakończyć, albo sobie prosto i otwarcie powiedzieć, że chcemy być razem jedynie odtąd-dotąd.

Bo nie dla nas - nie dla mnie, ale i nie dla ciebie - jest związek zakończony ślubem i błogosławieństwem.

I to nie dlatego, że twój rodzice nie żyją, a moja matka.

.. Proszę cię, abyś pomyślała, czy tak naprawdę nie jest?

". "Jak nie jest?

- spytałam, chociaż rozumiałam aż za dobrze i przestraszyłam się, że nie tylko rozumiem i akceptuję, ale wręcz jestem znów, wbrew temu, co jeszcze pół godziny temu myślałam, gotowa na taki nowy-stary układ przystać".

"Och!

Stasińko!

Powiedz mi, że za ten jeden raz w życiu, kiedy byłem, jestem do końca szczery, a to tylko dlatego,

446

bo z tobą, bo jesteś.

że taka szczerść niemoże, niepowinna.

Ja nie wiem, co mam ci powiedzieć, jak błagać, jak prosić i przeproszać.

Ale tak bardzo bym nie chciał, aby znów, gdybyśmy się jednak.

gdybyś ty.

Nie chciałbym, żeby potem, za kilka miesięcy, znowu wróciło to wszystko co dawniej.

Następny raz bym tego.

Stasiu, powiedz coś!

".

A ja nagle, jakby oderwana od rzeczywistości, od śledzącego każdymój grymasem mężczyzny, wpatrzona w ruchliwą pustkę ulicy, dostrzegłam prawdziwy obraz swego życia: jestem tak naprawdę zupełnie samotna, pusta.

Od kiedy?

Chyba od zawsze.

Tylko opieką nad Stasiem usprawiedliwia moją samotność.

A z tą opieką bywa przecież różnie.

Mimo wysiłków potrafię tego chłopca zmienić, aniustrzec od problemów.

Bo to, że ostatnie miesiące są spokojne, onichym nie świadczy.

Pewnie znowu, za kilka dni albo tygodni bądź miesięcy, Stasio z czymś wyskoczy, ja się nacierpię, nadenerwuję.

i wybaczę.

Ile razy jeszcze?

I to mi wystarczy?

Czy nie oczekuję już od życia niczego więcej?

Czy wobec siebie, w głębi duszy, muszę udawać, że fizyczna część stosunków z Tymoteuszem była mi kiedykolwiek niemiła?

A może powinnam też pamiętać, ile mam lat, ile jeszcze w życiu szans.

nawet nie na miłość, ale chociaż na.

W czymże tak zawinił mi Tymoteusz?

Owszem, okazał się słaby, ale czyż słabość, kiedy przerastają nas problemy, nie jest cechą ludzką?

Czy zdradził mnie, obiecując odejście od rodziny, którego wcale nie planował?

Przecież nigdy nie zależało mi na pozycji pani mecenasowej.

Ale w tej chwili, kiedy zastanawiałam się, co mam odpowiedzieć, zdecydowało coś całkiem innego, banalnego i dziwnego.

Widok jego drżącej prawej ręki.

Tego nie był w stanie zagrać ani udąć, nawet próbował lewą dłonią ukryć tódrganie.

I zapach, tak męski, ulotny, tylko dyskretnie poprawiany wodą kolońską.

Pewnie wpływ miał i mój prawie dwuletni celibat, ta myśl przed chwilą, taka prosta, że jak nieznim, to może już.

447.

"Nie umiem ci odpowiedzieć.

A już na pewno nie odpowiem ci dzisiaj.

Daj mi czas dopomyślenia.

Dajmi.

". "Stasienko kochana, nie wyznaczaj żadnych terminów, dat.

Przecież to nie o to chodzi.

Jeśli tylko.

jeśli nie odrzucasz mnie dzisiaj, od razu, definitywnie, to już jest więcej, niż mogłem, niż miałem prawo.

Wieszco?

Zróbmy tak: spotkajmy się kilka razy, pójdźmy do kina, może do teatru, pogadajmy znów.

I...

zobaczymy".

"Dobrze.

Tak zrobimy.

Szczególnie wobec sytuacji z Marcysią.

". "No właśnie.

Pewnie nikt ci nie mówił, no bo i kto, ale zaraz po Nowym Roku Leokadia zabiera Marcysię do Kanady.

Na dalsze leczenie.

Mój brat zgodził się, żeby na razie uniegomieszkały, oczywiście, jeśli Marcysia nie będzie musiała być w szpitalu.

To chyba mądra decyzja?

". "Na pewno.

Nie jestem lekarzem, ale pewnie w Kanadzie są w leczeniu raka o krok do przodu".

"Mam nadzieję.

No i wiesz, może nowe warunki, nowe otoczenie, bo ona zna i francuski, i angielski, chociaż maturę zrobiła z opóźnieniem, to jednak miała całkiem niezłe oceny, więc to nowe otoczenie, nadzieja.

Sam nie wiem".

"Nadzieja zawsze pomaga.

Czasami leczy.

Wszyscy musicie mieć nadzieję.

To podstawa".

"Tak.

Bo co innego pozostało?

Rozdział Stasia.

Jakoś nie miałem ochoty wstawać, chociaż pierwszy raz od wielu dni świeciło słońce, wprowadzając między szare bloki życia radość.

Nieznane dzieciaki rzucały się śnieżkami, ich krzyki wdzierały się nawet przez zamknięte okno i przywoływały wspomnienia.

Wczoraj wieczorem po prostu poszliśmy spać.

Ewa była zamyślona, trochę nieobecna.

I ja, i mnie przytłaczała pewnie perspektywa dzisiejszych odwiedzin u Gerarda.

Nawet nie wiem, które z nas bardziej to przeżywało, bo ja byłem prawie pewien, że Gerard dalej będzie próbował mnie - a może nas oboje - jakoś wykorzystać.

Postanowiłem przy śniadaniu, przed wizytą u Gerarda, opowiedzieć Ewie, jak bliskobyłem eutanazji?

Próby zabójstwa?

Aktu miłosierdzia?

Sam nie wiem, jak to nazwać.

Dzieciaki przed blokiem nadal hałasowały, a ja wróciłem myślami do naszej fabryki, gdzie zawsze zimą odbywaliśmy regularne bitwy na śnieżki.

Zziębnięte palce ściskają twardą śniegową kulę.

Oczy wypatrują okazyjnie do celu w gorzutu.

Obok mnie Cerkwin, też skupiony, przyczajony.

Widzę ich.

Kura z Kamilką przemykają pod przeciwległym murem.

Zamach, rzut i od razu robię następną śnieżkę, a w tym czasie bombarduje ich Cerkwin.

Znowu rzucami prawie sam zostaję trafiony, bo Kura ma dobrą rękę.

Zmieniamy z Cerkwinem stanowisko, przygotowujemy kilka pocisków i znów wypatrujemy wroga.

Ale oni odkryli naszą taktykę i rzucają po kilka śnieżek naraz.

Mają przewagę

449.

liczebną, bo dołączył do nich jeszcze Czapa.
Jesteśmy w tarapatach, lecz ostrzeliwujemy się najlepiej, jak potrafimy.
W kilku skokach dobiegamy do sterty drewna.
Tam jest dużo śniegu, a i wdół łatwiej rzucać.
Jednak przeciwnicy odkryli nasz słaby punkt i zaczęli zachodzić nas z dwóch stron.
No cóż.
Dobry żołnierz wie, kiedy należy się wycofać.
Staczymy się z ostatniej wolnej strony sterty i biegniemy do najbliższej hali.
Odsłonięci, bezbronni, dostajemy po kilka pocisków.
Nic jednak nie jest jeszcze stracone.
Już za chwilę ostrzeliwujemy się z pustej jokiennicy.
Wrogowie zajęli stanowiska przy najbliższych chrogach hali i na pewien czas siła ognia obydwu stron słabnie.

Zdyszani po biegu, zastanawiamy się, jak umocnić naszą pozycję.
Bo jeżeli jedno z nich dostanie się do środka hali, to przegramy.
Nikt nie da rady walczyć w pełnym okrążeniu.
To wie nawet Stasio Przypiórek inawet on w takiej sytuacji oddaje się w niewolę.
Onzresztą lubi być w niewoli.
Może wtedy krzyżeć i śmiać się ile wlezie, a to jego główna rozrywka.

Za późno na jakiejkolwiek działania.
Bojowy okrzyk Kury za naszymi plecami, razem z odważnym desantem na okno dokonany przez Czapę i Kamilkę, kończy nasze marzenia o zwycięstwie.
Jako jeńcy z pierwszej linii frontu jesteśmy teraz prowadzeni na stracenie.
Skute drewnianymi kajdankami ręce trzymamy ponuro przed sobą.
Kamilka jest wydającym rozkazy oficerem, a Czapa z Kurą - plutonem egzekucyjnym.
Mamy tylko jedną szmatkę do zawiązania oczu, więc po krótkiej dyskusji postanawiamy odbyć inscenizację dwa razy.

Na ;

 pierwszy ogień idę ja.
Nie ma we mnie ani śladu lęku.
Pierś mam;

 przepełnioną dumą.
Walczyłem wszak dokońca, poddałem się dopiero otoczony przez wroga ze wszystkich stron,
gdy dalsza walka nie miała już sensu.
Mógłbym polec na front, ale egzekucje zawsze stanowiły bardzo ważną część
naszych zabaw, bodaj czy nie najważniejszą, a rola ofiary należała chyba do najbardziej
upragnionych.
Tumoznabyło wykazać się wielkim kunsztem, bo skazaniec wygłaszał ostatnie zdanie i padał,
a potem umierał długo i wspaniale.

Nie byłem

 450

 w tym najgorszy.
Najsłabiej szło zawsze Czapie i Gerardowi.
Czapa nie miał dość wyobraźni, aby w ostatnim słowie powiedzieć coś więcej niż:
 - "Za honor i ojczyznę".

A umierał jak kłoda.

Padał i.

już.

Nuda.

Nawet Stasio potrafił trochę tarzać się, cierpieć i dopiero później konał.
Z tym że Stasio najczęściej konał dokładnie tak jak ten bezpośrednio przed nim.
A Gerard, który lubił zabawę śnieżkami, samejkońcówki nie znosił i nie potrafił udawać
bohaterskiej ofiary.

Mówił zawsze: "No, już!

". Później nawet nie chciało mu się porządnie upaść.

Ja umieram w ciągu minuty.

Wygłaszam oryginalne zdania: "Paniekapitanie!

Niech nasze życie nie pójdzie na marne.

Pomścij nas!

Gotów jestem na śmierć!

Strzelajcie w mą pierś!

".

Ugodzony kilkoma śnieżkami, wije się, podrzucam korpus do góry, coraz słabiej
i słabiej, wreszcie drga już tylko lewa noga, a w ostatnim geście podnoszę prawą rękę i posyłam
pożegnalny pocałunek słońcu.

albo chmurom - zależnie od pogody.

W pewnym sensie każdy z nas spodziewał dobrze udaną śmierć na polu chwały!

Tamtego dnia umarłem z klasą, ale że było zimno, nie przedłużałem przesadnie
przedstawienia.

Kamilka zdjęła z mychmartwychoczu szmatkę i zawiązała ją wokół głowy czekającemu w
kolejce Cerkwinowi.

- Nie gadaj dużo - syknęła do niego - bo strasznie spieniałam.

Cerkwin jednak nie potrafił sobie odmówić wygłoszenia kilku zdań:

- Walczyłem jak żołnierz.

I ginę teraz jak żołnierz, lecz nie mam w moim sercu strachu.

To wy, oprawcy, bójcie się sądu Bożego.

A ja jestem gotów na śmierć każdej chwili, każdej minuty mego życia.

Strzelajcie!

Próbował rozedrzeć kurtkę na piersi, ale guziki mocno trzymały.

Pluton egzekucyjny, też widać podmarznięty, zaczął bombardowanie, zanim Cerkwin uporał
się z guzikami.

Wtedy stała się rzecz dziwna.

Cerkwin upadł już przy trzeciej śnieżce, podczas gdy zwykle udawał znacznie dłuższą
odporność na kule wroga.

I to upadł natychmiast - jak Czapa.

451.

Leżał blisko mnie.

Od razu zauważyłem strużkę krwi, jaka pociekła z okolic jego oka.

Poderwałem się na nogi, zupełnie wypadając z roli.

- On krwawi, o Jezu!

Coś się stało.

, Wszyscy podbiegli, nachylaliśmy się nad Cerkwinem, szarpaliśmy go za ramię.

Nic.

Leżał jak martwy.

Wtedy, jakby spod ziemi, bo nie bawił się z nami tegodnia, pojawił się Gerard.

Odsunął nas na bok, rozpiął Cerkwinowi kurtkę i koszulę, przyłożył ucho do jego piersi.

- Żyje.

Szybko do domu z nim.

Pewnie dostał w skroń.

Krwi było coraz więcej.

We czterech targaliśmy wciąż nieprzytomnego Cerkwina.

Nagle zrobiło mi się gorąco, społem się jak mysz.

Zaspani, przestraszeni, donosiliśmy właśnie rannego pod klatkę, gdy z drzwi wypadli rodzice Cerkwina, zawiadomieni przez Kamilkę, która przybiegła kilka chwil wcześniej.

Ojciec Wiesia, pan Kaniszkis, był mężczyzną potężnym.

Silnym, chociaż powolnym.

W tamtej chwili jednak wstąpił w niego diabeł.

Widząc zakrwawionego syna, stracił panowanie nad sobą.

Tydzień wcześniej Gerard dość mocno pobił Cerkwina na podwórku.

Pokłócili się o coś w czasie zabawy.

Pewnie Wiesia chciał się Gerardowi podporządkować.

Pan Kaniszkis dowiedział się o wszystkim od Agaty, młodszej córki, i widać poprzysiągł Gerardowi zemstę.

Bo teraz, bez słowa, bez żadnych wyjaśnień, rąbnął Gerarda twardą pięścią w szczękę.

Gerard miał wtedy dwanaście lat.

Był wysoki i kościsty, zaprawiony w niejednej bijatyce, ale od ciosu pana Kaniszki po prostu padł jak długi.

Pechowo - poleciał głową na kant osiedlowej ławki.

A ojciec Wiesia nawet na niego nie spojrział, tylko wziął syna na ręce i, odepchnąwszy rozhisteryzowaną żonę, ruszył nim po schodach do domu.

Wszystkich nas zatkalo.

Staliśmy nad Gerardem, który jęczał z zamkniętymi oczami, i patrzyliśmy na siebie bezradnie.

452

- Zadzwoń na pogotowie - powiedziała Kamilka.

- Tylko rodziców nie ma w domu, a to pewnie trzeba być dorosłym.

Poszła jednak, a my próbowaliśmy podnieść Gerarda z ziemi na ławkę.

Ciężko szło, bo malignie zaczął machać rękami.

Nagle złątkiwyszli rodzice Cerkwina.

Pan Kaniszkis znów niósł Wiesia na rękach.

Szli do samochodu, do syrenki, i po chwili już odjeżdżali, pewnie do szpitala.

Wróciła Kamilka.

Nie zadzwoniła.

Bała się.

Namawiała Kure, żeby to on zadzwonił, bo starszy.

Gerard uspokoił się, przestał jęczeć.

Wokół nas zebrało się więcej dzieci z podwórka.

Gadaliśmy jedno przez drugie, co trzeba zrobić, ale nikt nie potrafił zdecydować.

Nagle dotarło do nas, że słyszemy sygnał karetki pogotowia.

Zaraz potem nyskała koło trzepaka, a pielęgniarszenosili do niej Gerarda.

W ostatniej chwili Kura zapytał kierowcę:

- Proszę pana, a kto was wezwał?

- Jakiś facet.

Myślałem, że to tatę chłopca.

Na dalsze wyjaśnienia nie było czasu.

Nyska odjechała na sygnale.

Przez wiele dni podwórko wrzało od plotek.

Dorośli oburzali się na pana Kaniszkiśa za "znęcanie się nad nieletnim".

Najwięcej gardłowali ci, którzy Gerarda znali tylko z widzenia, bo sami nie mieli dzieci w jego wieku.

Pozostali nie odzywali się albo nawet wykazywali dla pana Kaniszkiśa bardzo daleko idące zrozumienie.

Do tych należała również moja mama.

Nie było się jednak bez wizyty milicji w mieszkaniu państwa Kaniszkiśów, ale na jednej rozmowie sprawa została zakończona.

Milicjanci widocznie słyszeli już wtedy Gerardzie.

Wśród dzieci krążyła kilka wersji.

Gerarda nikt tak strasznie nie żałował, chociaż w tej konkretnej sprawie był zupełnie w porządku.

Ale przecież broił o wiele poważniej tyle razy, że na to jedno skarcenie z pewnością zasłużył.

A i niektórzy wymyślili, że to on podłożył Czapiekamieńdo śnieżki, i że to on rozkazał "załatwić" Wiesia.

Byli i tacy, co przysięgali, jakoby to sam Gerard rzucał, a oni to naprawdę widzieli.

453.

Cerkwin w szpitalu spędził tylko jedną noc, wrócił z zabandażowanym okiem; Gerard został tam aż trzy dni.

Gdy się pojawił, to przez ponad tydzień w niczym nie przypominał podwórkowego tyra. Spokojny, cichy.

Chodził powoli, dostojnie - w ogóle nie biegał i z nikim nie szukał zaczepki.

Nie komentował też przeszłych zdarzeń, do Wiesia o nic nie miał pretensji.

Ale po kilkunastu dniach wrócił do pełnej formy i sprawą poszła jakby w zapomnienie.

Kilka miesięcy później, na wiosnę, spłonęła syrenka państwa Kaniszkisów - przedmiot ich dumy i obiekt podziwu całego podwórka.

Nie ustalono przyczyn pożaru.

Tydzień potem okradziono komórkę Kaniszkisów.

Zginął prawienowy rower Wiesia i sporo drobiazgów - poza rowerem nic cennego, bo icóż można trzymać w komórce?

Ale złodzieje potłukli wszystkie weki z kompotem, ogórkami, konfiturą innymi przetworami, z których produkcji rodzice Wiesia znani byli w całym bloku.

Narażanie się Gerardowi stało się jeszcze mniej popularne.

Ewa jadła bez apetytu.

Powoli, jakby ostrożnie, patrząc w okno.

Nie wiedziałem, jak zacząć opowiadanie o ostatnich manipulacjach Gerarda.

- Chyba powinienem ci powiedzieć, że Gerard.

On jest wciąż niebezpieczny.

- Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakby zawsze tym wiedziała, jakbym ostrzegał ją przed czymś całkiem oczywistym.

- Zauważyłam już w Wigilię, że ty chcesz mu.

- Chciałem się tylko jak najwięcej dowiedzieć.

A on mnie sprytnie podszedł i.

- Zamilkłem w pół słowa, speszony jej drwiącym spojrzeniem.

- Myślałeś, że on się poddał?

To nie ten typ.

Ale muszę mu stawić czoło.

Faktów nie da się oszukać.

- Po prostu.

Chciałem ci tylko powiedzieć, że on.

- Straciłem ochotę do zwierzeń, bo Ewa wcale na mnie nie zwracała uwagi, tylko patrzyła wciąż w okno.

454

Milczeliśmy chwilę.

Zły byłem na siebie, na nią.

- Gdybym znalazła się na jego miejscu - powiedziała bardzo cicho - to próbowałabym popełnić samobójstwo.

Tylko jak.

No, dla sparaliżowanego człowieka to nie takie proste.

Więc pewnie próbowałabym.

- Skąd wiesz?

- Wzdrygnąłem się, tak zimnym i przenikliwym wzrokiem mnie przeszyła.

- Czyli mam rację?

Próbował cię.

wykorzystać?

- Właśnie o tym chciałem ci opowiedzieć.

A ty.

- Od początku zastanawiałam się, po co on chce mnie widzieć?

Icały czas dochodziłam do jednego wniosku: będzie chciał odemnie.

zwrotu przysługi.

Oddania długu wdzięczności.

Nie wiem, jakto nazwać.

A ja bym pewniemogła to zrobić, ale z nienawiści.

Tomek!

Ja go siętak boję, czy też.

bałam, że aż trudno uwierzyć.

Mnie samejtrudno.

A ciebie jak podszedł?

- Na litość.

Błagał, o dzieciństwie opowiadał.

Mówił, jak to mnieprzed Księżykiem bronił, jakie miał zawsze piekło w domu, jak chciałteraz wyjść na ludzi.

Sprytnie to obmyślił.

Wiesz, on nawet udawał, że głową ledwo mozeruszać, a kiedy się nie udało, jak się zorientowałem, to od razu.

Co ja plotę!

- Nie pleciesz.

Pójdziemy do niego.

Razem.

Obiecuj mi, że samejmnie z nim nie zostawisz!

Przypomniałem sobie Gerardaprzykutego do łóżka i omal się nieuśmiechnąłem.

Ale czy zmija, nawet na pół martwa, nieprzestaje byćjadowitym gadem?

Wystarczy małyruch głową, jedno draśnięcie.

Aż się zdziwiłem, jak wiele w ostrożności Ewy było tego, czego mnie brakowało - dobrego rozeznania charakteru Gerarda.

Aprzecieżto ja powinienem znać go o wiele lepiej.

To ja powinienem być wolnyod wszelkich złudzeń względemniego.

No tak, ale ja wiedziałem teżo kotkach, nieraz widziałem jegosiniaki i popodbijane przez ojca oczy; przecież wspólnie z nim ochoczo

455.

kopałem wtulonego pod ławkę Stasia, a jeszcze tak niedawno całkiemnieźle zarabiałem na jego "cynkach" przy obstawianiu koni.

I wciąż, w jakimśstopniu, byłem podwórkowym Babolem.

,- Obiecuję - powiedziałem całkiem poważnie.

-Wiesz co,Ewa?

Jesteś.

Nie wiem, jak to powiedzieć, ale zawsze miałem cię za inną.

niż jesteś.

Rozumiesz?

Myślałem.

- Już nie kończ -zaśmiała się.

- Ażtakamądra nie jestem.

Alemiło mi, gdy tak mówisz.

- Chciałbym.

być z tobą.

Niechcę mówić nic więcej, ale.

- To niemów.

Chodźmy najpierw do gniazda żmii!

Uśmiechała się.

Znowu piękna, pełnaciepła.

Gdy sprzątailiśmy razem ze stołu, przytuliła sięna chwilę do mniei powiedziała:

- Dziękuję - po czym poszła zadzwonić do rodziców.

-Idziemy jakna wojnę- zażartowała, gdy równym krokiem z poważnymiminami zbliżaliśmy siędo szpitala.

- Idziemy zakończyć wojnę - odpowiedziałem, bo nagle przepełniłomnie przecucie bliskiego wyzwolenia.

- Przyjdziemy, zobaczymyi.

- Wybaczymy!

- dopowiedziała.

-A później będziemy żyć długoi szczęśliwie.

Byliśmy o kilka kroków od szpitala.

Zatrzymałem ją, mocnoprzytuliłem i pocałowałem.

To był piękny, długi pocałunek.

wiecoznałaś ig, opoznaupoznau otrazu, ażery poznau żetoja, ipamientau, uśmiatseja znaszyl zabaf, napodwurku ifa bryceihowa, nego jakmie,szukauszuka,u aznales nemuk tylko, żery słabość, ruszau ajaşe zaboki czymau ze, śmiehu tylkoja, niewiem, czemu za boki ale tak, coca muwi imaruşa, muwi iżery, muwi

Szpital był pełen odwiedzających.

Ruch igwartchnęły trochę życiaw ponure korytarze.

Posuwaliśmy się powoli, omijając poprzystawia456

ne do łózek krzesła, czekając, ażżona poprawi pościel leżącemu nakorytarzu mężowi,a babciaskończykarmić domowym rosołkiem choregownuczka.

Tu iówdziezapach przyniesionego jedzenia - wędzonej makreli, świątecznej szynki, anawet silna woń pomarańczy -zabijały wszechobecny smród lizolu.

Czuliśmy się jakna jarmarku- pośród straganów, przekupek i tłumu odświętnie ubranych wieśniaków.

Tylko przemykająceod czasu do czasupielegniarki zadawałyklam temu złudzeniu.

Gdzieśw korowodzie obcych twarzy mignęły mi jakby znane rysy.

Trochę bezmyślne, wciąż uśmiechnięte oblicze.

Stasia Przypiorka.

Przemknął tylko, do tego ubrany w biały fartuch, więc początkowo wzięłem to za dziwaczny wybryk mojej wyobraźni, bo skąd Stasia miałaby pracować w szpitalu?

Spotkaliśmy się nawet wzrokiem i wtedy od razu straciłem pewność, czy to on: całkiem gęsty wąsik, męskasylna wetka, szerokie ramiona -to nie pasowało do niego.

Zniknął natychmiast za drzwiami jakiegoś pomieszczenia.

Zaintrygowany, podszedłem tam.

Napis na drzwiach ostrzegał: Tylko dla personelu.

Mimo to zajrzałem do środka, nie odpowiadając na pełne zdziwienie pytanie Ewy, czego jadam, mianowicie, szukam.

Wewnątrz zobaczyłem szafy, kubły, miotły i ścierki.

Pod oknem stało kilka parawanów, leżała sterta szmat, kalosze.

Na ścianach wisiały bladoniebieskie fartuchy.

Zauważyłem też półprzymknięte drzwi, przez które można było wyjść na równoległy korytarz po drugiej stronie, skąd dochodził ten sam co i tu gwar odwiedzających.

Nie zdążyłem tam wyrzeć, bo zostałem zrugany przez salową za zagłębienie do "pomieszczeń pracowniczych".

Zresztą nawet gdybym znalazł Stasia, to co?

Ruszyliśmy dalej, wciąż wolno i mozolnie przedzierając się przez zatłoczone korytarze.

Dopiero na piętrze Gerarda przeredziło się, tam było prawie pusto.

Zupełnie jakby odwiedzający chodzili tego dnia wszędzie, tylko nie na ostatnie piętro chirurgii pourazowej.

457.

Stanęliśmy u właściwych drzwi.

Popatrzyłem na Ewę.

Błada, skupiona, ani śladu uśmiechu w pięknych oczach.

- No to- skrzywiłem się - wchodzimy?

Nacisnęła klamkę.

Zrobiła krok do przodu i tak przez chwilę została.

Nie popędzałem jej.

Pamiętałem, jak ciężko byłomi wejść do Gerarda za pierwszym razem.

Nie wiedziałem jednak, co ją zatrzymało w drzwiach.

„aleś żery, czy mać zaboki nie mosze bo, śe, nie.

rusza renkami, inogami, śe nie rusza to muwi, coby ja pomuc toja, zapytauem, jak pomuc
żeby ażery leżauileżau ipoduszke, kazau czy mać,

Ewa z zagadkowym westchnieniem oparła się framugę, wciąż zagradzając wejście.

Jej ramiona drżały.

Zajrzałem ponad nią.

Rama drugiego łóżka zasłaniała mi głowę Gerarda.

Wtedy Ewa cofnęła się gwałtownie, chowając twarz w dłonie, i również ja zahaczyłem jego
oczy.

Wybaluszone, przekrwione oczy trupa, okrutne za życia - przerażające po śmierci,
wlepione niby w sufit, a jakimś sposobem zezujące też na nas, skamieniałych ze zgrozy na
progu szpitalnego pokoju.

I zobaczyłem poduszkę.

Tę samą, którą wczoraj przyciskałem do jego twarzy.

Chyba od razu zrozumiałem, co się stało.

Tylko.

кто?

Na łóżku obok bandażowany pacjent starał się zwrócić na siebie uwagę.

Jęczał, charczał, próbował podnieść rękę.

Zza okna zaś dochodził wrzaskliwy harmider kołujących nad drzewem wron.

Zupełnie jakby podniosły larum naduwolnioną od cielesnych cierpień ludzką duszą.

Wycofałem się na korytarz.

Ewa osunęła się bezwładnie na podłogę.

Rękami przesuwając po włosach przód i w tył.

458

Rozejrzałem się.

W zasięgu wzroku nie było lekarza ani pielęgniarki, ani nawet żadnych innych
odwiedzających.

Wziąłem Ewę pod pachy i zaprowadziłem do okna, obok którego;

zółta w muszla sterczał popękany zlew.

Posadziłem ją na metalowym stolku i zmoczyłem rękę w rdzawej wodzie.

Tą wilgocią dotknąłem jej czoła, policzków.

Ocknęła się.

Popatrzyła na mnie przytomniej.

- Ewuniu - powiedziałem jak do dziecka.

- Poczekaj tu na mnie.

Znajdę lekarza albo pielęgniarkę.

Tylko stąd nie odchodź.

Dobrze?

- Jeszcze wody.

Tuż obok było wejście do pomieszczenia gospodarczego z wyraźnym ostrzegawczym napisem: MAGAZYNODZIEŻY.

WSTĘP TYLKODLA PERSONELU.

Powtórnie łamiąc przepisy, zajrzałem do środka.

Na półkach rów"niutko poukładane piżamy, szlafroki, prześcieradła i ręczniki.

Podoknem małe biurko, na którym leżał otwarty zeszyt.

Obok zeszytu poblacie toczył się ołówek.

Już, już miał spaść, gdy zza przepierzenia wysunęła się ręka, chwyciła go w ostatniej chwili i zniknęła.

Cisza.

Ktoś, kto tak zręcznie złapał ołówek, wyraźnie nie zamierzał się pokazać.

Podszedłem trzy kroki i zajrzałem za przepierzenie.

Wtulony w sam kąt, przestraszony, przyciskając do piersi dopiero co pochwycony ołówek, patrzył na mnie.

Stasio Przypiórek.

Z bliskania miałem wątpliwości, że to on.

A więc to nie było złudzenie?

To naprawdę Stasio mignął mi przed oczami, gdy wchodziliśmy z Ewą do szpitala.

Mignął i zaraz zniknął.

Ubrany w biały fartuch pielęgniarza, czyściutki i zapięty pod samą szyję.

- Stasio?

Co ty tu robisz?

- Nic nie zrobiłem, Babol.

Ja nic nie robię.

- Patrzył na mnie z przerażeniem, które przewyższało moje zdumienie.

Czego tak się bał?

- Tylko nie czytaj- powiedział, gdy mój wzrok zahaczył o leżącą na biurku zeszyt.

459.

Wziąłem cienki brulion do ręki.

Na okładce wielkimi niezgrabnymi kulfonami było napisane:

STAŚA ZEZYT

- O? To twój pamiętnik?

-Neczytaj!

Przypomniałem sobie o omdlałej Ewie na korytarzu.

- Poczekaj tu, Stasio.

Wziąłem z półki jeden z ręczników wyszedłem z magazynu.

Nawilżyłem go rdzawą wodą i podałem Ewie.

Odzyskała już normalne spojrzenie, ale wciąż była blada jak ściana.

- Połóż to sobie na karku.

Powinno pomóc.

- A co tam masz?

- spytała, pokazując zeszyt.

- Pamiętasz panią Kłopak?

Co to nas naprzystanku zaczęła i opowiedziała o Gerardzie?

- Pamiętam.

Mokre strasznie - wzdrygnęła się od opasującego jej szyję ręcznika.

- Daj teraz jakiś suchy.

- Pani Kłopak opiekowała się Stasiem, opowiadałem ci o nim, to ten nasz podwórkowy przygłupek.

Ona go chyba przyprowadza do szpitala.

Stasio teraz siedzi w tym magazynie, a to pewnie jego pamiętnik.

Podałem jej zeszyt do potrzymania i wszedłem do magazynu podругi ręcznik.

Stasio natychmiast wyjrzał z ciekawości ze swojej kryjówki.

Gdy uśmiechnąłem się do niego, od razu schował głowę.

Zaniosłem Ewie suchy ręcznik i widząc, że zajęła się przeglądaniem brulionu, wróciłem do Stasia.

Coś mi w jego obecności tutaj, raptem kilkanaście metrów od sali, w której z wybałuszonymi oczami leżał Gerard, nie pasowało.

- Nie bój się, Stasio.

Zaraz poszukamy pani Kłopak.

- Znowu ostrożnie wyjrzał.

-Ona się tobą zajmie.

- Ciocia się mną zajmie.

Marusiateż.

460

- To i Marusia tu pracuje?

Widujesz Marusie?

- Stasio też pracuje.

Pomaga.

Zanosi.

- O, to ty, widzę, zostałeś pielęgniarzem?

- Stasio pomaga.

Co ciocia powie, co Marusia powie albo paniduzą, to Stasio robi.

- A co ostatnio zrobiłeś?

Moje pytanie wywołało u niego wręcz paniczne przerażenie.

Skulił się, wbił wzrok w podłogę i zamilkł na dobre.

Czyżby.

- Nie bój się, Stasio.
Przecież ja ci nigdy krzywdy nie robiłem.
Powiedz mi, co się stało?
Czego ty się boisz?
Cisza.
Tylko w spojrzeniu, które zawisło na mojej twarzy, zaczął się nienawieść.
- Stasio, przypomnij sobie, przecież to nie ja byłem dla ciebie zły.
To Dżery zawsze.
- Babol.
zły.
- Nieprawda.
Zawsze byłem dla ciebie dobry.
Pamiętasz mleczkę?
Przecież ci pomogłem, do domu odprowadziłem.
- Babol zły.
Oczy bolały.
Stasio płakał.
- Ale to przecież Dżery naładował ci mleczki do oczu.
Nie pamiętasz?
Ja ci pomogłem.
- Babol zły.
Westchnąłem.
Nie spodziewałem się u Stasia wielkiego rozwoju intelektualnego, jednak w tej chwili
odniosłem wrażenie, że on się chyba jeszcze nawet cofnął!
- A wiesz, że Dżery jest tutaj, w szpitalu?
Wstał, zagryzł wargi i
rzucił się na mnie, pchnął na ścianę takim impetem, że straciłem równowagę i musiałem
przykucnąć.
Wybiegł z magazynu.
Kiedy się podniosłem i wyrzuciłem na korytarz, Stasia już nigdzie nie było widać.
Spod okna, z nad otwartego zeszytu, patrzyła na mnie Ewa.
W jej spojrzeniu nie dostrzegłem zdziwienia, tylko.
- Domyśliłaś się?
- spytała.
461.

- Czego?

- Znowu miała rumieńce, tak intensywne, że aż się przestraszyłem.

- Masz.

- Wyciągnęła do mnie brulion Stasia.

- Czytaj.

I wskazała na kilka ostatnich linijek nabażgranego koślawo nierównego tekstu:

bo, on, teras, zaspac nemosze icomu pielegnarka poduszko, pomosze, a ne hcecalyczas, pielegnarki prosic icoby jamu pomagali, bo pszyija cel, iza l razem, jamu pomaga, u aon nezasnou,

- Nic z tego nie rozumiem!

- Stasio opisujesz swoją wizytę u Gerarda.

On pisze fonetycznie.

No, prawie.

Ale to da się zrozumieć.

Skup się!

aon, nezasnou tylko są, pauimuwi zepoduszke, czeba mocnomocnopszyćiska. é ipatszeć, coby wrony 2razy potamlatau, ty to ja se, položy boja, umie liczyć, toja patszy. utylkowrony, ań l ań 2 nepolatau to ja se, zmenczyu ipodnus, poduszkę ipytau cote, wrony tak ne latau, ty azery, nictylko 2oczy wybałuszy.

u ijesyk l wybauszy, u, ija, sobie pszypomnau jaktak, czaruś 2oczy, wybauszyu jak wiśa, unasznurku, tylko, jesyk miauczaruś dużo dużo mocniej, nawieszhu samo.

hut czarny czarny pszyijehau, iczaruśa zabrau toja, nerosumiau coten zery tak jak, czaruś tylko, ne jesykawića.

u babola aten za fsze złybyu toja napisa, u, ateras se boje, babcia jak mne znajee coce, znajee ibendom, kszyczeć ato zery, kazau awience i babol kszyczau napot, wurku bogo ne, lubię to showam, napisane tam gćehodze, po, rencznik jak coća prosi, imaruśa prosi

- Przecież tu jest napisane.

Podniosłem wzrok znad zeszytu.

W oczach Ewy znalazłem potwierdzenie.

- Tak.

Tu jest opisane, jak zakończył życie nasz wspaniały przyjaciel Gerard.

Prosto i lakonicznie.

462

- Stasio?

Gerarda?

- Miałeś rację.

On wciąż był niebezpieczny.

- Przecież Stasio nie może za to odpowiadać!

On nic nie rozumie.

- Nic.

Ale Gerard nie żyje.

Co zrobimy?

Teraz ja przysiadłem na metalowym stolku.

Wpatrywałem się tępow kulfony Stasia.

Zawsze myślałem, że wiadomość śmierci Gerarda będzie dla mnie radością, wspaniałą.

No cóż, jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym grubo się myliłem.

- Widzę tylko jedno rozwiązanie.

Jakie?

-- Musimy odszukać panią Kłopot.

To jej podopieczny.

Może onacoś poradzi?

- Masz rację.

Chodźmy.

Na niższych piętrach ruch jakby już zelżał, jednak odszukanie pani Kłopot nie było łatwe.

Nie chciałem nikogo pytać, bo wołałem, żeby nasza obecność w szpitalu pozostała niezauważona.

Domyślałem się, że pewnie będzie jakieś śledztwo w sprawie śmierci Gerarda, a nie miałem najmniejszej ochoty być w tę sprawę zamieszany.

Ani mieszać w to Ewy.

Ponieważ ostatnim razem spotkałem panią Kłopot na oddziale nowotworowym, poszliśmy na onkologię.

I, oczywiście, pierwszą osobą, na jaką wpadliśmy, była.

Marcysia.

- Och, Tomek, tak się cieszę.

Znowu przyszedłeś!

- Cześć, Marcysiu.

To moja koleżanka, Ewa.

Na widok Ewy Marcysia od razu posmutniała.

Agdy jeszcze, zamiast z nią rozmawiać, spytałem tylko, czy nie widziała pani Kłopot, odburknęła:

- Jest w dyżurce.

A ty coś tak gapisz?

- zaatakowała Ewę, którą nie potrafiła ukryć przerażenią widokiem dobielejącej twarzy Marcysii głowy pozbawionej wszelkich włosów.

463.

- Ja.

nic.

Przepraszam.

Tylko.

- Zanim to się stało - Marcysia była zła, agresywna - byłam taka ładna jak ty.

I Tomek odwiedzał mnie nie tylko w szpitalu.

Równie żw łożku!

- Marcysiu!

Daj spokój.

- Sam sobie daj spokój.

Hipokryta, kabotyn!

Nie chcę cię więcej znać!

Uciekła do swojej sali.

- Później ci wytłumaczę - powiedziałem do zdumionej Ewy, sam lekka oszołomiony, i skierowałem się do dyżurki.

Zastałem w niej tylko dwie pielęgniarki: panią Kłopok i Krzysię, naszą rudowłosą, podwórkową Marusię, którą tak dawno temu ratowałem z rąk małego Gerarda sadysty.

- Dzień dobry pani.

Dzień dobry, Krzysiu.

- Babol?

Znaczy.

Tomek Bambliński?

- Tak, Krzysiu, to ja.

Przepraszam cię, pogadamy innym razem, bo teraz mam ważną sprawę do pani Kłopok.

Proszę pani, czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś sami?

- A co się stało, chłopcze?

- Toważne, naprawdę.

Możemy gdzieś pójść?

- Ja już wychodzę.

Możecie rozmawiać tutaj - powiedziała Marusia irzeczywiście wyszła z dyżurki.

- O co chodzi, Tomku?

- W jej oczach raczej nie było zyczliwości.

Czyżby ona miała o mnie takie zdanie jak biedny Stasio?

- To dotyczy Gerarda i.

Stasia.

Stasia Przypiorka.

Zdaje mi się, że to panigo tu przyprowadza?

- Nie mamgo z kim zostawiać, a kiedy jest sam, bywa.

nieobliczalny.

- Właśnie.

Stało się, niestety, nieszczęście.

Proszę - podałem jej zeszyt - niech pani sama przeczyta.

Pokazałem jej kilka ostatnich zdań.

Nie była chyba wprawionaw czytaniu bazgrołów swego pupilka, bo odcyfrowanie tekstu zajęło

464

jej sporoczasu.

Kiedy w końcu popatrzyła na mnie, była wyraźnie przerażona.

- Czyli.

czy.

Stasio.

Gerarda?

- Tak.

Przyszedłem odwiedzić Gerarda.

Z Ewą.

On kiedyś jej, znaczy Ewie, życie uratował, więc przyszliśmy, bo święta i tak w ogóle.

Jak weszliśmy do sali, to Gerard już

nie żył.

A potem, szukając ręcznika, bo Ewa zasłabła, jak zobaczyła.

Gerarda.

więc szukając, natknąłem się w magazynie.

na Stasia.

I znalazłem ten zeszyt.

Ale on się przestraszył i.

- Przeprowadziłeś tu Stasia?

- pani Kłopotek była przeraźliwie blada.

Chyba nie bardzo słuchała i nie starała się zrozumieć moich słów.

Przysiadła na brzegu krzesła i podparła głowę na jednej ręce, w drugiej wciąż trzymając otwarty zeszyt.

- Nie.

On..

uciekł.

On się mnie boi.

Ale Stasio chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, co zrobił Gerardowi.

Może tylko czuje, że coś jest nie w porządku, a nie wie, co.

- Pewnie, że nie wie.

I co teraz?

- Ja.

też nie wiem.

Myślałem, że pani.

Ale ona była całkowicie załamana.

Łzy, bezradność.

I strach.

Popatrzyła na mnie prosząco, wyciągając w moim kierunku zeszyt.

- Czy ty.

czy będziesz.

Czy.

?

- Czyja.

co? Żeby Stasia?

Żeby go oskarżyć?

- Zrozumiałem powód jej strachu.

- Nie.

Po co?

Przecież Stasio nie chciał.

Sam napisał, że Gerard go.

wrobił.

Gerard nie takie rzeczy potrafił.

I nie tylko z.
nim.

- Więc.

mogę ten zeszyt zniszczyć?

- Chyba tak będzie najlepiej.

Widzi pani, ja sam, raptem dwa dnitemu, o mało Gerarda nie.

To pewnie ze Stasiem mu poszło jak z płatka.

Tylko ja nie wiem, czy nie będzie jakiegoś śledztwa, dochodzenia.

Nie chciałbym.

- A czy ktoś wie, że go odwiedzałeś?

-No, widziały mnie przecież pielęgniarki, lekarze.

Z jednym nawet rozmawiałem.

I...

Marcysia, ale ona nie wie, że ja do Gerarda,

465.

a nie do niej.

Ona myśli, że to ją odwiedzałem.

No i w pokoju Gerarda jest jeden pacjent, taki zabandażowany.

- Jego już ja wezmę na siebie.

Zresztą on niewiele widzi i kojarzy.

Jest namorfinie.

Powiedziałeś komuś, jak się nazywasz, gdzie mieszkasz?

- Nie.

Nikomiu.

Przestała płakać. Mówi teraz rzeczowo i trzeźwo, wciąż patrząc na zeszyt.

- Najlepiej będzie, jeżeli zaraz stąd pójdziesz, zanim jeszcze.

zanim ktoś znajdzie.

Gerarda.

Tak myślę, że śledztwo, jeżeli w ogóle jakieś będzie, to niezbyt drobiazgowo i dokładne.

Ostatecznie, w jego wypadku to był rodzaj.

miłosierdzia.

Prawda?

- Chyba.

tak.

- Żeby tylko Stasio sam się niewygadał.

Muszę go szybko znaleźć.

Idź już stąd, aja poszukam Stasia.

- W takim razie.

do widzenia.

- Imoże lepiej by było, gdybyś nie przychodził tu przez jakiś czas.

Do Marcysi też nie.

Daj jej spokój.

- Dobrze, proszę pani.

Do widzenia.

- Do widzenia.

Aha, Tomku - popatrzyłem na nią już z korytarza - dziękuję.

- Chyba niema za co.

Proszę pani, jado Gerarda.

sam niewiem, co czułem.

Alenigdy nie byłem po jego stronie.

Też zawsze byłem jego ofiarą.

- Wiem.

Wierzę ci.

Do widzenia, Tomku.

- Wyraźnie najbardziej zależało jej na tym, abym wreszcie się ulotnił.

W tej chwili liczył się tylko Staś.

W każdym razie.

dla pani Kłopot.

Ewę po prostu wziąłem za rękę i wyprowadziłem na zewnątrz.

Trochę to wyglądało na cieczkę.

Dopiero gdy wyszliśmy przed gmach szpitala i wyraźnie skonsternowani

popatrzyliśmy na siebie, Ewa zapytała:

- I jak?

Ona to załatwi?

466

- Chybatak.

Nie wiem co prawda, jakim sposobem, ale myślę, że będzie starała się ochronić swojego podopiecznego przed odpowiedzialnością.

- A jeżeli on.

jeszcze kogoś?

- Stasio?

- taki wariant nie przyszedł mi do głowy.

Ten biedak nigdy nie wydawał się niebezpieczny.

A jednak.

Gerarda.

- Stasioto nie morderca, tylko.

przygłupek.

On zawsze był trochę niedorozwinięty.

Ale nigdy nie był niebezpieczny.

Gdyby go Gerard nie namówił, to on nawet muchyby nie skrzywdził.

- A jeśli namówi go kto inny?

- W głosie Ewy było powątpiewanie, niepewność.

- Ewa, o coci chodzi?

Co według ciebie mam zrobić?

Pójść namilicję i towszystko wyjaśniać, tłumaczyć?

Mam im opowiedzieć, dlaczego tam przychodziłem i dlaczego ty przyszłaś?

Kogo to obchodzi i kto to zrozumie?

A poza tym, tak jest chyba lepiej nawet dla Gerarda. Pani Kłopotek też mówiła, że to jakby miłosier.

- A jak oni dowiedzą się, że my tam byliśmy?

Przecież.

- Skąd się dowiedzą?

Ewa, nie jesteśmy na amerykańskim filmie, tylko w polskim szpitalu.

Ktoś cię pytał, jak się nazywasz?

- A przepustka?

- Przepustki są po to, żeby cię mógł zarobić.

Przecież tego nikto nie zapisuje, nie księguje.

Jeżeli się sami nie wychylimy, topies z kulawą nogą się nami nie zainteresuje.

Zresztą, zrobiłaś coś złego?

- Pokręciła przecząco głową, ale minę wciąż miała niepewną.

- Ja też nie.

Zostawmy to w spokoju.

Tak jak jest.

- Nie wiem, czy będę umiała.

A ta dziewczyna?

Ta z rakiem?

- Marcysia?

Ona nawet nie wie, że ja odwiedzałem Gerarda.

Wpadłem nanią.

przypadkiem, kiedygo szukałem za pierwszym razem.

Zresztą kto ją będzie pytał?

- A jak się sama zgłosi?

Mnie nie polubiła, a do ciebie ma chyba jakiś żal.

467.

- Ewa, to było wieki temu.

Znaczący, to z Marcysią.

I od tamtego czasu nie widziałem jej ani razu.

Ona nic mnie nie obchodzi ani jajej.

A nawet jak ma żal, to przecież nie musisz tym zaraz lecieć namilicję.

No, a pozatym.

onamateraz inne problemy.

- Sama nie wiem, czy dobrze robimy.

A jak się jednak wyda?

- To wtedy będziemy się tłumaczyć.

Ewa, daj spokój.

- Nie wiem, czy będę umiała.

Szła obok mnie, zdenerwowana, wciąż pełna wątpliwości.

Gdy doszliśmy wreszcie do domu, chciałem ją objąć, przytulić, pocieszyć, ale ona była wciąż dziwnie spięta i nieufna.

Spakowała się zaraz i poprosiła, żebym odprowadził ją do autobusu.

Po drodze, jak łut szczęścia, trafiła nam się taksówka.

Pojechałem razem z nią, aleniezapraszała mnie do środka, do mieszkania.

Pożegnaliśmy się przed blokiem, jednoosobowym pocałunkiem obsuniętym z kąćków ust nazimnych policzek.

Jakbyśmy stali się znów sobie obcy.

Patrzyłem, jak wchodzi do klatki, przygarbiona pod ciężarem plecaka.

Nie odwróciła się, nie pomachała do mnie.

Czyżbym i ją miał utracić?

Wróciłem tą samą taksówką.

Gdy przejeżdżaliśmy obok szpitala, patrzyłem uważnie, ale nie dostrzegłem ani milicyjnej nyski, ani żadnego zamieszania.

Może jeszcze nikt nie odkrył śmierci Gerarda?

Bo też kogo tak naprawdę to mogło obchodzić?

Nerwy napięte jak postronki, aż szyja bolała, ale chociaż tak marzyłam o położeniu się w końcu do łóżka, to nie umiałam się rozprężyć, rozluźnić, gdy, już nakryta kołdrą, wpatrywałam się w sufit pokoju wewłasnym mieszkaniu.

Wciąż, sceną po scenie, analizowałam ostatnie zdarzenia, szukając w nich logicznej luki, która pozwoliła mi uwierzyć, że rzecz całą uda się zatuszować i nie wynikną z tego wszystkiego odjutra, lub za kilka dni, nowe problemy.

468

Po pierwsze: moja wizyta w sali Gerarda.

Przyszłam tam uzbrojona w dodatkową dawkę morfiny dla pacjenta z sąsiedniego łóżka.

Patrzyłam, jak łagodnieją mu oczy, jak ustępuje z niego ból i podniecenie.

Nie wiedziałam, co zobaczył, co skojarzył i ile z tego będzie w stanie powiedzieć, ale po przejrzeniu jego karty wpadł mi do głowy prosty pomysł.

Oprócz skomplikowanych złamań miał też ciężkie poparzenia, a że złamania już były załatwione, to naturalną kolejną rzeczą powinno być przeniesienie go do szpitala specjalizującego się w leczeniu poparzeń.

Jak wszystko w Polsce, takie przeniesienie mogło się wlecić tygodniami albo, po czyjejś interwencji, można by je znacznie przyśpieszyć.

To leżało w moich możliwościach.

Gerardowi pomóc nie mogłam.

Mogłam tylko podnieść z podłogi poduszkę i na powrót wsadzić ją pod głowę nieboszczyka.

Rozejrzałam się, czy Stasio nie zostawił w sali czegoś swojego, osobistego, przez co dałoby się go z tą sprawą połączyć, ale nic takiego nie znalazłam.

Rozłożyłam parawan, oddzielając Gerarda od światła jeszcze bardziej.

Po powrocie do dyżurki zadzwoniłam do siostry swojej koleżanki, która była ordynatorem poparzeniówki w podmiejskim szpitalu.

Tak rzadko prosiłam ją przysługę, że obiecała przyjąć pacjenta nawet dzisiaj, jeśli tylko zorganizuję transport.

I, oczywiście, załatwię wszystko z lekarzami w moim szpitalu.

Pozbycie się obłożnie chorego, wymagającego nieustannych zabiegów pacjentą było idla pielęgniarek, i dla lekarzy darem z nieba.

A każdy na tyle rozumiał "osobiste" uwarunkowania relacji personelu z pacjentami, że jakoś nikogo nie zdziwiło moje zaangażowanie się w sprawę tego właśnie chorego.

Wypis od lekarza dyżurującego na pourazówce był więc czystą formalnością.

Na Włodka Korczaka i jego kolegę z pogotowia czekałam, dość niecierpliwie, prawie godzinę.

Miałam szczęście i w tym, że na pourazówce dyżurowała Magda.

Wprawdzie nie przyjaźniłyśmy się, bo ona wiekowo byłaby raczej towarzystwem dla Marusi niż dla mnie, ale Magda wyraźnie mnie lubiła i szanowała.

Mimo to byłam w rozterce, bo w grę jednak wchodziło.

morderstwo.

Bo na pewno znalazłoby się tysiące bezdusznych ludzi, którzy tak właśnie zakwalifikowaliby postępek Stasia.

Ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że bez pomocy Magdy rzecz całamożesz się po prostu nie udać.

Onawiedziała, że wcześniej odwiedziłam Gerarda - rozmawialiśmy o potęgę, obie dziwiącą się jej niezmiernie ilości jadu i nienawiści, jaka drzemała w tym chłopaku.

Wspomniałam wtedy, skąd Gerarda znam, że Stasio bywał ofiarą jego okrucieństwa.

Magda to prosta dziewczyna, ale bystra.

Nie wydawało mi się możliwe, aby połączenie w całość tajemniczej śmierci sparaliżowanego chłopaka, moich i Stasia z nim kontaktów, a potem nagłego, po mojej interwencji, wywiezienia poparzonego pacjenta do innego szpitala przerastało jej inteligencję.

Rozmowa z nią przebiegła rzeczowo i konkretnie.

Nie była zachwycona sytuacją, ale chyba rozumiała, że to Stasio jest ofiarą Gerarda.

Przez tych kilkanaście dni poznała go wystarczająco dobrze, jego chamstwo, wulgarność, bezczelność - dawały się jej widać cały czas we znaki.

Postawiła jednak warunek, zresztą całkiem zrozumiały - miałam Stasia ze szpitala zabrać, nie przyprowadzać go tam więcej.

Obiecałam to bez oporów.

Gdy wspomniałam coś o pieniądzech, o możliwości odwdzięczenia się, Magda popatrzyła mi w oczy: "Pani Stasiu, przecież znamy się kilka lat, pracujemy razem.

Ja panią szanuję i lubię.

Skąd mam wiedzieć, kiedy i jakiej będę potrzebowała od pani pomocy.

Jedziemy przecież na tym samym wózku.

Niech panida spokoj".

"Dziękuję ci.

Zawsze możesz na mnie liczyć".

W tym czasie Marusia odnalazła Stasia.

Był wyraźnie przestraszony, wylękniony i cały czas powiadał o tym, jak Babol go nastraszyli - jaki zawsze dla niego był niedobry.

Najlepiej byłoby odesłać go do domu z Krzysią, ale wiedziałam, że mogę potrzebować pomocy zaufanej osoby podczas transportu poparzonego pacjenta.

Marusia wiadomośco tym, co zrobił Stasio, przyjęła początkowo z przerażeniem, ale szybko udało mi się ją przekonać, że dla naszego wspólnego dobra - wszak Stasio był postrzegany nie tylko jako

470

mój pupilek, ale i jej - lepiej będzie, jak nikt się o jego "sprawstwie" nie dowie.

Kiedy w końcu Włodek z kolegą przyjechali po pacjenta, zamknęłyśmy Stasia w jego komórce i wspólnymi siłami, we trzy, ostrożnie, bo złamania były równie poważne jak poparzenia, przetransportowałyśmy chorego do karetki.

"Ostrożnie się z nim obchodźcie" - mówiłam Włódkowi na odjeździe, czując jednak wyrzuty sumienia.

Z drugiej strony, bez mojej pomocy ten poparzony pacjent pewnie jeszcze wiele dni czekałby na fachową opiekę.

Magda radziła, żeby odnalezienie ciała Gerarda odwlec jeszcze kilka godzin, chociażby do pory kolacji.

I sugerowała, żeby to zrobił salowe podczas roznoszenia posiłku.

Mój i Marusi dyżurkończył się o osiemnastej, niemal równocześnie z początkiem rozwożenia kolacji.

Magda kończyła pracę dopiero dwudziestej drugiej.

We trzy doszliśmy do wniosku, że lepiej, jeśli Stasia nie będzie w szpitalu, kiedy zjawi się milicja.

Po dyżurze zebraliśmy się z Marusią bardzo szybko, nie czekałyśmy też długo na autobus idącego teraz, leżąc w łóżku i słuchając pochrapywania Stasia, nie wiedziałam jeszcze, jak sprawy potoczyły się dalej.

Zmierzchało już, a to był zazwyczaj najlepszy czas na zabawę chowanego.

Ale tamtego wieczoru tylko siedzieliśmy na sterciegruzu koło fabrycznej bramy i gadaliśmy.

- Boumarli odchodzą tak daleko, że ich wołania nie słychać - wywodził Kura pełnemu wątpliwości Cerkwinowi.

- Pomyśl sobie, przecież jak patrzysz w górę, to nieba wcale nie widać.

Tylko gwiazdy.

- Ale przecież Cerkwin pójdzie do innego nieba - powiedziała Kamilka - bo on jest prawie sławny.

- Prawosławny - poprawił ją Wiesio.

- Ale mnie się w ogóle cały ten cyrk nie podoba.

471.

- Jaki cyrk?

- spytała Marusia.

- Ten z rajem, piekłem i świętymi.

Przecież to bzdura.

Widziałaś kiedyś anioła?

- Tak gadasz - odpowiedziała Marusia - bo pewnie grzeszysz dużo i do piekła pójdziesz.

Mamamówi.

- Starzy też nic nie wiedzą - zagaił Gerard, który rzadko wtrącał się do tak niekonkretnych rozważań.

Zazwyczaj gdy tylko rozmowa dotyczyła bieżących wydarzeń z podwórka, milczał lub nawet odchodził, zniknął.

- Jak to, nie wiedzą?

A księżaw kościele?

Abiskup?

- w głosach dziewczyn było powątpiewanie.

- Wszyscy tylko udają, że po śmierci coś tam będzie.

A ja wampowiem: Robaki was zjedzą, i tyle!

- Ksiądz Franciszek mówił - broniła się Kamilka - że tylko ciało doczesane.

- Doczesne!

- znów poprawił ją Cerkwin.

- Przecież mówię.

Że tylko ciało ulega temu, no.

A dusza idzie do nieba.

Chyba że do czyśćca najpierw.

- Tak jesteście mądrała - drwiąco ciągnął Gerard - to powiedz, dlaczego nikt się do nieba nie spieszy, no nie?

- Bo najpierw trzeba na niebo zasłużyć.

Dobrymi uczynkami.

A ja się samemu.

to do piekła można trafić.

- Tere-fere kuku.

Ani nieba nie ma, ani piekła.

- To pewnie i Pana Boga nie ma?

- zakpił Kura.

- Ani diabła.

Nic nie ma - zaperzył się Gerard.

- Tylko to jest, co w garści łapiesz.

Tylko to twoje.

A cała reszta, no nie.

- To skąd my się wzięliśmy?

No..

ludzie?

- spytałem, bo od kilku tygodni bardzo intrygował mnie problem pochodzenia człowieka, a w zasłyszane opowieści o Adamie i Ewie nie do końca wierzyłem.

- Z małp - odpowiedział Gerard.

- A ty, Babol, to z padalców.

Wszyscy się śmiali.

Najgłośniej i najdłużej Stasio.

472

- A ty tak nierechocz, tandeto jedna -Gerard odwrócił się doStasia - bo jak umrzesz, tocię rosówki podziurawiajak sito!

-Rosówki podziurawia!

- zachwycił się Stasio i śmiał się jeszczebardziej.

- To jeśli Boga nie ma - spytałKura- to znaczy, że i grzechu niema?

Że cała ta.

żeto bujda?

- Pewnie, że bujda.

Na resorach.

- Ja tego nie zamierzam słuchać, bo to grzech!

- powiedziała dumnie Marusia, zsunęła się ze sterty i poszła do domu.

- Te wszystkie opowieści dobre są dla takich jak ona.

Dla naiwnych.

- Ale jak to tak może być, żeby nas.

kiedyś tam.

nie było?

Zadałem to pytanie, bo autentycznie się nad nim zastanawiałem, zazwyczaj przed zaśnięciem, inie umiałem znaleźć żadnego rozsądnego rozwiązania.

Zaś sam pomysł "niebytu" budził we mnie zawsze tylko paniczny strach.

- Jakby ciebie nie było, Babol, to by zaraz wszystkim zrobiło się ślepiej - zaśmiał się znowu Gerard, ale tym razem nawet Stasia nierozweselił.

Bo też Stasio rzadko śmiał się sam, zwłaszcza z inicjatywy, bez poparcia większości.

- Musi coś być.

potem- zawyrokował Kura.

- Inaczej to by było.

bez sensu.

- Nic nie ma.

Gównu napotyku z człowieka zostaje.

Jak mój dziadek się na strychu spalił, to widziałem.

- To był tylko twój dziadek.

A ja?

-dociekał Kura.

- A ty?

Zciebie też nic nie zostanie?

- Ze mnie?

- Aż go zatkała nataką ewentualność, i nagle Gerard stracił całą swoją butę i pewność siebie.

- A ja myślę - powiedziałem cichutko - że tam musi być bardzo zimno.

I ciemno.

Jeszcze gorzej niż w piwnicy.

Albo na cementarzu, opółnocy.

Chodźcie, przyrzekniemy, że kto pierwszy umrze, ten pozostałym da znać, jak tam jest.

- Rzadko na podwórku słuchano mnie

473.

z takim skupieniem jak wtedy.

- Przecież musi być jakiś sposób.

Ajaksię wcześniej umówimy, to od razu zrozumiemy, jak.

Tylko jaki bywybrać znak?

- - Może we śnie się ukazać?

- poddała Kamilka.

- Jakby to było takie proste, to byś codziennie o umarlakach śniła

- zlekceważył jej pomysł Cerkwin.

- Tu trzeba czegoś specjalnego - powiedział Kura.

- Czegoś.

- Ja nie chcę tych bzurdur słuchać - zaskrzeczał Gerard nieswoim głosem.

- Nic nie ma.

Żadnych znaków.

Gówno.

Jak się dziadek spalił, to by mi przecież.

No nie?

Przecież dziadek by mi nie zostawił!

Zeskoczył ze sterty iuciekł.

Zniknął w ciemnościach, zostawiając nas, zaskoczonych i zadziwionych.

- Co on z tym dziadkiem?

- spytał Cerkwin.

- Przecież pogrzeb był ze dwa miesiące temu.

- Nie wiem - odpowiedział Kura.

- Dziwne.

- Dżery dziadka kocha - powiedział nagle Stasio, głosem tak pewnym, że aż nieswoim.

- Dżery mówił, że dziadek dobry, że tylko dziadek Dżerego kocha.

Prezenty Dżeremudaje.

Dżery dziadka kocha.

W półmroku, słabo rozjaśnionym odległymi światłami bloków, popatrzyliśmy wszyscy na Stasia, zdumieni nie tyle tym, co powiedział, ale że chyba pierwszy raz w swoim życiu odezwał się

na temat.

Zupełnie jakby akurat z tamtej rozmowy mógł cokolwiek zrozumieć.

Terkot telefonu nie obudził mnie, tylko wyrwał z niewesołych rozmyślań.

Początkowo serce podeszło mi do gardła, bo Tymoteusz tak późno by nie dzwonił, więc to pewnie ze szpitala, wszystko się wydało, i teraz nie tylko Stasio pójdzie do więzienia, ale i ja, za próbę tuszowania, za współudział, za.

474

"Pani Stasiu, nieposzło tak źle.

Milicja przyjechała, bo przecież sparaliżowany sam się nie udusił, boi jak, ale pomogło, że to bandyta był, i poszli tym tropem, że to niby miały być porachunki.

A bo też; u niego był kilka razy taki chłopak, ale na bandytę to nie wyglądał.

To; wcale o nim nikomu nie mówiłam, bo i po co?

No, o pani i tym pani półgłówku też nie, tylko niech się pan nie obrazi, ale on jest półgłówek.

A o tego poparzonego nikt się nie pytał.

Ataki młody oficer, całkiem przystojny, to nawet się umawiać ze mną chciał, na łyżwy.

Zgodziłam się z nim pójść, a on mówił, że to już wcześniej z dachu tego popaprańca ktoś zepchnął z zemsty pewnie, albo komuś ważnemu w bandzie on wszedł w paradę, i że podobno tak często się dzieje, tylko zazwyczaj taki nie przeżywa i nikt nikogo dobijać potem nie musi.

Słuchamnie pani?

". "Tak, Magda.

Słucham.

- Odetchnęłam z ulgą,- To całe szczęście, że taksję ułożyło".

"Pewnie.

Bo ta milicja to sami idioci, chociaż ten oficer przystojny.

Ciekawe, czy na łyżwach dobrze jeździ".

"Dziękuję cijeszcze raz, że nic.

No i że zadzwoniłaś".

"Abobudka nie była zepsuta.

No, to ja już też uciekam, bo mój autobus jedzie.

To do widzenia".

"Dobranoc".

Zimna słuchawka, ciemny dom, ciężki oddech Stasia.

Ułga.

Ale może złudna?

Bo zaraz po niej znowu szybka analiza dzisiejszych zdarzeń.

Rozmowa z tym Tomkiem.

Czy on czasem nie będzie najslabszym og;niwem?

I jeszcze wspominał, że przyszedł tam z dziewczyną.

Napewno będą się gryźli, mieli wyrzuty sumienia, potęgowane tym, że oboje wiedzą, i w końcu pójdą na milicję.

Ale wtedy przypomniałam sobie poważne, stanowcze spojrzenie Tomkai słowa, że i jego Gerard dwa dni wcześniej o mały niedoprowadził do tego samego, co dzisiaj zrobił ze Stasiem.

Nie. On niewyda.

Kto wie, może rzeczywiście niesprawiedliwego oceniałam, może wcale nie był w bandzie Gerarda, a może nawet, tak jak Stasio, częściej był jego ofiarą.

475.

A ta dziewczyna od Tomka.

Ale do niej i tak nie mam dostępu.

Połamany pacjent, którego odesłałam na poparzeniówkę.

Mógł wszystko widzieć, słyszeć, ale był przecież na morfinie.

Jak w końcu się ocknie, to sam nie będzie pewien, czy to prawdziwe zdarzenia, czy tylko narkotyczne wizje.

Poza tym jeszcze przez kilka tygodni napewno nie będzie wstawał z łóżka, a opatrunki ma takie, że praktycznie nie może mówić, więc jak miałby się kontaktować z milicją?

A powyzdrowieniu?

Później będę się tym martwić.

Może nie będzie czym.

Marusia.

Niby lojalna i mądra, ale bardzo młoda.

A u młodych często z faktami wygrywają ideały, frazesy o wyższości ślepej sprawiedliwości nad życiem.

O tym, że przestępstwo musi pociągnąć za sobą sąd i wyrok; grzech - karę.

Czy z Marusią może taksję stać?

No tak, prędzej z nią niż z Magdą.

Niby obie w podobnym wieku, ale Magda jest już dość mocno przesiąknięta cynizmem naszego ustroju.

Możenie powinnam tak myśleć, bo w tej chwili jest mi tona rękę, ale jednak w Magdzie jest jakiś element.

zepsucia.

Takie dbanie o własny interes zupełnie ponad wszystko.

Coś, czego kiedyś tak bardzo nieznosiłam.

Przecież to właśnie ta cecha obrzydziła mi tych dwóch lekarzy z Opatowa.

Przystojnych, niby kulturalnych, a właściwie cynicznych i zapatrzonych w siebie.

Czy to znaczy, że i ja taka się stałam?

Kolejne ogniwo chrapało w sąsiednim pokoju.

Co Stasiu rozumiał wydarzeń w szpitalu?

Odszukałam w swojej torbie jegopamiętnik.

Najpierw, w panice, zapomniałam go zniszczyć, a potem już nie zostałam w szpitalu nigdzie na tyle długo sama, żeby móc to spokojnie zrobić.

Schowałam go tylko do torby i teraz trzymałam w rękach.

Położyłam się powrotem do łóżka, zapaliłam nocną lampkę zaczęłam czytać.

To było przykre przebudzenie, zimne i nagłe, tak dalekie od oczekiwań - nic radości, ulgi czy wyzwolenia.

Aprzecież tylerazy wyob476

razałem sobie, jakby to było, gdyby Gerarda nareszcie szlag trafił, gdyby zniknął z mojego życia, tak lub inaczej, ale ostatecznie i nieodwołalnie.

Poprzedniego wieczoru, po odwiezieniu Ewy, usiadłem na łóżku i czekałem.

Na co?

Ssąca, gorzka pustka.

Również zmieszany z ulgą strach, bo uświadomiłem sobie, jakbym się czuł, gdybym przyciśniętej do jego tarzypoduszki już nie podniósł.

Lub podniósł za późno.

Jeżeli tak mieszane uczucia wywołała we mnie śmierć Gerarda (przecież mojego wroga - wciąż sobie powtarzałem - zakąły dzieciństwa i dorastania) zadana ręką Stasia, to co powiedziałoby mi sumienie, gdybym.

Mężyszmnie, Gerard.
Wciąż i wciąż, bez przerwy.
A jakniemnie, to takiego Stasia.
Askoro on nicnierozumie, to mężysziprzyprawiasz o siwe włosy panią Kłopak.
I rzucaszkłody pomiędzy mnie i Ewę.
Odkąd pamiętam, ciągle zagradzałeś mi drogę.
Potykałem się o ciebie, upadałem, czasami z trudem dając radę powtórnie stanąć na nogi.
Leczyłem później zranioną dumę, próbowałem wyzbyć się kompleksów, uwierzyć we własną wartość.
Jaka z ciebie była korzyść?
Jaki pożytek?
Kłamałeś, oszukiwałeś, kradłeś.
Zadawałeś ból, znęcałeś się, uprzykrzałeś życie każdemu, z kim cię zetknął los.
I nawet teraz, po śmierci, wciąż jesteś dla mnie problemem.
Nie zjadłem kolacji.
Nie rozebrałem się.
Niepamiętam też, kiedy zasnąłem.
Przebudziło mnie ostre grudniowe słońce, Podmarznięty po noc spędzonej w ubraniu,
za to bez przykrycia, poszedłem do łazienki.
Gorący prysznic, mycie głowy, zębów - powoli zaczynałem czuć się jak człowiek.
Przeżyłem śniadanie, wciąż jeszcze zagrożony w wiejskim, żeby nie powiedzieć -
wisielczym nastroju.
Obijałem się po pustym mieszkaniu, udając, że sprzątam.
W ręce wpadła mi sterta nut.
Patrzyłem na te dziwne znaczki, których rozpoznawanie zakodowano we mniedługimi latami
codziennych ćwiczeń.
477.

Sięgnąłem po skrzypce, postawiłem pulpit, zacząłem grać.

Jan Sebastian Bach.

Partita na skrzypce solo.

Wsluchiwałem się w każdą frazę, próbując rozszyfrować zawartę w niej myśl.
Umysł, znękanym wczorajszymi wzruszeniami, uspokajał się, otwierał na inny, prosty, a zarazem tajemniczy świat.

Muzyka!

Toż to przekaz najwspanialszy z możliwych, bo trafi do każdego, kto umie i chce otworzyć serce.

Setki lat temu żył na świecie ktoś, kto już wtedy rozumiał ból i ukojenie, kto wiedział tak dużo smutku i radości.

Nie puszył się, nie obnosił ze swoją wiedzą, nie udawał mędrca.

Skromnie pisał muzykę, która przetrwała stulecia i nic nie utraciła ze swej głębi.

Pomagał tysiącom ludzi, tak słuchaczom, jak i wykonawcom, odnajdować czarowne chwile w szarym bytowaniu.

Zerkać ponad próg codziennego znoju.

Dawać zapomnienie, uśmiech, lekkość, wytchnienie i czułość; małą łezkę pod powieką i rozrywający entuzjizm huku braw.

Euforyczne poczucie wspólnoty, gdy w nabitej do granic możliwości sali dzielimy zachwyty z setkami słuchaczy w niepowstrzymanym aplauzie - a na drugiej szali intymna refleksja nad sensem życia, gdy, tak jak ja teraz, w samotności kontemplujemy niezwykle prostą cudownych fraz.

Grałem.

Zatracałem się w świecie dźwięków.

Radowałem się każdą nutą.

Grałem dla siebie, ale i trochę dla Ewy, powoli zaczynając rozumieć jej wczorajsze wyciszenie i pragnienie samotności.

Dla Eli, która tak lat wstecz mnie odeszła, a którą w tej chwili doskonale rozumiałem i nie czułem do niej żalu.

Myślałem Stasiu - nagle zdałem sobie sprawę, że życie jest dla niego pasmem nieustannych wyzwań i niezrozumiałych zdarzeń.

Każdy dzień - całkowitym zaskoczeniem.

Każda odbiegająca od rutyny nowość - przerażającą zagadką, której rozwiązanie znikało muza ogromną, wciąż rosnącą górą zadziwienia ludźmi, za mnogością ich słów, pragnień, życzeń i rozkazów.

Mimo najlepszych chęci nie miał szans sprostać niepojętym dla niego oczekiwaniom.

478

I grałem też dla pani Kłopot, która umiała to wieczne dziecko przyciągnąć, pokochać i otoczyć opieką.

Ponościć codzienne trudy, których rozmiarów nawet nie umiałem sobie wyobrazić.

A przecież Stasionie był nawet jej krewnym!

Ot, jeszcze jeden dzieciak z podwórka.

Zamykając oczy, widziałem Marcysię, dwojaką: pozbawioną urody i zdrowia pacjentkę szpitala, miotającą się w poszukiwaniu choćby skrawka nadziei, i zachłanną dziewczynę sprzed lat, pragnącą żyć pełnią piersią.

Kto sprawił, że jej młodość zagubiła się w rozpaczliwych poszukiwaniach odrobiny rozkoszy zapomnienia?

Tuż obok niej jawiła mi się Natalka.

Nie mogłem pojąć, jakże ona postrzegała ten świat.

Mając szansę na wszystko, skazywała się.

W tym niezrozumieniu dziwnie łączyła się ze Stefanem, zamkniętym w kręgu zakazanej jazdy, jednostronnej i krótkotrwałej, a przez swe wynaturzenie skazanej na ukradkowość, przypadkowość i wieczną niepewność.

Pewnie właśnie tę beznadzieję topił w zawartości swoich piersióweczek.

Grałem.

Dla Teodora, aby nie dał się skusić ofercie z wybrzeża i nie zostawił nas, nie skazał z takim trudem stworzonej orkiestry na upadek i rozproszenie.

Aby był wciąż dla nas ojcem, przewodnikiem wzorem.

I dla Gerarda, próbując rozdzielić i zapomnieć wyrządzone zło, a pozostawić w pamięci tę niezwykłą chwilę w parku nad półprzyciemną Ewą, kiedy ociekając wodą, zziębnięty i zmęczony, przez chwilę miał szansę, aby uczynione właśnie dobro na dłużej zagościło w jego duszy.

Może żył wzruszenia, kiedy przyjmował od wszystkich gratulacje i podziękowania, nie były tylko grą mojej wyobraźni?

Tak wróciłem myślami do Ewy.

W kilka dni frywolnej, ponętnej koleżanki stała się dla mnie ideałem ciepła, miłości i zrozumienia.

Czy ona podzielił mój świeżo odkryty zachwyt?

Czy pozwoli adorować się i kochać?

I to wcale nie w eleganckich sukniach, na balangach prywatkach, w gwarze młodzieżowych rozrywek, tylko w zaciszu domowej codzienności, w przybrudzonej sprzątanym podkoszulce,

479.

w zwykłym życiu, którego pozwolili posmakować mi w czasie świątnej rodzice.
Czy zrezygnuje dla mnie wianuszka adoratorów, terażniejszych i przyszłych, i będzie tylko moja?

I czy ja mogę tego odnieść?

Nie pragnę za wiele?

Czytaka miłość istnieje?

A jeśli istnieje, to czy będzie dane mniewłaśnie ją przeżyć?

Smyczek znieruchomił w połowie Chaccony.

Skrzypce wysunęły się spod brody.

Niesiony nagłą, nieprzewartą chęcią odnalezienia odpowiedzi natopytanie, odłożyłem instrument i zacząłem wykręcać, najszybciej jak mogłem, numer telefonu Ewy.

Wysłuchany w łagodny terkot, wpatrzony w powolny, dostojnie obojętny dla mego pośpiechu ruch powracającej na miejscetarczy aparatu, poczułem coś dziwnego, niepokojącego i ulotnego.

Niepewny, jak nazwać, jak wyrazić swą tęsknotę za szczęściem, czekałem ze słuchawką przy uchu.

Dopiero gdy Ewa odebrała, przerywając monotony sygnał, gdy usłyszałem jej ciepły głos, wiedziałem już, co mam mówić.

I jak!

Teraz i do końca mych dni!

Czego się spodziewałam?

Co było największym szokiem?

Chyba rozmiar przepaści między moimi wyobrażeniami o życiu Stasia a opisaną przez niego rzeczywistością.

Także moja naiwność, wieraw to, że Stasio nic nie rozumie, że jest tylko niewinną ofiarą postępowania mądrzejszych od siebie, a sam w niczym czynnie nie bierze udziału.

Co mogę teraz zrobić, pytałam sam siebie, tnąc nożyczkami jego pamiętnik i wyrzucając ścinki do muszli klozetowej.

Czy moja miłość do tego biednego chłopca będzie wystarczająca, aby dalej z nim żyć pod jednym dachem i udawać niewiedzę?

Jak mam posyłać go do

480

szkoły?

Przecież tam właśnie poznawał tych facetów ze swoich urodzin, a tona pewności nie zmieni, bo taki typy, gdy już raz znajdą łatwe źródła ujścia swych niezdrowych chuci, to nie odpuszczają, nie zostawiają biednych, opóźnionych dzieciaków w spokoju.

Czułam się bezradna, opuszczona, zdradzona.

I tak bardzo samotna.

Płakałam gorzko, bezgłośnie i bez nadziei, że moje łzy coś zmienią, jakoś pomogą.

"Ciocia choruje?"

Źle ciocia zjadła na kolacji dlatego ciocia płacze?

Jak ciocie brzuch boli, to najlepiej pigułki połykać".

Stasio stał w drzwiach łazienki rozczochrany, rozespany, drapiąc obrys pancerka już męskim zarostem policzki i patrząc na okładkę swojego pamiętnika w moich rękach, na nożyczki i na rozsypanetui ówdzie strzępkiswego dzieła.

"Nie boli mnie brzuch, Stasiu, nie".

"O, a dlaczego ciocia mamój zeszyt?"

I dlaczego ciocia go pocina?"

Przecież to Babol zabrał mój zeszyt".

"Stasio, czy ty nic nie rozumiesz?
Czy ty nie wiesz, co się stało w szpitalu?"

"W szpitalu Babol mi zabrał zeszyt.
Ale to nic, bo ja już tego zeszytu nie chcę.
Będę sobie w nowym pisać.
Kup mi ciocią nową?"

"Stasiu."

"A Babolaj już nie chcę widzieć, bo Babol zawsze był zły i śmiały, a Dziury."

"Stasiu."

- ale zmieniłam zdanie, dałam spokój daremny próby wytłumaczenia mu czegośkolwiek.

- Stasiu, po co wstałeś?"

Chcesz dołazienki zrobić siku?"

"

"Tak, ja pójdę dołazienki, ale najpierw niech ciociawyjdzie, bo ja nie chcę przy cioci sikać".

Umyłam twarz, osuszyłam ręcznikiem i wyszłam do kuchni, gdzie wstawiłam czajnik z wodą i herbatę.

Wpatrzona w niebiesko-pomarańczowe płomyki gazu, czekałam na odgłos spuszczonej wody.

Stasio po chwili chyłkiem wyszedł z łazienki i niemal pobiegł do swojego pokoju. Klap, klap, klap- usłyszałam, potem zaczął sprężyny łóżka, a za chwilę dotarło do mnie pełne ulgi westchnienie.

Tak, sama jestem i sama zostanę.

Nad szklanką herbaty, powtórnie już tej nocy, rozbeczałam się nacałego.

Potem znowu długo nie mogłam zasnąć, a gdy wreszcie mi się udało, to męczył mnie koszmar z pamiętnika Stasia: obracający się nadługim sznurze wisielec, który miał, na zmianę, raz twarz Gerarda, raz Stasia, a co jakiś czas. moją, z ustami rozwartymi w niemym krzyku.

Po takiej nocy nie dałam rady pójść do pracy.

Zadzwoeniłam najpierw do szpitala, uzgodniłam, kto mnie zastąpi, a potem siedziałam nad telefonem, długo wpatrując się w słuchawkę jak hipnotyzer.

Tuż po dziesiątej wykręciłam numer do kancelarii Tymoteusza.

Niekłamaną radość w jego głosie byłami nagle tak miła, jakbym jeszcze kilka dni temu wcale niezamierzała zerwać z nim na zawsze.

Kto to kiedyś powiedział, że największą przeszkodą w beznadziejnych próbach zrozumienia kobiet przez facetów jest ich męska skłonność do logicznego myślenia.

Rozdział epilogu.

Powolutku, na pierwszym biegu, autobus podjeżdżał pod biało-czerwony graniczny szlaban.

Kierowca otworzył drzwi i wpuścił do środka dwóch żołnierzy uzbrojonych w stemple i przewieszonych przez ramię teczki.

I ja, zdenerwowany, podniecony.

:ale jakże inne, pozytywne i konstruktywne to było podniecenie!

- Kto jest kierownikiem grupy?

- Pogranicznik tylko omiółł mnie wzrokiem, szukając kogoś chociaż odrobinę starszego.

Jechało z nami troje dorosłych: dwóch kolegów Kasprzyckiego, waltornistów, i profesorka z akademii, oboistka, ale stroną organizacyjną całości zajmowałam się ja.

Babol!

- To jakby ja - odpowiedziałem.

- Wzstępstwie za naszego dyrygenta, który złamał nogę.

- Pan?

- Obaj zmierzylimnie lekko zdziwionym spojrzeniem.

- No dobrze.

To ile osób liczy wyprawa?

I jak icel wam przyświeca?

- Orkiestra liczy dwadzieścia cztery osoby.

Plus pan kierowca, oczywiście.

A jedziemy na festiwal do Palermo.

To jest na Sycylii.

- Miałem w szkole geografię.

- Na pewno.

Ja..

tak tylko, bo pan pytał.

A dzisiaj mamy dojechać do St.

Polten, to jest niedaleko od Wiednia, jak pan oficer zresztą na pewno wie.

Tam będziecie i jutro pierwszy koncert.

Bo my.

koncertujemy.

Jeździmy z koncertami, znaczy.

483.

- Listę pan ma?

-Tak.

- To zbierzcie paszporty.

Podstemplujemy w dyżurce.

Tak będzieszybciej i łatwiej.

Gdy poprzedniego dniarano telefon wyrwał mnie z błogiego snu boku Ewy, przez dłuższą chwilę nie mogłem zrozumieć zbolalegogłosu Teodora.

- Tomku, stało się nieszczęście.

Dzwonież pogotowia.

Miałemwypadek, raptem dwie godziny temu.

Samochodowy.

Odwoziłem doprzedzszkola Ewunię, a z lewej wjechał w naszuk.

Nie wyhamował naświatłach, cholera.

Przepraszam.

Ewuni, całe szczęście, nicsię niestało.

Aleja mam złamaną nogę.

I to dośćpoważnie.

Lekarz mówi, żena kilka tygodni będę całkowicie unieruchomiony.

Chyba rozumiesz,że.

nie pojadę z wami.

Podobno przez tydzień wogóle będę musiałleżeć.

W tej sytuacji jedynym wyjściem, jakie mi przychodzi do głowy,bo odwoływać wyjazdu bardzo bym nie chciał, jesteś.

ty. Poprowadzisz orkiestrę od pulpitu.

Robieś to często na próbach,a raz, pamiętasz przecież,ten koncert w Łomży, gdzie jeździmy coroku.

No,wtedy, kiedy ja nie mogłem pojechać, bo.

Tomek?

Słyszysz mnie?

- Tak, panie profesorze.

Tak.

To znaczy.

żepan.

nie pojedzie?

- Przecież ci mówię!

Obudź sięwreszcie.

Jest prawie dziesiąta!

Powtarzam.

Miałem wypadek.

Zostaję w szpitalu, a potem włożku nadłuzej.

Zaraz mi zakładają gips.

Podobno prawie do pachwiny.

A jutrowyjeźdzacie.

Kojarzysz?

- Tak.

Pewnie.

Ale jak.

bezpana?

- Słuchaj.

Przyszedł po mnie pielęgniarz.
Wiozą mnie na założenie gipsu.
Potem zadzwonię, a ty się może w tym czasie obudzisz.
Cześć.

Przez chwilę nie odkładałem słuchawki, patrząc na nią tak, jakbym miała mnie zachwile ugryźć.

Teodor nie pojedzie?

Ja..
od pulpitu?

A cały wyjazd?

- Tomek, co się stało?

484

Ewa stała w drzwiach, lekkoskrzywiona, jak zwykle ostatnio odrana; była w ósmym miesiącu ciąży i po spaniu dokuczał jej kręgosłup.

- Kasprzycki dzwonił.

Miał wypadek samochodowy.

Złamał nogę.

Nie może jechać.

- OJezu!

I co będzie?

- Niewiem.

On coś mówił, że.

ja. Żemam.

od pulpitu.

- Przecież poradzisz sobie!

Głupio byłoby odwoływać.

- Ewa, ale przecież cały wyjazd, hotele, organizatorzy.

Kto siętym zajmie?

- Też pewnie ty.

Przecież prawie już znasz angielski.

- Ewa, ja nigdy tego nie robiłem.

Pojęcia o tymnie mam.

- To nabierzesz.

Powiedz lepiej, co z Teodorem.

Tylko złamananoga?

- Tylko, ale poważnie.

Przecież to już jutro!

Tak to się zaczęło.

Naszczyście wszystkie sprawy organizacyjne były już zapięte na ostatni guzik.

I chociaż jechały z nami trzy osoby w wieku Teodora, żadna z nich nie miała ani ochoty, ani umiejętności, ani też odpowiedniego usposobienia, aby podjąć się roli przywódcy naszego małego stada.

To dlatego ja szedłem teraz do dyżurki, pukałem do drzwi i wręczałem stertę paszportów do podstemplowania.

Gdy czekałem, obserwując mechaniczną pracę oficera, naszły mnie wspomnienia z innej granicy, której przekraczanie cztery lata temu kosztowało mnie tyle strachu i nerwów.

Chociaż denerwowałem się i w tej chwili, bo mieliśmy spore opóźnienie, bo zaraz mieli przyjść Czesi, a za kilka godzin Austriacy, a potem trzeba będzie odszukać hotel, skontaktować się z impresariem, umówić na jutrzejszą próbę, poprowadzić ją, później koncert,

i następnego dnia ruszyć w dalszą drogę, aż do Genui, skąd nocny prom zabierze nas do Palermo, gdzie znowu hotel, organizatorzy, próby, koncerty.
- pomimo tego zdenerwowania i ciężkiej na mnie odpowiedzialności, gdy przypomniłem sobie tamtą

485.

granicę, uśmiechnąłem się radośnie, zachichotałem prawie, zwracającym na siebie uwagę stemplującego paszporty żołnierza:

- A panu tak wesoło?

Cieszy się pan?

Austria, Włochy.

Częstotak jeździcie?

- Parę razy do roku.

Ale ja niez tego.

Mniej więcej za miesiąc stanę ojcem.

I taksobie pomyślałem, że to już niedługo.

- Nie cieszyć pan tak strasznie.

Dzieci najpierw dają popalić, a potem też z nimi nielekkko.

- Ma pan dzieci?

-Nie, ale mieszkam z bratem, który mabliźniaki.

Nie daj Boże!

- U mnie będzie inaczej!

-Już to widzę.

Tu macie paszporty.

Zaraz przyjdzie do was celnik.

Przed odjazdem odwiozłem Ewę do jej rodziców.

U nas w domunie miałby jej w razie czego kto pomóc, bo Paulina pracowała w aptecerównież na nocne zmiany, a Michał rozpoczął studia na krakowskim AWF-ie.

Opiekę nad nim niemal w całości przejęła ostatnio ciocia Julia.

Nie spodziewaliśmy się rozwiązania przed moim powrotem, ale wolałem, aby Ewa była pod czujnym okiem swojej mamy.

Ona też nie protestowała.

W ten sposób chociaż domowymi problemami nie musiałem zaprzętać sobie głowy.

Celnicy nie czepiali się nas.

Na wywóz instrumentów mieliśmy teraz zbiorowążgode.

Nikt nie oglądał skrzypiec, altówek i wiolonczel pod światło!

Podróż przebiegała spokojnie, hotel był tam, gdzie go zaznaczono na mapie.

I nawet mój angielski wystarczył, aby dogadać się z impresariami wyjaśnić powódnieobecności Teodora.

Odbieranie zaś honorarium za koncert, dzielenie go i wypłacanie było prawdziwą przyjemnością.

Tylko tremana estradzie nagle przeszła moje oczekiwania, bodając znak do rozpoczęcia Concerto Grosso Haendla, uświadomiłem sobie, że niema Teodora, że to ja jestem ostatnią instancją i to odemnie zależy, czy koncert się uda, czy nie.

Paraliż trwał jednak za led 486

wie kilka minut.

W końcu zwyciężyły wyuczone reakcje, zarówno moje, jak i innych członków orkiestry, i koncert przebiegł bez najmniejszej wpadki.

Potem była długa droga do Genui i całonocna podróż promem, który przywiózł nas o poranku do Palermo.

Ruchliwe portowe miastomnie wydało się przedsiönkiem piekła, bo nagle nikt nic nie wiedział, na wszystko musieliśmy czekać, a jedyną osobą, którą mogła cokolwiek tego chaosu zrozumieć, była Ela - tylko jej znajomość włoskiego ocalała nas przed spędzeniem nocy na dworcu (autokar został w Genui teraz pewnie wracał do Polski), bo organizatorzy zarezerwowali dla nas hotel.

ale dopiero od następnego dnia.

Coś komuś się

pomyliło.

Jak to we Włoszech - dolce far niente\

Dopiero po kilku godzinach wyjaśnień, błagań i negocjacji załatwiono nam nocleg.

Następny dzień mieliśmy wolny, bo nikt nie zadbał, aby zarezerwować dla nas salę.

Próbę mogliśmy zrobić dopiero w dniu koncertu.

Trochę wałęsałem się sam lub z Darkiem po Palermo.

Ruchliwy targ, pełen krzykliwych sprzedawców, ogromnych ryb, przedziwnych skorupiaków, małży i kałarnamic.

Senna starówka z mnóstwem kafejek, przed którymi kusząco ocienione stoły i krzesła czekały naturystów.

Wąskie domki z białymi dachami.

Wszędzie obcojęzyczny gwar, nieustanna wymiana pozdrowień, uśmiechów; ale i obelg, wrzasków, gdy klakson w samochodzie niewystarczająco uzewnętrzniał frustrację lawirujących w ciasnocie uliczek kierowców.

Inny świat.

Inny temperament.

Inni ludzie.

W zastępstwie Teodora przypadła mi w hotelu jedyńka.

Po południu trochę poćwiczyłem, posiedziałem nad partyturami i zamierzałem wcześniej położyć się spać.

Pukanie zastało mnie już na granicy snu.

Byłem pewien, że to ktoś z orkiestry w sprawach organizacyjnych.

Z lekka poirytowany, ziewając, otworzyłem drzwi.

- To.

pan?

487.

Wmurowało mnie.

Cała senność uleciała w jednej chwili.

Przede mną, zkrzywym, niepewnymuśmiechem na ustach, stał Stefan Gromny.

Pozornie wszystko ułożyło się dobrze, jakby po staremu.

Stasio wrócił do szkoły, bo nie miałam ani innego pomysłu, ani wyjścia.

Tymoteusz przychodził najczęściej wtedy, gdy nie było Stasia, dlatego musiałam się nagimnastykować nad grafikami dyżurów; szczęśliwie sama go układałam.

Staraliśmy się tak lawirować, aby moje godziny pracy nie nakładały się z dyżurami Marusi, żeby w czasie mojej nieobecności ona mogła zajrzeć do Stasia i sprawdzić, co robi.

Krótko to jednak trwało - dziewczyna szybko się zbuntowała, miała przeciw męża, uczyła się jeszcze i nie zamierzała swojego wolnego czasu poświęcać na oglądanie obcego chłopaka. Odniosłam wrażenie, że w sprawie z Gerardem nie tylko straciła do Stasia cały sentyment, ale się go wręcz

bała.

Pewnie dlatego po zakończeniu obowiązkowych praktyk, w pół roku od śmierci Gerarda, zrezygnowała z pracy w moim szpitalu.

No cóż - bezrobocie jej nie groziło.

Żona Tymoteusza wyjechała w końcu do Kanady z obiema córkami.

On został ze starą, zrędną matką sam, i chociaż niby się pilnował, aby przy mnie nie narzekać, to nie zawsze mu się to udawało.

Stan Marcysi, może dzięki dalszemu leczeniu w Kanadzie, wyraźnie się polepszył. O Leokadii i Natalce Tymoteusz mówił niewiele.

Ogólnie rzeczywiście się zmienił.

Z jednej strony odbierałam tę zmianę jako dziwną, bo bardzo się skupiał na fizycznej stronie naszych kontaktów, wręcz się w niej zapamiętywał, z drugiej zaś nawet mi to odpowiadało, a już na pewno nie przeszkadzało.

W jakiś dziwny, zagadkowy sposób taki układ przypominał mi dawne opotowskie chwile, kiedy rozkoszne spełnienia miałam na wyciągnięcie ręki, "na żądanie", bo wystarczyło zejść po paru stopniach w czeluść kotłowni, gdzie mój Hefajstos był zawsze chętny i gotowy.

Tak i teraz

488

dwa, trzy razy w tygodniu spotykaliśmy się, kochaliśmy bez wielusłów i obietnic, a potem każde wracało do własnego światka.

Ja, oprócz pracy w szpitalu, skupiałam się też na edukacji Stasia.

Po zastanowieniu pozwoliłam mu dalej pisać pamiętnik, uczyłam go ortografii, poprawialiśmy razem większe błędy.

Zazwyczaj sprowadzało się to do przepisywania tekstów od nowa.

Pod moim okiem jakoś mu szło, potrafił napisać nawet kilka słów po kolei poprawnie, ale gdy potem zagroził sam, to zazwyczaj stare nawyki wracały, więc znówu siadywaliśmy razem, a ja mozolnie tłumaczyłam mu, dlaczego pisać trzeba tak, a nie inaczej.

Mieliśmy z tego momentami dobrą zabawę, bo czasami ja pisałam w jego stylu i potem Stasio próbował mój tekst poprawiać.

Zaśmiewaliśmy się do łez z przedziwnych słów, jakie powstawały w ten sposób.

Tematu Gerarda, tego, co stało się pamiętnego dnia w szpitalu, Stasio unikał jak ognia.

Nie umiałam dociec, czy stara się zapomnieć, bo wie, co zrobił, czy też po prostu kojarzy mu się ten dzień z nerwowością, zamykaniem w pokoju, strachem.

i z Babolem.

Ten biedny Tomek urósł w oczach Stasia do demona zła.

Wielokrotnie mutłumaczyłam, że Babol nigdy mukrzywdy nie zrobił, że to właśnie odGerarda doznawał krzywd -wszystko jak kamień w wodę.

Była to jakby jegosamoobrona przed faktami.

Ponadtrzy lata po śmierci Gerarda przyszedł do mnie ozdobny list.

Zaproszenie na ślub Ewy Oleckiej i Tomasza Bamblńskiego.

Byłamzaskoczona, nie wiedziałam,co robić, bo przecież Tomka znałamniewiele, a tej Ewy wcale.

Moje wątpliwościpogłębiał jeszcze stosunek Stasia do Tomka.

Do znieawidzonego, cóż ztego, żeirracjonalnie, Babola.

Zacęłam ze Stasiem rozmowy o tym, czym jest w życiu dorosłegoczłowieka ślubi że na czas ślubu powinno się odłożyćna bok wszelkienieporozumienia, zapomnieć krzywdy, a po ceremonii pójść i pogratulować nowożeńcom.

Miałam nadzieję, że gdy Stasio zobaczypięknestroje, odczuje podniosły nastrójw kościele, to

może.

zmieniswój

489.

stosunek do Tomka.

Nadzieja była wprawdzie mizerna, ale że solennie obiecywał poprawne i grzeczne zachowanie podczas uroczystości, postanowiłam pójść na ślub razem z nim.

Dla młodych kupiłam kwiaty i napisałam krótką karteczkę, bo niedo końca ufałam obietnicom Stasia inie wiedziałam, czy zdołam sama z nimi zamienić chociaż kilka słów.

A przecieżtemu Tomkowi należały się wyjaśnienia.

Ewa była tego dnia piękniejsza od wiosny.

Gdy szedłem po czerwonym dywanie, nie potrafiłem powstrzymać się od ciągłego zerkania na nią.

Odswieżnie i elegancko ubrana na ślubcywilny, teraz, w kościele, lśniła w białej sukni jak najcenniejszy klejnot.

Jak szafirz brylantem kunsztownie oprawiony wplatynę!

Moim świadkiem była Paulina, za Ewą szedł Zdzisiek.

Stanęliśmy u ołtarza.

Naprzeciwkonas ksiądz.

Formuły, pytania, odpowiedzi, a ja wciąż nie mogłem uwierzyć, że oto łączę się na całe życie z istotą tak cudną, wspaniałą i pełną miłości.

Ave Maria zagrał nam Kasprzycki.

Pół kościoła szlochało.

Grał bosko.

Ja bezwstydniej szczerze płakałem, bo Ewa uratowała swój kunsztownym makijaż, wbijając paznokcie prawej ręki w poduszeczkę mojego kciuka.

Potem, już podczas gratulacji, uścisków i banalnych życzeń, zauważyłem, że nie wszystkie panie poradziły sobie tak dobrze jak moja promiennie uśmiechnięta małżonka.

Nie wiem czemu, wysłałem zaproszenie na ślub również do pani Kłopotok.

I, ku mojemu zaskoczeniu, przyszła.

Razem ze Stasiem.

Niewidziałem jej od śmierci Gerarda.

Stasio cmoknął Ewę w rękę, potem chciał jakby i mnie pocałować w mankiet, ale mu nie pozwoliłem.

- Tomku, Ewo, życzę ci wszystkiego najlepszego.

Jesteście tak piękną parą.

Żyjcie w zdrowiu i szczęściu!

Pani Kłopotok podała Ewie kwiaty, a mnie wręczyła białą kopertę i zaraz odeszła, popychana prądem kolejnych "gratularzy i kwiatów" podających.

Chciałem z nią porozmawiać, dowiedzieć się, czy sprawa Gerarda miała dalszy ciąg.

Może właśnie bardziej z ciekawości niż z sentymentu wysłałem do niej zaproszenie?

Ale nie było okazji do dłuższej rozmowy.

Kopertę, podobnie jak wszystkie inne kwiaty i przedmioty, oddałem Paulinie do potrzymania, bo zaraz utonąłem w objęciach cioci Julci.

Potem było wesele, pełne śmiechu, zabawy i tańców do białego rana.

Dopiero późnym popołudniem następnego dnia zabraliśmy się z Ewą do otwierania kopert.

Zazwyczaj były w nich mniejsze lub większe kwoty pieniędzy, które ku naszej radości urosły w końcu we wcale pokąźną sumkę.

A w jednej znalazłem krótki list:

Drogi Tomku, droga Ewo.

Trochę zaskoczyło mnie zaproszenie na Wasz Ślub, bo ani niejestem Waszą bliższą znajomą, ani ślub w tak młodym wieku, jak Wasz, nie należy do najczęstszych. Jeżeli tylko niewypadnie mi cośnagle, niespodziewanego, to na pewno przyjdę uściskać Was i życzyć Wam szczęścia na nowej drodze życia.

Tomku, ciekawjesteś prawdopodobnie, co się wydarzyło wtedyw szpitalu, ponad trzy lata temu.

Otóż nie było milicyjnego dochodzenia.

Z braku świadków i poszlak szybko umorzono śledztwo, jeżeliw ogóle je rzeczywiście wszczęto.

Pewnie wynikało to z tego, że zaGerardem nie miał kto się ująć.

Przyjaciół, jakwiesz, nie posiadał.

Jego ojciec siedział wtedy w więzieniu, a matka gdzieś się ulotniła.

Dodzisiaj obojga nie widujęna osiedlu, ale też nie bardzo ich wypatruję.

Stasia wtedy znalazła, w jednym ze szpitalnychmagazynówodzieży, Marusia.

Przezkilka dni był nieswój, podenerwowany, ale on, chwała Bogu, szybko zapomina tak złe, jak i dobre rzeczy.

Na koniec pragnę życzyć Wam, abyście swojedzieci, jakiekolwiek by były, umieliobdarzyć miłością.

Wierzciami, niczego tak

491.

na świecie nie brakuje człowiekowi, jak miłości rodziców.
Wiem coś o tym, bo sama jestem sierotą i wychowuję chłopca porzuconego przez naturalnych rodziców.

Stanisława Kłopot

PS

Marcysia Perisenthoff dwa tygodnie po śmierci Gerarda wyjechała do Kanady na dalsze leczenie.

Z moich wiadomości wynika, że do dziś dnia mieszka w Kanadzie i chyba ma się nieźle.

Kilka miesięcy po tym pięknym ślubie Tymoteusz musiał wziąć udział w mniej radosnej uroczystości - zmarła jego matka.

Żona i córki Tymoteusza na pogrzeb nie przyjechały, ja się do pójścia na cmentarz nie paliłam - nie bardzo umiałam sobie wytłumaczyć, w jakim charakterze miałabym tam występować. Żałobników było więc mało, a stypendium nie zorganizował.

W parę tygodni później Tymoteusz zaproponował, abyśmy wszyscy we troje, czyli on, ja i Staś, zamieszkali razem, u niego.

"To mieszkanie jest tak ogromne, zimne i puste, Stasiu, że jak zostaję w nim wieczorami sama, to nie potrafię sobie znaleźć miejsca.

Pomyśl, Stasiu, będziesz miał dużo krótszą drogę do szkoły i nawet do szpitala, będziesz miała lepsze połączenie.

Swoje mieszkanie będziesz mogła wynająć, miałabyś więcej pieniędzy, nie potrzebowałabyś tak się katować dyżurami.

".

Ponad miesiąc się wahałam, rozważałam za i przeciw, bo wszelkie zmiany w tak delikatnym jak ten nasz układ mogły spowodować kłopoty, rozsypanie.

Zdecydowałam trochę przypadkiem, bo Tymoteusz zachorował na nerki - rodził kamień.

No i nie umiałam zostawić samego, cierpiącego, więc wzięłam kilka dni urlopu i na ten czas prowadziliśmy się ze Stasiem do niego.

Potem niby wróciłam do swoich bloków, ale temat przeprowadzki coraz częściej pojawiał się w naszych rozmowach.

Stasio te kilka dni, kiedy mieszkaliśmy wspólnie

nie, a ja pielęgnowałam Tymoteusza, wspominał nieźle.

i w kilkanaście miesięcy od śmierci pani Perisenthoff faktycznie nasza przeprowadzka doszła do skutku.

Swoje mieszkanie wynajęłam, dyżurów brałam mało, życie wydawało się teraz prostsze i łatwiejsze.

Jak zazwyczaj - do czasu.

Problemy zaczęły się praktycznie niezauważalnie, bo początkowo były tylko drobne uwagi, zazwyczaj słuszne - Stasio faktycznie nie jest wzorem porządku i dokładności, więc nawet ja przytakiwałam Tymoteuszowi, gdy wypominał mu wieczny bałagan w pokoju, mlaskanie przy stole, rozlewanie mleka przy śniadaniu, niepuszczenie wody w ubikacji, pozostawianie po całym mieszkaniu ogryzków jabłek.

Miałam nadzieję, że uda mi się wdrożyć Stasia w rytm porządku, przyzwycząić go do odkładania rzeczy na miejsce, pamiętania o tych niydrobiazłach, czasami jednak tak istotnych.

Przecież kiedy "pracował" w szpitalu, potrafił zachować jakiś ład i porządek na półkach powierzonymi mu piżamami i prześcieradłami.

To prawda, że razem z Marusią bez przerwy go kontrolowałyśmy i wytykałyśmy niedociągnięcia, jednak znaczną część pracy Stasio wykonywał sam.

Tymczasem w domu, kiedy nie był skupiony tylko i wyłącznie na zachowaniu porządku, jego bałaganiarstwo natychmiast brało górę.

A może byłby też jakiś element robienia Tymoteuszowi na przekór?

Noi dość szybko, w kilka miesięcy za ledwie, Tymoteusz przeszedł od zwykłego zwracania chłopakowi uwagi do podnoszenia głosu, do awantur o każdy drobiazg, na przykład krzesło, którego Staś zapomniawsunąć pod stół, czy skórkę od ziemniaka, którą wypadła na podłogę przy wyrzucaniu do śmieci.

Stasio tulił uszy, zahukany, wystraszony, a Tymoteusz perorował, wrzeszczał, przywoływał najdziwniejsze porównania i coraz częściej zwracał się do Stasia wyłącznie per "ty bęc wale, bałwanie, półgłówku".

Oczywiście próbowałam z Tymoteuszem rozmawiać, ale on miał zawsze jeden argument: "Jak ja go dyscypliny nie nauczę, to kto to zrobi?"

Ty? Z tobą mieszkał ile lat?

I czego go nauczyłaś?

Przecież

493.

z takim bęcwałem nie da się żyć pod jednym dachem!
Zastanów się, jaki los go czeka po twojej śmierci?

"

Ale ja zastanawiałam się nad tym, jaki los czeka mnie i Stasia, jeśli pan mecenas w swym zamiłowaniu do dyktatury nie wyhamuje.

Czara przelała się dość gwałtownie, po raz kolejny ukazując mi prawdziwe oblicze Tymoteusza.

Późna kolacja początkowo nie zapowiadała dramatycznych zdarzeń, dopiero pod koniec, kiedy Stasio skończył już jeść i odnosił do kuchni talerz i szklankę po herbacie, widocznie się potknął i szklanka z trzaskiem spadła na podłogę.

"Coś ty zrobił, matole!

- ryk Tymoteusza usłyszałam z łazienki, dokąd akurat nachwilkę wyszłam.

- Ani się waż teraz uciekać!

Wracaj tu i sprzątaj".

Śpieszyłam się jak mogłam, ale proza życia nie pozwoliła mi być na miejscu zdarzenia od razu.

Gdy wyszłam z toalety, ujrzałam, jak Tymoteusz wyciąga Stasia z jego pokoju za ucho i prowadzi z powrotem do kuchni.

"Daj spokój, Tymoteusz, ja posprzątam" - krzyknęłam.

"Ani mi się waż!

Sam to rozbił, sam ma posprzątać.

Inaczej się matolek nigdy niczego nie nauczy".

Stasio pokornie zbierał kawałki szkła i wyrzucał do kosza.

Potem wziął ścierkę i ścierał z podłogi fusy.

Ale widocznie w zdenerwowaniu, nie zauważył jednego z większych odłamków i przeciął sobie palec.

Poleciała krew.

Chłopak, bardziej pewnie ze strachu niż z bólu, zaczął krzyczeć, wręcz wyć.

Ja, zamiast od razu mu pomóc, musiałam szarpać się z Tymoteuszem, który chciał, aby winowajca mimo wszystko dokończył sprzątać.

Stasio tymczasem uciekł do łazienki, zamknął się i zaczął rozpaczać.

Nie otwierał, nie reagował na żadne moje prośby i wołania.

Zmusiałam w końcu Tymoteusza, aby rozkręcił zamek.

Gdy wtargnęliśmy do środka, Stasio, skulony i zapłakany, siedział w kucki w wannie, ściskając z wyrazem katatonicznego przerażenia skaleczoną dłoń pod pachą.

494

Nie wytrzymałam i opatrując drobne, chociaż mocno krwawiące skaleczenie, nawrzeszczałam na Tymoteusza, który zresztą wyraźnie przestraszony wyrazem twarzy i zawożeniem Stasia, tym razem nawet nie starał się bronić swojej linii postępowania.

Musiałam później zostać ze Stasiem podczas zasypiania, tłumaczyć mu, że krew już więcej lecieć nie będzie, bo ranę założyłam opatrunek, że pewno od takiej ilości utraconej krwi się nie umiera i że rano już nawet nie będzie pamiętał, co się wieczorem stało, a jak zdejmemy bandaż, to pewnie nie będzie nawet śladu po skaleczeniu.

W końcu usnął.

Tymoteusza zastałam już w pościeli.

Jeśli tak ma dalej wyglądać nasze wspólne życie.

"Poniosłam nie, przepraszam".

"Tu nie chodzi o ten jeden raz".

"Przecież niewiedziałem, że się skaleczy.

I że zareaguje jak histeryk".

"Ale ja nie mówię tylko o dzisiejszym wieczorze.

Od paru tygodninie odpuszczasz mu niczego, robisz awantury o.

".

"Może i czasami trochę przesadzam, ale ten chłopak działa mi nerwy.

Próbuję, ale nie potrafię się opanować".

"Nie wydaje mi się, abyś próbował".

"Teraz to już ty przesadzasz.

Nawet niewiesz, ile razy powstrzymuję się od.

".

"Nie wiem, bo zazwyczaj nie powstrzymujesz się od niczego.

Zawsze robisz to, co sam uważasz za słuszne, a innych.

".

"I tego nie zamierzam zmienić, bo są pewne zasady, których dorosły, świadomy rzeczywistości człowiek nigdy nie zaakceptuje, niezamkniętych oczu na fakty tak, jak ty to potrafisz robić".

Perorował dalej, a mnie nagle odechciało się kłótni, odechciało się wszystkiego, a już najbardziej - dalszego życia z panem mecenasem pod jednym dachem.

Ale nie mogłam nagle wstać, zabrać rzeczy, Stasia i odejść w środku nocy, bo nie miałam gdzie.

Mieszkanie wynajęte, a do nikogo zeznajomych nie mogłam się wprowadzić na

495.

kilka tygodni ze Stasiem na karku.
Odwróciłam się ostentacyjnie nad drugi bok, nakryłam kołdrą po uszy, głowę przycisnęłam
Jaśkiem i.

chyba dość szybko zasnęłam.

Obudziło mnie jakby sieknięcie i głuchy odgłos upadającego ciała.

W całkowitej ciemności, przerażona, szukałam po omacku włącznik nocnej lampki.
Gdzieś obok krztusił się i odkasływał Tymoteusz.

Kiedy w końcu zabłysło światło, ujrzałam go siedzącego na brzegu łóżka i biorącego długie,
głębokie wdechy.

Na podłodze zaś leżał, nie dając znaku życia, Stasio.

Koło niego, odrzucona pewnie przy upadku, jasną bielą na tle ciemnej podłogi odcinała się
zmiędlona, pognieciona poduszka.

Stasio zajęczał.

Krzyknęłam coś niezrozumiałego nawet dla mnie i podbiegłam do niego.

Kiedy podniosłam mu głowę, natychmiast wymiotował, brudząc parkiet, siebie i mnie.

Po opróżnieniu żołądka osłabł, lecąc mi przez ręce.

"Tymoteusz, pomóż mi.

Trzeba wezwać pogotowie.

To jest co najmniej wstrząśnienie mózgu!

". "To.

bydlę.

mnie chciało.

udusić!

Jeszcze chwila.

i by.

mu..

się udało".

"Zadzwoń, czynie!

". "I to potym.

wszystkim, co dla niego.

robiłem.

po..

".

Wsunęłam pod bezwładną głowę leżącą wciąż obok poduszkę i pobiegłam do
telefonu.

Jak na środek nocy, karetka przyjechała zadziwiająco szybko.

Przeztych kilkanaście minut próbowałam bez skutku ocucić Stasia.

Gdy zauważyłam, że podłożona pod potylicę poduszka nasiąkła krwią, zdezynfekowałam ranę i
zrobiłam prowizoryczny opatrunek.

Tymoteusz w tym czasie chyba wymiotował w ubikacji.

Na lekarzu z karetki, bardzo młodym, niezbyt kompetentnym, wymogłam, aby zamiast
na pogotowie, zawieźli nas od razu do mojego szpitala.

Tam przynajmniej wiedziałam, komu mogę powierzyć Stasia z pełnym zaufaniem.

Jeszcze w karetce powtórnie wymiotował, ale zaraz potem zaczął odzyskiwać przytomność,
bełkocąc coś bez ładu i składu.

496

Chirurg nie stwierdził poważnych urazów, kości czaszki były całe, rana
dość powierzchowna.

Zatrzymał go, oczywiście na obserwacji.

Podczas badania zwymiotował po raz trzeci, już tylko żółcią.
Wstrząśnienie mózgu niemalna sto procent, ale chybanic więcej - pocieszał mnie lekarz.
Poleży ze trzy dni i dojdzie do siebie.

Tak. Stasio na pewno dojdzie do siebie.

A ja?

Ostatnie, na co w tej chwili miałam ochotę, to wrócić do mieszkania Tymoteusza albo się z nim kłócić, albo wysłuchiwać jego niekończących się tyrad.
Jedynym wyjściem byłaby moja dyżurka, gdzie natwardym łóżku mogłam doczekać świtu, a potem pomyśleć, co dalej.

Tak - co dalej mam robić?

Jak prąść życie bezbarwną nitką samotności.

Wlokłam się korytarzem.

Droga na mój oddział prowadziła przez izbę przyjęć.

Odruchowo, bo tam przecież zawsze jest ruch, poprawiłam włosy, obciągnęłam pomięty płaszcz.

Podniesiony, jazgotliwy kobiecy głos usłyszałam z daleka.

Męskie uspokajające burczenie początkowo nie zwróciło mojej uwagi.

Dopiero wykrzyczane przez rozwrzeszczaną babę mię obudziło moją czujność, kazało wsłuchać się w kolejne burknięcia.

A potem go ujrzałam.

Siwy jak gołąb, twarz w smutnych zmarszczkach, nos kartoflowaty, napęczniały od nadmiaru trunków, oczy zbitego kundla.

Nawet ramiona, tak kiedyś potężne, pełne męskiej mocy, zwisały teraz pod szarą kapotą jak zwiędłe strąki.

Mój Hefajstos.

Romek.

Zdrajca.

Pierwszy kochanek.

W mojej świadomości - od ponad dziesięciu lat, od momentu, kiedy opięty tandetną prądkowaną marynarką Edmund Przybora rzucił mi w twarz opis jego agonii w kloaczynym dole - w mojej świadomości trup.

Kobieta, drobna, ruchliwa, w charakterystycznej wiejskiej chustce na głowie, wciąż jazgotała, wymyślała mu od łazeg, niedojdów, co to nigdy nic jak się należy załatwić nie mogą, a przez tę jego niezgułowatość całą noc przyjdzie im tu siedzieć i pierdzieć w stołek, a przecież.

497.

Zobaczył mnie.

Może nie poznał w pierwszej sekundzie, ale na pewno zaraz potem, kiedy uciekł oczami w bok, kiedy i tak już oklapnięte ramiona przyjęły jeszcze bardziej obronną, zrezygnowaną pozę.

Aja..

To był przede wszystkim - popoczątkowym wzruszeniu i uniesieniu - zawód.

I myśl dziwna, jakby żal, że nawet moja rozpacz po jej onieganym honorowej śmierci okazała się próżna, niepotrzebna.

Oszukana.

Jak wszystko, czego od niego zaznałam.

Bonigdy nie był tym, kim chciałam go widzieć, bo nie miał w sobie nic z mocy prawdziwej, z uroku, jakim oczarował mnie podczas tej pierwszej wizyty w Gzyntach.

To wydarzyło się tak dawno temu, a każdy szczegół tamtego dnia mogłam przywołać pod powieki jak ukochany obraz.

Jakże silne były moje panieńskie złudzenia, rojenia.

Jakże ślepe.

Zerknął w moją stronę, jakby z nadzieją, że już mnie tam, pod tą odrapaną szpitalną ścianą nie ma, zgiń maro, przepadnij.

Ale jabyłam, patrzyłam, wciąż nie umiając dojść do ładu ze swoimi emocjami.

Niemal wbrew sobie, bo co on mi mógł powiedzieć, a na pewno niezgodnie z jego życzeniami, bo patrząc na mnie z jawnym przerażeniem, podeszłam bliżej.

"Może w czymś pani pomóc?"

". "Acoteż pani.

".

"Pracuję tu, znam koleżankę z dyżurki, jak coś pilnego, to pomogę załatwić".

"A co pilnego?"

".

"Tak pani krzyczy i pomstuje, że pomyślałam.

".

"A idź z tą pomocą precz!"

Widzają, babo, jedna.

To już se ponawyrzekać w poczykalni nie mogę, ze ślubnym pogadać".

Patrząc na mnie tak błagalnie, z wyraźnym strachem przed możliwymi kłopotami.

Bo jak miałaby tłumaczyć małżonce szanownej, skądżna taką miastową babę upierdliwą, co to "pomagać chcena się, co nieda człowiekowi w wątroby żółci krztynę zrzucić, co wtrąca się w wszystko".

498

Odeszłam, ale sił starczyło mi tylko za najbliższy róg, do pierwszego krzesła obciążonego popękana ceratą.

Tam opadłam, oparłam głowę o ścianę i bezgłośnie, bezradnie zapłakałam.

Jeden dzień, właściwie tylko wieczór, a nagle straciłam wszelkie złudzenia.

Jak pył przydrożny rozwiałam się, odeszła w nicość spokojna przyszłość u boku pana mecenasa, moja naiwna wiara w zmianę jego charakteru na lepsze, szansa na wspólne zestarzenie się w jakimś takim porozumieniu.

Prysnęło jak bańka mydlana złudzenie niewinności Stasia, wiara, że nie rozumiał, co się stało z Gerardem.

Bo czy teraz, próbując go czasami czegoś nauczyć, przeciwstawić się jego dziwnym niekiedy pomysłom, nie powinnam się obawiać, że i mnie spróbuje kiedyś uciszyć poduszką?

Jak będę żyła pod jednym dachem ze swoim potencjalnym zabójcą?

Łudząc się, że mnie, z miłości, dla mojej dobroci wieloletniej, tknąć się nie waży?

Czy umiem być natylenaiwna?

Przecież nie jestem tak silna jak Tymoteusz i mogę uścisków swego pupilka po prostusie nie wyzwolić.

I na dodatekjeszcze, abym gorycz do samego dna musiała wysączyć, to spotkanieprzypadkowe, ten żalosny śmiećczłowieka, którybył moją pierwsząmiłością.

Co ztego, że fałszywą, wymyśloną, ułudną.

Czy przeto dlamnie dawno temu, kiedy jechałamna chłopskiej furmance, zapatrzona w świetlane sielankowe wizje, ale i teraz, w tej chwili - czy przez to mniej bolesną?

Kto mi to mówił, że wszelkie zmiany w życiu tyłkona gorsze bycmogą?

Ciocia Małgorzata, wdowa-dziewica, której życie upłynęło takjednostajnie i spokojnie, jak krowie w oborze.

Przecież nigdy w to nieuwierzyłam, zawsze wzruszeniem ramion kwitowałam takie krakanie.

Czy to możliwe, abym teraz, kiedy sił na codzienny optymizm znaleźćw sobie nieumiem, poddała się przeczuciu klęski?

Żona Romana znowu zajazgotała, wyganiając mnie w drogę, naktórá nieczułamjuż w sobie sił.

499.

- A co ty tu robisz?

Wpierwszej chwili wydało mi się, że Gromny nic a nic się niezmienił.

A jednak.

Czarne zawsze wąsy teraz poprzetykane były siwymi nitkami.

Również resztki włosów na skroniach znacznie pobieleły, a pełne ognia oczy otaczała

zaskakująco gęsta sieć zmarszczek.

I garbił się chyba jeszcze bardziej niż kiedyś.

-Jak to: co ja robię?

- odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- No, w pokoju Teodora?

Powiedziano mi w recepcji, że tu znajduje kierownika orkiestry.

- To pan niewie?

Teodor złamał nogę w przeddzień wyjazdu.

A mnie wyznaczył, żebym go.

niby zastępował.

Zapadła niezręczna cisza.

Ja wciąż tarasowałem wejście, a Gromny jakoś wcale nie pchał się do środka.

Wiele myślałem o Stefanie przez ostatnie lata.

Nawet kiedyś próbowałem wypytać o jego losy Kasprzyckiego, ale on zbyt

mnietylko ogólnikami w stylu: "Nie martw się o niego.

Krzywdy nie ma".

Odtwarzając zdarzenia dotyczące kradzieży, sam, dziwiłem się jak moglemnie odgadnąć, kto był domniemanym pomocnikiem złodziei.

Dopiero słowa Gerardapozwołyły mi połączyć w całość historię tajemniczych konszachtów Gromnego z Księżykiem.

Gdy go widziałem w euforycznym uniesieniu wtedy, naschodach w Grandzie, to pewnie płacił właśnie Księżykowi za dopiero co doznaną rozkosz.

Płacił temu potworowi, a sam, przed chwilą, jakiegoś chłopca w hotelowym zaciszu.

. A gdy wsiadał z Księżykiem do samochodu, zauważony przypadkowo przez Danusię, i gdy

witał się z tajemniczą kobietą, to pewnie odbywał ostatnią przed "robotą" konferencję z

Constantiną, piękną zdračliwą żonką Camparo.

Wtedy też dotarło do mnie, że w relacjach Zdziska ze zdarzeń tuż po kradzieży kilka razy, niby przypadkowo, pojawiło się nazwisko Gromnego.

Zdzisiek nawet przypuszczał, że to on rozdeptał podmienione skrzypce.

I te jego mętne próby pocieszania mnie w przeddzień wyjazdu na konkurs.

Te bezradne spojrzenia, dziwne opowieści o dorosłości, dorastaniu.

500

Najczęściej było mi Gromnego żal.

Sam doznałem wielu pokorzeń, wiem, co to strach, więc niby łatwo mógłbym go zrozumieć.

Ale była też we mnie.

pogardę jednak.

Bo nie potrafiłem.

już nie to, że zaakceptować, ale wyobrazić sobie, jak można zaspokajać się, zadając komuś ból i cierpienie.

W moich oczach Gromny mieszał się z wspomnieniem podstarzałego brzuchatego satyra,

któremu w ruinach naszej fabryki wucieczce przed panią Kłopotek pomagał Gerard.

I w uszach wciąż miałem stłumione chlupanie Stasia, na zmianę zastraszanego i zachęcanego obietnicami przez Gerardado wytrwania.

Aż sapiący i ślinący się zwyrodnialec skończy!

Jeżeli tak wyglądało też życie seksualne Gromnego, to jakim sposobem mógł być wtedy, na schodach hotelu, taki szczęśliwy i odprężony?

I chociaż nachodziły mnie czasami wątpliwości, czy Gerard mnie po prostu nie okłamał (przecież w tylu innych sprawach wtedy, w szpitalu, mijał się z prawdą, zmyślał, aby tylko utrzymać swoją przewagę nademną), to jednak nie umiałem Gromnego ani zrozumieć, ani usprawiedliwić.

A teraz stał w drzwiach, równie zdziwiony jak ja.

Może jego konsternacja przewyższała nawet moją?

- Nogę złamał, mówisz?

I ty za niego?

- Tak.

Wejdzie pan?

Odsunąłem się, przepuszczając go do środka.

Gdy mnie mijał, zaleciało od niego alkoholem.

Nic się nie zmieniło - pomyślałem.

Wciąż po staremu topi swoje smutki.

- Mieszka pan w Palermo?

- W okolicy.

A Teoś, mówisz, nogę złamał.

- Wypadek samochodowy.

- A co.

uciebie?

Jego sztywność i brak pewności siebie, swady, z jaką zazwyczaj rozmawiał ze mną i

Darkiem, upewniły mnie, że w tej jednej sprawie

Gerard nie mijał się z prawdą.

- Dziękuję, nieźle.

Ponad rok temu pobraliśmy się z Ewą.

A gdzieś tak zamiesiąc powinno się urodzić nasze pierwsze dziecko.

501.

- Z Ewą?

Tawiolonczeliską?

Przecież ty kręciłeś z Ela, skrzypaczką.

- No cóż.

Niekażdy związek jest udany.

Z Ewą jesteśmy bardzoshczęśliwi.

Przygryzał wąsy, rozglądał się po białych ścianach hotelowego pokoju, zupełnie jakby temat rozmowy go nie interesował, jakby cały czas zbierał się do powiedzenia czegoś, co jest dla niego zbyt trudne.

- Może miałeś rację.

Ta Ela to taki chudzielec.

Kobieta powinna mieć trochę ciała.

- A pan jest akurat od tego ekspertem!

-Co? O co chodzi?

- O kobiecie wdzięki i pański na nie apetyt.

-Słuchaj no, Tomek.

Nie staraj się być bardziej niegrzeczny, niż umiesz, bo stajesz się chamski!

- Tak się składa, że nie mam powodu być w stosunku do pana przesadnie ugrzeczniejszy.

Przecież między innymi przez pana najadłem się kiedyś niezłego strachu.

Tego się tak łatwo nie zapomina.

- A więc wiesz?

Kto ci powiedział?

Teoś?

Nie spodziewałem się tego po nim.

Zresztą, on sam niewiele wie!

- Wzruszył ramionami.

W jego głosie wyczułem.

jakby ulgę.

- A już żaden z was nawet wyobrazić sobie nie może, przez co ja przeszedłem.

I przez co przechodzę do dzisiaj.

Ożywił się, oczy mu zabłyśły.

To był znów Gromny sprzed lat, pełen energii, sarkazmu i pogardy dla świata.

Zrozumiałem: to możliwość opowiedzenia swojej wersji o tamtych zdarzeniach komuś, kto też był w nie zamieszany, tak bardzo gopodnieciała.

- Nie myślisz chyba, że jestem pospolitym złodziejaszkiem?

I że ukradłem tamte skrzypce dla przyjemności?

- Ja tylko myślę o sobie.

A ostatnio też o Ewie i naszym dziecku.

;

- Teraz rozumiem!

Pewnie ci się marzy, że odpalę ci coś z pieniędzy za stradivariusza?

- Słucham?

-Tej forsy już dawno niema, piękny Tomaszku.

Nicci nieskapnie z mojej doli.

502

- Jak pan może!

Pan myśli, że ja wziąłbym od pana pieniądze?

Mimo wszystko, pomimo tego, co o panu wiem, nie spodziewałem się.

- A co ty niby o mnie wiesz?

Kto ci nabajdurzył?

Niewierzę,

żeby Teoś.

- Niech pan zostawi Teodora w spokoju.

Pewnieto jedyny przyjaciel, jakiego pan ma.

I wątpię, czy pan na niego zasługuje!

Od niegoniczego się o panunie dowiedziałem.

- Więc kto ci naopowiadał tychbredni?

-Nie jestem taki pewien, czy to brednie.

- Kto?

-Gerard.

Gerard Przybora.

Podwładny Księżyka.

I zarazemjegovspólnik.

Imoże pan nie wie, ale on jestod kilku już lat "świętejpamięci".

- Księżyk czy Gerard?

-Gerard.

- A więc to żyłaste bydlę nie żyje?

Kompanigo zaciukali?

- Nie wiem.

Spotkałem go w szpitalu.

Leżał na chirurgii ze złamanym kręgosłupem.

- Zasłużył sobie.

Chociaż szkoda, żeto nie Księżyka szlag trafił!

- A co?

Dodzisiaj pan się boi jego zemsty?

- A ty skąd znasz Księżyka?

-Praktycznie nie znam.

Widziałem go tylko raz w życiu, ale i takto spotkanie wraca do mniew nocnych koszmarach.

Albo raczej:

wracało.

- Jeśli go raz widziałeś, to go nie znasz.

Jest tak zły, okrutny, że.

chybanawet gorszy ode mnie.

- Zaśmiałem się, ale nie zabrzmiało to

radośnie.

- Wcale nie wiem, czy pan jest zły.

Chyba raczej.

- No, powiedz to.

Wyduś z siebie.

- Co?

-Zboczony?

503.

- Nie.

Nie to chciałem powiedzieć.

Myślę, że pan jest słaby.

Poprostusłaby, nicwięcej.

Że pan nie potrafi walczyć.

zesobą.

- Ty głupi szczeniaku!

-Ktoś tu mówił ostatnio o chamstwie.

Aż się uniósł w fotelu zezłości.

Ale w jego oczach, oprócz wściekłości, dostrzegłem też ból, poczucie krzywdy.

Tak, łatwo się rzuca ostre słowa, feruje wyroki, zapominając o tym, że niektórych problemów rozwiązać się nie da.

W jednej chwili zrobiło mi się głupio i przykro.

-Przepraszam - powiedziałem, uciekając spojrzeniem w bok.

Opadł w głąb siedzenia, ciężko oddychając.

Prawą ręką sięgnął do kieszeni, wyjął pierścionek i pociągnął z niego kilka łyków.

Otrząsnąwszy się, popatrzył na wędrującą po niebie księżyc i zaczął mówić:

- Miałem w szkole, jeszcze w podstawówce, takiego kolegę.

Wojtek miał na imię.

Wariat straszny, szczególnie w sprawach, no wiesz, świntuszenia, podszcypywania, zadzierania dziewczynom kiecek, macania ich, używania wulgarnych słów.

Kolegowałem się z nim, bonnie fascynował.

Ja się bałem robić nawet jedną dziesiątą tego, co on wyczyniał w stosunku do dziewczyn.

Jego mama była kierowniczką klubu dla młodzieży.

Tam był stół do bilarda, do ping-ponga.

W święta i w niedziele Wojtek dostawał klucz i szliśmy grać.

Ale on nawet podczas gry wciąż opowiadał o dziewczynach.

A kiedyś tak się podniecił, że przy mnie zwałił sobie konika.

Mnie też namówił.

Za tym pierwszym razem każdy sobie.

Oddzielnie.

Tylko patrzyliśmy.

Ale później zaczęliśmy sobie nawzajem pomagać.

Takto się zaczęło.

- Niech pan da spokój!

Ani janie mam prawa pana osądzać, ani pan nie musi.

- Pewnie, że nie muszę.

Czy ty myślisz, że ja się nie czułem jak ostatnia świnka, wiedząc, co cię czeka na granicy?

Ale pomyśl, gdybym ci powiedział, to sam mógłbym wpaść i pójść siedzieć na długie lata, bo ja miałem w tym wszystkim czynny udział.

I nikt nie brałby pod uwagę, że byłem szantażowany przez tobydlę!

Aczy to

504

moja wina, że mi nie staje przy kobiecie?

Czy ja niedość się wstydu na ja dłem w życiu, żeby jeszcze przed sądem wywlekać swoje problemy?

Dla mnie kontakt z sędzią to byłby wyrok śmierci.

Ja walczyłem życie!

Rozumiesz, Tomek?

Jednocześnie potaknąłem i wzruszyłem ramionami.
Co miałem odpowiedzieć?

Gromny znów solidnie pociągnął z piersiówki.
Mówi niedbale, na granicy pijackiego bełkotu, z jakąś niezwykle silną, pospieszną determinacją, jakby postanowił wyrzucić siebie jak najwięcej, zanim dotrze do niego refleksja, co też mianowicie i do kogo gada.

I zanim się opanuje.

- Rodzice tego Wojtka wyprowadzili się do innego miasta.

Bodajdo Olsztyna.

Ja na parę lat przycichłem.

Ćwiczyłem dużo na kontrabasie, wygrywałem przesłuchania, konkursy.

No wiesz, niektórzy biegają, inni grają w piłę, a ja postanowiłem zaćwiczyć się na śmierć.

Próbowałem, niby nawet chodziłem jeszcze przed maturą z jedną taką dziewczyną, ale to była pomyłka.

Żałosna pomyłka.

Nawet nie mogłem jej uczciwie pocałować.

Cmok-cmok w policzek, a jak coś więcej, to midogardła podjeżdżało.

- Znów potężny łyk alkoholu.

Ile też w takim mizernym naczyniu się mieści?

- Potem wyjechałem do Moskwy.

Tam wpadłem między kilku Gruzinów.

Pewnie nie wiesz, ale rodzice u nich dziewczyn pilnują lepiej niż u nas wojsko tajnych państwowych.

I przeto sporo chłopców, no wiesz, świadczy sobie usługi.

Potem, jak dorastają, to się normalnie żenią, mają dzieci, rodziny.

Jakoś im to nie przeszkadza.

No i ja z młodszym bratem jednego z nich.

- Panie Stefanie, ja nie mam ochoty słuchać pańskiej wiwisekcji.

Nie jestem psychologiem i nie będę umiał panu pomóc.

Niech pannam obu tego oszczędzi.

- Tu nie chodzi o pomoc.

- W jego mętnym spojrzeniu było coś tak żalnego, tak smutnego!

- I nie chodziło o ciebie.

Chodziło o moją żonę!

Ja też tego nie pojmuję.

Czy ty rozumiesz, dlaczego z Elką ci niewyszło, a z Ewą wziąłeś ślub?

Przecież jedna idruga ma cycki idupę.

505.

- Niech pan nie będzie wulgarny!

-A dlaczego?

Zgorszysz się?

To co?

Nie ubędzie ci.

Kolejny raz chciał pociągnąć z piersiówki, ale tym razem zabrakło już w niej pocieszenia.

Zabluźnił dosadnie, wstał i spróbował otworzyć barek hotelowy.

- Dajklucz - wyciągnął rękę.

Nie był już załosny, tylko zły i agresywny.

Patrzyłem, jak przegląda etykiety malutkich buteleczek.

Wybrałw końcucztery, popatrzył na cennik iwyjął z portfela kilka banknotów.

- Żebyś nie zbiedniał.

- Położył liry na blacie, a sam znów usiadłi jednym śmiesznie długim haustem, bo cieniutka szyjka nie byłaprzegotowana na takie łakomstwo, opróżnił pierwszą buteleczkę.

-Tynawet nie wiesz, jak to jest: zakochać się w kimś młodym, pięknym,wiedząc, że z tego nicnie może być.

W każdymrazie - nictwałego.

Natakiego właśnie chłopca złapał mnie Księżyk.

Ten bydlak podsunąłmi gotak, żeja się nie zorientowałem.

Myślałem, że tamten mnie.

I dopiero, gdyjuż.

Najpierw tylko musiałem płacić.

A później przyszła sprawa z tymi skrzypcami, ze stradivariusem.

No to gdysię nadarzyła okazja Księżyka okpić, oszukać, to skorzystałem.

Trochę mnienamówiła Constantina, ale najbardziej to chciałem się uwolnić odtegoszantażu. Zresztą.

Machnął ręką i opróżnił kolejną zdobycz z barku.

Zamknął oczyiężko oddychał.

Na czole pojawiły się wielkie krople potu.

Przestraszyłem się, że mi zasłabnie w pokoju.

- Panie Stefanie.

Może już.

dosyć?

- Nie chcesz usłyszeć do końca historii starego zbrojeńca?

- mówił, nie otwierającoczu, pogardliwie wykrzywiając usta.

-Nikogo nieinteresuje mój los.

A mnie musi, bo nie mam innego.

- Przecież nie oto.

-A na konkursie wam nie pomogłem?

Nie myśl sobie, że takmało ryzykowałem.

W grę wchodziłysetki tysięcy dolarów.

Jakbymnie dorwali, to krwawamiazga.

Albo czapa.

Ale Teodor prosił.

506

Czy ty wiesz, jak ja mu zazdroszczę?

Tej żony, comu nieraz rogiprzyprawiała, ale są razem, dzieckomają.

Tego jego charakteru, tej pieprzonej szlachetności, bo on tej swojej
dziwce autentycznie przebaczył!

Zapomniał i zaczął od nowa.

Jak wtedy, kiedy wrócił do Polski, a ona już od miesiąca mieszkała z innym.

Umie przebaczać.

Możesz tym się właśnie wyrażać jego.

- Niedopowiedział, ale domyśliłem się słowa, które zawisło w ciszy.

- A zniechęciłem się niemością, bo on zawsze jest taki.

uczciwy, lojalny, taki w porządku, uczynny aż do bólu.

I...

masz rację, to mój jedyny przyjaciel.

On chyba wiedział, że to ja.

Wtedy, w filharmonii.

Chyba się domyślał.

A nikomu ani słówka.

Powiedz mi: dlaczego ja tak nie mogę być?

Chyba nie spodziewałeś odpowiedzi.

Dotychczas, myśląc o Gromnym, widziałem albo cwaniaka, wyrachowanego i zimnego faceta, który cynicznie wykorzystał szansę na wzbogacenie się, na ucieczkę z kraju z wielkimi pieniędzmi, aby zagranicą w pełni korzystać z życia, albo ofiarę okrutnego Księżyka, zmuszoną szantażem do czynów niegodnych uczciwego człowieka.

Tymczasem prawda tkwiła przede mną w fotelu: pełen żalu, smutku i zazdrości do świata kontrabasista, sfrustrowany problemami z zawartością własnego rozporządzenia!

I chociaż takie postawienie sprawy byłoby wielkim uproszczeniem, pewnie dla Gromnego krzywdzącym, to nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Ale tą konkluzją nie zamierzałem się dzielić z moim rozmówcą.

A on nagle miał dość zwierzeń.

Może nawet po fakcie żałował chwili słabości, bo wychodząc i machając mi niezdarnie ręką na pożegnanie, powiedział:

- Pozdrów ode mnie Darka.

Z was dwóch on zawsze miał więcej zrozumienia dla ludzi.

- Po kilku chwiejnych krokach odwrócił się, ze złośliwym uśmiechem popatrzył na mnie i mściwie dodał: - Aciebie dobrze Gerard przezwał: Babol!

Po czym śmiejąc się i zataczając, dobiegł do schodów i zniknął.

507.

W pokoju pozostały puste buteleczki, niedomknięty barek i ciężkie zapachy alkoholu.
I jeszcze cięższe opary pijackich zwierzeń.

Otworzyłem okno.

Ogromny żółtawy księżyc wywoływał na spokojnych wodach zatoki swym kradzionym blaskiem tysiączne refleksy.

Świetliste zygzakowate linie, podobne do siebie, wszystkie w nieustannym, monotonnym ruchu - przesuwają się, drgały, falowały i niby toczyły w kierunku horyzontu, a wciąż było ich tyle samo.

Jak problemów w ludzkim życiu.

Te, które znikają, staramy się zapomnieć, aby móc poradzić sobie z następnymi, napływającymi nieustannie, zewsząd.

Może dlatego rzucone na odchodnym przez Gromnego stare przezwiskonie zabolął mnie, tylko raczej.

zniesmaczyło, wzbudziło żalną litość dla pijaczka, który chociaż tak próbował odegrać się na mnie.

Pewnie zasnęł z szczerą, której ani ja od niego nie żądałem, ani on jej nie planował.

Tak często przecież w życiu czynimy rzeczy, których wcale robić nie chcemy.

Odetchnąłem.

Babol?

Kto to?

Przecież nie ja.

Boja tokierownik orkiestry, całego wyjazdu.

Ostatnio praktycznie dyrygent.

Przy tym jeden z najlepszych skrzypków nauczelnicy.

I mąż Ewy, najpiękniejszej dziewczyny w akademii, która poślubiła ze mną straciła wszelkie zainteresowanie dla innych mężczyzn, tak bardzo i tak.

zupełnie, że aż ją kiedyś o to spytałem.

- Kochanie - odpowiedziała.

- jaki ty jednak głupi jesteś!

I zwichrzyła mi ze śmiechem czuprynę.

To jak w końcu:

Babol czy nie?

Joensuu 1998-99, 2003-04, 2008-09

Js/ tresce

Część pierwsza

Stradivarius .

7

Rozdział lizki .

9

Rozdział szkoły .

29

Rozdział przesłuchań .

51

Rozdział gwałtu .

76

Rozdział pierwszej miłości .

97

	Rozdziałaskoczeń .
114	Rozdział stradivariusa .
131	Rozdziałmiejskiego życia .
141	Rozdział przeróżnych złudzeń .
159	Rozdziałszantażu .
182	Rozdział strachu.
204	Rozdziałrozterek i wyborów .
218	Rozdział kontrastów .
247	Rozdziałgranicy .278
	Część drugaGerard .
	303
	Rozdział konkursu 305
Rozdział zalotów .	
	334
	509.

Rozdział zółwia .	
369	
. 391	Rozdział pełen ciepła .
417	Rozdział podchodów .
449	Rozdział Stasia .
483.	Rozdział epilogu.